



GONZALO GINER

WETERYNARZ Z TOLEDO



GONZALO GINER

WETERYNARZ Z TOLEDO

Z hiszpańskiego przełożył

LESZEK ŁUGOWSKI



Tytuł oryginału:
EL SANADOR DE CABALLOS

Copyright © Gonzalo Ciner Rodríguez 2008
All rights reserved

Copyright © Ediciones Temas de Hoy S.A., an imprint of Planeta Madrid S.A. 2008

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Leszek Ługowski 2013

Redakcja: Jolanta Kaszukur

Ilustracja na okładce: Alamy/BE & W
Fabrizio Castello *Batalla de la Higuera*, Escoriali

Projekt graficzny okładki: Editorial Planeta

Projekt graficzny serii: Andrzej Kuryłowicz
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-602-3

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o. sp, k.-a.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t.f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.fabryka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2013. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Książkę tę poświęcam Pilar,
miłości mojego życia*

CZEŚĆ PIERWSZA

Ziemie pogranicza

W roku 1195 w okolicach Alarcos ścierają się oddziały almohadzkiego kalifa Yusufa ben Yaquba z wojskami Alfonsa VIII Kastylijskiego. Chrześcijański monarcha, pokonany, in extremis zbiega do Toledo.

Odtąd czuł będzie na sobie piętno tej porażki.

I

Urodzili się po to, by zabijać.

Zwano ich imesebelenami, co znaczy „skuci łańcuchami”.

Byli to afrykańscy wojownicy o czarnej skórze, zajadli i okrutni mordercy, od dziecka przygotowywani do tego, że pewnego dnia zostaną strażnikami kalifa z al-Ándaluz.

Zginąć za kalifa – to był dla nich największy zaszczyt.

Tego dnia ziemia w Alarcos zadrżała pod galopem ich rumaków.

Było ich ponad tysiąc. Pędzili szybko jak wiatr. Podążali tropem chrześcijańskiego nieprzyjaciela. Przyświecał im jeden cel: zadać mu śmierć.

W ich uszach wciąż brzmiały rozkazy dowódcy. Ten dziwny człowiek o szlacheckim nazwisku przez długi czas cieszył się dużym zaufaniem króla Kastylii, by następnie go zdradzić i stać się jego najgorszym wrogiem.

– Pozarzynać ich wszystkich! Spalcie im pola, zabierzcie zapasy. Zgwałćcie ich kobiety, zrównajcie z ziemią domy... A nade wszystko pamiętajcie, by nie pozostawić przy życiu ani jednego świadka...



– Ojczy, a jeśli przegramy tę wojnę? Mieszkamy blisko granicy z al-Ándalus. Mogą na nas napaść... – Młody Diego przerażony przywarł do łóżka chorego ojca.

– Nie lękaj się, mój synu. Obroni nas zakon Calatrava. Jesteśmy przecież jego wasalami.

– A jeśli nie zdoła? Co wtedy zrobimy, ojczcze?

Don Marcelo zamilkł i spojrzął na syna. Podzielał jego niepokój, ale bardzo zależało mu na tym, by chłopiec nie odgadł jego obaw.

Znajdowali się obecnie w takim położeniu, że pozostawało tylko mieć nadzieję, iż kalatrawensi pomogą, gdy zajdzie potrzeba. Bo gdyby tak się nie stało... Gdyby tak się nie stało, on sam nie będzie w stanie obronić swych bliskich, a Diego, zaledwie czternastoletni, był zbyt młody, by zapewnić bezpieczeństwo całej rodzinie i ochronić gospodę.

Tak, don Marcelo przeczuwał najazd imesebelenów. W zajeździe opowiadano straszne historie na temat bestialstwa tych afrykańskich wojowników. Na samą myśl o tym, co może się zdarzyć, przeszywał go dreszcz. Nie zamierzał jednak poddać się trwodze ani też na to pozwolić swojemu synowi. Wręcz przeciwnie, w tej chwili pragnął z całych sił natchnąć młodzieńca odwagą i pewnością siebie.

– Zbliź się do mnie.

Don Marcelo uściśnął mu rękę. Dojrzał jego strapienie.

– Wierzę w ciebie, synu, bardzo mocno i wiem, że gdyby coś się stało, postąpisz właściwie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Dasz sobie radę. Jesteś mądry, wytrwały. Jesteś dobrym synem. A teraz posłuchaj mnie uważnie, bo chcę cię prosić o coś ważnego... – wziął głęboki wdech i przybrał bardziej uroczysty ton. – Przysięgnij, że bez względu na wszystko spełnisz moją prośbę, nawet jeśli jej nie zrozumiesz... Przyrzekasz?

– Mówcie, ojczcze. – Diego cały zamienił się w słuch.

Mężczyzna ujął jego dłoń i położył na sercu.

– Nic złego nam się nie przytrafi, ale gdyby coś się wydarzyło, gdyby z jakiegoś powodu atak muzułmanów miał nas rozdzielić, chcę, żebyś wiedział, iż jako jedyny męski potomek rodu zobowiązany jesteś dziedziczyć ów haniebny układ poddaństwa, który łączy nas z zakonem Calatrava. Moją wolą jednakże jest, by tak się nie stało...

Diego spojrzął nań ze zdumieniem.

– Nie chcę, żebyś skończył jako poddany, tak jak ja... Weźmiesz więc siostry i poszukasz sobie zajęcia gdzie indziej: może w najbliższym

mieście, w Toledo. Jeśli podążysz za moim przykładem, nie osiągniesz niczego. Mierz daleko, a polecisz wysoko niczym orzeł. Zdobądź szczyty – to twoje życiowe zadanie. Znajdź mędrca i ucz się od niego. Kieruj się ambicją, nikogo nie krzywdząc. Zawsze wykonuj dobrze swą pracę, by nie spotkała cię zasłużona przygana. A gdybyś musiał stanąć w szranki rywalizacji, staraj się wygrać. Nigdy nie bądź niczym wasalem. Urodziłeś się jako poddany, ale masz prawo do godności. Jeśli będziesz mocno się starał, osiągniesz wszystko, co zechcesz. I jeszcze jedno: chroń swoje siostry i troszcz się o nie. W ich żyłach płynie nasza krew... Synu mój, nigdy nie zapomnij, że miałeś ojca, który kochał cię jak nikogo na świecie. Pewnego dnia z dumą spojrzę na ciebie z nieba.

– Kiedy ja nie chcę opuszczać rodzinnych stron, ojczyste... – zaprotestował Diego. – Tyle jest tu do zrobienia: w zajeździe, w stajniach...

Don Marcelo zamknął mu usta.

– Przysięgnij, że gdy nadejdzie czas, zrobisz to, o co cię prosiłem!

Chłopak spojrzął mu w oczy i już wiedział, jaką ma dać odpowiedź.

– Macie moje słowo, ojczyste.

– Niechaj więc tak będzie i więcej o tym nie mówmy... – Pieszczotliwie ujął go za podbródek. – A teraz wracaj do stajni, do swoich robót.

– Kiedy mam wyjechać, ojczyste?

– Dowiesz się we właściwym czasie, mój synu. Nigdy nie zapomnij, co ci nakazałem, i potraktuj to jako święty obowiązek. – Młodzieniec przytaknął skinieniem głowy. – I przenigdy nie zapominaj o swoich siostrach.

– Obiecuję je chronić...

II

Don Marcelo prowadził skromny zajazd nieopodal wioski Malagom u wybrzeży laguny Grande, przy gościńcu wiodącym z Toledo do al-Ándalus. Chociaż czynsz był niewielki, prawie zawsze zalegał miesiąc lub dwa z jego zapłatą.

Zanim przejął ten interes, jeśli tak to można nazwać, był pasterzem, potem kowalem, wyrobnikiem, wreszcie rolnikiem. Jego długie, pracowite życie podsumować można dwoma słowami: nędza i znój.

Żona zmarła mu przed trzema laty. Gotowaniem, podawaniem do stołów i sprzątaniami zajęły się córki: Belinda, Blanca i Estela. Jedyń syn, Diego, pracował w stajniach, w starym młynie i w kuźni. Chłopak nauczył się od ojca kowalstwa i obchodzenia się z końmi. Konie uwielbiał. Były jego pasją. Powiadał, że je rozumie i zawsze wie, co myśli.

Wszystkie trzy dziewczyny były rude jak ich matka. Diego, podobnie jak don Marcelo, miał czarne włosy.

Z Estelą, o rok młodszą od niego, Diego rozumiał się najlepiej. Była piegowata, o zadartym nosku, zawsze uśmiechnięta, najweselsza ze wszystkich trzech.

Za to Belinda była wulkanem energii. Wiecznie niezadowolona, miała rzadką zdolność wprowadzania wszystkich wokół w stan nerwowy, a także obsesję na punkcie czystości i porządku. Bardzo cierpiała, gdy jej rodzeństwo nie postępowało dokładnie tak, jak sobie życzyła. Była też niezwykle krzykliwa i łatwo wpadała w złość. Ale cała jej surowość zniknęła, gdy spoglądała niebieskimi oczyma o niezwyklej głębi, odziedziczonymi po matce i niezdolnymi do wyrażenia niczego prócz dobroci. Nikt nie mógł wówczas oprzeć się jej woli. Jej spojrzenie potrafiło zaczarować każdego.

O Blance, trzeciej córce, ojciec mówił, że ma po matce charakter i zdolność do poświęceń, ale przede wszystkim – słodycz.

Interesy w zajeździe nigdy nie szły dobrze. Nawet w czasach pokoju, gdy droga między Toledo a Calatravą była otwarta, nie zatrzymywało się w okolicy zbyt wielu podróżników. A jeśli już się na to zdecydowali, to wybierali inną gospodę, znajdującą się o parę mil dalej, zwabieni famą jej wyśmienitej kuchni. Od kiedy zaś pojawiły się pierwsze pogłoski o wojnie, do don Marcela trafiał tylko niekiedy jakiś zbłąkany wojak i czasem paru sąsiadów z okolicy. Na domiar złego, ostatnimi czasy żołnierze odchodzili z zajazdu bez zapłaty, egzekwując swoje prawo do darmowego wikt.

Don Marcelo, który zajmował się rachunkami, przyzwyczajony był do tego, że kasa świeci pustkami. Nie spodziewał się jednak, że sytuacja może być aż tak zła, jak to miało miejsce w ostatnich miesiącach.

W pewien upalny dzień, późnym popołudniem, zajazd – goszczący ledwie pół tuzina klientów – stał się świadkiem wydarzenia wielkiej wagi...

Dzwon kościelny w pobliskim Malagón uderzył siedem razy.

Estela i Blanca krzętały się przy stołach jadalnych, a Belinda w kuchni szykowała kolację. Diego był w stajni: cesał Sabbę, swą kasztanową klacz rasy arabskiej.

I wtedy pojawił się ten żołnierz.

Zziajany wpadł do środka prosto z gościńca. Był zlany potem i oblepiony kurzem. Oczy wychodziły mu z orbit, włosy miał brudne i potargane. Potknął się o stół, po drodze przewrócił dwa krzesła i, niemal mdlejąc, wydał z siebie rozdzierający krzyk.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu, osłupiali. Mężczyzna był ranny i wyczerpany. Padł na stół. W jego plecach tkwiły trzy strzały.

– Imesebeleni! – krzyknął. – Już tu są... Uciekajcieeee...! – Jego ostatnie słowo zmieniło się w przesywający jęk.

Nie mogło być gorszej wieści. Almohadzi wygrali bitwę! Byli tu już afrykańscy wojownicy, ci okrutni mordercy. Na wszystkich padł błąd strach. Pojęli, że nikt ani nic nie może już ich uchronić przed straszliwym niebezpieczeństwem. Ich obrońcy, kalatrawensi, zapewne już nie żyją albo właśnie oddalają się w popłochu.

Wszyscy rzucili się do ucieczki, jakby gonił ich diabeł. Na ich twarzach malowała się rozpacz i przerażenie.

Blanca pobiegła do stajni, żeby powiadomić brata o niebezpieczeństwie. Estela została sama z żołnierzem. Nie wiedziała, co począć. Jej rodzina nie mogła przecież uciekać. Ojciec, niedołężny, prawie nie wstawał z łóżka, nie mówiąc już o tym, żeby mógł wsiąść na wóz.

Ranny wojak spojrział jej w oczy. Śmierć błąkała się po jego źrenicach.

– Powiedzcie, panie, daleko są...?

Mężczyzna chwycił ją za ramiona, jakby chciał zatrzymać uchodzące życie.

– Za późno... są już blisko... napadli na mnie – odpowiedział szeptem. – Mają czarną skórę. Pędzą na białych rumakach. Chyba sam diabeł ich tu przysłał...

Estela pragnęła wyswobodzić się z uścisku, ale twarde ręce mężczyzny wpijały się w jej ciało i unieruchomiły jej ramiona niczym kleszcze. Dziewczyna krzyknęła z całych sił.

Belinda usłyszała wołanie Esteli i przybiegła z kuchni. Za pomocą noża kuchennego, który miała w ręku, próbowała uwolnić siostrę z objęć żołnierza.

– Puście ją! – bez wahania błysnęła mu po oczach stalowym ostrzem – bo wszyscy zginiemy. Okazaliście, panie, wielką szlachetność, ostrzegając nas przed niebezpieczeństwem, okażcie ją i teraz, błagam...

Konający spojrział w jej oczy i zdało mu się, że widzi bramy rajy. Przeniósł wzrok na Estelę i ujrzał bezgraniczne przerażenie.

– Odejdźcie z Bogiem! – Puścił dziewczynę, wydając ostatnie tchnienie.

Do izby wbiegła reszta rodzeństwa.

– Przynosiłem konie do zaprzęgu – oznajmił pogodnie Diego. Znieśmy ojca na dół i ruszajmy.

Rozległo się niespokojne bicie dzwonów, przypominając o nieuchronnie zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie było czasu do stracenia. Weszli na piętro do sypialni ojca. Chociaż nie wiedział, o co chodzi, w mig pojął powagę sytuacji. Jednak kiedy dzieci wytłumaczyły mu, co się dzieje, i przedstawiły swój plan, odmówił wzięcia w nim

udziału. On zostaje. Na nic im się nie zda, tylko opóźniałby ucieczkę.

– Nie opuszczę tego domu... – Don Marcelo z całej siły zaparł się w łożu. – Tu żyłem z waszą matką i widziałem, jak każde z was się rodzi. Wy uciekajcie, ratujcie się. To rozkaz! Ja nie idę.

Córki, nie słuchając słów ojca, szykowały go do odjazdu. Belinda, Estela i Blanca krzątały się po izbie, pakując jego niezbędne rzeczy.

Wtem don Marcelo krzyknął przeraźliwie i cały ruch ustał.

– Powiedziałem, że macie uciekać, a mnie zostawić!

– Ależ ojczu, nie możemy tak zrobić. Idziemy wszyscy albo wszyscy zostajemy – stanowczo odrzekła najstarsza siostra, Belinda.

Ojciec utkwiał wzrok w Diegu, a ten zrozumiał jego myśli. Rozmawiali o tym przecież parę godzin wcześniej. Diego poczuł, że w tej chwili spada na niego cała odpowiedzialność za rodzinę.

Przepętniony żalem, zbliżył się do twarzy ojca i ucałował ją z szacunkiem.

– Usłuchajcie woli ojca i chodźcie za mną. Nie ma czasu do stracenia. Prędko! Idźmy już!

Mimo oporu rodzeństwa Diego był stanowczy. Zaczął popychać dwie młodsze siostry w nadziei na wsparcie ze strony najstarszej.

– Dobrze, chodźmy. – Belinda wstała i pociągnęła dziewczęta za sobą. Chociaż czuła głęboki żal, wiedziała, że postępuje właściwie.

Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyły zareagować. Nie było co lamentować. Dziewczyny ucałowały ręce i policzki ojca, nie wiedząc, jak go żegnać. Odpychał je poszły jak najprędzej.

Nagle wszyscy oniemieli, słysząc tętent koni zbliżających się do zajazdu.

– Idźcie wreszcie! – wrzasnął wściekle ojciec.

Dzieci, wpadając jedno na drugie, zbiegły po schodach i pośpieszyły do stajni. Czekał tam już dwukołowy powóz z budą, zaprzęzony w dwa chyże konie. Diego pomógł siostrom wsiąść. Sam usadowił się na koźle obok Belindy. Chwycił lejce i zaciął konie. Natychmiast puściły się do szalonego galopu.

Nie ujechali nawet dwóch wiorst, gdy wśród trzasków jadącego powozu Diego usłyszał rzenie tuż za plecami. Odwrócił głowę i ujrzał swoją klacz, Sabbę. Pędziła za nimi jak burza, z grzywą rozwianą na wietrze. Jej sprężyste ciało i rezolutne spojrzenie czyniły ją najpiękniejszym stworzeniem na świecie. Pojawiła się w życiu chłopaka wkrótce po śmierci jego matki. Pomogła mu wówczas wydostać się z otchłani smutku. Don Marcelo słono za nią zapłacił, chyba nawet więcej, niż mógł sobie pozwolić, ale nigdy tego nie żałował, widząc, jak są sobie bliscy: jego syn i ten koń.

Diego wykrzyknął imię klaczy i Sabba przyśpieszyła kroku. Zrównała się z powozem. Parsknęła rażno, gdy właściciel podrapał ją pieszczotliwie po łbie. Jej oczy wyrażały wierność, ale i lęk.

– Moja biedna Sabba... jak mogłem cię zostawić...

Po tych słowach Diego pomyślał o ojcu. Z lękiem spojrzął na starszą siostrę. Prosząc o wybaczenie, przekazał jej lejce i jednym susem przesiadł się na Sabbę.

– Muszę mu pomóc...! – wołał, znikając w oddali. – Wy nie zatrzymujcie się aż do Toledo. Znajdę was, jak dojadę. Jedźcie, nie zatrzymujcie się. Spotkamy się w Toledo.

III

Diego przybył do zajazdu, uwiązał klacz w stajni i pobiegł do domu. Gdy wszedł do sypialni, don Marcelo wybuchnął gniewem.

Oskarżył go o złamanie danego słowa.

Rozeźlony podniósł się, by wyjrzeć przez okno, czy nie wróciły też jego córki, ale chore ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

– Wracaj do nich natychmiast! Jeśli zginą, to będzie twoja wina! – wrzeszczał, rozgorączkowany. Diego nie widział go jeszcze nigdy w takim stanie.

Chłopak milczał, zrozumiał swój błąd. Postanowił wracać do sióstr, ale powstrzymał się, posłyszawszy głosy dochodzące z dworu. Spojrzał na ojca pytająco.

– W kufrze jest kusza, daj mi ją! Ty weź miecz i wracaj do dziewcząt, jeśli zdołasz. Zrozum w końcu: nie potrzebuję cię...

Szukając broni, Diego wyrzwał przez okno. W oddali dostrzegł znajomy powóz, a tuż za nim czterech jeźdźców. Usiłowali zaatakować od flanki. Wszystko to działo się bardzo daleko, ale widział, jak jeden z nich próbuje przejąć lejce i jak mężna Belinda z całej siły uderza go w twarz. Potem zacięła konie, żeby biegły szybciej. Pogoń również przyspieszyła.

Jeden z jeźdźców, wywijając w powietrzu straszliwą szablą, doganiał powóz. Diego ujrzał błysk stalowego ostrza opadającego na ramiona Belindy z przerażającą szybkością. Napastnik odciął jej obie kończyny.

Diego nie mógł złapać tchu. Nie był w stanie nijak zareagować. Słyszał krzyki ojca, ale zdawało mu się, jakby dochodziły z oddali. Jego

uwaga skupiona była na owej scenie, której miał już nigdy nie zapomnieć. Nie mógł uwierzyć, że jest świadkiem tak potwornych wydarzeń. Parę sekund później wojownik przejął konie i gwałtownie zatrzymał powóz. Diego zobaczył jego naprężone mięśnie, sztywne i bezlitosne. Czuł, że brakuje mu powietrza, słysząc, że ojciec pyta go, co się stało. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa.

Reszta wojowników dopędziła powóz. Pojmali dwie młodsze siostry, zatykając im usta. Belindę brutalnie zrzucili na ziemię. Jeden z czarnych jeźdźców chwycił ją za włosy i pociągnął z całej siły, aż skręcił jej kark. Potem krzyknął coś do młodszych dziewcząt. Za chwilę Diego ujrzał, jak w ciało Belindy zatapia się zimne ostrze sztyletu. Jego siostra, jego ukochana starsza siostra, leżała martwa na ziemi. A on nie mógł nic zrobić, tylko stał i patrzył.

Morderca wskoczył na kozioł i złapał cugle. Blancę i Estelę wsadzono na konie, na kolana wojowników. Zawrócili powóz i odjechali na południe. Zniknęli za pagórkami w tumanie kurzu.

Diego odwrócił się. Spojrzał na ojca, ciężko dysząc. Czuł, że twarz ma nabiegłą krwią.

Już miał zacząć mówić, gdy usłyszał jakieś kroki na schodach. Rzucił ojcu kuszę, a sam, z mieczem w ręku, stanął koło drzwi. Czuł, jak serce wali mu w piersi, a po karku spływa zimny pot. Zadawał sobie pytanie, czy ma dość odwagi, by stawić czoło niebezpieczeństwu.

Odgłosy kroków wskazywały, że było ich dwóch.

Diego uniósł uzbrojone ramię, aby ciosem szabli zaskoczyć pierwszego, który wejdzie. Chwycił mocno za rękojeść, na wypadek gdyby musiał przebijać kolczugę. Czując oddech pierwszego intruza, przygotował się do ataku.

Spojrzał na ojca.

Ten trzymał kuszę wycelowaną prosto w drzwi. Gdy na podłodze pojawił się pierwszy cień, miecz Diega zaczął ciąć powietrze.

Powstrzymał go nagły krzyk:

– Stój! Stój, synu! To nasi.

W drzwiach stanęło dwóch rycerzy zakonu Calatrava, zbrojnych w ciężkie miecze. Na ich twarzach malowało się wzburzenie, które musiało być wynikiem wydarzeń ostatnich kilku godzin.

– Jesteście oberżystą?

– Tak, to ja.
– Przybywamy, by pomóc wam w ucieczce. Reszta naszych braci ewakuuje okoliczne wioski. Trzeba wyjeżdżać natychmiast – mówił jeden z nich urywanym głosem – jadą za nami, są tuż, tuż.

Starszy z rycerzy chciał pomóc don Marcelowi wstać z łóżka, ale ten odmówił.

– Twoje siostry są w niebezpieczeństwie, Diego, czyż nie?

Chłopak przytaknął, pełen trwogi, nie odważywszy się powiedzieć, co się wydarzyło.

Kalatrawensi prowadzili przesłuchanie, ale i oni nie wiedzieli, co naprawdę się stało.

– Śpieszcie na odsiecz moim córkom... – poprosił oberżysta rycerzy. – Grozi im nieszczęście. Potrzebują was bardziej niż ja. Idźcie prędko, zanim będzie za późno.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Trudno było się im z tym nie zgodzić. Postawa don Marcela stawiała ich w niezręcznej sytuacji. Jako rycerze nie mogli porzucić bezbronnego człowieka. Musieli też jednak wyruszyć na ratunek kobietom.

Postanowili się rozdzielić, by uratować zarówno ojca, jak i córki. Wtem usłyszeli harmider dochodzący z parteru. Ludzie na dole z całą pewnością mówili po arabsku.

– Już tu są! – Jeden z kawalerów wyjrzał przez okno. Droga do stajni była wolna. – Powstrzymamy ich pierwsze natarcie, może nawet drugie, zależy, ilu ich jest, ale długo się bronić nie zdołamy.

– A ja, jak mogę pomóc? Powiedzcie... – wtrącił się Diego.

Rycerz zmierzył go surowym wzrokiem.

– Gdy nadejdą, wyskoczysz przez to okno – wskazał je palcem – potem pobiegiesz co sił w nogach do stajni i dosiądziesz konia. Popędzisz galopem i nie zatrzymasz się, dopóki nie będziesz daleko stąd. Jedź na północ.

– Tego nie zrobię! – odrzekł chłopak.

– Synu... – don Marcelo utkwiał w nim gniewne spojrzenie. – Jeden błąd już popełniłeś...! Nie dość ci...?

– Ależ ojcze, jakże mógłbym was zostawić? – Podbiegł do łoża.

– Nie usłuchałeś mnie, a teraz twoje siostry są w opałach... Bądź wreszcie posłuszny. Zrób, jak ci każe!

- Idą! – Kalatrawensi ustawili się po obu stronach drzwi.
- Teraz, uciekaj!

Ojciec i syn wymienili ostatnie spojrzenia, pełne miłości i smutku. Od tej chwili zaczęło się istne szaleństwo. Wtargnięcie trzech mężczyzn o ciemnej cerze, w turbanach i barwnych szatach, wśród donośnych okrzyków, wyrwało Diega z letargu. Chrześcijanie natarli z furią, zderzyły się szable. Ojciec lamentował. Chłopak stał przy oknie wciąż z mieszanymi uczuciami. Wreszcie skoczył. Upadł na ziemię, wstał i pobiegł co sił w nogach. Stajnia wydawała się dużo dalej niż zawsze. Jego klacz szarpała się niespokojnie, jakby chciała wyrwać się z więzów. By nie tracić czasu, dosiadł jej na oklep, bez siodła, i mocno uchwycił, zatapiając dłonie w jej grzywie.

– Sabba, zabierz mnie stąd – szepnęła do jej ucha. – Leć, nie zatrzymuj się, aż ci powiem.

Klacz wybiegła ze stajni i rzuciła się do szalonej ucieczki. W tyle zostało dwudziestu wojowników, węszących wokół zajazdu w poszukiwaniu nowych ofiar. Trzech z nich wskoczyło na konie i rozpoczęło pościg. Diego, leżąc niemal na szyi klaczy, przemawiał do niej czule. Błagał ją, by dała z siebie wszystko, by wykrzesać całą moc swej szlachetnej rasy. Teraz za wszelką cenę musieli być szybsi od swych prześladowców.

Minąwszy niewielki wzgórek, Diego napotkał ciało swej nieszczęsnej siostry, Belindy. Widział je z oddali i czuł całkowitą bezsilność. Wiedział, że nie może się zatrzymać. Oglądając się za siebie, dostrzegł żądzę krwi malującą się na twarzach wrogów, ich rozszalałe konie, ich nieczyste zamiary.

Przejechał o niecałą piędź od Belindy. Jej twarz wyrażała potworne, nieludzkie przerażenie. Miała odcięte ręce. Całe jej ciało unurzane było we krwi.

Patrzył na nią, wciąż galopując, i przypomniał sobie, co obiecał ojcu. Już zrozumiał, jakie ma zadanie. Postanowił wyruszyć na pomoc dwóm pozostałym siostrze. Posłuszna Sabba poczuła lekkie ukłucie kolanem w lewy bok i zmieniła kierunek jazdy.

Zrozumiał intencje swojego pana, koń popędził z jeszcze większą furią przed siebie. Spod kopyt klaczy leciały setki kamyków. Właściwie nie trzeba było nią kierować, sama wybierała najlepszą drogę. Unikała wybojów, opóźniających galop, i dążyła ku piaszczystym terenom, na których mogła rozwinąć pełną prędkość.

Osiągnąwszy pobliski pagórek, Diego obejrzał się. Sądził, że zyskał wreszcie sporą przewagę. Niestety, mylił się. Jeden z jego prześladowców, zapewne dysponujący lepszym wierzchowcem niż dwaj pozostali, niebezpiecznie się do niego zbliżał.

Diego znów zaczął mówić do klaczy, prosząc ją, by biegła jeszcze szybciej, by dała z siebie, ile tylko może. A ona go posłuchała, nie wiadomo skąd czerpiąc dodatkowe siły do tego morderczego biegu. Galopowała bez wytchnienia, wciąż na południe, nie okazując zmęczenia, nie licząc godzin ani mil.

Kiedy wreszcie upewnili się, że ich prześladowcy zostali daleko w tyle, wspięli się na najwyższe wzniesienie w okolicy. Stamtąd, w najbliższym punkcie, do którego dochodził jego wzrok, Diego dostrzegł znajomy powóz. Nie było w nim jednak jego sióstr.

Spora grupa czarnoskórych wojowników siedziała wokół na dywanikach, oglądając najcenniejsze przedmioty. Wyglądało to na zaimprovizowany podział łupów.

W całym obozowisku był tylko jeden niewielki namiot, okrągły, jaszkrawoczerwony.

Diego zsiadł z Sabby i poprosił ją, żeby była cicho. Sam skrył się za wielkim kamieniem, żeby zbadać, którzyby mógłby się zakraść do obozu.

Nieopodal ogniska zauważył grupę kobiet. Były skrępowane, powiązane ze sobą. Jednak żadna z nich nie była jego siostrą.

Zapadał zmierzch. Z namiotu zaczęli wychodzić mężczyźni o białych twarzach, strojni w wojskowe mundury, z herbami na piersiach, turbany i skórzane hełmy. Jeden z nich ciągnął za włosy Blance, która wściekle wierzgała, nie przestając krzyczeć. Za nią, trzymana przez innego, wyższego, pojawiła się jego najukochańsza Estela. Miała zmiętą spódnicę, podarty i rozpięty kaftan. Ten łotr ciągnął ją za nadgarstek, jakby była zwierzyną łowną.

Diego oddychał niespokojnie, w przerażeniu wyobrażając sobie, co też mogło spotkać jego siostry. Gdy patrzył na człowieka, który trzymał Estelę, rzucił mu się w oczy pewien charakterystyczny szczegół. Jego twarz znaczyła szrama, ciągnąca się od ucha do ucha. Poza tym uwagę jego zwróciło jeszcze jedno: ubiór mężczyzny i w ogóle cały wygląd świadczyły o tym, że nie jest to Saracen, lecz rycerz chrześcijański.

Wychylił się odrobinę, by lepiej mu się przyjrzeć. W tym momencie

mężczyzna odwrócił głowę, spojrział w jego stronę i ukazał swą twarz w całej okazałości. Diego dokładnie ją zapamiętał. Widział, jak Estela szarpie się, a ten policzkuje ją, rozzłoszczony. W chwilę potem ów nikczemnik skierował wzrok dokładnie w to miejsce, gdzie ukrywał się Diego. Czy go dostrzegł? Chyba nie.

Posłyszał dobiegający tupot końskich kopyt. Wolał nie sprawdzać, czy to jego wcześniejsi prześladowcy. Widząc, że sam nic nie działo, pomyślał o kalatrawensach. Tylko oni mogli mu pomóc.

Wsiadł na Sabbę i postanowił wracać do oberży. Na jego polecenie klacz pomknęła niczym pustynna burza. Wiatr wysysał z niej pot, a ziemia niemal pchała ją naprzód. Podczas tej szalonej ucieczki zwierzę pokazało cały wigor właściwy swej niezwyklej rasie. Oddaliwszy się nieco od obozowiska, klacz zaczęła się uspokajać, zwalniając stopniowo bieg do lekkiego kłusa. Gdy byli już blisko oberży, Diego podkraść się, uważnie badając teren, by mieć całkowitą pewność, że okolica już opustoszała.

Gdy odnalazł porzucone ciało Belindy, okazało się, że nie była sama. Kilka sępów krążyło wokół, rozdziobując jej ciało i odzienie na strzępy. Pokierował Sabbą, by je odpędziła. Zbierało mu się na wymioty. Musiał nacierać parę razy, by odgonić ptaki. W końcu zsiadł z konia i przytulił ciało siostry. Trzymał ją w ramionach mówiąc, że ją kocha, wykrzykując to w niebo, by cały świat wiedział o jego nieszczęściu. Nie mógł jednak na nią patrzeć. Te zwłoki nie były już jego siostrą.

Podniósł zbezczeszczone ciało i ułożył je na grzbiecie Sabby. Nie wiedząc, co go jeszcze czeka, ruszył do zajazdu. Uwiązał klacz do drzewa i wszedł do środka. Przeszedł przez jadalnię. Panował w niej chaos i złowroga cisza. Zdawało się, że nie ma żywego ducha. Wszedł na piętro. W sypialni leżały zwłoki obydwu kalatrawensów. Łoże było puste, pościel zakrwawiona i rozrzucona po podłodze. Leżały tam jeszcze trzy inne ciała. Diego szukał wśród nich zwłok ojca, ale nigdzie ich nie było. Zachodził w głowę, co też mogło się tu stać.

Po schodach zszedł na dół. Szukał jakiegoś tropu, ale w całym domu nie mógł nic znaleźć. Wyszedł na zewnątrz. Błądząc wokół stajni, raptem się zatrzymał.

Ujrzał ojca. Był w oplakanym stanie. Podbiegł do niego z biciem serca. Musieli wyrzucić go przez okno, bo głowę miał strzaskaną w nieprawdopodobny sposób.

Przygryzł wargi i gorzko zapłakał. Poczul w sobie nieznaną dotąd nienawiść. Leżał skulony u boku nieboszczyka, nie wiedząc sam jak długo. Jakby czas się zatrzymał. Dławiący ból i strach przyćmiły jego umysł. Czul, że jest zaplątany w koszmar, z którego nie ma wyjścia.

Chłód zmroku wyrwał go z otępienia. Zaczul się gorączkowo zastanawiać, co począc z ciałami zmarłych. Złapał ojca za kostki i pociągnął, włócząc po ziemi, nie mogąc na niego patrzeć, sam przerażony tym, co czyni.

Odnalazł Sabbę. Zdenerwowana klacz podskoczyła na ich widok i zwłoki Belindy spadły na ziemię. Diego, ciężko dysząc, załadował razem obydwie ciała. Cały czas gorzko płakał. Rozglądał się wokół, zastanawiając się, gdzie je pochowa. Przypomniul sobie o rycerzach. Pomyślał, że nie zdoła wykopać czterech grobów, postanowił więc złożyć ich wszystkich razem. Gdy dostrzegł staw, przyszedł mu do głowy inny pomysł.

Przy pomocy Sabby przeniósł wszystkich nieboszczyków na brzeg. Uwiązał do nich ciężkie kamienie. Najpierw zatopił ciała walecznych mężów, po czym odmówił za nich modlitwę.

Gdy widziul, jak w mętnej toni znikają twarze jego ojca i siostry Belindy, poczul, że serce pękło mu na pół. Zaledwie parę godzin temu wiódł szczęśliwe, normalne życie u boku swej rodziny, najukochańszych na świecie istot. A teraz jego ojciec i siostra spoczywali na dnie stawu, a Blanca i Estela padły ofiarą okrutnego losu.

Wszystko, czym był, jego rodzina, jego korzenie, wszystko to zostało obrócone wniwecz z woli barbarzyńców, których nienawidził każdą cząstką swej duszy.

W jego głowie pobrzmiwało teraz ostatnie oskarżenie, rzucone mu przez ojca. To jego nieposłuszeństwo doprowadziło do straszliwej śmierci starszej siostry i gwałtów dokonanych na dwóch pozostałych.

– Co ja narobiłem... – powtarzał wciąż i gorzko szlochał. Wybacz mi, Boże, wybaczcie wszyscy...

Targany uczuciami, które wydawały się nie do zniesienia, pojechał w kierunku Toledo, by tam szukać pomocy dla siebie i swoich sióstr. Zatrzymał konia i odwrócił się. Była już noc.

Patrzył w bliżej nieokreślony punkt na południu.

Został sam. W wieku czternastu lat, bez rodziny i grosza przy duszy, wydany był na pastwę niepewnego losu. Całą swą przeszłość utracił raz na zawsze.

W tym miejscu, owiewanym zachodnim wiatrem, pośród wonnych zarośli janowca, biorąc na jedynego świadka swoją klacz Sabbę, przysięgł na cały głos pomścić śmierć swoich bliskich.

Któregoś dnia wyrówna rachunki.

IV

Toledo wcale nie chciało gości.

Na wieść o masowym napływie chłopów z południa, naczelnik magistratu rozkazał zamknąć bramy.

Niekończący się ciąg dwukołowych powozów z budami zakorkował mosty na rzece Tag i wszystkie pozostałe drogi do miasta.

Władze starały się przekonać ludność, aby rozłożyła sobie obozowiska dalej na północ, w Huerta del Rey, na rozległym terenie u zakola rzeki, wydzielonym przez samego króla. Nikt nie chciał nawet o tym słyszeć. Rozszalały tłum odpowiedział kamieniami i kijami. Wznoszono złowieszczą w górę widły i grabie.

Rozległ się wściekły ryk z tysiąca gardel ludzi oburzonych takim traktowaniem. Odezwały się głosy chłopów i wasali, mężczyzn i kobiet, wyniszczonych wojną i wciąż przerażonych, czujących na plecach oddech wroga.

Nigdy dotąd miasto Toledo nie widziało naraz tylu nieszczęśników, nie słyszało tak donośnego lamentu i skargi.

Diego przybył o świcie z karawaną innych uchodźców. Utknął przed wjazdem na zakorkowany most Alcántara. Za sobą czuł napór wzbierającej fali ludzi i zwierząt, powozów i sprzętów.

W drodze dowiedział się, że wojska kalifa opanowały już cały teren od Malagón do Guadiany. Ziemia, na której stał jego zajazd, nie należała już do Królestwa Kastylii. Powiadano, że jest tam niebezpiecznie – do tego stopnia, iż zapuszczanie się w owe strony z odsieczą byłoby samobójstwem. Nie znajdzie się nikogo, kto zechciałby wyruszyć na

poszukiwanie jego sióstr, a jeśliby nawet się taki śmiałek znalazł, niechybnie zginie.

Świeże wspomnienia bolesnych wydarzeń i zaraźliwy lęk tłumu wywołały u Diega złe przeczucia. Udzieliły się one i Sabbie. Zaczęła niespokojnie potrząsać łbem, szukając przejścia w tłumie. Diego zachęcał do tego klacz i krzyczał na stojących koło niego ludzi, by się rozstąpili. Niektórzy w obawie, że ich stratuje, odsuwali się, spoglądając gniewnie.

Zaczęła podnosić się coraz większa wrzawa, aż w końcu przeszła w ogłuszający huk. Tysiące rozwścieczonych kobiet zaczęło walić patelniami i innymi przedmiotami w kamienny most. Przeszywające dudnienie przeniosło się na mury miejskie i dotarło do uszu broniących wejścia strażników.

Sabba, wystraszona, zarżała dziko i uniosła w górę przednie kopyta. W końcu utorowała sobie drogę – tłum się rozstąpił. Koń i jeździec zdołali umknąć w samą porę. Nie dosięgła ich przerażająca fala paniki, która pojawiła się chwilę później.

Ktoś krzyknął, że nadchodzą Saraceni. Wieść jak huragan obiegła tłum. Zapanował taki strach, że ludzie za wszelką cenę zapragnęli dopchać się do murów. Jedni skakali z mostu do rzeki, drudzy wspinali się po głowach pozostałych, by w końcu paść na ziemię, zrzuć, a następnie zdeptani. Konie wierzgały i kopały wszystkich wkoło. Kobiety z dziećmi na rękach przewracały się i ginęły w rozhisteryzowanym tłumie. Dosłownie rozgnieciono ludzi stojących najbliżej bramy, a ta i tak się nie otworzyła.

Na swoje szczęście, Diego zdołał wspiąć się na pagórek z widokiem na okazałe skaliste wzgórze, na którym wzniesiono miasto Toledo. Trzy z czterech jego zboczy schodziły ku urwistemu korytu rzeki. Z owego miejsca widział doskonale przerażony tłum. Masy ludzkie przelewały się bezwładnie wśród przeraźliwych krzyków i jęków. Panika i chaos były wszechobecne.

Kiedy pogłoska okazała się fałszywa, rozległ się żaloszny lament. Powozy wypełniały się trupami. Zapanowała dziwnie ciężka atmosfera. Uchodźcy zaczęli przenosić się stopniowo ku Huerta del Rey.

Diego, z umęczoną duszą, stał spokojnie naprzeciwko miasta. Wspomnienia z pierwszej podróży do Toledo pozwoliły mu na chwilę zapomnieć o ostatnich przeżyciach.

Było to dwa lata wcześniej. Wybrał się tam z ojcem u początków jego ciężkiej choroby. Objawiła się bardzo wysokimi, choć nieregularnymi, gorączkami, podczas których dochodziło nawet do utraty świadomości. Potem pojawiły się skurcze, a następnie bezwład rąk. Wioskowy znachor uznał, że to zbyt wiele jak na jego możliwości, i poradził siostrze, aby zawiozły ojca do słynnego cyrulika z Toledo, Żyda o wielkiej renomie i złotych rękach.

Teraz, z oddali patrząc na zarys miasta, Diego bez trudu mógł wskazać Aljamę, dzielnicę żydowską otoczoną murami na zachodnim krańcu miasta. Przypomniawszy sobie kręte uliczki, którymi błądzili, nim odnaleźli dom Josefa Alfakhara. Był to chudy i zasuszony starzec o uczonej mowie, łagodnym obejściu i wyostrozonym spojrzeniu. Diego wciąż miał w pamięci silny, przenikający wszystko zapach i widok ogromnej liczby słoików z ziołami i kolorowymi proszkami, piętrzących się na ścianach.

Kiedy po długich i wnikliwych oględzinach cyrulik opisał w końcu chorobę i jej przyczyny, Diego nic nie rozumiał. Tak samo jak wtedy, gdy po powrocie do obojczy ojciec przypisał wszystko nadmiernemu nagromadzeniu się czarnej żółci.

Przypominał sobie też wrażenie, jakie zrobiło na nim to ruchliwe i gwarne miasto. Do tamtej pory nie widział nic większego od wioski Malagón. Tu zaś zobaczył olbrzymie kościoły, pełną bajecznych zapachów dzielnicę, gdzie wciąż mieszkali tysiące muzułmanów zwanych mudejarami*. Oczarowała go malowniczość i koloryt bazarów. Zdumiał się na widok domów wyższych niż jedno piętro, cudnych pałaców strzeżonych przez uzbrojonych wartowników i nade wszystko ulic zastawionych najrozmaitszymi kramami i straganami.

* Mudejarowie – muzułmanie żyjący pod panowaniem chrześcijan.

Rznięcie konia przebudziło go niczym alarm. Szła ku niemu grupa wyrostków. Było ich około dziesięciu. Diego wyczuł coś podejrzanego i stał się czujny.

– Masz bardzo cenną klacz...

Ten, który się odezwał, miał szpetną bliznę na twarzy, a na części głowy nie rosły mu włosy.

– Czego ode mnie chcecie?

Nie odpowiedzieli. Czterech zabezpieczało kompanów, a reszta

podeszła z przodu z zamiarem zrabowania mu zwierzęcia. Diego, pewien zwycięstwa, wypuścił klacz prosto na nich. Natarła z impetem, uderzając dwóch kopytami. Jednemu udało się jednak zrobić unik i chwycił ją za grzywę, a drugi złapał za ogon.

– Mamy go... – wykrzyknęli jednocześnie.

Pozostali rzucili się na konia i usiłovali go unieruchomić, ale zwierzę na to nie pozwoliło. Uderzało zadem stojących po bokach i bezlitośnie wierzgało na tych z tyłu. Kopało ich w uda i w kolana, aż wreszcie uwolniło się od wszystkich. Gdy tylko niebezpieczeństwo zostało chwilowo zażegnane, pomknęli w dół zbocza. Zniknęli w bujnym lesie i tyle ich widzieli.

Wkrótce trafili na gęsto usianą świeżymi ziołami polanę. Sabba przystąpiła do uczty.

Na ten widok Diego popieścił ją czule. Zaraz też uświadomił sobie, że nic nie jadł od dwóch dni, jeśli nie liczyć połowy tuzina kwaśnych śliwek po drodze.

Nie miał pieniędzy ani nic, co mógłby sprzedać. Uciekał w takim pośpiechu, że nie wziął nawet siodła ani strzemion. Nie posiadał niczego, co nadawałoby się do wymiany na żywność. Jedyne uzdę.

Gdy Sabba napała się już do syta, ruszyli na wschód, gdzie stało kilka domów. Diego zamierzał zdobyć tam coś do jedzenia. Wokół domów widział ogródki warzywne i parę drzew owocowych.

Nim dojechał do pierwszej zagrody, wyszło mu naprzeciw dwóch mężczyzn o groźnym wyglądzie.

– Czego tu chcesz?! – krzyknął grubszy nich. Diego widział, że trzyma sękaty kij, ale mimo to podszedł bliżej.

– Odpowiedz! – zapiszczał drugi, bezzębny sześćdziesięciolatek. – Gadaj, po coś tu przyszedł, bo pożałujesz.

– Musiałem uciekać przed wojną i ledwo co dotarłem do Toledo.

– I pewnie jesteś głodny – przerwał mu pierwszy – i przyszedłeś tu zapytać, czy damy ci coś do jedzenia, nawet w zamian za pracę. Tak?

– Tak. Macie dobre oko.

– Więc wracaj, skądś przyszedł, pókiś cały.

– Ale czemu, co ja wam złego zrobiłem? – Diego cofał konia, obawiając się zamiarów mężczyzn.

– Ty nic nie zrobiłeś i nic ci nie damy... Inni przyszedli po to samo i ukradli nam wszystkie owoce i jarzyny.

Diego zawrócił klacz i ścisnął ją kolanami. Oddalili się pośpieszным kłusem.

– I zatłuczemy każdego, kto postawi nogę na naszej ziemi...! Powiedz to wszystkim!

Zniechęcony, mijał wkrótce potem różne grupy uchodźców, ale nikt nie zamierzał podzielić się z nim jedzeniem. Kobiety spoglądały tylko nieufnie, a mężczyźni odganiaли go, czasem rzucając za nim co najwyżej obelgą lub kamieniem.

Po paru milach tułaczki w okolicach Toledo, gdy zaczęło się ściemniać, Diego pojął wreszcie, że nikt mu nie pomoże. Chcieli go pobić, obrabować. Czuł się potraktowany gorzej niż bezpański pies.

Tę pierwszą noc spędził bezsennie. Pilnował Sabby, żeby mu jej nie ukradli.

Następnego dnia też nic nie zjadł aż do wieczora. Ilekroć mijał obozowiska, potajemnie przeszukiwał odpadki w ich pobliżu. Przy jednym znalazł kurze kości, przy innym trafiło mu się całkiem sporo obierzyn od jabłek. Przeżuwał je powoli, delektując się nimi niczym wybornym przysmakiem.

Coraz bardziej zdesperowany, postanowił spróbować szczęścia w innym gospodarstwie. Na wzgórzu stał samotny dom. Z zewnątrz wyglądał na opuszczony, ale ze środka wydobywał się smaczkowy zapach.

Jedyna rzecz, którą mógłby sprzedać, to uzda Sabby. Gotów był to zrobić w zamian za kolację, jeśli nie chcieliby go do pracy.

– Zobaczysz, teraz nasz los musi się odmienić...

Klacz odpowiedziała donośnym rzeniem i potrząsnęła łbem, jakby go rozumiała.

Samotny dom miał niewielki ogród z jednej strony, z drugiej zaś zaniedbaną stajnię. Kiedy Diego stanął przed drzwiami, wydało mu się, że rozleczą się na wióry, jeśli za mocno w nie zapuka. Były doszczętnie wypaczone i znakomicie harmonizowały z resztą obejścia.

Do jego nozdrzy dotarł cudowny zapach obiadu i poczuł, jak kiszki grają mu marsza.

Zapukał raz i drugi, ale nikt nie otworzył. W końcu, za trzecim razem, w drzwiach pojawiła się kobieta. Była brudna, odpychająca, brzydka i miała podkrążone oczy.

– Nie daję jałmużny!

Już miała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale z jakiegoś powodu zmieniła zdanie. Zaczęła mierzyć go wzrokiem bezczelnie od stóp do głów, jakby kogoś jej przypominał. Patrzyła dokładnie na jego twarz, szyję, uszy, jego sylwetkę, skórę... Wydawało się przez chwilę, że lituje się nad nim, widząc, jaki jest chudy, ale zaraz, nie wiedzieć czemu, z powrotem odesłała go do licha.

– Zaczekajcie, kobieto! Zapłacę, jeśli pomożecie...

Zadziałało. Nagle oczy jej rozbłyły, a na twarzy pojawiła się wymuszona uprzejmość.

– Wejdz, młodzieńcze! – Otworzyła szeroko drzwi.

Diego zdjął Sabbie uzdę. Wchodząc, poczuł mdłości. W środku unosiła się woń uryny i kotów. Naliczył ich około dwudziestu. Niektóre obserwowały go, nie zdradzając jednak zbytniego zainteresowania.

Kobieta podeszła do paleniska i zamieszła w kociołku. Diego nie zdołał dojrzeć, co w nim było.

– Pani, nie będę owijał w bawełnę. Jestem głodny i czuję, jak pachnie wasza potrawka...

Wydobył zza koszuliny uzdę i pokazał jej.

– Dam wam ten wyrób z pierwszorzędnej skóry. Ta uzda jest świetnie wytłoczona i prawie nie była używana. Warta jest przynajmniej dziesięć denarów.

Kobiecie zrzedła mina, bo myślała, że zobaczy monety.

Wzięła przedmiot do ręki, oceniła jego wartość i oświadczyła niechętnie:

– Niech będzie.

Wytarła spódnicą glinianą miskę i naląła stawy z kociołka. Postawiła na stole, koło paleniska. Diego przysunął sobie taboret, usiadł i chciwie zabrał się do jedzenia.

– Wy nie zjecie?

– Później, jak mój syn wróci.

W gęstym rosole pływały pokaźne kawały mięsa i sporo warzyw. Ustąpił pierwotny wstręt. Teraz był już zadowolony. Uznał, że podjął właściwą decyzję.

– To bardzo smaczne – umoczył kawał ciemnego chleba i wsunął go z lubością. – Gdzie pracuje wasz syn?

– Za dużo gadasz! Nigdy nie lubiłam ludzi, co tylko wypytują i

wypytyują. Tego to ja nie lubię, o nie... – wymachiwała rękami, żywo gestykulując.

– Wybaczcie. Nie zamierzałem wam dokuczyć.

Diego uznał, że jest nieco szalona, i zajął się pałaszowaniem smakołyku.

– Mój syn jest nosiwodą – wyjaśniła.

Diego, bojąc się jej reakcji, postanowił nie dopytywać się, na czym praca ta polega. Odgadła jego myśli i wytłumaczyła:

– Chodzi z osiołkiem i wielkimi dzbanami. Czerpie wodę z rzeki i sprzedaje ją w mieście. – Wzięła brudną ścierkę, jakby była to jedwabna chusteczka, i przyłożyła ją do twarzy, udając wytworną damę. – One są takie delikatne, że nie pójną przecież do rzeki po wodę.

– To dobrze, przynajmniej wasz syn ma pracę...

Nagle Diego wpadł na pomysł.

– A gdzie można kupić takie wielkie dzbany? – Zadanie wydawało się proste, a Sabba była przecież dużo silniejsza od osła.

Kobieta zajrzała mu przez ramię, aż poczuł jej oddech na policzku. Chciała sprawdzić, ile zupy w misce mu jeszcze zostało. Obecność chłopca wyraźnie ją drażniła. Diego był jednak tak głodny, że nic mu nie przeszkadzało, znów skupił się więc na jedzeniu. Wyczyścił miskę chlebem do ostatniej kropelki.

– Na sprzedaż wody trzeba mieć specjalne pozwolenie, a takich od lat już nie wydają. Nie można i już...! – Z wściekłością splunęła w ogień.

Diego zrozumiał przesłanie i postanowił opuścić to miejsce. Pokazał jej jeszcze pustą miskę, żeby sprawdzić, czy napełni mu ją znowu.

– Dajesz mi jakąś starą skórkę i jeszcze dopraszasz się dolewki. – Wybuchła wymuszonym śmiechem. – Idź już... nim rozgniewasz mnie na dobre.

Zgarnęła ze stołu okruchy i pustą miskę i z poczuciem wyższości patrzyła na niego wyczekująco. Diego wstał i wyszedł. Odwiązał Sabbę, chowając dyskretnie sznur, by zrobić z niego nową uzdę.

Gdy miał już odjeżdżać, czując jeszcze smak jedzenia, zwrócił się do kobiety.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. – Spojrzała niechętnie. – Czy ten rosół był z królika?

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie, skąd... Z kota. – Zrobiła kocie oczy. – Ze świeżego, pysznego domowego kotka. – Zachichotała dziko.

Diego poczuł silne mdłości. Ścisnął kolanami żebra Sabby i czym prędzej uciekał z tego piekielka. Poczul się tak podle, że nie ujechawszy ćwierć mili, musiał zsiadać z konia, żeby zwymiotować. Potem jeszcze dwa razy.

Przez następne godziny włóczył się w okolicach miasta, nie wiedząc, dokąd iść. Kiszki skręcały mu się w konwulsjach, poza tym czuł wciąż nasilający się ból w dole brzucha. Momentami ledwie oddychał.

Gdy zapadł zmrok, udał się na brzeg rzeki w Huerta del Rey. Było tam wielu uchodźców.

Wybrał zadrzewione zakole, z dala od łąk, gdzie setki ludzi dzielących swą niedolę rozpałało ogień.

Tam, u stóp starego wiązu, położył się i napił świeżej wody. Sabba wynalazła połać trawy i pasła się spokojnie.

O północy Diegowi zrobiło się gorąco i poczuł dreszcze. Złękniony i obolały ułożył się pod drzewem, a jego myśli umykały ku najmiłszym chwilom, jakie dotąd przeżył.

Kolejne godziny upłynęły mu na drzemce i konwulsjach. Raz po raz budził się, a gdy otwierał oczy, czuł, że są spuchnięte i gorące. W końcu zapadł w głęboki sen.

– Co za fetor! Obrzydlistwo!

Obudziły go krzyki dzieci. Otworzył oczy i zobaczył twarz kobiety i dwójkę hałaśliwych maluchów.

– Kim jesteście? Co się ze mną działo? – Kwaśna woń uderzyła go w nozdrza. Dotknął kaftana. Był lepki i mokry.

– Tej nocy bez przerwy wymiotowałeś. Masz szczęście, że moje dzieci cię znalazły. Byłeś bardzo chory... – Kobieta podeszła i podała mu napar z szaławii. – Wypij to, miną ci mdłości. Nie jest to smaczne, ale dobrze ci zrobi.

Napój był potwornie gorzki, ale wmusił go w siebie i wkrótce poczuł się lepiej. Rozejrzał się za Sabbą. Nie było jej. Zagwizdał dwa razy i nic. Nie usłyszał jej kroków ani rżenia.

– Widział ktoś mojego konia? – dopadły go czarne myśli.

Kobieta pokręciła głową przecząco.

Jedno z dzieci coś sobie przypomniało.

– Wieczorem widzieliśmy, jak dwóch mężczyzn siłowało się z jakimś koniem. Ciągnęli go z trudem. Kasztanowaty, w białe ciapki na głowie i na piersi... To było niedługo potem, jak was znaleźliśmy.

Diego zadrżał. To była Sabba. Właśnie mu ją ukradli.

Kręciło mu się w głowie, a usta go piekły. Wstał i obrócił się na pięcie.

– Wybaczenie, muszę zostać sam.

Kobieta zabrała dzieci i popatrzyła ze smutkiem, jak się oddala. Chwiał się niepewnie, sprawiał wrażenie rannego i słabego. Zrobiło jej się go strasznie żal.

Parę godzin później słyszało go wielu koczowników na Huerta del Rey. Rozdzierający krzyk odbił się echem nad rzeką i w zagajnikach.

– Sabba...!

V

Wszyscy chcieli rudowłose.

Blanca i Estela skuliły się w jednym z pięciu namiotów, które ich ciemięzcy wzniesli dla ochrony przed szaloną burzą. Nadeszła już noc i ciągle lało. Były z tymi mężczyznami już od paru dni i wciąż nie wiedziały, co je czeka. Najmłodsza, Estela, była pewna, że zgwałcono je tylko po to, żeby zastraszyć chrześcijan, i że prędzej czy później wypuszczą je na wolność. Blanca, widząc, co zrobili z Belinda i w jaki sposób traktowali inne kobiety, które były z nimi dłużej, nie zamierzała robić sobie żadnych złudzeń. Obserwowała tylko i czekała w milczeniu.

W pewnej chwili siostry usłyszały koło namiotu głosy kilku ludzi, którzy zdawali się o czymś dyskutować.

– Blanca, co oni mówią? Nie widzę ich, nie rozumiem... – Estela zaczęła się trząść i wtuliła się w ramiona siostry.

– Musisz być silna, Estelo... Nie myśl o nich, przypomnij sobie zajad, pomyśl o czymś, co cię wtedy cieszyło, i przeżyj to teraz na nowo.

Blanca usiłowała pocieszyć siostrę, uczynić sytuację, w której się znalazły, bardziej znośną, ale w miarę jak starała się okazać spokój, na jej twarzy coraz wyraźniej malował się grymas lęku.

– Co z nami będzie, Blanco? Co z nami będzie...?

Blanca ujęła ją pieśczośliwie za podbródek i ujrzała w jej oczach głęboką troskę.

– Jestem z tobą, obronię cię...

Po chwili jeden z wojowników uchylił brezent i wszedł do środka, zataczając się. Za nim pojawił się drugi, pacnął go w kark otwartą dłonią i wyrwał mu z rąk talię kart. Zrobił półobrót i pokazał je z uśmiechem

przed wyjściem. Blanca z przerażeniem odgadła, że odbyło się losowanie, w którym one były stawką, a ten pierwszy to zwycięzca. Szybko stanęła przed Estelą, zakrywając ją swoim ciałem.

Mężczyzna zbliżył się, szepcząc coś w swoim języku. Blanca nie rozumiała jego mowy i to napawało ją jeszcze większą obawą.

Żołnierz przysunął się do jej twarzy. Patrzyła na niego chłodno. Chciała przyciągnąć swoim wzrokiem jego oczy, by ani przez moment nie spojrzął na ukrytą za jej plecami siostrę. Czuła jego odrażający oddech, słyszała niezrozumiałe szepty... poczuła, jak jego dłoń rozpina jej kaftan i łapie za pierś. Blanca wzdrygnęła się, ale nie powiedziała nic, nie chciała się nawet poruszyć, żeby Estela cokolwiek zauważyła. Uniosła głowę, wyprostowała się i wyprężyła piersi, żeby to ją wybrał.

Tak zrobił. Wybrał ją. Dziewczyna poczuła potworne obrzydzenie, kiedy całował jej usta. Cuchnął gorzej niż zwierzę.

Wojownik zdjął lepiaący się od potu kubrak i podciągnął kaftan Blanki. Zabierał się do zaspokojenia swoich lubieżnych żądz. Wtem, na swoje nieszczęście, Estela czknęła. To wystarczyło, by przyciągnąć jego uwagę. Brutalnie odepchnął Blancę i zobaczył skuloną Estelę, kryjącą twarz między kolanami.

Blanca rzuciła się na niego nagle w dzikim szale. Zaczęła gryźć go w plecy i drapać gdzie popadnie. Mężczyzna bronił się. W końcu chwycił ją za szyję. Ścisnął ją, nieomal dusząc, wciąż coś do niej krzycząc. Blanca przestała wierzcąc, gdy poczuła, że całkiem brakuje jej powietrza i zaraz umrze. Nieruchoma, patrzyła na niego błagalnie, dając do zrozumienia, że ma dosyć i się poddaje. Puścił ją w końcu, dyśząc ciężko, cały czerwony ze złości.

Dziewczyna napełniła powietrzem spragnione płuca i w milczeniu pozwoliła się wziąć. Ogarnięty namiętnością mężczyzna szybko ją rozebrał i brutalnie posiadł.

Estela przestraszona chlipała w kącie. Szeptem zaczęła modlić się do Boga o pomoc. Trzęsa się z trwogi. Przypomniała sobie, jak przerażającej zbrodni dokonano na Belindzie. Zapłakała nad ojcem, wyobrażając sobie, że spotkało go to samo. Pomyślała też o Diegu. Co z nim?

– Precz z namiotu! – rozległ się donośny głos po hiszpańsku, a potem po arabsku. Należał do człowieka z blizną.

Wojownik zostawił Blancę i wybiegł szybko z namiotu. Nie trzeba mu było powtarzać.

Blanca podbiegła do siostry i okryła się czymś, co miała pod ręką. Przyglądały się mężczyźnie. Był bardzo wysoki i silny.

– Nazywam się don Pedro de Mora i jak wy jestem Kastyljczykiem.

– Błagam więc was, panie, nie pozwólcie na to już więcej... – odezwała się do niego Blanca, wierząc, że mógłby stanąć po ich stronie.

– Postaram się o to... nie martwcie się.

Człowiek ten, o starannie wypielęgnowanej brodzie i zimnym spojrzeniu, zamilkł i obszedł je wokół, dokładnie się im przyglądając. Blanca szorowała zapamiętałe twarz i skórę, pragnąc pozbyć się zapachu i w ogóle wszystkiego, co mogłoby należeć do tamtego łajdaka. Zbliżywszy się do Esteli, don Pedro wziął do ręki kosmyk jej włosów i zbadał ich miękkość. Powąchał je.

Subtelnie ujął ją za podbródek i spojrzał jej głęboko w oczy.

Blanca, obawiając się jego intencji, stanęła przed nim naga, by przyciągnąć go do siebie.

– Ma dopiero trzynaście lat...

Don Pedro nie zareagował. Wyciągnął rękę ku Esteli i w jej własnym języku rzekł dystygowanym tonem:

– Proszę ze mną, panienczko.

VI

Pierwszy tydzień był dla Diega bardzo ciężki.

Zrozpaczony wałęsał się w okolicach Toledo i wypytywał wszystkich o Sabbę. Tłumaczył, że bez niej nie może wyruszyć na poszukiwanie swoich sióstr. Miejscowi spoglądali na niego ze współczuciem. Ziemie, o których mówił, przeszły we władanie muzułmanów i sam pomysł zapuszczania się w tamte strony był przerażający. Diego za nic nie mógł pogodzić się z tym, co się stało. Obsesyjnie poszukiwał swojej klaczy.

Przyglądał się wszystkim koniom, które mijał. Biegł za każdą brązową klaczą i szukał na niej białych plamek.

Żył w skrajnej nędzy, uznał, że jedzenie nie należy jeszcze do jego najpilniejszych potrzeb. Przede wszystkim musiał znaleźć Sabbę.

Sypiał w kamiennej grocie pod murami miasta – niezbyt głębokiej i mało wygodnej, ale przynajmniej było tam sucho i mógł popłakać sobie w spokoju. Odkrył ją któregoś ranka, gdy uganiał się za myszą polną. Z braku innych specjałów jej mięso nie wydało mu się wtedy niesmaczne, chociaż było nieco twarde.

W owych dniach władze zorganizowały transport mas uchodźców, dobijających się do bram miasta, na północ Kastylii. Udało się, wabiąc obietnicą kawałka ziemi, garstki bydła i skrawka wolności, skłonić ludzi gotowych do rozpoczęcia nowego życia, by zasiedlali ziemie na południe od rzeki Duero. Gdy okolica w końcu nieco się wyludniła, znów otwarto bramy Toledo i życie miasta potoczyło się zwykłym torem.

Diego spędzał całe dnie, przesiadując w bramie Alcántara, najbardziej ruchliwym przejściu, bacznie obserwując wszystkie wchodzące i wychodzące zwierzęta. Był zdziwiony, ilu rozmaitych ludzi codziennie

tamtędy przechodzi. Mnisi, jedni w białych, inni w czarnych habitach, Żydzi w swych szpiczastych kapeluszach, szlachta i rycerze w towarzystwie paziów i pięknych dam, kupcy przybywający ze wszystkich królestw chrześcijańskich, Frankowie, Germanowie i Normanowie. Nigdy nie sądził, że można mówić tyloma językami!

Kamienny trakt dudnił pod kołami ogromnych wozów, ciągniętych czasami nawet przez sześć wołów. Przewoziły wielkie bloki granitu albo długie kłocę na belki do ścian i sufitów. Następne wiozły świnię, kaczki, barany. W jeszcze innych była wełna i jaskrawe, barwne tkaniny.

Pewnego ranka, prawie o świcie, zobaczył starego pasterza z setką owiec. Z pomocą kija i dwóch psów pędził owce do bramy, której Diego z taką uwagą pilnował. Owce zajmowały całą szerokość mostu, mężczyzna szedł za nimi. Gdy doszły do bramy, nagle się zatrzymały i nie chciały postąpić ani kroku dalej.

Mężczyzna krzyknął, rozszoszczony, i poszczuł je psami, które zaczęły ujadać i podgryzać kopytka owiec. Ale te pchały się tylko jedna na drugą i żadna nie chciała zrobić pierwszego kroku.

Przekrzykując beczące stado, Diego zawołał:

– Pomóc wam?!

– Złap jedną za kopytko i przeciągnij przez wrota. Reszta pójdzie za nią – odrzekł.

Diego zdołał schwycić owcę. Przewyciężył jej opór i siłą przepchnął przez bramę. Jej towarzyszki ze stada patrzyły ze strachem, ale zabeczały radośnie, gdy owca wyrwała się chłopakowi i wróciła do nich, bardzo zadowolona.

Nie dał za wygraną. Postanowił schwytać inną. Zwierzęta zaczęły kłębić się niespokojnie, wpadając na niego i popychając, żeby utrudnić mu zadanie. Z rozszalałego, beczącego stada wyciągnął największą i powiódł w to samo miejsce. Trzymał ją mocno i nie puszczał. Pozostałe patrzyły z zaciekawieniem, co też jej robi. Kilka postanowiło dołączyć, a reszta poszła ich śladem. Fala wełny o mało nie powaliła go na ziemię. Uśmiechnął się szczęśliwy. Udało się.

– Dobra robota, synu – pasterz poklepał go po plecach.

Diego, zadowolony, przyjął pochwałę.

– Drobnostka – odrzekł skromnie.

– Dlaczego nie ma cię teraz na wielkim targu? – zapytał staruszek, spoglądając z ukosa na swoje stado. Owce znów się zatrzymały i stały teraz na placyku nieopodal bramy.

– Na jakim targu?

– Nie słyszałeś o targu na placu Zocodover, największym w rejonie Trasierra*, jeśli nie w całej Kastylji? Odbywa się właśnie dziś, jak w każdy pierwszy piątek miesiąca. Idę tam z moimi owcami. Chcę je sprzedać.

* Trasierra – tak nazywano ziemie położone między Centralnym Masywem a granicą z al-Ándalus.

Gdy to powiedział, Diego od razu pomyślał o Sabbie.

– A są tam konie?

– No pewnie! Najdorodniejsze sztuki, przede wszystkim araby. Za najlepsze płacą i po dwieście soldów.

To mógł być znak z nieba albo tylko przecucie. W każdym razie postanowił niezwłocznie udać się na ten bazar.

– Weźmiecie mnie z sobą?

Chłopak wraz ze staruszką minął dawny pałac kalifów i dzielnicę Franków. Donośny bek rozlegał się po ulicach. Napotkani ludzie okazywali niechęć. Jedni po zetknięciu z brudną wełną czyścili swoje ubrania, inni przeciskali się, złożąc i niechący wdeptując w nieczystości, które zwierzęta pozostawiały na drodze.

Targ na placu Zocodover zrobił na Diegu duże wrażenie. Nigdy wcześniej nie słyszał takiego natężenia dźwięków zwierząt i ludzi, nie poczuł też nigdy naraz tylu zapachów. Nad całym tym zgiełkiem unosiła się chmura kurzu.

Pożegnał pasterza. Dowiedział się już, że konie znajdzie po zachodniej stronie placu.

Trzeba było wyostrzyć zmysły i wyteńczyć uwagę, żeby nie zgubić się w tym zamieszaniu. Dużo sił wymagało konsekwentne podążanie w raz obranym kierunku. Tłum popychał go to w jedną, to w drugą stronę. Wpadł na zad wołu. Usłyszał, jak tuż obok niego dwóch mężczyzn rozmawia po arabsku. Kłócili się zawzięcie nad workiem monet. Ten język wywołał u Diega taką niechęć, że oddalił się czym prędzej. Odwrócił się, by obrzucić ich jeszcze pełnym wstrętem spojrzaniem, i o

mało nie wpadł na niską kobiecinę.

Szła zgarbiona, niosąc pod pachami dwie kózki. Parę kroków dalej jakiś człowiek tak mu wrzasnął prosto w ucho, że minęła chwila, nim doszedł do siebie. Tak stopniowo, za pomocą łokci i kuksańców, utorował sobie drogę do miejsca, gdzie handlowano końmi.

Była to ogrodzona przestrzeń, podzielona w środku na mniejsze boksy z kratami, do których przywiązywano zwierzęta. Ludzie przepychali się, by zobaczyć dobijanie targu, dowiadywać się o ceny i podziwiać urodę najznakomitszych okazów. Panował tu taki tłok, że Diego był w stanie dostrzec co najwyżej dziesięć czy dwanaście koni, a znajdowało się ich tam ponad pięćset.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio było tu tak spokojnie – zagaił jeden starszyszek, zwracając się do drugiego.

– To przez tę wojnę – odrzekł jego rozmówca. – W tym tygodniu nie przywieźli nic z al-Ándalus, jest tylko towar drugiej jakości. Powiadają, że dużo tu mienia po uchodźcach.

– Wybaczcie panowie, że przeszkadzam. – Obydwaj zwrócili się w stronę Diega. Jeden z nich, przypuszczając, że ma przed sobą złodziejaszka, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Diego udał, że tego nie widzi i, wciąż przepraszając, starał się jak mógł, by zdobyć ich zaufanie.

– Chciałem tylko o coś spytać...

– To pytaj szybko i więcej głowy nie zawracaj.

– Wiecie, czy któryś z kupców szczególnie zajmuje się rasą arabską?

Wygląd Diega był oplakany. Włosy miał brudne i potargane.

Odzienie cuchnęło. Jego skóra, z natury śniada, teraz pokryta brudem, była nieomal czarna.

– Skąd jesteś?

– Z Malagón.

– Wierzmy ci, choć równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że z Marrakeszu. – Złapał go za ramię, żeby zobaczyć, jaki jest chudy.

Diego był przyzwyczajony do takich komentarzy w zajeździe.

– Idź przed siebie wzdłuż płotu, a spotkasz człowieka z Jerezu. – wtrącił drugi. – Poznasz go po łysinie, długiej rudej bródce i złotym kolczyku w nosie. Nie sposób go pomylić. To najstarszy handlarz takimi końmi, ale nie jedyny. Spróbuj do niego zagadać, chociaż z twoją

gębą wąpnię, czy ci się uda.

Diego podziękował i ruszył we wskazanym kierunku. Cały czas uważnie przyglądał się wszystkim mijanym koniom. Co sił przeciskał się przez chmarę ludzi i zwierząt, aż wreszcie z daleka dojrzał mężczyznę, o którym mówili starszycy. Wstrzymał oddech, owładnięty mieszaniną nadziei i niepokoju.

Mężczyzna cesał przepięknego ogiera karej maści, najczystszej krwi arabskiej. Szła do niego dziewczyna, z trudem prowadząc wózek pełen owsa. Oboje w tej samej chwili stanęli przed kupcem.

– Nazywam się Diego – wychylił się zza płotu, pragnąc zwrócić jego uwagę.

– A ja Kabirma. Niech będzie pochwalony Allah na wieki wieków – odpowiedział mężczyzna, nie odwracając twarzy.

A więc był muzułmaninem jak zabójcy Belindy i ojca. Diego zamilkł i patrzył na niego. Dziewczyna zerknęła i powiedziała coś cichutko, ale Diego nie zdołał jej zrozumieć. Teraz musiał przezwyciężyć niechęć do tego człowieka i zapytać o swoją klacz.

– Możemy pomówić?

– Mów – wciąż stał odwrócony do niego plecami.

– Gdybym miał do sprzedania sztukę jedyną w swym rodzaju, znakomitej rasy, ze wszech miar doskonałą, pustynnej krwi, to do kogo powinienem się udać?

To musiało zaciekawiać handlarza, bo w końcu się odwrócił. Nastawienie jego zmieniło się, gdy tylko zobaczył chłopca.

– Wynoś się stąd, parszywy żebraku! – Cisnął w niego drewnianą szczotką, aż rozciął mu łuk brwiowy. Diego poczuł, że krwawi.

– Ojczy! Zraniliście go...

– Niech nie przyłazi zawracać głowę...! – Splunął na ziemię ze wściekłością, bez żadnych wyrzutów sumienia.

Dziewczyna patrzyła z żalem na Diega.

– Parę dni temu ktoś skradł mi klacz...

– Czyżbyś zarzucał mi handel kradzionymi końmi? – twarz i łysina ogromnego mężczyzny zapłonęła gniewem. – Jak mi z oczu nie zejdziesz, to nie tylko brew będziesz miał rozwaloną... – pogroził mu żelazną belką.

– Pozwólcie mu mówić, ojczy – wtrąciła córka. Kabirma odwrócił się z powrotem do ogiera i mocno podrapał go po czole.

Koń odpowiedział, obwąchując jego dłoń.

– To była kasztanowata klacz, najczystszej krwi, czteroletnia, odcieln cynamonowy – powiedział Diego. – Miała dwie białe smugi, jedną między uszami, drugą na piersi.

Mężczyzna chrząknął trzy razy z rzędu. Jego córka tego nie zauważyła. Diego milczał pełen nadziei, że znalazł właściwego człowieka.

– Wysłuchałem cię już i nie mam nic do powiedzenia.

Diego miał przeczucie, że coś ukrywa.

– Nie widzieliście takiego?

– Jazda stąd! – ryknął wściekle.

Diego odskoczył w obawie przed kolejnym ciosem i odszedł ze spuszczoną głową.

Błąkał się jeszcze po innych stoiskach i wszędzie pytał. Gdzie nie obrzucali go wyzwiskami, tam chłodno odpędzali. Wiele godzin jeszcze chodził po tym targowisku. Patrzył na wszystko, ale nie widział nic. Chodził między ludźmi, potykając się, wpadając na nich i przewracając się na ziemię raz po raz. Czuł się niczym pijany, ale nie winem, tylko swoimi zawiedzionymi nadziejami. Gdy już prawie zmierzchało, spojrzął na swoje stopy. Były całe w bąblach, obolałe od tyłu godzin chodzenia. Nie wiedział już kompletnie, gdzie iść ani po co żyć.

– Chodź ze mną – czyjaś dłoń chwyciła go za kaftan i pociągnęła. Odwrócił się i ujrzał twarz tamtej dziewczyny, córki handlarza z Jeruzu.

– Dokąd? – zapytał Diego nieprzytomnie. Z wycieńczenia drżały mu nogi i podbródek. Głód stawał się nieznośny.

– Zaprowadzę cię do domu Galiba.

– Galiba?

– To najsłynniejszy weterynarz w całym Toledo – wyjaśniła dziewczyna. – To on kupił twój konia.

Twarz i oczy Diega rozjaśnił uśmiech.

– Nie sądź źle mego ojca. Ma ciężki charakter, ale to dobry człowiek. Sprzedali mu klacz parę dni temu i do tej pory nie miał pojęcia, że była kradziona.

– Czy wie, co teraz robisz?

– Nie.

– A dlaczego mi pomagasz?

Od odpowiedzi uchroniło ją przypadkowe zderzenie z przechodzącą staruszką. Tak naprawdę nie miała przecież żadnego sensownego powodu, by mu pomóc. Może po prostu zrobiło jej się go żal albo tylko dała się ponieść impulsowi. Nie wiedziała. Czując na sobie dalej jego pytające spojrzenie, wzruszyła tylko ramionami.

– Weterynarz... – powiedział Diego. – Myślałem, że tacy są tylko w al-Ándalus.

– Weterynaria to stary fach w tym mieście. Rozwinęła się, gdy panowali tu jeszcze muzułmanie, przed konkwistą. Galib, zdaje się, uciekł z Sewilli przed almohadzkimi fanatykami i musiał tu zaczynać wszystko od zera, bez grosza przy duszy. Teraz powiadają, że nie ma lepszych rąk od jego, gdy zabiera się do chorego konia. Jest taki mądry, że za drożsi mu wielu lekarzy, chociaż zajmują się innymi pacjentami.

– Czy to też muzułmanin?

– Muzułmanin, tak jak ja – odrzekła dziewczyna, zastanawiając się, w którą ulicę skręcić. – Tutaj zwą nas mudejarami.

Diego znów poczuł wzbierającą falę złości. Znów ci Maurowie! Ale przede wszystkim musiał odzyskać Sabbę.

Dwoje młodych szło na południe, w stronę dzielnicy mauretańskiej. Zanim wyszli z placu targowego, dziewczyna zatrzymała się przed stoiskiem, gdzie sprzedawano słodczyce zwane marcepanami. Kupiła pół tuzina i z litości ofiarowała je temu chudziutkiemu chłopcu. Jadł, aż mu się uszy trzęsły, a ona tłumaczyła, że zrobione są z masy z mielonych migdałów, ozłoconej żółtkiem jaja i następnie pieczonej.

Przemierzali uliczki pełne wspaniałych sklepów, gdzie sprzedawano tkaniny, ale też drogocenne kamienie i kość słoniową ze Wschodu, wyroby ze srebra i skóry kordobańskiej i dużo broni, głównie szabli. Te ostatnie zdobione były pięknymi złotymi filigranami na błękitnej stali.

– Ta dzielnica nazywa się Alcaicería. Sprzedaje się tu cenne przedmioty i dlatego na noc jest zamykana i pilnują jej uzbrojeni strażnicy.

Minęli jeszcze kilka ulic i doszli do dużego meczetu i medresy, gdzie studiowano Koran.

W tym miejscu zaczynała się dzielnica muzułmańska.

– Skąd pochodzisz?

– Z Malagón, wioski na południe od Toledo.
– Wrócisz tam, jeśli odzyskasz swoją klacz?
– Nie mogę – odrzekł krótko.
– Czemu?
– Ta ziemia jest w rękach twych braci w wierze, Almohadów. Nie mam już nikogo z rodziny. Mój ojciec zginął, zamordowany, podobnie jak moja najstarsza siostra. Dwie inne siostry porwali. Nie wiem, jak je znaleźć, i nie wiem nawet, czy jeszcze żyją.

Dziewczynie zrobiło się przykro, ale za niedorzeczne uznała przepraszenie za czyny tych, z którymi nie ma nic wspólnego.

Wolała po prostu oferować mu gościnę.

– Mieszkam wraz z rodziną za miastem, nad rzeką, nieopodal ogrodów al-Hufra, przy drodze do Meridy. Mamy tam wygodny domek i zagrody dla koni na sprzedaż. Ja dbam o konie. Gdy do nas trafiają, bywają bardzo zaniedbane, czasem zgłodzone. Sprzedajemy je dopiero, gdy poprawię ich kondycję. Gdybyś kiedyś zechciał przyjść, tam mnie znajdziesz.

– Albo na plac Zocodover.

– Albo i na targu, oczywiście – zamyślona spojrzała w dół. – Jesteśmy na miejscu.

Dotarli do gabinetu weterynarza. Przy szerokiej ulicy znaleźli wielką drewnianą bramę z małym okienkiem pośrodku.

Dziewczyna zastukała mocno do drzwi wiszącą na nich ciężką kołatką w kształcie końskiego łba. Od razu dał się słyszeć szcęk odsuwanej zasuwki i w okienku pojawiła się twarz starego człowieka. Był niski, gruby i miał zaczerwienioną twarz z nosem zakrzywionym w prawo.

– Czego chcesz? – usłyszeli niski, prawie chrypliwy głos.

Wydawało się, że cudzoziemca.

– Szukamy mistrza Galiba – odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się pięknie.

– On być zajęty. Nie czas na młokos. Ja Sajjad nie lubię dzieci. Sajjad nie chceć was widzieć.

Młodzi spojrzeli po sobie, zaskoczeni jego dziwaczną mową. Osobnik jednym ruchem zamknął im okienko przed nosem.

Dziewczyna nie zraziła się tą przeszkodą i zastukała jeszcze mocniej, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Mimo wielu prób wciąż nic się nie działo. Za którymś razem usłyszeli tylko ten sam chrypliwy głos dziwnego człowieka, wysyłający ich do diabła.

– Co robimy? – zapytał Diego, zrezygnowany.

– Ja muszę iść. Ojciec się martwi. Ale ty tu zaczekaj, aż wyjdzie Galib. Prędzej czy później będzie musiał, żeby odwiedzić pacjenta. W Toledo żyje prawie trzydzieści tysięcy ludzi. Choć modlą się do różnych bogów, prawie wszyscy posiadają przynajmniej jednego konia lub muła jucznego, albo nawet więcej, jeśli zajmują się rolą. Galib nie jest może jedynym weterynarzem, ale z pewnością najlepszym. Bądź cierpliwy.

Dziewczyna dostrzegła błagalny wzrok młodzieńca. Podeszła do niego i czule dotknęła rany, którą zadał mu jej ojciec.

– Diego, teraz muszę cię zostawić. Nazywam się Fatima. Jeśli będziesz mnie potrzebował, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Czekać na Galiba. Musi w końcu wyjść.

Fatima poszła uliczką, ale nim zniknęła za pierwszym rogiem, odwróciła się i posłała chłopakowi uśmiech. Cieszyła się, że mogła mu pomóc. Za rogiem pomyślała o ojcu i przyspieszyła kroku.

W ciągu następnej godziny drzwi otworzyły się tylko raz, żeby wypuścić dwie kobiety z bielizną do prania. Ale niedługo potem Diego usłyszał, jak rygiel odsuwa się znów, i zobaczył, że wyjeżdża człowiek na koniu. Miał koło czterdziestu lat, gęstą brodę, bardzo ciemną z wyjątkiem dwóch białych kosmyków po dwóch stronach podbródka. Jego oczy były małe, lecz bardzo żywe. Ubrany był w ciemnoniebieski turban i prosty biały kaftan oraz bufiaste spodnie pod kolor nakrycia głowy.

– Pan Galib?

Poprawił się w siodle i widząc brudnego żebraka uczeplonego jego uprzęży, chwycił bat.

– Czego chcesz, jeśli można wiedzieć? – Koń zarżał niespokojnie i potrząsał łbem, próbując pozbyć się obcego.

– Odzyskać swoją klacz. Sprzedano ją panu kilka dni temu, ale była moja. To klacz krwi arabskiej, maści kasztanowatej, z dwiema plamkami, bardzo miła i łagodna. Na pewno za mną tęskni... bardzo proszę,

panie Galib. – Uwiesił się jeszcze mocniej, biegnąc za weterynarzem.

Diego nie dość, że był brudny i obdarty, to wyglądał jak szaleniec. Oczy świeciły mu dziwnym blaskiem. Nie wzbudzał za grosz zaufania.

Mężczyzna przestraszył się, że jeszcze gotów go napaść.

– Zostaw mnie! – krzyknął Galib i świsnął batem w powietrzu.

– Nie puszczę! – ryknął Diego. Z całych sił szarpnął za uzdę.

Jeździec spiął konia obcasami i ten puścił się klusem. Zostawili Diega w tyle.

Późnym wieczorem, gdy Galib wrócił, chłopiec wciąż tam był.

Musiał znów pogrozić mu batem i końskimi kopytami, żeby wpuścił go do domu.

Powtarzało się to, ilekroć wchodził i wychodził, przez następne dni.

Diego z niewzruszonym spokojem i determinacją postanowił nie ruszać się sprzed tej bramy, dopóki nie osiągnie swego celu: dopóki nie zobaczy znów Sabby.

VII

Diego wciąż tam był.

Ilekoć weterynarz Galib przekraczał próg swego domu, leżał na nim ów natrętny żebrak. Wciąż domagał się klaczy, nieraz nawet krzykiem.

Chłopak tracił siły i chudł w oczach. Ledwie trzymał się na nogach, ale trwał tam wciąż niestrudzenie. Począwszy od piątego dnia z rzędu przestał wstawać, prosił już tylko wzrokiem.

Galib zrozumiał, że chłopiec umrze pod jego domem. Widać było, że nie ma nic do roboty ani nic do stracenia. Gdy minął pierwszy tydzień, poczuł, że nie może tego dłużej znosić. Wracając do domu po długim dniu pracy, podszedł do niego i zaczął rozmawiać.

– Jak masz na imię?

Diego wyciągnął do niego rękę i podniósł się, bo nadzieja dodała mu sił. Nareszcie mężczyzna zwrócił na niego uwagę.

– Diego. Diego z Malagón.

– A klacz?

– Sabba.

– Piękne imię. W moim języku oznacza „wschodni wiatr”...

Galib obserwował go. Chłopak zdawał się nie mieć nic więcej do powiedzenia. Zrozumiał jego upór i po długim milczeniu odważył się go wpuścić.

Minęli szerokie podwórze. Po lewej stronie rozciągały się obszerne stajnie. Przeszli przez skład z tuzinem boksów, w których stały konie. Gdy doszli do ostatniego, Galib wskazał go palcem.

– Jest tu.

Diego odsunął gruby rygiel i popchnął furtkę. Serce zabiło mu jak

oszalała. Widząc go, Sabba podniosła łeb i parsknęła radośnie.

– Sabba, moja Sabba...

Objął jej szyję i zaczął podszczypywać w grzywę, mówiąc coś po cichu. Niezbyt przypominało to słowa, raczej delikatne dźwięki. Potem zbliżył się do jej nozdrzy i dmuchnął w nie. Zarżała zadowolona. Patrzył jej w oczy, pieścił łeb i uszy. Wydawało się, że klacz odpowiada mu cichymi pomrukami, jakby rozmawiali ze sobą jakimś osobliwym językiem. Diego poczuł całe oddanie, wierność zwierzęcia, ciepło, które towarzyszyło mu przez lata. Sabba była więcej niż tylko jego koniem, stała się wierną towarzyszką, istotą, która od śmierci jego matki wciąż mu towarzyszyła.

Galib, wstrzymując oddech, obserwował całą scenę urzeczony. Ich niezwykła zażyłość tłumaczyła wszystko.

– Miała gorączkę, prawda?

– A teraz też ma, jak myślisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie, żeby go sprawdzić.

Diego pokręcił głową przecząco. Schylił się i pomacał miejsce, w którym słoma była mokra. Potem powąchał dłoń.

– A skąd wiesz, co jej się stało?

– Po jej oddechu – odpowiedział Diego bez cienia wątpliwości. – Jest trochę szybszy niż zazwyczaj i oczy nie mają tego blasku...

– Coś jeszcze?

– Jej mocz inaczej pachnie, a uszy nie są zimne, ale i nie ciepłe.

W swoim długim życiu Galib był świadkiem różnych pięknych zachowań właścicieli wobec swoich zwierząt, czasem nawet bohaterских. Nigdy jednak nie widział takiej wierności i oddania jak u tego chłopca, gotowego umrzeć z głodu u jego drzwi. Przez tydzień się stamtąd nie ruszył. Być może przez to spojrzał na niego innymi oczyma. Nie znał jego historii, ale wiedział dwie rzeczy: po pierwsze, mówił prawdę, to był jego koń, po drugie, nie stał przed nim byle żebrak.

Nie znając tych jego myśli, Diego patrzył na niego z rezerwą.

Galib westchnął głęboko dwa razy i znów się zastanowił. Zazwyczaj działał trzeźwo i nie ulegał impulsom, ale tym razem miało być inaczej. Poczul litość i zapragnął pomóc chłopcu.

– Co umiesz zrobić?

– Wychowałem się w zajeździe, daleko stąd i zawsze byłem przy

koniach. Umieję się nimi zajmować i podkuwać. – Młasnął językiem, na co Sabba odpowiedziała, obwężując mu dłoń.

– Dałem za tę klacz sto czterdzieści dukatów. To wysoka cena, choć od początku wiedziałem, co jest warta. – Poglaskała ją po czole. – Ma najczystsza krew i może to nawet najlepsza sztuka, jaką mam, ale zanim będziesz mógł ją odzyskać...

Diego nie ufał temu muzułmaninowi. Nie był zbyt wysoki ani silny, ale zachowywał się z godnością. Jego skóra zaczynała już stawać do walki z czasem. Nieliczne zmarszczki sprawiały, że wydawał się mądry, dobry i szlachetny. Niemniej Diego nie mógł mieć zaufania do żadnego z synów Mahometa. Nie lubił ich, to jasne, ale słowa i postawa tego człowieka wprawiły go w zdumienie...

– Wiecie przecież, że nie mogę wam zapłacić...

– Więc pracuj dla mnie. Potrzebuję chłopca stajennego, a to robota, którą dobrze znasz. Jeśli się zgodzisz, będziesz zarabiał dwa dukaty tygodniowo, ale połowę będę zatrzymywał na wykup klaczy. Dostaniesz wikt, ale bez noclegu, bo jesteś chrześcijaninem i tu w Toledo nie możemy mieszkać pod jednym dachem... Zgadzasz się?

Diego nie odpowiedział od razu. Propozycja ta wydawała mu się najlepszym wyjściem z sytuacji, ale gdyby ją przyjął, znaczyłoby to dla niego zdradzić pamięć swych najbliższych. Jego nieszczęściom winni byli muzułmanie, a Galib był jednym z nich.

Musiałby mieszkać obok nich, słuchać ich modlitw, jeść z ich talerzy. Taka wizja nie pociągała go wcale. Szybko przypomniał sobie jednak przysięgę złożoną ojcu. Miał uciekać od biedy tak daleko, jak się da, i walczyć o lepszy los, nie zrażając się przeciwnościami. Czy nie znajdował się właśnie w sytuacji, od której powinien uciekać? Co doradziłby mu ojciec?

– Będę wam wdzięczny, panie.

Galib poklepał go po plecach i rozejrzał się za kimś.

– Sajjad?! – zawołał.

Ku niezadowoleniu Diega zjawił się ów dziwny utykający człowiek o skrzywionym nosie, szorstkich manierach i dziwnym sposobie mówienia, którego miał okazję poznać pierwszego dnia z Fatimą.

– To mój stajenny, słuchaj go we wszystkim. Jest dobrym człowiekiem i pracuje u mnie od nie wiem ilu już lat...

Sajjad uśmiechnął się głupio.

– Dobrze, wy za mną. – Pociągnął Diega za kaftan. – Teraz z Sajjad. Sajjad wam pokaże.

Staruszek chciał zaprowadzić Diega do kuchni i poczęstować czymś do jedzenia, ale chłopak nie chciał ani na moment opuszczać swojej klaczy. Sajjad przyniósł mu więc kawałek chleba i sera do boksu. Diego usiadł koło Sabby. Czuł jej ciepło i chłód wieczoru. Był szczęśliwy.

I wtedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Jej uroda była niepospolita. Nazywała się Benazir i była żoną Galiba. Diego, gdy zobaczył ją przechodzącą koło stajni, pomyślał, że nie ma nic piękniejszego na świecie.

Benazir była córą pustyni. Urodziła się na ziemi dalekiej Persji. Płynąca w jej żyłach krew nomadów czyniła ją z jednej strony dziką i nieprzewidywalną, z drugiej zaś – ciepłą i delikatną, co typowe dla tych, którzy oddychali wiatrem Wschodu.

Poznała Galiba w Sewilli dziesięć lat wcześniej. Benazir była córką perskiego ambasadora, a Galib władał największym w świecie tabunem klaczy, tabunem z nadmorskich mokradeł. Należące do kalifa pięć tysięcy sztuk czystej arabskiej krwi biegło wolno w pobliżu ujścia rzeki Gwadalkiwir, po okolicy odznaczającej się niezwykle urokiem.

Mieszkając w Sewilli, stolicy kalifatu, Galib zdobył wysoką pozycję społeczną i cieszył się powszechnym poważaniem. Pewnego wieczoru na przyjęciu, które wyprawił ambasador na powitanie dwóch nowych współpracowników, poznał ją. Zakochali się w sobie bez pamięci.

Z czasem Galib zaczął rozumieć namiętności, jakie w sobie nosiła. Była dobra i wrażliwa, ale też niebezpieczna i nieposkromiona. Doszedł do wniosku, że aby ją rozkochać, musi poznać prawa pustyni. Rozumieć jej zmienność i nie próbować jej ujarzmić.

Następnego dnia, gdy Diego znów zobaczył Benazir, zabierając się do pracy, od razu zrozumiał, jak bardzo Galib musi ją kochać.

Sama jej obecność budziła pożądanie. Była prześliczna. Poruszała się jak wiatr, czasem lekko, kiedy indziej silnie i władczo, wydzielając woń, która odurzala zmysły. Bał się jej, sam nie wiedząc dlaczego.

Sajjad w swych niezdarnych słowach nakazał mu osiodłać konia i czekać z nim na podwórzu. Tak też zrobił. Kiedy poprawiał uprzęż, znów ją zobaczył.

Ubrana była cała na czarno, w nieprzepasaną tunikę. Włosy ciemne i jedwabiste miała zaplecione na plecach w warkocz. Jej oczy w kolorze miodu świeciły niezwykłym blaskiem.

Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, zdjęła woalkę i odsłoniła twarz.

– Dzień dobry, pani... – Diego przystawił do boku konia drewniane schodki i przytrzymał je, dopóki nie chwyciła lejców, życząc mu miłego dnia.

Stojący z tyłu Sajjad wymierzył mu dźwięcznego klapsa w kark.

– Diego szanować pani. Diego nie rozmawiać bez pan...

Stary pobiegł do drewnianej bramy i otworzył ją na oścież. Benazir pognała klacz i skierowała się do wyjścia, ale przedtem zwróciła się do chłopca.

– Witaj w naszym domu.

VIII

Sajjad był człowiekiem dziwnym i nieprzewidywalnym.

Mógł być wesoły i roześmiany, by za chwilę stać się gniewny i warkliwy. Przez pierwsze trzy tygodnie Diego starał się, jak mógł, wykonywać powierzone mu zadania szybko i sprawnie. Pracował z zapałem, by robić wszystko dokładnie i na czas.

Mył podłogi, czyścił ściany, szczotkował uprząże... Często musiał też dokładnie wysprzątać całą stajnię najslawniejszego weterynarza w mieście. Była ona podzielona na dwanaście boksów, w których trzymano chore konie. W bocznym skrzydle mieściło się pięć kolejnych, przeznaczonych na konie należące do gospodarza. Jeden z tych boksów zajmowała Sabba.

Sajjad często zjawiał się, by ocenić pracę chłopca. Kiedy Diego słyszał „Sajjad zadowolony”, znaczyło to, że uznaje jego robotę. Nie zawsze jednak tak było i wtedy musiał znosić grymasy, klapsy i reprimandy, takie jak: Nie słuchać Sajjad. Diego zły i Sajjad powiedzieć Galib.

Jego religijność też nie była zwyczajna. Na środku czoła nosił znamię na znak swej pobożności. Allaha chwalił na klęczkach, niemiłosiernie waląc głową w ziemię, i być może dlatego jego modlitwy czasami gwałtownie się urywały, tak samo zresztą jak jego wypowiedzi.

Bywało, że Galib potrzebował jego pomocy przy jakiejś wizycie, co niezmiernie go cieszyło. Wracał szeroko uśmiechnięty i powtarzał wciąż sam do siebie: Sajjad dobrze służyć, dużo pomóc.

Choć umyślowo był dość ograniczony, nie wydawał się człowiekiem niebezpiecznym, wprost przeciwnie – Galib cenił sobie jego lojalność.

Gdy się go poznało, nie sposób było się na niego gniewać o cokolwiek. Prawie wszystko uchodziło mu na sucho. Miał jednak dwa paskudne zwyczaje, które Diego znieawidził. Po pierwsze, bił Diega trzcinką, zawsze kiedy widział, że chłopak stoi beczynnym lub odpoczywa, po drugie, szpiegował go we wszystkim, co robił, i na pewno prędzej czy później zamierzał donieść o tym Galibowi.

Diego był jednak spokojny. Wykonywał wszystko, jak należy, Galib nie spóźniał się z wypłatą, a nawet gdy zdarzyło im się parę razy pracować razem, traktował go z sympatią i szacunkiem. I co najważniejsze, był razem z Sabbą i wiedział, że prędzej czy później będzie znów jego.

Gdy kończył się ciężki, pracowity dzień, Diego siadał przy kłaczyci i gawędził z nią. W tej niezwyklej rozmowie rozumieli się nawzajem i choć Sajjad nie mógł pojąć, co chłopak wyrabia z tym koniem, on nie chciał niczego więcej, jak tylko ją pieścić, a gdy nadejdzie czas, wreszcie jej dosiąść.

Pewnego razu Sajjad spostrzegł, że Diego nie wyszedł ze stajni na noc. Obserwował go z ukrycia i gdy dojrzał, jak chłopak, tuląc się do swej kłaczyci, układa się do snu, podniósł rwestes.

– Nie, nie. Sajjad nie pozwalać... Spać tutaj nie – wydzierał się, aż obudził cały dom. – Być niebezpieczne dla pan...

– Tylko tej nocy – prosił Diego – aż znajdę inne miejsce.

– Mówię nie...

– Co tu się dzieje? – W nocnym świetle pojawiła się postać weterynarza. Słuchał cały czas, jak się spierają.

Sajjad zabierał się już do wyjaśnienia w swym dziwnym języku całej sytuacji, ale Galib nie dał mu nic powiedzieć.

– Diego, szybko, mam pilne wezwanie, tym razem będę potrzebował, byś pojechał ze mną. Idź osiodłać mojego konia i twoją kłaczyci i wyruszajmy jak najprędzej.

Dla Sajjada oznaczało to ciężki cios. Poczł zazdrość. Musiał się pogodzić, że od tej chwili będzie dzielił obowiązki i względy swego pana z tym żebrakiem, który ledwie parę tygodni temu dopraszał się łaski pod drzwiami domu.

– Jeśli to kolka, jak mówią, potrzebna mi będzie pomoc kogoś bystrogo i silnego. Mój pocziwy Sajjad nie nadaje się już do takich rzeczy – powiedział Galib, gdy wyruszyli w drogę.

Dwóch jeźdźców nocą pośród mgieł i cieni przemierzało szerokie ulice starego Toledo. By się nie zgubić, Diego nakazał Sabbie trzymać się zadu idącego przed nią konia. Musieli szybko dotrzeć do bram dzielnicy żydowskiej, wezwanie bowiem pochodziło z posiadłości almoharifa, najwyższego skarbnika króla Alfonsa VIII. Pędzili galopem i ledwie mogli ze sobą rozmawiać. Diego usiłował przeprosić za to, co się wydarzyło.

– Wiem, że nie mogę zostawać na noc, ale jacyś ludzie przepędzili mnie z jaskini pod miastem, w której sypiałem, i nie miałem dokąd pójść.

– Nie masz domu? Nikogo nie masz?

– Nie, panie. Moja rodzina i ja mieszkaliśmy w Malagón, ale po bitwie pod Alarcos imesebeleni zabili mi ojca i starszą siostrę... – schylił głowę przytłoczony ciężarem wspomnień – i porwali dwie młodsze siostry.

– Co ty mówisz?

– Musiałem uciekać z domu i nie mam dokąd wracać. Mój ojciec... ojciec kazał mi uciekać z siostrami, ale nie posłuchałem, chciałem go ratować i wtedy zjawili się ci ludzie... Mówili waszym językiem. Zbroczyli krwią ojca nasz dom, moje życie, wszystko. Potem, w Toledo, nikt nie chciał mi pomóc wrócić, wszyscy mówili, że to szaleństwo... – spojrzął na Galiba i dostrzegł szansę w jego osobie. – Może moglibyście coś dla mnie zrobić? Nie wiem, jak odnaleźć moje siostry... Gdybyście kiedyś wybierali się w tamte strony... moglibyście się czegoś o nich dowiedzieć? Byłbym wam dozgonnie wdzięczny, mógłbym i pracować dla was za darmo.

– To niemożliwe, Diego. Nie mogę, przykro mi. Jestem muzułmaninem, lecz nie jednym z nich. Choć może wydać ci się to dziwne i sądzisz, że wszyscy modlimy się do tego samego Boga, nie jesteśmy tacy sami. Jeśli tam pojadę, napytam sobie biedy, mogą mnie rozpoznać. A tobie tym bardziej. Nawet o tym nie myśl. Uwierz mi, almoha-dzi są niebezpieczni.

Diego zasmucił się. Wyglądało na to, że nikt nie jest w stanie mu pomóc. Galib wyłożył jaśniej swoje racje.

– Nigdy nie rozumiałem, jak można prześladować kogoś ze względu na jego wiarę. Właśnie dlatego przybyłem do Toledo. Tu jest inaczej niż na południu, tutaj współistnieją ze sobą trzy religie. Gdyby tak nie było, pomyśleć tylko, co by się działo... Nie mamy, co prawda, tych samych praw co chrześcijanie, ale można tu przynajmniej handlować, kontaktować się, a nawet obchodzić święta typowe dla każdej z kultur... Tu mogę prowadzić moją przychodnię i zdobyć poważną pozycję. Za to wszystko kocham to miasto.

Diego przez grzeczność nic nie mówił. W głowie jednak miał tylko to, że religia tamtego winna jest jego nieszczęść. Galib kochał Toledo, a on nienawidził islamu.

IX

Abuomán Abenxuxen był zamożnym Żydem. Zajmował się nie tylko zbieraniem podatków dla Korony. Pożyczał też monarchom niebotyczne sumy pieniędzy na kosztowne kampanie prowadzone przeciwko al-Ándalus. Zasięg władzy był rozległy, a wpływy polityczne ogromne.

– Czy wiesz, czym jest kolka? – spytał Galib Diega urywanym głosem, gdy pośpiesznie zbliżali się do żydowskiej dzielnicy.

– Raz widziałem parę lat temu u jednej z naszych kłaczy. Pamiętam, że miała bardzo twardy i obolały brzuch i bardzo się pocila.

– Co jej dałeś?

– Mój ojciec przygotował napar z kwiatów, ale nie pomogło i zdechła.

– Typowy kowal...

Diegowi zrobiło się przykro. Chciał już opowiedzieć, ile kowal jest w stanie zrobić dla konia, ale Galib mu przerwał.

– Nigdy nie można obrażać się za prawdę, młodzieńcze.

– Jaką prawdę?

– Kowale mogą się starać, próbować leczyć, ale nie znają się na tym. Kowalstwo nie daje wiedzy medycznej. Żeby być weterynarzem, trzeba czytać, zbierać książki o leczeniu koni. Są w nich opisane doświadczenia, oparte na wiekach drobiazgowej obserwacji. Mam do kowali pretensję o to, że uważają się za strażników wiedzy, która tak naprawdę jest tylko wynikiem przypadku. Gdy jakimś lekiem udaje im się uleczyć jakąś chorobę, czynią z tego powszechnie obowiązujące prawo. Przechodzi ono potem z ojca na syna, z mistrza na ucznia jako coś stałego i niezmiennego, aż ktoś wynajdzie inny, bardziej skuteczny

lek. I tak postępuje proces, podczas którego nikt nie zada sobie oczywistego pytania o prawdziwą przyczynę choroby. Dzieje się tak przede wszystkim na ziemiach chrześcijańskich, gdzie mój fach jest w pogardzie i uprawia go niewielu.

– Czy każda choroba ma jakąś przyczynę?

– Dobrze pytanie. Muszę przyznać, że trudno na nie odpowiedzieć, jeśli nie jest to wręcz niemożliwe. Wiemy mało, wciąż jeszcze bardzo mało, tak naprawdę... Trzeba więcej doświadczeń, więcej czasu oraz serca i umysłów otwartych na naukę.

Dotarli do bram żydowskiej dzielnicy. Były zamknięte. Nie tracąc czasu, Galib głośno zawołał strażnika. Mężczyzna, uprzedzony wcześniej o ich przybyciu, wpuścił ich niezwłocznie i powiodł do domu Abenxuxena.

Był to przepiękny pałac. Dwie ogromne pochodnie oświetlały wejście. Ich żółte odbłaski tańczyły na ścianie i odbijały się od wypolerowanej powierzchni kołatki w kształcie gwiazdy Dawida. Galib zdążył tylko dwa razy nią uderzyć. Nim zrobił to po raz trzeci, drzwi otworzyły się i wjechali na mały dziedziniec. Zsiadli z koni i ruszyli za odźwiernym. Podążali korytarzem, aż wyszli na otwartą przestrzeń, gdzie znajdowała się spora, dobrze oświetlona stajnia. Było tam pełno ludzi.

– Przyjechał weterynarz! Przepuścić go! – krzyknął jeden z nich.

Galib dojrzał w grupie almoharifa. Jego twarz wyrażała bezgraniczną troskę.

– Wybaczcie, jeśli uchybię etykietce, ale rozumiem, że sytuacja wymaga natychmiastowego działania. – Abuomán poprowadził go do stajni. Po drodze opowiadał o swoim kłopotcie. – Potrzebny mi ten koń, nie żaden inny, tylko właśnie ten...

Galib tak był zdumiony okazanym wzburzeniem, że nie dopytywał o szczegóły.

– Wy tłumaczę to jaśniej, proszę o wybaczenie, jestem zdenerwowany. Chodzi o to, że jutro wyruszam do Frias, aby wyjaśnić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę z królem. A jedynie Andromedesa darzę zaufaniem w sprawie tej podróży. Nie ma szybszego konia niż ten.

– Mówiono mi, że to kolka.

– Od tego popołudnia... tak. Zdaje się, że zeżarł więcej jęczmienia, niż powinien. – Zerknął gniewnie na jednego z koniuszych, a ten zaczerwienił się po uszy.

– To znaczy ile...?

– Nie wiem... dużo.

Nie skończyli jeszcze rozmowy, gdy wtem usłyszeli potworny trzask. Pobiegli zobaczyć, co się stało, i ujrzeni drewniane ogrodzenie rozbite w drzazgi. Zwierzę zrobiło to z wściekłości.

– Zobaczmy, co mu jest...

Galib przywołał Diega skinieniem.

Gdy się zbliżyli, spostrzegli, że koń jest bardzo pobudzony, ruchliwy, niespokojny. To zaczynał grzebać w ziemi, to za chwilę przestawał i znienacka machał łbem na boki. Brzuch miał z jednej strony bardziej wzdęty. Widać było parę powierzchownych ran. Nagle padł na ziemię i zaczął tarzać się w słomie. Był tak spocony, że aż powietrze wokół wydawało się cięższe.

– Popatrz, Diego, by mieć pełne rozpoznanie kolki, konieczna jest obserwacja grymasów pyska – mówił Galib powoli i spokojnie do chłopca. Chciał, by wszystko dokładnie zrozumiał.

– A co można zauważyć?

– Teraz za bardzo szaleje, ale gdy zobaczy, że jesteśmy spokojni, nie zrobi nam krzywdy. Będziemy musieli podejść, by zobaczyć jego dziąsła u górnych siekaczy i ocenić, jaki mają kolor.

Stali w drzwiach stajni i patrzyli, jak zwierzę znów się podnosi. Było jeszcze bardziej pobudzone i przez to niebezpieczne. Diego nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział. Przełknął ślinę.

– Odważysz się tam wejść?

Chłopak nie odpowiedział. Otworzył furtę i wślizgnął się ostrożnie. Galib wszedł za nim, niosąc uzdę. Koń obserwował ich z niepokojem. Dwa razy zarżał, po czym schował się do kąta. Diego ze spokojem i pewnością siebie zbliżył się do niego i potraktował tak samo jak swoją klacz. Galib widział to już wcześniej. Chuchnął w jego nozdrza. Zwierzę odpowiedziało w ten sam sposób. Galib wziął uzdę i próbował bardzo powoli mu ją założyć. Koń, czując znowu nagły przypływ bólu, wyrwał się i ruszył w chaotyczny kłus po całym pomieszczeniu. Galib podszedł do Diega, by poinstruować go, jak ujarzmić konia.

– Nie martwcie się – odpowiedział Diego – chyba wiem, jak go uspokoić.

Almoharif spojrział na Galiba z niepokojem. Nie rozumiał, dlaczego zostawia swego pomocnika samego. Ufał temu mudejarowi, ale tu chodziło o jego najlepszego konia.

Galib uspokoił go gestem i odszedł jeszcze dalej, by lepiej ocenić rozmiar brzucha i sposób poruszania się. Z woreczka dobył dwie szczypty kwiatów malwy, trzy orfyny i jedną fiołką i podał jednemu ze stajennych, by przygotowano z tego napar.

– Przynies też trochę oleju, soli i sporą garść otrębów pszennych.

Diego cmoknął kilka razy, wydając dźwięk, który zdawał się uspokajać zwierzę. Powoli, ostrożnie szedł w jego stronę. Zdołał założyć mu sznur na szyję i uwiązać do ściany. Mówił do niego wciąż szeptem, a zwierzę robiło się coraz spokojniejsze. Gdy miał sposobność, uniósł mu wargi, żeby się przyjrzeć.

– Na górnych zębach ma coś w rodzaju pierścienia w kolorze pomarańczowym, prawie czerwonym.

– Świetnie, Diego, to pewny objaw kolki. Wyłaż już stamtąd. Pomyślimy, czym go leczyć.

– Wyzdrowieje do jutra? – Żyd wciąż myślał o swej wyprawie.

– Wykluczone...

Almoharif złapał się za głowę i poszukał chusteczki, by obetrzeć pot.

– To poważna przeszkoda w moich planach... – Zwrócił się do głównego stajennego. – Czy mógłbym wziąć czarną klacz?

– Obawiam się, że nie, panie. Jest brzemienna.

– A zatem...?

Galib nakazał przynieść sporą sztukę ostnicy hiszpańskiej i długi kij, dobrze nasmarowany oliwą. Zażądał też trochę słomy, by zrobić z niej podest.

– Jeśli nie macie dobrego, szybkiego konia, mogę pożyczyć wam mojego. Czasem zdaje mi się, że żywi się powietrzem.

– Przyjmę z wdzięcznością, weterynarzu Galib. Zawsze znajdziecie wyjście z sytuacji... Dziękuję wam.

Galib zwrócił się do Diega.

– Dobrze się czujesz? Najadłeś się strachu?

– Nie, ale trzeba bardzo uważać na jego pysk. Zdaje się, że może ugryźć...

– Tego nie zauważyłem, zdumiewa mnie twoja intuicja. Powiedz, proszę, dlaczego wążas konie i dmuchasz do nich swym oddechem.

Diega zdziwiło to pytanie, ale się nad nim zastanowił i postarał się odpowiedzieć.

– Widziałem, że one tak robią między sobą, zwłaszcza gdy spotykają się po raz pierwszy. Może to ich powitanie, nie wiem, a może dzięki temu nabierają do siebie zaufania, jak my, gdy ściskamy sobie dłonie.

– Rozumiem... czy poczułeś inny zapach w jego oddechu?

– Coś jakby kwaśnego.

– To by się zgadzało. Żołądek konia jest mały, przez co musi on jeść często małe ilości. Kiedy napcha w siebie za dużo zboża, jak w tym wypadku, jelita zatrzymują pracę i wzdymają się, jak gdyby zjedzone ziarna fermentowały. Powstają okropne bóle. Pojawienie się ran na podżebrzu pomaga nam umiejscowić problem. Zwierzęta często patrzają na te miejsca i uderzają nimi we wszystko, co się da, jakby chciały w ten sposób pozbyć się dolegliwości. Są jeszcze inne przyczyny, nie tylko pasza...

Weszła dziewczyna z wielkim dzbanem przygotowanego naparu.

Galib poprosił o butelkę z wodą, a Diegowi i drugiemu silnemu mężczyźnie polecił przytrzymać konia, aby podać mu lek. Wymieszał napar z wodą, by go ostudzić, i napełnił butelkę. Nakazał ustawić konia zadnimi kończynami do ściany, na wypadek gdyby wierzgał, i podłożyć pod nie trochę słomy. W ten sposób były uniesione względem reszty ciała, a brzuch zwisał nieco bardziej do przodu.

– Ty, Diego, uspokajaj go, tak jak umiesz to robić. Muszę podać mu leki.

Wszyscy zrobili, co do nich należało, a Galib sprawdził, czy pozycja konia jest właściwa. Z pewnością, jaka cechuje osoby doświadczone, rozchylił mu pysk i wlał trzy butle leczniczego płynu, jedną po drugiej.

Następnie zakasał rękawy, zacisnął pasa i kazał Diegowi wziąć drugi koniec natuszczzonego kija, który przełożyli mu pod brzuchem.

– Wyteż wszystkie siły. Musimy parę razy zabujać nim do góry i do przodu.

Diego wziął głęboki wdech i zacisnął zęby. Za pomocą kija nieziemskim wysiłkiem unieśli zwierzę do góry. Przez parę chwil poruszali kijem, masując, by zmiękczyć nabrzmiałe miejsca. Zdawało się, że zwierzę poczuło ulgę. Kompletnie wykończeni opuścili je z powrotem na ziemię. Kaftan Galiba był przemoczony, pot ściekał mu strużkami po czerwonej z wysiłku twarzy. Diego wyglądał podobnie.

– Przez cały dzień nie może jeść nic suchego, co najwyżej trochę siana, ale tylko najlepszej jakości – powiedział Galib, zwracając się do koniuszego.

Przyniesiono miednicę z ciepłą wodą i parę szmat do umycia. Zostali jeszcze trochę z koniem i jego właścicielem, aby poobserwować zachowanie zwierzęcia. Gawędzili o prawie, o sytuacji politycznej w Toledo, o almohadach. Diego przysłuchiwał się, nie uczestnicząc w rozmowie. Był pod wrażeniem szerokich znajomości, jakie utrzymywał Galib z wieloma osobistościami, których nazwiska padły podczas pogawędki.

Stan konia w widoczny sposób się poprawiał. Jego zachowanie było coraz spokojniejsze. Stopniowo zaczął przechadzać się po stajni, nie spoglądając już na swoje żebra.

Almoharif z zadowoleniem obserwował zwierzę. Wydał już odpowiednie komendy, by tej samej nocy sprowadzić konia pożyczanego od Galiba.

– Jesteście niezastąpieni! – zawołał. – Nie chcę dłużej was zatrzymywać. Jest już późno... jedźcie. Koń, jak widać, już uleczony. A przy okazji, byłbym zaszczycony, mogąc któregoś wieczoru zaprosić pana wraz z nadobną małżonką na kolację. Moja żona uwielbia jej towarzystwo. Przyjdziecie?

– Z przyjemnością. Powiem jej...

Wracając do domu, Galib i Diego byli tak zmęczeni, że prawie ze sobą nie rozmawiali. Dla Diega było to niezwykle doświadczenie. Miał poczucie uczestnictwa w czymś wielce doniosłym. Widział Galiba w działaniu – to doświadczenie okazało się zaiste fascynujące. Zapragnął nauczyć się wszystkiego, co wie ten człowiek, wszędzie mu towarzyszyć, przeczytać setki ksiąg, które on zna. Pochłonięty swoimi myślami nie zauważył nawet, jak dotarli do domu Galiba. Chłopiec zatrzymał się

i pozostał na zewnątrz. Nie wiedział, czy Galib pozwoli mu tej nocy spać w stajni.

Galib wjechał, nic nie mówiąc, a chłopak został przed wejściem. Poczul, że znów nad głową ma tylko niebo. Przytulił się do Sabby i ruszył szukać schronienia. Nie wiedział gdzie, ale gdzieś się znajdzie. Wtem znów zaskrzypiały drzwi domu. Stał w nich jego mistrz. Zsiadł z konia i zaprosił go do środka.

– Dzisiejszą noc możesz spędzić w stajni. Zasłużyłeś na to.

Diego spiął nogami Sabbę i triumfalnie wjechał do tego domu, który miał się stać jego szkołą nowego życia, bramą do cudownej przyszłości.

X

Językiem nauki był arabski.

Ten język. Jego dźwięk był dla Diega torturą, choć wiedział, że krył arkana wiedzy, którą posiadał Galib. Popołudniami, bezsennymi nocami widział, jak Galib spędza długie godziny wśród ksiąg i rękopisów, przy płomyku świecy, pogrążony w ciszy.

Kiedyś wyjaśnił mu, że czyta dzieła greckich mędrców, zbierane i tłumaczone na arabski przez perskich mistrzów. Czasem, gdy Diego wychodził ze stajni i szedł do domu, by powiedzieć o czymś Galibowi, widział go w otoczeniu książek. Siedział, zaczytany, w skupieniu. Czerpał z tego rozkosz. Galib wyszeptywał słowa, które Diegowi zdawały się poezją, lecz w chwilach, gdy najmniej się tego spodziewał, wyzwały u niego myśli krwawe i okrutne.

Wspomnienie siostr wciąż napełniało go trwogą. Za każdym razem, gdy tylko pojawiały się w jego głowie, gubił się w mglistym labiryncie. Nie był w stanie nawet sobie wyobrazić, co mógłby zrobić, aby im pomóc.

Minęło sześć miesięcy od czasu pierwszej wizyty, którą Diego odbył z Galibem. Los chłopca zaczął się nieco polepszać. Za pierwsze zaoszczędzone pieniądze zdołał opłacić noclegi w dzielnicy Franków. Był to skromny dom, w którym dzielił pokój z dwoma mężczyznami.

Sajjad, żyjący we własnym świecie, tak osobliwym, jak i pełnym sprzeczności, zaczął coraz bardziej odczuwać niebezpieczną zazdrość o Diega. Tym bardziej że ten przejął jego pierwsze i najważniejsze zajęcie: kuźnię.

Galib, z dnia na dzień coraz bardziej oczarowany jego talentem, zaczął od powierzania mu drobnych, prostych zadań, jak wyrównanie grubości podków czy wygładzenie ich krawędzi. Ale widząc, jak sobie dobrze radzi, w końcu całkiem powierzył mu kowalstwo.

Czasami, gdy Diego wychodził wcześniej, zostawiał zrobione przez siebie szkice na piasku, na stajennej podłodze. Nieraz zdarzyło mu się napotkać Sajjada, jak ścierał je butem, chociaż później za to przeproszał, zapewniając, że niszczenie tych prac nie było jego intencją.

– Sajjad dobry. Sajjad pomaga Diego – powtarzał raz po raz.

Praca w kuźni zajmowała pół dnia, resztę czasu poświęcał innym czynnościom. Przywoził siano, rozkładał słomę na posłania, szczotkował i czyścił zwierzęta.

Po roku Galib powierzył mu też czuwanie nad leczeniem chorych koni, które znajdowały się w boksach i wymagały specjalnego nadzoru.

Diego precyzyjnie dawkował leki, był czujny przy obserwacji zwierząt i przewidujący przy stawianiu diagnoz, a ponadto potrafił zapamiętać wszystkie mikstury, choć niektóre z nich składały się z więcej niż dziesięciu składników. Zapamiętywał wszystko z cudowną wprost szybkością.

Żadna z tych cech nie umknęła Galibowi, ale i Sajjadowi.

Pewnego dnia, gdy minął już rok pracy u Galiba, nastąpiło wydarzenie wielkiej wagi.

– Ktoś musiał dać jej nadpsutego owsa...

Galib, usiłujący leczyć zwierzę, wychodził z siebie. Konia znaleziono z wysoką gorączką i obfitą biegunką. W jego stajni spędził dopiero jedną noc.

Diego i Sajjad krzętałi się bezradnie, nie wiedząc, jak mu pomóc.

– A to akurat kłacz samego sędziego miasta Toledo – biadolił Galib zrozpaczony.

Jak miał mu powiedzieć, że jego najlepszy koń, którego oddał mu na prosty zabieg kopyt, cierpi teraz na ciężką niestrawność, z ostrymi bólami i cuchnącymi wypróżnieniami? A wszystko dlatego, że ktoś go nakarmił spleśniałym zbożem.

Zbliżył się do swych podwładnych i wbił w nich gniewne spojrzenie.

– To ty, Sajjad?

Diegowi zrobiło się żal biednego staruszka. Nogi trzęsły mu się jak u zająca, a zęby dzwoniły jak oszalałe. Całe jego wątłe ciało było napięte.

– Sajjad widzieć Diego – wskazał na niego trzęsącym się palcem. Twarz młodzieńca wyraziła najpierw strach, a po chwili oburzenie. Galib wyglądał na jeszcze bardziej wściekłego i zakłopotanego.

– Sajjad mówić mu tak nie robić, ale Diego nie posłuchać Sajjad i... – młody uczeń patrzył na niego, czując, że zaraz wybuchnie, nie wytrzyma i go uderzy. Zdołał się jednak powstrzymać i postanowił nie uczestniczyć w sporze.

Galib był kompletnie wyprowadzony z równowagi. Zaczął dreptać w kółko z pochyloną głową. Gdy tak wściekle sapał, wyglądało na to, że dojrzewa w nim jakaś trudna decyzja. Po pewnym czasie, który strasznie im się dłużył, w końcu przemówił.

– Sajjad, zrób kulkę z węgla i gliny, żeby pochłonęła pleśń. Gdy przyjdzie właściciel, nie wpuszczaj go. Powiedz, że jutro będzie gotowe, i dopilnuj, żeby dzisiaj nic nie zobaczył. A ty, Diego, chodź ze mną. Musimy pomówić.

Diego, przestraszony, poszedł za nim. Przez chwilę wyobraził sobie siebie, jak kończy na ulicy, bez pracy, nie pobrawszy żadnej nauki.

Zagłębili się w uliczki dzielnicy muzułmańskiej. Galib pragnął podzielić się z nim swymi przemyśleniami.

– Zawód weterynarza wymaga pracy, wytrwałości, wysiłku, rozwijania ciekawości, a nade wszystko czytania, czytania dzieł mędrców i uczenia się od nich. To życie w służbie innym.

Diego jechał w milczeniu, czekając na chwilę, w której spadnie na niego nagana.

– Nie masz nic do powiedzenia?

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało...

– Zbyt dobrze znam Sajjada, by nie wiedzieć, kiedy kłamie. Gesty go zdradzają... ale być może powinieneś bardziej uważać na to, co dzieje się w stajniach.

– Sajjad czasem...

– Tak, wiem. Sajjad nie daje ci spokoju. Jest zawzięty, a poza tym zazdrosny o ciebie. Nigdy mnie nie okłamał, ale jest starszy i się boi. Powinieneś to zrozumieć.

– Ja...

– Muszę pomyśleć, co zrobić, żeby poczuł się ważniejszy, może dać mu jakąś funkcję, nie wiem... Będzie tego potrzebował, bo musisz wiedzieć, że od teraz chciałbym, abyś został u mnie terminatorem.

– Mówicie poważnie? – spytał prawie szeptem.

– Jesteś z nami ponad rok. Masz zdolności do nauki, a przede wszystkim wielki talent w obchodzeniu się ze zwierzętami. Gdybyś włożył jeszcze wysiłek i trochę chęci, mógłbyś uczyć się fachu. Jeśli jesteś na to gotów i tego pragniesz, pewnego dnia mógłbyś zostać weterynarzem.

Diego poczuł się oszołomiony. Oczywiście, że tego chciał. Zapragnął tego natychmiast, gdy tylko pierwszy raz zobaczył leczenie konia. Ale w najśmielszych marzeniach nie podejrzewał, że może się to urzeczywistnić. Natłok emocji splątał mu język. Zachłysnął się świeżym powietrzem. To była wielka chwila. Poczuł w głowie rozkoszny zamęt.

– Nie zawiodę was! – zawołał radośnie.

– Jeśli chcesz być najlepszy, musimy się pośpieszyć. Jedziemy do zamku najważniejszego człowieka w całym Toledo, jednego z Larów. Jeśli nie dotrzemy na czas, nie będziemy mogli dalej pracować, ani ty, ani ja. A więc do galopu!

Galib przyśpieszył, ile się dało. Diego pędził za nim. Łzy w oczach nie pozwalały mu widzieć drogi, ale spojrzął w niebo i wiedział, że ojciec kieruje jego krokami Królewscy chorążowie, majordomusi, *merineros**. Najbardziej zaszczytne funkcje w Kastylii od zawsze były obsadzone przez kogoś z rodu Larów. Posiadali oni rozliczne dobra i włości, które nadał im król, połowa Kastylii była w ich rękach. Galib i Diego wybierali się do jednego z nich, hrabiego don Álvara de Lara. Tytuł hrabiowski król przyznał tylko dziewięciu kastylijskim magnatom, a sześciu z nich pochodziło z owego rodu.

Merinero – urzędnik na dworze królewskim w Kastylii, zajmujący się sprawami hodowli owiec, głównego bogactwa tego kraju.

Diego był oczarowany, przekraczając fosę niezwyklego, ogromnego zamku, w którym jak sądził, zamieszkiwał też sam król Alfons, gdy przybywał do Toledo.

– Czy wiecie, po co was wzywają?

Podczas gdy czekali na magnata, Diego przyglądał się w zachwycie imponującemu donżonowi.

– Zasoby stajni liczą ponad dwieście sztuk. Dziś nadszedł czas, by upuścić im wszystkim krwi. Należy to robić co kwartał. Pomaga to koniom zachować zdrowie i równowagę humorów.

Po obu stronach wielkiej, pięknie zdobionej bramy, u stóp potężnej wieży, wisiały proporce z herbem rodowym. Ze środka wyszła bardzo młoda kobieta w otoczeniu dwóch rycerzy.

– Zejdź z konia i powitaj ją należycie – szepnął Galib do Diega.

Skórę miała śnieżnobiałą, oczy zielone, a usta w kolorze mocno czerwonym.

– Jakże się cieszę, że was widzę, Galibie! I macie nowego towarzysza.

– Przedstawiam wam mojego nowego pomocnika, pani. Nazywa się Diego i pochodzi z Malagón.

Słyszając to, Diego poczuł się dumny.

Kobieta, dając upust swej serdeczności, wzięła Diega pod rękę i powiodła ku zamkowym stajniom.

– Nazywam się Urraca. – Uniosła rękę w przeproszającym geście.

– Wiem, że to nieładne imię, ale tak chciał mój ojciec, don Diego López de Haro. – Oddaliła się trochę od Galiba. – Niech on tego nie słucha, ale trzeba ci wiedzieć, że jesteś pod opieką najlepszego weterynarza w całej Kastylii, choć powiadają, że kiepsko płaci...

– Nie, właściwie... – zmieształ się Diego.

– Prawda, że mam rację? – puściła do niego oko. – Znam go od dawna i wiem, jaki jest... dużo wymaga, ale grosza nie popuści.

– Nie bierz tego zbyt poważnie, Diego. Doña Urraca lubi sobie pożartować.

– Mnie tego mówić nie trzeba... – rozległ się męski głos za ich plecami.

Był to don Álvaro Núñez de Lara. Kobieta wymierzyła mu kuksańca w brzuch, jakby uraziły ją jego słowa. Uśmiechnęła się, a on objął ją ramieniem.

– Mamy bardzo dobre wieści.

– Czy to możliwe, w naszych ciężkich czasach...? – Galib zajął się torby, upewniając się, czy zabrał wszystkie lancety do upuszczania krwi.

– Jestem w ciąży – oczy kobiety zabłyśły z przejęcia. Don Álvaro, dumny jak paw, czule pogładził ją po brzuchu.

– Winszuję...

Gratulacje Galiba zabrzmiały odrobinę pusto. On i Benazir wciąż jeszcze nie mieli dzieci, co wprawiało ich w przygnębienie. Ona, z mocy prawa koranicznego, mogła obawiać się porzucenia. On całym sercem marzył, by doczekać się dziedzica. Sytuacja stała się niezręczna i postanowił zmienić temat.

– Co z waszym ojcem?

– Nie widzieliśmy go od czasu klęski pod Alarcos. Mówią, że pojechał do Aragonii i Nawarry po posiłki dla Kastylii. Dzięki swej służbie królewskiego chorążego jest prawą ręką i doradcą króla Alfonsa. Znam go, więc jestem pewien, że bardzo chce mu pomóc.

– To rozumiałe – odparł Galib. – Lud jest wzburzony. Wszyscy pragniemy, by wreszcie powstrzymano Almohadów. Są już zbyt blisko.

– Dlatego właśnie was wezwaliśmy. Nasza kawaleria musi być stale w pogotowiu – podsumował don Álvaro.

Gdy weszli do stajni, Galib udzielił Diegowi licznych instrukcji. Chłopiec widział już kiedyś upuszczanie krwi i wydawało mu się to łatwe. Zmienił zdanie, gdy musiał zabrać się do tego sam. Wydawało się, że te olbrzymy to nie konie. Te ogromne i ciężkie zwierzęta przystosowane były do dźwigania uzbrojenia i rycerzy oraz pokonywania palisad lub murów podczas bitew. Nigdy wcześniej nie widział konia bojowego owej rasy. Galib powiedział, że to bretany.

– Największym odciągaj po trzy funty krwi, a nawet cztery co silniejszym. Tylko spacerowym rumakom i jucznym kobyłom nie więcej niż po dwa funty.

Na początek wyszukali największego konia z całej stajni. Galib dowodził koniuszymi. Czterech z nich weszło między zwierzęta i odpychało je, by zrobić miejsce weterynarzowi. Inni trzymali naczynia, w których miała być zbierana i odmierzana krew. Jeszcze innych pouczył, jak mają uciskać nacinane uprzednio miejsca już po upuszczeniu krwi i jak czyścić lancety po każdym koniu w gorącej wodzie.

– Najpierw przyjrzyj się, jak ja to robię, potem spróbuj sam z innym koniem.

Galib zbliżył się do szyi zwierzęcia i musiał dobrze wyciągnąć ramiona, by dostać się do żyły. Poczł ją między dwoma mięśniami i mocno ucisnął.

– Ostrze lancetu musi być nachylone pod dużym kątem podczas cięcia, żeby otwór w skórze nie nakładał się z tym w naczyniu krwionośnym. Zapobiegamy w ten sposób późniejszemu obfitemu krwawieniu albo przynajmniej szpetnym krwiakom. – Galib wykonał rzeczoną czynność i odsunął się od razu, widząc pierwsze strumienie tryskającej krwi.

Zbeształ chłopaka, który siedział obok, za opieszałość, z jaką ten przysuwał mu dzbanek, i pokazał mu, jak ma trzymać lancet, zbierając jednocześnie strugi krwi do naczynia.

Drugi lancet podał Diegowi, wskazując kolejnego konia. Ten wydawał się jeszcze wyższy i grubszy niż poprzedni. Chłopak w zasadzie nie bał się koni, ale jedno nadeknięcie takiego zwierzęcia na jego nogę mogłoby uczynić go chromym do końca życia. Galib stanął z jego prawej strony.

Diego wymacał żyłę, ale koń, czując jego rękę, odwrócił łeb do tyłu, pokazał mu swoje wielkie zęby i zarżał wściekle. Czując jego gorący oddech, Diego zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia. Kolejne ostrzeżenie mogłoby być dużo gorsze...

Zakrył dłonią naczynie i skierował lancet w stronę konia. Galib poprawił tylko kąt nachylenia. Gdy go wbił, zwierzę napięło gwałtownie skórę i mięśnie. Diega tak to zaskoczyło, że stracił panowanie nad narzędziem. Pierwszy strumień krwi trysnął szerokim łukiem i zabrudził mu całą twarz i kaftan.

Kilku koniuszych zaśmiało się z nieudolności chłopca. Galib spojrział na nich groźnie.

– Następny, który się zaśmieje, na ochotnika będzie uczył się używania lancetu.

– Słyszeliście już o królu Leónu? – don Álvaro przerwał napięcie. Często powierzał Galibowi sprawy państwowe, bardzo sobie cenił bowiem jego wyczucie i punkt widzenia.

– Nie mam pojęcia, w jakie podłe sprawy się wmieszał, ale znając go...

Gdy upewnił się, że jego pomocnik dał sobie radę z dwoma następnymi końmi, Galib przeniósł uwagę na don Álvara Núñeza de Lara i jego małżonkę. W czasie gdy on uporał się z pięcioma końmi, Diego upuścił krew zaledwie jednemu, ale z czasem nabierał wprawy i robił wszystko coraz szybciej. Pracowali już oddzielnie i Diego nie słyszał rozmowy.

– Po klęsce pod Alarcos – ciągnął don Álvaro – nasz król znalazł się w jednym zamku ze swoim kuzynem, Alfonsem IX z Leónu. Przygnębiony porażką Kastylijczyk robił mu wyrzuty za brak udziału w bitwie, co ten tłumaczył nieprzewidzianym spóźnieniem. I wtedy Leończyk, wykorzystując chwilową słabość swego kuzyna, zażądał od niego pogranicznych zamków, o które toczyli właśnie od lat. Jako że nasz monarcha odmówił, rozżłoszczony jeszcze bardziej jego oporem, ów nikczemny zdrajca po powrocie na swe ziemie zawiązał pakt przeciw Kastylii z almohadzkim kalifem.

Wtrąciła się doña Urraca, kierując się szacunkiem wobec ojca i jak zawsze wierna królowi.

– Nie mogę pojąć, jakież to brudne interesy mogły go skłonić do spółki z tym muzułmańskim fanatykiem, który przelał już tyle chrześcijańskiej krwi? Kastylia próbowała zjednoczyć pozostałe królestwa, by stawić razem czoło jego podbojom. Jeśli się mu nie przeciwstawimy, zrobi z nas niewolników swej wiary, podporządkowując sobie wszystkich bez litości. Oni są zimni i bezduszni. Straszne rzeczy opowiada się o grabieżach, jakich dokonali po bitwie pod Alarcos. To nie może być prawdą, że w żyłach Alfonsa IX płynie chrześcijańska krew. Proszę tylko Boga, by któregoś dnia kazał mu za to zapłacić...

Diego podszedł, żeby zapytać o coś Galiba, i nagle usłyszał słowa „grabież” i „Alarcos”. Nie uczestniczył wcześniej w rozmowie, ale poruszyły go one tak, że nie mógł się powstrzymać.

– Wybaczcie, pani, niechcący usłyszałem, jak mówiliście o Alarcos i... – zająknął się.

– Pytajcie śmiało, młodzieńcze.

– Tego dnia moje dwie siostry zostały porwane z Malagón przez grupę Afrykanów o czarnej skórze, a trzecią, najstarszą, zamordowano. Nikt nie umiał mi powiedzieć, co mogę dla nich zrobić ani jak je odnaleźć. Chciałem zapytać, czy słyszeliście coś o tym, co się później działo.

Odpowiedział mu don Álvaro.

– Najprawdopodobniej skończą w jakimś haremie, może u wezyra z Sewilli albo jakiegoś innego władcy z al-Ándalus...

Dońę Urracę oburzyło okrucieństwo męża. Zrobiło jej się żal chłopca.

– Przykro mi, że zabrzmiało to tak straszliwie, ale to właśnie zwykle robią z pojmanymi kobietami.

Diego spuścił głowę i zamilkł, przełykając gorzkie łzy. Usta miał wyschnięte z żalu.

Wrócił do swych robót i poczuł gniotący ból w żołądku, gdy docierało do niego to, co właśnie usłyszał. Wbijając lancet w żyłę ogromnego bretana, wyobrażał sobie tych mężczyzn o czarnej skórze i pragnął ich śmierci.

Ciepło krwi ciekącej mu po rękach podsycalo jego żądzę zemsty na ludziach, którzy posługiwali się religią do zastraszania i podporządkowywania sobie reszty ludzkości.

XI

Diego lubił ciemność i ciszę. W takich warunkach kultywował swój smutek.

W jeden z owych czarownych tolekańskich zmierzchów, gdy słoneczne promienie traciły moc i ginęły w swych ostatnich ugrowych barwach, Galib spotkał Diega opartego o płot w głębokim zamyśleniu. Przyglądał się czarnej klaczy o tak błyszczącej maści, że aż wpadała w błękit, i długiej grzywie. Patrzył, jak biega po okrągłym wybiegu, na którym tresowano konie.

Galib uszanował jego milczenie i przez chwilę razem w ciszy śledzili wzrokiem majestatyczne ruchy dostojnego zwierzęcia.

– Jedna z legend naszego fachu mówi, że pierwszy koń, jaki istniał, był bułankiem. Allah, niech będzie pochwalony i błogosławiony, rzekł do niego: Stworzyłem cię arabem. Wyróżniłem cię spośród stworzonych przeze mnie stworzeń obfитоścią pożywienia. Baranki będziesz woził na swoim grzbiecie i dla ciebie będą najlepsze łąki – wyrecytował z pamięci. Powiadają, że pierwszym, który wsiadł na konia, był Izmael, syn Abrahama. On też był pierwszym, który przemówił po arabsku, językiem, w którym Allah objawił Prorokowi swą Świętą Księgę. Tenże, sam miał pięć koni, nakazał nam o nie dbać, być dla nich wielkodusznym, kochać je i podziwiać, jak ty to teraz czynisz.

Diego, ze wzrokiem utkwionym w potężną klacz, upajał się wrażeniami. Przyjemne, wilgotne powietrze kończącego się dnia wzmagało kojący efekt słów Galiba.

– Powiedział też Prorok, że istnieją trzy rodzaje koni: Jedne przeznaczone są do walki o wiarę i policzone im będą wszystkie ich zasługi

na Sądzie Ostatecznym, innych używa się do ozdoby, tym się nic nie należy, i jest wreszcie trzecia grupa, konie zdadne tylko do tego, by łechtać próżność swych właścicieli – te zostaną potępione.

Galib odetchnął głęboko i otworzył się przed chłopakiem.

– Te właśnie nauki sprawiły, że pokochałem fach weterynarza. Postanowiłem poświęcić się pomaganiu innym, uzdrawiając stworzenia tak umiłowane przez Allaha, jakimi są konie. Szybko nauczyłem się to robić, porzuciwszy wszelką pychę. Bo jeśli jest w mych rękach, w moim umyśle czy w mej percepcji jakaś zdolność, to zawdzięczam ją woli Allaha. To on zapragnął mi ją dać, tak jak teraz pragnie dać tobie.

Diego westchnął i przełknął ślinę. Trawiły go wątpliwości. Zostać weterynarzem: to zdawało mu się równie wspaniałe, jak i niepokojące. Był to zawód pochodzenia arabskiego, a Galib to wyznawca islamu, wierny temu Bogu, w imię którego wyrządzono mu najgorsze okropieństwa.

– Inni synowie Allaha, jak wy, powołując się z pewnością również na niego, zabili mi ojca, starszą siostrę i zabrali dwie pozostałe. Odtąd zniechęciłem waszą religię i wszystko, co się z nią wiąże.

– Twój żal boli mnie jak mój własny, zechciej mi wierzyć. – Galib odniósł wrażenie, że Diego oczekuje odpowiedzi, która nadałaby choć trochę sensu jego cierpieniu. – Wielu przeinaczyło słowa Allaha. W swych nieczystych sercach sądzą, że to On do nich przemawia, gdy tak naprawdę słyszą podszept diabła.

Galib zbliżył się do chłopaka i usiadł koło niego. Czując jego załamanie, zapragnął wyjawic mu swe uczucia.

– Twoim wrogiem nie jest islam, Diego. To Almohadzi. Zinterpretowali prawo koraniczne w sposób absolutny. Odkąd weszli do al-Ándalus, usiłują wszystkimi sposobami zislamizować kraj. Jeśli się ich nie powstrzyma, narzucą swoje wartości i wierzenia ludziom na całym świecie. Nie uszanują innej wiary niż wiara w jedyne Allaha i sprawią, by wasza wiara w Trójkę Świętą stała się najgorszą z herezji. Dlatego też, z twojego punktu widzenia, starają się siłą zmieniać wszystkich, żydów i chrześcijan. Starali się i mnie zmienić, gdy mieszkalem w Sewilli, i z ich winy musiałem uchodźić... – Przerwał i odetchnął głęboko. – Nigdy nie było mi z nimi po drodze, wiedzieli to. Nie mogli pozwolić, by ktoś, kto nie jest jednym z nich, zajmował tak ważne

stanowisko. Prześladowali mnie, usiłując zniszczyć moją karierę, mój prestiż, moją pozycję. Zagrozili mi śmiercią, w końcu musiałem porzucić wszystko i uciekać, tak samo jak i ty. – Wpatrywał się w niego uparczywie. – Diego... oni ucieleśniają wolę demonów, uwierz mi. Błądzą, ich droga nie jest słuszna. Moja religia jest wielkoduszna, nie popycha do zła, zbudowana jest na miłości i współczuciu, tak samo jak i twoja.

Diego spojrział na Galiba oczyma pełnymi łez.

– Mówicie pięknymi słowy, w których zdaje się tkwić prawda. Bez wątplenia, wciąż czuję mnóstwo nienawiści... Serce moje skrywa zbyt wiele bólu, tak wiele, że nie pozwala mi on dostrzec, kto jest mym prawdziwym wrogiem.

Galib bez wahania przytulił go do siebie, kojąc jego płacz. Przez chwilę wzruszył się, doznając ojcowskich uczuć. Jego ciało przebiegł przyjemny dreszcz.

– Musisz nauczyć się arabskiego, Diego. Gdy zbliżysz się do naszej kultury, nauczysz się ją kochać. Moja żona może ci pomóc. By poznać mowę koni, musisz zrozumieć mowę pustyni, skoro Allah tak chciał. A gdy ją opanujesz, zaczniesz myśleć jak nasi najznakomitsi mędracy. Zrozumiesz, czemu sam Allah posłużył się nią, by objawiać nam swe prawa. Jej piękny dźwięk pieścić będzie twe usta. Jej tony zmiękczą twe podniebienie, usłyszysz w nich miłosne szepty i podmuchy wiatru.

Najpierw nauczyła go cyfr, później liter i ich brzmień. Następnie prostych zwrotów, każąc mu powtarzać je niezliczone ilości razy, aż był w stanie odtworzyć najdrobniejszy ich niuans, każdy odcień ich dźwięku. Później zajęli się czasownikami, po nich całym słownikiem. Tysiące słów o skomplikowanych brzmieniach, chociaż pięknych, to czasem szeleszczących, szorstkich, wstrzymujących oddech.

Diego skończył już prawie szesnaście lat, a Benazir miała niewiele ponad trzydzieści. Nigdy nie spędzał tyle czasu tak blisko kobiety – oprócz matki, którą ledwie pamiętał, i swoich trzech sióstr. Każdego ranka, po skończeniu swych robót w kuźni i wypełnieniu jakichś poleceń, które zostawiał dla niego Sajjad, udawał się do dużego domu.

Do tej pory prawie nie miał okazji słyszeć głosu Benazir. Odkąd za pozwoleniem Galiba spotykali się codziennie, głos ten urzekał go swą muzyką. Gdy mówiła, jej słowa płynęły jedwabście, aż zderzały się z woalką okrywającą jej twarz, niemal eteryczną, by wkrótce rozpląnąć się w powietrzu jak lekka bryza.

Codziennie Diego przychodził do jadalni i czekał na nią, powtarzając w pamięci nauki poprzedniego dnia. To oczekiwanie stało się najbardziej przejmującą i upragnioną chwilą. Spotkanie z Benazir stanowiło całe misterium. Każdego dnia zakładała inną tunikę, a jeśli nie, zmieniała kubrak.

Bambusze miała we wszystkich kolorach, do tego setki kokardek, złote ozdóbki w najrozmaitszych kształtach i ponad tuzin różnych szarf, którymi przewiązywała się w pasie. Tylko jedna rzecz była stale taka sama – jej perfumy. Była to mieszanina drewna sandałowego i fiołków, upajający aromat, który odurzał zmysły.

Siadali obok siebie, na wygodnych poduchach umieszczonych na przepięknym dywanie, przywiezionym z jej rodzinnego kraju, Persji. Nogi składała z boku, a na kolanach trzymała tabliczkę, na której pisała różne słowa. Ku jego zdumieniu robiła to od prawej do lewej strony, odwrotnie niż on. Czasem, gdy podawała mu kawałek kredy, ich dłonie muskały się. Te delikatne kontakty początkowo zdarzały się przypadkiem, lecz później Diego zaczął szukać do nich okazji.

Nie była to zwykła kobieta. Była samą esencją kobiecości. Blask i gładkość jej skóry, kształtność jej ciała, widoczna czasem spod lniających szat, targały Diegiem jak palmą na wietrze.

Budziły się w nim niekończące się pragnienia, z początku hamowane, by przerodzić się w gwałtowne pokusy.

Pewnego dnia Benazir po raz pierwszy podniosła woalkę, by wymówić jakieś skomplikowane słowo.

– Przyjrzyj się dokładnie moim wargom i spróbuj ułożyć swoje w taki sam sposób.

Zrobił tak, natychmiast porażony ich cudownym wyglądem. Zająknął się parę razy, nim w końcu spróbował wymówić słowo.

– Nie, nie, nie. Musisz naciskać bardziej górną wargę i odbijać dźwięk od podniebienia. Spójrz...

Wzięła jego rękę i poprowadziła opuszki jego palców do swych warg. Kilka razy powtórzyła słowo.

– Czujesz różnicę?

Diego odetchnął trzy razy, nim odzyskał nad sobą kontrolę i opanował pragnienie złożenia na tych prześlicznych ustach pocałunku. Czując jej słodki dotyk, myślał, że umrze. Spróbował wymówić słowo niestarannie, by znowu doznać pieśczozy. Benazir wyszła naprzeciw jego myślom i położyła mu dwa palce na ustach.

– Spróbuj jeszcze raz.

Diego w samotności rozkoszował się tym zmysłowym wspomnieniem, jak i innymi szczegółami, które wydarzyły się przez kolejne sześć miesięcy. Ale ten dzień był wyjątkowy. Powąchał swoją rękę i zaciągnął się resztkami woni, którą zostawiła na niej Benazir. Zapraagnął jej jeszcze bardziej. Czuł się zawstydzony, bo była to przecież żona Galiba.

Siła instynktu, rozpierająca go młodość, zmysłowość, którą budziła Benazir każdym skrawkiem swojej skóry, przeważały nad świadomością popełnianego błędu.

XII

Ich nagie ciała przeszły dreszcze, gdy poczuły letnią bryzę.

To oddech pustyni, wpadający przez okna luksusowego haremu kalifa Yusufa ibn Jakuba w Marrakeszu, a one były dwiema nowymi niewolnicami, sprowadzonymi dla jego uciechy.

Wyszły z pomieszczenia wypełnionego parą wodną. Leżały na marmurowych stołach, czując tarcie szorstkich rękawic. Jakieś kobiety szorowały je, mało nie zdzierając im skóry. Za to co jakiś czas przygotowywano dla nich przyjemną kąpiel w letniej wodzie.

Blanca i Estela spojrzały po sobie. Przespały cały dzień po długiej i męczącej podróży, najpierw wiele tygodni wozem, potem dwa dni statkiem i wreszcie jeszcze cztery dni konno.

Tego ranka od pierwszych chwil zajęła się nimi grupa kobiet, które zaczęły od tego, że rozebrały je do naga. Bez wahania oglądały dokładnie ich miejsca intymne, ze śmiechem i niedowierzaniem pokazywały sobie ich rude włosy. Blanca i Estela czuły się upokorzone. Ledwie mogły stawić jakikolwiek opór.

- Co nam zrobią? – Estela przerażona patrzyła na starszą siostrę.
- Nie wiem, ale obawiam się, że wkrótce się dowiemy...

Blanca wyjrzała przez wysokie, sięgające podłogi okno. Widać było przez nie wspaniałą sadzawkę pokrytą taflą spokojnej, błękitnej wody. W dali przepiękne góry wspięły się nad horyzontem swe ośnieżone szczyty.

Łza stoczyła się po jej policzku, gdy wyobraziła sobie, ile jeszcze upokorzeń i cierpienia czeka je teraz w tym pałacu, gdzie zamkną je zapewne jako niewolnice jakiegoś wielkiego pana.

Estela usiłowała odsunąć od siebie kobietę o okrągłym ciele i zimnym spojrzeniu, która badała jędrność jej piersi, ale ta nie zwróciła na to uwagi i zajęła się jej udami i pośladkami. Blanca udała, że się potknęła, i upadła na kobietę, żeby odepchnąć ją od swojej siostry. Spotkał ją za to siarczysty policzek i stek arabskich przekleństw. Kobieta, rozwścieczona, zaczęła je popychać, chcąc je zabrać do innego pomieszczenia.

Prowadziła je za ręce i tak szły kompletnie nagie, co nikogo zdawało się nie obchodzić.

Kolejna komnata była cała wyłożona różowym marmurem. W jej środku znajdował się basen. Blanca i Estela musiały położyć się tak, by ich głowy znalazły się nad samą wodą. Dwie dziewczyny o ciemnych oczach i oliwkowej skórze, prawie w ich wieku, weszły do basenu i umyły im włosy. Rękami wysmarowanymi kolorową mazią niespiesznie wymasowały im głowy. Potem spłukały, raz i drugi, aż włosy ich stały się miękkie i jedwabiste. Podczas gdy schły, wyszorowały im stopy szorstkimi kamieniami, aż stały się całkiem gładkie. W końcu poszły, nie powiedziawszy ani słowa.

Estela okryła się ręcznikiem. Wspomniała zajazd i rodzinę.

– Co dzień modłę się za Belinę, myślę też o ojcu i o Diegu... Coś mi jednak mówi, że już ich nie zobaczymy.

– Nie mów tak! – zaperzyła się Blanca.

– Wiesz dobrze, że mam rację...

Znów weszły kobiety. Wniosły misy i dymiące dzbany. Rozszedł się słodki zapach karmelu z nutką cytryny.

Z powrotem kazały im się położyć i każda wzięła drewniany patyczek. Nabierały nimi lepką pomadę i nakładały dziewczynom na ręce, nogi, pachy, łona. Każdy włoszek na ich ciałach został przykryty mazią pozostawioną do wyschnięcia. Gdy kobiety zaczęły ją zdejmować, zwłaszcza w najbardziej wrażliwych miejscach, Estela wyła z bólu i nie mogła powstrzymać łez.

Następnie kobiety odkorkowały niewielkie słoiczki i nabrały na palce odrobinę białej pasty. Ku zdziwieniu dziewczyn, wciągnęły ją nosem. Potem znów wzięły po drobinie, podeszły do nich i mimo oporu siostr wtarły im ją do nozdrzy. Natychmiast poczuły się oszołomione,

po chwili nadszedł dziwny błogostan, jakby unosiły się w powietrzu. Na wpół oglupione, nie skarżyły się już na dalszy ciąg depilacji ani tym bardziej na chłodną wodę, do której je wsadzono, by ukoić piekący ból.

Pośród drzewek pomarańczowych i migdałowców, w ogrodach okalających wielki pałacowy staw, rozmawiało dwóch mężczyzn.

Jeden z nich reprezentował najwyższą władzę imperium obejmującego północ Afryki i al-Ándalus: imperium Almohadów. Był to sam kalif Yusuf ibn Jakub. Drugim był chrześcijanin, rycerz wysokiego rodu. Oprócz złota, które otrzymywał od tego pierwszego, i obietnicy wielkiego majątku w zamian za swe przysługi, tym, czego pożądał najbardziej w świecie, była klęska kastylijskiego króla, jego najgorszego wroga. Ogromna blizna szpeciła mu twarz na całej szerokości. Suche powietrze południa sprawiło, że rana odezwała się znów, by przypomnieć, kto i kiedy mu ją zadał.

Minęło już pięć lat, wciąż jednak pamiętał szablę króla Alfonsa tnącą mu twarz i ów niewiarygodny ból. Przyjaźń, która łączyła ich od dziecka, legła w gruzach, gdy król poparł klan Larów w sporze prowadzonym z jego rodziną, rodem de Mora. Przegrana oznaczała utratę olbrzymich posiadłości. Don Pedro starał się z całych sił, by do tego nie dopuścić. Ponieważ wiedział o udziale monarchy w całej sprawie i był świadomy bezzasadności swych roszczeń, nie zawahał się przekroczyć wszelkich granic, by zaszkodzić Alfonsowi. Posunął się do tego, że zagroził mu, iż publicznie wyjawia zażyłą relację, którą monarcha utrzymywał z pewną tolekańską Żydówką. To nieprawe zachowanie musiał przypłacić bolesnym ciosem ze strony Alfonsa VIII i wiecznym wygnaniem z Kastylii.

Kalif zdawał sobie sprawę, czego może oczekiwać od tego człowieka, nie zapominając, że w istocie ma do czynienia ze zdrajcą. Nazwisko Mora, niegdyś tak znamienite w Kastylii, jak Lara czy Castro, teraz popadło w niełaskę z jakichś względów – jemu nieznanym, jednak wystarczająco poważnym, by wzbudzić u tego, kto je nosił, nienawiść do króla.

Przyjaźń chrześcijanina opłacała się Yusufowi, więc hojnie płacił za jego przysługi. Ale zachowywał też wobec niego ostrożność i czujnie go obserwował.

– Nasza święta wojna przypomina ową grę, którą nie każdy poeta odważa się rozpocząć. Znać ją, don Pedro?

– Nie, panie. Niewiele zakosztowałem poezji.

Spojrzał na niego z pogardą. On poezję ubóstwiał. Rozwijać przymioty ducha przez sztuki piękne to był najcenniejszy dar, jaki mógł posiadać człowiek.

– Polega na układaniu na bieżąco wiersza, który drugi poeta musi dokończyć. Czy coś wam to mówi?

– Wydaje mi się, że widziałem to kiedyś w al-Ándalus.

– Możliwe. Jest to tam dość popularne, również wśród ludności wiejskiej. Wojna, którą prowadzimy obecnie z kastylijskim królem, toczy się w sposób podobny do tej gry. Pierwszy wers napisałem ja – zwyciężając pod Alarcos. Następnie królowie Leónu i Portugalii dodali swój rym, gdy zawarli ze mną przymierze. Teraz moja kolej i to wy winniście mi pomóc ułożyć mój rym.

– Jakże to?

Yusuf zaśmiał się, widząc jego zdziwienie.

– Pojedźcie na rozmowy z Sanchem z Nawarry. Trzeba skłonić go, by również podpisał ze mną pokój. Wam pozostawiam decyzję, jak to zrobić. Użyjcie wszystkich koniecznych metod. Kupcie go, weźcie na ambicję, znajdźcie jego słaby punkt. Dajcie mu tyle złota, ile zechce, jeśli tylko tego pragnie. Jeśli nam się uda, podzielimy królestwa i będziemy mogli pokonać Alfonsa Kastylijskiego. Zamierzam wkroczyć od zachodu, najpierw wziąć Trujillo i Plasencję, potem przekroczyć wielką rzekę Tag i odbić Toledo. W ten sposób dokończymy wiersz i wygramy grę.

– Znakomity plan, panie... Podziwiam was.

Kalif z dumą zachłysnął się suchym powietrzem pustyni, wymieszanym z zapachem, który wydzielał ogromny jaśmin. Wierzył w powodzenie swego planu. Był pewien, że chrześcijanie zawsze powtarzają te same błędy: wykazują zachłanność w powiększaniu swoich terytoriów i obsesyjną potrzebę odróżnienia się od pozostałych.

Siostry, przestraszone, weszły do okrągłej sali, gdzie znajdowała się grupa kobiet siedzących na podłodze. Wszystkie słuchały jednej, starszej od nich. Miały na sobie przewiewne szaty, perfumowane jedwabie i zdawały się uspięone muzyką słów, które wydobywały się z jej ust.

Podeszła do nich młoda dziewczyna o czarnej skórze i wskazała przeznaczone im miejsca. Siostry spojrzały po sobie, nie wiedząc, co jeszcze może być dla nich przygotowane. Zobaczyły dziewczynę szykującą w naczyniu mieszankę z ryżowego proszku i białek z jaj. Podeszła do nich, by rozprowadzić im ją po twarzach. Pomadą z kadzidla i węgla przyciemniła im rzęsy i brwi, a powieki pomalowała czerwonym kremem.

Inne kobiety pokazywały jej, szepcząc między sobą i chichocząc. Jedna z nich, o jasnych włosach, niebieskich oczach i delikatnych rysach, wstała i zbliżyła się do nich. Wyglądała na chrześcijankę.

– Mam na imię Jasmin. Znajdujecie się w haremie wielkiego kalifa Yusufa, a ja jestem jego ulubioną żoną. Spisujcie się dobrze, a czeka was tu spokojne i przyjemne życie.

Ku ich zdziwieniu kobieta mówiła po hiszpańsku, dzięki czemu poczuły pewną ulgę. Blanca chciała coś powiedzieć, ale kobieta dała jej znak, by tego nie robiła. Bez słowa odsunęła jej woalkę, zajrzała do ust i powąchała oddech. To samo zrobiła Esteli. Następnie wydała rozkaz po arabsku dwóm dziewczynom, a te gdzieś szybko pobiegły.

– Zostałyśmy porwane... – szepnęła jej do ucha Estela.

W swej niewinności sądziła, że kobieta ta może im pomóc, poznawszy ich nieszczęście. Ta jednak nie tylko nie okazała żadnego współczucia, lecz jeszcze zaśmiała się okrutnie.

– Dawno nie słyszałam czegoś tak śmiesznego – wytarła z oczu łzy. – Mówicie do pierwszej żony kalifa i matki dziedzica. Owszem, urodziłam się chrześcijanką, na waszych ziemiach, ale potem wyszłam za Yusufa i należę do niego, jak i do Allaha. Zajmuję się tym haremem, mieszkam tu z jego pozostałymi żonami. Ponadto jest tu też dwieście jego nałożnic i drugie tyle artystów, którzy służą jego rozrywce tańcami, śpiewem i poezją.

Dwie dziewczyny, które wybiegły, powróciły teraz, trzymając coś w dłoniach.

– Wybielimy wam zęby mieloną skorupką jaja. Potem czekajcie na pozwolenie wstępu.

– Wstępu dokąd?

Kobieta wymierzyła jej głośny policzek.

– Nie waż się więcej odzywać do mnie bez pozwolenia. Rozumiesz?

Obydwie przytaknęły skinieniem głowy.

– Stworzona jestem przez Allaha dla chwały pana mego i dumnie kroczę swoją własną ścieżką. Daję memu kochankowi władzę nad moim ciałem, a pocałunki ofiarowuję temu, kto ich pragnie – wyrecytowała bez zająknięcia. Chwilę przyglądała się im uważnie. – Te wersy napisane zostały przez wielką kordobańską poetkę. Tej nocy wy wypełnicie ich znaczenie. Ofiarujcie wasze pocałunki temu, kto ich zapagnie...

Marrakesz był stolicą almohadzkiego imperium. Uświetniały go zarówno wspaniałe budowle, jak i artyści, myśliciele i mędrcy. Z rozległego tarasu pałacowego widać było słońce, które miało za chwilę zniknąć za nieboskłonem. Miasto szykowało się do nocnego życia. Nowy meczet lśnił dumnie strzelistym minaretem, którego dokładną kopię wzniesiono w Sewilli. Słońce zaszło, zapłonęły pierwsze pochodnie.

– Czy wasza wysokość życzy sobie herbaty?

Kalif Yusuf podniósł dłoń i parę razy nią potrząsnął. W ten szczególny sposób zwykł mawiać, że tak. Rozłożony na miękkich poduchach i skórach leoparda kontemplował zapadający zmierzch. Po domach, placach i uliczkach pięknego miasta rozlewała się imponująca gama barw: ugrów, miedzi i odcieni pomarańczy.

Jego uszu dobiegła delikatna melodia, która wywołała w nim dreszcz rozkoszy. Uwielbiał muzykę. Odetchnął powietrzem nocy, posmakował unoszących się w nim ciepłych nut i poczuł, jak wyostrażają mu się wszystkie zmysły. Jedno skinienie dłoni i pojawił się sługa. Rozkazał przyprowadzić tancerki.

– Byłbym zapomniał, przywożłem wam prezent z ostatniej podróży.

– Cieszę mnie niespodzianki – oczy kalifa zabłysły z przejęcia. – Cóż to może być? – zamyślił się. – Wiecie, że pasjonuję się literaturą... Już wiem. Macie dla mnie jakiś nowy rękopis ocalony z biblioteki kordobańskiej...

– Nie. Ubolewam, że nie mogę zadowolić was pod tym względem. Liczę jednak, że prezent mój będzie wam słodszy. Wkrótce się dowiecie – tajemniczo odrzekł don Pedro de Mora.

Ledwie parę chwil później klęczały przed nimi dwie drżące kobiety, popychane przez służbę. Spojrzały na don Pedra i zdjęła je trwoga. Ten nikczemnik podczas podróży zhańbił je wielokrotnie.

– Oto mój prezent. Dwie prześliczne chrześcijanki, do tego siostry. Spójrzcie na te ciała, na te twarze. – Ściągnął okrywające je chusty i rozsypały się ich długie, rude włosy.

Yusuf rozkazał im podejść, żeby lepiej się przyjrzeć. Wzburzone, odmówiły, ale popchnięto je w jego stronę. Ujął podbródek Blanki i pocałował ją w usta. Potem wziął kosmyk jej włosów i przytknął do nosa, chłonąc ich zapach, drugą ręką pieszcząc jej pierś.

Patrzyła na niego z obrzydzeniem.

Potem dotknął ud Esteli. Zachwyciła go ich miękkość i jędrność. Jej wargi spodobały mu się jeszcze bardziej.

– Szanowny przyjacielu, wasze prezenty są zawsze trafione. Oby udało się wam tak samo dobrze spełnić moje prośby.

Skinieniem ręki wezwał swego osobistego sługę i sekretarza.

– Zaprowadźcie je do sypialni i przygotujcie wszystkim.

XIII

Fatima przygotowała obfitą i wystawną kolację.

Diego i Galib byli oczarowani przyjęciem, jakie zgotował dla nich Kabirma i jego córka Fatima. Widać było, że dołożyli wszelkich starań, by weterynarzowi i jego pomocnikowi niczego nie zabrakło i by czuli się świetnie. Fatima spędziła wiele godzin w kuchni, przyrządzając rozmaite dania i przystawki, by zaoferować gościom najznakomitsze kulinarne specjały.

– Droga Fatimo, możesz mi wierzyć lub nie, ale zapewniam cię, że nigdy nie jadłem takiego tortu jak twój. – Galib przymknął oczy i rozsmakował się. – Taki, taki... wyborny, mięciutki, a zarazem wyrazisty... Zaiste, wspaniały.

– Jesteście bardzo mili, ale to chyba niezasłużone pochwały... – zarumieniona podała mu tacę z dokładką.

– Najpierw przyprowadzasz mi pilnego i starannego pomocnika, a potem okazujesz niezwykle zdolności kulinarne... Kabirmo, twoja córka to prawdziwy skarb... – zwrócił się do ojca.

– Fatima jest wyjątkowa – odrzekł Kabirma. – Matka jej niczego nauczyć nie mogła, zmarła, gdy była małą dziewczynką, ale to bez wątpienia po niej odziedziczyła kulinarny talent – pieczołtliwie uszczypnął ją w policzek. – Muszę powiedzieć, że tę potrawę zrobiła nawet lepiej niż jej matka.

– Przestańcie tyle gadać i zabierzcie się do jedzenia... bo wystygnie.

Dziewczyna usiadła obok Diega. Chociaż od dnia, gdy się poznali, więcej się nie widzieli, bardzo cieszyła się, że sprawy potoczyły się

pomyślnie. Była szczęśliwa, że mogła mu pomóc, gdy był w największej rozpaczce.

– To prawdziwe szczęście, że cię spotkałem tamtego dnia – przyznał Diego.

– Teraz wyglądasz zupełnie inaczej. Byłeś taki smutny i wygłodniały... a na domiar złego mój ojciec cisnął w ciebie kamieniem, nawet cię nie znając. Musiałam ulitować się nad tobą.

– Pamiętam... – powiedział Kabirma. – Myślałem, że jesteś zwykłym łotrzykiem.

Diego spojrział na dziewczynę. Choć wcale się nie widywali, czuł do niej wielką sympatię. Wyglądała młodo i dziarsko. Jej twarz pokryta była piegami, a usta miała wąskie i wyraziste. Głębokie, bardzo ciemne oczy pasowały do karnacji skóry. Miała smukłe ciało, kształtną figurę i bardzo zgrabne nogi. Zważywszy na wszystkie te zalety, dziewczyna mogłaby mieć każdego, kogo by zechciała. Nie można było jednak powiedzieć o niej, że jest kokietką. Wprost przeciwnie.

Na swój sposób była trochę podobna do Diega. Oboje stracili matkę we wczesnym dzieciństwie, obojgu ich wiek stawał na przeszkodzie do kariery i szybkiego rozpoczęcia pracy. Każde z nich zdążyło już poznać znaczenie takich słów, jak poświęcenie, wyrzeczenie i znój.

Choć przez cały ten czas się nie widzieli, Diego postrzegał Fatimę jako osobę szczerą, otwartą, z którą bez obaw można było porozmawiać o wszystkim. Miał ją za przyjaciółkę.

Odkąd Diego zaczął pracować dla Galiba, nigdy więcej nie poszedł na plac Zocodover. Miał tyle pracy, że jeśli opuszczał stajnię swego mistrza, to najwyżej po to, by towarzyszyć mu w jakiejś wizycie.

Co innego Galib, z którym Kabirma spotykał się czasem, gdy potrzebował upewnić się co do stanu zdrowia koni przy kosztownych transakcjach.

Kabirma z Jerezu był bez wątpienia najlepszym handlarzem końmi arabskimi w Toledo. Znano go w całej Kastylii. Jeśli ktoś szukał naprawdę niezłej sztuki tej rasy, nie sposób było ją znaleźć na innym stoisku bazaru. Wszyscy obracający się w owym światku szanowali go, na co zapracował sobie, obracając zawsze towarem najwyższej jakości w rozsądnej cenie.

Nikt nie wiedział, kto dostarcza mu koni. Był to jego największy sekret, na nim bowiem opierał się jego sukces. Jednakże pod tym względem od pewnego czasu zaczął mieć istotne problemy, a ściślej mówiąc, ogromne problemy. Jego najlepszy dostawca zawodził go coraz częściej, a ostatnia partia otrzymana od niego to było już kompletne fiasko.

Wraz z nieszczęsną przesyłką na domiar złego przyszedł list, w którym jego człowiek z al-Ándalus pisał, że to ostatnia dostawa, jaką mu wysyła, ponieważ utracił prawo sprzedaży.

Z owej dostawy pozostał tylko jeszcze jeden ogier, którego nie udało się sprzedać ze względu na opłakany stan jego kopyt. Musiał przejść leczenie korekcyjne, by mógł być wystawiony na sprzedaż. Kupiec pomyślał o Galibie i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zawołał Fatimę i poprosił ją, aby przygotowała dobrą kolację. Miał interes do ubicia.

– To typowe słodycze z Gadir*.

* Dawna nazwa Kadyksu.

Fatima postawiła tacę na stole i znów usiadła koło Diega. Przed chwilą widziała, jak razem z Galibem leczył konia, i była zachwycona jego zręcznością.

Ani ojciec, ani córka nie podchodzili wcześniej do tamtego ogiera. Był zbyt dziki. Już wiele razy wierzgał kopytami, gdy tylko ktoś się zbliżał. Diego bez wahania wszedł do stajni, choć na jego widok zwierzę zaczęło pnieć się ze złości. Chłopak podszedł je od tyłu i spokojnie uderzał lekko po zadzie. Wkrótce potem usłyszeli, jak wydaje jakieś dźwięki, uspokajając konia, aż ten stał się potulny jak baranek. Wtedy Galib mógł chwycić po kolei każde z jego kopyt i przytrzymując między nogami, popracować nad zmniejszeniem ich deformacji. Następnie

przy użyciu blaszek wypełnionych gliną wymodelował podeszwy, a potem polecił Diegowi, by założył na nie prowizoryczne podkowy. Nazajutrz będzie już można podkuć konia na dobre.

Fatima podała im anyżówkę i inne ciasteczka, tym razem z miodem i migdałami.

Galib i jej ojciec debatowali o konieczności ulepszenia rasy normandzkiej i brytyjskiej, klasycznych koni bojowych, przez wymieszczenie ich z rasą arabską. Zwierzęta byłyby lżejsze i zwinniejsze w walce.

– Bretan, na którym jeżdżą chrześcijanie, to kawał zwierza. Arab natomiast jest szlachetny, lekki i pełen wigoru. Ma w sobie gibkość, której tamtemu wyraźnie brak.

– Gdybyśmy je skrzyżowali, wpompowalibyśmy w żyły chrześcijańskich koni energię, którą mają zwierzęta urodzone pośród wydm w palącym słońcu. – Galib kochał tę rasę niemal tak bardzo jak swą pracę.

– Chrześcijańska kawaleria przystosowana jest do burzenia, niszczenia wszystkiego, co napotka na swej drodze – argumentował Kabirma. – Jeśli pozbawicie mocy jej rumaki, nie udźwigną ciężkiego uzbrojenia.

– Tak, ale ich nieprzyjaciel szybciej porusza się konno. Atakuje zniecka, ucieka błyskawicznie, czym rozbija klasyczną koncepcję walki chrześcijan. Ich wojenni stratedzy powinni zastanowić się nad zmianą wierzchowców, bo jeśli nie, to marnie skończą.

Galib spróbował jednej z past migdałowych i jęknął z rozkoszy, gdy poczuł smak cynamonu i sezamu, których dodała Fatima. Chciał ją pochwalić, ale Kabirma przerwał mu w pół słowa.

– Jeśli mielibyście rację, to brakuje sporo ogierów...

– Któż lepiej od was zająłby się tą sprawą?

– Muszę wam coś wyznać... – Kabirma wstał i zaczął dreptać gorączkowo wokół swego gościa.

– Czy coś wam się stało? – zaniepokoił się Galib na widok jego posępnego wyrazu twarzy.

– Pamiętam, jak kiedyś wspominaliście o tabunie z nadmorskich mokradeł. Chciałbym dowiedzieć się więcej.

– Istotnie, wspominałem, nie rozumiem jednak waszego nagłego zainteresowania.

– Dobrze, wytłumaczę to. Przedtem jednak chciałbym coś wam wyznać i bardzo przy tym proszę o dyskrecję.

– Oczywiście.

– Chodzi o to, że mam bardzo poważny kłopot z moim obecnym dostawcą koni arabskich. Zdaje się, że popadł w niełaskę gubernatora al-Ándalus, a bez jego pozwolenia nie może ze mną handlować. Bez niego nie mam szans. Toledo nie zobaczy już ani sztuki więcej tej rasy. Tak się sprawy mają.

– To byłoby szaleństwem. – Galib odgadł, co mogło chodzić po głowie jerezańcykowi. – To skarb kalifa, spuścizna jego przodków, coś wyjątkowego. Jego oczko w głowie, którego dobrze pilnuje i do którego nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby się zbliżyć, a co dopiero wyprowadzić jakieś sztuki... Poza tym, poznałyby mnie... Zapomnij o tym, Kabirmo, to zbyt ryzykowne.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Jednak Kabirma wiedział, o czym mówi Galib.

– Znam taki jeden prawie nieuczęszczany szlak. Nie ponieśliśmy żadnego ryzyka. Ta podróż wcale nie jest taka niebezpieczna. Ja mówię, że to jest do zrobienia... – powiedział twardo.

Diego zrozumiał, o czym mówią, i pomyślał, że mogłaby to być długo przez niego oczekiwana okazja.

– Ja mógłbym wam towarzyszyć! Możecie na mnie liczyć.

Fatima spoglądała na nich, zaskoczona.

Galib podrapał się w brodę. Wzrok jego zdawał się błądzić gdzieś daleko.

– Nie ma dnia, bym nie marzył o powrocie do tabunu z nadmorskich mokradeł, do tej ziemi błogosławionej przez Allaha, pięknej tak, że drugiej takiej nie ma na świecie. Tam, pośród ciepłych i urodzajnych lagun, żyją najwspanialsze konie arabskiej krwi, jakie kiedykolwiek istniały. Biegają tam i pasą się swobodnie.

Po raz pierwszy Diego słyszał, by Galib opowiadał o jakimś miejscu z taką pasją.

– Wezbrane wody, na nich tysiące ptactwa. Szalony taniec refleksów świetlnych na lagunach. Ziemia staje w pomarańczach i ugrach, gdy słońce zmierza ku zachodowi, by skryć się za morzem.

Nagle przebudził się ze swego snu i zwrócił do obecnych.

– Ponad dwieście lat temu, największy z największych, nasz pierwszy kalif Abderraman III, posiadał najpiękniejsze w świecie stado koni arabskich i berberyjskich. Przeniósł je do miasta, które rozkazał zbudować z miłości do swej małżonki Zahary. Nazwał je Medina Azahara. Dziesiątki lat później kalif Almanzor zabrał stado na wyspy na rzece Gwadalkiwir, ziemie zwane *almadain* lub mokradłami nadmorskimi. Zebrano tam ze trzy tysiące klaczy i ponad sto ogierów. Dobrze wiem, bo byłem jednym z ostatnich nadzorców stada. Dbałem o nie jak o brylant, troszczyłem się i chroniłem, by utrzymać czystość jego rasy dla potomności. Niestety, musiałem je opuścić, gdy wraz z nadejściem nowych władz almohadzkich rozpoczęło się moje prześladowanie.

– Ile sztuk liczyło stado, gdy odjeżdżaliście? – Kabirma nie był w stanie sobie tego wyobrazić.

– Jakieś pięć tysięcy klaczy i dwieście ogierów.

– Na Allaha! Jedziemy po te konie! – zakończył Kabirma stanowczo.

Galib wspomniał znów o niebezpieczeństwach, które groziły w podróży i usiłował ją odwlec, ale Diego i Kabirma upierali się, by jechać, najlepiej przyszej wiosny.

– Powiadają, że w następnym roku mają podpisać nowy rozejm pomiędzy Kastylią i al-Ándalus. Może wtedy podróż nie będzie tak straszna – podpierał się zasłyszonymi od Kabirmy wieściami.

Galib spojrział po ich twarzach, już prawie gotów ulec namowom. Ujrzał w nich tę samą żądzę: by zobaczyć i przeżyć to jedyne w swym rodzaju przedstawienie.

– Zobaczymy... to jeszcze prawie rok.



– Czemu tak kochacie tę rasę koni?

Diego zawsze starał się wykorzystywać przejażdżki z Galibem do tego, by lepiej go poznać. Jego mądrość i dobro urzekały chłopca. Podziwiał tego człowieka, od którego tyle się uczył i którego tak bardzo szanował. Czuł się dumny, mogąc być u boku kogoś, kogo wszyscy słuchali i prosili o radę. Dlatego właśnie każdą chwilę, w której mógł być z nim sam na sam, starał się wykorzystać do maksimum.

Tego wieczoru, w drodze powrotnej do domu Galiba, po kolacji z Kabirmą i Fatimą, Diego zapragnął dowiedzieć się, co niezwykłego widział jego mistrz w owej rasi.

– Krąży między nami pewna legenda o tym, jak stworzony został koń arabski. Wedle opowieści kalifa Ali ibn Abu Taliba, kuzyna Mahometa, ożenionego z jego córką Fatimą, słyszał on ją z ust samego Proroka. A głosi ona tak:

„Kiedy Allah chciał stworzyć konia, rzekł do Południowego Wiatru:

– Zrobij z ciebie stworzenie, które będzie dumą moich bliskich, hańbą moich wrogów i obroną przed tymi, którzy odważą się na mnie napadać.

Odpowiedział Południowy Wiatr:

– Niechaj stanie się Twa wola, Panie.

Wziął On wtedy garść wiatru i stworzył konia, mówiąc:

– Moc spłynie na grzywę twą i grzbiet. Będziesz mym ulubionym spośród wszystkich zwierząt, albowiem uczyniłem cię panem i przyjacielem. Nie masz skrzydeł, ale dałem ci dar lotu, czy to do ataku, czy to do ucieczki. Posadzę ludzi na twym grzbiecie, będą modlić się, sławić mnie i wychwalać moje imię. Teraz idź! I przeżyj na pustyni przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Pość! I naucz się wytrzymywać pragnienie, ciało twe niech nabierze brązu, mięśnie twe niech się wyzbędą tłuszczu, bo z wiatru powstałeś i wiatrem bądź pędzącym.

Diega oczarowało piękno tej historii i nie mógł wydobyć słowa, tym bardziej że Galib znów zaczął mówić, odnosząc się teraz do jego klaczy.

– Twoja ukochana Sabba, w moim języku „Wschodni Wiatr”, zabierze cię w miejsca, które ci się nie śniły. Powiem ci, że od tej pory to konie będą cię prowadzić swoją drogą. Uczynią cię wielkim, Diego, właśnie tak. Dzięki nim zdołasz czynić dobro, wielkie dobro.

XIV

Piękno nigdy nie powinno być skrywane.

Tak pomyślał Diego, ujrawszy Benazir w burce, która skrywała jej twarz. Choć ledwie widział jej oczy przez cienką szczelinę, patrząc na nią, pomyślał, że nawet w takim stroju jest piękna i że czarny kolor jej pasuje.

Benazir i Diego szli uliczkami toledańskiego centrum. Poprosiła go, by towarzyszył jej w drodze do pracowni pewnego sławnego tłumacza, gdzie miała odebrać książkę dla Galiba.

Gerardo de Cremona, który dopiero co objął bibliotekę po pewnym zamożnym Żydzie, gdy tylko zobaczył ów traktat botaniczny, od razu pomyślał o weterynarzu.

– Czy czujecie się przy mnie nieswojo? – spytała Benazir Diega.

– Nie rozumiem.

– Chrześcijanin i muzułmanka razem. Komuś mogłoby się to nie spodobać. Galib nie chciał, żebyśmy wychodzili razem, ale mam nadzieję, że nic się nie stanie.

Małżonek zabronił jej wychodzić na ulicę, jeśli nie mógł jej towarzyszyć on sam lub Sajjad. Ale tym razem, jako że żaden z nich nie mógł iść, przekonała go, by pozwolił jej zabrać swojego pomocnika.

– A niech sobie myślą, co chcą... ja nie widzę w tym nic dziwnego – odparł Diego.

Benazir spojrzała nań z ukosa, nic nie mówiąc. Czasem nie wiedziała, jak powinna traktować tego chłopaka. Tak naprawdę, w ogóle nie wiedziała, jak kogo traktować.

Od przyjazdu do Toledo miała przeświadczenie, że wszystko, albo prawie wszystko, poszło jej jak najgorzej. Czuła się bardzo zawiedziona. Żyła uwięziona w tym domu, nie widując się prawie z nikim, jako obywatelka miasta drugiej kategorii, w środowisku chrześcijan, którzy gardzili nią, a nawet ją obrażali. Ale jeszcze gorzej czuła się, gdy wspominała lata spędzone w Sewilli jako córka ambasadora. Tam prowadziła ciekawe życie towarzyskie, pełne przyjęć i innych rozrywek, czując się jedną z najbardziej pożądanych i atrakcyjnych kobiet w stolicy almohadzkiej. Z całą pewnością wraz z zawarciem małżeństwa straciła sporą część swych planów i marzeń, niektóre z nich już na zawsze.

Kochała Galiba, ale już nie tak jak na początku. Gdy go poznała, miał prestiż, klasę, był jednym z najważniejszych i najbardziej wpływowych ludzi na dworze kalifa i jako taki był szanowany przez wszystkich. Zakochała się w mężczyźnie, ale również w jego pozycji. A teraz została z tego tylko połowa. W Sewilli Benazir oddychała pełną piersią, w Toledo dusiła się.

Dlatego, gdy pojawił się Diego, coś w niej zaczęło się zmieniać.

Ten chłopak jej potrzebował. Codziennie uczęszczał na lekcje arabskiego, tak jakby było to dla niego najważniejsze zadanie dnia. Podczas lekcji słuchał jej z takim przejęciem, że czuła się podziwiana. Diego starał się okiełznać swe poczucie krzywdy i nie oglądając się za siebie, wykorzystywał młodzieńczy zapał i bezinteresowność do skutecznej nauki. Inteligencja i wewnętrzne piękno młodzieńca zachwyciły Benazir i sprawiły, że jej dni wypełnił nowy sens.

Dostrzegła w Diegu tego samego ducha wolności, który i ją cechował. Podobała jej się jego młodość. Ale podziwiała też jego niesamowity talent do nauki. Ledwie czterech miesięcy pracy potrzebował, by wystarczająco swobodnie czytać i prowadzić rozmowę, czasem próbował nawet swych sił w poezji. Najbardziej jednak zwracała uwagę jego nieprzeciętną pamięć. Potrafił zapamiętać tekst, przeczytawszy go tylko raz, niezależnie od jego długości. Za każdym razem Benazir nie mogła wyjść z podziwu.

Młodzieniec miał jeszcze jedną cechę, która sprawiała, że jego

możliwości przyswajania wiedzy były nieograniczone: wytrwałość. Gdy raz sobie coś postanowił, nie spoczął, póki tego nie dokonał.

W ciągu ostatnich miesięcy żył obsesją podróży na nadmorskie mokradła. Od czasu kolacji u Kabirmy wciąż zapytywał Galiba, czy wyruszą przyszłej wiosny, ale on nie chciał na ten temat rozmawiać. Miał dużo pracy i dość zmartwień. Diego musiał w końcu pogodzić się z sytuacją, zająć się swymi codziennymi sprawami i odłożyć ten temat na lepsze czasy.

– Zamilkliście, pani – powiedział Diego, spoglądając na nią z ukosa.

Uśmiechnęła się przeproszająco, ale milczała dalej. Starał się zapomniać o przykrej scenie, która miała miejsce przed wyjściem, w stajni.

– Sajjad zawsze widzieć. Sajjad to nie podobać. Pani nie wasza... nie wasza.

– Cicho, nie gadaj tak! Pan cię usłyszy. Mówisz same głupstwa.

– Sajjad nie głupi. Pani piękna. Nie oszukać Sajjad.

Można by pomyśleć, że stary koniuszy obwołał się strażnikiem i obrońcą cnoty Benazir, i choć nie mylił się zbytnio, to w swych coraz częstszych zarzutach stawał się męczący. Poza tym, niezrozumiałe było, jak mógł się czegoś domyślać, skoro spotykali się tylko podczas lekcji, a Sajjad nie miał prawa wstępu do domu.

Gdy weszli do chrześcijańskiej dzielnicy Franków, gdzie znajdowała się pracownia de Cremony, Diego dostrzegł gesty niechęci ze strony niektórych przechodniów, którzy ich mijali.

– Krzywo na nas patrzą.

– To nie przez ciebie – odrzekła Benazir. – Nie pasuje im mój strój. Sama moja obecność im przeszkadza. Wielu z tych, których zwiecie ultramontanami, pochodzących z drugiej strony Pirenejów, chcieliby krucjaty, jak w Jerozolimie, żeby wygnać, jeśli nie wymordować, nas wszystkich.

Gdy weszli w uliczkę, gwałtowny podmuch wiatru prawie nie pozwolił im iść. Diego patrzył na Benazir. Na jej szaty przyklejone do ciała przez wiatr, który wymalował piękną figurę o bujnych kształtach.

Poczuł się źle. Tak pragnął dotykać jej swymi dłońmi, że... znenawidził za to sam siebie. Nie potrafił wyrazić tego, co się z nim dzieje, wiedział tylko, że nie powinien o tym nawet myśleć. Nie było mu z tym dobrze. Benazir była żoną jego mistrza i nie mógł zawieść jego zaufania taką zdradą. Nie chciał.

- Teraz to ty milczysz. O czym myślisz?
- O niczym. Nic ważnego.

Minęli tawernę, w drzwiach której rozmawiała grupa cudzoziemców. Jeden z nich zwrócił się do pozostałych i opowiedział jakiś nieprzyzwoity dowcip, z którego zaśmiali się wszyscy gromko, wskazując na Benazir. Diego wykonał gest, jakby chciał iść w ich stronę, ale kobieta powstrzymała go.

– Zostaw ich, nie warto – powiedziała po arabsku.

– Obrazili panią – odrzekł w jej języku, rozwścieczony, patrząc wyzywająco – a mężczyzna nie może pozwolić...

Benazir pociągnęła go i przyspieszyła kroku, dumna z jego postawy. Doszli do rogu i skręcili w szeroką ulicę, przy której znajdowała się pracownia tłumacza. Pośrodku ściany, okrytej rzędem nagietków i grządką szparagów, skrywały się solidne drzwi. Po ich lewej stronie drewniany herb obwieszczał, kto jest ich właścicielem.

Dwa razy zapukali i nikt nie odpowiedział. Weszli. W środku wyglądało to na sklep, ale bardzo dziwny. Długa lada, za którą nikt nie stał, nie było też nic na wystawach.

Chwilę poczekali, ale nikt się nie zjawił. Były tylko drzwi, które zdawały się prowadzić w głąb, na wpół uchylone. Gdy je popchnęli, zaskrzypiały głośno, co też nie wzbudziło zainteresowania właściciela. Benazir wetknęła głowę i stanęła, oczarowana zastanym widokiem. Skinęła na Diega.

– Chodź, popatrz co za cuda...

Była to prostokątna sala, niezbyt wielka, ale szczególnie urokliwa. Gruby słup światła padał z sufitu z czystego alabastru, odbijając się na dwóch wielkich stołach, które ciągnęły się od ściany do ściany, zostawiając między sobą szerokie przejście. Na nich spoczywały w ciszy setki ksiąg, przepięknie oprawionych w cudną, najwyższej jakości skórę

kordobańską. Staranne i zawile zakrętasy arabskich liter zdobiących ich okładki i grzbiety odbijały promienie słońca.

Przyjrząwszy się dokładniej, Diego rozpoznał dzieła wybitnych autorów muzułmańskich, częstokroć cytowanych przez Galiba, takich jak Averroes czy Abu Zakaria. Inni, jak Arystoteles, Heraklit czy Hipokrates, byli mu nieznanymi.

Jednym palcem przejechał po grzbietach. Pełen szacunku dla ich cennej zawartości, nie ośmielił się dotknąć żadnego z manuskryptów. Patrzył tylko na wszystkie, jeden po drugim, aż dotarł do końca sali, gdzie znajdowały się kolejne drzwi: dębowe, pięknie rzeźbione. Dochodził zza nich gruby, zachrypnięty głos. Ktoś deklamował długi wiersz po łacinie.

Benazir zdecydowanie otworzyła drzwi i weszła do kolejnego pomieszczenia, trochę mniejszego. Wewnątrz było trzech mężczyzn, którzy natychmiast odwrócili się z ciekawością.

– Czy ktoś z was to Gerardo de Cremona?

Jeden z nich, o bujnych siwych włosach spiętych w kitkę, opalonej skórze i małych, głęboko osadzonych oczkach, odłożył książkę, którą trzymał, i posłał jej uśmiech.

– Tak mnie zwą. Gerardo de Cremona, tłumacz. Jeden z wielu, którzy uprawiają dziś ten fach w mieście Toledo.

Obok niego był tam mnich o niechlujnym wyglądzie i jeszcze jeden osobnik o wychudłej twarzy, w ogromnym, żółtym turbanie.

– Czym możemy służyć?

– Ja jestem Benazir, żona weterynarza Galiba, a to jego pomocnik, Diego.

Twarz tłumacza rozjaśniła się. Przypomniawszy sobie zlecenie.

– Ach! Od weterynarza Galiba. Witajcie. Wejdźcie, proszę. Czujcie się jak u siebie w domu. Mam przygotowane jego zamówienie w innym miejscu.

Gerardo de Cremona skierował się do drzwi, które łączyły pokój z kolejnym pomieszczeniem, gdy sobie przypomniał, że nie przedstawił im obecnych.

– Ależ ze mnie niezgrabiasz! Wybaczcie. Sądzę, że nie znacie moich towarzyszy. Brat Benito, nie tylko pobożny kalatrawens, ale i wielki znawca łaciny. Nie zawsze z nami pracuje, tylko wówczas, gdy jego przeor da mu polecenie. – Wymieniony wstał i dobrodusznym gestem

powitał przybyłych. – Teraz mamy traktat *Cuestiones Divinas* (Boskie pytania) Awicenny*. Tłumaczymy go z arabskiego na hiszpański, a potem przełożymy na łacinę.

* Dzieło Awicenny *Ilahiyát*.

– Z jakiego powodu nie tłumaczy się od razu na łacinę? – zapytał Diego, zaciekawiony wszystkim, co widział i słyszał.

– Arabski to skomplikowany język. Jego samogłoski mogą różnie brzmieć. W zależności od tego, jak będą intonowane, jego znaczenie również się zmieni. Habimm ben Dussuf – wymieniony pochylił głowę i wykonał tradycyjne pozdrowienie – odpowiada za odczytanie oryginalnego tekstu, co jest podwójną zaletą, bo to nie tylko jego ojczysty język, ale też jako sławny teolog świetnie zna się na rzeczy. Gdy on odczytuje oryginał, ja tłumaczę na hiszpański, wasz język, a brat Benito przekłada na łacinę i zapisuje.

Habimm udał się do kąta, skąd wziął dzban z brązu, by poczęstować gości naparem.

– Choć wydawać się to może procesem zbyt żmudnym i pracochłonnym – ciągnął Gerardo de Cremona – w rzeczywistości tak nie jest. Zresztą dzisiaj okazuje się łatwiejsze znaleźć kogoś, kto znałby arabski i hiszpański niż arabski i łacinę naraz. Rozumiecie?

– Jakie księgi tłumaczycie? – Diego pociągnął łyk aromatycznego naparu o miodowym smaku i sandałowej woni.

– Zależy od nabywcy. Kościół ciekawia traktaty dotyczące myśli muzułmańskiej, żeby mieć pojęcie o tym, z czym walczy. – Brat Benito przytaknął, jakby utożsamiał się z tym w zupełności. – Najbardziej jednak pożądane są wciąż księgi naukowe i medyczne, autorstwa zarówno mędrców greckich, jak i medyków, filozofów i erudytów arabskich.

Sięgnął na półkę po opasły tom i z nabożną czcią, niczym skarb, wziął do rąk. Z okładki Diego odczytał imię Dioscoridesa.

– Z całej Europy tu po nie przyjeżdżają – ciągnął de Cremona. – Mądrość antyku zaginęła na Zachodzie wraz z końcem imperium rzymskiego. Przetrwiała tylko w Bizancjum. Wielu arabskich uczonych przepisywało dzieła klasyczne dla swych bibliotek w Bagdadzie, Damaszku czy Egipcie, gdzie je tłumaczono. Niektóre z tych słynnych traktatów zostały skopiowane i trafiły do najznamienitszych bibliotek w al-Ándalus, gdzie były czytane i przechowywane jak prawdziwe klejnoty wiedzy. Ale jakieś siedemdziesiąt lat temu liczni żydowscy i arabscy

mędrzy, obawiając się Almohadów i zbliżającego się fanatyzmu religijnego i kulturowego, musieli uchodzić. Toledo było dla nich idealnym miejscem i wielu z nich zamieszkało wśród nas. Tak zaczęło powstawać to, co dziś nazywamy szkołą tłumaczy – wielkie stowarzyszenie światłych osób, zajmujących się przekładaniem klasycznej mądrości z arabskiego na łacinę lub na hiszpański. Król Alfons Kastylijski znany jest jako największy mecenas owego przedsięwzięcia. Przyciągnął do Toledo wielu uczonych, którzy wciąż jeszcze uciekają przed jedynie słusznym światopoglądem Almohadów.

– Kto jeszcze kupuje wasze prace? – zapytał Diego, kartkując księgę, potraktowaną z takim pietyzmem.

– Nasi klienci pochodzą z najrozmaitszych uniwersytetów i szkół katedralnych. Płacą hojnie. Przeważnie poszukują prac filozoficznych autorów arabskich, jak ostatnio Awicenna, lub żydowskich, jak kordobańczyk Majmonides.

– W sąsiedniej sali widziałem przepiękny zbiór ksiąg, z których jedna zaciekała mnie szczególnie, chociaż nie wiem, ile może być warta.

Galib wielokrotnie wspominał mu o owym traktacie o weterynarii anonimowego autora, który miał stanowić pierwsze pisemne odwołanie do jego zawodu. Diego znalazł go na jednym ze stołów.

– Cóż, chłopcze, przykro mi to mówić, ale sądzę, że wartość tych ksiąg zdecydowanie przekracza twoje możliwości. Mam nadzieję, że cię to nie obraziło?

W tej chwili Benazir posłała mu dyskretny, ale znaczący gest. Tłumacz zrozumiał i natychmiast zareagował. Zaprosił gości do obejrzenia ksiązek.

Stał pomiędzy dwoma stołami i dłońmi przejechał nad ich zawartością.

– Oto cały mój księgozbiór. Wszystkie dzieła przetłumaczone przez moją grupę i parę innych, w ich oryginalnych językach. Zawsze, gdy widzę, że z któregoś został mi tylko jeden egzemplarz, wykonuję kopię i chowam ją w innym miejscu. Ale powiedzcie, która to wzbudziła wasze zainteresowanie?

Diego nabożnie wziął ją do rąk. Nagle uświadomił sobie, że to nieważne, jak bardzo pragnie ją mieć. Możliwe, że przez całe życie nie zdołałby jej spłacić.

– Ta.

– *Traktat o weterynarii* – przeczytał na głos właściciel. – Książka nieznanego autora. Podobno mógł napisać ją Kastylijczyk zamieszkały w Kordobie. Znakomity wybór, młodzieńcze. Uważana za pierwsze kompendium na temat końskich chorób i leków. Odpowiednia dla waszego przyszłego fachu, to prawda. – Otworzył i nagle coś sobie przypomniał. – Ale, niestety, muszę was zmartwić. Nie przetłumaczyliśmy jej jeszcze.

– Ale on zna arabski... – wtrąciła się Benazir.

– Naprawdę, rozumiesz po arabsku?

Diego otworzył książkę na jakiejś stronie i zaczął tłumaczyć pierwszy akapit. Gerardo de Cremona usiadł za jego plecami i przekonał się, że chłopak naprawdę rozumie wszystko, co czyta.

– Rzeczywiście, nie będziesz miał trudności w jej czytaniu.

– Nie sędzę, żebym był w stanie zapłacić, ale czy mógłbym przyjść któregoś dnia, by ją poczytać?

– Diego, pozwól, że ci ją подарuję! – zawołała Benazir pełna dumy z postępów swojego ucznia. – Zobaczysz, że nam się przyda w naszych lekcjach.

– Nie wiem, czy mogę... – wybełkotał Diego.

– Postanowione. Biorę dwie książki: dla mojego męża i tę.

Gdy byli już na ulicy, syciła się widokiem jego uśmiechu. Tulił do siebie książkę jak najdroższy skarb. Jego twarz wyrażała bezgraniczną radość. Benazir szła koło niego, zadowolona z tego, co zrobiła. Tak dobrze było jej z tym chłopcem, szlachetnym, prostolinijnym i utalentowanym.

Zerkała na niego z ukosa i spostrzegła, że on robi to samo.

Poczuła silną chęć, by go objąć, ale byli na środku ulicy. Nie wolno...

Parę ulic dalej mijali tych samych ludzi w tawernie, z których jeden ich rozpoznał.

– Zadawajcie się z Maurami – krzyknął – a przesiąkniecie ich złem!

Benazir nie chciała, by Diego nawet patrzył w jego stronę.

– Nie unos się, błagam – spuściła głowę i poprosiła go, by szedł dalej.

– Ale...

– Tacy dla nich jesteście, nic na to nie poradzisz. Nas też nazywają Maurami, Maurami króla, bo mu podlegamy, tak samo jak Żydzi. Jesteśmy mudejarami, wolnymi muzułmanami, którym wolno mieszkać, modlić się i pracować na chrześcijańskiej ziemi, ale w tych poplątanych czasach trudno o pokój. Taka jest prawda. Tak już jest.

– Zostaw nam swoją niewolnicę, a dogodzimy jej lepiej niż ty... – inny nie dawał za wygraną, czyniąc jeszcze obraźliwy gest.

Tego Diego nie mógł już wytrzymać i rzucił się na niego, chociaż tamten był najwyraźniej dwa razy starszy. Być może przez zaskoczenie zdołał powalić go na ziemię i obłożyć mu twarz pięściami, ale nie dał rady pozostałym. Nie zważając na lamente Benazir, runęli na niego jak lawina. W krótkim czasie całe ubranie chłopca przesiąkło krwią, która płynęła strumieniem w dół ulicy. Na całe szczęście, w porę zjawił się jakiś rycerz, jeszcze kilku sąsiadów i powstrzymali jatkę. Gdyby nie oni, mogłoby się to dla Diega fatalnie skończyć.

Parę godzin później chłopak odpoczywał w domu Galiba na wyraźną prośbę Benazir. Bolało go w boku. Lekarz, który go zbadał, nie znalazł złamań, ale kilka poważnie stłuczonych żeber i liczne zadrapania oraz krwiaki. Na najmocniej urażone miejsca nałożył mu gęsty wosk, co dosyć go pokrzepiło, po czym mocno je obandażował.

Od tej chwili Benazir nie odstępowała Diega ani na moment. Na piekące rany kładła mu mokre kompresy. Gdzie tylko dostrzegła stan zapalny, tam smarowała natychmiast maścią z wierzbowych liści. Do picia przyrządziła mu wierzbowy napar łagodzący bóle, a by osłodzić jego gorycz, dała mu kawałek trzciny cukrowej do gryzienia.

– Przykro mi, że wszystko to stało się z mojej winy. Winna wam jestem przysługę.

Zdjęła welon i wzięła jego rękę, całując ją z wdzięczności za jego postawę. Diego zauważył, jak jej oczy błędzą, szukając jego nagiego torsu, młodego i umięśnionego. Benazir patrzyła na niego, czując przemożną chęć, by go pieścić i całować, ale od razu porzuciła te myśli. Zmieszana, zerwała się w popłochu i wyszła na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Czujecie się źle? – spytał Diego zaskoczony jej gwałtowną reakcją.

– Gorzej niż sobie mogłam wyobrazić...

XV

Nawet gdy wychodziła, jej perfumy przez wiele godzin unosiły się w powietrzu.

Diego wachał swoje ręce, a tam była ona. Na pościeli też ją znalazł. Benazir często przebywała w tym pokoju.

Już cztery dni gościł w domu Galiba, zmuszony tam zostać, dopóki rany całkiem się nie zagoją. Czuł się już dobrze, ale ostatnie słowo miał lekarz, a ten nie pozwalał mu jeszcze wstać.

Z początku wynajdywał mnóstwo powodów, by nie zostawać w tym domu, ale gdy przekonał się, że dzięki temu codziennie będzie blisko Benazir, dał w końcu spokój.

Ona spędzała przy nim długie godziny – szyjąc, czytając mu poezję, a przede wszystkim opowiadając o swoich sprawach. Powiedziała mu dość, by mógł poznać jej przeszłość. Dzięki tym opowieściom przenosił się coraz bardziej do dawnej Persji. W miarę upływu dni rozmowy stawały się coraz bardziej osobiste. Benazir zaczęła dzielić z nim również niektóre ze swych marzeń i uczuć.

W atmosferze wzajemnego zaufania Diego był zainteresowany najbardziej intymnymi aspektami jej osobowości. Pojawiły się domysły, że żyje w nieudanym związku.

Czasem siadała na łóżku, blisko niego, pielęgnując go. W tych chwilach Diego wychodził z siebie. To był cały rytuał, nabrzmiała zmysłowością. Najpierw plecy. Ściągała bandaż z poprzedniego dnia i czyściła ranę chusteczką zamoczoną w letniej wodzie, bardzo powoli, z namaszczeniem, potem obrzeże rany. Jej druga dłoń spoczywała prawie zawsze na jego barku albo w różnych miejscach jego pleców. Diego

skupiał się zawsze na tym, by czuć ciepło jej skóry, jej miękki dotyk. Następnie prosiła go, by się odwrócił, żeby zająć się raną na szyi. Wtedy miał ją najbliżej. Patrzył na jej oczy, na jej zmysłowe usta, gładkie policzki. Kiedy pochylała się nad nim, by usunąć drobinki skrzepłej krwi lub zaschniętej ropy, deszcz jej rozpuszczonych włosów opadał na niego swobodnie, muskając mu piersi i twarz.

Często musiał z całych sił wczepiać dłonie w prześcieradło, żeby nie rzucić się na tę kobietę jak szalony.

Popołudniami, przy blasku świec, Benazir upajała się recytowaniem mu arabskiej poezji. To także była pora szczególnych emocji. Diego przymykał oczy i otwierał swoje wnętrze na słodycz jej szeptów, rytmiczny ton, pauzy, wstrzymane oddechy. Chłonał każdy najmniejszy szczegół kobiety, który dopełniał w nim sumę szczęścia i rozkoszy.

Jednego z owych popołudni Diego wyszedł z sypialni, by rozprostować zdętwiałe nogi. Był już zniecierpliwiony, nie mogąc wrócić do normalnego życia, i zdecydował, że stanowczo będzie się domagać końca kuracji już następnego dnia, kiedy tylko przyjdzie lekarz.

Nie widział nikogo, słyszał tylko własne kroki. Pomyślał, że służący muszą już odpoczywać na dole. Światło paliło się tylko w sypialni Galiba. Z jego pokoju do pokoju mistrza prowadziła oszklona galeryjka, która wychodziła na szerokie podwórze. Gdy po niej przeszedł, dostrzegł, że drzwi do pomieszczenia są niedomknięte. W środku zobaczył Benazir razem z Galibem. Stał w tak gęstym mroku, że nikt nie mógłby go dojrzeć. Poczul ciekawość.

W ciszy zaczął się i patrzył.

Benazir miała na sobie cieniutką białą koszulę nocną. Podąła Galibowi zawinięty pakunek. Rozwinął go z przejęciem. Była to książka z pracowni tłumacza. W całym tym zamieszaniu nie miała czasu wcześniej mu jej dać. Podziękował, zachwycony, i wziął ją w ramiona.

Gdy ją całował, rozwiązała tasiemkę podtrzymującą koszulę na szyi i stanęła na wpół naga. Ujrzawszy jej gołe plecy, chłopiec poczuł dreszcz emocji, palącą żądzę, wewnętrzny ogień. Zapragnął w tej chwili być Galibem, mieć ją w ramionach, rozbierać do naga, poczuć smak jej skóry.

Jednakże jego mistrz wydawał się nie dostrzegać namiętnych pragnień małżonki i zostawił ją, żeby zająć się książką. Otworzył prezent i zaczął przeglądać, odcinając się od wszystkiego, co go otaczało. Benazir, zawiedziona, odwróciła się do niego plecami i w pół naga podeszła do drzwi. Ujrzała Diega. Najpierw odruchowo się zastoniła, ale prawie natychmiast wypuściła z rąk kryjącą ją tkaninę. Szata upadła na podłogę. Diego, zmieszany, nie wiedział, co ma zrobić. Nie wiedział, czy ma na nią patrzeć, odejść stamtąd, czy podejść do niej...

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Z jej oczu wyczytał głęboki zawód, pomyślał, że także smutek, spowodowany pogardą męża dla jej ciała. On za to pragnął jej z pewnością...

Przelknął gorzką ślinę. To nie było w porządku. Jakby kradł coś intymnego, co mu nie przysługiwało. Obrócił się na pięcie i biegiem uciekł z galeryjki. Musiał odetchnąć, zaczerpnąć świeżego powietrza i spokojnie pomyśleć o tym, co zobaczył.

W stajni odszukał Sabbę. Dosiadł ją bez siodłania. Chciał się stamtąd wydostać. Bolało go całe ciało, jego cierpienie było jednak czymś więcej niż tylko fizycznym bólem.

Bez celu przemierzał ulice Toledo. Wciąż jeszcze czuł szybsze bicie serca. Widział ją przed sobą, była taka piękna...

– Sabba, muszę coś ze sobą zrobić... Ta kobieta rzuciła na mnie urok. Zabierz mnie do naszego domu. Dłużej już tu nie mogę być.

Klacz, odrzucając łeb do tyłu, popieściła go swą grzywą. Zarżała cicho, jakby chcąc go uspokoić ciepłym dźwiękiem. Diego wtulił się w nią. Zadumał się, nie myśląc, dokąd go niesie.

Ku jego zdziwieniu Sabba nie zaniósła go do domu, lecz w inne miejsce, na obrzeżach miasta, które wydało mu się znajome. Do domu Fatimy. Koń stanął pod drzwiami i zarżał. Chłopiec postąpił bicia dzwonów. Policzył do dziesięciu. Musiał z kimś porozmawiać. Fatima, jako kobieta i jego rówieśnica, mogła go zrozumieć. Podziękował Sabbie za pomysł i zsiadł.

– Ależ, co ty mówisz? Czy to nie żona twojego mistrza? – Fatima osłupiała, słysząc jego słowa.

– Wiem, że to głupie...

– I nie tylko. Gdyby się dowiedział, mógłbyś stracić pracę i obiecującą przyszłość.

Diego kopnął z całej siły kamień w spichlerzu Kabirmy, do którego udali się, by spokojnie porozmawiać, z dala od niepowołanych uszu.

– Twoja relacja z Galibem wymaga zaufania i lojalności. Nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się stać, gdybyś kiedyś się zapomniał. Poza tym ta kobieta jest dużo starsza od ciebie... Nie wiem, naprawdę...

– Ale jest taka piękna... Masz całkowitą rację, Fatimo, tylko że czuję się kompletnie opętany, gdy ją widzę. Ma w sobie coś, co przyciąga mnie w sposób tak dziki, że nie mogę tego dłużej znieść... Rozumiesz mnie? Czy sądzisz, że to, co się ze mną dzieje, jest normalne?

Fatima przyglądała mu się. Minęło niewiele ponad rok, ale nie był to już ten bezradny chłopiec, którego znalazła na środku bazaru. Krzepkie ciało, twarde dłonie, bujne włosy, spojrzenie ogniste, jego twarz...

– Może mylisz się co do jej zamiarów...

– Sam już nie wiem, nie wiem... – przypomniał sobie, jak stanęła przed nim naga.

– Pomyśl tylko, czuje się atrakcyjna i pożądana przez ciebie, może robić rzeczy, których tak naprawdę nie chce czynić. Mnie się to też zdarza. Gdy widzę mężczyznę, który mnie pociąga, mogę, chcąc zwrócić jego uwagę, zachowywać się w sposób, który później wydaje mi się głupi. Ale wtedy – nie. Nie wiem, to jakby jakaś siła natury zmuszała cię do okazania całej twej uwodzicielskiej mocy, nie zważając na inne sprawy. Tak mogła postępować Benazir wobec ciebie.

– Tłumaczysz mi, że to, co się stało, spowodowane jest siłą instynktów. Ja też je mam, uwierz mi.

– Nie, nie tylko. Może być tak, że ta kobieta przechodzi trudny okres w związku z Galibem, czuje się niepowabna, a w tobie widzi kogoś, kto myśli coś zupełnie przeciwnego. Mówiłeś, że czujesz się przy niej jak w raj, a ona to widzi. Nie sądz, że tego nie dostrzega. Dostrzega potęgę pożądania, które w tobie wywołuje. Chociaż w innych okolicznościach by tego nie wykorzystała, teraz jest jej to potrzebne. Dlatego uchyliła ci furtki.

– Muszę odejść z tego domu, zanim żądza mnie pokona i otworzę tę furtkę...

– Rozumiem cię, Diego, ale myślę, że to nie jest najlepsze rozwiązanie. Nie nauczyłeś się jeszcze wystarczająco dużo od Galiba, nie zmarnuj tej szansy. Bądź odważny, przezwycięż pokusę, unikaj jej... Wiem, że dasz radę, jeśli zechcesz. Jest w Toledo wiele innych kobiet, i to młodszych...

Diego zawzięcie przecierał oczy, żeby wymazać całkowicie obraz, który ujrzał tam na galeryjce.

– Jesteś silny i mądry. Musisz stawić czoło sytuacji. Nie masz żadnego usprawiedliwienia, żeby zawieść zaufanie swojego mistrza. Zdanie, które ma Galib o tobie, znacznie przewyższa to, jakie normalnie ma mistrz o swoim uczniu. On cię kocha, ma cię niemal za syna... Pomyśl o tym.

Diego i Fatima rozmawiali już całkiem głośno. Oddalili się od domu, żeby móc mówić swobodnie, bez strachu, ale nagle Fatima usłyszała jakiś dźwięk. Ktoś wałęsał się koło spichlerza.

Zatkała Diegowi usta. Schowali się do kąta. Parę sekund czekali w ciszy.

Diego oparł się o kupę siana i padł przytłoczony prawdą słów Fatimy i ciężarem swojej winy.

Fatima popatrzyła na niego ze smutkiem. Przysunęła się do niego, by go pocieszyć. Szeptala do niego, obdarzając zaufaniem i wsparciem. Przytuliła się, chcąc natchnąć go całą swą mocą. Poczula wówczas ciepło Diega, jego czułość, jego bicie serca i siłę ciała. Odsunęła się i zawiesiła wzrok na ustach przyjaciela. Leżeli tak parę sekund. W tej ciszy Diego poczuł się niezręcznie.

– Chyba powinienem już iść, Fatimo... Jest późno.

XVI

Sabbie groziło niebezpieczeństwo.

Diego obudził się, czując to. Ona go woła.

Pędem puścił się ciemnymi ulicami Toledo prosto do domu Galiba. Chcąc przybyć jak najwcześniej, pobiegł na skróty, przez dzielnicę Alcaicería, pełną najbardziej luksusowych sklepów. To był błąd. Nie był złodziejem, ale musiał na niego wyglądać w oczach strażników. Biegł, nie zatrzymując się na ich kilkakrotne wołania. Puścili się za nim w pogoń i choć nie zdołali go schwytać, Diegowi powinęła się noga, poślizgnął się i mocno uderzył w głowę. Nie tracąc czasu, podniósł się z zawoju, nabrał powietrza w płuca i zaczął biec jeszcze szybciej.

Dwie przecznice przed skrzyżowaniem w uliczkę z domem Galiba poczuł swąd dymu. Gdzieś niedaleko stąd się paliło, bał się pomyśleć, gdzie. Zaciśnął zęby i na wydechu pokonał ostatnie metry. Gdy dobiegał do celu, wpadł na dwóch mężczyzn, którzy biegli w przeciwnym kierunku. W ich spojrzeniach dostrzegł nienawiść. Uciekali. Zobaczył ogień. Płomienie zajęły stajnię Galiba, ale nie dosięgły jeszcze domu. Z całych sił zapukał do bramy. Ponieważ nikt mu nie otwierał, przeskoczył górą. Pobiegł do stajni, krzycząc z całych sił, by wszystkich obudzić.

Popchnął furtę stajni. Buchnął żar. Wszedł, kryjąc twarz w ramieniu. Najpierw usłyszał niespokojne rżenie Sabby i innych koni, ale nie widział nigdzie Sajjada. Szukał go w gęstym dymie, który wydobywał się ze żłobów, nieopodal jego sypialni, ale tam go nie było. Ogień zaczął zajmować sporą belę siana, która leżała u wejścia do tego pomieszczenia. Złapał stary koc i zarzucił go sobie na głowę. Wstrzymując oddech, przebił się przez ścianę ognia. Kopniakiem otworzył drzwi. Sajjad zbudził się i popatrzył wkoło nieprzytomnym wzrokiem.

– Wychodź! Szybko! Stajnia się pali! Trzeba jak najszybciej zabrać zwierzęta.

– Sajjad nie spać. Sajjad pomagać. Biegiem.

Musieli znów pokonać ścianę ognia osłonięci kocem. Rozdzielili się, by ratować zwierzęta. Diego pobiegł do Sabby. Kuliła się w kącie z paniką w oczach. Dźwigar z sufitu płonął parę piędzi od niej. Od długiej szarpaniny na uwięzi krwawiła jej szyja. Biedaczka, z przerażenia była cała złana potem. Spojrzeli po sobie. Sabba prychnęła ze strachu, chociaż widząc swego pana, poczuła się znacznie lepiej.

– Damy radę... Już jestem z tobą.

Zarżała przeciągle. Diego rzucił koc na płonące drewno i odwiązał klacz. Gdy została wreszcie uwolniona, spojrzała w stronę wyjścia. Ogromna kolumna ognia pięła się w górę po ścianach, zasłaniając światło. Napięła mięśnie, wydeła nozdrza i zaczęła szukać drogi ucieczki. Pchana instynktem samozachowawczym, zdecydowana była opuścić to piekło, ale stała i spoglądała na Diega, jakby najpierw chciała wiedzieć, co uczyni jej pan. U zwierzęcia takie zachowanie było właściwie absurdalne, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, jakie im groziło, ale Diego je rozumiał. Powinni byli uciekać, i to natychmiast, a mimo wszystko przez chwilę stali w miejscu, patrząc na siebie. Diego zrozumiał myśli Sabby. Łbem pokazała mu swój grzbiet. Dosiadł jej jednym susem. Wystrzeliła jak sprężyna. Wydostali się z tego pieca, skacząc przez ogień aż na podwórze.

Byli tam już Galib i Benazir, zrozpaczeni, biegając to tu, to tam. Był i Sajjad z pozostałymi zwierzętami. Niektóre zostały poważnie poparzone, miały się w hysterii. Wszyscy odetchnęli, widząc go na Sabbie, której wciąż płonęła grzywa. Diego ugasił ją gołymi rękoma, po czym wrzuszony wtulił się w jej szyję, głaszcząc ją czule. Płakał z radości.

Galib i Benazir podbiegli do nich i oboje zobaczyli, nie wierząc swym oczom, że Sabba też płacze.

Chcieli niezwłocznie ugasić płomień, ale było to niemożliwe. Ogień postępował i pochłaniał stajnie. Nie można było zrobić nic więcej, jak tylko ratować zwierzęta.

Galib wiedział już, że bezużytecznym byłoby próbować gasić pożar. Błagał tylko Allaha, by oszczędził jego dom. Gdy zrozumieli, że nie powstrzymają niszczycielskiej furii żywiołu, Galib poprosił wszystkich, by polewali dom wodą, aby ogień go nie dosięgnął.

Gdyby obie budowle stały bliżej siebie, ich wysiłek poszedłby na marne. Na szczęście pomiędzy domem a stajnią była spora odległość, która posłużyła jako zapora ogniowa.

Dopiero w połowie nocy Galib, Benazir, Sajjad i Diego patrzyli, jak straszliwy pożar dojada ostatnie resztki stajni. Wyczerpani, wstrząśnięci i przygnębieni, oglądali dzieło zniszczenia, nie mogąc zrobić nic więcej, jak tylko myśleć o tym, co stracili.

– Tyle lat pracy... – lamentował Galib. – Od mojego przyjazdu do Toledo starałem się z całych sił, by zbudować te stajnie i do czegoś dojść.

– Dlaczego...? – Benazir tuliła się do męża. Chciała pocieszyć go, ale nie wiedziała jak. Też była załamana.

Diego przypomniał sobie dwóch mężczyzn, których minął po drodze. Opowiedział o tym, nie mogąc dodać nic więcej, co mogłoby posłużyć za jakiś trop do ustalenia tożsamości bądź zamiarów.

– Czym mogliśmy im zawinić, że zrobili coś takiego...? – zapytała Benazir z bezsilnością. – Najpierw napadają nas na ulicach, potem palą nasze mienie. Galib, nie sądzisz, że może powinniśmy się stąd wynieść?

Popatrzył na nią, potem na swoich pomocników. Spuścił głowę i udał się w stronę zgliszczy tego, co dotąd było jego stajnią.

Diego zostawił go samego. Poszedł zobaczyć, jak się mają konie, które przeżyły pożar. Niektóre aż wyły z bólu od rozległych oparzeń. Przejęty ich stanem pomyślał, że trzeba działać niezwłocznie. Wolałby, żeby Galib mu pomógł, ale sądził, że jest zbyt załamany.

Próbował sam zająć się wszystkimi zwierzętami. Szło mu jednak bardzo powoli i widział, że nie jest w stanie należycie się o nie zatroszczyć. Postanowił poprosić mistrza o pomoc. Znalazł go płaczącego na zgliszczach.

– Jeśli się nie pośpieszymy, konie poumierają... – Nic nie odpowiedział. Diego podszedł do niego i położył mu dłoń na plecach. – Wyjdziemy z tego... Odrobimy straty. Możecie na mnie liczyć.

Mężczyzna spojrział na Diega zaczerwienionymi oczyma. W jego oczach dostrzegł pogodę ducha i to go wzruszyło. Allah chciał, by był przy nim ten chłopak. Każdej nocy w modlitwie dziękował Mu za to. Ciężko tu z nimi pracował i jemu też musiało być żal tych wszystkich stworzeń.

Galib podniósł się z ziemi, podparł się na Diegu i poszedł do zwierząt. Trzeba było szybko działać i je ratować.

Zostawił Diega uspokajającego spłoszoną klacz, a sam poszedł poszukać maści na oparzenia, którą miał przygotowaną. Była to mieszanina olejków z pigwy i lilii z wyciągiem z kory migdałowca. Na szczęście szybko ją znalazł. Od razu zabrali się do nakładania jej na chore miejsca. Chroniła otwarte rany i przynosiła niemal natychmiastową ulgę.



Następstwa pożaru były fatalne. Stajnia została całkowicie obrócona w popiół, a wraz z nią – lata pracy. Padło osiem koni, z których pięć nie należało do Galiba; znajdowały się tam jedynie na leczeniu.

Przez następne dni Galib wałęsał się po zgłiszczach, udręczony klęską. Nie był w stanie nawet wyobrazić sobie, kto mógłby życzyć mu takiej krzywdy. Nie mógł uwierzyć, by ogień zaproszył ktoś z najbliższego otoczenia, ale wiedział, że wielu żywiło do nich nienawiść tylko dlatego, że są muzułmanami.

Galib mógł dochodzić sprawiedliwości, mógł odszukać winnych, jeżeli tacy byli, ale nie chciał nikogo tym zamęczać. Wolał, jak zawsze, oddać się pracy i iść do przodu.

Nie dość, że został bez stajni, to doszedł mu jeszcze jeden kłopot. Przerazał go ogromny dług do spłacenia właścicielom koni, które nie zdołały przeżyć. Winien był im ponad pięćset talarów. Była to suma, którą nie dysponował. Postarał się o kredyt w żydowskiej dzielnicy, ale ten, który mu przyznano, nie pokrywał potrzeb nawet w połowie.

Kabirma przybył, gdy tylko usłyszał, co się stało.

– To podłość, co ci zrobili! – Handlarz ogładał pobojoywisko, depcząc popiół.

Razem z Diegiem pomogli Galibowi powyszukiwać wśród zgliszcz narzędzia, sprzączki, żelastwo i wszystko, co mogło się jeszcze przydać. Wciąż jeszcze utrzymywał się silny swąd spalenizny. Na pobojoywisku ostał się tylko piec i dwa kowadła.

Kabirma odgadł, z jakimi kłopotami pieniężnymi borykać się musi jego przyjaciel. Nie czuł się jednak na siłach, żeby wziąć na siebie zapłatę za martwe konie ani tym bardziej wzniesienie nowej stajni. Kosztowałyby majątek. A była przecież niezbędna do dalszego uprawiania fachu. Kabirma powrócił myślami do upragnionej podróży.

– A gdyby tak ruszyć po parę koników na nadmorskie mokradła? Waszych klientów ukontentowałyby lepsze sztuki, w zamian za stracone. Pieniężmi za te, które ja bym tu sprzedał, podzieliłbym się z wami po połowie. – Galib pokręcił głową. Plan wyprawy wciąż wydawał mu się zbyt karkołomny. Pomysł może i dobry, ale dla niego niewykonalny.

– Moja sytuacja jest teraz krytyczna, Galibie. Od tygodni już nic nie sprzedałem. Konie arabskie to mój znak rozpoznawczy. Klienci, którzy je kupowali, przychodzili potem po innego rodzaju zwierzęta. Teraz, bez nich, tracę prestiż. Ludzie zaczynają gadać... Jak tak dalej pójdzie, będę musiał zamknąć nawet stoisko na placu Zocodover. Nie stać mnie już na placowe.

Galib wysłuchał tego ze spokojem i zrozumieniem, ale i tak nie był przekonany. Brakowało mu sił, brakowało chęci, wszystko go przerażało: zostać tu, bez szans na odbicie się od dna, wyjechać, zostawiając żonę samą i narażać się, by go rozpoznali i pojмали...

Gdy żegnał się z Kabirą, wyjawiał mu swe obawy, nie odmawiając mu jednak ostatecznie.

Parę dni później, doglądając najbardziej rannych koni, Diego był świadkiem rozpaczki Galiba. Przypomniawszy sobie przy tym swój własny dramat w zajeździe.

Od tamtych zdarzeń minęły już trzy lata. Zmieniło się wszystko wokół, a zwłaszcza zmienił się on sam. Jego ciało dojrzało. Jego umysł otworzył się na wiedzę, naukę i zamiłowanie do najpiękniejszej ze sztuk – weterynarii.

Nauczył się też kochać kulturę, która nie była jego własną, a którą niegdyś przeklinał i nienawidził. Teraz postrzegał islam jako opierający się na miłości i zakorzeniony w niej tak mocno, jak i jego religia. Wewnętrzne uprzedzenia, obecne pierwotnie w jego relacjach z Galibem, ustępowały stopniowo zrozumieniu, by w końcu przerodzić się w szczerą szacunek. Od Benazir i swego mistrza nauczył się odróżniać dobro płynące z ich wiary od nietolerancji w doktrynie Almohadów.

Galib przekazał mu umiejętność rozpoznawania i leczenia najpospolitszych końskich chorób. Wpoił mu też nawyk komentowania i dyskusowania o wszystkim, co przeczytał. Arabski nie sprawiał mu już żadnych trudności. Zapamiętywał nawet wszystko, co czytał, nie musząc tego tłumaczyć w myślach. Między sobą porozumiewali się zawsze po arabsku, a i z Sajjadem zaczął rozmawiać w tym języku.

Niedługo przed pożarem przeżył wielką radość. Spłacił w końcu Sabbę. Dla niego oznaczało to nie tylko uregulowanie rachunku wobec nauczyciela, ale i spłatę długu wobec konia, któremu tyle zawdzięczał.

Przez cały ten okres miał dość czasu, by poznać Galiba. Początkowo był pod ogromnym wrażeniem jego geniuszu, później zachwycała go bardziej ludzka i zawodowa rzetelność mistrza. Nigdy nie ukrywał trudności. Gdy zdarzyło się coś, na czym się nie znał, przyznawał to wprost. Charakteryzował go nieustanny pęd do wiedzy, chęć, by każdego dnia umieć więcej. Stałość w pracy, bezgraniczny niemal szacunek dla klientów, zdolność ciągłego zadziwiania innych i niegasnąca ciekawość były tylko niektórymi z jego cech, które Diego tak bardzo cenił.

Galib inspirował go i popychał do wykorzystywania własnych talentów: wyjątkowej zdolności obserwowania i przewidywania zwierzęcych zachowań. Twierdził, że mogą być one niezwykle pomocne w stawianiu weterynaryjnej diagnozy. Diego odznaczał się nieprzeciętną intuicją, był też bardzo zdolny manualnie. Galib zarzucał mu tylko niecierpliwość. Miał zwyczaj rozpoznawać schorzenie, nie zebrawszy

wszystkich danych. Uważał, że gdyby chłopak zdołał przewyciężyć w sobie tę wadę, mógłby zyskać tytuł weterynarza, nim upłynęłoby zwyczajowych sześć lat nauki fachu.

Diego – weterynarzem. Czy któregoś dnia mogłoby stać się to prawdą?

W dniach, które nastąpiły po pożarze, Diego dostrzegł w Galibie zmianę. Pojawiła się w nim dziwna gorycz, mimo że starał się sprawiać normalne wrażenie. Wydawało się, że jego przyływy dobrego humoru służyły tylko za zasłonę dymną, którą spuszczał na resztę swoich smutków.

Tak samo jak Kabirma, Diego uważał, że najlepszym wyjściem z dręczących go kłopotów byłaby wyprawa na nadmorskie mokradła. Po powrocie mógłby spłacić długi i rozpocząć wszystko od początku.

Za każdym jednak razem, gdy Diego o niej wspominał, Galib spoglądał w inną stronę i rozmyślał o prostszych rozwiązaniach, które wyciągnęłyby ich z tarapatów.

XVII

Galib i Diego pracowali dzień i noc.

Pochłonięty pracą ze zwierzętami weterynarz nie chciał myśleć o niczym innym. Jego żona przechodziła ciężki okres, a młody terminator, wyczerpany pracą, chodził ciągle jak struty. Galib rzucił się w wir pracy i nie dostrzegał już kłopotów otaczających go osób.

Diego z Sajjadem zwrócili się do Galiba z pomysłem sprowadzenia budowniczego, by przymierzyć się do postawienia nowej stajni. Ten nie chciał tego jednak albo nie mógł pozwolić sobie na najmniejszy koszt, dopóki nie spłaci utraconych w pożarze zwierząt.

Dlatego też Diego do spółki z Sajjadem sami rozpoczęli budowę, niezbyt znając się na rzeczy. Jednocześnie, wraz z mistrzem, Diego wciąż zajmował się przyśpieszoną kuracją koni, które mimo niesprzyjających warunków musiały u nich pozostawać. Mieli jednak nadzieję, że wkrótce leczenie ich się zakończy i nie będą musiały spać na deszczu i chłodzie.

Galib utracił swą pogodę ducha. Rano przyjmował wizyty, po południu, wieczorem i nocą pomagał w budowie nowej stajni. Starał się, by była gotowa jak najszybciej. W parę dni po rozpoczęciu chaotycznej i pośpiesznej pracy budowla runęła, raniąc Sajjada w jego i tak chorą nogę. Stary pomocnik musiał parę dni poleżeć w łóżku. Zdarzenie to pogłębiło tylko rozpacz Galiba, który dodatkowo poczuł się winny tego wypadku. Zawsze więc, kiedy tylko mógł, chodził do Sajjada i pytał, czy mu czego nie trzeba. Na swe nieszczęście tracił pomocnika, a zyskał kolejne zajęcie.

– To dom wariatów! – wykrzyknęła pewnego dnia Benazir. Dłużej tak nie mogę. Nie śpisz, nie jesz, nikomu nie dajesz spokoju. Przez twój brak rozsądku Sajjad miał wypadek. Kazałeś mu robić coś, o czym nie miał pojęcia. Trzeba było znaleźć kogoś do budowy stajni... Nasze życie to jakiś obłąd!

– Inaczej nie mogę. Nadejdzie czas, że wszystko się uspokoi i ruszymy z kopyta.

– Ja tak dłużej nie wytrzymam. Zdaje mi się, że straciłeś zdrowy rozsądek. Diego pracuje sam przy budowie i zaraz jemu też coś się stanie. Jemu albo tobie, nie wiem... Tak dalek nie można...

Tego dnia Galib wyszedł z domu, żeby nie kłócić się z Benazir. Miała rację, wiedział o tym, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Narzucił wszystkim niezdolne jarzmo, przy czym powrót do stanu sprzed pożaru wymagał wiele czasu i nie zależało to od niego. Cały dzień spędził poza domem i nikt nie wiedział, gdzie jest. Gdy wrócił, oznajmił wszystkim swoją decyzję.

– Wyruszę na nadmorskie mokradła z Kabirmą i jego córką. Już się z nimi dogadałem. Zapewnił mnie, że jest inny szlak, którego prawie nikt nie zna. Pojedziemy tamtędy. Inna sprawa to zmylić strażę na mokradłach, ale tym zajmiemy się już na miejscu. Ruszamy za cztery dni. Liczę na ciebie – rzekł, zwracając się do Diega – że pod moją nieobecność zajmiesz się Benazir i Sajjadem. Nie mogę narażać waszego bezpieczeństwa.

Gdy Diego to usłyszał, ogarnął go głęboki smutek. Miał zostać w Toledo. Od trzech lat o niczym innym nie rozmyślał, jak tylko o tym, by wyruszyć na poszukiwanie swoich sióstr. Jego mistrz wiedział to doskonale.

– Nie proście mnie o to, błagam... – Zostać na straży domu z chorym Sajjadem oznaczało mieć wciąż przy sobie Benazir, niebezpiecznie blisko, sam na sam, przez wiele godzin. Zdało mu się to torturą, której nie chciał sobie nawet wyobrażać.

– Postanowione – rzekł Galib. – Rozumiem twoją niechęć i wyobrażam sobie, co czujesz, ale nie mogę ryzykować życia mojej żony. Poza tym chciałbym, żeby podróż trwała krótko. Zabierzemy tyle koni,

ile się da, i wracamy. Gdybyśmy mieli szukać twojej rodziny, nie dzielilibyśmy nawet, gdzie zacząć. Nie znasz Sewilli. To ogromne miasto. Myślisz pewnie, że przyjedziesz tam tylko, a one będą już na ciebie czekać. Nic bardziej mylnego. Pojęcia nie mam, gdzie mogą być. Nikt tego nie wie. Utrudniłbyś nam tylko sprawę i naraził nas na dodatkowe niebezpieczeństwo. To niemożliwe, po prostu nie...

Diego zacisnął wargi z wściekłości, oburzony jego niedelikatnością.

– Ja was nie rozumiem...

– A cóż tu więcej jest do rozumienia? Czyżbym nie dość jasno ci to wytłumaczył? – zachnął się Galib.

Diegowi zaświtał w głowie nowy argument. Nie mógł zgodzić się na ten stan rzeczy i nie zamierzał ustąpić.

– Nie rozumiem, jak możecie zostawiać Benazir w Toledo, wiedząc, że pożar był celowy. I zapewne wzniecił go ktoś, kto uważa każdego muzułmanina za wroga... Pomyślcie tylko. Chociaż będę starał się ją chronić, nie zawsze mogę być przy niej. Przypominam, że każdej nocy śpię u siebie... Pamiętacie o zakazie...? – Galib poczuł się wytrącony z równowagi jego wywodem. – Kabirma zabiera swoją córkę ze sobą jak najcenniejszy skarb. Czy wyobrażacie sobie, co może stać się Benazir, jeśli rozejdzie się wieść, że każdej nocy śpi samotnie, za jedyłą pomoc mając niedołęznego starca, którym stał się teraz Sajjad...?

– A co zrobimy z Sajjadem? – odrzekł Galib już o wiele mniej zdecydowanym tonem.

– Nie możemy go zabrać, ale chyba da sobie radę sam.

– Sajjad nie kłopot... Noga lepiej – powiedział biedny staruszek.

– A co zrobimy, żeby nie połapali się, że jesteś chrześcijaninem?

– Wołajcie na mnie innym imieniem. Będę ubierał się jak wy. Tutaj problemu nie widzę.

– Jeśli nas rozpoznają – zabiją. Ta wyprawa to nie spacerek deptakiem.

– Jeśli Fatima jedzie – wtrąciła Benazir – nie widzę większego problemu, żebyśmy pojechali wszyscy. Diego ma rację, jechać tam nie jest bardziej niebezpiecznie niż zostać tutaj.

– To bardzo ryzykowne, Benazir, wiesz dobrze. Żyjemy w niespokojnych czasach. Najbardziej martwi mnie wjazd do Sewilli. Któż cię tam nie zna?

– Do samej Sewilli Diego może udać się z Kabirmą. My zaczekamy na nich gdzie indziej, z dala od miasta...

Przez następne trzy dni Galib chodził jeszcze bardziej skwaszony niż do tej pory. Ledwie się odzywał. Następnego ranka Benazir zobaczyła, jak zawija w koc trochę ubrań i pakuje do walizeczki narzędzia chirurgiczne.

– To jak w końcu? – zapytała go żona.

– Szykuj się. Idę poprosić kolegę, który winien jest mi przysługę, żeby zajrzał do Sajjada od czasu do czasu. Powiedz Diegowi, że jędziemy. Jak będziecie gotowi, idziemy do Kabirmy. Już na nas czeka.

Godzinę później wszyscy razem ruszyli drogą na zachód, następnie na południe. Nie chcieli jechać gościńcem wiodącym z Toledo do Kordoby, uczęszczanym przez wszystkich. Droga miała im zająć dwa dni więcej, ale prawie nie było na niej żywego ducha. Biegła z dala od zamków i warowni arabskich i chrześcijańskich. Kabirma jeździł nią zawsze podczas swych podróży handlowych.

Jerezańczyk posiadał mocny glejt, podpisany przez samego wezyra, który zapewniał mu szerokie swobody w podróży i handlu w al-Ándalus. Dokument ów jednak z pewnością nie czynił ich nietykalnymi. Zwłaszcza przez pierwsze cztery dni podróży, przed przekroczeniem granicy i zaraz po tym. Panujące tam trudne stosunki były teraz jeszcze bardziej napięte niż zwykle, zważywszy na liczne napady zbrojne z obu stron. W sumie zaplanowali koło piętnastu dni na dojazd do nadmorskich mokradeł, licząc na niezbyt długi pobyt w Sewilli. Diego obiecał nie zamarudzić tam zbyt długo, chociaż zamierzał postarać się ustalić miejsce pobytu sióstr.

Każdy miał konia na zmianę, objuczonego niezbędną żywnością i odzieżą, aby w drodze niczego nie zabrakło. Fatima dosiadła swego pięknego Asmeriona, arabskiego ogiera, jasnej, niemal białej maści, o

długiej, sięgającej kolan grzywie. Jej niewielkie, wątłe ciało zdawało się ginać na ogromnym końskim grzbiecie.

Parę mil za Toledo, na drodze do Pulgar, minęli tuzin rycerzy zakonu Calatrava z giermkami. Wracali z wypadu na wrogie ziemie ze stron, w które udawali się nasi podróżnicy. Jak zapewniali, było tam dość spokojnie.

Pierwszej nocy rozłożyli obozowisko na brzegu rzeczki i rozpalili ogień. Zjedli kolację i wkrótce zasnęli, zmęczeni i obolali po wielu godzinach konnej jazdy. Kolejnego dnia czekała ich długa wędrówka do najbardziej niebezpiecznego punktu podróży – granicy.

Wczesnie o poranku zwinęli obóz i ruszyli na południe. W środku dnia zrobili sobie przystanek na brzegu niewielkiej rzeczki, gdzie Kabirma objaśnił im kolejne kroki.

– Przez następne dni będziemy jechać długim wąwozem, używanym od najdawniejszych czasów przez pasterzy, którzy szukając świeżych pastwisk, wędrowali nim latem na północ, zimą zaś na południe.

Kabirma znał dobrze tę dróżkę, jeździł bowiem tamtędy, przewożąc konie w czasach zakazu handlu. Biegła ona pośród wzgórz, pagórków, przełęcz i łańcuchów górskich, z dała od ludzkich osad. Napotkać można tam było tylko drozdy, gawrony i liczne sępy. Była to najlepsza możliwa trasa, by przedostać się niezauważonym, przynajmniej do łańcuchów górskich na północ od Sewilli. Dalej trzeba już było uważać, gdyż zaczynała się bardziej uczęszczana okolica.

Pod koniec dnia, gdy byli już blisko granicy, minęli niewielką miejscowość zwaną Alcoba. Potem wjechali na wzniesienie, z którego widać było w dali rozległą dolinę, a w niej rzekę Guadiana. Gdy dotarli w końcu do jej brzegu, ciemność spowijała wszystko wokół. Postanowili więc przenocować w pobliżu i przeprowić się przez bród następnego dnia rano.

– Ogień mógłby nas zdradzić. – Kabirma uprzedził zamiar Galiba. – Zjedzmy lepiej coś na zimno.

Panowała napięta atmosfera. Wszyscy wiedzieli, że to jeden z najniebezpieczniejszych momentów podróży, i starali się nie zarażać strachem pozostałych. Było jednak oczywiste, że każdy trochę się denerwuje.

Jerezańczyk wybrał na nocleg rozległą polanę pośród stuletnich brzoź. Benazir szykowała kolację, a Diego i Fatima poszli do rzeki, by napić konie.

Po stromym zboczach zeszli na szeroką równinę nad zakrętem biegu rzeki, obficie porośłą trawą i z łatwym dojściem do wody. Puścili tam konie luzem i usiedli na zwałonym pniu.

– Zdaje się, że twoja klacz i Asmerion blisko się zaprzyjaźniają. – Ogier obwąchiwał Sabbę z zainteresowaniem, a ta nie okazywała mu niechęci.

Fatima rozpuściła warkocz, rozrzucając zalotnie na ramiona bujne włosy. Zauważyła, że Diego jest strasznie spięty. Rozglądał się na wszystkie strony, czy ktoś ich nie śledzi. Dziewczyna spróbowała rozładować napięcie i wróciła do rozmowy, którą przerwali parę miesięcy wcześniej.

– Byłeś kiedyś zakochany?

Diego przełknął ślinę i westchnął z niepokojem. Nie odpowiedział. Czuł się zbyt drętwo, żeby móc wyrażać swe emocje, zbyt zagubiony, by je rozróżniać. Poza Fatimę i Benazir jedynymi kobietami, z którymi miał do czynienia w swoim życiu, były jego siostry, a z żadną z nich nigdy nie rozmawiał o podobnych sprawach. Spojrzał na dziewczynę z ukosa i w głowie mu się zakołowało. Zdało mu się, że popycha go w nieznaną, pełen wątpliwości świat.

Ona tymczasem nie miała pojęcia, że rozmowa ta wprawia go w zakłopotanie. Sądziła tylko, że czuje się niekomfortowo z powodu niebezpieczeństwa, przed którym ostrzegali ich Galib i Kabirma.

– Nie wiem, czy poczułeś kiedyś prawdziwą miłość. Ale taką... prawdziwą – powtórzyła z naciskiem. – Czy wiesz, o czym mówię?

Fatima doznawała tego uczucia od paru tygodni. Od jego nagłej wizyty w jej stajniach sama jego obecność, dźwięk jego głosu powodowały, że budziły się w niej emocje, których dotąd nie znała. Ostatnio nocami wyobrażała sobie nawet, że śpi w jego ramionach.

– Chyba tak – odpowiedział chłopak.

Sądziła, że Diego nie podziela jej uczuć i pewnie wciąż oczarowany jest dojrzałym pięknem Benazir. W końcu przyłapała go parę razy, jak zerka na nią ukradkiem. Fatima chciała zwrócić jakoś jego uwagę na

siebie, ale nie wiedziała jak. Podczas podróży próbowała już kilka razy, ale on, choć jej nie odtrącał, to z jakiejś przyczyny nie okazywał jej zainteresowania.

– Wykapmy się w rzece! – Zerwała się i pociągnęła go za sobą na sam brzeg. Nim zdołał zareagować, zrzuciła stanik i spódnicę i w samej halce wskoczyła do wody. Z rzeki wysunęła głowę i patrzyła na niego ze śmiechem.

– Na co czekasz? – Uradowana chlapnęła go wodą. – Woda jest wspaniała!

Diego, namawiany przez nią, zapomniał o powadze sytuacji i rozebrał się, niewiele myśląc. Wskoczył do wody, ale uznał, że nie jest mu wcale tak miło, jak obiecywała przyjaciółka.

Gdy szedł w stronę Fatimy, ta znów oszukała go, mówiąc, by uważał i nie wszedł na wielki kamień, który jest pod wodą. Diego stąpał ostrożnie. Gdy był blisko niej, zniecka wepchnęła mu głowę pod wodę i uciekła z pluskiem.

Rzucił się za nią w pogoń, aż chwycił ją za kostkę. Broniła się i wierzgała, ale w końcu zdołał ją pochwycić i podtopić. Gdy się wynurzyła, zaniepokoił ją metaliczny błysk gdzieś w krzakach. Zatkaną Diegowi usta i wskazała na to, co dostrzegła. Odwrócił się i spojrzał. Poruszyło się kilka gałęzi jałowca. To było jakieś cztery, pięć łokci od miejsca, gdzie zostawili ubrania. Mogło to być jakieś zwierzę, ale mógł być i człowiek. Fatima, przerażona coraz bardziej, przyłgnęła do ciała Diega, szukając u niego wsparcia. Prawie nie oddychając, śledzili każdy ruch, wpatrując się w gęstwinę. Wreszcie się wyjaśniło. Na równinie zobaczyli żołnierza w turbanie na głowie, w skórzanym pancerzu i z szablą w ręku. Podszedł do koni i zaczął rozglądać się wokół, szukając ich właścicieli. Na szczęście nie pomyślał, by spojrzeć na rzekę, chociaż i tak bardzo musiałby się natrudzić, żeby ich dojrzeć, bo wystawiały im tylko oczy i nosy. Przekonali się, że jest sam, i czekali bez ruchu, by zobaczyć, co zamierza zrobić.

– Jeśli nas zobaczy – zabije – podzieliła się swym lękiem Fatima.

Diego zasłonił jej usta i przytulił ją jeszcze mocniej. Ich ciała całkiem się w siebie wtopiły.

Gdy żołnierz zaczynał już tracić czujność, nagle zaalarmowały go dobiegające z lasu głosy. Zakrył twarz turbanem, dobył szabli i ruszył w stronę, gdzie znajdowali się Galib, Benazir i Kabirma.

– Musimy coś zrobić – szepnęła znów Fatima.

– Najpierw zobaczmy, co zrobi...

Saracen wspinał się ostrożnie po zboczu na równinę zamkniętą gęstym lasem od północy. Wyteżył słuch i znów posłyszał głosy. Jego mięśnie naprężyły się, gdy pomyślał, że to chrześcijanie. Zbadał teren do linii pierwszych drzew. Postanowił iść dalej po mchu, który miał wyciszać jego kroki.

Wyteżając wszystkie pięć zmysłów, zagłębiał się pomiędzy drzewa. Doszedł do skraju polanki. Ujrzał na niej dwóch mężczyzn, siedzących tyłem do niego, i jedną kobietę. Schował szablę, kucnął. Wyciągnął sztylet, zaczął się czołgać, aż znalazł się o mniej niż dwadzieścia piędzi od Galiba.

XVIII

Silne, umięśnione ramię otoczyło szyję Galiba, a ostra stal zatrzymała się na jego gardle.

Zdarzyło się to tak szybko, że nikt nie zdołał zareagować.

Napastnik spytał ich po arabsku, kim są i co tu robią. Z jego munduru można było sądzić, że to strażnik graniczny. Był brudny i pachniał bajorem. Włosy miał długie i potargane. W jego wyglądzie najbardziej uderzające było jednak spojrzenie – zimne i złe.

– Jesteśmy tylko dwoma ubogimi kupcami pragnącymi wrócić do naszych domów, do Sewilli – odpowiedział Galib – a ona jest moją żoną...

Wojownik obrzucił Benazir pożądlivym spojrzeniem.

– A skąd jedziecie?

Obserwował wciąż bacznie drugiego, rudobrodego, który zdawał się bardziej niebezpieczny. Obszukał Galiba i znalazł jego sztylet.

Nakazał gestem Kabirmie, by sam się rozbroił.

– Z Toledo – odparł Jerezańczyk. – Jeśli pozwolicie, okażę wam glejt...

Wykonał gest z zamiarem szukania czegoś w kieszeniach.

– Jeśli jeszcze raz się ruszysz...

Jako ostrzeżenie uczynił ruch sztylitem koło szyi Galiba, słysząc jednak hałas za swoimi plecami, odwrócił się i zdołał uchylić przed ciosem w głowę grubą drewnianą pałką. Trzymał ją młody chłopak, którego nie dojrzał. Kij wylądował mu na ramieniu i powalił go na ziemię. Podczas upadku rozwścieczony żołnierz przejechał ostrzem po szyi Galiba, zostawiając długą ranę. Z przerażeniem zobaczył wtedy, jak najsilniejszy mężczyzna idzie w jego stronę.

Niewiele myśląc, począł wywijać sztyletem w powietrzu na wszystkie strony, wrzeszcząc jak opętany, gotów zadźgać każdego, kto się do niego zbliży. Zranił w udo Diega, a Kabirmę w brzuch. Zebrał siły, próbował się podnieść i uklęknąć, ale Diego chwycił go za szyję i nie mógł się już ruszyć. Wtedy Kabirma nadepnął na uzbrojoną rękę i bez zastanowienia wbił głęboko w pierś jego sztylet. Mężczyzna wydał stłumiony jęk, jakby umierał, ale wykrzesał jeszcze z siebie dość sił, by z wściekłością wgrzyźć się w trzymającą go rękę młodzieńca.

Wkrótce wszyscy zdali sobie sprawę, że opada z sił i agonia jego będzie krótka. Zaczął kaszleć krwią i tracić oddech, aż wyzionął ducha.

Benazir podbiegła do męża, który leżał na ziemi w kałuży krwi. Za nią podeszli Kabirma i Diego.

– Nie bójcie się... – uspokajał ich Galib. – To jest płytkie, nie dosięgnął mi tętnicy szyjnej. – Benazir osuszała mu ranę urwanym strzępem spódnicy. – Kobieto, zajmij się Diegiem i Kabirmą, oni też są ranni...

Obejrzała rękę Diega. Zostały na niej ślady zębów i trochę krwawiła, ale nie wyglądało to poważnie. Cięcie na nodze było głębsze. Urwała kolejny strzępek i uwiązała powyżej rany, żeby zatamować krwotok. Kabirma był ledwie draśnięty.

– W sumie mieliśmy szczęście... – odezwała się pokrzepiona do męża. – Nikt nie został poważnie ranny.

– Jesteśmy na wrogiej ziemi... – Jerezańczyk z troską w oczach rozejrzał się na wszystkie strony. – Musimy uciekać stąd jak najprędzej... Może być ich więcej... – Zaciągnął trupa pod drzewo i nakrył liśćmi. – Idźcie po konie... – nakazał Diegowi i Fatimie, która schowała się na czas walki.

– Nikogo więcej nie widzieliśmy.

– To dobrze, ale nie możemy ryzykować. Teraz, jeśli nas znajdą i odkryją, co zrobiliśmy, jesteśmy martwi.

W chwilę później przeprawiali się przez rzekę w zakolu, gdzie było niezbyt głęboko. Potem narzucili koniom szalone tempo. Gdy pędzili

galopem, w uszach brzmiały im słowa Kabirmy. Są na wrogiej ziemi. Z lękiem w oczach patrzyli na wszystko, co się poruszyło. Bali się własnych cieni. Wyobrażali sobie, że w każdej chwili na drogę mogą wyjść następni żołnierze i pojawić się następne niebezpieczeństwa. Tych pięcioro jeźdźców było świadomych, że znajdują się w strefie największego ryzyka – na pograniczu. Wtulali się w szyje swych koni, by tworzyć z nimi jedno ciało i gnać do przodu tak szybko, jak się tylko da. W środku nocy wjechali na równinę. Teraz mogli przyspieszyć jeszcze bardziej. Zwierzęta pocily się i były ledwo żywe, ale panika ich właścicieli była silniejsza – nie pozwolili im na żaden odpoczynek.

Benazir zauważyła, że Fatima trzęsie się, umierając z zimna. W zamieszaniu nikt nie zapytał, dlaczego pojawiła się u boku Diega w samej tylko przemoczonej bieliźnie. Dziewczyna poczuła na sobie wzrok Benazir i zrozumiała znaczenie jej lodowatego spojrzenia.

Wiele mil dalej, gdy wstał już dzień, dojechali do brzegu następnej rzeki, którą Kabirma rozpoznał jako Zujar. Jadąc dalej wzdłuż jej koryta, mieli dojechać aż do północnego łańcucha górskiego Sewilli.

Zatrzymali się chwilę, by napoić konie. Kabirma wziął Galiba na słowo.

– Musimy trzymać się rzeki aż do podnóża gór. Tam poszukamy miasteczka zwanego Castella. Mam tam nadzieję na schronienie w domu mego dobrego przyjaciela. Przedtem jednak będziemy musieli przeciąć ścieżkę, która biegnie przez dość ruchliwe miasteczko, jakieś półtora dnia drogi stąd. Łatwo natknąć się tam na uzbrojony patrol. Jeśli będziemy jechać w tym tempie co dotąd, dotrzemy tam nocą i może nikogo nie spotkamy. Teraz trzeba zmusić konie do trochę większego wysiłku, żeby nie zatrzymały się przed zmrokiem.

Galib, zaniepokojony, podrapał się po brodzie.

– Dlaczego chcecie zatrzymywać się w tej Castelli? Chyba mniej ryzykowne byłoby nie pokazywać się nikomu, nie sądzicie?

– Pełno tam Turków.

– Turcy, tutaj? – Galib nie mógł powstrzymać się od okazania strachu. Wiedział, że słyną oni z przemocy.

– Kalif, zapewne w dowód wdzięczności za jakąś wojenną przysługę, przyznał im tę ziemię i parę wiosek. Musimy zachować najwyższą ostrożność. Ich hordy, wierzcie mi, są niezwykle brutalne. To szaleńcy.

Gdy nadeszła północ, po całym dniu bez odpoczynku pojechali w stronę gęstego lasu, który mieli pokonać. Kabirma po cichu udzielał instrukcji.

– Nie rozmawiajcie ze sobą i starajcie się, żeby wasze konie były jak najspokojniejsze. Gdyby zaczynały rzeć, od razu je uciszcie. Wjeżdżamy do strefy podwyższonego ryzyka.

Zagłębiali się w leśne ciemności, nie widząc prawie nic. Konie, całkiem wyczerpane, szły z trudem, obwąchując wszystko wokół w poszukiwaniu odrobiny trawy.

Czując silny zapach drewna i pognitych liści, jechali wśród nocnej ciszy ciemnym zagajnikiem, aż dotarli do porośniętej ziołami polany, skąpanej w księżycowym blasku. Ale gdy tylko na nią weszli...

– Turcy! – Kabirma zauważył ich pierwszy. – Po drugiej stronie polany!

Przestraszyli się, że nic nie mogą już zrobić, bo też zostali dostrzeżeni.

– Będę mówił pierwszy, zachowajcie spokój... To ważne, żeby cały czas widzieli, że jesteście spokojni. Pewnie będą chcieli glejt. Jak zobaczą, że podpisany jest przez samego wezyra, nie powinni już zbyt się czepiać i puszczą nas dalej...

– Obyś miał rację. – Galib przełknął ślinę i zbliżył się do swej żony. Benazir i Fatima zakryły twarze, a Diego poszukał sztyletu, żeby mieć go pod ręką.

Pół tuzina mężczyzn otoczyło ich, obrzuciwszy nieufnymi spojrzeniami. Jeden z nich przemówił, zwracając się do Galiba.

– Dokąd wybieracie się tak późną porą? Nie znam was... Pokażcie przepustkę.

– Jesteśmy krewnymi Altaira ibn Ghazi. Czy go znacie? – odezwał się Kabirma. Zza pazuchy wyciągnął glejt i podał mu. – Rządzi w Castelli, dokąd się udajemy.

Mężczyzna rozwinął pergamin i zaczął go dokładnie czytać.

Kiedy doszedł do pieczęci wezyra, przykuło jego uwagę coś dziwnego w jego podpisie.

– Kto wam to dał? – gniewnie potrząsnął pergaminem. Jego żołnierze, o dużych migdałowych oczach i opalonej skórze, dobyli szabli i bez namysłu ruszyli ku podróżnikom.

– Jak to kto? Sam wezyr dał mi zezwolenie... A było to, nie wiem, parę miesięcy temu. Tu macie jego własnoręczny podpis – wskazał palcem. – Wyżej jest moje nazwisko i zgoda udzielona Kabirmie z Jerezu. Jestem handlarzem końmi i wiele już razy przemierzyłem tę trasę. Nie wiem, czemu nie zetknęliśmy się wcześniej, być może trafiałem na waszych kolegów. Tym razem podróżuję w towarzystwie rodziny – powiedział spokojnie. – To moje dzieci... – wskazał na Fatimę i Diega – a to mój brat, ze swoją żoną... – Galib i Fatima przywitani go z szacunkiem.

Turek zaczął znów oglądać dokument, chcąc przekonać się, czy podpis jest prawdziwy. Dwa tygodnie wcześniej paktował z wezyrem i widział inny zakrętas. Przyglądał się glejtowi ze wszystkich stron w świetle księżyca. Mrok nocy nie pozwalał mu jednak być niczego pewnym.

– Zdaje mi się, że kłamiesz! – zawołał nagle.

– Nie myślcie tak... Tak nie jest...

– Pojedziesz ze mną do miasteczka, muszę coś sprawdzić... Reszta może tu zaczekać. Długo to nie zajmie.

Skinął na dwóch żołnierzy, aby zostali ich pilnować.

Kabirma usłuchał go, ale przedtem tak pokierował koniem, żeby przejechać koło Galiba i móc się z nim porozumieć. Jego słowa usłyszał tylko weterynarz.

– Uciekajcie beze mnie... – powiedział – znajdę was.

Galiba sparaliżował strach, gdy zrozumiał powagę sytuacji, w której się znaleźli. Widział, jak Kabirma odjeżdża w otoczeniu czterech żołnierzy. Drżał o jego los, ale i o los całej reszty.

Dosyć spokojnie zachęcił wszystkich, by zsiadli z koni. Poprosił Benazir o przygotowanie kanapek, by wykorzystać czas oczekiwania. Dwaj Turcy też zsiadli, ani na chwilę nie przestając ich obserwować. Zaczęli chyba jednak wierzyć, że mają do czynienia z niezbyt niebezpiecznymi ludźmi.

Fatima pomagała Benazir we wszystkim. Wyjęły bułeczki zawinięte w bawełniane chustki i rozkroiły je, by nałożyć do środka sera i pigwy. Czasem spoglądały na Galiba, nie wiedząc, co zamierza zrobić, gotowe

na każdy ruch z jego strony. Diego zbliżał się stopniowo do mistrza, aż zapytał go szeptem, o co chodzi. Galib odpowiedział, nie poruszając nawet ustami.

– Wyszukaj w lekarstwach fiołkę mlecza z polnego maku... Podaj mi ją, jak będziesz mógł...

– Co wy tam gadacie? – podszedł jeden z Turków. – Nim wrócą, macie być wszyscy cicho. Jasne?

Posłuchali rozkazu i usiedli dokładnie naprzeciwko strażników. Diego poprosił, by pozwolili mu poszukać bułki z wodą. Benazir zaczęła rozdawać kanapki. Żołnierze byli głodni i patrzyli z zazdrością, ale nic nie powiedzieli.

Diego szybko znalazł fiołkę. Ukrył ją w rękawie. Żołnierz stojący obok, mimo że cały czas go obserwował, nic nie zauważył. Diego usiadł pomiędzy Galibem i Benazir, czekając na dalsze polecenia.

– Umoc dwie bułki w tym mleczku...

Benazir usłyszała, co powiedział jej mąż, i zrozumiała, co chce zrobić. Zasłoniła Diega, kiedy wylewał ciecz na bułeczki. Gdy skończył, wzięła jedną i wyciągnęła ku żołnierzom.

– Nie proponowaliśmy... Czy zechcielibyście skosztować?

Turcy spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co robić. Ich przepisy mówiły wyraźnie, żeby nigdy nie brać nic od wroga, ale w tym wypadku nie można było chyba sądzić, że ci ludzie źle im życzą.

Spojrzeli na bułkę niepewnie. Wyglądała dość apetycznie...

– Dajcie... – Jeden z nich wstał i wyrwał jej bułkę z ręki. Przedzielił na pół i podał koledze. Widzieli, jak inni jedli bez obaw, więc śmiało ugryźli swoje.

– Weźcie drugą, mamy dużo. Na pewno nie jedliście nic od wielu godzin... – Benazir zbliżyła się, przesyłając im jeden ze swych czarujących uśmiechów.

Pochłonęli je piorunem, potem jeszcze dwie, przygotowane przez Diega tym samym sposobem. Popili sporym haustem wody, którą podał im Galib.

W chwilę później spali już słodko, wsparci jeden o drugiego. Środek nasenny zadziałał. Galib i Diego w pośpiechu usadawiali kobiety na koniach.

– Jedźmy stąd czym prędzej...

– A mój ojciec? – Fatima z przerażeniem spojrzała w kierunku, gdzie go zabrali. – Jak możemy go tak zostawić...? Ja nie mogę jechać, nie... Zostanę i poczekam na niego.

– Oszalałaś? – wtrącił się Diego. – Chcesz się przekonać, co zrobią ci dwaj, kiedy się obudzą i cię tu zobaczą?

– Twój ojciec znajdzie nas po drodze, bądź spokojna. Sam mi to mówił, gdy go zabierali.

Galib skinął na Diega, żeby łapał cugle.

Poganiiali zwierzęta gwałtownymi słowami, zmuszając je do galopu. Trzeba było jak najszybciej opuścić tę polanę.

Prowadził Galib, z trudem odszukując drogę w ciemnościach. Mińawszy gęsty las, wydostali się na pustą równinę. Galib nie wiedział, jaka droga będzie najodpowiedniejsza, żeby przemknąć niepostrzeżenie. W końcu uznał, iż najlepiej będzie jechać wzdłuż rzeki, którą mieli po lewej stronie.

– Jedźmy tym wybrzeżem! – zawołał, wskazując kierunek.

Skręcili w bok i zjechali po wysokim zboczach. W dole biegła otoczona drzewami ścieżka, która miała im posłużyć za kryjówkę. Fatima pierwsza zagłębiła się w ów zielony przesmyk, tak gęsty, że wkrótce stracili ją z oczu, Diego zamykał orszak. W roślinnym gąszczu panowała niemal kompletna ciemność. Sabba podążała za zadem konia Benazir, a ta z kolei za koniem swego męża.

Diegowi wydało się, że słyszy hałas za plecami. Nie umiał stwierdzić, co to było. Mogło to być zwierzę. Na wszelki wypadek zaalarmował jadących przed nim. Od razu przyśpieszyli, jak tylko mogli, nie bacząc na smagające ich po twarzach ze wszystkich stron gałęzie. Ból i rany nie były w tej chwili takie ważne. Wiedzieli, co należało zrobić. Pragnienie znalezienia się jak najdalej było wystarczającym powodem, by bez strachu i bólu pokonywać gęstwiny.

Po dwóch dniach Galib i Diego postanowili oczekiwać na Kabirmę u podnóża gór. Wydawało się, że niebezpieczeństwo ze strony Turków było daleko za nimi.

– Przybędzie... – Benazir objęła Fatimę ramieniem i razem z nią spojrzała na północ. Robiły to bardzo często już od wielu mil.

– My zdołaliśmy przechrzyć naszych strażników, ale co, jeśli memu ojcu się to nie powiodło?

– Nie pojedziemy, póki się nie pojawi... A zrobi to – rzekł Galib.

– Twój ojciec to spryciarz, uda mu się, zobaczysz. – Zszedł z konia i wdrapał się na wielką skałę. Zawołał do siebie Fatimę. Z wysoka widoczność była na ponad pięć mil.

Dziewczyna cierpiała niewymownie. Z całych sił pragnęła, by nie doszło do najgorszego. Czy jej ojcu coś się stało? A jeśli go uwięziono albo, nie daj Boże, ciężko zraniono...? Przeszył ją dreszcz przerażenia. Galib domyślił się, co czuje, i starał się ją pocieszyć, przytulając mocno.

On też rozmyślał i ubolewał w głębi duszy nad tym, co im się przydarzyło. Wszystkich przecież ostrzegał. To była niebezpieczna podróż... Dlaczego nie posłuchali go wtedy? Gdyby zostali w Toledo, nie by się nie wydarzyło, a Kabirma byłby cały i zdrowy.

Późnym popołudniem, gdy słońce zaczęło się już chować, a nadzieja powoli opuszczała ich serca, Fatima spostrzegła maleńki cień poruszający się w oddali. Przyjrzała się lepiej i krzyknęła do wszystkich. Widziała go! Tak, to był jej ojciec!

Mężczyzna przytulił córkę, uradowany, że wreszcie są wszyscy razem. On też nie był pewien, czy udało im się uciec strażnikom. Zrozumiał, że lęki trawiły ich tak samo jak jego albo jeszcze bardziej, bo przecież był sam. Opowiedział, jak udało mu się zbiec. Musieli teraz opuścić stopy i ruszyć w góry.

– Rzeczywiście, sfalszowałem podpis – przyznał – a tamten Turek zrobił się zbyt nerwowy, gdy to spostrzegł. Musiałem przejść trudne chwile, nie przeczę... ale jak zawsze mogłem posłużyć się sposobem, który nie zawodzi nigdy...

– Ile dałeś?

– Jesteś starym lisem jak ja, przyjacielu Galib... Dobrze wiesz, o czym mówię, prawda?

– Widać, że poznałem wielu Turków...

– Jego milczenie kosztowało mnie sto talarów, wszystko, co miałem, ale mimo to zrobiłem dobry interes.

– Ojciec... – Fatima wzięła jego rękę i jąla obsypywać pocałunkami. – Przez chwilę myślałam, że cię straciłam.

– Nie lękam się broni ni podstępów. Wiem, że nigdy mnie nie pokonają. Za to cały miękną pod jednym twym spojrzeniem... – Poglądził policzek swej córki.

Ruszyli ku porośniętym górskim zboczom. Wspinali się uspokojeni, pogodni, coraz bliżej upragnionego celu. Tylko Diego rozmyślał o Sewilli i o tym, jak dowiedzieć się czegoś o swoich siostrach.

– Musimy dotrzeć do Castelli przed zapadnięciem zmroku... Nie chcę więcej strachów. Tam znajdziemy opiekę, wiem to. Altair jest moim przyjacielem.

XIX

Otoczone murem miasto Castella, inaczej zwane Cazalla de la Sierra, otworzyło im swe wrota, ciekawe nowych gości.

Altair był to osobnik o zaskakującej od pierwszego momentu fizjonomii: niezwykle gruby, co nijak nie pasowało do jego maleńkiej głowy. Tak samo twarz: olbrzymie usta o grubych, wysuniętych do przodu wargach kontrastowały z niewielkim noskiem.

Ujrawszy swego przyjaciela Kabirmę, nie posiadał się z radości. Ale już w minutę później, kompletnie bez przyczyny, wpadł w straszliwą histerię. Wykrzyczał służbie całą serię rozkazów. Kazał podać mleko i daktyle na powitanie, szykować kolację na później, a także pokoje i kąpiel dla przyjaciół podróżników.

Dom zamieszkiwali też jego krewni, którzy przybyli tam niewiele wcześniej, uciekając z Kastylii. Mimo to Altair tak bardzo poważał Kabirmę, że zaprzagnął umieścić swych gości w najlepszych, jakie miał, kwaterach. Natychmiast wszyscy dostali pokoje, wszyscy poza Diegiem. Altair przeprosił i zasugerował, aby młodzieniec spał na słomie.

– Ubolewam, że nie mogę nic lepszego zaproponować. – Wydawał się wielce zakłopotany.

– Spokojnie, Altair, już od paru dni nocujemy pod gołym niebem. Z pewnością dzisiaj wyśpi się lepiej.

– Oczywiście, proszę się mną nie kłopotać.

Po szybkiej kąpeli zeszli się znów na kolację. Zastawiony stół oczekiwał na gości i krewnych na porośniętym kwiatami podwórzu z fontanną pośrodku.

Usiedli na kocu z poduchami i podziwiali eleganckie przyjęcie. Na skórzanym obrusie stały szklane talerze i misy, łyżki z drewna oliwnego, pośrodku kaganki i lampy aromatyczne, a wszędzie były rozsypane płatki róży.

Najpierw podano pulpeciki mięsne smażone w oliwie, smaczne i syjące, następnie przepyszne pieczone gołąbki, a do tego zupę z bakłażanów.

Altair, niezwykle gościnny, był również znakomitym rozmówcą. Opowiadał o swoim rodzie, od zawsze rezydującym w Andaluzji. Wspomnił też o swym zamiłowaniu do hodowania w bezwzględnej czystości najpiękniejszej w świecie rasy końskiej: afrykańskich berberów. Z tego powodu poznał Kabirmę.

– Po moim aktywnym udziale w walkach z chrześcijanami powierzono mi ważną funkcję polityczną w mieście. Teraz jestem *zalmedinem*, odpowiedzialnym za rząd i administrację miejską. Posadka może i nie wysoko płatna, ale pewna. Castella to spokojne miasteczko, gdzie nigdy nic się nie działo, chociaż od paru dni to się zmieniło. Dręczą nas obawy, a wszystko przez strasliwą nowinę...

Galib i Kabirma nie wiedzieli, o co chodzi.

– To wy jeszcze nie wiecie, co stało się w twierdzy Salvatierra...?

Policzki mężczyzny zaczerwieńczyły się do granic możliwości.

– Parę dni temu mój szwagier Ahmed i moja siostra Leyla musieli stamtąd uciekać, tak samo jak wszyscy bracia w wierze, którzy jej bronili. Nasza najpiękniejsza twierdza, najbardziej okazała, została zaatakowana i przejęta przez chrześcijański zakon mnichów-rycerzy kalatrawensów. Pokiwał głową ze smutkiem, prosząc Allaha o opiekę i lamentując żałośnie.

Wszyscy przestali jeść, przestraszeni widokiem jego zaczerwienionej twarzy.

– Salvatierra! – wznosił ręce do nieba jak opętany. – Klęska nadchodzi...! – krzyknął znów, bijąc się w piersi oburącz, jakby chciał odkupić w ten sposób swój ból. – Tym podbojem niewierni wbili strzałę w środek serca al-Ándalus. Teraz są dużo bliżej naszych domów, naszych kobiet, i będą zajadłej walczyć, by zrujnować naszą wiarę, którą objawił nam prorok nasz Mahomet.

Wspomnienie kalatrawensów i wzmianka o ich wyprawach wojennych sprowokowały pytanie Diega.

– Wybaczcie, panie, czy widzieliście bitwę pod Alarcos?

Galib i Kabirma spojrzeli z niechęcią, zaniepokojeni jego tupetem.

– Byłem tam, na Allaha. To już trzy lata temu. Pamiętam mnóstwo zdarzeń, a zwłaszcza haniebną ucieczkę tego dumnego i pyszałkowatego kastylijskiego króla. Tak było, to wielkie zwycięstwo w otwartym polu!

Po tych słowach twarz jego rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Czy wiecie, co stało się z chrześcijankami pojmanymi w następnych dniach?

Pytanie Diega padło tak bez sensu i nie w porę, ale zostało już zadane. Altair patrzył na niego bez słowa, nie rozumiejąc zbytnio, do czego zmierza.

Z pomocą pośpieszył Kabirma.

– Nasz przyjaciel Fadil... – tak postanowili nazywać Diega, aby nikt nie odkrył jego chrześcijańskiego pochodzenia – od pewnego czasu bardzo chcieli dowiedzieć się czegoś o dwóch chrześcijańskich niewolnicach. Słyszał o owym łupie wojennym jako najcenniejszym i najwyższej jakości ze wszystkich, jakie wówczas zdobyto.

– To prawda, przypominam sobie, kiedy o tym mówicie. Było ich wiele, niektóre bardzo piękne. Sam trzymam jeszcze dwie, rzeczywiście bardzo ładne... – poklepał chłopaka po plecach, pojawiały jego lubieżne zamiary. Diegowi zabrakło tchu. Starał się, jak mógł, ukryć swą ciekawość, ale musiał się dowiedzieć, czy nie chodzi przypadkiem o Blancę i Estelę. Ci, którzy go znali, zauważyli jego podniecenie.

– To siostry, i tak sobie myślę, że dobrze im u mnie, zawsze trzymałem je razem...

Diego nie mógł się już powstrzymać. Benazir to widziała. Zdawało się, że już ma zapytać o nie bez ogródek. Jeśliby to zrobił, jego zainteresowanie mogłoby wydać się przesadne i zaszkodzić bezpieczeństwu reszty. Wtrąciła się, by temu zapobiec.

– Protestuję! – zawołała podniesionym głosem.

Spojrzeli na nią zmieszani.

– Mówienie o urodzie chrześcijanek obraża Allaha i jego córki, do których mam zaszczyt należeć. Czyż nie powiedział Prorok, że stworzone zostałyśmy jako najpiękniejsze, najlepsze, najbardziej płodne?

Altair zawstydził się. Zaczął przeproszać, wychwalając pod niebiosa najdoskonalsze dzieło stworzenia i próbując się usprawiedliwić.

– Święta racja, droga pani. Poza tym one nie są wcale takie piękne... Jeśli zwróciliście uwagę, to te, które podawały nam kolację...

Westchnienie głębokiej ulgi rozeszło się po podwórzu. Diego spojrział na Benazir z wdzięcznością. Odwzajemniła jego gest ukradkowym mrugnięciem.

– Najlepsze spośród tamtych kobiet i wszystkie poniżej dwudziestu lat – ciągnął Altair – zostały, jak pamiętam, wysłane do Marrakeszu, na dwór kalifa, i wcielone do jego wielkiego haremu.

– Wszystkie?

– Tak powiadają. Kalif woli młode...

Diego, przepelniony wściekłością, powstrzymał łzy i dalej prowadził rozmowę, jakby wcale go to nie poruszyło.

Po skończonej kolacji w ciemnej stajni na słomianym posłaniu płakał jak dziecko, przypominając sobie twarze sióstr. Wolałby dowiedzieć się o ich śmierci niż wyobrazić je sobie w takim miejscu.

Wreszcie usnął, chociaż z trudem, ale w chwilę później obudził go cichy szelest. Gdy otworzył oczy, ujrzał słodki uśmiech Fatimy.

Położyła się obok i przysunęła do jego ciała.

– Oszalałaś! Jeśli twój ojciec się dowie, zabije nas...

– Nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że jest ci źle z powodu twoich sióstr, i zrobiło mi się żal, że zostałeś sam.

Pogłaskała go po policzku.

– Gdy je zabrali, Estela miała zaledwie trzynaście lat, a Blanca o rok więcej niż ja: piętnaście. Nie mogę nawet myśleć o tym, ile cierpień muszą teraz przeżywać, jeśli to prawda, co powiedział tamten człowiek. Czuję się tak bardzo winny...

Znów popłynęły mu łzy.

– Nie zrobiłem tego, co powinienem był... zostawiłem je same.

- Przystań się już zdręczać. Odnajdziesz je.
 - Nie odnajdę ich, Fatimo, nigdy nie zdołam do nich dotrzeć. Są za daleko... Jak mam pojechać do Marrakeszu?
 - A jeśli nie są w Marrakeszu?
 - Są tam. Altair mówił. Były piękne, młode, więc muszą tam być.
- Nie wiem, co począć.

Diego zamilkł. Fatima też nie wiedziała, co mu powiedzieć ani jak go pocieszyć. Mógł mieć rację. Nie słyszała, żeby kiedykolwiek jakaś niewolnica została odbita z ziem al-Ándalus. Chociaż Diego miał taki zamiar, wydawało się to prawie niemożliwością.

Dziewczyna zbliżyła do niego swoje wargi. Chciała osuszyć mu łzy, żeby się nie smucił. Ucałowała jego oczy i popieściła włosy. Chciał coś powiedzieć, ale mu nie dała. Przywarła ustami do jego ust. Diego posmakował ich i znów poczuł swym ciałem jej ciało, jak wtedy w rzece. Jej włosy opadły na jego twarz. Wciągnął z nich zapach jej pożądania, delikatny, a zarazem mocny.

– Fatima, posłuchaj... nie wiem, czy to... – Odsunął ją i spojrzeli sobie w oczy. Musiał być szczerzy wobec samego siebie, a przede wszystkim wobec niej, ale poczuł się niezdolny do wyrażenia, co naprawdę myśli. Wiedział, że jej nie kocha, ale w tamtej chwili pożądał jej namiętnie.

– Nie mów, nie myśl, nie oddychaj i nie zastanawiaj się. Tylko bierz i ciesz się. Przysunęła się, by znów zakosztować jego ust i dała mu swe piersi.

Nie wiedzieli, że w ciemności ktoś ich obserwuje, niemal się dusząc. To była Benazir. Tak samo jak Fatima, zeszła do stajni z zamiarem pocieszenia go. Nawet nie przyszło jej do głowy, co może tam zastać.

Patrzyła, oszołomiona i zmieszana.

Stać tam tak dalej zdawało jej się nie w porządku, lecz bez wątpliwności jakaś tajemnicza siła kazała jej zostać.

Czuła silne wyrzuty sumienia.

Galib był jej codziennością i kochała go, ale fantazjowała o Diegu. Myśl, by uczynić go swoim kochankiem, stawała się jej obsesją. Gdy był przy niej, od razu czuła się żywsza. Gdy o nim myślała, jej wyobraźnia wędrowała ku sprawom o wiele bardziej ekscytującym niż jej nudne, powszednie życie.

Tamtej nocy Benazir ujrzała wzajemną bliskość tych dzieciaków. Każdy z ich pocałunków obnażał przed nią uderzającą prawdę, pozabawiał ją złudzeń.

Udręka ta nie trwała jednak długo.

Usłyszała, jak Diego prosi Fatimę, by sobie poszła. Dziewczyna pożegnała go ostatnim pocałunkiem.

Tam, ukryta za masywną furta, Benazir poczuła się jak ukłuta nożem, jakby Fatima zostawiała smugę radości, przechodząc blisko niej.

Gdy następnego ranka wyjechali z Cazalli, wykreślili ze swego planu trasę przez Sewillę jako beзуżyteczną dla sprawy Diega. Wybrali inną, która miała ich powieść prosto do doliny Gwadalkiwiru, do brzegów rzeki Guadiamar.

Przewodził Galib jako bardziej niż Kabirma zaznajomiony z terenem. Ten ostatni nigdy nie zapuścił się tak daleko na południe w interesach.

Diego jechał u jego boku zasmucony.

Nie da się ukryć, że miał ku temu powody. Ale i Galib miał swoje, by czuć się różnie. Sewilla stanowiła dla niego poważne ryzyko osobiste. Tak czy inaczej, było mu żal Diega, rozumiał jego rozczarowanie i pragnął dodać mu otuchy.

– Wiele bym uczynił, żeby odgonić żal, który tak cię trawi. Widzę, że cieszy cię twoje zajęcie, myślę też, że dobrze czujesz się w naszym towarzystwie, ale rozumiem, że nie zaznasz prawdziwego spokoju, dopóki ich nie znajdziesz... To proste.

– Galibie, dalszcie mi bardzo wiele, wszystko, ale one... mój ojciec...

– Wiem, Diego. Pewnego dnia, zobaczysz, przyjdzie twój czas. Wtedy będziesz gotów i zdołasz wypełnić to, co nakazał ci twój ojciec. Nie możesz wciąż dalej się obwiniać za to, co się stało. Musisz patrzeć przed siebie z wysoko podniesioną głową. Jesteś mądry, zdolny i wytrwały. Jestem pewien, że któregoś dnia uda ci się mieć je przy sobie.

Diego przytulił się do Galiba. Jego słowa go ukoiliły. Poza tym wiedział, że ma rację. W życiu sprawy rozwiązywały się w odpowiednim czasie. On musiał poczekać na swój.

Nie słuchając, o czym mówią, Benazir jechała zamysłona, okryta swoją chustą. Czuła się źle z powodu tego, co zrobiła minionej nocy. Zabolalo ją też, gdy zdała sobie sprawę, jak krucha jest jej wierność Galibowi.

Gdy zostawili w tyle ostatnie górskie zbocze, odszukała Diega i popatrzyła na jego usta, marząc o nich. On, nieświadomy jej pragnień, przypominał sobie pocałunki Fatimy, nie wiedząc, co o tym myśleć. Słodycz jej towarzystwa czyniła jazdę przyjemniejszą. Z drugiej jednak strony uważał, że robi źle, bo przecież jej nie kocha.

Świt kolejnego poranka zaskoczył wszystkich na wpół śpiących na grzbietach swych koni, wyczerpanych. Po wypoczynku poprzedniej nocy w domu Altaira, tę spędzili w drodze, odsuwając godziny odpoczynku na później.

Pierwszy promień słońca, który pojawił się na horyzoncie, przyciągnął uwagę całej grupy. Spojrzeli na Galiba z niezmiernym zadowoleniem. On zobaczył je pierwszy.

– Są! – krzyknął. – Są tam!

Światło odbijało się w tysiącach punkcików na przestrzeni owych bezkresnych mokradeł. Mimo że była dopiero połowa maja, upał przypominał środek lata. Obfitość kwiatów, ich miliony tworzące różnobarwne kobierce, poddzielane liniami ziemi, świadczyły o panowaniu wiosny.

Od początku Galib ustawił ich gęsiego, jedno za drugim, by nie zbaczać w liczne bagniste rejony, gdzie mogłyby ugrzęznąć konie. Jego twarz wyrażała samą radość. Dotarli do zakątka świata najpiękniejszego ze wszystkich. To właśnie musiał być ogród obiecany przez Allaha jego wyznawcom, myślał, chłonąc zachłannie każdy skrawek ziemi, który ogarniał wzrokiem, by na zawsze zatrzymać je w pamięci.

Pozostali podążali za nim, oczarowani niezwykłym pięknem, majestatem i powabem, jaki roztaczał się wokół. Cisza panująca w tym cudownym ogrodzie zdawała się nie dopuszczać ich głosów, jedynie miękki odgłos podków uderzających o ziemię, łamanych gałązek czy oddechów koni.

Zagłębili się w młody sosnowy lasek, upstrzony łagodnymi piaszczystymi wzniesieniami. Nie zatrzymując się, dotarli na nieporośnięte drzewami wzniesienie. Rزتaczał się stamtąd niewiarygodny widok, tyleż majestatyczny, co urzekający. Po drugiej stronie rozpościerała się rozległa równina, a na niej mieniły się najróżniejszymi odcieniami tysiące lagun w najpiękniejszych kolorach: od ciemnych zieleni po jasne błękity. A na całym tym obszarze pasły się, galopowały, tarzały i plu-skały w wodzie, pojedynczo i grupami, tysiące koni.

To były stada starego kalifa Abderramána III, arabskie stada z mo-kradeł.

XX

Całe jej ciało to był jeden wielki piękny tatuaż.

Nazywała się Najla, „ta, która ma wielkie i śliczne oczy”, i była córką samego kalifa Yusufa.

Przez dziesięć lat Najla mieszkała w Sewilli, gdzie pobierała nauki od najznamienitszych profesorów, artystów i poetów andaluzyjskich.

Zazwyczaj raz do roku wracała do Marrakeszu, ale już od trzech zim tam nie była. Od czasu, kiedy Estela i Blanca były w haremie. Teraz, gdy wracała do swego pałacu, ledwie o nich usłyszała, że są Kastylijkami w jej wieku o czerwonych włosach, niezwłocznie zapagnęła je poznać.

Księżniczce Najli zabroniono rozmawiać z nałożnicami, wchodzić do ich komnat, pytać, pokazywać swą twarz, spacerować samotnie, śpiewać, spoglądać na mężczyzn, którzy na nią patrzyli, prowadzić rozmowy... Jej życie składało się z niekończących się zakazów, co było trudne do zniesienia. Dlatego też, mając dość swej niewoli, pewnej nocy postanowiła zakpić sobie ze strażnika.

Był to jeden z owych oddanych imesebelenów. Po kryjomu udała się na przechadzkę po długich korytarzach i salonach, aż dotarła do sypialni. Wiedziała, że są tam kastylijskie kobiety. Towarzyszyła jej służąca, Ardah, nie przestając czynić jej wymówek z powodu szalonej eskapady, odkąd tylko opuściła komnatę.

– Zbudźcie się...

Łagodny, miękki głos zakłócił sen Blanki.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała dziewczynę o ciemnych włosach,

niebieskich oczach i szczerym uśmiechu. Spod makijażu pokrywającego jej lica ledwo można było rozpoznać prawdziwy kolor skóry. W pierwszym odruchu nakryła się kołdrą. Obawiała się kolejnych upokorzeń i kontaktów z tym odpychającym mężczyzną, z którym wiele już razy musiała sypiać.

– Nie lękajcie się. Nic wam nie uczynię. Jestem księżniczką Najlą.
– Jej szeroki uśmiech wzbudzał zaufanie. – Wstańcie po cichu i idźcie za mną. Zaprowadzę was do tajemnej komnaty za szwalnią. Tam wam wszystko wyjaśnię.

Blanca nie rozumiała, co to wszystko ma znaczyć, ale nie czuła się zagrożona i zbudziła Estelę. We trzy opuściły niewielką sypialnię, w której sypiało około dwudziestu kobiet, niektóre ciasno stłoczone jedna obok drugiej.

Najla wydawała się bardzo pewna siebie, ale i bardzo zdenerwowana. Znakomicie mówiła po hiszpańsku, chociaż szybko przeskakiwała z jednego tematu na drugi, niemal bez przyczyny.

– Barwnik, który pozoruje moją opaleniznę, nazywa się henna. Pigment, który zawiera, uzyskuje się z niezwykle pospolitej w tych stronach rośliny. To Ardah, moja niewolnica... – zakwefiona kobieta z szacunkiem schyliła głowę, ukrywając niechęć, jaką żywiła wobec swej pani z powodu jej obojętności i surowych kar – jest moją *neggacha**. Trochę leniwa, ale tatuuje jak nikt inny. Zobaczcie, co mi zrobiła...

* *Neggacha* – specjalistka od tatuażu.

Pokazała im swoje ręce. Na środku dłoni wymalowane było wielkie słońce, a z niego na palce wydobywały się promienie, kończące się spiralami i kwiatami na opuszkach palców.

– Macie cudowne włosy, a zarazem przedziwne. Mają barwę gliny.
– Dokładnie przyjrzała się im z bliska. Kręcone włosy Esteli zafascynowały ją jeszcze bardziej.

– Lubicie poezję? – Nie czekała na odpowiedź. – Ja lubię. Miałam okazję słuchać najznakomitszych poetek Kordoby. A bazyry? Ja uwielbiam, chociaż rzadko pozwalają mi chodzić po nich samej. Gdy uda mi się zgubić moje strażę, wtedy wszystko oglądam, szukam, dotykam, dopytuję się... Naprawdę mnie zachwycają.

Na moment się zamyśliła. Nie dając sobie wiele czasu na odpoczynek, zaraz podchwyciła kolejny temat do rozmowy.

– Lubię perfumy, najbardziej te, które zawierają esencję z róży. Nienawidzę zapachu meczetów i kocham konie. Gdy ich dosiadam, czuję się taka wolna...

Siostry siedziały na miękkich poduchach, nie pojmując, co się tu dzieje. Odkąd weszły, nie przestawała mówić, jak gdyby były starymi znajomymi.

– Czy zechciałaby pani powiedzieć nam, po co przyprowadziła nas tu w środku nocy? – przerwała jej Blanca.

Słowa księżniczki jakby nagle zamarły. Smutek pojawił się w jej oczach.

– Dopiero co wróciłam z Sewilli, z daleka od tego dworu i mojej rodziny, ale wciąż czuję się uwięziona...

– Nie wy jedna – odparła natychmiast Estela.

– Niewola jest mym przeznaczeniem. Odkąd pamiętam, musiałam prosić o pozwolenie, by gdzieś wyjść, by z kimś porozmawiać. Na dworze cieszę się szacunkiem jako córka kalifa, ale ledwie go znam, tak jak i moją matkę. Gdy pozwala mi się na śmiech, muszę być w nim powściągliwa, gdy zaś zbiera mi się na łzy, nie mogę zostać sama, by je wylać. Nigdy nie mogłam decydować, co będę jeść ani kiedy będę spać. Wybierają mi szaty i ubierają mnie. Ktoś decyduje za każdym razem o tym, kiedy mam się kąpać. A wy z pewnością robiłyście to wszystko, nie musząc pytać nikogo, czyż nie? Pewnie nawet wiecie, czym jest miłość... Ja nie. Zaznałam tylko odrobinę prawdziwego życia, tylko to, na co mi pozwalano.

Ardah upomniała ją, by mówiła ciszej. Za bardzo było ją słyhać.

– Chciałabym poznać waszą wiarę. Posłuchać, jaka jest Kastylia, jej krajobrazy, zrozumieć jej lud. Musicie opowiedzieć mi o tym wszystkim. Połowa mej krwi pochodzi z waszej ziemi, bo moja matka była Kastylijką, lecz nigdy mi o tym nie opowiadała. Pragnę to poznać... Poznać wszystko, co przede mną ukrywano od moich narodzin. – W oczach jej widać było szczerłość. – Zbudziłam was w środku nocy, bo chcę od was... – Najla przerwała potok słów i uciekła wzrokiem w inną stronę. Czowała się zakłopotana. – Staram się po prostu... zdobyć waszą przyjaźń.

– Żartujecie? – Blanca poczuła się urażona. – Sądzicie, że przyjaźń

zdobywa się przymusem? Tak samo jak nasze ciała? Czy muszę przypomnieć wam, że znajdujemy się tu w charakterze niewolnic i nałożnic? Czy może nie wiecie jeszcze, kto nas prawie codziennie wykorzystuje?

– Nie gniewajcie się, proszę. Życie w haremie. To, co się tu dzieje, nie powinno was dziwić. – W jej spojrzeniu był spokój. – Mój ojciec chroni was i żywi, ubiera i dogląda. I korzysta z was. Czy to złe?

– Dziwny punkt widzenia – wtrąciła się Estela.

– Czy tak nie dzieje się w Kastylji? Nie ma tam haremów?

– W naszym kraju mężczyzna posiada tylko jedną żonę – odrzekła.

– Nie kupuje się niewolnic?

– Nie... Chociaż, tak... Niektórzy kupują...

– Ale nie korzystają z nich? – Najla nie dowierzała temu, co mówiły.

– Być może, ale to niedozwolone.

– W takim razie robią to samo co my, tylko że oszukują. Nasze prawa i kodeksy mówią, że kobieta ma służyć mężczyźnie i żyje tylko dla niego. Daje mu przyjemność zawsze, gdy on tego zapagnie, za co w zamian dostaje to samo. Nie przeszkadza nam, że nasi mężowie sycą się innymi ciałami, jeśli szanują swoje kobiety i chronią przywileje swych ulubienic, które dadzą im potomstwo, prawdziwych żon. Pozostałe zaś, jak wy teraz, winne im są zapłatę za gościnność. Uważam, że to sprawiedliwe, iż odbierają ją tak, jak sobie tego życzą.

– Jak możecie to mówić? Ciała, które gwałcą, należą do nas... Czy uważacie też za sprawiedliwe, że robi to wasz brat, Muhammad, ze mną na przykład? – Estela poznała go noc wcześniej.

– Oczywiście! Powinnyście być z tego dumne! Po śmierci naszego ojca to on zostanie następnym kalifem. Pomyślcie tylko, co za zaszczyt, mogłybyście zostać jego pierwszymi nałożnicami... Wiele, wiele kobiet chciałoby być na waszym miejscu – powiedziała z absolutnym przeświadczeniem.

Siostry spojrzały po sobie ze zdumieniem. Nie mogły pojąć, jak ona może tak myśleć. Jak inny byłby jej pogląd na to, gdyby to jej osobiście dotyczyła ta sytuacja. Tak czy inaczej, Blanca uznała, że Najla może okazać się im pomocna.

- Czy zostaniecie więc moimi przyjaciółkami? – zapytała znów to-
nem, w którym pobrzmiwała nadzieja i niewinność.
- Będzie to dla nas zaszczyt... – odpowiedziała Blanca za obydwie.



Pedro de Mora dotarł do stolicy królestwa Nawarry, Tudeli, po dwóch tygodniach żeglugi z Marrakeszu do portu Fuenterrabia i tygo-
dniu jazdy konnej.

Wybrał tę trasę, dłuższą i bardziej skomplikowaną, żeby niejechać
przez Kastylię, gdzie mógłby zostać rozpoznany. Jako poseł kalifa Yu-
sufa miał misję przekonania króla Sanchy, by zawarł z nimi pokój, jak
uczynił to wcześniej jego imiennik z Portugalii i monarcha z Leónu.

– Przestańcie nalegać! – krzyknął rozzłoszczony król Nawarry. –
Czy nie słyszeliście, jak mówiłem, że przypieczętowałem właśnie pakt
z Alfonsem Kastylijskim i drugi z królem Aragona o wspólnej walce
przeciw waszemu kalifowi? Fakt ten nie jest tajemnicą i powinien być o
nim wiedzieć ten, kto was przysłał.

Sancho wstał i podszedł do niego pewnym krokiem.

– Jeszcze nie skończyłem... – odrzekł Pedro de Mora bezczelnie.

Król zmierzył go pełnym pogardy wzrokiem.

– Powiniennem wydać was w ręce Alfonsa Kastylijskiego... Czy to
nie was tak nienawidzi i poszukuje? – To mówiąc, krążył wokół niego,
spodziewał się bowiem, że wzbudzi w nim strach swoją ogromną po-
sturą. Poseł dotknął długiej blizny, która szpeciła jego twarz, nie okazu-
jąc najmniejszego lęku.

– Istotnie, to ja. Oskarża mnie o zdradę po tym, jak przywłaszczył
sobie ziemie, które należą do mnie, jak splamił moje imię i znieważył
mój honor, co wyrządzono i wam, choćbyście nie chcieli tego przyznać.

– Mówcie jaśniej i bez ogródek. Powiedzcie, czemu próbujecie te-
raz wmieszać mnie w waszą rzekomą zniewagę.

– Z tego, co słyszałem, postanowiliście, za pomocą zabiegów ma-
trymonialnych, połączyć trzy królestwa, by ustanowić jeden dwór, czyż
nie? – Sancho przytaknął. – Jednak, jak rozumiem, wasz kuzyn Alfons
Kastylijski teraz ani myśli zwracać ziemie Logroño, Cameros i Nájera,
które niegdyś należały do Nawarry? Jeśli w owym przyszłym królestwie

wszystko miałyby należeć do wszystkich... to dlaczegoż nie miałyby już ich oddać?

Wywód ten poruszył nawaryjskiego monarchę, który poczuł się rozwścieczony. Przebiegły Pedro de Mora miał jeszcze w zanadru jedną sztuczkę, bardziej miażdżącą niż poprzednia. Wiedział, że Sancho porzucił niedawno żonę, Konstancję z Tolosy, gdyż nie mogła dać mu potomstwa. Oczywiście zaś było, że jego małżeństwo z którąś z córek obydwu monarchów nie zostałoby nigdy uznane przez papieża z uwagi na zbyt bliskie pokrewieństwo. Chcąc do reszty popsuć nastrój króla, powiedział mu to z całym okrucieństwem. Następnie obserwował efekt swoich słów.

Monarcha wziął kielich, napełnił go winem i wychylił duszkiem. Potem spojrzął na posła z nieufnością i załamany usiadł z powrotem na tronie.

– Nie wyciągajcie pochopnych wniosków... Sprawa własności owych ziem zajęła nam wiele godzin dyskusji. Niestety, nie ruszyła do przodu, zarówno jak i kwestia możliwych zmian matrymonialnych.

– Zechciejcie mi wierzyć, cień pana mego dociera w miejsca niespodziewane, a uszy jego słyszą więcej, niż komukolwiek może się wydawać. Na przykład wie, że skarbiec wasz ostatnio zbytnio nie przytył...

Król Sancho zmarszczył brwi i zagryzł wargi, usłyszawszy tę ostatnią celną uwagę.

- Czyżbyście proponowali go podtuczyć?
- Coś o wiele lepszego, Wasza Wysokość. Zapraszam was do Marrakeszu. Czeka tam was niespodzianka.
- Do Marrakeszu?

XXI

Gdzieś przy tych lagunach, być może wciąż ich obserwując, zawsze gotowi, by zadać cios, czaili się imesebeleni.

Galib wyczuł to, gdy tylko noga jego postąpiła przy tych wodach, mimo całego urzeczenia pięknem okolicy. Pozostali z niepokojem rozglądali się wokół, sprawdzali, czy nikogo nie ma za ich plecami, wpatrywali się w horyzont. Bali się. Nie widzieli ich, ale zdawali sobie sprawę, że tam są.

– Nadmorskie mokradła są olbrzymie... przemierzenie ich zajęłoby nam cały dzień – odgadł ich myśli Galib. – Za moich czasów strażnicy patrolowali wielkie mokradła dalej na południe, gdzie znajduje się większa część tabunu. Te pierwsze stawy były mniej pilnowane, ale zachowajcie jak największą ostrożność i wciąż miejcie się na baczności. Być może będziemy musieli działać wyjątkowo szybko...

Galib poczuł pieszczotę ciepłego wiatru i głęboką woń łąk, która upoiła go bez reszty.

– Ale ja muszę... zanim... muszę spełnić obowiązek... – Zatrzymał powietrze w płucach i zapatrzył się na brykający tuzin klaczy. Ich widok nappełnił go spokojem tego miejsca.

Mimo swych własnych zaleceń puścił się galopem, by je przywitać, czując, jak łzy z jego oczu rozplývają się w otaczającym go powietrzu. Pędził na spotkanie swej utraconej miłości, dławiąc się ze wzruszenia. Zatopił się w swoich wspomnieniach, wmieszał w nie, nie czując się wśród nich kimś obcym.

Diego, tak jak inni, wiedział, że jest świadkiem jedynego i niepowtarzalnego misterium. Jednak żadnego z nich nie opuszczał strach. Czuli bliskość morderców o czarnej skórze, którzy dla Diega uosabiali

żywe wspomnienie jego najgorszych nieszczęść. Za każdym razem, gdy ktoś o nich wspominał, uwalniały się skrywane w jego wnętrzu uczucia. Nienawiść, uraza, lęk, złość.

Kabirma w tych chwilach śnił własny sen. W zachwycie rozglądał się wokół. Nigdy wcześniej nie widział tylu sztuk tak czystej krwi, potomków tych, które kiedyś, czterysta lat wcześniej, przekroczyły cieśninę. Przybyły z Arabii, z pustyni lub z gór na północy Afryki.

Fatima i Benazir zbliżyły się do spokojnie pasącej się grupy kłaczy. Były to zwierzęta silne, dostojne i delikatne. O łbie smukłym i niewielkim w porównaniu ze sporym korpusem, małym pysku, ciemnych i żywych oczach i zawsze podniesionym ogonie. Trzy z nich były prawie białe, o sierści tak czystej, że prześwitywały pod nią żyły, a nawet skóra.

– Patrzcie na tego czarnego ogiera. – Kabirma wskazał przepysznego samca. – Nie ma na świecie drugiej tak cudnej sylwetki: uniesiona szyja, nozdrza otwarte i groźne. Co za elegancki chód... Przepelnia go duma jego szlachetnej rasy.

– Ile ich weźmiemy, ojczy?

– Biorąc pod uwagę, że jest nas pięcioro, a każdy z naszych wierzchowców może za sobą pociągnąć pięć sztuk, sama oblicz. Postarajmy się, żeby to były kłacze, może nie wszystkie dwadzieścia pięć, ale przynajmniej dwadzieścia.

Galib odłączył się od grupy. Galopował wybrzeżem, a konie wraz z nim. Na chwilę zniknął pomiędzy nimi, ale wiadomo było, że tam jest, kiedy widziało się, jak za nim biegły.

Benazir dopadł nagle dziwny niepokój. Miała przecucie, że coś może mu się stać, że to piękno może obrócić się przeciwko niemu. Zdenerwowana, zaczęła szukać swojego męża. Poprosiła Kabirmę o pomoc.

– Boję się o niego. Nie pozwólmy mu się tak oddalać. Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, co ten raj może z nim uczynić. Jeśli dalej pozwoli swoim zmysłom sobą kierować, wkrótce zapomni o groźbach, które nad nami wiszą.

Przestraszeni ruszyli na jego poszukiwanie, nie robiąc hałasu. Starali

się nie spłoszyć zwierząt, by nie zwrócić uwagi któregoś z owych żołnierzy o okrutnej sławie, którzy wprawdzie nie nadchodzili, ale znajdowali się blisko. Odnaleźli go na wzgórzu.

Z zaczerwienionymi oczyma, wsparty na szyi swej kasztanowej klaczy wyglądał na pogrążonego w myślach. Jego spojrzenie błąkało się gdzieś po horyzoncie.

– Mistrzu Galibie... – Diego jako jedyny odważył się wyrwać go z transu. Benazir nawet go o to nie prosiła. – Może tak zaczęlibyśmy już z tymi końmi...

– Tak, racja. Spójrzcie tylko na te klacze. Tylko na nas czekają... – Wskazał na setkę klaczy, które pały się spokojnie, parę kroków od nich. – To szlachetne istoty, choć urodzone w dziczy. W swoim czasie, gdy musiałem którąś oznaczyć czy po coś do niej podejść, znajdowałem sposób, by zbliżyć się, nie płosząc ich. Kiedyś mi się udawało, dajcie mi i teraz spróbować. Chciałbym tylko, aby Diego poszedł ze mną ze sznurem.

Kabirma też był chętny.

– Nie, nie... Ty lepiej patrz, czy nikt nie idzie. Jeśli się wystraszą, mogą narobić hałasu i zaalarmować tych, których wolelibyśmy nie spotkać...

Od tej chwili Benazir z podziwem obserwowała swego małżonka. Stąpał pewnie, choć powoli, tupiąc głośno z każdym krokiem. Gdy był przy pierwszej klaczy, schylił głowę, jakby był samcem i zdecydowanym ruchem wyrzucił przed siebie ramiona. Potem stanął przy niej, spoglądając z boku. Zwierzę, trochę zdziwione, popatrzyło na niego i obwąchało jego głowę, nie okazując jednak zbytniego zainteresowania. Nagle coś je przestraszyło i jednym susem odskoczyło od niego w popłochu. Galib powtórzył tę osobliwą sztukę z inną klaczą i tym razem poszczęściło mu się bardziej. Przyjęła go łagodnie po tym, jak okrążył ją dwa razy i rytmicznie poklepywał po zadzie. Po chwili zaczęła potrząsać łbem i posłusznie za nim podążać.

Diego, obserwując to, chłonał każdy gest, by potem go powtórzyć. Patrzył uważnie, jak Galib stanął w końcu naprzeciw łba klaczy, chwycił kosmyk jej grzywy i pociągnął lekko kilka razy. Wtedy już zwierzę pochyliło szyję i poddało mu się całkowicie posłuszne. Galib przełożył mu pętlę przez pysk i łeb i zaczął je wiązać. Diego dokończył tę czynność i

powtórzył to samo z kolejnymi sześciami. Za każdym razem, gdy uprzęż była gotowa, przekazywał konia Kabirmie.

– Teraz ty, Diego.

Tak we dwóch w pięć godzin z całkowitą ostrożnością przygotowali zwierzęta. Wszystko zdawało się iść dobrze.

Benazir przyglądała się tej scenie, pełna była jednak niepokoju i nie przestawała rozglądać się na wszystkie strony. Każdy ruch czy hałas, nawet najdrobniejszy, zwracał jej uwagę i przypominał, że znajdują się na terytorium chronionym przez imesebelenów. W Sewilli widywała ich wielokrotnie u boku kalifa. Słuchała do znudzenia najczarniejszych opowieści na ich temat, ale nigdy nie czuła do tego stopnia ich przerażającej bliskości.

Kabirma westchnął, pochylony. Jak dla niego byli tam już zbyt długo. Zdało mu się, że podmuch wiatru, który poczuł na twarzy, niesie głosy, ciche i odległe. Jego instynkt kazał mu skierować wzrok w kierunku, z którego pochodziły. Wydawało mu się, że coś widzi, małe punkty na horyzoncie, ciemne, odznaczające się na tle błękitnego nieba.

– Chyba powinniśmy już iść... – zwrócił się do Galiba, gdy ten przyprowadził mu młodego, niespełna czteroletniego, wspaniałego samca.

Galib ocenił położenie słońca.

– Zaraz się ściemni, a brakuje nam jeszcze tylko dwóch. Przenocujemy niedaleko stąd. Klacze muszą się uspokoić, żeby potem grzecznie szły za nami. Teraz trochę jeszcze się denerwują. Znam plażę na zachodzie, niedaleko stąd. Przed nią rośnie spory zagajnik sosnowy z laguną pośrodku, gdzie konie będą mogły napić się i odpocząć. Pośród drzew ukryjemy się przed niebezpieczeństwem.

– A jeśli nas znajdą...? – wtrąciła się Fatima z przestachem. Ci ludzie... mogą odnaleźć nasze ślady i nas wytropić...

– Żeby dostać się w to miejsce, trzeba najpierw odnaleźć porośnięty sosnami nasyp z wąskim przesmykiem. Niełatwo go zauważyć. Nie sądzę, by go znali.

Parę godzin później, leżąc na ciepłym piasku nad brzegiem morza, Galib wdychając jego zapach, zapragnął podzielić się wrażeniami.

– Nie zamykajcie waszych zmysłów na uroki, które zakątek ten jeszcze dla nas chowa.

Zapatrzył się na horyzont, urzeczony niezwykłą gamą kolorów: ugrów, pomarańczy i żółcieni. Przetaczały się istne fale barw, tańczyły ostatnie promyki światła. Preludium nocy.

– Spójrzcie tylko na tę wodę... Odetchnijcie powietrzem, które ją owiewa, nim zmieni się jej kolor i ciepłota. Zachęcam was do zakosztowania całego bogactwa aromatów, które unoszą się na nadmorskich mokradłach.

Zamilkł. W ciszy przeżywał zachód słońca, aż zniknął ostatni promyczek światła.

Pod rozgwieżdżonym niebem zjedli prostą kolację i odpoczęli na piasku, korzystając ze spokoju, jakim zdawało się tchnąć to miejsce. Fatima nie czuła go jednak. Wciąż rozglądała się na wszystkie strony, oczekując, że zobaczy ludzi, którzy wydawali jej się wprost diaboliczni.

Galib zauważył jej niepokój.

– Nie sądzę, byśmy mogli stąd ich dojrzeć...

– Skąd wzięła się ta ich potworna sława?

– Sądzi się, że nie mają duszy. Nie wiem, czy to prawda, z całą pewnością nie znają własnej woli. Cechuje ich fanatyzm. Są wybrani, aby wypełnić w życiu jedno zadanie: strzec kalifa i jego własności. Pilnują jego kobiet i najważniejszych posiadłości, wśród nich tego tabunu koni. Od urodzenia wychowywani są bez uczuć, z dala od swych rodzin i korzeni, nie znają słów litość, trwoga, zrozumienie. Potrafią tylko zabijać. W bitwie, gdy zaczyna dziać się źle, oni zawsze uciekają ostatni. Tacy właśnie są imesebeleni.

Żadnemu z obecnych nie podobał się pomysł spędzenia nocy w tak bliskim sąsiedztwie tych ludzi, ale zmogło ich zmęczenie po całym dniu.

Konie zostawili w środku zagajnika na brzegu laguny. Nieopodal rozścielili swoje koce, na polanie pośród drzew, suchej i bezpiecznej.

Po chwili słyhać było już tylko uderzenia fal, od czasu do czasu pochrapywania i szum wiatru między drzewami. Mężczyźni, w przeciwieństwie do kobiet, spali spokojnie.

– O czym myślisz? – szeptem zapytała Benazir Fatimę.

– Nie mogę przestać myśleć o tych dzikusach... Moja dusza kurczy się we mnie, gdy tylko sobie wyobrażę...

Benazir uniosła się, by spojrzeć na morze spomiędzy drzew.

– Nie bój się, jesteśmy od nich bardzo daleko... – ujęła jej rękę, by ją uspokoić. – Miałabyś ochotę trochę się przejść? Może jak się zmęczymy, łatwiej będzie nam zasnąć.

– Nie wiem... Jeśli odejdziemy...

– Bez obaw, pójdziemy na morski brzeg, nie oddalimy się zbyt daleko.

Otuliły się kocami i poszły na plażę. Blask księżycy oświetlał wybrzeże i dawał sporą widoczność. To je uspokoiło. Chwilę szły, nie mówiąc nic do siebie. Obydwie wiedziały, że imię Diega prędzej czy później musi się pojawić, ale żadnej nie mogło ono przejść przez usta.

– Ile masz lat, Fatimo?

– W zeszłym miesiącu skończyłam piętnaście, a wy?

– Dużo... uff. Trzydzieści trzy...

Znowu zapadło przydługie milczenie. Napięcie stawało się nieznośne. Fatima uznała, że nie będzie miała lepszej okazji, żeby porozmawiać, i postanowiła mówić.

– Zbyt leciwą jesteście dla niego... Mieszacie mu w głowie.

– Jak to? – zapytała Benazir, chociaż wiedziała doskonale, o czym była mowa.

– Jesteście zameżna... i wiecie, że mówię o Diegu.

– Osądzasz mnie, choć nic nie wiesz.

– Właśnie, że wiem... – odparła Fatima bez pardonu.

Benazir poczuła się niezręcznie. Nie wiedziała, co Diego mógł jej naopowiadać, jeśli coś jej w ogóle mówił. Przypomniała sobie widok ich dwojga całujących się w stajni. Przemówiła przez nią zazdrość i zagubienie.

– Ty nie masz mu nic do zaoferowania, wiesz o tym...? Nic, poza czysto fizycznym związkiem. A ja mam...

Te słowa zabolowały Fatimę. Najgorsze, że mogła mieć rację. Ona też tak czasem myślała... Ze swoim młodym wiekiem i skromnym doświadczeniem nie czuła się gotowa na rywalizację z tą kobietą. Benazir miała wyjątkowy dar, który przewyżczał wszystko inne. Coś, co przyciągało w sposób szczególny. O wiele piękniejsza, uczona, rozmowa z nią była ciekawa, na pewno ciekawsza dla Diega niż z Fatimą.

– Może i macie rację... – westchnęła – ale wiem, że z tobą czeka go tylko cierpienie. Nastawiacie go przeciwko swojemu mężowi, którego uwielbia... A ja... Może nie jestem tym, kto powinien pani to mówić, ale uważam, że musi pani przestać go w końcu uwodzić.

– Jak śmiesz? – podniosła głos Benazir.

Z zagajnika dało się słyszeć ciche rżenie, jakby suche, trochę dziwne. Spojrzały w stronę, skąd dochodziło, ale nic nie zobaczyły.

– To mój koń, Asmerion. Coś mu jest... Wydaje taki dźwięk, kiedy się boi. Może to imesebeleni...?

Poszły, trzymając się bardzo blisko siebie, w stronę lasu. Gdy do niego weszły, zatrzymały się. Znow coś usłyszały. Rżały inne konie. Benazir wzięła Fatimę za rękę i razem pobiegły w miejsce obozowiska. Stamtąd widać było zwierzęta. Wydawały się spokojne. Spojrzały po sobie, nie wiedząc, co robić. Mężczyźni spali tak błogo, że szkoda było ich budzić. Być może nie było takiej potrzeby. Nasłuchiwały, ale nic nie usłyszały. Gdzieś tylko zarżał koń, ale nie miało to chyba znaczenia.

– Myślę, że nic się nie dzieje, ale jeśli chcesz się uspokoić, możemy ostrożnie do nich podejść. Jeśli zauważymy coś dziwnego, obudzimy ich...

Fatima zgodziła się, nie mogąc pozbyć się przerażenia, które zaczęła odczuwać dużo wcześniej. Ciemność, to miejsce, lęk, który jej nie opuszczał, odkąd wjechali na nadmorskie mokradła...

– Nie lepiej byłoby iść z którymś z nich?

– Sama bym tak zrobiła, jeśli rzeczywiście czegoś bym się bała. Całe życie spędziłam z końmi i wiem, że są spokojne.

Poszły, trzymając się za ręce, tam gdzie zagajnik stykał się z laguną. Schyliły się i patrzyły. Konie nie ruszyły się z miejsca, w którym je zostawiono. Jedne piły na brzegu, inne spały. Kilka, usłyszawszy je, spojrzało w ich stronę. Zbadały okolicę laguny, nie widząc nic niepokojącego.

– Może idź ty, nie wiem... Może twój koń czuje obecność jakiegoś zwierzęcia, może jakiegoś lisa... – powiedziała Benazir. – Poczekam na ciebie niedaleko.

Fatima podeszła do laguny, rozglądając się wkoło, aż dotarła do koni i znalazła Asmeriona. Pogłaskała go. Był spokojny. Rozejrzała się jeszcze po okolicy i nie zauważyła nic szczególnego. Tylko wiatr mącił

nocną ciszę. Uspokojona już trochę odwróciła się w stronę, gdzie czekała na nią Benazir. Wtedy ujrzała przed sobą czarną sylwetkę wielkiego mężczyzny na koniu. Miał skórzany pancerz i szablę u pasa. To był imesebelen, z całą pewnością.

Człowiek ten odezwał się szeptem, ale zdecydowanym tonem.

– Cisza!

Fatima stanęła jak wryta. Łzy potoczyły się po jej policzkach. Mężczyzna nie ruszał się. Widział arabskie klacze, dwie kobiety oraz trzech nieopodal śpiących mężczyzn. Domyślił się ich zamiarów i oceniał swoje możliwości, gdyby zechciał ich unieszkodliwić. Wciąż stała sparaliżowana strachem. Powoli, po cichu zsiadł z konia i podszedł do niej.

Benazir, zdziwiona nieobecnością Fatimy, wyszła jej naprzeciw. Zobaczyła ich dwoje. Był przy niej mężczyzna, znacznie od niej wyższy, silniejszy, większy. Ogarnęła ją taka panika, że nie wiedząc, czy została zauważona, rzuciła się na ziemię. W pierwszym odruchu całkiem nakryła się kocem, jakby pod nim nic jej nie groziło. Ze swej kryjówki usłyszała, jak Fatima próbuje krzyczeć i jak jej krzyk zostaje od razu zdławiony, pewnie ręką tego człowieka, który nie chciał alarmować reszty.

Benazir usłyszała to, zdjęta strachem. Usłyszała skargę, którą Fatima żegnała się z życiem, jej ostatnie rżenie. Przerazona wyobraziła sobie sztylet mężczyzny przebijający serce dziewczyny. Poczula łapiący ją za nogi skurcz, zęby jej dzwoniły, zadrżała. Ręką schwyciła się za zuchwę, by nie narobić hałasu. Nie chciała myśleć, co stanie się z nią, jeśli ją odnajdzie. Wyobraziła sobie rękę dotykającą jej pleców, ściągającą z niej koc, niemal poczuła stal wtapiającą się w jej pierś. Przestała oddychać, przelknęła ślinę, usłyszała kroki koło siebie, ktoś się do niej zbliżał. Czy to Galib, Kabirma, imesebelen...? Co stało się z Fatimą?

Załkała histerycznie. Teraz umrze – pomyślała.

– Fatima...? – Był to głos Kabirmy.

Benazir usłyszała następne kroki, biegnące koło siebie. Jeszcze bardziej skuliła się w swej kryjówce. Usłyszała, że ktoś biegnie, a potem oddalający się szybko stukot końskich kopyt.

– Benazir...! Gdzie jesteś? – szukał jej Galib.

Odkryła róg koca i rozejrzała się na wszystkie strony. Zobaczyła biegnącego w jej stronę męża i dygocząc, padła mu w ramiona.

– Zabili ją... – krzyknął przerażony Kabirma – Nieee!

Jerezańczyk odkrył nieruchomą sylwetkę kołyszącą się na wodzie jeziora. Uklęknął i pogłaskał jej plecy. Potrząsnął lekko, jakby chciał obudzić ją z ciężkiego i głębokiego snu, ale Fatima nie odpowiadała. Wyciągnął jej głowę z wody, bardzo delikatnie, by wziąć ją w ramiona, łkając z żalu. Wtedy na jej piersi ujrzał śmiertelną ranę i poczuł ból we wszystkich mięśniach, a jeszcze bardziej w duszy.

– Moja biedna dziewczynko... – zacisnął pięści z gniewu. – Kto zrabował ci życie?

Diego zbliżył się nieśmiałym krokiem, bojąc się na nią spojrzeć, nie mogąc wciąż uwierzyć w to, co się wydarzyło. Stał naprzeciwko, nie umiał jednak wyrazić tego, co czuł. Wyciągnął ręce, by dotknąć swej przyjaciółki, rozdarty bólem. Kabirma ze łzami w oczach pokazał mu ją martwą. Połowę jej twarzy przykrywały włosy, drugie pół było zakrwawione. Diego przypomniał sobie, jak te włosy opadały mu na policzki, spojrzał na wargi, których z taką rozkoszą zasmakował. I zapłakał bez łez, czując w sercu wielki ciężar. Ukląkł obok nich i objął ramionami Kabirmę i Fatimę.

Galib pojął, że w tym momencie przypadło mu okrutne zadanie: zabrać ich stamtąd. Ten, kto uciekł, z pewnością przyciągnie innych imesebelenów. Nie było czasu nawet na opłakiwanie Fatimy.

– Kabirma, Diego, ten człowiek uciekł i... – obydwaj spojrzeli na niego bez najmniejszej chęci, by się z nią rozstać. – Słuchajcie, rozumiem, co czujecie, wszyscy jesteście wstrząśnięci jej okropną śmiercią, ale narazimy się na niewyobrażalne niebezpieczeństwo, jeśli nie uciekniemy natychmiast. Musimy uciekać. Pomyślcie tylko, mogą być blisko. Co będzie, jeśli ten, kto ją zabił, nie jest sam? Mogą być o krok od nas...

Galib chodził bez przerwy wokół nich, spoglądając między drzewa, uważając na najmniejszy ruch gałęzi i jakikolwiek dziwny dźwięk.

Benazir poparła małżonka.

– Mój mąż ma rację, musimy uciekać...

– Wy idźcie! – Kabirma przytulił córkę – Uciekajcie! Ja nie pójdę. Muszę się z nią pożegnać, opłakać ją, powiedzieć jej, jak bardzo ją kochałem, towarzyszyć jej w ostatniej drodze do raj. Gdy ją pochowam, później znajdę was w drodze.

– Kabirma, przyjacielu mój, wiem, że to bardzo trudne, najgorsze, co mogło się nam przytrafić. Ale nie możesz pozwolić, by te kanalie zabrały także twoje życie. Zabiją cię. Zostając tutaj, nijak jej nie pomożesz... Ona jest już w raju i patrzy stamtąd na ciebie. Pomyśl, jest szczęśliwa. To, co trzymasz w rękach, jest tylko jej ciałem, to nie jest już ona...

– Zostawcie mnie z nią... – odepchnął Diega i przycisnął córkę do siebie zdecydowanym ruchem.

Galib pojął, że nic więcej nie może już zrobić. Zaczął wydawać polecenia. Diego i Benazir, zżerani bólem, pobiegli zabrać, co się da. Szli, prawie nie wiedząc, dokąd idą, otumanieni, jakby przeżywali koszmarny sen.

Galib w tym czasie szykował konie. Do każdego uwiązał po cztery klacze. Trzy zostawił Kabirmie, bo gdyby wzięli wszystkie, ucieczka za bardzo by się opóźniła, a ryzykować nie mogli...

Zwierzęta rżały, wzburzone. Były popychane i ciągnięte to w jedną, to w drugą stronę, powiązane je krótkimi sznurami, które drapały je i uciskały. Czuły napięcie, które wisiało w powietrzu, udzielał im się strach, zaczęły podgryzać się wzajemnie i wierzgać na wszystkie strony.

Galib, uzbrojony w długą gałąź, począł je okładać, by powstrzymać to szaleństwo, ale uderzenia rozsierzdziły zwierzęta jeszcze bardziej. Patrzyły na niego, a jedna z klaczy podniosła nawet przednie kopyta, pragnąc go uderzyć.

Spojrzał na Kabirmę i pozdrowił go po raz ostatni.

– Nie zawieźdź mnie. Wróć...

Jeszcze ostatnie spojrzenie na martwą Fatimę w objęciach jej ojca i rozpoczął się szalony bieg wybrzeżem morza na północ, w poszukiwaniu drogi, która pozwoli im się wydostać z tego piekła.

Ucieczce towarzyszył chór żałosnych rzeń. Zwierzęta, wciąż jeszcze dzikie, opierały się wprawdzie owej galopadzie, ale siła i determinacja Sabby oraz koni Galiba i Benazir sprawiły, że po trochu porzucały swoją pierwotną naturę i zaczynały im ulegać.

Diego spojrzał za siebie. Piach unosił się za jego plecami. Podkowy rozbiły prostą powierzchnię wygładzoną wodą morza. W poszukiwaniu życia uciekał od trwogi i nieskończonego smutku z powodu śmierci

przyjaciółki, niemal kochanki. Złapał lejce Sabby i dał się jej nieść z sercem rozdartym.

Tam, w tyle, każdy z nich zostawił część siebie.

Konie zarżały. Wspiąwszy się nie bez trudu po piaszczystych wydmach, wkrótce wyczuły suchą ziemię. Odszukali koryto rzeki Guadamar, aby opuścić nadmorskie mokradła, przepiękne, wyjątkowe i śmiertelnie niebezpieczne.

XXII

Sędzili, że Kabirma zginął.

Przez parę tygodni nie było o nim wieści. Powrócili do Toledo po długiej i smutnej podróży. Podróży, którą zapamiętają na zawsze.

Ale zjawił się któregoś dnia.

Jego twarz była zmęczona. Postarzał się. Wychudłe ciało nosiło na sobie ślady krwawej walki. Na rękach i na twarzy miał mnóstwo ran ciętych i zadrapań. Sam nie mógł pojąć, jakim cudem zdołał umknąć tym okrutnikom. Ledwie mówił, ale oto był, obity, na wpół żywy, z jedyną satysfakcją, że pochował córkę w tym sosnowym lasku, którego nigdy nie zapomni.

Tak, był ranny, ale to nie ciało cierpiało najbardziej, lecz jego dusza.

W parę dni po przyjeździe Kabirma zaskoczył ich wiadomością, że opuszcza miasto. Nie był w stanie wrócić do starego życia bez Fatimy. Wszystko mu ją przypominało. Nie mógł już zaznać spokoju, zwłaszcza w miejscu, gdzie wszystko ją przypominało.

– Sprzedam konie, które zdobyliśmy, ale nie chcę mojej doli. Nie mogę tknąć tych pieniędzy.

– Chyba oszalałeś, Kabirma. Masz obowiązek wziąć to, co ci się należy.

– Uparłem się na tę podróż i ściągnąłem na was wszystkich niebezpieczeństwo. Zrobiłem to dla pieniędzy... nie chcę ich już. Przez nie straciłem Fatimę.

Kabirma spuścił głowę i pograżył się w swoim żalu. Chciał odejść, ale Galib mu nie pozwolił.

– Przystań już się kajać. Jak zamierzasz przeżyć? W Toledo jesteś kimś. Szanują cię tu. Niestety nie ma tu Fatimy, ale musisz dać sobie szansę. Sprzedać konie, odbić się...

– Nie mogę, Galibie. Nie mogę – lamentował Kabirma. – Sprzedam dom, stajnie i za pieniądze wybuduję precudny ogród, tak piękny jak ona, tak pełen niewinnego uroku jak jej spojrzenie. Pragnę, by stał się żywym wspomnieniem mojej córki, gdzie pośród róż, jaśminów i wiciokrzewów zostawię część mego serca. A potem odejdę...

Galib uściśnął go. Bez słów dał mu odczuć swoją bliskość, współczucie i ogromne przywiązanie, jakie do niego żywił.

Diego, gdy usłyszał, że przybył Kabirma, od razu zapragnął go zobaczyć. Przybiegł i znalazł go z Galibem. Nie były potrzebne słowa. Padli sobie w objęcia. Ich uścisk mówił wszystko o ich uczuciach do Fatimy.

– Diego, wiesz, że ona lubiła cię bardziej niż przyjaciela...

Było to jedyne, co Kabirma powiedział po długim milczeniu.

Diego z żalem przyjął jego słowa, ze świadomością ich prawdy i świeżym wspomnieniem namiętnych pocałunków Fatimy. Głęboka gorycz załała mu duszę. Zrozumiał, że jakaś bardzo ważna jego część na zawsze pozostała w tych dwóch osobach, ale bardziej w tej, która była jego jedyną przyjaciółką, w Fatimie.



W ciągu następnych miesięcy Diego i Galib znów rzucili się w wir pracy: budowali stajnie, zajmowali się końmi i nowymi pacjentami, uczyli się o chorobach...

Rozmawiali ze sobą niewiele. Śmierć Fatimy zburzyła ich świat. Każdy drobny sukces, który odnosili, wydawał się przyplacony jej życiem.

Galib wyszedł z długów i parę miesięcy później mógł oglądać wykończone nowe stajnie.

Pewnego popołudnia, siedząc sam w swojej bibliotece, policzył pieniądze, których mu zbywało, te, które powinien był dostać Kabirma. Poczul się pazerny, dysponując nimi. W każdy wtorek, kiedy szedł na bazar, coraz bardziej tęsknił za jerezańczykiem. Pokazałby mu swoje nowe budowle, objaśnił ulepszenia.

Pieniądze te przedstawiały szczególną wartość: życie Fatimy. Siedząc przed tą górą monet w półmroku swojego domostwa, wezwał Diega.

Oblicze młodzieńca dojrzało. Nosilo na sobie ślad odejścia Fatimy. Uczeń i mistrz usiedli do rozmowy.

– Co zrobisz, gdy zostaniesz weterynarzem? Gdzie chciałbyś zacząć?

Do tej pory pytanie takie nie padło. Diego zawahał się.

– Zostały mi jeszcze dwa lata, tak? – Galib przytaknął kiwnięciem głowy. – Nie wiem, może wrócę do Malagón, żeby tam uprawiać fach, jeżeli się da...

– Uniezależnisz się... Oczywiście...

– Tak, to się wydaje sensowne, ale jeszcze nie wiem...

– Początki nie są łatwe. Wiesz, ile najwyższych poświęceń kosztowało mnie rozwinięcie interesu w tym mieście... A nie zaczynałem zupełnie od zera. Wytrzymałem, bo miałem oszczędności. Posłuchaj mnie, Diego. W tym fachu prestiż jest podstawą, dlatego nie możesz zacząć byle jak. Musisz mieć cały potrzebny materiał, odpowiednie miejsce do pracy, książki...

Otworzył szufladę w stole roboczym i wyciągnął skórzaną torbę pełną monet. Położył ją przed nim.

– Tu jest trzysta talarów. Są twoje...

Diego otworzył szeroko oczy. Zarabiał dwa talary na tydzień. To, co leżało przed nim, warte było trzy lata pracy.

– Nie mogę ich przyjąć... – Odepchnął od siebie torbę.

– Ten gest przynosi ci chlubę, ale nie będę cię oszukiwał. To pieniądze, których nie chciał wziąć Kabirma za konie zdobyte na nadmorskich mokradłach.

– Ja też ich nie chcę...

– Zaczekaj, Diego, rozumiem cię... Wszystkich nas parzą w ręce. Ale najlepszy pożytek z nich będzie, jeśli pomogą ci rozpocząć nowe życie, twoje życie... Dlatego proponuję ci: weź je, żebyś nie musiał zaczynać od zera... Uważam, że nie ma lepszego celu.

– Wdzięczny wam jestem, mistrzu, ale sam nie wiem... To mnie przerasta.

– Dobrze. Zrobimy tak. Przechowam ci je. Ale weź choć pięćdziesiąt. Będiesz mógł za nie kupić jakąś książkę i pomoce do chirurgii, które mogą ci się przydać. Czemu nie...?

Diego zamyślił się i w końcu na to przystał.

Kilka dni później odwiedził tłumacza Gerardo de Cremonę i z dumą kupił u niego cztery książki. Był to jego pierwszy nabytek. Książki zaczął wertować nocami, a ich treść przyswoił sobie szybko. De Cremona dał mu też do przeczytania, choć jej nie sprzedał, pewną osobliwą pozycję, którą właśnie przetłumaczył, pod tytułem *Mekor Chaim* albo *Źródło życia*. Zawarte w niej były filozoficzne podstawy, na których opierała się kabała, nauka tyleż stara, co zadziwiająca. Dyskutowali o niej długo przy paru okazjach, gdyż de Cremona uważał się za jej wielkiego znawcę.

Przez wiele dni Diego studiował wraz z Galibem nowe księgi, a mistrz wyjaśniał mu sprawy, których nie rozumiał.

W owym okresie Galib zapalił się do nauki botaniki. Zajmował się tym prawie codziennie. Wnikliwie studiował budowę roślin, by wiedzieć, gdzie mogą znajdować się części zawierające substancje lecznicze i jak je z nich wydobyc. Nauczył Diega sporządzania setek rozmaitych naparów i wyciągów, jeden na zmięczenie kopyt, inny na świerzb, jeszcze inny na gorączkę, a nawet odstraszać muchy...

Parę miesięcy po tym, jak Kabirma porzucił Toledo i swoje interesy, dowiedzieli się z listu, że osiadł w królestwie Portugalii, w mieście Coimbra. Tam zamierzał rozpocząć handel końmi przy pomocy pewnej kobiety. Nazywał ją współniczką, ale wyglądało na to, że relacja ich zmierza do czegoś więcej niż układ czysto handlowy... Wiadomość ta została przyjęta z wielką radością przez Benazir, co podzielali Diego i Galib. Chyba wreszcie pech ich opuścił i mogli znów poczuć się szczęśliwi.

Pod koniec zimy Diego parę razy spotkał kalatraweńskiego zakonnika, którego poznał podczas swej pierwszej wizyty w pracowni tłumacza. Lubił z nim rozmawiać, bo był wykształcony i gadatliwy. Jak mu kiedyś powiedział, poza tłumaczeniem zajmował się zwiedzaniem bibliotek we wszystkich klasztorach na terenach królestw chrześcijańskich. Wielki mistrz zlecił mu stworzenie obszernego rejestru ksiąg i pism.

Z zapałem opowiadał o owych świątyniach wiedzy. Stwierdził, że najlepsza z wszystkich bibliotek, o najbogatszych zbiorach, znajduje się w klasztorze cystersów w Fitero, na północy Kastylii, przy samej granicy z Nawarrą. Tylko tam znalazł kilka dzieł naprawdę wybitnych, niekiedy jedyne egzemplarze, przy czym niektóre były nieznane nawet największym erudytom.

– Dwa lata przesiedziałem w owym miejscu, kolebce zakonu Calatrava, i zapewniam cię, wróciłbym tam. Pamiętam też, że jeden z tamtejszych mnichów był uzdrowicielem koni, tak jak i ty. Sława jego była ogromna i sądzę, że wiedza również.

Tych, którzy uprawiają twój fach, na tamtych ziemiach nikt nie nazywa weterynarzami*, chociaż zajmują się podobnymi rzeczami. Jedni zwą ich veterinariusami, inni kowalami, a jeszcze inni uzdrowicielami koni.

* W oryginale występuje słowo *albeitares*.

Z taką pasją zaczął opowiadać o skarbach, które skrywał klasztor i jego biblioteka, że zaczęły one regularnie nawiedzać Diega w snach, nieraz jako koszmary. Przez wiele nocy śniło mu się, jak ucieka długimi kamiennymi korytarzami, goniony przez mężczyznę na koniu w czarnym habicie. Było to tak rzeczywiste, że aż czuł ból twardych końskich kopyt, które go dosięgały. W innych snach, dużo przyjemniejszych, znajdował się pośród mnóstwa ksiąg, w sali o bezkresnych sklepieniach, zalanej oślepiającym światłem. Siedział tam, rozkoszując się lekturą ksiąg i ich fakturą, bo wydawało mu się też, że ich dotyka. Obłożone były w złoto oraz taftę i śnił, że je wacha, pieści, jakby ich strony zrobiono z kwiatowych płatków.

Nadchodząca wiosna przyniosła orgię światła i kolorów, burzę doznań i uczuć, ale też niekończące się wyjazdy do chorych koni.

W pewnej chwili Diego pomyślał już, że wszystkie konie Toledo umówiły się, by zachorować w tym samym momencie. Pracy było tyle, że nie starczało tchu.

I wtedy, podczas któregoś z owych zabieganych poranków, gdy nie było już czasu na ani jedną wizytę więcej, Galib przekazał Diegowi, że nadeszło pilne wezwanie od małżeństwa Larów.

– Znów na upust krwi? – Diego zobaczył samego siebie w ogromnej stajni, otoczonego przez olbrzymie wierzchowce bojowe, na wpół zgniecionego między ich potężnymi żebrami i potrącanego ich wielkimi karkami.

– Nie martw się, trzeba będzie tylko stwierdzić przyczynę utykania klaczy spacerowej dońi Urraki, no i rzecz jasna, zaradzić temu.

Galib zmienił głos na kobiecy.

– I weźcie z sobą tego młodego, eleganckiego ucznia do pomocy... – zaśmiał się. – Tak powiedziała doña Urraca, gdy spotkałem ją dziś rano.

– Pamiętam ją dobrze... – zaczerwienił się. – Bardzo miła kobieta...

– I bardzo ładna, prawda?

– Macie rację, ładna.

Klacz stała spokojnie na środku głównego dziedzińca, nie sprawiając wrażenia szczególnie cierpiącej. Obok niej uwijał się czeszący ją chłopak ze zgrzeblę w jednej ręce i szczotką w drugiej.

Ledwie ich zapowiedziano, pojawiła się. Miała na sobie zieloną suknię, w kolorze swoich oczu, i związane w warkocz włosy. Pod głębokim dekoltem lśnił stanik wyszywany kunsztownym ścięciem złotą nicią. Pierwsze spojrzenie skierowała na Diego.

– Widzę, że chociaż stałeś się mężczyzną, zachowałeś czyste i szlachetne spojrzenie... Bardzo się cieszę widząc cię, Diego...

– Wasze słowa zaszczycają mnie, pani. I wybaczenie, ale mnie wydajecie się jeszcze piękniejszą, niż was zapamiętałem.

Podziękowała za komplement i spytała go o wiek.

– Skończyłem dziewiętnaście lat, pani. Pomyśleć tylko, że minęły już cztery lata, odkąd przybyłem do Toledo.

Zza matczynej spódnicy wychyliła się dziewczynka o kędzierzawych jasnych włosach i figlarnym spojrzeniu.

– To musi być mała Flora...! – Galib pogłaskał po głowie dziewczynkę, oczarowany jej uderzającym podobieństwem do matki.

– Wiecie, że jej dziadek ponownie się ożenił?

Przez grzeczność zaprzeczył, chociaż wszyscy wiedzieli o skandalu z matką doñi Urraki i żoną don Diega Lópeza de Haro w roli głównej, która odeszła od niego w ramiona prostego kowala z Burgos.

– Przybędzie niebawem, by przedstawić nam swą nową małżonkę, doñę Totę Pérez de Azagra. Pobrali się zaledwie miesiąc temu. Rodzina Azagrów jest jedną z najbardziej wpływowych w Nawarze. Nosi tytuł i przywileje panów miasta Albarracin.

Diego nie uczestniczył w rozmowie. Przyglądał się klaczy. Nie zauważył jednak żadnego śladu znamienia czy różnicy w kolorze kopyt, które pozwoliłyby mu wysnuć jakieś podejrzenie.

Doña Urraca rozprawiała dalej z Galibem. Opowiadała mu, że mąż jej, don Álvaro Núñez de Lara, z rozkazu króla przebywa w Normandii, aby odebrać jego angielskiemu imiennikowi Gaskonię. Jak twierdził, ziemie te miały wchodzić w skład posagu królowej Eleonory Plantagenet, żony monarchy kastylijskiego i siostry angielskiego króla Ryszarda.

Diego wziął mały młoteczek i opukał każde z kopyt. Gdyby to był ropień kopyta, dałoby się zauważyć różnicę w dźwięku. Galib spoglądał na niego z ukosa, wciąż poświęcając uwagę kobiecie. Liczył na to, że Diego dostrzeże w końcu ten szczegół, tę jedną rzecz... Gdyby to zauważył, miałyby już kompletną diagnozę.

– Muszę zobaczyć, jak kłusuje po piasku.

Koniuszy jako jedyny zwrócił uwagę na jego słowa. Doña Urraca wydawała się oderwana od tego, co się działo, a Galib zajęty był tylko nią.

Chłopiec rozwiązał postronek i zaprowadził klacz na bok dziedzińca, gdzie leżało sporo rzecznoego piachu. Tam zazwyczaj ćwiczone konie.

– Widziałeś, żeby kuląła?

– Tylko kiedy się zmęczy.

Galib prowadził gospodynię powoli w miejsce, gdzie znajdował się Diego, nie chcąc nic stracić z oczu.

– Puść ją kłusem dokładnie na wprost mnie, przynajmniej z dziesięć albo dwanaście razy. – Chłopak od razu wykonał polecenie.

Diego i Galib skupili wzrok na ruchach kopyt, licząc na to, że klacz poruszy się w jakiś nietypowy sposób, ale nic takiego nie zauważyli do czasu, aż zatrzymała się po skończonym ćwiczeniu.

Spojrzał na klacz stojącą w pozycji z jedną nogą wysuniętą do przodu. Przeszępowwała z nogi na nogę trzy albo cztery razy i defekt nie ustępował. Wszystko było już jasne.

– Jest na to rada, pani. – Diego, otrzymawszy od Galiba gest przyzwolenia, ochoczo zabrał się do wyjaśniania.

– Mówcie Diego, mówcie chłopcze – twarz jej wyrażała szczere zadowolenie.

– Choroba tkwi w tylnej części kopyt, tej, która u nas zwie się piętą. Na szczęście, można wyleczyć ją przez założenie specjalnych podkówek. – Uniósł jedno z kopyt i wskazał rzeczoną część. – Sam je wykuję. Od pierwszego dnia odczujecie różnicę.

Doña Urraca wydawała się zadowolona, tym bardziej gdy spostrzegła dumę Galiba. Nie poskąpiła pochwał Diegowi, popieściła swoją klacz po szyi i wydobyła ostatnią niespodziankę, jaką chowała dla gości, nim ich pożegnała.

– Ach, prawda, rada byłabym ujrzeć was wśród gości na przyjęciu, które odbędzie się w najbliższą sobotę. Okazją jest prezentacja nowej małżonki mego ojca.

– Bardzo jesteśmy wdzięczni, pani, ale nie pochodzimy z waszych sfer, możemy nie być godni... – powiedział Galib, nie dając zbytnio wiary temu, co usłyszał. Jako mudejar nigdy nie był zapraszany na takie uroczystości.

– Zamilczcie teraz i przybądźcie wraz z Benazir. Czekamy na was! – Doña Urraca wykonała taki ruch, jakby miała odejść, uważając dyskusję za zakończoną.

W drodze powrotnej, oprócz rozmowy o zaskakującym zaproszeniu na ucztę, Diego poruszył sprawę, która od dłuższego czasu nie dawała mu spokoju: niewiedzę dotyczącą przyczyn większości chorób.

– Jak sądzicie, co mogło być pierwotną przyczyną owego bólu klaczy doñi Urraki?

– Dokładnie nie jestem pewny – odparł Galib lakonicznie – ale jak dobrze wiesz, przeważnie wynika to z braku równowagi między różnymi humorami.

– Humorami... Głupstwa, ot co! – zbuntował się Diego. Dosyć miał już tego, że nie znajdowano innych poważniejszych powodów niż teorie Greka Hipokratesa. – Pamiętam, jak któregoś dnia oskarżaliście

kowali o to, że uważają się za tak zdolnych jak weterynarze. Jedna choroba, jeden lek. Sami tak mówiliście... Według was działają na ślepo, stosując lekarstwa, których działania nie znają, na dolegliwości, których nie rozumieją. Nie zaprzeczycie. A my robimy to samo...!

Galib przypomniał sobie owego młodzieniaszka, wychudzonego i samego jak palec, kiedy przyszedł do niego cztery lata temu. Teraz stał się mężczyzną, prawie kolegą, mogącym z nim na równi dyskutować i uzasadniać swoje racje. Postanowił nauczyć go czegoś, co wydawało się dosyć odległe od tajników jego zawodu, ale najpierw wytłumaczyć mu, co jest przyczyną tego nieszczęsnego utykania.

– Podejrzewam, że chodzi tu o erozję malutkiej kostki. Nie jest ona nawet wymieniana w żadnym z traktatów, które dotąd przeczytałeś. Na tej małej kości zaczepione jest ścięgno, dzięki któremu utrzymuje się gibkość całej nogi.

Diego zaniemówił, a po chwili poczuł wstyd. Sprzeciwił się Galibowi, podał w wątpliwość cały jego fachowy warsztat, a ten dopiero wtedy zadziwił go skrywanym dotąd ujęciem problemu.

– Mistrzu, dlaczego więc wcześniej mówiliście mi o humorach?

– Jak powiedziałem, chodzi tu o podejrzenie. Hipokrates, któremu ująłeś właśnie czci i rozumu, przypisuje ten rodzaj chromania nadmiarowi żółci. Nie wiem, czy ma rację, bo mojej teorii dotąd nie potrafiłem udowodnić. Rozumiesz? – Diego zgodził się i pochylił głowę w geście pojednania. – Cieszę się, kiedy widzę cię niezadowolonego, gdy coś nie wydaje ci się wystarczająco oczywiste. I błagam cię, byś nigdy takiej postawy nie porzucił. Zawsze staraj się dociec, jaką przyczynę ma ból, obrzęk, gorączka czy nawet śmierć. – Czule pogładził go po włosach. – Ale musisz też nauczyć się być pokorny, kiedy nie znasz odpowiedzi. W takich chwilach patrz w niebo. Twój i mój Bóg wiedzą wszystko. My przy Nim jesteśmy malutcy. Podążamy za prawdą, a prawdą jest On.

XXIII

Doña Tota Pérez de Azagra nie była kobietą obdarzoną szczególnym wdziękiem.

Za to jej małżonek, Diego López de Haro, miał jakiś dar, który czynił go człowiekiem wyjątkowym. Być może były to jego wielkopańskie maniery, może czyste i odważne spojrzenie, a może obydwie te cechy.

Był mężczyzną roslym, silnym, z włosami przyprószonymi już siwiwną. Jego ciemne oczy zdradzały inteligencję, wyrazisty nos – powagę. Podbródek, szeroki i potężny, nadawał mu władczy wyraz człowieka, któremu nikt nie śmie się sprzeciwić.

Diego spoglądał na nich ukradkiem, wspominając wciąż ojca. Jakże byłby dumny, mogąc zobaczyć go tam, pośród tych wszystkich ważnych ludzi. Zacisnął pas opięty na długim kaftanie z zielonego płótna. Kupił go za pieniądze przechowane przez Galiba. Była to pierwsza w jego życiu szata, jakże inna od prostych wełnianych kamizeli i skórzanych spodni, które zwykł nosić. Pod nią miał czerwone pończochy i buty z wzorem w romby. Pierwszy raz czuł się tak dostojnie. Jediną niewygodę stanowił dla niego wysoki biret skrywający skroń, jako że na co dzień chadzał z gołą głową. Mimo to czuł się szczęśliwy.

Nigdy wcześniej nie był na uczcie i patrzył na wszystko z ciekawością. Zadziwił go przepych strojów kobiet, niektórych bardzo pięknych, i potraw, które podawano. Na niczyje towarzystwo liczyć nie mógł, by więc mu się nie przykrzyło, znalazł sobie kompana o ciemnowiśniowej barwie i głębokim zapachu drewna. Znakomite wino pochodziło, jak mówił ten, kto je podawał, z wybrzeży rzeki Ebro.

Cztery kielichy trunku odebrały mu nieśmiałość i popchnęły na poszukiwania jakiejś samotnej młodej dziewczyny, z którą mógłby pogawędzić. Gdy spacerował i rozglądał się, badając możliwości, do jego uszu docierały strzępy rozmaitych rozmów. W jednej z nich napomknęto, że zginął właśnie ich najgorszy wróg: kalif almohadzki, Yusuf. Mówiono też, że był przy tym zdarzeniu jego syn Muhammad, zwany al-Nasir. Gdzie indziej komentowano zaskakującą wiadomość, jakoby król Nawarry, Sancho VII, znajdował się w Marrakeszu, adorując pewną wysoko postawioną damę z dworu kalifa, po tym jak parę miesięcy wcześniej porzucił swoją żonę.

– Pewnie planują rozbiór Kastylii z tym Maurem albo jak zawsze zebrze u niego o pieniądze! – zakrzyknął w głos brat Álvara Núñeza de Lara. – Król nie król, to zwykły zdrajca...

Diego zauważył, że pewna śniada dziewczyna zerka na niego z ukosa. Przez moment udawał, że tego nie widzi, zastanawiając się, co zrobić w tej sytuacji, gdy zbliżyła się do niego doña Urraca, pragnąc przedstawić go ojcu. Diego poszedł za nią do mężczyzny tryskającego energią mimo dobrej sześćdziesiątki na karku.

– Ojczy, pragnę przedstawić wam przyszłość weterynarii, nowego przyjaciele rodziny: oto Diego de Malagón.

– Czy widzieliśmy się wcześniej, młodzieńcze?

– Nie sędzę, panie.

– Diego jest pomocnikiem Galiba – wyjaśniła córka – który również tu przybył wraz ze swą małżonką, Benazir.

– Nie przywitałem się jeszcze ze starym Galibem... – zmierzył Diega wzrokiem od góry do dołu. – Cieszę się, że uczysz się na weterynarza. W Kastylii potrzeba nam weterynarzy, zwłaszcza dobrze wyuczonych. Nie zmarnuj tego czasu, jesteś w dobrych rękach.

– Pracować u boku mego mistrza to przywilej. Zapewniam was.

– Trzeba ci wiedzieć, młodzieńcze, że kawaleria to nasza najsilniejsza broń w walce z Saracenami. Trzeba nam koni zdrowych, silnych i kogoś, kto postąpi mądrze i starannie, gdy zachorują. Dlatego też twój fach tak ogromną ma wagę, jest życiodajny, bardziej nawet niż lekarski...

– Ojciec, czy to prawda, że zostaniecie tylko tydzień pod Toledo?
– Niestety tak, moja córko. Król wzywa mnie do Burgos, by rozpocząć nową kampanię, tym razem przeciwko Nawarze. Jego wysokość zamierza zdobyć nowe doświadczenie do morza, a ponadto połączyć Kastylię ze swymi posiadłościami w Gaskonii, po drugiej stronie Pirenejów. W zamiarach swych tak jest niezłomny, że postanowił wziąć Viterie, San Sebastian i Fuenterrabię. I zrobi to, wierzcie mi. Nie zawaha się przed niczym, aby osiągnąć swe cele.

– A co na to król Nawarry? Przecież znowu wypowie nam wojnę, gdy najedziemy jego ziemie...

– Nie, moja córko. Z tego, co wiadomo, błędzi gdzieś pośród miłostek do almohadzkiej księżniczki. Jeśli rzeczywiście jest w Marrakeszu, jak donoszą nasi szpiedzy, nie zdoła pokrzyżować naszych planów. – Przerwał nagle rozmowę, ujrawszy arcybiskupa toledańskiego. Przeprosił i udał się w jego stronę.

Tymczasem doña Urraca przedstawiała Diega kolejnym osobom. Były tam najbardziej wpływowe kastylijskie rodziny: Azowie, potężni Castrowie, Ruizowie Girón, poza Larami i sporą częścią klanu Haro.

Znów został sam. Starał się odnaleźć dziewczynę, którą widział wcześniej, ale nie zdążył. Poczul, jak chwytają go znajome dłonie.

Benazir ciągnęła go na środek salonu, gdzie rozpoczynał się taniec.

– Przykro byłoby odejść z takiego przyjęcia i nie poczuć bioder kobiety – szepnęła mu do ucha.

Diego natychmiast się zaczerwienił. To była kolejna próba odzyskania przez nią swej uwodzicielskiej siły. Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich tygodni coś takiego robiła. Kiedy mierzył wzrokiem jej szaty, czuł, jak jej dłonie dotykają go z pożądaniem. Zauważył jej przyśpieszony oddech, gdy pomagała mu zdejmować kaftan, muskając jego skórę, dotykając, gdzie się da.

– Nie bój się, Diego. Mamy pozwolenie mojego męża. A ty nie wymigasz się, mówiąc mi, że nigdy nie tańczyłeś. To proste kroki, zaraz ci pokażę.

– Oddaję się w wasze ręce... – odpowiedział, wcale nie chcąc, żeby zabrzmiało to tak, jak ona chciała usłyszeć, ugłaskany jej słodkim spojrzeniem.

Diego popatrzył na postawę mężczyzny i stanął tak samo. Objął ramieniem jej plecy. Ich twarze się zbliżyły. Czekali, aż zabrzmia pierwsze akordy. Nie był w stanie ukryć nerwowego napięcia.

Zabrzmiały pierwsze nuty z klawikordu. Wszyscy obecni zrobili ukłon w stronę partnerek. Pochyliły się z wdziękiem i podskoczyły niziutko dwa razy. Diego przyjrzał się znów cudnemu ciału Benazir. Tego wieczoru była ubrana w sposób mało typowy dla muzułmańskich tradycji. Materiał opierał się na jej ciele, podkreślając krągłości, pod szyją miała wycięty głęboki dekolt. Zdawała się odgadywać jego myśli i widzieć, dokąd zmierza jego spojrzenie. Uśmiechnęła się, okazując zrozumienie.

Taniec ten stał się prawdziwą udręką dla Diega, nie tyle przez jego nieznajomość i trudność, co bardziej przez ogrom wrażeń. Zbyt bliskość Benazir, zapach jej skóry, ocieranie się jej ciała walczyły z jego trzeźwymi myślami i pragnieniami. Wykorzystywała najdrobniejszy kontakt. Ich policzki musnęły się wzajemnie wiele razy. Podczas ostatnich taktów muzyki wyraźnie już przycisnęła się do niego.

Gdy taniec się skończył, powiedziała mu coś na ucho. Diego nie usłyszał wyraźnie, gdyż huk oklasków zagłuszył jej głos. Pomyślał nawet, że musi to być jakieś głupie nieporozumienie, ale zdawało mu się, że to coś tyleż strasznego, co smutnego. Usłyszał chyba, że ona go pragnie...

Od tego wieczoru unikał jej, jak mógł.

Z pewnością echo tamtych słów chodziło za nim przez następne miesiące niczym koszmar. Uważał się za zbyt wrażliwego, by wybierać pomiędzy powinnością a pragnieniem, gdy chodziło o nią. Ale był też świadom powagi konsekwencji, które mogły grozić, jeśli nie pohamowałby owej burzy zmysłów. Jeszcze mógł. Nigdy nie obraziłby kogoś, kto dał mu zawód, nazwisko, przyszłość. Nie można było mówić tu tylko o poczuciu przyzwoitości. Chodziło też o głębokie i ogromne uczucie szacunku, którym darzył Galiba. Zranić go zdradą oznaczałoby zranić siebie samego.

Dlatego właśnie, i z wielu innych powodów, nie mógł tego zrobić.

Zrezygnował z lekcji arabskiego, by powstrzymać żądze.

Galib nie rozumiał tego, ale on wytłumaczył się, mówiąc, że tempo pracy było już zbyt wyczerpujące. Diego starał się unikać Benazir przy każdej okazji. Uciekał z miejsc, gdzie mogliby się spotkać. Częściej też chodził do kościoła i starał się bardziej zajmować umysł lekturą, by tylko o niej nie myśleć.

I wśród takich utrapień nadszedł grudzień. Mrozem i śniegiem przyroda powitała nowe stulecie.

Parę dni po rozpoczęciu się nowego tysiąc dwusetnego roku, pewnym wczesnym rankiem, który wydawał się jak każdy inny, Diego poszedł do kuźni. Miał wykuć komplet podków dla wymagającego bogatego żydowskiego kupca. Zobowiązał się, że będą gotowe przed obiadem.

Rozpałił w piecu drewnem sosnowym, którego żywica czyniła ogień żywszym. Dorzucił sporo węgla, żeby dobrze się paliło. Nie szukał Galiba, bo wiedział, że jak co wtorek jest na targu. Potrzebowano go tam do sprawdzania stanu zdrowia koni przed ich zakupem.

Z przyjemnością wciągnął nosem chmurkę dymu. Zapach rozpalonego pieca zawsze go urzekał. Zanucił sobie wesoło, ciesząc się robotą, która paliła mu się w rękach.

Wsadził do pieca parę żelaznych sztabek, by je roztopić. Przygotował młotek i obcęgi. Przy kowadle postawił sztancę. Za jej pomocą miał zrobić potem w żelazie otwory, w które wejdą gwoździe, a później przebijakiem dokończyć obwódki otworów.

Zdjął koszulę i wziął gruby skórzany fartuch, zawiązał go sobie na plecach i sprawdził, czy piec jest dość rozgrzany.

Nie wiedział wtedy, że ona już tam jest. Benazir obserwowała go już dobrą chwilę, stojąc w cieniu ściany kuźni, dobrze wiedząc, czego chce. Po cichu zbliżała się do niego. Oddychała szybko, podekscytowana.

Nagle jej ręce dotknęły nagiego torsu Diega, potem usta jej opadły na jego plecy, ramiona, szyję.

Diego wiedział, że to ona. Poczł pokusę tak silną, tak trudną do odparcia... Odwrócił się i spojrzał na nią, najpierw przestraszony, po chwili ogarnięty żądzą.

Benazir pocałowała go w usta. Poczł ich jedwabistą miękkość. Diego próbował ją odepchnąć, opierać się własnym pragnieniom, ale ona siłowała się z nim i całowała go z jeszcze większym pożądaniem.

W końcu, zrezygnowany, uznał, że jest najpiękniejszą z kobiet, i całkiem się jej oddał. Całował ją jak szalony, czuł ciepło jej skóry, jej ramion, jej brzucha. Benazir wyginała się, przepełniona upragnionymi doznaniem, zwłaszcza gdy ręce Diega zaczęły przemykać po jej udach, brzuchu, zatrzymywać się na jej piersiach.

Żądza kobiety wypełniła powietrze, którym oddychali oboje. Diego wdychał jej perfumy, niczym powiew letniego wiatru, upajał się ich zapachem. Ona drżała, jak piaski pustyni, jej dłonie błędziły po jego skórze, przemierzając ją, włosy opadały na jego twarz, wprowadzając go w stan odurzenia.

I wtedy wszedł Galib. Był z nim Sajjad.

– Sajjad mówi panu... Iść po pan dlatego. Sajjad nie kłamać.

Diego i Benazir odskoczyli od siebie w jednej chwili. Benazir wyrwał się krzyk przestachu. Diego, zmieszany, otumaniony potworną żądzą, próbował mówić, tłumaczyć się, ale nie znajdował słów. To było straszne. Wyobrażał sobie żal, jaki musiał czuć jego mistrz, oszukany przez dwie osoby, którym najbardziej ufał. Diego znenawidził sam siebie. Jak mógł do tego dopuścić! Nigdy nie powinno było się to stać.

Zrozpaczona mina Galiba mówiła wszystko. Krzywda została wyrządzona. Pragnąc jedynie umniejszyć szkodę, Diego postanowił bronić honoru Benazir.

– Mistrzu, nie wiem, jak wam to wyjaśnić... to...

– Jak mogliście...?

– Zawsze mnie unikała, naprawdę... Zapewniam was, że straciłem głowę...

– Co takiego? – Oczy Galiba płonęły gniewem. Ruszył w jego stronę z zacisniętymi pięściami i wściekłością na twarzy.

Benazir przestraszona całą sytuacją milczała. Diego kłamał, by ją chronić, biorąc na siebie winę, która nie była jego. Ona jednak nic nie powiedziała, wolała ciszę od ciężkich konsekwencji, które czekałyby ją, gdyby jej małżonek poznał prawdę.

Diego poczuł wzrok Galiba, zobaczył jego pogardliwą minę i pomyślał, że strategia odniosła skutek. Postanowił przy niej trwać.

– Tak jej pragnąłem... A dzisiaj okazało się, że...

Galib nie mógł dłużej tego znieść i rzucił się na niego z pięściami. Wirowało mu w głowie. Nic już nie rozumiał. To było takie straszne!

Nigdy by nawet nie przypuszczał, że coś takiego może się stać. Miał go za syna, za swego najlepszego ucznia, kochał go. Przeżył najgorszy w życiu zawód, widząc ich ciała razem, pieszczących się w taki sposób. Czuł się upokorzony, zdradzony, znieważony. Miał ochotę umrzeć.

Diego przyjął jego nienawiść, nie odpowiadając na nią. Galib okładał jego ciało wściekłymi uderzeniami, a on poddawał się furii człowieka, którego kochał jak ojca. Nigdy w życiu nie chciał go zdradzić. Ale było już za późno, żeby mówić, za późno na wszystko.

Benazir patrzyła na nich zawstydzona zza węgła. Zdecydowała się. Jeśli mąż ją zapyta, będzie utrzymywać wersję Diega. Jeśli tak nie zrobi, zostanie porzucona za cudzołóstwo. Swoje życie, swoje imię, swój honor, wszystko to straci na zawsze.

Odeszła z płaczem, ale przed samym wyjściem odwróciła się do Diega i napotkała jego spojrzenie jasne i mądre. Oczywiście podziękowała mu za jego lojalność i wielkoduszny gest, po czym poczuła jeszcze większą hańbę. Wybiegła ze stajni przepelniona niemożliwą do opisanego goryczą i przygnębieniem.

Diego spakował wszystkie swoje rzeczy, nie wiedząc, dokąd pójdzie i co go czeka.

Oplacił czynsz za pokój, uznawszy, że Toledo nie może być już jego domem. Pożegnał właścicieli, przestraszonych opuchlizną na twarzy, obitej przez Galiba.

Potajemnie, nie żegnając się z nikim, odszedł, zostawiając za sobą stajnię i dom mistrza Galiba. To była jego szkoła, miejsce, gdzie nauczył się prawie wszystkiego, gdzie otrzymał miłość, którą zabrano mu w Malagón. W otoczeniu tych murów wyrósł, stał się mężczyzną. Uważał to miejsce za swój drugi dom. To tu zapragnął zostać weterynarzem. Winien był wdzięczność komuś, kogo nigdy nie zapomni.

Opuszczał Toledo z uczuciem klęski. Łzy płynęły mu po twarzy. Ciągnął za sobą głęboką pogardę swojego mistrza.

Zostawił pięć cudownych lat swojego życia, zniszczonych przez nagły, niespodziewany grzech, który popełnił z kobietą, której pragnął za bardzo i którą przysiągł szanować.

Przypomniał sobie biedną Fatimę, dziwnego Sajjada i jego fałszywy uśmiech, pełen triumfu, kiedy widział, jak odchodzi.

W jednej chwili wspomniął wiele sukcesów, które złożyły się na najcenniejszy pod względem doświadczeń okres w jego życiu. Przypomniawszy sobie twarze, głosy, rozmowy jak największe skarby.

Imiona wszystkich tych osób i wspomnienia o nich odtąd miały być już dla niego przeszłością.

Przytulił się do Sabby. Ona wiedziała, że nie wróci. Potrząsnęła głową i leciutko ugryzła go w kolano, okazując mu swe zrozumienie.

– Moja dobra Sabba. Ty zawsze będziesz ze mną...

Podrapał ją za uszami. Ruszyli na północ ku nowej, nieznanym przy-
szłości.

CZEŚĆ DRUGA

Ziemie chrześcijańskie

Pod nieobecność króla Nawarry, Sancha VII, przebywającego na kontynencie afrykańskim, miasto Vitoria po długotrwałym oblężeniu kapituluje przed oddziałami Alfonsa VIII Kastylijskiego.

Inne ośrodki, jak San Sebastian i Fuenterrabia, zabiegają o włączenie ich pod koronę Kastylii.

W Leonie, córka króla kastylijskiego Berenguela, świeżo wydana za monarchę Alfonsa IX, jej ciotecznego dziada, stara się o anulowanie tego małżeństwa przez orzeczenie papieża Innocentego III ze względu na zbyt niski stopień pokrewieństwa.

Od zawsze delikatne stosunki między sąsiednimi królestwami Kastylii i Leónu po raz kolejny przechodzą kryzys.

W tym czasie nowy kalif al-Nasir bada, w jaki sposób osłabić więzy łączące chrześcijańskie królestwa na północy, i zbroi się do ich podboju.

Tamte, nieświadome jego zamiarów, walczą wciąż ze sobą...

I

Diego był całkiem przemarznięty. Śnieg wirował wokół i sypał mu w twarz, gdy schodził z Somosierry po jej północnym zboczu.

Dawna rzymska droga, która łączyła Toledo z Burgos, była kompletnie zasypana. Gęsta, lodowata śnieżycza przesłaniała wszystko, co mogłoby posłużyć za jakiś punkt orientacyjny.

Jechał sam, pogrążony w głębokim smutku, przytłoczony tym, co stało się w domu Galiba. Ponieważ jego ucieczka miała miejsce nagle i niespodziewanie, nie przygotował się do drogi tak zimną porą roku. Teraz, w rozciągającym się na wszystkie strony bezkresie bieli, czuł się zagubiony, zdając się wyłącznie na instynkt Sabby.

Ledwie otwierał oczy, aby nie zamarzły.

Starał się chronić policzki przed zimnym wiatrem. Kropelki wody zamarały i wbijały się w skórę jak igły. Ledwie czuł uszy. Bolały go, jakby miały odpaść. Opuszki palców tylko dzięki ciepłu klaczy przestawały go boleć, gdy chował je między uprząż a jej grzbiet. Wyjechał z Toledo cztery dni temu, nie mając pojęcia, że podróż będzie taka ciężka. Miał ze sobą tylko płaszcz, lichy koc i skórzaną torbę, a w niej wszystkie swoje oszczędności, niewiele ponad trzysta soldów. To skromne mienie miało być podstawą jego nowego życia.

Decyzję o tym, jaki obrać kierunek, podjął, gdy przekraczał mury miejskie. Musiał wybrać którąś z dróg.

W tym gąszczu niepewności jasne było tylko jedno: pragnął zostać weterynarzem. Ale żeby nim się stać, sporo mu jeszcze brakowało. Musiał zdobyć więcej wykształcenia, więcej praktyki i może kogoś, kto jak Galib pokierowałby nim. I wtedy przypomniał sobie ów zakon cystersów, który tak wychwalał brat Benito. Doszedł do wniosku, że to

właśnie jest miejsce, jakiego mu trzeba.

Uczyłby się w bibliotece, pomagałby podkuwać i leczyć konie, gdyby mu pozwolono, a może znalazłby się tam jakiś mnich uzdrowiciel, który zostałby jego nowym mistrzem. U jego boku nauczyłby się wszystkiego, czego jeszcze nie umiał. To był świetny pomysł.

Z rozmyślań wyrwało go uderzenie lodowatego górskiego wiatru.

Zagłębiał się w sosnowy las. Nagle Sabba straciła równowagę i wraz z jeźdźcem upadła na ziemię. Śnieg był mokry i zimny.

Przełękł się, że podczas niefortunnego upadku klacz mogła doznać urazu. Dygocząc z zimna, obejrzał ją dokładnie od góry do dołu. Na szczęście była cała i zdrowa.

Rozejrzał się wkoło. Nie widział nic dalej niż na trzy, może cztery piędzi. Pomyślał, że od tej chwili lepiej będzie iść pieszo. Sabba odpocznie trochę, aż pokonają najbardziej stromy odcinek. Nogi zapadały mu się jednak po kolana. Nie poddawał się i szedł dalej, aż zaczęła ogarniać go rozpacz. Postęp był niewielki, a ogromne zmęczenie zaczęło się przejawiać potężnymi dreszczami na całym ciele.

Odetchnął głęboko i zebrał resztkę sił, rozcierając przemarznięte nogi, ale zdał sobie sprawę ze swojego beznadziejnego położenia.

Na domiar złego słońce zaczęło się chować, a gęsta mgła wznosiła się po zboczach i dosięgła ich obok niebezpiecznej przełęczy. Nie widząc już kompletnie nic, musieli zawrócić i szukać innej drogi. Naraz zerwał się podmuch wiatru, który zaczął smagać ich niemiłosiernie.

Poprzez huk wiatru i chrzęst lodu pod stopami coś usłyszeli. Sabba na ten dźwięk zastrzygła swoimi czujnymi uszami i zaraz zrozumiała, o co chodzi. Prerażona wyprężyła szyję, otworzyła szeroko oczy i zaczęła popychać Diega.

– Co ci jest, Sabba?

Klacz usłyszała to znów. Poczowała odgłosy tupania po śniegu i zaczęła dochodzić do niej niepokojący zapach. Nabrała powietrza w płuca i zarżała z niewiarygodną siłą. Chciała odciągnąć Diega z powrotem, by uchronić go przed niebezpieczeństwem. Była niezwykle poruszona.

– Coś cię przestraszyło. Tylko co?... – Diego spojrział w tym samym kierunku, w który wcześniej patrzyła Sabba, i zobaczył je. Najpierw ujrzał niebieskawe światełka. To były ich oczy. Potem odbłask

ich kłów. Bardzo wielu kłów.

– Wilki! – krzyknął przerażony.

Ich wycie zbliżało się ku nim z potworną prędkością. Diego wskoczył na Sabbę z takim pośpiechem, że zgubił torbę, w której były pieniądze i jego trzy cenne książki. Widział, jak upadają na ziemię. Za późno było już, by zsiadać z konia i je ratować. Poczul, jak w jego łydkę zatapiają się chciwe kły. Walił pięściami w łeb zwierzęcia, aż go puściło. Myślał o tym, by spróbować zejść po swoje rzeczy, ale szybko porzucił ten pomysł. W pobliżu były cztery inne bestie.

Dwie wilczyce rzuciły się do szyi Sabby, by przegryźć jej tętnicę. Uskoczyła. Była wyraźnie przerażona. Kopnęła jedną z taką siłą, że poleciała na pień drzewa.

Diego spojrział znów na ziemię i zobaczył, jak w śniegu deptanym przez zwierzęta znikają jego książki i oszczędności. Z potwornym żalem pomyślał, że trzeba jak najprędzej uciekać, jeśli pragną ujść z życiem.

– Uciekaj, Sabba!

Klacz usłuchała rozkazu i na oślep rzuciła się do biegu w dół. Jeden z wilków, zatopiwszy zęby w jej zadzie, ciągnął się za nimi. Diego zdołał ułamać kawał gałęzi i walnął go w pysk, potem w oczy. Zwierzę zawył z bólu i odpuściło. Pozostała szóstka biegła za nimi bardzo blisko, nie zamierzając zrezygnować z dwóch łakomych kąsków.

– Nie oglądaj się, tylko uciekaj. Uciekaj dalej...

Diego uczeplił się jej szyi. Poczul ciepło swojej krwi na kostce u nogi. Przemierzali mały zagajnik z niebezpieczną szybkością. Nie było czasu, by uważać na gałęzie, które wyrastały na ich drodze. Drapały Sabbę i Diega i zagradzały im drogę.

Na leśnej polanie dwa wilki przyśpieszyły biegu. Wyprzedziły ich i wyszły im naprzeciw. Gdy Sabba je dostrzegła, było już za późno, by zmienić kierunek biegu. By je wyminąć, obróciła swoje ciało tak gwałtownie, że straciła równowagę i runęła na ziemię.

Diego leżał uwięziony pod nią, ze strachem widząc, jak marne są ich szanse wobec szarżujących wilków. Zdjęty kompletną niemocą, zamknął oczy w oczekiwaniu na ich kły. Ku jego zdumieniu zachowały się spokojnie, podeszły bardzo blisko, ale były spokojne. Zdawało się,

że się uśmiechają. Okrążały ich, tocząc pianę z pysków, jakby szukały najlepszej pozycji do ataku. Sabba usiłowała wstać, ale nie mogła. Wkoło było mnóstwo śniegu, w którym grzęzła i nie mogła osiągnąć ziemi.

Wilki wściekle dyszały. Z ich pysków były kłęby pary. Jeden z nich, ciemniejszy od pozostałych, podszedł do samej twarzy Diega. Obwąchał mu nos, po czym pokazał kły i zawarczał groźnie. Chłopiec poczuł jego cuchnącą woń i zadygotał ze strachu.

Pomyślał, że to już koniec. Nagle Sabba odzyskała siły i z niewiarygodną prędkością wstała. Poczul silny ból w nodze. Może była złamana, ale nie przejął się tym. Nadzieja powróciła.

Wilki, rozwścieczone do granic możliwości, skakały wokół nich, próbując ukaścić, ale Sabba zostawiła je w tyle, zrywając się do szalonego galopu. Po pół mili całkiem je zgubiła.

Pokonali ostatnie zbocze, już mniej strome. Dalej jechali równiną, aż odnaleźli drogę do małej wioski. Diego, pełen wdzięczności, podszczypywał Sabbę w szyję i drapał po uszach.

– Pamiętam, jak kiedyś Galib mówił mi, że imię twoje oznacza po arabsku „wiatr wschodu”. Mówił też, że wy, araby, wszystkie jesteście stworzone z wiatru...

Diego wspomniął tamtą noc, gdy wracali z domu Kabirmy i Fatimy i Galib wyrecytował mu ten piękny wiersz, który opowiadał o stworzeniu konia: Moc spłynie na grzywę twą i grzbiet. Będiesz mym ulubionym spośród wszystkich zwierząt, albowiem uczyniłem cię panem i przyjacielem. Nie masz skrzydeł, a dałem ci dar lotu, czy to do ataku, czy to do ucieczki. Posadzę ludzi na twym grzbiecie, będą modlić się, sławić mnie i wychwalać moje imię.

– Dziś sprawiłaś, że wiersz ten stał się rzeczywistością, Sabbo.

Na prawo od pierwszych domostw, w środku wioski, dojrzał zajazd, który już z daleka wyglądał na ciepły i przytulny. Kłucie w żołądku przypominało mu, że nie jadł nic od poprzedniego dnia.

Przypomniał sobie jednak, że prawie nie ma pieniędzy, zaledwie kilka monet, które zostały w kamizelce. Pomyślał o swych oszczędnościach,

które zostały tam, w śniegu. Postanowił wydać najmniej, jak się tylko da.

Rozejrzył się za ustronnym schronieniem. W tej zamrażającej wiosce znalazł starą, na wpół zniszczoną stodołę. Weszli do środka. Rzuciwszy okiem, wybrał na miejsce odpoczynku najlepiej zachowany ką. Znalazł siano. Podał Sabbie sporą garść. Przynajmniej jedno z nich miało co jeść tego wieczoru.

– Nie wiem, co pocniemy... Co za pech! – szepnął zwierzęciu do ucha. Sabba odwróciła się doń ze zrozumieniem.

Diego obejrzał chorą nogę. Miał tylko dwie małe ranki, ślady po kłach z pierwszego ataku. Wydały mu się zbyt obrzmiałe. Nie spodobał mu się też ich kolor. Gdy ścisnął je palcami, wypłynęła część ich zawartości. Od razu pomyślał, że powinien je otworzyć, by zapobiec gorszym komplikacjom. Wyciągnął mały sztylecik, jedyną pamiątkę, jaką zachował po Galibie, i zdecydowanym ruchem rozciął sobie skórę. Wyciekła żółtawa ciecz, po niej trochę krwi. Skrawkiem kaftana owinął ranę, by lepiej ją zamknąć, nie czując zbytnio bólu. To powinno wystarczyć. Potem zbadał Sabbę. Poza ugryzieniem w zad nie było nic więcej niż kilka zadrapań bez większego znaczenia.

Tego wieczoru nic nie jadł, następnego dnia, w drodze do Burgos, też nie. Kolejnego dnia znalazł przy drodze martwego zająca, do którego właśnie zabierał się dziki pies. Przepędził go kamieniami i łapczywie rzucił się na mięso. Jakiś inny wędrowiec, z którym jechał wspólnie przez parę mil, wymienił z nim kawałek suszonej ośliny na strzeżenie. Był to kiepski interes, ale w obliczu takiego głodu Diego uznał go za dobry. Z apetytem zjadł część.

Drugą schował na później.

W końcu, zabiedzony, spragniony i zmęczony dotarł do Burgos. Nie wchodząc do miasta, okrążył je, by obrać kierunek do Nájery, która przez jakiś czas była stolicą Królestwa Nawarry. Tam go skierowano, skoro chciał dotrzeć do Fitero.

Parę mil dalej na wschód zaczął wspinać się na kolejną górę, co przypomniało mu niełatwą przygodę z wilkami. Teraz też było tak zimno. Strasznie zimno. Jak go jednak zapewniano, przełęcz była przejezdna, a droga nie bardzo trudna.

Gdy dotarł do jej najwyższej położonej części, zrobiło się późno i postanowił poszukać schronienia. Nieopodal drogi znalazł mały szałas pasterski, osłonięty od zimnych, północnych wiatrów gęstym topolowym zagajnikiem. Był znakomity. Nie mogąc znaleźć suchego drewna, nie rozpałił ognia, okutał się więc we wszystko, co miał. Postarał się zasnąć jeszcze jedną noc bez kolacji.

Zwinięty w kłębek w kącie, w nocnej ciszy, pośród traszek, ze szczękającymi zębami, zapadł w końcu w głęboki sen.

Parę godzin później, wśród nocnej ciszy, wyrwał go ze snu cichy szelest. Otworzył oczy i dojrzał kogoś, kto grzebał w jego rzeczach. Była to postać o wyglądzie dość słabowitym. Diego upewnił się, że złodziej jest sam. Poczekał, aż odwróci się do niego plecami, żeby rzucić się na niego z zaskoczenia.

Osobnik nie stawiał specjalnego oporu.

– Nie ruszaj się, bo stracisz życie – nastraszył go Diego.

Sięgnął do sakwy i wyciągnął sztylet od Galiba. Przykładając mu go do szyi, obiecał użyć go w razie próby ucieczki.

– Teraz powiesz mi, kim jesteś i czego tu chcesz.

– Nazywam się Marcos... – Blask księżyca oświetlił jego twarz i Diego mógł mu się lepiej przyjrzeć. Był od niego nieco starszy. – Szuukałem tylko trochę pieniędzy, wiecie... na jedzenie. Nie chciałem wam nic ukraść, przysięgam...

Diego spojrział nań nieufnie.

– Panie... uwierzcie mi, proszę.

– Panem nie jestem, więc możesz oszczędzić sobie tych grzeczności. A gdybym nawet był, też bym ci nie uwierzył.

Młodzieniec błagał o wybaczenie. Poprosił o zdjęcie mu z szyi ostrego żelastwa, obiecując nie ruszyć się na krok. Diego zgodził się, ale pozostał czujny na każdy fałszywy ruch.

– Dobrze, będę szczery. Gdybym mógł, zostawiłbym was tu gołego jak świętego tureckiego. – Nie dając czasu na odpowiedź, mówił dalej: – Czy nie zrobilibyście tak samo, gdyby głód wywracał wam żołądek, gdybyście nie pamiętali nawet, co i kiedy ostatnio jedliście?

Diego dostrzegł, jak bardzo był chudy. Młodzieniec nie wydawał się

złym człowiekiem. Był zaniedbany. Spod warstwy brudu na twarzy o dziecięcych rysach patrzyły oczy, z których biła dobroć. W sercu Diega pojawiło się współczucie. Nie on jeden cierpiał głód.

Wyciągnął kawałek suszonego mięsa, który wciąż jeszcze przechowywał, i podał go chłopcu. Intruz ugryzł kawałek i rozsmakował się w nim, jakby nie istniał na świecie większy przysmak.

– A nie macie do tego kromki chleba?

Diego, widząc już, że jest nieszkodliwy, odprężył się.

– Nie. To wszystko, co mam.

Nie tracąc ani chwili więcej, dokończył mięso w ciszy. Powyjadał z ubrania wszystkie okruszki, które upadły mu podczas jedzenia.

– Doprawdy, wdzięczny jestem wam z całego serca. Wydajecie się dobrym człowiekiem. Gdybym mógł coś dla was zrobić...

– Możesz: zostaw mnie w spokoju.

– Nie ciekawi was, kim jestem ani skąd przybywam? Chętnie wam opowiem.

Diego pokręcił głową przecząco.

– Chcę tylko spać. Odejdź w końcu.

– Dobrze. Dam wam odpocząć, ale rano wam wszystko opowiem.

Diego nie zdążył odpowiedzieć. Chłopak wyszedł już z szałas. Słyszał jego kroki ginące w nocnej ciszy. Złapał za sztylet na wypadek dalszych niespodziewanych zdarzeń. Długo jeszcze się męczył, nim w końcu usnął.

Gdy obudził się rano, trochę się zdziwił, że nie ma chłopaka w pobliżu, ale nie zmartwiło go to specjalnie. W pośpiechu spakował wszystko i wsiadł na Sabbę. Jechał do najbliższej miejscowości – Belorado, gdzie zamierzał zdobyć coś do jedzenia.

Nie ujechał nawet pół mili, gdy usłyszał hałas za plecami. Obrócił się i zobaczył chłopca siedzącego na mule. Zaczekał na niego, a ten od razu zaczął mówić.

– Dokąd jedziecie, mój panie? Skąd przybywacie? Czemu podróżujecie sami? Nie zostało wam przypadkiem jeszcze trochę tego pysznego mięsa? – Ten niekończący się potok pytań przytłoczył Diega.

– Nic ci do tego – odrzekł szorstko.

– Zaciekawiliście mnie. Od razu widać, żeście nie żebrak, wczoraj jednak mogłem się przekonać, że jedziecie bez pieniędzy... Wierzycie

w przeznaczenie? Bo ja tak. Istnieją na tym świecie nieznanne siły, które kierują życiem, wszystkim... – Ściszył głos i przybrał tajemniczy ton.

– Nalegam, nie mieszaj się w moje sprawy. Wczoraj zlitowałem się nad tobą, kto wie, jak będzie dzisiaj. Nie przeciągaj struny.

– Macie rodzinę?

– Odejdź już... – Diego zaczął wpadać w gniew.

– Dobrze już, dobrze. Nie złościć się...

Nie ujechali nawet dwudziestu kroków, gdy młodzieniec zaczął znowu gadać.

– Ja pochodzę z Burgos i uciekłem od...

Diego zatrzymał się i utkwiał w nim wzrok, zdumiony jego uporem. Miał już odesłać go do wszystkich diabłów, ale Marcos go uprzedził.

– Pójdę już... nie martwcie się. Chciałem tylko uprzyjemnić wam podróż, dotrzymać towarzystwa, nic więcej.

– Żegnaj.

Diego ruszył dalej w drogę. Co jakiś czas oglądał się, czy nie jedzie za nim. Nie było jednak sposobu, by pozbyć się go na dobre.

Gdy minął Belorado i jechał w stronę Nájery, zobaczył go znów, tym razem o jakieś ćwierć mili. Zachowywał dystans, ale ewidentnie go śledził. Gdy Diego zatrzymywał się, on robił to samo.

Mając już dosyć tej głupiej sytuacji, pogonił Sabbę do galopu na długiej równinie, pewien, że nie można dogonić konia, jadąc na mule. Myślał tak przez resztę dnia i kolejnego ranka, ale niestety w końcu natręt znów się pojawił. Spocona mulica wyglądała na ledwie żywą, ale chłopiec okazywał zadowolenie. Nawet pozdrowił Diega, gdy z daleka poczuł jego spojrzenie.

Ten przyśpieszył znowu i wkrótce zniknął mu z oczu. Ponieważ byli już blisko miasta Nájera, postanowił tam wjechać, by zgubić go ostatecznie. Wędrował ulicami, zatrzymał się na targu. Dyskretnie pozbiierał porzucone, lecz w dobrym stanie owoce i warzywa. Opuścił miasto przez wschodnią bramę i z wielkim ubolewaniem, wkrótce po dotarciu do brzegu rzeki Ebro, zobaczył go znowu. Westchnął ciężko, nie mogąc pojąć przyczyny takiego natręstwa.

Dojechał do rozstajów dróg. Nie było drogowskazu, nie wiedział więc, którą obrać. Ucieszył się zatem, widząc nadjeżdżających trzech

uzbrojonych strażników. Nie wydawali się jednak zbyt przyjaźnie nastawieni.

Usunął się na bok, by dać im przejście, zamierzając spytać o drogę.

– Stać, w imieniu prawa! – ku jego przerażeniu zakrzyknął jeden z nich.

W jednej chwili otoczyli go i złapali za uprząż.

– Co się dzieje? Czego ode mnie chcecie?

– Dobrze wiecie... – powiedział groźnie drugi.

– Nie rozumiem...

– My też nie rozumiemy waszego łotrostwa, ale na całe szczęście znaleźliśmy was. – Mówiący te słowa złapał go mocno za włosy i pociągnął niemilosiernie. Dwaj pozostali założyli mu na nadgarstki kajdany połączone ze sobą łańcuchami.

– Ale ja tylko podróżuję. Jadę z Toledo... Obawiam się, że mylicie mnie z kimś innym.

– Nie pamiętam, by jakiś zatrzymany kiedykolwiek przyznał się, że to on – zaśmiał mu się w twarz najstarszy z nich. – Przestańcie się opierać i idźcie z nami. Postawimy was przed wymiarem sprawiedliwości. Już on orzeknie o waszej winie.

– Ale czy można wiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje?

Diego zaczął niepokoić się na dobre. Jako jedyną odpowiedź otrzymał siarczysty policzek.

– Poskromcie swój język i nie bądźcie zuchwali! Naoczny świadek widział, jak uciekaliście na tej klaczy z klasztoru Świętego Justyna po dokonanym rabunku.

– W życiu tam nie byłem...! – zawołał Diego. Poczul niespodziewane uderzenie pięścią w zębra.

– Panie, mój panie...! – krzyczał ktoś z daleka. – Bądźcie łaskawi się nie zatrzymywać! Wiecie przecież, że w zamku czeka was ojciec...

Wszyscy odwrócili się, by zobaczyć, kto to mówi. Marcos podjechał do nich na swym mule i wyrwał jednemu z policjantów z ręki cugle Sabby.

– W jakim zamku? Kim jesteście? – Ten, który wyglądał na dowódcę, z niepokojem czekał na odpowiedź.

– To jeszcze nie wiecie, z kim macie do czynienia? – Marcos zdołał wywołać zdumienie na ich twarzach. – Pan mój, don Diego, pochodzi

ze znakomitej szlacheckiej rodziny. Został wezwany przez ojca, by dołączyć do królewskich wojsk. Jeśli zabierzecie nam więcej czasu, przybędziemy za późno...

Trzej mężczyźni popatrzyli z niedowierzaniem. Jeśli to, co mówił, było prawdą, lepiej było go puścić i nie narażać się na przykrą reprimendę.

– Jak się nazywacie i gdzie jest ten zamek?

Diego przełknął ślinę. Tym razem obecność tego złodziejaska bardzo mu była na rękę. Poszedł za ciosem.

– Azagra – odparł bez namysłu. – Z Azagrów z Albarracin.

Było to pierwsze nazwisko, jakie pojawiło się w jego pamięci, nazwisko nowej żony don Diega Lópeza de Haro, ojca doñi Urraki.

Trzej mężczyźni rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami. Najpierw wydawało się, że się spierają, aż w końcu ten, który miał decydujący głos, ze wstydem zaczął przeproszać.

– Wybaczcie, mój panie. – Zdjął mu kajdany. – Musieliśmy najwyraźniej popełnić karygodny błąd.

– Nie ujdzie wam to płazem, co to, to nie – pogroził im Marcos.

Mężczyźni, czerwoni ze wstydu, pożegnali się uprzejmie i odjechali.

Za jakiś czas, daleko za rozstajem dróg, Diego podziękował za niespodziewaną pomoc. Marcos uznał to za drobnostkę i zaczął opowiadać o sobie.

– Jestem synem najlepszej spośród burgoskich kurtyzan.

– Nie znam takiego zawodu.

– A może bardziej znajomo zabrzmie wam dziwka, ulicznica, la-daczniczka czy też kobieta publiczna...?

Diego zaniemówił pod wrażeniem takiego bezwstydu.

– Gdy was spotkałem, uciekałem z tego miasta z jej powodu, a dokładniej z powodu obrony jej przed brudnym żołdakiem, który brutalnie ją potraktował. Musiałem za mocno go pobić tego dnia, gdy widziałem, jak ją policzkuje, bo został ranny. Okazało się później, że był to wysoki rangą dowódca z dworu króla Alfonsa, i musiałem czym prędzej uciekać z miasta w obawie przed zatrzymaniem.

Gdy opowiadał, Diego mógł przyjrzeć mu się lepiej. Miał brązowe kręcone włosy i żywe oczy, nos kulfoniasty, ale proporcjonalny, podbródek z dołkiem w formie krzyżyka, osobliwość, która nadawała mu swoistego szyku.

– Zdaje się, że dumny jesteś ze swej matki.
– Bo jestem. To druga kobieta na dworze po samej królowej. Mówię to z całym szacunkiem. Nazywa się Lidia. Zdobyła ogromną popularność dzięki swym niezwykłym zdolnościom, przede wszystkim łatwości, z jaką oddaje się każdemu. Ona mówi, że to praca jak każda inna, lecz ci, którzy ją znają, twierdzą, że jest boginią miłości.

– Jak na włóczęgę całkiem ładnie się wyrażasz...

– Wiedźcie, że w mym domu pieniędzy nigdy nie brakowało. Matka moja prowadziła mnie do księży. Nauczyli mnie czytać i rachować.

Diego spytał, czemu go śledził.

– On mi tak kazał... – spojrzał w niebo i przeżegnał się. – Chciał, żeby tak się stało. Siła wyższa popchnęła mnie ku wam... Słucham tylko Jego... – Zrobił poważną minę.

– Gdy mówisz „On”, masz na myśli...

– Tak, tego samego... – próbował się przymilić.

– Aha...

Diega zdumiały jego możliwości. W krótkim czasie młodzieniec ten okazał całą paletę umiejętności. Dał się poznać jako złodziej, wyznał, czym jest synem, i okazało się, że umie wspaniale oszukiwać, jak wtedy wobec stróżów prawa. Z pewnością nie był to analfabeta. Teraz jeszcze, jakby tego było mało, udawał uduchowionego, co Diegowi wydało się równie fałszywe jak wszystko w jego postaci.

– Jadę do pewnego klasztoru, w Fitero, blisko granicy z Nawarrą – powiedział zniechęcającym tonem. – To raczej nieciekawy dla ciebie cel... Jadę tam, bo zamierzam studiować i nauczyć się lepiej mojego fachu...

– Pojadę z wami... – Marcos zastanowił się krótko i doszedł do wniosku, że takie miejsce, zaciszne i odległe, może stać się dla niego świetnym schronieniem. Mógłby zaszyć się tam na dłuższy czas, by nie znalazł go ten, kto go szukał.

– Na pewno to On ci kazał...

– A tak. Też go słyszeliście?

II

Drzwi klasztoru cały dzień były zamknięte.

Tak powiedział im stojący pod nimi żebrak.

– Nigdy tam nie wejdziecie... – Gestem ręki wyraził, jak bardzo niemożliwe mu się to wydawało. – Jeżeli nie znacie jakiegoś mnicha w środku, nikt nawet nie będzie z wami gadał.

– Zobaczmy, zobaczmy... – odpowiedział Marcos, zastanawiając się wciąż nad pewnym planem.

Od przygody ze strażnikami minęły dwa dni. Przemierzyli winnice i rzeki, wioski i pustkowia, w deszczu i we mgle, aż dotarli do Fitero.

Klasztor, choć leżał w Kastylii, wzniesiony został na życzenie króla Alfonsa VIII w miejscu dość prowokującym, na styku granic Nawarry i Aragonii, narażonym na zakusy sąsiadujących królestw. Należał do zakonu cystersów i był to ich pierwszy klasztor zbudowany w chrześcijańskim królestwie w środku dawnej Hiszpanii Wizygotów.

Podczas długiej wędrówki mieli czas, by porozmawiać i lepiej się poznać. Marcos miał ciekawą osobowość, choć czasami był dziwny i niełatwy. Diego przyzwyczał się w końcu do jego towarzystwa, wciąż wdzięczny, że pomógł mu, gdy znalazł się w ciężkim położeniu.

– Widziałbyś siebie w klasztorze?

– A czemu nie? Gdzie się lepiej skryć? Poza tym lubię zakonników... Łatwo się z nimi dogadać i wiadomo, co naprawdę lubią...

Takie stwierdzenia, jak i różne inne, przekonały go, że Marcos, poza wszystkim, w głębi duszy najbardziej jest łotrzykiem, żywym przykładem na to, jak można osiągnąć mistrzostwo w posługiwaniu się oszustwem, podnosząc je do rangi sztuki. Poza tym jednak był szalenie

sympatyczny i wesoły. Wydawało się, że sam już nie wie, kiedy mówi prawdę, a kiedy kłamie.

– Jak myślisz, wpuszczą nas? – Marcos wpatrywał się w wielki, otoczony murem teren, z którego wyrastała wysoka dzwonnica.

– Znam się na kowalstwie i na weterynarii. Czytam po arabsku i po łacinie, a poza tym znam pewnego kalatraweńskiego mnicha, brata Benita, na którego mogę się powołać. Jeśli będziemy mówić z mistrzem zakonu, może się uda.

Wtem rozległo się głośnie skrzypnięcie. Przez bramę klasztoru zaczęła wydobywać się spora gromada mnichów w białych habitach. Jedni jechali konno, inni powozem dwukołowym z budą, pozostali szli pieszo.

Diego zsiadł z konia, podszedł do jednego z nich i zapytał, gdzie może znaleźć najwyższego przełożonego. Zapytany, zmierzyszy ich wzrokiem od stóp do głów, odparł niezbyt uprzejmie.

– Jeśli chcesz jechać na południe przez dwanaście dni, znajdziesz go w zamku Salvatierra, na pograniczu z al-Ándalus. Tutaj przyjeżdża tylko na generalną kapitułę raz albo najwyżej dwa razy do roku... – Pognał konia i pojechał dalej.

Marcos, nie mając we zwyczaju poddawać się przeciwnościom losu, zbliżył się do innego mnicha.

– Dokąd jedziecie? – Zatrzymał go, łapiąc jego konia za uzdę. Mężczyzna spojrział na niego z oburzeniem.

– Do pracy na jednej z klasztornych farm. A wy kim jesteście, by zatrzymywać mnie w ten sposób?

– Posiadacie stajnie, jak sądzę. – Zakonnik potwierdził, nie rozumiejąc jeszcze, do czego zmierza pytanie. Przechodzący spoglądali na nich.

– Wielki mistrz nas zatrudnił do pomocy przy koniach. Jesteśmy z Salvatierra.. – Diego nie mógł wyjść z podziwu nad inwencją towarzysza.

– W takim razie mówcie z bratem Servando, to on zajmuje się klasztornymi stajniami. Znajdziecie go w środku.

– Dzięki, bracie, niechaj Bóg was prowadzi i da wam dobry dzień. – Marcos przeżegnał się żarliwie.

Diego ściszym głosem poczynił mu wymówki. Nie podobało mu

się, że będzie musiał grać wymyśloną przezeń naprędce rolę. Przypomniał sobie jednak, że padło imię wspomniane wielokrotnie przez brata Benita. To właśnie miał być ten mnich – uzdrowiciel koni.

– Teraz zostaw mnie już, nie chcę więcej komplikacji.

Marcos odpowiedział smutną miną.

Zakonnik, który stał w drzwiach, był niezłomny i nie zamierzał ułatwiać im wstępu. Musieli zostawić mu w zastaw Sabbę, mulicę Marcosa i wszystko, co mieli ze sobą, oraz obiecać, że opuszczą klasztor, gdy tylko zamienią słowo z bratem Servando. A tak naprawdę wpuścił ich dopiero, gdy usłyszał z ust Marcosa, że zakonnik ten jest jego kuzynem.

Gdy szli przez rozległy dziedziniec, wyłożony kamieniami, do stajni, Marcos otrzymał kuksańca w bok za swe ostatnie kłamstwo.

Minęli wielką bazylikę pomarańczowego koloru z piękną rozetą nad wejściem. Diego zapatrzył się w jej witraże, przejęty, że jest tak blisko owej skarbnicy wiedzy, marząc już ojej bogatej, dobrze zaopatrzonej bibliotece, wyobrażając sobie, jak w niej studiuje.

Doszli do niskiej budowli, która wyglądała na to, czego szukali. Wydobywająca się z niej silna woń potwierdziła im, że dotarli do celu. Popchnęli podniszczone drzwi, ciężkie jak dziesięciu ludzi. Usłyszeli stukot młota i kowadła. Śmiało weszli do środka.

Wtedy pierwszy raz zobaczyli brata Servando. Na obydwu z nich zrobił silne wrażenie. Lat miał nieco ponad pięćdziesiąt, ale zachował siły dwudziestolatka. Wysoki był przynajmniej na dziesięć piędzi, niejednego przewyższał o dwie głowy, chociaż może to tylko jego cień w świetle ognia coraz bardziej się wydłużał.

Gdy przemówili, mężczyzna w ogóle nie zwrócił na nich uwagi, nawet gdy zaczęli krzyczeć. Skupiony był całkowicie na swej pracy. Spod zawiązanego w pasie habitu wyzierał nagi tors. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że na brzuchu ma ogromną bliznę w kształcie uśmiechu.

U jego boku stał trzęsący się młodzieniec, na którego co i rusz pokrzykiwał. Chłopak usiłował wygiąć rozgrzaną do czerwoności podkowę i jak się zdawało, nie miał jeszcze dość wprawy. Z każdym ruchem brat Servando krzyczał więc na niego coraz bardziej.

– Trzymaj mocniej obcęgi! Nieee... Nie tak... Nie widzisz, jak dziurawisz metal?

Olbrzym dyszał i krzyczał chłopakowi do ucha.

– Głupis... Zostaw to mnie... – Odepchnął go brutalnie, sam złapał obcęgi i kawałek żelaza. Pięć uderzeń wystarczyło mu, by go wyprostować.

Gdy obejrzał ją z obydwu stron, wsadził do miednicy z zimną wodą. I wtedy dopiero ich zobaczył przez chmurę gęstej pary, która buchnęła z wody w zetknięciu z rozżarzoną żelazem. Mimo że twarze ich były mu nieznane, uśmiechnął się i zmienił swoją postawę, gdy tylko odprawił młodzieńca.

– Widzę po sobie, że każdego dnia coraz gorzej znoszę słabość ducha i miękkość tego nowego pokolenia młodzieży. Ten ostatni był najgorszym ze wszystkich, jakich pamiętam... – Jego gruby głos zahuczał jak grzmot. – Czym mogę służyć?

– Powiedziano nam, że władacie tą stajnią i kuźnią, a poza tym jesteście słynnym uzdrowicielem koni. – Gdy tylko skończył mówić, Diego obrzucił Marcosa ostrzegawczym spojrzeniem, nawiązując do jego ostatniej wypowiedzi.

– Nie okłamano was... – odpowiedział tylko, czekając, aż powiedzą coś więcej.

– Chciałbym uczyć się u waszego boku... – wyrwało się Diegowi.

– Uczyć się u mojego boku? O co chodzi? – Zaskoczony zdjął skórzane rękawice i rzucił je na kowadło. – Nie wiem, kim jesteście, do czego zmierzacie ani kto was do mnie przysłał. Ale ktokolwiek to był, mylił się. Nie uczę nikogo, kto nie złożył ślubów... – Odłożył młotek i podrapał się w głowę, zaczynając się złościć, że traci czas z tymi intruzami.

– Ze mną nie musielibyście zaczynać od zera... – Diego usiłował zawalczyć z przeciwnościami losu – umiem kuć, dobrze zajmuję się końmi, a poza tym znam się na weterynarii...

Ostatnie słowo wywołało u brata Servando ostrą zmianę kursu.

– Weterynaria? – Grymas niechęci wykrzywił jego twarz. – To fach Maurów... i jako taki, zniechęcony... Nie jesteście przypadkiem jednym z tych mudejarów, których tylu pęta się po Kastylii? – Wytarł ręce w fartuch i zaczął przyglądać mu się z niechęcią.

Marcos milczał w oczekiwaniu na swoją kolej.

Diego, przygnębiony marnym rezultatem rozmowy, uznał, że to odpowiednia chwila, by wspomnieć o bracie Benicie.

Jesteśmy dobrymi chrześcijanami i zapewniam was, że w naszych żyłach płynie czysta krew. Rozumiem, że propozycja może wam się wydawać dziwna, ale przybywamy tu z rekomendacji pewnego cysterskiego mnicha, którego poznałem w Toledo.

To on opowiadał mi o bibliotece, którą posiada ten klasztor, i o jej niezliczonych bogactwach, ale najwięcej o was.

– O kim mówisz?

– O bracie Benicie.

– Poczciwy Benito... – Srogość znikła z jego twarzy. – Mówisz, że poznałeś go w Toledo... I dobrze o mnie mówił? – Ta referencja wyraźnie go ucieszyła. – Ale pojąć nie mogę, jak mógł skierować was do mnie, skoro wie, że nie przyjmujemy nikogo z zewnątrz... – W zamyśleniu podrapał się po brodzie. – Bardzo szanuję tego człowieka... Nie mam pojęcia, co on w was zobaczył, że was do mnie przysłał, ale wkrótce się przekonam.

Wyciągnął z ognia rozgrzaną do czerwoności, bezkształtną sztabę żelaza, podał Diegowi młot i rzekł:

– Pokaż, co potrafisz.

Pomagając sobie obcęgami, Diego przytrzymał żelazo nad dłutem i zaczął najpierw je wygładzać, a potem wykrzywiać, nie nadużywając młota. Gdy tylko praca była skończona, pokazał ją, nie tracąc więcej czasu.

Brat Servando przyjrzał się jej uważnie, nic nie mówiąc.

– Jak pomógłbyś koniowi z chorym okiem?

– Namoczyłbym liści mata i wlałbym mu to do paszczy – odparł bez namysłu.

– A gdyby przyprowadzili konia z ochwatem, od czego byś zaczął?

– Najpierw upuściłbym mu krew z tylnych partii, a potem robił okłady z wywaru z jęczmiennej słomy.

Brat Servando zastanowił się nad czymś trudniejszym.

– A co byś zrobił, żeby ulżyć w uporczywym stwardnieniu łopatki albo piersi?

– Jeśli byłoby złośliwe i trudne do uleczenia, spróbowałbym mieszanki świńskiego łąjna z solą i siarką, zawiniętego w liście winorośli.

– Znasz łącinę?

– Do czytania dobrze, arabski też.

Mężczyźnie zaczął podobać się pomysł wzięcia go na ucznia. Do tej pory przyzwyczajony był do kompletnego braku wiedzy u swych pomocników. Wielu z nich nie miało pojęcia o koniach, większość była niepiśmienna.

Diego mówił dalej:

– Umiem wyleczyć różne rodzaje kolki, wykastrować ogiera, znam najlepsze lekarstwa na przeziębienia czy pasożyty. Umiem powiedzieć, w którym miejscu boli konia brzuch i jak go uspokoić, gdy jest dziki. – Zaczął mówić, patrząc mu głęboko w oczy. – Wiem, że oprócz ogromnego doświadczenia posiadacie też skarb olbrzymiej wiedzy. Zwracam się do was z prośbą, byście zechcieli się nią ze mną podzielić. To, czego zdołałem się do tej pory nauczyć w tym szlachetnym fachu, zawdzięczam pewnemu uczonemu weterynarzowi, którego poznałem w Toledo, i księgom, które w ostatnich latach miałem okazję przeczytać. Pomóżcie mi dopełnić mego wykształcenia, choćby to nie było czymś, czym zazwyczaj się zajmujecie. W zamian za poświęconą mi uwagę mógłbym wykonywać roboty, których wy nie wykonujecie zbyt chętnie. A jeśli nie, obiecałbym służyć wam we wszystkim, czego byście chcieli. Co wy na to?

Brat Servando zamilkł i zamyślił się. Pomysł mu się podobał, ale chciał mieć pewność, że robi dobrze.

– Chodźcie ze mną...

Podszedł do uwiązanej do ściany klaczy.

– Nazwij części jej ramienia.

Diego zbliżył się do zwierzęcia i kolejno dotykał fragmentów ciała, wymieniając ich nazwy.

– To jest łopatką, staw barkowy, nadpęcie, staw ramienny, pęcina, korona...

Mnich uniósł jedną kończynę i nakazał mu zrobić to samo z kopytem. Diego pokazał, gdzie znajduje się podeszwa, puszka i gdzie są strzałka, grot, rowek i piętka.

– No dobrze. Widzę, że jesteś świetnie przygotowany, jak do tej pory ani razu się nie pomyliłeś... – Trzy razy uderzył kopyto opuszkami palców i spojrzał na niego. – Jaki dźwięk wydobyłby się, gdyby w kopycie był ropień?

– Jak z pustej beczki.

Marcos słuchał tego wszystkiego z narastającym przygnębieniem. Uznał, że najlepiej byłoby pozostać niezauważonym.

– Jeśli przy stawianiu kopyta kolano wychyla się do przodu, to jak nazwiesz taką deformację?

– Powiem, że koń ma schorzenie stawu kopytowego. Jeśli wychyla się w tył, wtedy jest to schorzenie stawu koronowego – odpowiadał coraz spokojniej Diego.

Brat Servando z trudem już powstrzymywał się od okazywania zachwytu, jaki wywoływał w nim ten młodzieniec.

– Chodźmy dalej, do innych koni. Chcę zobaczyć, czy umiesz też ocenić ich stan ducha.

Diego spojrzął na pierwszego. Wystarczyło, że zobaczył jego oczy, a już wiedział, co się z nim dzieje.

– Ten zdradza niezadowolenie, a może nawet złość, nie jestem pewien.

Brat Servando przypomniał sobie, że dopiero co został skarcony za zniszczenie ogrodzenia.

Następny miał przymknięte oczy. Diego podniósł głos, a wtedy zamknął je jeszcze bardziej.

– Ta klacz jest bardzo załęczniona i zdaje mi się, że powód nie jest błahy.

– Już od paru dni są z nią problemy, to prawda – powiedział brat Servando. – Ma poważną infekcję oczu, nie mogłeś o tym wiedzieć. Ale masz rację, że zachowywałaby się tak samo, gdyby cierpiała z powodu silnego lęku.

Nim skończył zdanie, wskazał na patrzącego na nich ogiera, który stał z dala, jakieś dwie wiorsty od nich.

– A ten?

Zwierzę przesadnie wybałuszało oczy. Górne powieki miało dziwnie pomarszczone.

– Wygląda na przygnębitego. Jakby coś go trapiło, i to bardzo.

– Starczy... – podszedł do paleniska i wziął szczypcami sztabę żelaza. – Poznałem się na tobie, ale nic ci nie mogę obiecać, zanim nie otrzymam zgody mojego zwierzchnika.

Brat Servando zauważył nagle, że jest tam też Marcos. Zwrócił się więc do niego.

– A ty?

– Ja nie podzielam co prawda jego wiedzy, ale pracy się nie boję. Dajcie mi do roboty to, co najpilniejsze, a poznacie mnie jako człowieka pracowitego i solidnego...

– Cieszy mnie to, co mówisz... – brat Servando spojrzął na jego wątle ręce i nogi. – Praca, którą mogę ci dać, jest bardzo ciężka. Odważysz się?

– Wystawcie mnie na próbę – odrzekł Marcos.

– Ponieważ będę musiał zapewnić spanie i jedzenie wam i waszym zwierzętom... – te słowa sprawiły im rozkosz – odliczę sobie połowę waszej dniówki. Praca zaczyna się przed świtem i kończy w porze wieczornej modlitwy, tuż przed kolacją. Teraz macie za zadanie wysprzątać stajnię, a ty – zwrócił się do Diega – nie waz się więcej nazywać siebie weterynarzem. Używaj łacińskiego słowa *veterinarius*, lub jeśli wolisz, nazywaj się uzdrowicielem koni. Dla mnie to bez różnicy. Tak odtąd cię będę nazywał. Jeśli zdołam uzgodnić to z moim przełożonym, już jutro pojedziesz ze mną do pacjenta poza klasztorem.

– Bardzo będziemy wam wdzięczni... – odpowiedział Diego.

– Nie próbujcie mnie czarować. Nie uznaję grzeczności. Wymagam jedynie lojalności i szczerości. Odprawiam ludzi, którzy wymówkami usiłują zamaskować prawdę... Jeśli przyjmiecie was do klasztoru, będziecie musieli przyswoić sobie pewne zasady, które dla nas są święte. Musicie się do nich zastosować.

Zmarszczył swe potężne brwi i przybrał poważny ton głosu, by podkreślić wagę swych słów.

– Wypowiadajcie się tylko wtedy, gdy zostaniecie zapytani, i słuchajcie mnie zawsze, nieważne, czy rozumiecie, czy nie. Nie pozwalam, byście porównywali to, jak będziecie traktowani, ani to, co będziecie jeść, z traktowaniem i jedzeniem mnichów. Macie ich zawsze szanować. Zachowajcie ciszę na całym terenie. Nie będziecie mogli się po nim przemieszczać bez pozwolenia. Co dwa dni zapraszamy do naszej jadalni wszystkich potrzebujących z okolicy. Pomagajcie wtedy we wszystkim, o co was się poprosi, we wszelkich posługach, czy będą one dotyczyły sprzątnięcia, czy żywności. To wszystko, jak na razie.

– Wybaczcie, ale muszę o to spytać... Czy będę mógł zatem poznać waszą słynną bibliotekę? – Była to dla Diega sprawa zbyt wielkiej wagi, by ją pominąć.

– Najpierw będziesz musiał zdobyć moje zaufanie. A jeśli nadejdzie taki dzień, że pozwolę ci sięgnąć po książkę, uprzedzam, że będę kontrolował twoje lektury. Tak trzeba. Nie uważam, że nauka sama w sobie jest zła, ale powinna być właściwie dawkowana, by nie uszkodzić umysłu. Moja w tym głowa...

Usiadł przy kowadle i dorzucił ostatnią przestrożę.

– Nie podejmujcie żadnych działań bez mojej zgody. Oczekuję od was pełnej lojalności. I na koniec zapamiętajcie sobie, że jednej rzeczy w życiu naprawdę nie znoszę – jeśli coś się przede mną ukrywa... Aha, i codziennie oczekuję was na mszy i, rzecz jasna, na modłach o szóstej, dziewiątej i na nieszpórach.

Mimo trudności, jakim będzie musiał stawić czoło w codziennym życiu, Diego poczuł się zadowolony. Udało im się wejść do klasztoru, został już prawie przyjęty na ucznia, a to oznaczało, że dalej się będzie kształcił. Nie podobała mu się łacińska nazwa *veterinarius* ani też „uzdrowiciel koni”, chciał być po prostu weterynarzem, ale nie to było najważniejsze. Chociaż zauważył, że z charakteru brat Servando jest kompletnym przeciwieństwem Galiba, to pomyślał, że jego wiedza musi być jeszcze większa.

Wyobraził sobie bibliotekę. Tam, otoczone grubymi, zimnymi murami, otulone w spokój ciszy, spoczywały wielkie zasoby ludzkiej myśli. Niczym drogocenne skarby czekały na niego do chwili, aż ten surowy mnich udzieli im swego błogosławieństwa.

Zamknął oczy i ujrzał siebie zanurzonego w gąszczu ksiąg, chłonnego zawarte w nich nauki, zgłębiającego rozmaite teorie... Czerpiącego wiedzę, która uczyni jego osądy trafniejszymi, usprawni jego ręce przy operacjach i obudzi jego intuicję, by dostrzegał jeszcze więcej objawów choroby.

Marcosowi, który nie widział nic specjalnego w miejscu, w którym się znalazł, brat Servando nie przypadł szczególnie do gustu. W przeciwieństwie do Diega wcale nie był pewien, że podjął najbardziej odpowiednią decyzję. Choć znalazł schronienie przed swymi prześladowcami, to rysowała się przed nim dość ponura perspektywa.

Teraz obaj, z różnym nastawieniem, razem zabrali się do sprzątania stajni. Wykonywali pierwsze polecenie zakonnika.

III

Następnego ranka brat Servando nie wezwał Diega, by mu towarzyszył. Nijak tego nie wytłumaczył. Po prostu przepadł na cały następny tydzień. Zniknął z klasztoru i nikt nie wiedział, gdzie sobie poszedł i po co.

Stosując się do jego poleceń, gdy wysprzątaли już stajnię, Diego i Marcos zabrali się do czyszczenia ogromnego dołu w podziemiach klasztoru, gdzie zbierano nieczystości ze wszystkich ustępów. Zabrało im to trzy dni. Gdy skończyli, wzięli się do roboty nie tak ciężkiej jak poprzednie, lecz bardziej niebezpiecznej.

Nowe zadanie polegało na poprzątkaniu wszystkich gargulców, które znajdowały się na całej wysokości bazyliki, oraz oczyszczeniu z mchu i brudu reliefów okalających dach. By dosięgnąć trudno dostępnych miejsc, musieli zbudować drewniane rusztowania i skonstruować rodzaj dźwigu do wciągania dzbanów z wodą, której potrzebowali do mycia murów. Uzbrojeni w rozmaite szczotki z grubego włosia, niektóre zatknięte na długich drągach, ruszyli do roboty, czując szum lodowego wiatru w uszach.

Trwało to trzy tygodnie, aż Marcos zachorował.

Brat Servando był już z powrotem w klasztorze. Diego widział, jak przeziębienie jego przyjaciela zaostrza się z każdym dniem. Zaczął się poważnie niepokoić, gdy ten w narastającej gorączce zaczął majaczyć, wspominając z nostalgią swoje pierwsze kradzieże i oszustwa, lub przeżywać ze smutkiem pobicie, skutkiem którego musiał uchodżyć z Burgos.

Diego zwrócił się do brata Servanda, by darował mu chociaż dwa dni robót, zwłaszcza że pogarszała się pogoda. Miało być jeszcze zimniej i bardziej wietrznie. Zakonnikowi ani trochę się to nie spodobało.

Nie zamierzał też powiedzieć mu, kiedy miałyby się rozpocząć jego nauka.

– Synu mój, hart ciała i ducha jest świętym darem dla każdego chrześcijanina... – to było pierwsze, co mu rzekł – i nieraz Bóg nas wystawia na ciężkie próby... – przeżegnał się. – A teraz wracaj do swych robót i więcej głowy mi nie zawracaj. Jak skończycie górne partie, weźcie się za krużganek. I bardzo cię proszę, nie domagaj się tak usilnie, by mi towarzyszyć. Wszystko przyjdzie w swoim czasie... Pamiętaj, że aby stać się dobrym uzdrowicielem, musisz ćwiczyć cierpliwość. Pracuj nad nią wytrwale, aż pewnego dnia spłynie na ciebie łaska...

Tego samego ranka Diego miał przekazać złą wiadomość Marcosowi. Znów weszli na sklepienie, obeszlili przypory i dotarli do kopuły, położonej dokładnie pośrodku poprzecznej nawy. Była to ostatnia część, która została im jeszcze do wyczyszczenia. Diego nie pozwolił przyjacielowi na pracę ani tego dnia, ani przez dwa kolejne. Gdy byli tak wysoko, nikt ich nie widział. Diego okrywał go dwoma kocami, by go chronić przed niepogodą i by mógł wypocić z siebie chorobę. Tak Marcos spędzał godziny, śpiąc skulony, oparty o niewysoki murek.

Z owego miejsca Diego miał okazję, urzeczony, obserwować pracę w skrytorium. Siedziała tam grupa mnichów, przepisując księgi i upiększając ilustracjami ich stronicę. Znajdowali się za oknami, przez które wlewał się obfity potok światła, nieopodal miejsca, gdzie szorował kamienny mur.

Marcos odzyskał zdrowie i dobry humor w ciągu tygodnia.

Poprawa ta zbiegła się w czasie z początkiem prac wewnątrz krużganka i przylegającej do niego sali kolumnowej. Zgodzili się, że oba miejsca są przepiękne.

Sufit składał się z dziewięciu sklepień krzyżowych, wspartych pośrodku na czterech kolumnach. Drugie tyle przylegało do ścian. Ich mury w kolorze cynamonowym zmieniały odcienie, gdy padało na nie światło. Efekt, który to dawało, był niewiarygodny, niemal magiczny, zwłaszcza późnym porankiem.

Praca Diega i Marcosa na tym odcinku była ciężka, ale bardziej już satysfakcjonująca niż wcześniej. Wyszlifowali kamienie na murach i na posadzce, aż lśniły. Potem ostrożnie oskrobali ryty na ścianach i kolumnach.

– Jak dowiedziałem się wczoraj, jesteście teraz dokładnie pod biblioteką – powiedział Diego, oskrobując dłutem palmowy liść wryty na jednej z kolumn.

– Za bardzo ufasz temu człowiekowi... – odparł Marcos. – Myślisz, że weźmie cię ze sobą, by nauczyć cię tego, co umie, a potem wpuści do skryptorium, ale moim zdaniem nic takiego się nie stanie... – Opuścił na chwilę zdrewniałe ręce, by przywrócić w nich krążenie. Czyścił krzyżujące się łuki kopył i zajęcie to wymagało od niego ciągłego trzymania rąk w górze. – Z tego, co widzę, to wszystko farsa. Nabrał nas jak idiotów, zobaczysz...

Nagle posłyszeli kroki. Spojrzeli na krużganek i zobaczyli grupę mnichów w pochodzie. Udawali się do kaplicy na modlitwę o trzeciej, z której chłopcy byli szczęśliwie zwolnieni. Zamilkli, nie chcąc zakłócać ciszy, w jakiej szli, aż znikli im z oczu.

– Ja wierzę danemu słowu, a brat Servando obiecał mi... – odparł Diego, wracając do przerwanej rozmowy.

– A ja wierzę swojej intuicji.

– Intuicji, powiadasz? Intuicja to dar niezwykle potrzebny weterynarzowi, z uwagi na to że jego pacjenci są mało rozmowni... – uśmiechnął się.

– U mnie działała zawsze. Dlatego, kiedy widzę brata Servanda, upewniam się w tym, co powiedziałem: wykorzystuje nas...

– Może to i prawda, ale on jeden jest w stanie mi teraz pomóc. Jeśli zechce, da mi możliwość kształcenia się. Od niego zależy, czy wpuści mnie do biblioteki. Nie chcę dopuścić do siebie myśli, że mnie oszukał, wolę sądzić, że potrzebuje czasu, by nam zaufać. Zdarza się, że zbyt pochopnie dochodzimy do mylnych wniosków. Tak może być z bratem Servandem. Weź na przykład wrażenie, jakie wywiera na każdym miejscu takie jak to... – rozejrzał się po sali. – Wzrusza mnie takie piękno i potęga. A ciebie?

– Widzę tylko pracę. Mnóstwo pracy.

– Nic nie zauważyłeś? Wydaje mi się, że choć widzimy to samo, czujemy zupełnie co innego. Patrzysz na te bryły i widzisz tylko kamienie. Jeśli jednak przyjrzałbyś się im innymi oczyma, zobaczyłbyś w nich ukryte przesłania, historie w nich zawarte. Czy wiesz, co mam na myśli?

– Nie za bardzo...

– Te budowle to prawdziwe księgi pisane przez kamieniarzy. Jedni zapragnęli przedstawić Pismo Świąte tym, którzy nie umieją czytać. Inni przedstawić treści przez symbole czy tajemnicze figury. Są one w tej sali. Gdy je dojrzysz, przyznasz mi rację.

Marcos przebiegł wzrokiem po ścianach, kolumnach, sufitych i zatrzymał się na rysunku, który wydał mu się szczególny.

– Chodzi ci o ten? – wskazał kolumnę wspierającą wschodnią ścianę. Pod jej kapitułą był wyrzeźbiony osobliwy relief. Przedstawiał sznur, składający się z trzech połączonych ze sobą nici. Wznosił się i opadał ukośnie, a każde zgięcie miało formę łokcia. Małe dłonie podtrzymywały łokcie i całą kolumnę.

– Tak! – zawołał Diego, wodząc palcem po całej figurze. – Od pierwszego dnia zwrócił moją uwagę. Nie mogłem przestać rozmyślać nad jego znaczeniem. Sądzę, że został tu umieszczony, by zwrócić naszą uwagę na korzyści płynące z braterstwa, więzi, jedności w dążeniu do wspólnego celu. Biorąc pod uwagę miejsce, w którym się znajduje, myślę, że to właściwy przekaz. To tu zbierają się codziennie mnisi, by zajmować się sprawami, które...

Wtem za ich plecami rozległ się gruby głos.

– Diego, chcę, żebyś poszedł teraz ze mną...

Brat Servando wszedł do sali kolumnowej w wielkim pośpiechu. Nie miał nawet czasu, by sprawdzić stan robót.

– A ty, Marcos, idź na dziedziniec i pomóż w służbie potrzebującym. Dzisiaj piątek i refektarz jest dla nich otwarty.

Popchnął Diega w plecy, by jak najszybciej zabrać go z sali.

– Osiodłaj moją klacz, a potem twoją. Musimy jechać do pobliskiej wioski, do Cascante.

Diego spostrzegł, że brat Servando przygląda się swoim dłoniom. W chwilę potem poprosił go, by pokazał mu swoje, nie tłumacząc po co.

– Mam za grube ręce, potrzebuję kogoś z cieńszymi...

Chociaż pierwszą reakcją Diega było pytanie, do czego ma się przydać, samo to, że jest potrzebny, napełniło go nadzieją.

W niewielkiej osadzie Cascante, położonej zaledwie trzy mile na południowy wschód od Fitero, żyła znacząca społeczność żydowska

oraz znajdowała się licznie zamieszкана dzielnica mudejarów. Oni udali się jednak do części chrześcijańskiej, do domu pewnej piekarki. Znalezienie miejsca nie było trudne. Szli za zapachem chleba.

Gdy dotarli na miejsce, czekała ich w drzwiach kobieta. Głęboka troska malowała się na jej twarzy.

– Myślałam już, że nigdy nie dotrzecie... – spojrzała na nich z wyrzutem. – Prędko, pośpieszcie się.

Zsiedli z koni i uwiązali je na zewnątrz.

– Mam tylko jednego konia do rozwożenia chleba po okolicznych wioskach... To klęska! Musiałam poprosić inną kobietę o pomoc w... Zresztą zobaczcie to lepiej na własne oczy.

– W jakim wieku jest to zwierzę? – brat Servando wiedział, w przeciwieństwie do Diega, co zastanie.

– Ze mną przeżył osiem wiosen, ale gdy go kupiłam, wcześniej pracował już dla jakiegoś chłopca. Ma pewno ze dwanaście...

Weszli do brudnej, wąskiej, źle oświetlonej stajni. Gdy oczy ich przywykły już do słabej widoczności, stanęli jak wryci oszołomieni sceną, którą ujrzeli. Z konia wypłynęły jelita i wisiały na zewnątrz. Były obrzęknięte, koloru ciemnoczerwonego, a wokół latało pełno much.

Obok znajdowała się kobieta, całkowicie zdecydowana, by powpychać wszystko z powrotem na miejsce. Staruszka nie usłyszała, jak weszli. Dyszała i pociła się niezmiernie w ogromnym wysiłku. Popychała raz po raz i miotła przekleństwa. W końcu rozstawiła szeroko nogi, by stanąć mocniej na ziemi, i dwoma rękoma zaczęła pomału wciskać wszystko do środka. Ku jej rozpaczki koń zarżał z bólu i wszystko, co z takim trudem i mizernym efektem udało jej się już wepchnąć, wypadło z powrotem.

– Nie liczcie na to, że będę pracował razem z tą starą, bezczelną znachorką...

Zmierzył wzrokiem piekarkę, później kobietę. Nie pierwszy raz miał z nią do czynienia. Za każdym razem poza załatwieniem sprawy, do której go wzywano, musiał jeszcze naprawiać konsekwencje jej partactw.

– Już musieli sprowadzić klechę...! – jęknęła starucha, spoglądając na niego z pogardą.

– Nie mam obowiązku jej znosić... – powiedział zakonnik do swojej klientki. Kobieta podeszła do staruszki i wśród kłótni i przepychanek niemal siłą usunęła ją ze stajni.

Gdy zostali wreszcie sami, brat Servando i Diego podeszli do zwierzęcia, by zbadać sytuację.

– Co uczyniłby jeden z owych weterynarzy w takim przypadku? – Pytanie brata Servando miało podwójne znaczenie, ale Diego i tak postanowił na nie odpowiedzieć. Zrozumiał też, do czego potrzebne były jego ręce.

– Przygotowałby papkę ze smoły z solą i oliwą. Następnie natarłby nią tkankę, która wydostała się na zewnątrz, zanim spróbowałby przywrócić ją na swoje miejsce.

– Zostawiam to tobie. Poproś kobietę o wszystko, czego ci trzeba, ale zalecę ci, byś do twej mieszanki dodał szczyptę kadzidla. Zobaczysz, że opuchlizna wchłonie się szybciej.

Piekarka słyszała, czego im trzeba, i zaraz wszystko przyniosła, nim ją poprosili. Podczas gdy Diego ucierał wszystkie składniki w moździerzu, brat Servando wykorzystał chwilę oczekiwania, by przesłuchać kobietę.

– Mario, słyszałem o tobie rzeczy, które wcale mi się nie podobają... – Kobieta zaczerwieńiła się, wiedząc z pewnością, co ma na myśli.

– Jakie...? – udawała, drapiąc się niespokojnie po nosie.

– Dobrze wiesz jakie. Wiesz też, że jest żonaty...

– Wątpicie w mą cześć? – Kobieta przygryzła wargę i podeszła do Diega, chcąc pomóc mu w robieniu mikstury i by uniknąć niewygodnego tematu.

– To nie moja wina, że wasza cnota jest na ustach wszystkich – odparł brat Servando. Doszły go ostatnio słuchy o zażyłych stosunkach, jakie kobieta utrzymywała z pewnym rolnikiem, który pracował też na jednej z klasztornych farm.

Kobieta postanowiła zmienić temat, pytając o konia.

– Nigdy nie działał się z nim nic takiego... – Utkwiła w nim wzrok.

– Od czego to może być? Jesteście uzdrowicielem koni, czyż nie?

Brat Servando uznał, że nadeszła właściwa chwila, by dodać nieco arniki. Najpierw postanowił odpowiedzieć na jej pytanie.

– Choroba jest karą, którą zsyła nam Bóg, by oczyścić nas z grzechów. A ty, Mario, masz ich wiele. Przyczyną stanu twojego konia jest

to, że stałaś się grzesznicą. Nie potrafisz okiełznać swych niskich instynktów, i zobaczysz, że Pan nasz będzie stawiał wciąż na twojej drodze nowe przeszkody, abyś odkupiła swą zatraconą duszę... Opamiętaj się, póki czas, i przestań się z nim spotykać! – Podniósł głos. – Jeśli tak dalej pójdzie, wszyscy będą traktować cię jak ladacznicę. A ja oskarżę cię przed trybunałem.

Diego najpierw poczuł się niezręcznie, ale w miarę, jak słuchał tego wszystkiego, narastało w nim oburzenie na słowa brata Servanda. On sam nie śmiał oceniać zachowania tej kobiety. Rozumiał, że należy to wyłącznie do Boga. Wyprowadzanie powiązań między chorobą konia a jej uczynkami wydawało mu się wręcz okrutne.

Widząc na twarzy kobiety wyraz skruchy i czując, jak cała drży, poczuł konieczność powstrzymania tego wszystkiego i przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Nie wierzcie mu! – wtrącił się Diego. – Kłopoty tego konia nie mają nic wspólnego z żadnym grzechem i na pewno nie chodzi tu o karę boską. Po prostu ma już dużo lat i z pewnością zmuszaliście go do zbyt ciężkiej pracy. Pewnie za dużo ostatnio dźwigał... Nie smućcie się, znajdzie się na to rada.

Brat Servando przez chwilę nie reagował. Gdy w końcu zebrał się w sobie, oszalał ze złości. Nie znosił, gdy mu się sprzeciwiano, a zwłaszcza w obecności kobiety. Zaczął obrażać Diega i zarzucać mu sprzyjanie Maurom. Splunął na ziemię obok chłopca i w potoku gniewnych złorzeczeń zaczął mu przepowiadać długi pobyt w ciemnych latrynach.

– Ależ to absurd... – zaprotestował Marcos, gdy dowiedział się o całym zajściu. – Nie wiem doprawdy, co my tu robimy. Nigdy nie dopuści cię do ksiąg ani niczego nie nauczy...

– Pewnie okazałem zbyt mało lojalności, przeciwstawiając się jego słowom... Widzę, że to trudny człowiek, może nawet nieznośny. Rozumiem, że moja postawa wydać ci się może bezsensowna, ale przybyłem tu, by uzupełnić swoje wykształcenie weterynaryjne oraz by wejść do tej cudownej biblioteki, i nie zamierzam opuścić tych murów, nim tego nie osiągnę.

Marcos nie zechciał wyjawić, jak to zrobi, ale postanowił od tej pory

pomagać Diegowi w osiągnięciu jego celu. Jeśli zdaliby się jedynie na brata Servanda, spędziliby tam lata, nie osiągnąwszy nic poza wspaniałym błyskiem podłóg. A on nie miał tyle cierpliwości.

Przez parę dni przyjaciele nie widywali się. Diego odesłany został do czyszczenia latryn. Któregoś dnia los Marcosa nagle się odmienił, gdy przypadkiem usłyszał pewną rozmowę.

Toczyła się między dwoma mnichami: komturem, który zarządzał kuchniami, i drugim, od finansów. Marcos pomagał temu pierwszemu w rozładowaniu beczek oleju z powozów dwukołowych z budami, gdy podszedł drugi z pytaniem.

– Mówiliście z przeorem?

– Mówiłem, ale jeszcze nikogo mi nie dał... Dacie wiarę? – Złapał się za kolana. – Teraz mam tylko jednego pomocnika, a na domiar złego zachorował. Moi poprzedni pracownicy pojechali do Ziemi Świętej w obronie twierdzy. Jak mam nakarmić dwustu bratrw, zrobić zakupy, gromadzić zaopatrzenie i posprzątać wszystko sam? Jeśli kto myśli, że to możliwe, jest szalony. To ponad moje siły...

Marcos znalazł okazję, by wydostać się ze stajni oraz otoczenia brata Servanda i zbliżyć się do tego, co lubił najbardziej.

– Może nie dość nalegacie... – odparł mnich.

– Od razu dostałem od przeora ostrą reprimendę. Mówi, że nie dość się staram, nie umiem się poświęcić i straciłem wiarę w opatrność... – Mężczyzna złapał się rękoma za głowę. – Opatrność... Nie mogę sobie wyobrazić, jak opatrność obskubuje kurczaki, za to ja sam, owszem...

– Ja mógłbym wam pomóc w tej pracy – powiedział Marcos wprost.

– Co ty mówisz? – zdumiał się mężczyzna.

– Od małego kręciłem się przy garach – skłamał natychmiast, jak miał to w zwyczaju – i na tyle dobrze znam się na kuchni, że będziecie mogli spać spokojnie.

Zakonnik, gruby, ale dostojny, przypomniał sobie słowa przeora. Czyżby chłopiec ten był wysłannikiem owej słynnej opatrności?

– Młodzieńcze, nie mam pojęcia, skąd wiesz, że cierpię ostatnio na bezsenność, ale cieszę się z twojej propozycji. Powiedz mi, kto cię zatrudnia, a od razu do niego pójde. Pracujesz w stajniach?

Marcos potwierdził.

Brat Jezus, bo tak miał na imię, nie miał większych trudności z przekonaniem brata Servanda. Już tego samego popołudnia Marcos pracował z nim w klasztornych kuchniach, zadowolony i znacznie bardziej ożywiony.

Dla Diega dni te nie okazały się tak szczęśliwe, jak dla jego przyjaciela. W parę dni po opuszczeniu latryn miał okazję poznać prawdziwy charakter brata Servanda. Ponadto jego kiepska sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej.

A wszystko z powodu choroby konia, zwanej powszechnie figą.

IV

Brat Servando jako uzdrowiciel koni zajmował się wszystkimi ich dolegliwościami zarówno w klasztorze, jak i na zewnątrz.

Diego w końcu został dopuszczony do tego, by jeszcze parę razy mu towarzyszyć, nie za wiele, ale to wystarczyło, by zaczął czuć się zawiedziony.

Zaczynał się zastanawiać, skąd wzięła się jego dobra sława, skoro popełniał błędy równie oczywiste, co niebezpieczne dla swoich pacjentów. Diego pomyślał, że mnich nie posiadał nawet ćwierci jego wiedzy. Nigdy nie widział, żeby stosował jakąś technikę diagnostyczną inną niż dotychczas. Jego repertuar leków był skąpy, a ich zastosowania często króć absurdalne. Był na tyle ograniczony, że zaczęło to przeszkadzać Diegowi do tego stopnia, iż męczyło go już samo patrzenie, jak podkuwa konia, bo nawet w tym nie przejawiał zbytnej zręczności.

Diego więc milczał. Wolał nie mówić nic aż do owego poranka, kiedy wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu.

W stajni zjawił się koń, będący własnością chorążego króla Nawarry. Przybył tam pierwszy raz, przyprowadzony przez jego giermka. Diego podpalał właśnie drobne drzazgi, by rozniecić ogień w kowalskim piecu, gdy weszło zwierzę prowadzone przez owego człowieka. Był to przepiękny okaz, potężny, olbrzymich rozmiarów, maści bułanej, wpadającej niemal w wiśniową. Widząc go, zwłaszcza kiedy odkrył ogromny obrzęk na jego grzbiecie, nie mógł się powstrzymać i podszedł do niego, gdy czekali, aż przyjdzie brat Servando.

Diego przyjrzał się kolorowi i budowie guza. Na szczęście dla zwierzęcia był czerwony i wyglądał na świeży. Pracując u Galiba, widywał

już takie guzy wielokrotnie, ale nigdy nie były tak wielkie. Ten miał rozmiar pomarańczy. Tak jak w przypadku innych chorób, niektórzy zwykli tłumaczyć ich powstawanie nadmiernym nagromadzeniem się humorów. Przypomnił sobie, że w *Traktacie o weterynarii*, jego pierwszej książce, prezencie od Benazir, guzy te były opisane dość szczegółowo. Nazwano je figami i podzielono według kolorów. Za najgroźniejsze uznano czarne, następnie czerwone i na końcu białe.

Pędem przybiegł chłopiec stajenny z wiadomością, że brat Servando opuścił klasztor i nikt nie wie, kiedy wróci – czy jeszcze tego ranka, czy dopiero późnym popołudniem.

Na tę wieść Diego postanowił zająć się chorym koniem. Wziął kawałek skóry i zrobił w nim otwór wielkości guza. Potem założył mu go na wierzch, by odizolować guza od reszty skóry.

– To figa, mój panie. – Ponieważ giermek nie wiedział, co to takiego, Diego wytłumaczył mu i usprawiedliwił nieobecność brata Servanda, przedstawiając się jako jego pomocnik i uzdrowiciel koni.

– Wiecie, jak go uleczyć? – zapytał mężczyzna, przyglądając się Diegowi. Nie wydawał się zbyt przekonany do pozostawienia cennego konia w nieznanych rękach. Dostrzegł w nim jednak taką pewność i zdecydowanie, że się zgodził.

Diego zaczął szykować rozmaite balsamy i smarowidła. Jedno składało się z niegaszonego wapna i ziemi. Inne znów było pastą z ziół rzecznych i wody. Za to trzecie, o odpychającym zapachu, składało się z ciepłych odchodów koguta utartych w moździerz z mydłem.

Z ziołowej masy uformował małe placuszki i wsadził je do paleniska. Położył jeden na gorącej blasze, po czym przycisnął do końskiego guza. Gdy ostygł, wymienił go na drugi. Robił tak przez jakiś czas, aż zauważył, że obrzęk staje się biały. Wytłumaczył mężczyźnie, że w ten sposób zdołał zmniejszyć jego ukrwienie, zanim utnie go ostrym nożem.

Wszyscy koniuszy z całej stajni zostawili swe roboty i zgromadzili się wokół, żeby zobaczyć go w działaniu.

– Musicie mi pomóc i przytrzymać konia. Teraz mocno go zaboli. Za pomocą sznurów i powrozów zdołali go unieruchomić. Diego

podszedł z nożem, którego ostrze rozgrzane było wcześniej w ogniu, i zaczął obcinać figę tuż przy jej podstawie. Robił to bardzo starannie i ostrożnie, uważając, by nie uszkodzić żadnego nerwu.

Był szybki i miał pewną rękę, nie dając się przestraszyć głośnemu rzeniu zwierzęcia.

– Teraz trochę pokrwawi. Weźcie to za dobrą monetę.

Wzrok giermka utkwiony był w ogromnym guzie, wyciętym mimo jego olbrzymich rozmiarów.

Diego posypał ranę mieszaniną niegaszonego wapna i ziemi i szybko odskoczył od zwierzęcia, przewidziawszy jego wściekłą reakcję. Następnie wziął rozgrzane do czerwoności żelazo i przejechał nim po obrzeżach rany, aby zamknąć krwotok. Koń, obolały i wściekły, nie przestawał się ruszać.

– Bądźcie spokojni. Kolejny balsam przyniesie mu ulgę.

Diego nałożył papkę z odchodów i mydła na lniane płótno i przyłożył je do rany. Na koniec przyrządził pomadę z miodu oraz pentamironu* i polecił mężczyźnie, by przykładał ją koniowi na ciepło raz dziennie.

* Pentamiron – maść z pięciu substancji (płynnych kadzideł).

– Gdybyście spostrzegli, że znów mu guz rośnie, każcie zrobić cienki sznurek z grzywy żrebaka, który nie poznał jeszcze klaczy. Tym sznurkiem obwiążcie nową figę aż do zduszenia. Możecie zrobić tak raz, drugi i trzeci, aż przejdzie mu samo.

W końcu Diego polecił ostrożnie odwiązać konia i przemówił do niego po cichu, do ucha, drapiąc go po brzuchu. Od razu zdobył jego zaufanie. Koń początkowo patrzył na niego z przerażeniem, ale wkrótce zarżał, uspokojony.

Diego poczuł zadowolenie ze swej pracy. Cisza, która towarzyszyła mu podczas operacji, wkrótce zamieniła się w spontaniczny aplauz. Wszyscy obecni byli szczerze oczarowani.

– Musicie zapewnić mu najwygodniejsze miejsce w stajni, chronić przed moczeniem i brudzeniem rany. Gdyby do tego doszło, leczenie może się skomplikować.

Giermek był zadowolony z jego rad i bez wahania mu pogratulował. Zapamiętał jego imię, gdyby w przyszłości miało okazać się potrzebne.

– Nazywam się Diego, Diego z Malagón, uczeń weterynarza, lub, jeśli wolicie, uzdrowiciela koni.

Giermek, koń, jego schorzenie odeszli, tak samo jak reszta koniuzszych, wciąż jeszcze zdumionych umiejętnościami swego kolegi. Zadowolone Diego trwało jednak zbyt krótko, bo tylko do powrotu brata Servanda.

Gdy tylko Diego zobaczył go, jak wchodzi do stajni, pomyślał, że już jest powiadomiony. Twarz miał bladą, a oczy wyrażały bezmierny gniew. Kiedy zbliżył się do niego, począł wykrzykiwać i wymachiwać rękoma, jakby na wpół oszalał.

– Czy zechciałbyś wytłumaczyć mi, kto dał ci prawo przyjmować moich klientów? – Krążył wokół z zaciśniętymi pięściami. – Gdybyś tylko wiedział, czyj to był koń!...

– Chorążego króla Nawarry.

Brat Servando brutalnie szturchnął go w ramię, obrażony tą odpowiedzią.

– Nie masz krzty wstydu? – sapał rozjątrzony. – Czy nie uważasz się przypadkiem za zdolniejszego ode mnie?

– Jestem weterynarzem... – odpowiedział z dumą.

Mężczyzna, wychodząc już z siebie, chwycił go za kaftan i zaczął szarpać z taką wściekłością, że aż mu go podarł.

– Dobrze wiesz, że nienawidzę tego słowa...

Diego postanowił nic nie mówić, bo w takiej chwili wszystko, co by powiedział, mogłoby zostać źle zrozumiane. Taka reakcja rozgniewała mnicha jeszcze bardziej. Nie mogąc znieść jego milczenia, zastanowił się nad karą, która najlepiej mogłaby złamać dumę chłopaka.

– Wrócisz do latryn, ale odtąd będziesz tam także spał. Będziesz tam jadł, mieszkał wśród ich wyziewów i nie wyjdiesz stamtąd, aż ci każą. Mam nadzieję, że w końcu wszystko sobie przemyślisz.

Diego poczuł silne pragnienie, by uduśić go tu i teraz albo kopnąć z całej siły w żołądek. Rozważył też możliwość opuszczenia klasztoru i zapomnienia raz na zawsze o tym dziwnym osobniku.

Przyjął jednak zupełnie inną postawę.

– Dobrze – odpowiedział, nie podnosząc głosu. – Mam traktować to jako karę, czy jako pokutę?

To jest... to jest – powtarzał brat Servando upokorzony – pokuta... Twój grzech to próżność i nieposłuszeństwo.

– Nie rozumiem was...

– Rozumiesz aż nadto. Jeśli dalej sądzisz, że weterynaria jest wiedzą większą od tej, którą ja posiadam, jesteś do tego uparty. Nie podoba ci się, by zwano cię uzdrowicielem koni ani veterinariusem, widzę to. Poza tym oceniasz każdą z prac, które wykonuję. Czuję to, gdy patrzysz mi na ręce...

Brat Servando przełknął ślinę. Dość już zdenerwowała go zmieniona postawa Diega.

– Jeśli zatem chodzi o skrucę, to czy grzechy moje zostaną mi potem odpuszczone?

– Uhm... – Wieki zajęło mu, żeby to wypowiedzieć i kosztowało go wiele pokory. – Tak, sądzę, że tak...

– A gdy zostanie mi wybaczony mój grzech, to będę mógł wreszcie wejść do skryptorium...

Brat Servando zacisnął pięści i spojrzał mu w twarz, całkiem już mając go dosyć, ale nie powiedział, że nie.

Trzeciej nocy w swym nowym mieszkaniu Diego miał niespodziewaną wizytę, która bardzo go ucieszyła. Był to Marcos.

Przyszedł do niego ze sztuką pieczonego mięsa, pajdą czarnego chleba i najlepszym z kąsków dla jego duszy, odrobiną współczucia.

– Jak się czujesz?

Marcos oświetlał ziemię pochodnią, by móc poruszać się pośród wszystkich tych nieczystości.

– Nie tak dobrze jak ty... – Diego utkwiał wzrok w zawartości glinianego garnka, który trzymał w rękach.

Marcos wetknął pochodnię w szczelinę w ścianie. Nie mógł stłumić w sobie gestu obrzydzenia, czując jego zapach.

– Mam dla ciebie dobre nowiny.

– Nie wiesz nawet, jak się cieszę. – Diego uśmiechnął się do niego.

– Zaprzyjaźniłem się z fratrem zarządzającym biblioteką. Nazywa się brat Tomás. To człowiek dobroniosy, o niepewnym spojrzeniu i gapowatej minie, ale lubi jeść – tak samo, jak ja lubię rozrabiać. Siedzę

w kuchni cały dzień, nie kosztowało mnie więc wiele dogodzić jego słabości i obrócić ją na twoją korzyść.

Diego otworzył szeroko błyszczące oczy. Chciał usłyszeć tylko te słowa, które zaraz miały paść z jego ust.

– Opowiedziałem mu o tobie, niczego nie ukrywając. Zna twoje pragnienie wiedzy, wie także, że bez trudu czytasz po arabsku. Zna też sprawę z bratem Servandem. Uwierz mi, zainteresował się twoją sprawą i wie, czego szukasz.

– I...?

– Mam dobrą i złą wiadomość.

– Zaczynaj od złej.

– Brat Servando kłamie, twierdząc, że będziesz mógł ze względną swobodą wejść do skryptorium lub do biblioteki. Dowiedziałem się już, że tym, którzy nie złożyli ślubów, nie jest to dozwolone.

Diego westchnął załamany. To mogło oznaczać koniec jego planów.

– Poczekaj! Nie powiedziałem jeszcze tej dobrej...

– Czy może być coś dobrego po tym, co mi właśnie powiedziałeś?

– Jeśli my nie możemy wejść, one mogą wyjść...

– Jak to?

– Jest jeszcze jedna rzecz, która gubi brata Tomasa, poza jedzeniem...

– Powiedz mi w końcu, o co chodzi.

– Ziołowy bimber. – Uśmiechnął się złośliwie. – Dwie karafki i gwarancja stałych dostaw uczyniły resztę, a dzięki temu... – wyciągnął pakunek zawinięty w bawełnianą szmatkę – będziesz mógł wśród tych ścieków poczytać Rzymianina Vegetiusa. Czy to aby nie jeden z autorów, których szukałeś?

Diego z przejęciem rozwinął szmatkę i ujrzał księgę zatytułowaną *Digestum artis mulomedicinae*, podpisaną przez Publiusa Flaviusa Vegetiusa Renatusa, napisaną w wieku czwartym.

– Powiedział mi też, że jeśli cię ciekawi... – kontynuował Marcos – przyniesie ci później Lucia Junia Columela z Kadyksu, a potem jeszcze dwa traktaty po łacinie, jeden chyba Pliniusza, a drugi Paladiusza. Ja nie znam żadnego z nich.

Diego nie mógł opanować wzruszenia i poczuł, jak lzy płyną mu po

policzkach. W końcu miał w rękach jedną z owych książek. Nieważne, że musiał wcześniej przecierpieć tyle nieszczęść, o wiele więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie znieść. Teraz, dzięki temu traktatowi, mógł poszerzyć swoją wiedzę od strony słabo zbadanej przez autorów arabskich: poznać metodologię diagnostyki chorób.

Vegetius był wojskowym rzymskiej armii, znawcą strategii wojennych. Bronił zaciekle wykorzystywania kawalerii jako broni w walce, podczas gdy reszta jego kolegów po fachu ufała tylko piechocie. Z tej zapewne przyczyny zebrał i opisał najbardziej obszerną wiedzę o koniach, zgromadzoną od czasów starożytnych Greków. Dzieło jego zawierało niezwykle opisy najrozmaitszych chorób, zalecenia sposobów hodowli, reprodukcji i inne zagadnienia, takie jak idealna budowa fizyczna czy zorganizowany system doboru rozplodników.

Przy blasku świecy Diego spędzał noc po nocy, czytając i ucząc się na pamięć całych akapitów. W końcu czuł się szczęśliwy. To, co dostał, wynagrodziło mu wszystko.

Rankami czyścił długie marmurowe bloki z otworami, przez które mnisi załatwiali swe potrzeby, albo schodził do czarnych dziur, by odtykać częste zatopy w ich odpływach, nie zwracając już na to uwagi. Nie przeszkadzało mu też napełnianie łopatą wozów ludzkimi odchodami, których używano później jako nawozu na polach.

W końcu przyzwyczał się już całkiem do tego cuchnącego odoru, mając wciąż tylko pragnienie, by już zapadła noc, kiedy będzie się mógł nasycić ową, jak ją nazywał, smaczną i pożywną nauką. Upajał się pisaną mądrością, nie rozumiejąc, czemu chowana jest przed oczyma świata. Nie mógł pojąć, jaką szkodę może wyrządzić człowiekowi wiedza. Jakież mógł być powód, by ją ukrywać wśród głązów i świątyń, by otaczać murami wiary słodkie uczucie obcowania z mądrością. Nigdy tego nie zrozumie.

Tak mijały dni i tygodnie, aż nadeszła ostatnia noc jego kary.

Długo nie zasypiał, pochłonięty lekturą traktatu Hipokratesa. Z jego głębokiej i rzetelnej myśli wyciągnął trzy zasady, których mędrzec ów bronił jako podstaw medycznego fachu.

Zapamiętał i powtórzył wiele razy na głos:

– *Primum non nocere* – po pierwsze, nie szkodzić. – Rozsmakował

się w znaczeniu pierwszej zasady. – Lepiej nic nie zrobić, niż pogarszać sytuację.

Wziął głęboki wdech i na głos powtórzył drugą zasadę, z którą zgadzał się jeszcze bardziej.

– Zawsze należy zajmować się pierwotną przyczyną dolegliwości, walczyć z nią u jej źródeł.

I trzecia zasada – powstrzymać się od działania w chorobach nieuleczalnych, godząc się na to, co w nich nieuniknione.

V

Sancho VII zakochał się w niej do szaleństwa. Przybył do Marrakeszu na niedługą wizytę, ale księżniczka Najla wydłużyła pobyt króla Nawarry do prawie dwóch lat.

– Wasze przybycie to był szczęśliwy traf...

Kalif al-Nasir nakazał nabić fajki owymi ziołami, które podnosiły ducha.

– Pamiętajcie jeszcze, jak wiele kosztowało mnie, by was przekonać, prawda? – don Pedro de Mora napełnił swoje płuca potężnym haustem dymu.

– To prawda, ale podjęcie decyzji, by wystawić mą siostrę jako przynętę, nie było dla mnie łatwe. Teraz nie mam żadnych wątpliwości, że było to skuteczne posunięcie.

Niewolnica uklęknęła przed nimi, nie podnosząc wzroku, z tacą pełną słodyczy z migdałów, miodu i kokosa. Spróbowali ich. Al-Nasir podniósł jej welon, pogładził policzki i grubym palcem dotknął kącika jej ust.

– Nie znam cię. Jak masz na imię?

– Abeer, panie. – Spojrzała w jego oczy, zdumiona ich intensywnie niebieskim kolorem.

– Co znaczy twoje imię? – zapytał don Pedro, zachwycając się jej pięknym ciałem.

– Zapach... Chodząca namiętność. Czyż nie jest prześliczna?

– Jest cudowna.

Al-Nasir pieszczotliwie ujął dziewczynę za podbródek.

– Przyjdź później.

- Dziękuję za wybranie mnie, panie.
Kalif wymierzył jej siarczasty policzek.
- Nikt nie powiedział ci jeszcze, żebyś się nie odzywała niepytana?
Kobieta posłusznie schyliła głowę i zostawiła ich samych, ani na chwilę nie odwracając się do nich plecami, jak ją nauczono.
- Gdy przebywałem u niego w Nawarrze, był świeżo po rozwodzie – przypomniał Pedro de Mora. – Wy byliście mu potrzebni w jego planach ekspansji terytorialnej... A Najla w młodości marzyła, by być kochaną przez kawalera potężnego, szlchetnego rodu. Nie pozostało mi nic więcej, niż połączyć wszystkie elementy i...
- Układ z jego królestwem odpowiada nam, i to bardzo – przerwał mu kalif. – Mając Nawarrę po naszej stronie, rozbijamy niebezpieczną dla nas jedność królestw chrześcijańskich, o którą tak zabiega Kastylia.
- Czy wyobrażacie sobie, jak król Alfonso VIII przyjmie ślub Najli i Sancha...? Al-Ándalus i Nawarra zjednoczone... – Don Pedro zacierał ręce z radości, zachwycony swoim pomysłem.
- Nie rozumiem tylko, dlaczego do tej pory nie poprosił mnie jeszcze o jej rękę... Przecież ponad rok już tak się ze sobą prowadzą... – Kalif wskazał ich ruchem ręki. Dwoje zakochanych patrzyło na siebie z całkowitym oddaniem. Dłonie ich były splecione. On nieśmiało muskał jej włosy. – Na co on, u diabła, czeka?
- Pomyślcie tylko, mój panie: Sancho mieszka w pałacu wezyra, zbyt daleko od waszej siostry. Ta z kolei nie może się ruszyć ani na krok ze swej komnaty. Gdyby tak dać im tylko troszeczkę więcej intymności, może zakosztowałiby esencji uczucia i tym samym pragnienia wasze bliższe byłyby spełnieniu... – Don Pedro przekonał się, że al-Nasir pojął znaczenie jego słów.
- Pomyślę o tym. Każdego dnia modłę się do Allaha, by pobłogosławił i umacniał ich miłość, ale też, by stało się to jak najszybciej... Muszę w końcu podpisać tę umowę.

Tej samej nocy Najla wpadła do haremu, szukając Blanki i Esteli, cała roztrzęsiona. Musiała ogłosić im nowiny.

- Przenoszą go...

Księżniczka nie zaczekała nawet, aż znajdą się w niebieskiej sypialni, gdzie zwykły się spotykać. Mówiła do nich po arabsku, gdyż siostry zaczynały już władać tym językiem. Od pewnego czasu przyjaciółki posługiwały się raz jednym, raz drugim z języków.

– Kogo? O kim mówicie?

– O Sanchu. Dowiedziałam się właśnie, że mój brat zezwoli na umieszczenie go w tym pałacu.

Blanca puściła oko do Esteli. Parę miesięcy wcześniej księżniczka obiecała zabrać je ze sobą do Nawarry, gdy w końcu się pobiorą. Zrozumiały, że większa bliskość między kochankami mogła zacieśnić ich więzy, a gdyby wreszcie ogłosili ślub, bliżej byłoby im do wyjścia z tego piekła.

– To taki wspaniały mężczyzna... – Najla stanęła przed wielkim lustrem i rozpuściła włosy. Opadły na szyję i ramiona. – Czy uważacie, że jestem ładna?

Blanca stanęła za jej plecami.

– Jesteście piękna i młoda. Macie wspaniałe ciało i roztaczacie wdzięk. Każdy mężczyzna straciłby dla was głowę, ledwie musnąwszy waszą jedwabistą skórę. Zapewniam was, że będzie szalał za wami... – Zebrała jej włosy, podniosła do góry, odsłaniając smukłą szyję, i wciągnęła jej zapach. – By go urzec, uperfumujcie się miodem i sandałem, załóżcie suknię ściśle przylegającą do ciała i nakażcie waszej niewolnicy, by namalowała wam coś pięknego na piersiach.

– Nie byłam nigdy z mężczyzną... – Księżniczka spojrzała na nie i zarumieniła się, robiąc niemal dziecinną minę – i wielu rzeczy nie wiem. Nie wiem, jak go uradować. Sądzę, że wy wiecie bardzo dobrze, o czym mówię...

Twarz Esteli wykrzywiła się w grymasie przepelniającej ją wściekłości i upokorzenia. Wciąż ciężko przychodziło jej słuchanie takiej prawdy. Były tylko dwiema nałożnicami, utrzymywanymi przy życiu i dobrze żywionymi tylko w jedynym celu: dawania przyjemności kalifowi i czasem jego najbliższemu współpracownikom.

– Nie udawajcie kogoś, kim nie jesteście – doradzała jej dalej Blanca. – Bądźcie naturalną i niech się dzieje, co chce. Gdy się rozbieżecie, nie śpieszcie się. Patrzcie na niego żarliwie, a potem...

Drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie. Wbiegł czarny strażnik, imesebelen.

– Szukają was, pani. Wyjdźcie stąd. Musicie natychmiast wracać do waszej sypialni...

Blanca i Estela zamarły. Widok czarnej twarzy cofnął je w czasie. Prerażające wspomnienie ich porwania, brutalna śmierć siostry Belindy, nieznaną los ojca i brata, wszystkie te okropne doświadczenia odżywały w ich pamięci za każdym razem, gdy w pobliżu znajdował się jeden z owych mężczyzn.

– Która z was to Blanca?

– Ja. – Spojrzała na niego obezwładniona strachem.

– Was też szukają. Idźcie szybko.

– Dziękujemy za ostrzeżenie – wtrąciła Najla. – Timud to mój najwierniejszy obrońca. Nie bójcie się go, jest inny niż reszta imesebebenów, którzy mnie strzegą. – Gdy tylko skończyła mówić, pożegnała je i w jednej chwili znikła w korytarzu.

Siostry przybyły do sypialni i zadrżały, słysząc zbliżające się w pośpiechu kroki. W chwilę później weszło dwóch mężczyzn. Byli służącymi kalifa. Jeden z nich zapytał o Blancę. Podeszedł do niej i dotknął jej ramienia. Był to znak, który znały aż nazbyt dobrze. Była wzywana, by spędzić z kimś tę noc. Wstała i poszła z nimi.

Inaczej niż zwykle, poszli do zachodniego skrzydła pałacu. Szli przez inne korytarze. Blanca domyśliła się, dokąd zierają.

Doszli do pięknych złotych drzwi i otworzyli je przed nią. W pierwszej chwili nie dojrzała nikogo w środku. Świeża bryza, która dotknęła jej twarzy, gdy tylko weszła, wpadała przez okno, w którym tańczyły odbłaski księżyca. Podeszła do niego i wyjrzała na zewnątrz. Noc w Marrakeszu była urzekająca. Usłyszała śmiechy w oddali, pewnie z jakiegoś placu czy uliczki, i westchnęła.

Marzyła, by stać się znów wolną osobą, zapragnęła uciec ze swej straszliwej niewoli.

Po chwili poczuła kroki za swoimi plecami i odwróciła się.

To znów ten człowiek, którego tak znienawidziła. Spojrzenie na jego długą bliznę sprawiło, że przeżywała na nowo najbardziej odrażające chwile w swoim życiu. Jego twarz wyrażała wielką i przenikliwą inteligencję, ale też i zło.

– Jesteś, jak zawsze, przepiękna...

Zrezygnowana przyjęła jego pierwszy pocałunek w usta.

VI

Koński gnój, znój i nauka.

Te trzy rzeczy charakteryzowały życie Diega przez następne sześć miesięcy, no i jeszcze atmosfera nieustających wymówek od brata Servanda. Zakonnik nie dość, że nie nauczył go niczego, co sam umiał, choć nie było tego wiele, wziął sobie za punkt honoru nie przepuścić mu ani jednego błędu popełnionego w pracy.

Pewnie dlatego Diego w książkach odnajdywał jedyną pociechę.

Rok już minął, od kiedy przybyli do Fitero. Zima znów zagościła w jego murach. Diego dalej chłonał książkowe mądrości. Brakowało mu już godzin i dni, by uporządkować swoją wiedzę, przyswoić sobie to, co przeczytał, i pomyśleć, jak zastosuje to w przyszłości.

Pewnego razu, gdy brat Servando nie widział, przeprowadził sekcję kopyta konia, nim zostało wrzucone do niegaszonego wapna. W ten sposób dowiedział się, jak działa, jakie siły i naciski muszą znosić kości i ścięgna, jak powstaje ruch. Przyglądał się mu od środka, szukając przyczyn powstawania takich schorzeń, jak pypcie czy obrzęki, rogowe słupki czy krwiaki.

Postanowił też podzielić w swym umyśle dolegliwości w inny sposób, niż uczył się to robić do tej pory, a mianowicie według ich położenia anatomicznego. Tak będzie mu łatwiej odróżnić jedną chorobę od drugiej.

Pewnego dnia Marcos podszedł do niego, gdy zobaczył, jak siedzi zamyślony na kupie słomy przy swej klaczy, którą odwiedzał każdego wieczoru.

– Opowiedz mi o twoich siostrach...

Przyniósł mu wtedy książkę napisaną przez zakonnice z Pałatynatu, Hildegardę de Bingen.

– Opowiadałem ci już, co się wtedy stało... Mój Boże! Jakie to straszne! To już sześć lat minęło... Mogę wiedzieć, czemu pytasz mnie o to akurat teraz?

– Bo cię to gnębi... A nigdy o tym nie mówisz.

Diego w zamyśleniu pogłaskał miękką okładkę książki i otworzył ją z taką ciekawością, jakby na jej stronicach miał znaleźć wyjaśnienie wszystkiego. Potem zamknął ją i zbliżył się do Sabby.

Zadrżała z zadowolenia.

– Jeśli żyją, a mam przecucie, że tak jest, to może w niewoli, w Marrakeszu. Wiele dni myślałem o tym, co mógłbym zrobić, żeby im pomóc, ale zawsze kończy się na tym, że się poddaję. Wyruszyć im na ratunek to dla mnie nieosiągalne... Za każdym razem, gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że teraz mogę się tylko przygotowywać, nabierać potrzebnej siły i odwagi, no i pieniędzy, żeby wyjechać w podróż...

Marcos zamyślił się.

Miesiąc wcześniej, mając już dość ciągłych zakazów i niedostatku, sądząc, że teraz nikt już go nie będzie szukał, poczuł się gotowy, by opuścić klasztor. Postanowił jednak tego nie robić. Wszystko zaczęło się zmieniać. W kuchni całkiem dobrze się urządził, nikt go nie zadreżczał, jak wcześniej brat Servando, i mógł wychodzić z klasztoru, gdy tylko miał ochotę. Robił to co dwa, trzy dni. Jeździł do pobliskich miejscowości po żywność.

Dzięki tej możliwości przestał czuć się uwięziony. A nawet zaczął spotykać się z pewną piękną dziewczyną, którą udało mu się poznać.

Diego znów otworzył książkę Hildegardy i przeczytał to, na co padł jego wzrok.

– Dzika sałata najlepsza na bóle brzucha dla osłów. Pokrzywa na gorączkę u koni. Seler leśny na katary.

Zamknął książkę i przyjrzał się twarzy Marcosa.

– Z pewnością skuteczne lekarstwa... Hildegarda, jak wielu innych przed nią, zbadała niejedyn lek i spisała je dla dobra przyszłych pokoleń. – W zamyśleniu żuł słomkę, smakując jej gorycz. – Grecy zwali weterynarzy hippiatrami lub uzdrowicielami koni, jak lubi nazywać mnie brat Servando. Rzymianie veterinariusami. Jak mam zostać dobrym hippiatrą, uzdrowicielem koni czy veterinariusem, jeśli nie

dowiem się wcześniej, co wymyśliła ta mniszka i wielu innych mędr-
ców? – Spojrzał w niebo zadumany. – Marcos, w tej bibliotece spo-
czywa ogrom ludzkiej wiedzy medycznej. Gdy się nią nasycę, w przy-
szłości będę w stanie pomagać ludziom, dla których posiadanie zwie-
rzęcia stanowi jedyne źródło utrzymania. Czy pojmujesz teraz praw-
dziwy powód mojego pobytu w tym klasztorze?

– Dobrze, już dobrze – odparł Marcos. – Zajmuj się dalej tymi za-
konnkami czy Grekami, co za różnica – machnął ręką pogardliwie. – A
mnie zostaw sprawy praktyczne. A praktyczne jest czterysta dukatów,
które zdołałem zaoszczędzić.

– W jaki sposób? – Diego obawiał się najgorszego.

– Brat Jezus, mój zwierzchnik i dobroduszny braciszek, jeśli tacy
w ogóle są, obdarzył mnie całkowitym zaufaniem. Na próbę powierzył
mi klasztorne sprawunki. To dobra okazja, uwierz mi – mrugnął okiem.

– Ale chyba nie podbierasz z kasy?

– Nie o to chodzi... Zdołałem przekonać władze administracyjne
klasztoru, by z każdym zamówieniem odkładały pewną drobną sumę
pieniędzy dla mnie... to znaczy dla nas.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać... Co za łajdak z ciebie!

– To prawda, też tak uważam... Pamiętasz tego giermka z Nawarry
i jego konia, któremu usunąłeś guza?

– Oczywiście. Za to spotkała mnie najgorsza kara. Cierpię do dziś,
a minął już prawie rok...

– Mówili mi, że dzisiaj przyjechał, pytając właśnie o ciebie. Zdaje
się, że kazali ci się schować pod jakimś pozorem. I z tego, co wiem, to
nie pierwszy raz.

– Czemu ukryli to przede mną? – Diego poczuł rozpierającą go
wściekłość. Przypomniał sobie tego człowieka i jego żarliwe pochwały.
– Czego mógł ode mnie chcieć?

Nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie przez trzy miesiące. Aż
nadeszła wiosna, roku tysiąc dwieście drugiego, słoneczny kwiecień.
Diego skończył właśnie dwadzieścia dwa lata. Do stajni wszedł brat
Servando, który został zmuszony, by mu coś oznajmić.

– Szykuj się do wyjazdu pojutrze – wypalił nagle groźnie, nic więcej nie tłumacząc.

– Mógłbym dowiedzieć się dokąd?

– Wyjedziesz sam, na trzy dni. – Zarzucił sobie na ramię wór owsa i podszedł do żłobów, by obdzielić nim konie. Nie wydawał się chętny, by powiedzieć mu coś więcej.

Diego patrzył na niego z ciekawioną.

– Dokąd mam jechać? – dopytywał się z radością, widząc, jak bardzo jego nalegania martwią zakonnika.

Mężczyzna parsknął, podrapał się dwa czy trzy razy i w końcu odpowiedział.

– Usiłujesz wprawić mnie w zakłopotanie, tak? – Diego postarał się zrobić zdziwioną minę. – No, dobrze... Urządzony zostanie turniej czy gonitwa, nie wiem dokładnie, w Olite. To pobliska miejscowość, która należy do Królestwa Nawarry. Poproszono nas, abyś tam przybył.

– Ja?

– A znasz Gómeza Garceiza?

– To ten od figi na końskim grzbiecie?

– To był jego giermek. Wzywa cię jego pan Gómez Garceiz, chorąży króla Nawarry.

– I chce właśnie mnie?

Brat Servando zatrzęsł się ze złości.

– Chyba tak! – krzyknął tak spokojnie, jak tylko mógł.

– A do czegoś mógłby być potrzebny weterynarz, czy mówiąc dokładniej, uczeń uzdrowiciela koni, na turnieju? – Diego nigdy nie widział czegoś takiego, słyszał za to niesamowite opowieści o owych rycerskich zawodach.

– Dla jakiegoś dziwnego kaprysu chce ciebie. Nie wiem, czy to dla twych umiejętności kowalskich, bo nie sądzę, żeby istniała jakaś inna przyczyna. – Przelknął ślinę, czując się znieważony. – Dość! Nie pytaj mnie więcej.

Diego zastanowił się, jak wielką moc musi mieć chorąży, by wymusić na bracie Servandzie pozwolenie na wyjazd chłopca i zdławić jego dumę. Przecież jeżeli Gómez Garceiz wolał usługi jego, a nie mnicha, który zdobył sławę w całej okolicy, mówiło to samo za siebie.

– Pojadę z przyjemnością! – odparł z zapalem. – I bardzo jestem

wam wdzięczny za pamięć... – Spojrzenie brata Servanda nie mogło wyrażać większej wściekłości. – Ale mam jeszcze jedną prośbę.

– Nie pogarszaj sytuacji...

– Będę potrzebował mojego przyjaciela, Marcosa.

– W porządku... – westchnął z rezygnacją. Pomyślał o przeorze i przypomniał sobie, jak zmusił go do wykonania rozkazu.

Dwa dni oczekiwania na wyjazd były dla Diega wiecznością.

Był podekscytowany z wielu powodów. Miało być to jego pierwsze wyjście z zakonu po piętnastu miesiącach. Weźmie udział w widowisku, którego nie widział nigdy wcześniej. No i pierwszy raz jego obecność była pożądana z powodu jego wiedzy, a nie tylko z powodu umiejętności posługiwania się miotłą.

W poranek wyjazdu, gdy tylko wstał świt, doznał uczucia, że odzyskuje Sabbę, której przez cały ten czas prawie nie dosiadał.

Gdy poczuł pod swymi nogami ciepło kłaczy i zapach kwitnących łąk, kiedy ruszyli już wraz z Marcosem dróżką na północ, odniósł też wrażenie, że odzyskuje coś o wiele bardziej niematerialnego, ale jeszcze przyjemniejszego: odrobinę wolności.

VII

Marcos marzył o tym, by w Olite spotkać wiele kobiet.

Razem z Diegiem przekroczyli granicę Nawarry w niewielkiej osadzie Corella. Wczesnym popołudniem dotarli do Olite.

Była to spora miejscowość, w której odbywały się uroczystości. Musiało czekać tam na niego wiele kobiet, to jasne. Porozmawia z nimi trochę, by je ośmielić, a potem poszuka jakiegoś ustronnego zakątka, by się z nimi kochać. Ponad półtora roku siedzi już zamknięty pośród murów i mnichów i zdążył poznać tylko dwie ładne dziewczyny podczas krótkich wypadów. A skończył już dwadzieścia trzy lata, o rok więcej niż Diego.

Gdy tylko przekroczyli miejskie mury, zaczęli z przyjemnością wsłuchiwać się w gwar ulic. Zobaczyli dużo dzieci. Niektóre podbiegały do nich, prosząc o monetę. Inne przebrane były za rycerzy i bawiły się, walcząc drewnianymi lancami i tarczami. Zatrzymali się dalej, by pooddychać różnymi zapachami, które unosiły się w powietrzu. Niektóre były słodkie i kuszące, inne pochodziły z palonego drewna czy gotowanego obiadu.

Zapytali jakiegoś szczerbatego chłopaka, o psotnych oczach i pyzatej buzi, gdzie odbywa się turniej. Pokierował ich, przy czym wyjaśnił, że nie jest to turniej, lecz gonitwa rycerska.

– Czy wiesz, na czym polega różnica? – zapytał Marcos Diega parę kroków dalej.

– Na turnieju rycerze walczą bez prawdziwej broni, ale tak jak na wojnie, dopóki jedna drużyna nie pokona drugiej. Zwycięzca zbiera łupy. W gonitwie natomiast stają naprzeciw siebie po dwóch na dwóch.

Mają na sobie ciężkie zbroje i tarcze do obrony oraz długie drewniane piki, którymi starają się wypchnąć rywala z siodła. Na środku areny, gdzie walczą, zwykle znajduje się płotek, który oddziela pola zawodników i jest miejscem ich gwałtownych zderzeń.

– A wszystko to, jak sędzę, by zyskać w nagrodę serce i wdzięki jakiejś pięknej niewiasty...

Marcos zaczął rozglądać się wśród obecnych za tą, która swą urodą zasługiwałaby na tytuł damy, patronki całej imprezy. Dojrzał jedną, bardzo urodziwą, o jasnych włosach i miłym obliczu. Gdy przechodził obok niej, począł prawić jej komplementy.

– Goniwcy rycerskie to walki honorowe, które służą ćwiczeniu rycerzy i doskonaleniu ich umiejętności bojowych – tłumaczył dalej Diego. – Wystawiają też na próbę ich odwagę i zręczność.

Gdy skręcili za róg, wpadli na trzech mężczyzn. Dwóch z nich zdało się eskortować trzeciego, strojnego w bogate szaty. Twarze mieli zasłonięte hełmami i popchnęli Marcosa tak gwałtownie, że upadł na ziemię. Diego zdołał wyminąć ich w porę.

– Przejście dla mego pana, nędzne chudopachołki.

– Za kogoż się macie, by mówić do nas w ten sposób? – Diego stanął przed nimi urażony w swej dumie. Zobaczył, jak jeden dobywa miecza, i poczuł jego ostrze na swojej szyi.

– A ty, bezmyślny głupcze? – zadudnił groźnie odbijający się w metalowej puszcze głos.

– Nazywam się Diego z Malagón, jestem nieuzbrojony i grozi mi ręka tchórza.

Eskortowany mężczyzna podniósł hełm i spojrzał na Diega z uznaniem. Odrzucił włosy do tyłu, z wyraźnym ożywieniem podrapał się po głowie i nakazał opuścić miecz swemu giermkowi.

– Cenię odwagę u mężczyzny, a młodzieńcze, właśnie okazaliście jej sporo. – Otoczył ich tłumek ciekawskich. – Wybaczcie memu giermkowi. Nazywam się Luis, Luis z Azagry. Przybywam wziąć udział w goniwach rycerskich.

Uścisnął mu dłoń i zapytał o powód jego pobytu w Olite.

– Przybywam na wezwanie królewskiego chorążego, Gómeza Garceiza.

– A czym się zajmujecie?

Jechali dość pochyłą, wyłożoną kocimi łbami ulicą, na końcu której otwierał się rozległy plac. Rozstawione tam było ogrodzenie, widownia i arena, wokół namioty drużyn i stajnie.

– Uczę się na weterynarza, a właściwie uzdrowiciela koni...

– Uzdrowiciel koni...? Ja mieszkam w Albarracin, choć jestem z Nawarry. Tam takich, co uprawiają twój fach, zwie się *mariscales*, a niegdyś *veterinarius*, choć ten ostatni termin popadł już w niełaskę. Wiedziałaś o tym?

Dojechali do placu. Co też się tam działo! Diego był zadziwiony. Wielu mężczyzn z młotkami w rękach przybijało ławki do widowni. Chłopcy, którzy wspięli się na wysokie słupy, zawieszali na nich herby miast. Kobiety przystrajały łożę honorową kwiecistymi kobiercami. Na arenie tuzin mężczyzn rozładowywało taczki z czystym piaskiem, by wyrównać podłoże, po którym miały biegać konie.

Po drugiej stronie placu grupa chłopaków urządziła sobie wyścigi w workach, inni grali w kule. Koło nich rozprawiwały kobiety, zawzięcie plotkując ze sprzedawcą na rozstawionym naprędce bazaru.

Nie omieszkawszy przysłuchać się rozmowie, Diego starał się znaleźć wśród namiotów ten, na którym lśnił herb chorążego. Jak mu mówiono, miał przedstawiać dwa dziki wsparte na stojącym pośrodku dębnie na czerwonym tle.

Pozostawił swego towarzysza z tyłu, jako że don Luis witał się z kimś. Uzgodnili, że porozmawiają jeszcze później. Diego wraz z Marcossem ruszyli dalej, do miejsc, gdzie wznosiły się rozpostarte płótna. Tam też byli rycerze. Naliczyli ich ze dwudziestu, rozstawionych po obu stronach głównej alei, w cieniu drzew. Wokół nich wszystko tętniło życiem.

W pierwszym namiocie dwóch paziów polerowało zbroję, w drugim kilka kobiet czesało grzywę pięknego konia. Parę namiotów dalej spocyny młodzieniaszek pucował zbroję ogromnego mężczyzny. Uwagę ich zwrócił też zielony namiot, z którego wyszedł staruszek w żelaznych rękawicach i bawełnianą szmatką polerował wspianiały hełm.

Znajdowali się w połowie drogi, gdy z pewnego namiotu wyszła przepiękna dama. Choć twarz miała zakrytą welonem, Diego zdołał dojrzeć jej rysy. Nie wiedzieć czemu, coś w nim się poruszyło, jakby

czas, życie, wszystko zatrzymało się, kiedy ustępowali z drogi tej kobiecie.

Minęli się. Wyglądała na zamyśloną.

Przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały. Przez tiul Diego ujrzał obraz nieskończonego piękna, delikatny nos, proporcjonalne i urzekające rysy. Policzki jej były jędrne i zaróżowione, cera gładka i jedwabista. Długie złote włosy opadały na przepiękną niebiesko-turkusową suknię.

– Witajcie serdecznie, weterynarzu Diego... – Znajomy głos wyrwał go z zachwyty i musiał popatrzeć przed siebie.

Należał do giermka Gómeza Garceiza.

Diego uściśnął mu dłoń i przedstawił Marcosa.

– Dziękuję za uprzejmość, ale nie jestem jeszcze weterynarzem, dopiero uczniem, brakuje mi jeszcze sporo wiedzy i doświadczenia...

– Nie bądźcie tacy skromni i chodźcie ze mną. Przedstawię was memu panu. – Diego odwrócił się za siebie, żeby spojrzeć na kobietę, ale ta już znikła.

Poszli aż do ostatniego namiotu i giermek zaprosił obu do środka. Przywitał ich mężczyzna słusznej postury, w średnim wieku, o krótkiej, lecz gęstej brodzie. Usiadł na krześle i nakazał im zrobić to samo.

– Giermek mój wyrażał się w bardzo dobrych słowach o tobie. Mówi, że do leczenia koni masz rękę szczególną i że do tego jeszcze je rozumiesz. Prawda to?

– Większą część dzieciństwa spędziłem z końmi. Obserwowałem je. Pewnie dlatego nauczyłem się ich reakcji, tego, jak porozumiewają się ze sobą, a czasem nawet wiedziałem, co im dolega.

Mężczyzna wydawał się niespokojny.

– Jak wiesz, jutro odbędą się gonitwy, a ja jestem jednym z uczestników. Przeciwnikiem moim będzie García Romeu. Czy mówi ci coś to imię?

– Przykro powiedzieć, ale nie.

– To rycerz aragoński, chorąży jak ja. Tylko że on – młodego króla Pedra II, ja zaś Sanchy VII. Przyjechał do nas na kilka dni z wizytą dyplomatyczną, a gdy usłyszał o zawodach, zapragnął się ze mną zmierzyć. I na tym polega kłopot...

- Wybaczcie, lecz nie rozumiem.
- Chodźmy do koni, to zrozumiesz.

Wyszli z namiotu przez tylne wyjście. Była tam zagroda, a w niej sześć koni. Kilku piechurów wraz z jego giermkim usiłowało pochwycić jednego kasztanka, by nałożyć mu uzdę. Zwierzę, rozwścieczone, wychodziło z siebie.

– Pamiętasz tego? – wskazał mu innego, bułanego o wiśniowym odcieniu. Na grzbiecie zwierzę miało plamę o zmienionej barwie.

– To ten od figi, prawda?

– Wyleczony, jak kazałeś, i nigdy więcej nie pojawiła się już następna ani nie odnowiła się tamta. To pewnie jego wystawię jutro, choć nie zamierzałem...

Założył gruby pas na swój kubrak, na którym wyhaftowany był jego herb. Żwawo przeskoczył ogrodzenie, a oni za nim. Choć szli do operowanego konia, Diego nie spuszczał z oka innego, kasztanka.

– Jakich zdolności oczekujecie od konia, który ma stanąć do gonitwy rycerskiej? – Diego przekonał się, że rana ładnie się zabiłniła.

– Pod względem fizycznym musi być szybki i mieć silne tylne kopyta, by był zdolny do nagłego zrywu i zatrzymania. Ale jeszcze ważniejszy jest jego charakter. Potrzeba mi konia zrównoważonego, twardego i zdecydowanego, który nie rozmyśli się w połowie szarzy. Niezależnie od tego, jak zręczny by był rycerz z kopytami, jeśli nie czuje, że koń jest jego częścią i że razem stają się jednością, z całą pewnością zostanie pokonany.

Diego przyjrzał się koniowi, którego operował. Wydał mu się stworzeniem strachliwym i wobec tego mało przydatnym do walki.

– Rzekliście, że nie jest to koń najlepszy. Dlaczego zatem wybraliście jego?

– Miałem wziąć Centuriona. To koń urodzony do gonitw... Ale od paru tygodni szaleje. Dlatego posłałem po ciebie. Spójrz tylko na niego!

Dopiero co założono mu uzdę i zwierzę, rozszalałe, stało na dwóch nogach, unosząc jednego z chłopców. Młodzieniec uczepiony jego uprzęży latał na wszystkie strony. Pozostali uciekli i przeskoczyli za barierkę. Gdy opadł z powrotem na ziemię, zaczął wierzgać, gdzie popadnie.

– Nigdy taki nie był. Wcześniej był odważny, lecz posłuszny. Zawsze robił, co mu się kazało. Chciałbym, abyś rzucił na niego okiem.

Diego podrapał się w głowę i wziął głęboki wdech. Czuł się zaszczycony, że postawiono przed nim tak poważne zadanie.

Przeskoczył ogrodzenie i najpierw podszedł do innych koni. Nie wydawały się zaniepokojone jego obecnością. Przywitał je jak zwykle, obwąchując ich pyski, i zaczął rozmawiać z każdym po kolei, żeby się do nich zbliżyć. Temu, który wydał mu się najbardziej energiczny, dał klapsa w zad. Resztę poganiał, poklepując dłonią po żebrach. Jeden po drugim zdawały się mu podporządkowywać. Gdy nadeszła kolej na ostatniego, zobaczył, że wszystkie już uważają go za przewodnika stada.

Spojrzał na Centuriona. Stał w przeciwległym narożniku zagrody. On też na niego patrzył, ale z dumnie podniesionym łbem, ze wzbierającą agresją.

Diego postanowił wmieszać się w stado, żeby do niego dotrzeć. Wysunął na przód najłagodniejsze konie. Schowany pomiędzy nimi, po chwili bez trudu znalazł się obok Centuriona. Całe stado chodziło już za nim krok w krok. Zrobił parę okrążeń po zagrodzie, nie spuszczać ogiera z oka. Obserwował jego reakcje, każdy najdrobniejszy ich szczegół. Widział, jak strzyże uszami, jak napina wargi, jak stąpa, jak oddycha, wszystko. I zaraz powziął pewne podejrzenie.

Zatrzymał pochód i skierował się ku niemu, szepcząc do niego coś, co brzmiało jak język arabski. Koń od razu nadstawił uszu. Nie wyglądał na poruszonego. Diego powoli przejechał ręką po jego szyi, aż upewnił się, że się na to zgadza. Pieścił go wciąż, aż dotarł do łba, który też zbadał. Gdy doszedł do prawego ucha, znalazł guz. Ścisnął go lekko. Koń zareagował bólem i strachem. Przysunął się blisko, jak tylko mógł, do jego ucha. Zdołał usłyszeć cichutkie brzęczenie. Centurion zarżał poruszony.

- Przynieście mi dobrze zaostrzony nóż i dzbanuszek oliwy.
- Gómez Garceiz przekazał polecenie jednemu ze swych paziów.
- Co znalazłeś?
- Gzy zalęgły mu się pod skórą.
- Gzy? Jak to możliwe.
- Przez niewielką ranę. Przyciąga je krew i wydzielające się soki.

Składają tam jaja. Potem, gdy rana już się zamyka, larwy rozwijają się, aż gdy w końcu dorosną, usiłują się wydostać, którędy się da. W jego przypadku wybrały ucho.

– A więc tym wytłumaczyć można jego zachowanie... – powiedział zaintrygowany chorąży.

– Ich brzęczenie doprowadza konia do szaleństwa.

Chłopiec podszedł i dał mu to, o co prosił.

Diego przytrzymał konia za wędzidło i zręcznym ruchem naciął skórę wokół guza. Centuriona to rozdrażniło, ale Diego zdołał uspokoić go na nowo. Otworzył ranę, unosząc naciętą skórę. Znalazł torbiel pełną muszych zarodków. Wydobył ją w całości i rzucił na ziemię. Gdy pękła, wyleciało wiele gzów. Sprawdził, czy wewnątrz rany nie został żaden owad ani jajo, i zostawił ją otwartą. Potem, by utopić gzy, które mogły zostać w środku, wlał mu do ucha strużkę oliwy, po czym poldrapał go po wargach.

Wyglądało na to, że koń natychmiast poczuł ulgę, chociaż potrząsał jeszcze łbem, zaniepokojony obecnością płynu w swoim uchu. Jednak oczy jego zabłyśły jak dawniej.

Gómez Garceiz był zachwycony.

Zaczął wychwalać Diega pod niebiosa, zwłaszcza gdy okazało się, że Centurion będzie mógł wziąć udział w gonitwie.

– Posłałem po ciebie, zachęcony tym, co o tobie usłyszałem, jak również dlatego, że nie ufam kowalom i innym, którzy zwą siebie uzdrowicielami zwierząt. O weterynarzach zaś nie mam złego zdania. Teraz uważam, że była to dobra decyzja. Cieszę się, że ją podjąłem.

Diego przeskoczył barierkę i umył ręce w glinianej misce.

– My też cieszymy się z przyjazdu. Za długo siedzieliśmy już zamknięci w klasztorze.

– Szkoda, że nie zostaniecie dłużej...

– Nie rozumiem.

– Podczas swego pobytu w Marrakeszu król nasz poznał wielu weterynarzy, przekonał się o wadze waszego fachu i zrozumiał, że władacie wiedzą, która znacznie przewyższa tę, która panuje powszechnie w naszych królestwach. Z tego też powodu starał się ściągnąć jakiegoś z twych kolegów po fachu, by zajęli się naszymi stajniami, lecz okazało się to niełatwe. Napięcie na tle religijnym, niemal wojenne, które istnieje

między obiema kulturami, stanowi barierę nie do pokonania dla tych, którzy chcieliby osiąść na chrześcijańskich ziemiach. Dlatego też, gdy dowiedziałem się, że jesteś weterynarzem, postanowiłem spróbować cię ściągnąć.

Centurion podszedł do swego pana i obwąchał go. Gómez Garceiza, uradowany, podrapał go po brodzie.

– Ciężko było przekonać waszych mnichów. Wzywałem cię już wcześniej, ale wciąż mi odmawiali. Sądzę, że o tym nie wiesz, ale podanie w twojej sprawie musiał podpisać sam król Sancho VII, na moją prośbę. Klasztor nie mógł dłużej już cię skrywać i dlatego tu jesteś. Teraz przejdźcie się. Odpocznijcie trochę, obejrzyjcie festyn... Tego wieczoru odbędzie się wspaniała uczta na cześć naszego króla, Sanchy. Wcześniej ogłoszone zostaną zasady gonitwy rycerskiej. Zachęcam was do przybycia. Spodoba się wam.

– Czy król przybędzie na gonitwy?

– On sam będzie im przewodniczył. Jeśli nigdy go nie widzieliście, zapewniam was, że będziecie oczarowani.

VIII

Krzyczał z całych sił, a jego głos wciąż brzmiał tak samo donośnie.

Był to herold, odpowiedzialny za etykietę podczas gonitw rycerskich i turniejów. Postać dobrze rozpoznawalna przez swój rzucający się w oczy strój, powłóczystą sukmanę z herbem i opadającymi szerokimi rękawami. Jego zadaniem było stać na straży reguł gry i rejestrować na piśmie każde zdarzenie, no i, rzecz jasna, wynik potyczki.

Diego i Marcos słuchali, jak ogłasza porządek, w którym miały się odbywać gonitwy następnego dnia. Stał na podwyższeniu, po prawej stronie trybuny, na której zasiadały władze religijne i możni.

Przedtem byli świadkami wspaniałego pokazu sokolnictwa przy udziale sześciu sokołów.

Zachwycali się ich powietrznymi piruetami, widowiskowymi i szybkimi lotami, gdy łapały w locie zdobycze, które rzucali im pachołkowie. Trzepot skrzydeł, piski ptaków chwytających swe ofiary, krzyki i brawa widzów. Sam fakt uczestniczenia w tym wszystkim stanowił prawdziwą przyjemność dla zmysłów, zwłaszcza że chłopcy widzieli taki spektakl po raz pierwszy.

Gdy zapadała noc, Diego i Marcos spacerowali po placu, napawając się podniosłą atmosferą, jaka tam panowała.

– A ten za co się przebrał?

Diego mówił zbyt podniesionym głosem i ten, którego wskazał, usłyszał go. Miał na sobie ubiór pełen kolorowych łat i ogoniastą czapkę z dzwoneczkami na końcach.

– Jestem błaznem – odpowiedział piskliwym głosem.

Trzema susami znalazł się na wprost Diega i złożył mu komiczny ukłon.

– Rozśmieszam kobiety i sprawiam, że mężczyźni mają o czym rozmawiać, bo ze mną one bawią się lepiej niż z nimi. – Zaśmiał się gromko i zebrał brawa za dowcip od gawiedzi.

Marcos usiłował mu uciec, jak uczynił to Diego, ale nie zdołał.

– Podobacie mi się, dam wam zagadkę... Niechaj usłyszają ją wszyscy! – Człowieczek skakał bez ustanku, osaczając go.

W jednej ręce trzymał drewnianą łaskę, na której końcu wyrzeźbiona była twarz błazna takiego jak on. – Lata temu podpisałem tajemny pakt z elfami. Temu, kto zagadkę mą rozwikła, zapewnię one magiczną noc miłości i rozkoszy. Ale podpisałem też inny pakt, z czarnymi leśnymi trollami, którego moc ziści się, gdy zagadki nie rozwiąże...

– A na czym polega ten drugi?! – krzyknęła starsza kobieta o czerwonych policzkach, uśmiechnięta szeroko.

– Jakież to nieszczęście go spotka? – zapytała jakaś młoda dziewczyna.

– Długa choroba brzucha, która potrwa cały tydzień. – Zatkanął nos, robiąc przesadne miny, którymi wywołał ogólne rozbawienie.

– Nie chcę w to grać – odmówił Marcos, ale naraz pośród publiczności ujrzał tamtą jasnowłosą kobietę, która zainteresowała go rankiem. Trefniś, bystry jak ryś, odgadł jego myśli.

– Zastanówcie się dobrze... Mówię o namiętnej nocy... Wyobrażacie to sobie? – puścił do niego oko.

Marcos spojrział dziewczynie w oczy. Spłonęła rumieńcem. Jego zainteresowanie wyraźnie jej pochlebiło.

– Niech będzie, mówcie. – Tłumek gapiów zawiwatował i rozległy się oklaski. Diego stanął z boku, uśmiechając się.

Błazen potrząsnął głową, dzwoniąc dzwoneczkami, jakby w ten sposób miało go najść natchnienie.

– Mój dom nie jest cichy ani ja nie robię hałasu. Pan nakazał, byśmy chodzili razem. Jestem szybszy niż mój dom, czasem silniejszy, ale on pracuje więcej. Niekiedy odpoczywam, ale on jest niestrudzony. W nim mieszkam, dopóki żyć będzie, jeśli nas rozłączą, losem moim będzie śmierć. – Rozłożył ręce w pytającym geście. – O czym mówię?

Marcos zaczął rozmyślać. Kazał mu dwa razy powtórzyć. Potem podrapał się w głowę, spuścił wzrok i zakrył oczy, by oddzielić się od otoczenia. Martwiło go, że może się pomylić, poza tym czuł presję zgromadzonych tam gapiów. Odszukał w tłumie dziewczynę i poczuł rozkosz, widząc jej obiecujące spojrzenie. Nagle przyszła mu do głowy możliwa odpowiedź. Przemysłał ją na nowo, zanim się odezwał. Pasowała, chociaż równie dobrze mogła to być jakakolwiek inna rzecz.

– Chodzi o rybę, o rybę w rzece. Nie może żyć poza wodą, gdy ze chce, może być szybsza od jej nurtu, a on jest niestrudzony...

Błazen zrobił salto w powietrzu i zaklaskał z szaloną radością.

Marcos odszukał wzrokiem dziewczynę. Obdarzyła go szerokim uśmiechem.

– Zwyciężyliście. Udało się! – Wyginał się i podskakiwał niewiarygodnie szybko. – Elfy odnajdą was tej nocy i spełnią umowę... Zdrowia i dużo szczęścia, młodzieńcze!

Odepchnął go, by ruszyć do zabawy z kimś innym. Diego złapał Marcosa, zaczął żartować i gratulować mu sukcesu. Nie był jednak w stanie nie czuć szczerzej zazdrości. Widział, jak patrzyli na siebie z taką piękną blondynką, a on sam nie był zdolny do czegoś podobnego. Zwykle był onieśmielony i niezręczny w kontaktach z kobietami, a może po prostu oczekiwał czegoś innego.

Parę kroków dalej zatrzymali się, by przyjrzeć się popisom sztukmistrzów. Żonglowali kolorowymi kulami, wciąż fikając kozły. Jeden wziął drugiego na barana i bez pośpiechu łapał jego rzutki. Potem zamienili je na płonące pochodnie, których wkrótce aż sześć wirowało w powietrzu.

Następnie podeszli do wielkiego ognia. Piekły się tam dwa prosiaki, a obok, na drugim ruszcie, tuzin kaczek. Na widok tych przysmaków poczuli ogromny apetyt.

Gdy tak krążyli, uśmiechnięta kobieta o obfitych kształtach podeszła do nich, trzymając sześć glinianych dzbanków.

– Jak to może być, żeby tak przystojni chłopcy nie znali jeszcze mego wina? – Wzięli po dzbanku. – Wypijcie i powiedzcie mi, czy próbowaliście kiedy w życiu czegoś lepszego tylko za jednego solda?

Wypili wino, dość podłe, i poszli do wielkiego białego namiotu, gdzie miała się odbyć kolacja. Przy wejściu dwóch mężczyzn spytało

ich o nazwiska, które sprawdzili na pergaminie, i po chwili wpuścili ich bez kłopotu.

W środku stały cztery długie stoły ustawione w prostokąt i jeden mniejszy, z pewnością przeznaczony dla króla i jego dworu. Ponieważ ponad połowa ław była już zajęta, siedli na skraju jednej z nich.

Gdy tylko Diego usiadł, zobaczył ją. Siedziała o dwa stoły od niego. Ona też go zauważyła, ale natychmiast spuściła wzrok. Z jakiegoś tajemniczego powodu ta kobieta, o jasnych włosach i niebieskich oczach, zawładnęła nim kompletnie, choć nie wiedział o niej zupełnie nic.

Marcos coś mówił, ale on nie słuchał. Nie mógł przestać na nią patrzeć ani ukryć swojego zainteresowania. Starał się, by nie umknął mu ani jeden jej gest, wyraz twarzy. W końcu zaczęło to męczyć jego współbiesiadnika.

– Chyba będę musiał się przesiąść – gderał Marcos.

Diego próbował się tłumaczyć.

– Rozumiem, że to piękność, ale nie ograniczaj się do jednej tylko kobiety. Spójrz, ile ich tu jest! – Puścił oko do swojej blondynki. Siedziała niedaleko nich.

– Chciałbym dowiedzieć się, kim ona jest... – Oparł łokieć na stole i znów zatopił swe spojrzenie w przedudnej damie.

Wkrótce zabrzmiały trąby, które zwróciły uwagę zebranych. Następnie herold obwieścił donośnym głosem przybycie króla Nawarry. Wszyscy powstali, by go zobaczyć. Pojawił się liczny orszak, w którym Diego dojrzał chorążego Gómeza Garceiza. Pelen ciekawości, spytał sąsiada, który to król.

– Spójrzcie ku górze, a wszystko stanie się jasne – zaśmiał się.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, po chwili jednak zauważył wystającą z grupy postać o kręconych włosach i poważnym, surowym obliczu. Musiał mierzyć od dziesięciu do dwunastu łokci. Przewyższał wszystkich o dwie głowy. Jego szaty były wspaniałe, czerwony płaszcz zdobił pośrodku czarny orzeł – znak Królestwa Nawarry.

Gdy zasiedli na swych honorowych miejscach, zagrały flety i liry. Od razu zaczęły też krążyć pierwsze półmiski z pieczonym prosięciem i ogromne gliniane misy z warzywami.

Cztery dzbany wina, które wypił Marcos, obudziły jego artystyczną

duszę. Raptem wszedł na stół i zaczął chodzić po nim, gestykulować i opowiadać wszystkim jakąś zmyśloną historię. Musiała bardzo zaciekawić obecnych, bo nie tylko przyciągnęła ich uwagę, ale wywołała też śmiechy i bezmiar wesołych komentarzy.

Diego postanowił opuścić tę cizbę i zająć się damą.

- Czy jesteście tutejszy? – zapytał sąsiada na ławie obok.
- Mieszkam w mieście Sangüesa.
- Jestem bardzo ciekaw jednej rzeczy, ale nie wiem, czy wy...
- Chcielibyście znać imię tej kobiety, prawda?

Diego zmieszał się.

– Ani przez chwilę nie przestaliście na nią patrzeć... – wytłumaczył.

- Racja.
- Znam ją.
- Powiedzcie mi, kim ona jest. – Paliła go ciekawość.
- Skąd jesteście?
- Z okolic Toledo.

– Teraz rozumiem, chłopie... – klepnął w stół dłonią... ale o niej już możesz zapomnieć. Za wysokie progi. Nazywa się Mencía Días de Azagra i jest córką jednego z najpotężniejszych magnatów Nawarry, don Fernanda Ruiza de Azagra, drugiego pana Albarracin.

Diego przypomniał sobie innego Azagrę, którego napotkał, gdy przybył do Olite, i żonę don Diega Lópeza de Haro. Wielki ród, pomyślał sobie.

Azagrowie są bardzo znani w tej okolicy, bo poza Albarracin zarządzają posiadłościami w miastach Daroca, Catalayud, Tudela i Estella. Ich potęga i bogactwo są wprost niewyobrażalne.

Mencía... Diego rozsmakował się w tym imieniu, jakby to był najdoskonalszy smakołyk. Jego sąsiad szybko zorientował się, że jest nieobecny duchem, i zabrał się do świńskiego żeberka, pozostawiając go samemu sobie i nie wypowiadając ani słowa więcej.

Diego ledwie skosztowałjadła, spoglądając na tę damę raz po raz, kiedy tylko głowy współbiesiadników mu na to pozwalały.

W tym czasie Marcos zbliżył się już do swej blondynki i w gwarze śmiechów, sądząc po ożywieniu, jakie malowało się na jej twarzy, musiał

mówić jej rzeczy co najmniej bardzo piękne, jeśli nie pikantne.

Gdy kolacja się skończyła, trubadur o imieniu Giraut de Bornel zaśpiewał o przygodach samego króla Sanchy na wojnach przeciwko Francji. Wychwalał szczególnie pomoc, jakiej udzielił mu jego szwagier, król Anglii, Ryszard Lwie Serce, żonaty z jego siostrą, Berenguełą. Po hiszpańsku i po łacinie trubadur śpiewał o jego męstwie w walce, strachu, który budził w swoich wrogach, i wielkoduszności, z jaką wybaczał pokonanym.

– Czemu wasz król spędził tyle czasu w Marrakeszu?

Sąsiad odwrócił się do niego plecami, nie udzielając odpowiedzi. Wołał rozmawiać z dziewczyną, która uśmiechała się do niego od jakiegoś czasu, niż z tym nudziarzem.

– To sprawy damsko-męskie... – odpowiedział inny, ściszym głosem, jakby chodziło o jakąś tajemnicę wagi państwowej.

– Opowiedzcie mi. Obiecuję dyskrecję.

– Powiadają, że wyruszył tam, by uzyskać od kalifa pomoc finansową i militarną przeciwko Kastylii, gdyż skarbiec jego świecił już pustkami po poprzednich utarczkach. Żołnierzy mu nie dał, ofiarował za to mnóstwo złota. I mówi się, że podczas pobytu w jego pałacach wydarzyło się coś jeszcze...

Mężczyzna zaczął, aż napełnił dzban winem, i zabrał się do obgryzania złocistego i chrupiącego kaczego udka.

– Opowiadajcie dalej, proszę. Zaciekawiliście mnie.

Wypluł na ziemię kostkę i powrócił do tematu, przeżuając resztki kaczki.

– Dowiedział się od kogoś, że córka kalifa zakochana jest w nim do szaleństwa. Zdaje się, że dziewczyna wysłuchała cudów o naszym królu z ust almohadzkiego ambasadora, który parę miesięcy wcześniej powrócił z Nawarry. Księżniczka, podobno przesłiczna, wyidealizowała sobie jego obraz.

– A czy on okazał się dla niej rzeczywiście odpowiedni?

– Podobno przeżyli burzliwy romans, pełen pasji i namiętności. Parę miesięcy po jego przybyciu, kalif Yusuf zmarł. Następcą został jego osiemnastoletni syn, al-Nasir, który również był przychylny ich związkowi. Niektórzy zapewniają wręcz, że ofiarował mu swą siostrę za żonę, bo jego matka też była chrześcijanką, a takie małżeństwo

wzmocniało sojusz przeciwko wspólnemu wrogowi – Kastylii. Inni mówią, że nasz król Sancho oczarowany był dziewczyną do tego stopnia, że dwa lata upłynęły, nim doszedł do siebie.

– Któż nie ugiąłby się przed piękną kobietą? – Diego z goryczą wspomniął Benazir.

– Prawdę rzeczesz, bo nawet wiedząc, że król Kastylii najeżdża Witorię, monarcha nie zareagował i pozostał z nią. Ci, którzy widzieli tę Arabkę, mówią, że uroki jej są wielkie. Dopiero potem, z powodu papieskiej nagany, musiał wrócić, i to bez niej...

Podczas gdy to mówił, Diego spostrzegł, że Mencía rozmawia z kimś, kogo zna: z kawalerem Luisem Azagrą. Ten musiał poczuć na sobie jego spojrzenie, bo dokładnie w tej samej chwili odwrócił głowę. Diego próbował się skryć, ale został natychmiast rozpoznany. Gdy znowu podniósł wzrok, już był przy nim.

– Wybaczcie, jeśli przeszkadzam, ale ujrzawszy was, przypomniałem sobie, że nie dokończyliśmy naszej porannej rozmowy. Może teraz mielibyście chęć ją kontynuować, w towarzystwie dzbana wina i mych kompanów zza stołu? – Diego, trochę zdenerwowany, przyjął zaproszenie, licząc na to, że znajdzie się o wiele bliżej tej kobiety.

Nim odszedł, rozejrzał się za Marcosem, ale go nie znalazł. Musiał być gdzieś ze swoją blondynką.

Po drodze czuł się jak we śnie. Przeszedł ledwie dwadzieścia kroków, ale wydały mu się one dwustoma. Gdy dotarł na miejsce, don Luis przedstawił mu najpierw siedzących najbliżej, aż nadeszła kolej na nią.

– A to moja kuzynka Mencía, Mencía Díaz de Azagra.

– Miło mi was poznać, weterynarzu Diegu. – Podała mu swą wiotką dłoń, a Diego ucałował ją, wstrzymując oddech i chłonąc jej słodki zapach.

– Właściwie... to niezupełnie nim jestem...

Zamilkł, stał niepewny. Ona znów zagaiła:

– Czy kuzyn mój pokazał wam konie, które mają jutro walczyć? Co o nich sądzicie?

– Nie wiem. – Nie czuł się na siłach, by wydusić z siebie więcej niż te dwa słowa. Zaczął czuć się jak głupiec.

– Chodźcie, usiądźcie przy mnie. – Don Luis wskazał mu miejsce niestety daleko od niej. – Muszę was o coś spytać. – Diego przeprosił ją przed odejściem.

– Wybaczcie, ale... mam nadzieję... porozmawiamy jeszcze... – Nie był w stanie dokończyć ani jednego zdania.

– Oczywiście, dlaczego by nie. – Uśmiechnęła się do niego, a na jej policzkach pojawiły się dwa prześliczne dołeczki.

Diego usiadł razem z innymi, ale nie mógł skoncentrować na nich uwagi. Uznał, że była to najpiękniejsza i najdoskonalsza kobieta, jaką poznał w życiu. I poczuł coś nowego. Bardzo silne i głębokie, wstrząsające uczucie.

Czyżby to była miłość?

IX

Tej nocy Marcos nie spał w namiocie. Diego przekonał się o tym, gdy obudził się niespokojny, z wciąż żywymi wspomnieniami minionego wieczoru.

Po kolacji odbył się wspólny pochód z pochodniami, jak to było w zwyczaju w noc poprzedzającą gonitwy rycerskie. Przynajmniej czterysta osób odprowadziło rycerzy do ich namiotów, gdzie spoczywała broń. Spowijała ich chmura dymu powstałego z mieszaniny oleju i spalonej słomy.

Była to najbardziej pożądana przez prosty lud część ceremonii. Dzięki owym przemarszom ludzie mogli zobaczyć z bliska wielkie damy i ich rycerzy, poznać przedstawicieli wysokiego kleru i swoich władców.

Diego przez całą procesję trzymał się blisko Mencii. Nie mógł z nią pomówić, bo otaczała ją rodzina i krewni, ale mógł ją podziwiać, czuć i słyszeć.

– Weterynarzu Diegu! – głos Gómeza Garceiza wyrwał go z rozmyślań i z namiotu. – Mógłbyś raz jeszcze obejrzeć konia? Jeśli uznasz, że jest zdrowy, nakażę przygotować go do gonitwy.

– Już idę.

Diego wyszedł z namiotu do swego amfitriona. Wtem rozległ się gromki głos za ich plecami. Obrócili się, by zobaczyć kto to, a rozpoznawszy go, Gómez Garceiz uśmiechnął się.

– Zaczekaj chwilę, poznasz mojego przeciwnika w gonitwie, oto García Romeu, chorąży króla Aragonu.

Diego spojrział na mężczyznę. Na piersi nosił swój herb, czarnego orła na białym tle, u jego pasa wisiał potężny miecz. Podeszedł do nich i pozdrowił raz jeszcze kolegę z Nawarry, z którym dzielił już stół i rozmawiał poprzedniej nocy. Gómez Garceiz przedstawił Diega jako weterynarza, a ten wyraził się z uznaniem o koniu świeżo przybyłego.

– Masz dobre oko, młodzieńcze, to najwartościowszy egzemplarz, jaki posiadam. – Zdjął żelazną rękawicę i podał mu rękę. – Chciałbym przedstawić ci mojego menescala Giulia Morigattiego. Jest Neapolitańczykiem. Jako że uprawiacie zajęcia dość podobne, być może zechcecie wymienić się jakimś doświadczeniem.

Ów Giulio podeszedł z wymuszonym uśmiechem.

Obydwaj chorąży zaczęli rozmowę i odeszli na bok, zostawiając ich samych. Giulio zwrócił się do Diega z wyczuwalnym łańskim akcentem. Jego głos brzmiał śpiewnie.

– Dziwi mnie, że spotykam weterynarza na chrześcijańskich ziemiach...

Diego zmarszczył czoło, domyślając się intencji jego słów.

– A ja menescala. Sądziłem, że fach ten uprawia się jedynie podczas wojny.

– Wyczuwam pogardę w waszych słowach. Sądzę, że to z powodu waszej ignorancji. – Poprawił kamizelkę. – Zajmuję się dziedziną, która nie jest dostępna dla wszystkich. Jestem pewien, że nie macie nawet pojęcia, jak zacząć...

– Co macie na myśli?

– Staranne i skuteczne zajęcie się końmi z głębokimi ranami od lancy, przeciętymi ścięgnami, czaszkami po uderzeniu maczugą czy zszywanie rozciętych brzuchów... – Diego nie odpowiadał, czekając, aż skończy. – My, menescale, uprawiamy zawód szlachetny. Rزتaczamy opiekę nad wojskowymi końmi jak dawni przedstawiciele czczonego zawodu *veterinarius*, cieszący się wielkim prestiżem w rzymskich legionach. – Diego pomyślał o bracie Servandzie i jego uporze do nazywania go czasem w ten sposób. – Krótko mówiąc, stanowimy część wojska i odpowiedzialni jesteśmy za jedną z najpotężniejszych jego broni: konnicę.

– Przecież konie nie są bronią...

– Ależ są. Powiedźcie mi tylko o którymś ze wspaniałych koni, którego historia pamięta do dziś, a zobaczycie, że wszystkie brały udział w sławnych bitwach, kierowane przez swych właścicieli, też oczywiście wielkich wojowników. Na przykład Bucefał, koń Aleksandra Wielkiego. Okaz przybyły z Tesalii, czarny agat, o niezwyklej urodzie, silny w boju. A co powiecie mi o Hannibalu? Strategos, inny okaz z greckiej Tesalii, na którym przemierzył Alpy, ponoć niespokojny i porywczy, też czarny. Któż zapomniałby o Athee, koniu króla Agamemnona w wojnie trojańskiej, czy o Genitorze, słynnym wierzchowcu Juliusza Cezara...

– Dla mnie koń jest czymś więcej. To poezja, to wierność – odparł Diego. – A że was, jak widzę, pasjonuje historia... – Giulio wyprostował się dumnie w sposób typowy dla żołnierzy – przytoczę wam przykład innego rumaka, też sławnego, lecz nie przez jego wojenny charakter. Z pewnością słyszeliście o Pegazie, skrzydlatym koniu Zeusa. Krzyżówka krwi perskiej i tesalskiej, biały. Wyhodowany u podnóżu samego Olimpu, mówi się, że był najszybszym koniem na ziemi i mknął jak wiatr.

– Nigdy nie istniał. Opowiadacie mi legendę, mit.

– A Lazlo? Mówi to wam coś?

– Nigdy nie słyszałem tego imienia.

– To pierwszy koń proroka Mahometa. – Słyszac tę wzmiankę, Giulio zmarszczył brew. – Syn pustyni, z którym prorok odbył pierwszą swą podróż do Mekki, ukochał go i uszanował jako najdoskonalsze ze wszystkich stworzeń. Tak święty był ten koń, że zdołał sprawić, by diabeł nigdy nie ośmielił się zbliżyć do namiotu, w którym przebywać będzie koń jego rasy – arab.

Neapolitańczyk poczuł się obrażony do tego stopnia przykładem, dla niego niemal heretyckim, że twarz jego zapłonęła gniewem.

– Parszywi weterynarze! Syny islamu. Teraz wiem już dobrze, co z was za gagatki... Zostańcie z waszymi Maurami i módlcie się z nimi. Przy okazji poproście waszego Allaha, żeby dał wam też nieco nauki, a nie tylko poezji.

Głos Garcii Romeu położył kres rozmowie, ale Włoch przed odejściem rzucić musiał jeszcze jedną groźbę.

– Mam nadzieję któregoś dnia się z wami zmierzyć... a gdy to się stanie, przekonacie się o swojej lichej wiedzy, która idzie w parze z cuchnącą mauryjską spuścizną.

Po oględzinach i sprawdzeniu gotowości Centuriona, konia Gómeza Garceiza, Diego wrócił do namiotu. Zabierał się właśnie do przeglądu narzędzi, które pozostawiono do jego dyspozycji, gdy zjawił się Marcos, uśmiechnięty od ucha do ucha. Jego oczy zdradzały długą, bezsenność.

– Szukałem cię w kilku stogach siana. – Diego powstrzymywał się od śmiechu, czując intensywną woń damskich perfum.

– Wiesz, co jest najlepsze w Bernardzie?

– To zapewne owa blondynka...

– To panna na wydaniu, słodka jak miód, i do tego mieszka w wiosce Corella, zaledwie o trzy mile od klasztoru...! – Jego oczy rozblęskły szczęściem, że będzie mógł wrócić do dziewczyny zawsze, kiedy zażądacie.

Pożartowali chwilę na temat jego nocnej przygody, Diego zaś opowiedział mu, czego dowiedział się o Mencii, wdychając za każdym razem, gdy mówił o którymś z jej wdzięków.

Uciszyły go w końcu trzy długie trąby, sygnał rozpoczęcia gonitw. Zaniepokojony, w popłochu zaczął kompletować potrzebny sprzęt.

W dwóch drewnianych skrzynkach znalazł wiele noży i scyzoryków różnych rozmiarów, metalowe szczotki, dwa wielkie imadła i piłę do kości, a także lancetnik, a do niego trzy lancety. Był tam też drewniany *acial* do unieruchamiania koni. Diego nienawidził tego urządzenia, które wykrzywiało pysk zwierzęcia z powodu nieznośnego bólu, jaki powodowało. W innej skrzynce znalazł jedwabną nić i igły do szycia. Na koniec wziął jeszcze mały młotek i ostrą cieślicę.

Gdy już wszystko zebrał, zostawił Marcosa w namiocie, a sam ruszył na poszukiwanie Gómeza Garceiza. Powiedziano mu, że jest przy koniach. Gdy wszedł do zagrody, zobaczył go u boku Centuriona. Cichutko mówił mu coś do ucha, a koń rżał z zadowolenia.

– Wczoraj słyszałem, że spośród sześciu par rycerzy wy walczyć

będziecie na końcu. Gdzie mam być, gdybyście mnie potrzebowali? – Diego wszedł właściwie tylko po to, żeby się pokazać.

– Będziesz stał na arenie. Zobaczysz tam dwa małe namioty koloru niebieskiego dla służb pierwszej pomocy. Tam masz być, razem z giermkami i menescalami. – Wziął do rąk zbroję i zaczął ją zakładać. – Pomóż mi zapiąć, proszę.

Diego zdumiał się jej grubością. Pod spodem rycerz miał bawełnianą tunikę w barwach herbu. Na hełmie zaś dwa żelazne dziki szczyrzyły długie kły. Zostawił go, by dokończył się szykować, a sam poszedł na południowy skraj areny. Gdy minął kontrolę przy wejściu, zatrzymał się, oczarowany fantastycznym przedstawieniem, które rozgrywało się przed jego oczyma.

Rozentuzjasmowana publiczność zapełniła całe trybuny. Oszacował, że musi tu być ponad dwa tysiące ludzi. W tej chwili oklaskiwano w zachwycie popisy trzech kuglarzy, zachęcając ich do jeszcze bardziej niebezpiecznych sztuczek. Na samym środku stał stopień ozdobiony pięknym sukniem, na którym zawieszono były ostrogi walczących, umieszczone tam w dowód ich odwagi do końca pojedynków.

Wokół falowało istne morze sztandarów z herbem Królestwa Nawarry i miasteczka Olite. Diego chłonał wszystko łakomie, nie mogąc wyjść z podziwu.

Gdy dotarł na przeznaczone dla niego miejsce, tłum uciszył gromki dźwięk dwudziestu dud. Dochodził z ulic miasteczka i odprowadzał damy, które nadchodziły w pochodzie razem z sędziami i służącymi, a wraz z nimi i sam król.

Wszedłszy na arenę, orszak zatoczył koło, pozdrawiając lud, po czym zajął miejsca w łoży. Jedna z dam dworu zrobiła jeszcze dodatkowe okrążenie na swym rumaku przy wiwacie zebranych. Następnie odeszli na trybunę honorową, by przewodniczyć gonitwom. Po trzykroć zabrzmiała trąba i wszyscy umilkli. Głos zabrał król.

– Rozpocząć gonitwy rycerskie!

Ogłuszający wrzask rozległ się po jego słowach. Teraz, wedle porządku, wejść mieli uczestnicy.

Każdy z dwunastu rycerzy przedefilował na swym koniu, w asyście paziów i giermków, strojnych w barwy herbowe swego pana.

Diego, w zachwycie, pochłaniał wszystko. Dojrzał Marcosa na widowni, wśród publiczności, siedzącego u boku swej zdobyczy, śmiejącego się w głos.

Wypatrywał też Mencii, ale bez skutku. Zdziwiło go, że jej nie widzi, nawet kiedy pojawił się jej kuzyn.

Gdy zakończyła się ceremonia prezentacji, przeciągłe bicie w werbel dało znak do rozpoczęcia pierwszej gonitwy. Pierwsi zawodnicy ruszyli w stronę sędziów, by zyskać ich aprobatę.

– Weterynarze...

Takie powitanie, wypowiedziane pogardliwym tonem, nie mogło pochodzić z ust nikogo innego. Nadszedł Giulio Morigatti.

– Menescale... – przytomnie odparł Diego.

Wraz z Neapolitańczykiem pojawiło się jeszcze trzech kowali i jeden menescal. Wszyscy gotowi byli do zajmowania się końmi swoich panów.

Publiczność po trzykroć zawołała imię kobiety, która przewodniczyła gonitwom, doñi Blanki, infantki Królestwa Nawarry. Wychodząc naprzeciw życzeniu publiczności, kobieta powstała ze swej ukwieconej trybuny po prawicy sędziów. Jeden z sędziów zszedł na arenę, by pomówić z zawodnikami. Zgodnie z panującymi zasadami dokonał przeglądu ich broni, rozdzielił pozycje rezerwowe i nakazał przysiąc uczciwą walkę.

Zakończywszy tę procedurę, powrócił na swoje miejsce i polecił im przyjąć pozycje, by dać w końcu sygnał do natarcia.

Tak też się stało.

Zapadła pełna szacunku cisza. Słyszeć było tylko rzenie koni, a potem ogłuszający tętent ich kopyt i dzwonienie ostróg. Bił w oczy oślepiający blask zbroi. Diego widział, jak nabierają prędkości, jak lance opadają, aż znalazły się na linii piersi przeciwników. Wstrzymane oddechy, całkowita koncentracja, żadnego dopingu dla wojowników.

– Zwycięży ten w czarnym – powiedział ktoś obok. Diego nawet się nie odwrócił. Nie chciał stracić z oczu momentu starcia.

Rycerz trzymał swą kopię gotową do uderzenia. Rozległ się trzask łamanego drewna. Jego przeciwnik zwałił się na ziemię. Koń, wolny, pobiegł kłusem przed siebie, aż pojмали go piechurzy.

Diego zwrócił się do nieznanego sąsiada i spytał go, jak odgadł, kto zostanie zwycięzcą.

– To mój kuzyn. – Zdjął kaptur i ukazały się długie, jasne włosy i twarz Mencí. Diego uśmiechnął się na jej widok.

– Przebieracie się za pazia i znacie się na gonitwach rycerskich. Zdumiewacie mnie.

– Lubię ryzyko. Gdybym tylko mogła, sama wzięłabym udział w tych zawodach. – Uśmiechnęła się tak czarująco, że Diego zapragnął umrzeć u jej boku. – A na pytanie wasze odpowiem, że kuzyn mój lepiej trzymał lancę. Człowiek, broń i koń stanowiły jedność. Temu szturmowi nikt nie mógł się oprzeć.

– A gdyby was rozpoznano?

– Możemy mieć pecha, lepiej więc zamilknijcie. Jeśli dalej będziemy gadać, odkryją mnie niechybnie. – Z powrotem okryła się kapturem i w milczeniu oglądała kolejne starcia. Nie były już tak krótkie, a zwycięstwa w nich tak oczywiste. Gdy w jakiejś gonitwie nie doszło do zrzucenia z konia żadnego z walczących, sędziowie ogłaszali wynik na podstawie liczby skruszonych kopii.

Co najmniej trzy oznaczały zwycięstwo. Mencía wytłumaczyła mu, czemu publiczność nie wiwatuje ani nie klaszcze, dopóki nie poznano ostatecznego werdyktu. Swoiste prawo dotyczące rycerskich gonitw nakazywało obciąć język temu, kto nie uszanuje owej ciszy. Należało okazać cześć obydwu rycerzom, dopóki któryś z nich nie zostanie zwycięzcą.

Nadszedł czas ostatniego starcia. Wziąć mieli w nim udział: jego amfitrion Gómez Garceiz, ustrojony na czerwono, i García Romeu – na biało. Dwaj królewscy chorążcy stali na placu boju, jakby to tam toczyła się wojna między ich krajami. Czarny orzeł Romeu przeciwko dzikom Garceiza.

Niezmałona cisza towarzyszyła ich dwóm pierwszym starciom. Nie było upadków, ale w obydwu lance się skruszyły. W trzecim zagrali o wszystko. Przewagę miał Aragończyk.

Ruszyli do biegu. Widać było maksymalne napięcie mięśni konia i jeźdźca. Drewniane ostrza błysnęły naprzeciwko siebie, aż brutalnie się starły. Dźwięk uderzenia przeszył powietrze, a García Romeu i jego koń runęły z rozmachem na ziemię. Kopia Nawarczyka odbiła się od zbroi i uderzyła w szyję zwierzęcia, co spowodowało jego upadek.

Na całych trybunach zaczęto wiwatować. Nawarczyk wygrał w sposób

czysty, dlatego miał zdobyć tytuł zwycięzcy szóstej gonitwy. Wszyscy bili mu brawo, a on, już bez hełmu, uśmiechnięty, skierował się do podium infantki doñi Blanki, by odebrać należne mu zaszczyty.

Ale w tym czasie na arenie coś było nie tak. Koń Garcíi Romeu leżał powalony na ziemię, a z szyi tryskała mu krew. Giulio Morigatti wziął swoją torbę z narzędziami i szybko pobiegł do niego.

Diego ruszył za nim, w razie gdyby mógł okazać się pomocny.

Dotarli niemal w tej samej chwili.

– Utkwiła mu drzazga w szyi. – García Romeu, przykucnąwszy, zatroskany oglądał obfite krwawienie.

Giulio, jego menescal, zabrał się do oceny obrażeń. Od razu poważnie się przejął, gdy stwierdził, że drewniane ostrze grubości palca przebiło tętnicę szyjną zwierzęcia. Diego poczynił taką samą obserwację.

– Błyskawicznie mu ją wyciągnę, ale potrzebna mi będzie pomoc dwóch silnych mężczyzn do uciśnięcia potem rany.

Diego uznał go za szaleńca. Gdyby tak zrobił, krew polałaby się strumieniem, a zwierzę wykrwawiłoby się w jednej chwili.

– Wtedy umrze! – Głos Diega, który z założenia miał być dyskretny i skierowany tylko do Giulia, okazał się zbyt wyraźny i donośny.

Wszyscy obecni, w tym Mencía i sam chorąży García Romeu, spojrzeli na niego. Giulio też, ale jego spojrzenie pełne było nienawiści i wściekłości.

– Co też mówicie? – spytał García Romeu, ciekawy jego opinii. Ten koń był jego najlepszym okazem.

– Nie można wyciągnąć od razu. Spowoduje to zapaść, krwotok będzie nie do opanowania – odparł Diego.

– Gada głupstwa, nie słuchajcie go, panie. Wiem, co robię. To zwykła rana, jak na wojnie, tyle razy już...

– Zabije go to! – ostro naciskał Diego.

Araoński szlachcic ważył decyzję. Popatrzył na obu, ubolewając, że musi między nimi wybierać, i w końcu poprosił Diega, by wziął się do rzeczy. Jego hipoteza bardziej do niego przemówiła.

– Przepuście weterynarza!

Diego ukląkł obok konia i zaczął działać z niewiarygodną szybkością i starannością. Nakazał piechurom przytrzymać szyję, a sam dobrze naostrzonym scyzorykiem rozciął skórę nad drzazgą. Zlokalizował

tętnicę. Za pomocą jedwabnej nici oddzielił ją i mocno zacisnął, by zamknąć jej światło. Wiedział, że ma niewiele czasu na tę operację. Była przy nim Mencía. Na wpół skryta w swym kapturze, obserwowała go, oczarowana jego zdolnościami. Rozciął skórę, która otaczała drewno, i poprosił, by ktoś otworzył i przytrzymał rozcięte powierzchnie. Ku jego zaskoczeniu, ręce, które mu pomogły, należały do Mencíi. Nikt jej nie rozpoznał, ale on wiedział. Nie chciał nawet myśleć, że mają tak blisko siebie... W tej chwili musiał skupić się na koniu Gard i Romeu...

Diego wyciągnął drzazgę, ostrożnie, by nie naruszyć naczynia, w którym nie było przepływu, i zszuł otoczenie otworu, zamykając to potem mocno. Wszyscy wokół zachwyceni byli szybkością ruchów jego rąk, jego zręcznością. Nie zawahał się ani przez chwilę. Zwolnił ucisk tętnicy powyżej i naczynie wypełniło się krwią, życiem. Ani kropelka się nie ułała.

Zaklaskali i zakrzyknęli radośnie. Gómez Garceiz był już wtedy z nimi, jak i wielu innych możnych i sędziów, wszyscy byli oczarowani jego zręcznością. Nawet do samego króla Sanchy VII dotarła wieść o cudownym wyczynie młodego weterynarza.

Poklepywali go po plecach, uśmiechali się do niego. Wszyscy byli zachwyceni jego występem, z wyjątkiem jednej osoby: Giulia Morigatiego. Ten miał nadzieję na śmierć konia, a wręcz jej pragnął, by móc potem pastwić się nad Diegiem. Wykorzystał chwilę zamieszania i podszedł do niego. Powiedział mu cicho do ucha:

– Nigdy nie zapomnę ci tej zniewagi. Jesteś tylko podłym, parszywym chłystkiem, Diego z Malagón. Prędzej czy później spotkamy się znów, a wtedy zobaczysz...

– Czym mi grozicie? – Diego podniósł głos, zwracając uwagę obecnych. – Mów już teraz, kanalio...

Giulio poczuł się zaszczuty niechętnymi spojrzeniami obecnych.

– Parszywy Arabus! – Z wściekłością splunął na ziemię.

Diego chciał rzucić się na niego, ale powstrzymało go dwóch rycerzy.

– Zamilcz w końcu! – rozkazał García Romeu, chwytając go za kaftan. – Zawsze miałem cię za człowieka prawego i zdolnego, ale dziś pokazałeś mi coś wręcz przeciwnego. Twoim zachowaniem splamiłeś honor mego domu i korony Aragonii.

Mina menescala wyrażała całą jego tragedię. Gniew, ból. Od napięcia mięśni policzków wykrzywiła mu się cała twarz.

– Od tej chwili przestajesz służyć pod moimi rozkazami. Idź sobie! Nie chcę cię więcej widzieć...

Giulio odszedł, złorzeczając przez zęby, i zniknął pośród namiotów, przysięgając zemstę.

Diego przyjął przeprosiny od samego Garcii Romeu. Gonitwy zakończyły się. Wciąż poruszony sceną, skierował się do namiotów, by odnieść sprzęt chorążego. Mencía była i tam. Porzuciła swe męskie przebranie, znów ubrana jak kobieta. Diego nie chciał się do niej zbliżyć, ona zaś nie mogła przysuwać się do niego bardziej, niż zezwalała etykieta. Jednak gdy tylko nadarzyła się okazja, podeszła do niego, by wyszeptać mu do ucha:

– Nie widziałam nigdy, by ktoś pracował tak jak wy...

– Bardzo dziękuję wam za te... komplementy, pani. – Język znów stanął mu kołkiem.

Dochodzili już do namiotów, gdy nagle stało się coś niespodziewanego. Złowieszczy cień pojawił się za ich plecami. Ktoś krzyknął, ale nie starczyło czasu, by zareagować. Błysnął sztylet.

Dosięgnął szyi weterynarza.

Diego obrzucił Mencię spojrzeniem i runął na ziemię.

X

Nie była to dla niego zwykła nałożnica.

Jej kręcone, długie, rude włosy, subtelność spojrzenia, elegancki chód, każdy najdrobniejszy jej gest sprawiał mu przyjemność.

Miała w sobie magię.

– Estelo, wykąp się ze mną.

Młody kalif al-Nasir był przepelniony zachwytem wobec tej kobiety. W napięciu przyglądał się elegancji jej ruchów, godności, z jaką się rozbierała. Gdy ujrzał ją naga, zapragnął jej delikatnego ciała.

Estela zanurzyła się w letnich wodach basenu i zbliżyła do niego. Al-Nasir chwycił jej kibić i pocałował w usta, ale i tym razem nie poczuł jej namiętności.

– Czy życzyście sobie, bym was wyperfumowała? – Estela wyciągnęła rękę po flakon z kwiatowymi olejkami.

– Życzę sobie tego, czego mi nie dajesz...

Estela zamilkła. Nigdy tego nie dostanie. Jak mogłaby go pokochać, skoro był jej ciemieżcą, jej strażnikiem więziennym, do którego odczuwała nienawiść z całej duszy za każdym razem, gdy posiadał jej ciało?

Nalała sobie na ręce aromatycznego olejku i dotknęła jego pleców. Kiedy stała w wodzie, zrobiło jej się chłodno, aż dostała gęsiej skórki. Zaczęła masować mu barki, potem ramiona. Przymknął oczy, starając się chłonąć każde wrażenie.

– Czy wiesz, że nie wzywam żadnej innej? Że jesteś mą ulubienicą?

– Nie zasługuję na taki zaszczyt – skłamała.

Znów naoliwiła sobie dłonie i sięgnęła do szyi. Poczwała pragnienie, by go udusić. Z pewnością nawet by to zrobiła, gdyby tylko była pewna, że ma dość siły.

Odwrocił głowę i spojrzał jej w oczy.

– To ja nie zasługuję... – powiedział. – Tak cię pragnę... – Estela przesłała mu mdły, nieszczerzy uśmiech. Nigdy nie posiadzie jej serca, co najwyżej jej ciało.

Przytrzymała ręką swoje długie włosy i ocierając się o niego, okrążyła go, aż znaleźli się na wprost siebie.

– Przyprawiasz mnie o szaleństwo...

Pierwszy raz, odkąd była w haremie, ułatwiła mu jego zamiary. Chciała, by szybko skończył, a poza tym wiedziała, że to już ostatni raz...

Zerwanie króla Sanchy z Najlą wywołało niemałe poruszenie na dworze kalifa. On powrócił do Nawarry, a ona została niepokieszona ze złamanym sercem. Rozstanie zniszczyło nie tylko jej marzenia, ale także Blanki i Esteli. Rozwiały się ich nadzieje na opuszczenie tego piekła i wyjazd wraz z księżniczką na ziemię Nawarry.

Od momentu rozstania Blanca co dzień ją pocieszała. Dobierała słowa, które działały jak balsam na jej rany, i nie szczędziła jej wsparcia i czułości. Miała jednak ku temu swoje powody. Zyskała większą swobodę w poruszaniu się po haremie, a tego właśnie było jej trzeba, by ziścić swój plan. Rozmyślała nad nim bezustannie, nim podjęła ostateczną decyzję. Miało to się stać tego właśnie popołudnia, po powrocie jej siostry od kalifa.

– Znajdziecie innego mężczyznę, nie możecie się nim tak zadrećzać...

– Żaden nie będzie już taki jak on, Blanco... – Wzięła jej dłoń w swoje ręce. – Jesteś chrześcijanką. Czy rozumiesz, czemu odszedł?

– Papież jest przedstawicielem Jezusa Chrystusa na ziemi. Jego nagana, jaką wasz ukochany otrzymał z powodu waszego związku, to bardzo poważna sprawa. Wyobraźcie sobie, że macie jakąś osobistość tego rzędu w waszej wierze, która przywołałaby was do porządku. Co byście zrobili?

– Mamy taką. To kalif, mój brat, ale on pobłogosławił naszej miłości...

Najla przerwała i wybuchnęła płaczem.

Blanca przytuliła ją i też zapłakała, choć miała ku temu zupełnie inne powody. Pomyślała o smutku, który spowoduje jej ucieczka. Pocałowała ją w czoło i zebrała łzy z jej policzków.

– Bądźcie silną, bądźcie silną, moja kochana przyjaciółko...

Estela podniosła podwójne dno kufra i wyciągnęła dwie sukienki najmniej zwracające uwagę, jakie były w jej garderobie. Zostawiła kalifa samego, ubierał się na popołudniowe posłuchania.

Usłyszała wezwanie na modlitwę.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przebrała się i ukryta za kolumną czekała na powrót Blanki.

Gdy umilkł donośny głos muezina, usłyszała zbliżające się kroki. Serce waliło jej tak mocno, że czuła je aż w skroniach.

Drzwi uchyliły się, skrzypnęły zawiasy.

– Estela? Jesteś tam?

Wychyliła się zza kolumny.

– Weź, przebieraj się szybko. – Spojrzała w oczy siostry i zdziwiła się. – Co ci jest? Dlaczego płaczesz?

– To przez Najlę... – Zerwała z siebie tunikę i nałożyła drugą. Estela złożyła używane ubrania i schowała do kufra.

– Tu nie ma nic, za czym mogłabym uronić choć jedną łzę...

Blanca nadstawiła uszu, ale nic nie usłyszała.

– W pobliżu sali posłuchań wmieszamy się w tłum, który czeka na przyjęcie przez kalifa. Zrobimy to, gdy będzie wychodził. Widziałam, że przychodzi do niego wiele kobiet, i nikt nas nie zauważy.

Zdjęły buty, by nie narobić hałasu. Widząc, że nie ma nikogo na korytarzu, pędem puściły się do schodów. Jeden imesebelen pełnił straż na parterze. Zaczekały, aż przejdzie i najszybciej jak mogły, zbiegły na dół. Skręciły na prawo i przyklejone do ściany pobiegły przed siebie, aż dotarły do otwartej sali. Słyszały głosy w pobliżu, ale nikogo nie widziały. Były blisko wielkich salonów.

Wstrzymując oddech, pełne napięcia weszły do małego pokoiku, który miał im posłużyć za kryjówkę do czasu, aż nadejdzie właściwy

moment. Blanca sprawdziła, czy odchodzący z niego korytarz znajduje się dostatecznie blisko miejsca, przez które będzie przechodzić tłum. Drzwi zostawiła uchylone.

- Uda nam się, Estelo...
- Niechaj Bóg nam pomoże.

Wkrótce potem wrota wielkiej sali otworzyły się i zaczął się przez nie wlewać tłum gości. Nadszedł czas. Nakryły się czadorami i pomodliły o szczęście. Na znak Blanki szybko wyszły i skręciły w prawo, ale w pośpiechu nie dostrzegły imesebelena. On je zobaczył. Z niewiarygodną wprost siłą chwycił je za ramiona.

Bolało. Afrykanin, nie wiedząc jeszcze, co usiłowały zrobić, ujrzał w ich oczach paniczny strach.

– Nie możecie tu być... – Usłyszał głosy tłumu i znów odwrócił się do nich. Drżały z przerażenia. Wtedy zrozumiał. – Nie mogę na to pozwolić... – Złapał Blancę za szyję i zaczął ścisnąć ze straszliwą siłą. Czują, że się dusi. Jego druga ręka trzymała Estelę, ale ona postanowiła działać. Z całej siły ugryzła go w nadgarstek. Choć jej nie puścił, zdołała powlec się do małego pomieszczenia, w którym wcześniej się skryły. Imesebelen usiłował zatrzymać uciekającą Estelę, której udało się jednak na chwilę mu wyrwać. Zamierzył się, by znów chwycić ją za szyję, i wtedy w jego piersi utkwiała zaostzona drewniana listewka. Choć próbował ją sobie wyciągnąć, nie udało mu się i martwy upadł na ziemię. Szybko przepchnęły ciało, by je ukryć, chustą wytarły krew i zamknęły drzwi. Głęboko oddychając, starały się zapanować nad swoim wzburzeniem. W końcu uspokoiły się trochę i spojrzały po sobie, wciąż jeszcze dość przestraszone.

– Gdybyśmy tego nie zrobiły, zabiłby nas... – usprawiedliwiła się Estela.

- Miejmy nadzieję, że szybko go nie znajdą...

Siostry podeszły do grupy i wmieszały się w tłum, starając się udawać spokój. Po raz pierwszy ucieszyły się z obowiązku noszenia czadorom.

Wraz z innymi wyszły na zewnątrz. Minęły patio, rozglądając się za wyjściem z pałacu. Spojrzały na bramę. Strzegło jej czterech dobrze uzbrojonych imesebelenów. Jeden z mężczyzn, którzy stanowili świątę, podszedł, by policzyć ludzi opuszczających pałac. Estela i Blanca poczuły panikę. Tylko one wiedziały, dlaczego liczy się wszystkich na

początku i na końcu. Brakowało zaledwie dziesięciu kroków, by znaleźć się na zewnątrz.

– Nie uda nam się, Blanco – szepnęła jej do ucha.

– Gdy tylko miniemy strażę, z całych sił zacznij biec. Skryjemy się w miejskich uliczkach. Dziś jest targ, między tyloma ludźmi nie znajdą nas.

– Boję się...

– Ja też, kochanie, ale uda się nam. – Blanca pieszczotliwie ujęła ją za podbródek.

– Stać! – krzyknął mężczyzna. – O dwoje za dużo.

Podeszło dwóch imesebelenów, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Blanca pojęła, że nie będzie już sposobności, by uciec, i dała siostrze mocnego kuksańca.

– Uciekaj i nie patrz za siebie!

Obydwie siostry rzuciły się do ucieczki. Wykorzystując początkowe zaskoczenie strażników, zdołały przekroczyć bramę.

– Szukaj najwęższych uliczek...! – krzyknęła Blanca.

– Boję się bardzo...

– Uciekaj i nie myśl o tym!

Czterech imesebelenów ruszyło za nimi w pogoń. Krzyczeli, każąc ludziom się rozstąpić. Kto nie usłuchał tych rozkazów i miał pecha znaleźć się na ich drodze, kończył powalony na ziemię. Biegli szybko. Siostry dotarły do rozstaju dróg i chcąc nie chcąc, się rozdzieliły. Żadna nie mogła już zawrócić. Strażnicy zrobili to samo. Blanca dotarła na plac targowy. Wokół było pełno ludzi, zbyt wielu, by biec. Schyliła się, by nie została zauważona przez swych prześladowców. Pech jednak chciał, że zawadziła o jakiś kram i gdy się podnosiła, pociągnęła za sobą stos talerzy. Rozległ się straszliwy hałas. Imesebeleni pojмали ją, nim zdążyła cokolwiek zrobić.

Powalili ją twarzą do ziemi. Jeden przycisnął jej zębra, naciskając nogą. Blanca pomyślała o Esteli. Czy miała więcej szczęścia? Zapłakała z wściekłości nad swoim niepowodzeniem i wyobraziła sobie okropieństwa, jakich doświadczy ze strony tych dzikusów. Zaczęła modlić się za swoją siostrę, ale i za siebie samą.

Al-Nasir, wściekły, czekał na galeryjce pałacu. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Chodziło mu zwłaszcza o Estelę.

Zobaczył, jak jego osobisty strażnik prowadzi kobietę o rudych włosach. Głowę miała spuszczoną. Nie był w stanie dojrzeć, która to z siostr, przez co poczuł się zaniepokojony. Nie mogąc dłużej wytrzymać, wyszedł im na spotkanie. Pochylił się, żeby zobaczyć jej twarz. To była Blanca. Odetchnął.

Kadi, jako stróż sprawiedliwości, spoliczkował ją bezlitośnie.

– Czy wiesz, co należy ci się za to, co zrobiłaś, parszywa chrześcijanko?

Z wargi Blanki pociekła struzka krwi. Ten człowiek właśnie ją zranił.

– Nie, panie, ale błagam was o wybaczenie. – Podniosła wzrok i zobaczyła księżniczkę Najlę. Była przestraszona. Szukała wzrokiem Esteli, ale nie było jej tam, co ją ucieszyło.

– Prawo mówi, że każdej niewolnicy, która usiłowałaby zbiec, należy natychmiast obciąć głowę. Wiesz...? – Wyciągnął rękę po szablę. – I zrobię to ja sam!

– Nieee...! – Najla nie wytrzymała i padła na kolana przed kadim, prosząc go o łaskę. Brat jej, chcąc oszczędzić jej upokorzenia, nakazał szybko ją wyprowadzić.

– Sprowadzić tu wszystkie niewolnice – nakazał kadi, badając, czy szabla jest dość ostra. – Niech mają nauczkę.

Al-Nasir zdawał się mieć dosyć tej dramatycznej sytuacji. Spoglądał tylko na pałacowe wrota. Z udręczeniem myślał o losie swej ukochanej Esteli. Pragnął ją ujrzeć, ale wiedział, że gdyby ją pojmano, czekałby ją ten sam wyrok.

Zaczęły schodzić się pierwsze kobiety. Ustawiano je wokół drżacej ze strachu Blanki. Niektóre zbliżyły się, by ją pocieszyć, ale ona teraz przypominała sobie inne czasy, gdy żyła ze swoim ojcem i bratem Diegiem. Płacząc rzęsiście, zapytywała samą siebie, co stało się z nimi i z Belinda.

– Mamy drugą!

Wszyscy zwrócili się w stronę drzwi. Także kalif i sama Blanca.

Estela szarpała się, trzymana przez dwóch imesebelenów, i krzyczała wniebogłoso. Widząc swoją siostrę Blancę, chciała się im wyrwać, by ją uściskać, ale nie pozwolono jej.

Al-Nasir nie umiał ukryć swego smutku. Odwrócił wzrok.

– Swój błąd przypłacisz życiem! – krzyknął jej kadi prosto w twarz. – A teraz patrz na swoją siostrę...

Odwrócił się do Blanki i podniósł szablę nad jej głowę. Wiele niewolnic wydało z siebie przerażające krzyki i zamknęło oczy, nie chcąc na to patrzeć.

Estela utkwiała błagalny wzrok w al-Nasirze, prosząc go, by zareagował, ale on pozostał nieruchomy, milczący.

– Co... co wy chcecie uczynić? – jękając się, spytała Estela, coraz bardziej wściekła na swych prześladowców. Próbowwała ich pogryźć.

Blanca spojrzała przez łzy w jej oczy, mówiąc bez słów, jak bardzo ją kocha, a Estela krzyknęła z całych sił, nie chcąc widzieć tego, co miało się stać.

Kadi spojrział pytająco na kalifa, by zyskać jego zgodę, a al-Nasir skinął głową, udzielając mu jej.

Ciężka szabla świsnęła w powietrzu i oddzieliła szyję Blanki od jej ciała.

Pomruk trwogi rozległ się wśród niewolnic, gdy zobaczyły jej głowę toczącą się po ziemi.

Estela załkała gorzko przepelniona bólem. Odwróciła wzrok od tego potwornego przedstawienia, czując rozsadzającą jej duszę nienawiść.

– Teraz twoja kolej. – Ten kat, z szablą ociekającą krwią, podszedł do niej, by wykonać następną egzekucję.

Estela zamknęła oczy i poprosiła Boga o pomoc.

Jeden imesebelen przytrzymał ją w pasie, gdy drugi odgarniał jej włosy z szyi. Kadi szykował się do zadania ciosu. Dobierał siłę uderzenia. Wziął głęboki oddech, czekając na rozkaz.

Spojrzał na swego kalifa.

– Stójcie!

Mężczyzna, zdezorientowany, zatrzymał szablę.

– Opuśćcie broń. Nie wykonujecie wyroku.

– Ależ, panie., nasze prawo...

– Jestem kalifem i mam przywilej darowania każdego wyroku, nawet kary śmierci.

– Macie rację, lecz to tak poważne przewinienie, że...

– Jeśli dalej będziecie mnie pouczać, zostanieie ukarani! Uszanujecie mą wolę czy nie?

Mężczyzna schylił głowę posłuszny i schował szablę.

Al-Nasir podszedł do Esteli.

- Nie próbuj tego nigdy więcej... – szepnął jej do ucha.
 - Pozwólcie waszemu kadi, by mnie zabił. Ja już nie pragnę żyć...!
 - krzyczała Estela, zalewając się łzami.
- Al-Nasir czuł się rozdarty bólem, słysząc jej słowa. Chciał tylko objąć ją i pocieszyć, obsypać ją pocałunkami.
- Za to ja tego pragnę. Zabrać ją!

XI

Diego odzyskał przytomność złany potem, trzęsący się i zdezorientowany.

– Wreszcie powróciłeś... – powiedział ktoś obok.

Odwracając głowę, poczuł przeszywający ból w szyi. Próbował dowiedzieć się, co go powoduje, i znalazł gruby bandaż. Zobaczył Marcosa. Mimo że wyglądał na zmęczonego, uśmiechał się wesoło.

– Myślałem, że umrzesz... Straciłeś tyle krwi...

Diego chciał mówić, ale nie mógł. Poczuł, że język ma sztywny i sucho w ustach. Przerazająca wizja ożyła w jego umyśle, ta sama, która wyrwała go ze słodkiego snu. Zdenerwowany rozejrzał się wokół, nie wiedząc, gdzie się znajduje, i przyspieszyło mu tętno. Musiał kilka razy się uszczypnąć, by mieć pewność, że nie śpi. To było okropne... Widział ją...

– Marcos... stało się coś strasznego – zdołał wybełkotać. – Moja siostra... Blanca... Widziałem jej krew. Nieee!

– Co ty mówisz? – Marcos sprawdził, czy dalej ma gorączkę. – Zranili cię. Nie pamiętasz?

W drzwiach ukazał się chorąży Gómez Garceiz wraz z drugim mężczyzną w średnim wieku, który przedstawił się jako lekarz. Nie tracąc czasu na tłumaczenia, mężczyzna zmierzył mu puls i zbadał stan jego śluzówek w ustach i powiek.

– Blanca umarła... – zaszlochał Diego ku zdumieniu obecnych.

– Dalej majaczy – wyjaśnił lekarz jego dziwne zachowanie. – To z powodu silnej traumy.

– To nieprawda – odparł Diego. – Widziałem ją... – Oddychał ciężko.

W jego oczach widać było głęboki ból.

Gómez Garceiz starał się go uspokoić.

– Miałeś wysoką gorączkę i to normalne, że doświadczyłeś dziwnych wizji... Spałeś ponad dwa dni. Słyszeliśmy, jak krzyczałeś, ubliżałeś, jęczałeś, ryczałeś...

Diego spróbował się podnieść, ale poczuł nagły zawrót głowy i opadł z powrotem na miękkie łóżko. Pewnie mają rację, pomyślał. Te napawające lękiem obrazy spowodowane były jego stanem zdrowia. To go pocieszyło.

– Co się ze mną stało?

– Po gonitwach rycerskich napadł na ciebie Giulio Morigatti, upokorzony z powodu twojego mistrzowskiego popisu z koniem Garcíi Romeu – odpowiedział mu Garceiz. – Po tym, jak popełnił owo łajdacstwo, został zatrzymany przez oddziały aragońskie.

– A Mencía? – Przypomniawszy sobie, że była tam z nim. – Czy jej nie się stało?

– Nie martw się. Nie ucierpiała. – Diego przyjrzał się badawczo minie chorążego i słowa jego wydały mu się szczerze. – Pytała o ciebie codziennie aż do wczoraj, nim odjechała do Albarracín. Zostawiła ci list.

Wziął ze stolika zalakowaną kopertę i podał mu. Diego nie otworzył. Wolał poczekać, aż zostanie sam.

– Odzyskujecie siły dość szybko, młodzieńcze – wtrącił lekarz. – Ten sztylet przeszedł wam o mniej niż cal od tętnicy... – Podniósł bandaż i przyjrzał się ranie. Wyglądała dobrze. – To się nazywa mieć szczęście...

Lekarz nakazał kontynuować podawanie leków i kurację, którą zalecił. Doradził mu też, by zaczął po trochu chodzić po pałacu, co pozwoli mu odzyskiwać siły. Potem zabrał swoje rzeczy i pożegnał się.

Diego powrócił do rozmowy z Gómezem Garceizem.

– Wybaczcie, ale wciąż czuję się niezbyt zorientowany. Gdzie ja jestem?

– W moim domu, w Olite. Możesz tu zostać na czas, który będzie ci potrzebny, by wyzdrowieć. – Garceiz usłyszał odgłosy koni i wychylił się przez okno. – Teraz muszę już iść, widzę, że przyjechał właśnie almohadzki ambasador i muszę go przyjąć.

Parę dni później Marcos pomógł mu wstać na pierwszą przechadzkę po pałacu. Na drugim piętrze była piękna galeria, wychodząca na patio, po której spacerowali.

Chodził powoli, czując przy każdym kroku bolesne klucie w szyi. Nóż zadał mu szeroką ranę i Diego obawiał się, że zacznie krwawić, jak działo się za każdym razem, gdy nadwyręzał się odrobiną ruchu.

Minęli grupę rozchichotanych służek, którym Marcos nie szczędził komplementów, i zatrzymali się, słysząc wzburzoną dyskusję na partezie. Z ciekawością wychylili się przez barierkę i zobaczyli Gómeza Garceiza w towarzystwie bogato ubranego mężczyzny, który stał do nich tyłem. Nieznajomy wyglądał na niezwykle poruszonego i wciąż żywo gestykulował. Garceiz zaprzeczał mu zawzięcie i niezłomie, kręcąc głową.

Marcos pomyślał, że wie, kim może być ów gość.

- To chyba ten ambasador... od Arabów – powiedział cicho.
- To on jeszcze tu jest?
- Podobno jeszcze tydzień ma zabawić.

Było w tym człowieku coś, co budziło w Diegu dziwną ciekawość, ale nie rozumiał, co to mogło być. Wyglądał na chrześcijanina, a poza tym, choć niewiele słyszał, stwierdził, że mówi świetnie po hiszpańsku, bez cienia arabskiego akcentu. Ale jednak reprezentował Almohadów i w ich imieniu pertraktował... Było to niezrozumiałe.

– Patrz na niego teraz... – Marcos wskazał w stronę tamtego.

Obaj mężczyźni wstali ze swych miejsc i podeszli do fontanny pośrodku dziedzińca. I wtedy Diego go zobaczył. To była chwila, ale rozpoznał tę bliznę na jego twarzy. Nieświadomy tego, co działo się w jego pobliżu, mężczyzna instynktownie opuścił głowę.

- To on!
- Jak to? – Marcos przestraszył się, widząc, jak Diego cały zeszytniał i utkwiał wzrok w tym człowieku.
- To ten sam, co...

Diego za bardzo podniósł głos i niechcący przyciągnął uwagę ambasadora i swego amfitriona. Choć Marcos rzucił się, by odciągnąć go od

barierki, ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Co ci jest? – dopytywał się Marcos przez cały czas do końca przechadzki.

– Ta twarz... – Diegowi drżały nogi.

Zimny pot oblewał mu kark. Przypominał sobie, w jakim stanie odnalazł swojego ojca, okoliczności gwałtu na siostrach... Mężczyzna, którego widział tamtego dnia, miał podobną bliznę...

Zawahał się, czy to aby nie był ktoś inny. Widział go zza skał, z daleka, i minęło od tego dnia prawie siedem lat. Spojrzał na niego raz jeszcze i poczuł skurcz w żołądku jak wtedy. To musiał być on... Zapłonął gniewem, zacisnął pięści, mamrocząc coś pod nosem...

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył diabła...

– Widziałem go... Widziałem...

Potem, w pokoju, opowiedział na nowo wydarzenia owego tragicznego dnia i okoliczności, w jakich widział tamtego człowieka, którego podobieństwo do ambasadora było olbrzymie.

– Powinieneś powiedzieć o tym Gómezewi Garceizowi.

– Najpierw muszę dowiedzieć się, jakie sprawy ich łączą. Nie jestem pewien.

Tej nocy Diego ledwie zmrużył oko. Dowiedział się, że ambasador został ulokowany w sypialni nad nim. Z tego powodu wydawało mu się, że każdy najmniejszy hałas, jaki słyszał, pochodzi z jego pokoju, i wyobrażał go sobie. Ledwie oddychając, nasłuchiwał, co w danej chwili robi ten mężczyzna. Stało się to jego obsesją.

Próbował myśleć o czymś innym, ale nie mógł. Obraz owego człowieka raz po raz do niego powracał. Nie mógł zapomnieć jego twardego i okrutnego spojrzenia wtedy, tam na wzgórzu.

Następnego ranka zbudził się rozbity i smutny, czując potworną suchość w ustach. Mimo wszystko postanowił o niego zapytać. Musiał wiedzieć, kim jest, skąd pochodzi i co może wiedzieć o jego siostrach.

Dowiedział się jednak, że Garceiz wyjechał wcześniej rano w towarzystwie ambasadora.

Po południu zszedł do stajni, do Sabby. Klacz, która nie widziała go

przez ostatnich kilka dni, powitała swojego pana szczęśliwa, obwąchując Diega z zadowoleniem, gdy ją głaskał. Posiedział przy niej dość długo. Nie wiedział, ile czasu upłynęło.

– Jak się dziś czujesz?

Był to głos chorążego Garceiza. Zobaczył go, jak wjeżdża konno do stajni, a za nim ambasador. Zostawili zwierzęta koniuszym i podeszli do Diega.

– Jeszcze nie wyzdrowiałeś... – Gómez Garceiz zobaczył, że jest siny.

Diego nie wiedział, co robić. Czuł na sobie spojrzenie ambasadora i ledwo oddychał. Serce waliło mu jak szalone, aż zaboląły go skronie. Musiał mu odpowiedzieć, ale nie był w stanie.

Jego milczenie dziwiło obydwu mężczyzn.

– Trochę kręci mi się w głowie...

– Wybaczcie, ale zmarli wyglądają lepiej niż wy... – Ambasador wyciągnął do niego rękę.

– Przedstawiam wam – Pedro de Mora – wtrącił Gómez Garceiz – ambasador wielkiego kalifa al-Nasira.

Gdy nadeszła kolej na Diega, mężczyzna wspomniął o jego zawodzie weterynarza.

– A zatem jesteście z Malagón... rozumiem. Malagón przywołuje mi na myśl wspomnienia... – Ambasador podrapał się w brodę i spojrzał na niego uważnie, zamyślony. Pamiętał, że osada ta leży w pobliżu Alarcos. Poczuli się zaniepokojony. Młodzieniec nie przypadł mu do gustu. – Weterynarz na chrześcijańskich dworach... – powiedział w zamyśleniu. – Interesujące... Wasz fach jest bardziej pospolity u ludów arabskich, nie słyszałem nic o tym, by znany był na północy.

– To nieczęste, nie... Tak naprawdę... ale...

Diego nie mógł przemówić. Ani język, ani żadna część ciała nie były mu posłuszne. Czuł się skrępowany.

Spojrzał na jego bliźnię i nie wiedział, co począć. A jeśli pomylił osoby? Przyjrzał się raz jeszcze i zadrżała mu powieka. Starał się przytrzymać ją palcem, ale nie udało się. Twarz jego wyrażała mieszaninę żalu, strachu i niepewności. Zaczęło to dziwić i martwić obydwu mężczyzn.

– Może powinieneś jeszcze trochę odpocząć... – zaproponował Garceiz. – Odprowadzimy cię do twojego pokoju.

Tak też zrobili, ale nie uszli nawet piętnastu kroków i Diego, nie mogąc się powstrzymać, zwymiotował w kącie.

Gómez Garceiz przyszedł do niego później. Zauważył, że w obecności don Pedra Diego czuje się niezręcznie. Chciał się dowiedzieć, z jakiego powodu.

– Znałeś go wcześniej, prawda?

Diego postanowił mówić.

– To było w dzień kłęski pod Alarcos. On tam był, podczas grabieży... To było straszne... – Pod wpływem swoich wspomnień Diego poczuł ogromną udrękę i przestał mówić. Oczy jego wyrażały bezgraniczny smutek.

Gómez Garceiz starał się go uspokoić, jak tylko mógł, i spróbował wyciągnąć z niego to, przez co czuł tak ogromny ciężar. Diego wszystko mu opowiedział.

Tej nocy Pedro de Mora snuł się po swych pokojach. Nie mógł zasnąć. Czuł się poruszony i niespokojny. Z jakiejś nieznaney przyczyny ten weterynarz spowodował, że odżyły jego wspomnienia. Zaczął drążyć sprawy, które uważał już za zapomniane.

Wioska Malagón stała się ich centralnym punktem. Zobaczył siebie jadącego na czele wypraw grabieżczych po bitwie pod Alarcos. Przypominał też sobie grupę imesebelenów, którą dowodził. Dzięki nim zdobyli masę łupów, zwłaszcza kobiet, które zasiły później ich haremy. Wtedy dopiero skojarzył fakt, że dwie rudowłose nałożnice, Estela i Blanca, pochodziły z tych właśnie wypraw. Zostały złowione w tamtych dniach, i to w okolicach Malagón. Piętro niżej Diego słyszał jego kroki na drewnianej podłodze. Też nie mógł spać. Tak bliska jego obecność przyspieszała mu oddech. Miał rozpalone policzki i przyspieszony puls, tak czuł się podniecony.

Tej nocy w pewnej chwili przysłała mu do głowy myśl, aby chwycić jakąś broń, wybrać się na górę do jego pokoju i siłą wyciągnąć z niego prawdę. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby się posłużyć, ale nic nie było pod ręką. Jego sztylet, pamiętka po Galibie,

był razem z Sabbą, schowany w jej uprząży. Było już za późno, by po niego iść.

Rozważył możliwości ujęcia z życiem w razie starcia z nim. Był to mężczyzna silny, raczej silniejszy od niego, ale może, działając szybko, mógłby go zaskoczyć. Poszukał w palenisku jakiejś żerdzi, która mogłaby mu się przydać, ale wszystkie obracały się w popiół.

Pedro de Mora spróbował przypomnieć sobie, jak wyglądały twarze i oczy tamtych dwóch nałożnic. Coś w nich przypominało mu weterynarza. Mieli coś wspólnego, ale nie wiedział co...

Pomyślał, że jeśli są rodziną, niewykluczone, że młodzieniec widział go podczas grabieży. Zważywszy na jego dziwne zachowanie, było to całkiem możliwe.

Przez chwilę poczuł, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Jeśli doszłoby to do uszu Gómeza Garceiza, jego sytuacja stałaby się niezwykle delikatna. Trzeba było coś zrobić. Musiał temu zapobiec. Rozmyślając o tym, kiedy i jak zadziałać, postanowił złożyć mu wizytę tuż przed świtem.

Chwilę później potajemnie opuścił swą komnatę i zszedł do sypialni Diega. Miał szczęście i nikogo po drodze nie spotkał.

Otworzył drzwi, starając się zrobić jak najmniej hałasu. Wszystko tonęło w ciemności. Na końcu pokoju dogasający kominek ledwie żarzył się słabiutkim, pomarańczowym światłem. Posługując się tym skąpym oświetleniem, posuwał się w stronę środka komnaty.

– Kto tu łązi? – spytał Diego, odgadując obecność ambasadora.

Nie udzielając odpowiedzi, Pedro de Mora przyśpieszył kroku. W rękę dzierzył sztylet.

Diego zauważył nad sobą metaliczny błysk. Nie mając czym się bronić, spróbował się uchylić. Popchnął ciężkie półki, które stały obok niego, na stojący nad nim cień. Walący się mebel narobił hałasu i zakłócił ciszę nocy, ale nie dosięgnął Pedra de Mory. Za to druga półka spadła prosto na niego, czyniąc jeszcze większy huk. Mężczyzna jednak szybko wyswobodził się spod jej ciężaru i ruszył na Diega, wściekły i żądny krwi. Diego usłyszał świst jego sztyletu ledwie o cal od swojej twarzy. Przerażony, pobiegł w stronę drzwi. Napastnik odgadł jego zamiary i z uporem podążył za nim. Gdy Diego chciał je otworzyć,

silna ręka schwyciła go za szyję, a na swej piersi poczuł ostrze sztyletu.

– Krzyknij tylko, a cię zamorduję.

Diego wiedział, że nie żartuje.

– Skąd mnie znasz? – spytał go Pedro de Mora.

Diego rozważył szanse wyswobodzenia się, ale były minimalne. Był zgubiony.

– Znikąd... – skłamał.

– A imiona Blanca i Estela coś ci mówią?

Diego wybuchnął furją.

– Kanalio!

– Widzę, że tak. – Przejechał mu po skórze sztyletem i przycisnął go, aż otworzył ranę. Diego poczuł ciepło krwi płynącej w swoich trzewiach. – Ja też je poznałem, i to lepiej, niż sobie wyobrażasz...

W słyszącym to Diegu wezbrała jeszcze większa wściekłość. Wyciągnął rękę po sztylet i zdołał w porę go zatrzymać. Otrzymał brutalny cios w podbródek. Próbował przejąć sztylet, ale mu się nie udało. Pedro de Mora ciął w powietrzu wiele razy, ale go nie dosięgnął.

Nagle rozległy się kroki za drzwiami. Wszedł Gómez Garceiz razem z Marcosem. Nieśli wielką pochodnię, która załała komnatę światłem.

– Co tu się dzieje? – spytał królewski chorąży.

Sztylet upadł na podłogę i nie było wiadomo, do kogo należy.

– Przyszliście w samą porę! – Pedro de Mora wskazał palcem Diega, a potem sztylet. – Chciał mnie tym zabić...

Diego, oburzony, okrążył go i przemówił ostrym tonem.

– W takim razie, jak to możliwe, że jesteście w moim pokoju?

– Niech mi to ktoś wytłumaczy... – Gómez Garceiz z mieczem w ręku spoglądał oszołomiony to na jednego, to na drugiego.

Diego, nic nie mówiąc, uniósł kaftan i pokazał świeżo rozciętą skórę na piersi.

– To on! – oświadczył stanowczo. – Ten człowiek ma ręce zbroczone krwią. Krwią niewinnych. To morderca, człowiek zepsuty do szpiku kości, nieznający litości. Jest odpowiedzialny za brutalną grabież po bitwie pod Alarcos, za śmierć setek chrześcijan, i przewodził gwałtom na ich żonach i córkach. Jest też winny porwaniom i masakrom w okolicznych wioskach. To on dowodził oddziałami...

– Kłamie! – krzyknął Pedro de Mora.
– Obawiam się, że mówi prawdę... – odparł Gómez Garceiz – i nie jest to pierwszy raz, gdy słyszę o was te rzeczy, choć sam nigdy nie chciałem o nich powiedzieć. Gdybym mógł, zatrzymałbym was od razu, ale jesteście ambasadorem i nie jest to w mojej mocy. – Wymierzył mu miecz prosto w pierś. – Nie dość, że możecie liczyć na mą pogardę, zapewniam was, że od dziś postaram się znaleźć sposób, byście musieli zapłacić...

– Ale ja go widziałem! – zakrzyknął Diego, do cna oburzony tą bezkarnością. – Mógłbym zeznać przed trybunałem, gdybyście tylko mnie o to poprosili... – spojrział błagalnie na Garceiza.

– Ten młodzieniec wprowadza was w błąd – odrzekł Pedro de Mora.

– I jeszcze macie czelność tak mówić – Gómez Garceiz przystawił mu miecz do gardła – choć jesteście największym oszustem, jakiego w życiu znałem? Obarczam was odpowiedzialnością za obecność mego króla w Marrakeszu. Wasze manipulacje i postęпки przyniosły poważne szkody dla Nawarry.

Zupełnie niespodziewanie Diego wziął z ziemi sztylet Pedra de Morę i przytknął mu go do szyi.

– Co stało się z moimi siostrami?

Oczy jego wyrażały zdecydowane pragnienie zemsty. Zarówno Gómez, jak i Marcos przestraszyli się, widząc go w takim stanie.

– Zostaw go! Jeśli go ranisz, będę musiał cię zatrzymać.

Garceiz ruszył w stronę Diega, ale zatrzymał się, gdy ten ostrzegł go, co się stanie, jeśli zrobi jeszcze jeden krok.

– Czy nie zapominacie czasem, kim jestem...? – odezwał się Pedro de Mora do chorążego, czyniąc powietrze wokół jeszcze cięższym. – Powstrzymajcie natychmiast tego opętańca! To niedopuszczalne... Napad! – obrzucił Diega nienawistnym spojrzeniem. – Jeśli coś mi się stanie lub zostanę zraniony przez tego nędznika, a wy, chorąży Garceiz, nie zareagujecie, dosięgnie was gniew al-Nasira. A to się wam nie opłaci... dobrze wiecie. Dlatego też wymagam, byście położyli kres tej żalostnej sytuacji.

– Coście z nimi zrobili? – Diego przycisnął mu sztylet, aż zadygotał.

– Nie wiem, o czym mówisz – wybełkotał – ani kim są twoje siostry.

– Kłamiesz, parszywa gnido!

Diego przysunął sztylet do jego twarzy i zrobił mu sporą ranę, od kącika ust do połowy prawego policzka. Krew trysnęła obficie. Wiedział, że go to nie zabije, ale zostanie mu szpetna blizna na całe życie. Pamiątka nie do zatarcia.

Mężczyzna podniósł rękę do twarzy. Ranny, zawył z bólu i zaczął bluźnić. Gómez Garceiz wykorzystał tę chwilę, by zabrać Diegowi sztylet, nim znów go użyje. Gdy tylko mu się to udało, nakazał Marcosowi przytrzymać przyjaciela, sam zaś zwrócił się do don Pedra.

– Jutro rano od razu powiem o was królowi i uczynię wszystko, co możliwe, byście zostali odwołani ze stanowiska ambasadora. A teraz natychmiast opuśćcie mój dom. Nie chcę was tu więcej widzieć...

Pedro de Mora patrzył na Diega, zatykając ranę ręką.

– Co z moimi siostrami?

– Odpowiedzcie – rzekł Garceiz.

– Nic nie wiem... – Ledwo można było go zrozumieć.

– Wiem, że kłamie – zapewniał Diego.

– Nie kłamię. – Oczy jego wyrażały głęboki gniew.

– Natychmiast opuśćcie ten dom...! – rozkazał Garceiz.

Pedro de Mora wyszedł z komnaty, zostawiając za sobą kałużę krwi i bezgraniczną nienawiść do Diega. Jego imię, ta twarz... Przysiągł sobie na wszystkie świętości, że nie spocznie, dopóki nie ujrzy go martwego.

XII

W tym liście Mencía zapraszała go, by złożył wizytę w Santa María de Albarracín.

Po zejściu z Pedrem de Mora Diego i Marcos opuścili Olite i ruszyli w stronę Fitero osiem dni później, niż mieli pierwotnie w planach.

Serce kazało mu jechać do Mencíi, ale wiedział, że musi wracać do klasztoru i wykorzystać swą szansę, może jedyną, by w jego ręce trafił traktat Kelsosa, którego jeszcze nie czytał, lub Katona, o którym Galib tak entuzjastycznie się wyrażał. Dopiero później, gdy już nasyci się wiedzą medyczną, wybierze się na spotkanie.

Marcos nie miał specjalnego celu, gdyż jego zdobycz mieszkała w pobliżu klasztoru.

Przed opuszczeniem Olite Diego podziękował Gómezewi Garceizowi za wyświadczone przysługi, nie spodziewając się, że ten ma jeszcze dla niego niespodziankę.

– Został sprzęt chirurgiczny, którym posługiwałeś się na gonitwie rycerskiej. Ty zrobisz z niego najlepszy użytek...

Podał mu skórzaną torbę, w której pobrzękiwały najwyższej jakości narzędzia, ręką mistrza wykute ze stali. Wziąwszy je z wdzięcznością, wzruszony Diego obiecał zrobić z nich jak najlepszy użytek.

Za to przyjęcie, jakie czekało go w klasztorze, nie mogło być gorsze.

Do brata Servanda dotarła już wieść o jego wspaniałym wyczynie z rannym koniem. Gdy tylko zobaczył go w stajni, nie omieszkał rzucić mu oskarżenia.

– Na szczęście nie jestem jedyną ofiarą twojej nielojalności... – Nie patrząc mu w twarz, wypluł kawałek przeżutej skóry.

– Nie rozumiem – odparł Diego.

– Doszły mnie słuchy, że w Olite pokłóciłeś się z kolegą z Neapolu, ośmieszając go przed wszystkimi. Widzę, że bardzo lubisz pozabawiać innych autorytetu, o tak... – Rozciął snopek siana i rozrzucił je po ziemi. – To mi przypomniało, jak było z tą chorą figą, którą leczyłeś za moimi plecami... I jak sprzeciwiłeś się mojej diagnozie przy tej piekarce... Nie wspominając już o wielu innych okazjach, które wykorzystywałeś, żeby występować przeciwko mnie, odbierając mi rację, prawie zawsze przy innych chłopcach stajennych...

– Po prostu nie znoszę niesprawiedliwości – odpowiedział Diego surowym tonem – zwłaszcza gdy krzywdzi się słabszych, i wcale nie mam tu na myśli koni...

– Zapewne słyszeliście też, że menescal dźgnął go od tyłu nożem i próbował zamordować – wtrącił Marcos, oburzony takim podejściem zakonnika do sprawy.

– Też coś, wielkie mi rzeczy... – wziął drugi snopek i rozciął go. Chciał obniżyć jak najbardziej wagę sukcesu Diega. Spojrzał na niego, zganiał go za bezczynność i kazał mu najpierw wyczyścić żłoby, a potem nałożyć paszy.

– Przed kolacją wszystkie mają być pełne...

Diego ciężko westchnął. Znów musiał sprostać ciężkiej codzienności, mając lekturę za jedyną pociechę wobec takiej niedoli.

Gdy napełniał owsem pierwszą taczkę, z nostalgią wspominał Mencię. Rana na szyi jeszcze całkiem się nie zagoiła, ale teraz poczuł ból dużo głębszy. Był tak daleko od najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek poznał.

Na szczęście Marcos w parę dni zdołał odnowić stosunki z zakonnikiem odpowiedzialnym za bibliotekę i przyniósł mu grubą księgę zatytułowaną *De Medicinae* autorstwa Rzymianina Kelsosa.

Ten ważki traktat wypełnił mu nocę przy oliwnej lampce, do której paliwo też dostarczył mu przyjaciel.

Od Kelsosa nauczył się anatomii, tej wewnętrznej. Dzieło jego zgłębiało budowę tkanek i działanie poszczególnych organów. Choć odnosiło

się do ludzi, Diego stosował je tak samo, gdyż rozumiał, że różnice między ludźmi i zwierzętami nie mogą być tak poważne, by zasad tych nie można było uogólnić.

Wprost zaczytywał się opisami, zwłaszcza dotyczącymi stanów zapalnych, które Kelsos definiował jako zbiór czterech objawów: obrzęk, ból, kolor i zacerwienie.

Choć nauka jego była wielka i wzniosła, ów rzymski mędrzec przepaszcział wszystko, gdy w wywodach swych dochodził do tłumaczenia stanu zapalnego jako kary boskiej, podobnie jak brat Servando. Napisał nawet, że medycyna jest dla niego sztuką zgadywania.

Diego buntował się przeciwko takiemu podejściu. Jak bogowie greccy, rzymscy czy inni mogliby wywołać stan zapalny u stworzenia pozbawionego duszy, takiego jak koń? Za cóż mieliby go karać? Im więcej o tym myślał, tym mniej podobały mu się tak absurdalne teorie.

Już od dłuższego czasu, od chwili przeczytania pierwszych ksiąg po arabsku, zawładnęła nim obsesja docierania do przyczyn każdej choroby. Nigdy nie zadowalała go klasyczna teoria braku równowagi między humorami. Tak samo inna, która za powstawanie chorób winiła złe duchy. A jeszcze mniej te, które powstawanie procesów patologicznych usprawiedliwiała połączeniem pór roku z wiekiem.

On wierzył w istnienie innego rodzaju przyczyn chorób, chociaż nie umiał jeszcze ich nazwać. Poznać je, a potem zwalczać – oto jakie wyzwanie stawało się dla niego coraz ważniejsze i coraz bardziej pociągające.

W jedną z długich, bezsennych nocy przy lekturze owego manuskryptu ujęła go pewna rada Kelsosa. Minęło tysiąc lat od czasu, gdy ją napisał, a jednak zachowała swą moc:

Cyrułek winien być młody, mniej lub więcej, rękę mieć silną i pewną, która nie zadrzy, gotów użyć lewej równie dobrze, jak prawej, wzrok mieć ostry i jasny, a ducha nieustraszonego. Pełen litości i chęci pomocy pacjentowi, nie powinien zważać na jego skargi czy żądania, by działać szybciej lub ciąć mniej niż trzeba; musi robić wszystko tak, jakby bolesne krzyki go nie obchodziły.

Jako weterynarz opuścił ostatnią część tego wywodu, zważywszy brak związku z jego pacjentami, ale przyjął jego ogólny sens.

Zainteresowała go też technika chirurgiczna, którą autor proponował, jak i środki stosowane w leczeniu bardzo już zakażonych ran, jak ałun, hiszpańska mucha, białko jajka czy popioły z salamandry. Sądził też, że podobne właściwości mogą mieć jaszczurka, gołąbek i jaskółka. Postanowił wypróbować je, gdy tylko nadarzy się okazja.

Kolejna zima w Fitero była dużo cięższa niż poprzednie. Śnieg syłał przez cały styczeń i to tak obficie, że nikt nie opuszczał klasztoru.

Tkwiąc w zamknięciu przez tyle czasu, wiele koni zachorowało z powodu słabej wentylacji stajni, niektóre wręcz bliskie były śmierci. Ale, jak zwykle, nikt nie poprosił Diega o radę.

Pewnego dnia brat Servando postanowił upuścić im wszystkim krwi, łącznie z Sabbą, nie zważając na jego protesty. Twierdził, że w ten sposób obniży poziom ich wewnętrznych wód, by powstrzymać ich nieustający katar.

Diego nie wierzył w upuszczanie krwi, gdyż sądził, że płyn ten przenosi nie tylko chorobę, ale i obronę przed nią. Dlatego, jego zdaniem, lepiej byłoby zostawić go na miejscu.

Gdy tylko dowiedział się o planach brata Servanda, zabrał się do potajemnego leczenia Sabby każdej nocy, posługując się własnymi sposobami. Dał jej suszonego leśnego selera, jak to wyczytał u siostry Hildegardy. Kazał jej też wdychać napar przyrządzony z mięty i dębu. Garścią słomy nacierał jej piersi, by je rozgrzać, a następnie nakrywał kocem. Tej nocy, po kryjomu, nawet spał przytulony do jej piersi, by ją ogrzać.

Upłynęło kilka dni i lekarstwa te uzdrowiły Sabbę. Stan jej w widoczny sposób się poprawił na tle innych koni.

Zaledwie w tydzień zmarły cztery zwierzaki, dwa z nich bardzo młode. Mnisi zaczęli się poważnie martwić. Diego zaczął po kryjomu leczyć też parę innych koni, ale ktoś doniósł bratu Servandowi o jego poczynaniach i znów został odesłany do latryn.

Był tam przez dwa tygodnie.

Zaczął już mieć tego dosyć.

Po upływie tego czasu wrócił do stajni, do swych zwykłych robót, ale nie był już taki jak dawniej i nie zachowywał się jak wcześniej. Powziął kilka poważnych decyzji.

Jedną z nich wprowadził w życie trzy dni później, gdy nad ranem zakradł się do klasztornej biblioteki, by znaleźć jeszcze trzy interesujące go książki. Gdy je zdobędzie i przeczyta, uzna swe wykształcenie za zakończone i opuści wreszcie to nieludzkie więzienie.

– Marcos, zrobię to dziś! – Spojrzał na niego z determinacją.

– Tak jak chciałeś, mam ten klucz do biblioteki. Nie wiesz nawet, ile mnie to kosztowało. Brat Tomás śpi na nim, jakby misja ta była celem jego życia. Pamiętaj tylko, że muszę oddać go przed pierwszą modlitwą.

Diego poczekał do północy, by wejść na krużganek i po kręconych schodach wdrapać się na piętro, gdzie znajdowała się biblioteka, dokładnie nad salą kolumnową.

Gdy przekraczał pierwsze łuki, zacisnął mocno pięść, a w niej klucz. Marcos poinstruował go, że ma znaleźć długi korytarz, po prawej stronie, na końcu którego znajdował się jego cel. Na korytarz ten miały wychodzić dwadzieścia cztery cele, w których spali zakonnicy. Gdyby zrobił najmniejszy hałas lub został zauważony, oznaczałoby to dla nich obu spore kłopoty.

Nikogo po drodze nie spotkał.

Było na szczęście zbyt późno, by ktoś jeszcze nie spał. Oparł się na kamiennej balustradzie, okalającej kręcone schodki. Była zimna. Nim postawił nogę na pierwszym schodku, wyteżył słuch. Zdawało się, że wszędzie panuje spokój.

Wszedł w korytarzyk i minął kilkoro pierwszych drzwi. Nie dobiegł jego uszu żaden szczególny dźwięk, nic alarmującego. Tylko potężny chór chrapań i gęsta ciemność. Szedł powoli dalej. Do połowy korytarza nic się nie działo. Wtem usłyszał, jak jedne z drzwi się otwierają. Wystraszony, rzucił się na ziemię. Modlił się, by go nie znalezione. Wyteżając słuch, starał się ocenić odległość, w jakiej znajdował się od niego ów mnich, który jak się okazało, zmierzał w jego stronę. Korytarzyk był wąski. Przyłgął do ściany, jak tylko mógł, dzięki czemu mężczyzna przeszedł obok, nie zauważwszy go. Słuchał jeszcze jego kroków cichnących za rogiem i postanowił szybko ruszać, by nie spotkać go znów, gdy będzie wracał.

Doszedł do dvojga grubych drzwi, które prowadziły do skryptorium i biblioteki. Otworzył je kluczem. Zaskrzypiały niemiłosiernie.

W środku poczuł zapach oleju i cielejącej skóry. Był to materiał, z którego wyrabiano witelinę, rodzaj pergaminu o wiele miększy i stosowniejszy do kopiowania.

Starał się przystosować wzrok do skąpego światła, które wpadało przez dwa okna po prawej stronie. Na wielkim stole zobaczył ułożone w doskonałym porządku tusze i mieszanki oliwy z minerałami do tworzenia rozmaitych barw. Na drugim, nieco mniejszym, znajdował się spory zapas czarnego tuszu, gotowego do użytku. Naliczył tuzin stołów roboczych z rozłożonymi księgami w połowie kopiowania. Patrzył na nie z zachwytem, oczarowany delikatnością ich rysunków, elegancją ich kształtów i doskonałością pisma.

Naraz posłyszał hałas na zewnątrz sali. Pozostał nieruchomy, dopóki się nie upewnił, że nic mu nie grozi. Potem zaczął otwierać wszystkie drzwi, szukając biblioteki, aż w końcu ją znalazł. Gdy tam wszedł, stanął oszołomiony.

Sala mogła mieć wysokość dziesięciu ludzi. Wszystkie jej ściany wyłożono książkami, od podłogi aż po sufit. Niektóre były tak wielkie, że jedna osoba nie mogłaby ich ruszyć. Umieszczone zostały w niszach wykutych w ścianach, na drewnianych półkach.

Pośrodku znajdowały się dwa stoły obłożone literaturą, z rozmaitymi podstawkami, na których opierały się co cięższe księgi.

Spojrzał w górę. W suficie wykutych było pięć okienek, przez które wpadało światło księżycy. Jego niebieskawy odcień, w połączeniu z drobnym, wirującym w powietrzu pyłem, nadawał temu miejscu magiczną, niemal upiorną atmosferę.

Diego poczuł oszołomienie, ale i żal, że nie trafił tu wcześniej. Wszedł w wąski korytarzyk, który okalał wznoszące się ledwie parę stóp nad podłogą półki, i zaczął czytać tytuły na grzbietach.

Drewno skrzypiało pod jego stopami.

Niektóre księgi rozpoznawał, choć większość była mu obca.

Z początku nie wiedział, w jaki sposób są uporządkowane, ale potem zrozumiał, że ułożono je tematycznie. W dwóch pierwszych rzędach po lewej stronie znajdowały się księgi z pieśniami. Były olbrzymie. Do końca tej ściany resztę miejsca zajmowały książki o charakterze religijnym, w tym dwie Biblie niesamowitych rozmiarów, z pozłocanymi okładkami.

Dalej znalazł parę łacińskich traktatów, niektóre już sobie znane,

i parę greckich. Za nimi stały księgi naukowe, zwłaszcza medyczne. Popieścił dłonią ich grzbiety, żądny przeczytania ich wszystkich.

Na końcu sali zobaczył dwie stare szafy. Ich drzwi były zamknięte. Przez plecione okienko w szafie zdołał dojrzeć, co mieściło się w środku. Było tam *La maldición del amor* (Zło miłości), dojrzał też Biblię rabiniczną i jeszcze jeden dziwny okaz, zatytułowany *Opticorum*. Znajdowało się tam również wiele innych ksiąg, prawie wszystkie o ciemnych grzbietach i ponurym wyglądzie. Pomyślał, że muszą to być książki uznane za bezbożne. Przyglądał się jednej za drugą. Tam musiała być ta, której szukał. To po nią przecież tu przyszedł.

Usiłował pokonać zamek, ale nie było pod ręką nic, czym mógłby się posłużyć. Przypomniało mu się, że w skryptorium widział dłuto. Poszedł po nie. Wetknął między drzwi szafy i zrobił dźwignię. Trzasnęło głośno i drzwi stanęły otworem. Mógł już bez kłopotu zobaczyć wszystkie grzbiety. Wreszcie trafił na upragniony tytuł.

– Kim jesteście? – rozległo się za jego plecami.

Diego myślał, że umrze ze strachu. Gdy się odwrócił, stał przed nim mnich o małych świdrujących oczkach. Trzymał oliwną lampkę. Diego chciał uciec, ale mężczyzna był szybszy i schwycił go za kaftan.

– Dokąd chcieliście odejść? – Spojrzał na rozwaloną szafę, a potem na książkę, którą Diego trzymał w rękach. Był to *Mekor Chaim*, dawny traktat filozoficzny oparty na podstawach kabały, napisany prawie dwa wieki wcześniej przez żydowskiego poetę z Malagi o imieniu Salomon ibn Gabirol.

Wyciągnął mu go z rąk i spojrzał głęboko w oczy.

– Czyżbyś był weterynarzem?

Diego skinął głową.

– A wy jesteście brat Tomás...

– Ten sam.

Choć człowiek ten stał się jego dostarczycielem literatury, pierwszy raz ze sobą rozmawiali. Ów pobożny uczony opuszczał bibliotekę tylko na posiłki w refektarzu, na modlitwy w świątyni i na spoczynek w swej celi. Tak mówił o nim kiedyś Marcos.

– Mam nadzieję, że masz jakiś ważny powód, który cię usprawiedliwi. Nie spodziewałem się tego po tobie...

– Nim się wytłumaczę, chciałby podziękować wam za wszystkie te

znakomite książki, które mi...

– Dobrze, w porządku... – przerwał mu – ale omiń formalności i przejdź do sedna.

– Zrobię to, nie martwcie się... Jak do tej pory wszystko, o co za pośrednictwem Marcosa prosiłem, udostępnialiście mi bez kłopotu. Tym razem jednak nie odważyłem się o to prosić... – wskazała na książkę, którą chciał zabrać. – Sądziłem, że może znajdować się wśród ksiąg zakazanych, i dlatego postanowiłem działać na własną rękę. Chciałem ją przeczytać, nie czyniąc was współodpowiedzialnym. Rozumiecie? Taka jest prawda.

– Szczerłość twoja wzbudza we mnie zaufanie. Ale powiedz mi, czego szukasz w tej księdze? Bo jeśli Prawdy, to jej tam nie znajdziesz...

Diego spojrział raz jeszcze na książkę, potem na mnicha.

– Chcę się tylko dowiedzieć, jak myśleli wielcy mędracy z przeszłości. Pragnę wyciągnąć z niej wnioski, które posłużą mi do rozwoju w moim fachu – odparł z przekonaniem.

– Przez naukę filozofii i kabały?

– W Toledo poznałem pewnego uczonego tłumacza, Gerarda de Cremona. Dał mi do przeczytania niewielki fragment tej książki. Twierdził, że lektura jej pozwala zgłębić wiedzę o istocie bytu i nie tylko. Pomaga też zrozumieć chorobę i pośrednio wynaleźć na nią lek, chociaż nie z klasycznego punktu widzenia. On sam potwierdził, że dzięki *Mekor Chaim* nauczył się wielu rzeczy, jak choćby jednej z wielkich prawd o samym istnieniu...

– Widzę, że spotkałeś człowieka o otwartym umyśle, gotowego uczyć się każdej dziedziny wiedzy. Muszę ci powiedzieć, że lubię takie nastawienie, nawet nie wiesz jak bardzo...

Brat Tomás postawił lampkę na stole i palcem nakreślił w kurzu trzy linie.

– Co tu widzisz? Trzy kreski, czy może coś więcej?

– Nie rozumiem. – Diego, zbity z tropu, spojrział najpierw na rysunek, potem na niego.

– Liczby porządkują najwięcej spraw, o których myślimy. Tu masz trójkę, liczbę najdoskonalszą ze wszystkich. Dni, przez które był martwy nasz Pan, Jezus Chrystus. Podstawowe okresy życia, dla każdej

istoty: wzrastanie, dojrzałość i śmierć. Trzy emanacje Trójcy Świętej. Wiesz o tym coś więcej?

Diego pokręcił głową. Zakonnik mówił więc dalej:

– Poeta Wergiliusz mówił, że boskość znajduje upodobanie do liczb nieparzystych. Sądzę, że miał rację, bo w tych niepodzielnych więcej jest nieśmiertelności, nie tak jak w parzystych. A zauważ, że nawet nazwy naszych klasztornych modlitw, jak pierwsza, trzecia czy dziewiąta, odbijają nie tylko godziny, ale też liczby. Ta książka, którą chcesz studiować, też mówi o liczbach, przede wszystkim o ich znaczeniu. – Patrzył na Diega. Ten był ujęty jego słowami.

– Nigdy nie sądziłem, że liczby mogą mieć takie znaczenie...

– Zawrzyjmy umowę. Ja nie powiem nic o twojej wizycie, a ty obiecasz mi utrzymać w tajemnicy to, co ci powiem.

– Macie moje słowo. – Diego położył rękę na sercu na znak przysięgi. Brat Tomás wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Uwielbiam studiować tego rodzaju dawne wierzenia, między innymi kabałę, ale też pochodzące z kultury greckiej lub starożytnego Egiptu. Muszę przyznać, że ze wszystkich czegoś się uczę. Nie ma nic gorszego, niż zamykać się w jakiejś jedynej prawdzie.

– Jeszcze gorsze jest fanatycznie jej bronić.

– Dobrze mówisz, młodzieńcze. Kto przemocą broni swoich racji lub próbuje innym siłą je wpoić, robi tak, gdyż wewnętrznie nie jest ich pewien. Na nieszczęście, w tym klasztorze spotkać możesz mych braci, którzy tak się właśnie zachowują. Wiem na przykład, że brat Servando nie traktował cię należycie, zapewne z zawiści o twój talent albo przez to, że uświadomiłeś mu jego własne ograniczenia.

– Bracie Tomásie, dodaje mi otuchy wiedza, że nieprzejednanie jest dla was oznaką ignorancji.

– To prawda. Mieszkam w klasztorze, gdzie skrywa się mądrość, która bez wątplenia jest dobrem. Lecz zamiast szerzyć ją na cztery strony świata, chowamy ją. Bronimy dostępu do niej temu, kto nie jest duchownym lub rycerzem, pewnie dlatego, by nie dopuścić, by ludzie niskiego stanu, plebejusze, jak ty, zaczęli pewnego dnia myśleć więcej niż to przewidziane. – Westchnął głęboko i zmienił ton głosu, nadając mu większą powagę. – Jestem osobą głębokich przekonań religijnych. Dlatego pragnę wiary bardziej otwartej dla wszystkich ludzi. Nauczonyj,

a nie wymuszonej. Poza tym sędzę, że w każdej z tych ksiąg – wyciągnął ręce, jakby chciał objąć je wszystkie – jest Bóg. Ja Go tam szukam i zapewniam cię, że zwykle Go znajduję.

Diego pomyślał o ubóstwie myślowym, które towarzyszyło życiu brata Servanda w porównaniu z bratem Tomásem. Gdyby tak ten mógł zajmować się stajniami i jego wykształceniem, wszystko byłoby dużo łatwiejsze.

– Znam wszystkie księgi, które drzemią na tych półkach – ciągnął. – Niektóre przeczytałem po dziesięć razy. Żyłem w świecie każdej z nich. Wiem, gdzie stoją, kto jest ich autorem, na jaki są temat. A to ponad siedem tysięcy.

– Czy mogę więc przeczytać tę księgę? – wskazał palcem *Las Fuentes de la Vida* (Źródła życia).

– Zachęcam cię. Może pomóc ci odkryć nowe ścieżki myśli, a także posłużyć ci do pracy, jak dobrze mówisz.

– Czy sędzicie, że przyda mi się w leczeniu?

– Nie możesz nie doceniać jej nauki, nie wiedząc jeszcze, jaki wpływ mają liczby na nasze życie i też na chorobę. Jeśli uczynisz je sprzymierzeńcami, zobaczysz, jak mogą usprawnić wynalezione sposoby leczenia. Spróbuj dawać trzy lekarstwa naraz zamiast dwóch lub stosować lek trzy razy dziennie lub trzy dni z rzędu...

– Wybaczcie moją uwagę. Może wyda się wam głupia. Ale to przypomina mi bardziej magię niż naukę.

– Następną książkę, którą wyślę twojemu koledze, to Katon. Spójrz na nią innymi oczyma. Jako na przykład na to, co mówię. Jest w niej przepis na miksturę dla wołów, którą daje się każdemu wołu po trzy razy przez trzy dni. Zawiera dwanaście składników – iloczyn trzech. A jest to lek na odzeganie bóleści. Znam na pamięć ten przepis. Mówi tak: Jeśli choroby się obawiasz, daj zdrowemu trzy ziarnka soli, trzy liście laurowe, trzy źdźbła pora, trzy ząbki czosnku, trzy ziarnka boswelii, trzy krzaczkę jałowca sabsińskiego, trzy liście ruty, trzy białej winorośli, trzy ziarna białego bobu, trzy płonące węgielki i trzy stopy sześciennego wina. Podawać na czczo tę miksturę wołom przez trzy dni. Co o tym sędzisz?

– Przypominam sobie coś podobnego u Columelli z Kadyksu – odpowiedział Diego. – By przepędzić wzbierające humory w kłopotach

jelitowych, doradzał użycie trzech miarek sporządzonego naparu przez trzy dni. By zaś zapobiec krwotokom, zalecał trzy uncje mielonego czosnku na trzy heminy wina, co odpowiada sześciu stopom sześciennym napoju. A do tego, nie pozwalać zwierzęciu pić przez trzy dni z rzędu.

– A widzisz? Posłuchaj więc mnie i pomyśl czasem o posługiwaniu się liczbami w twojej pracy weterynarza. To ci się może przydać...

– A w innych sprawach? – Diego pomyślał o swym najgorszym wrogu, którym był Pedro de Mora, o swoich siostrach i w końcu o zdobyciu miłości Mencii.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, na przykład gdy będę się modlił. – Diego ukrył swoje prawdziwe myśli.

– Tak, mój synu. Również, gdy będziesz zwracał się do Boga...

XIII

Diego przeczytał ów osobliwy traktat o filozofii i kabale, potem jeszcze Katona *De re rustica*.

Zaszedł wtedy niespodziewany wypadek, który sprawił, że miał do czynienia z najznamienitszym z mieszkańców klasztoru – samym przeorem.

Zdarzyło się to w pewien lutowy poniedziałek, gdy koń jego zaczął w dziwny sposób poruszać łbem. Zamiast wzywać brata Servanda, co normalnie by zrobił, przeor zawołał Diega.

Nie wiedząc jeszcze, w czym rzecz, Diego poszedł do stajni. Dokonał pierwszego oglądu i stan konia go przestraszył. Zdecydował więc, że to nie on poprowadzi kurację, i poprosił, by powiadomić brata Servanda. Nie miał zamiaru po raz kolejny siedzieć w cuchnących latrynach, bo jego mistrz poczuje się niedoceniony.

Brat Servando, gdy poznał jego gest, poczuł się tak wdzięczny, że aż błagał go o obecność podczas badania.

Przeor, również obecny, okazywał wielką troskę, gdyż stan zwierzęcia był poważny.

– Czy bardzo zmarł? – niezbyt fortunnie odezwał się brat Servando.

– Cóż za głupie pytanie... na Boga! – Policzki przeora zapłonęły gniewem. – Czyż nie jesteście jedynym odpowiedzialnym za stajnię? Nie macie pojęcia, co się dzieje pod waszym własnym nosem?

Mężczyzna sprawiał wrażenie w najwyższym stopniu oburzonego.

– Wybaczcie, ojcze przeorze. Miałem na myśli przyczynę, która gdyby się sprawdziła, oznaczałaby bardzo poważne następstwa. Przed

powiedzeniem wam czegokolwiek chciałem się więc upewnić...

Diego zrozumiał, że brat Servando odgadł diagnozę, słuchając jego wypowiedzi.

– Chorował na płuco jakiś rok temu... – przypomniał sobie brat Servando – może nawet dokładnie rok...

– Tak, to prawda. Zapadł na wysoką gorączkę, ale teraz to co innego... – powiedział przeor niespokojnie. – Od paru dni dziwnie porusza głową, a nosem wypływa mu mnóstwo płynu.

– Ma cimirrę – stwierdził brat Servando. – To dolegliwość będąca następstwem tego, co przeszedł w zeszłym roku.

Przeor spojrział na Diega, wypatrując jakiegoś przejawu zaprzeczenia na jego twarzy. Dostrzegł tylko zgodę.

– Zastosuję mu bardzo skuteczne leczenie. Zobaczycie, że prędko powróci do zdrowia.

Twarz Diega wyraziła powątpiewanie, gdy to usłyszał. Na tę chorobę nie było lekarstwa. Spojrział na zakonnika, ale wołał nic nie mówić. Zobaczymy, co zrobi, pomyślał.

Brat Servando polecił obwiązać mu uzdę powrozem, którego końce przytwierdził do haków w ścianie. To po to, by zwierzę nie mogło zbyt łatwo ruszać łbem. Potem otworzył szafę, w której trzymał swoje leki. Wyciągnął z niej pudło pełne kokonów jedwabnika. Policzył je i był bardzo zadowolony.

Przeor patrzył z powątpiewaniem, jak brat Servando układa z nich na ziemi niewielką kupkę, dokładnie pod łbem wierzchowca.

Zaniepokoił się jednak jeszcze bardziej, gdy zaczął je podpalać, by jak twierdził, zwierzę wdychało ich opary.

– Poprzez nozdrza dostaną mu się do mózgu i rozpuszczą zgromadzone tam złe humory – wyjaśniał brat Servando z absolutnym przekonaniem.

– Mam nadzieję! – odparł przeor, zatykając noc. – Woń to zaiste piekielna...

Diego popatrzył na brata Servando, potem na konia. Znał wątpliwe właściwości jego leku i spodziewał się tego, co może nastąpić, odszedł więc parę kroków dalej.

Nie dość zadowolony z efektów paskudnego zapachu, mnich uzdrowiciel poprosił parobka o cienki kijek i kawałek lnianego płótna,

który owinał wokół. Zaczął wypychać go koniowi do nosa, jak gdyby nigdy nic.

– Zrobicie mu krzywdę! – lamentował przeor, dość już rozzłoszczony.

– Nic podobnego. Chcę tylko dosięgnąć humorów i przepędzić je stamtąd. Dolegliwości jego się wyrównają i wydobrzeje.

W tym momencie koń poczuł silne podrażnienie. Diego przeczuł jego reakcję. Próbował ostrzec obydwu zakonników, ale było za późno. Niesamowita ilość śluzu trysnęła z końskich nozdrzy prosto na twarz brata Servanda i biały habit przeora. Diego i wszyscy wokół nie byli w stanie powstrzymać gromkiego wybuchu śmiechu.

Diego od początku wiedział, że to nie uleczy konia, spodziewał się też kary za swój niepoohamowany śmiech. Mimo to cieszył się jak nigdy.

Dostał jeszcze dwa tygodnie odsiadki w swych śmierdzących latrynach, do których zdążył się już przyzwyczać, ale spędził tam już tylko cztery dni. Przez trzy pierwsze nie mógł powstrzymać się od śmiechu, za każdym razem, gdy przypominał sobie tę scenę, ale czwartego dnia wszystko się zmieniło. A to znów za sprawą brata Servanda. Pojawił się jego złowieszczy cień.

Diego pchał właśnie taczkę pełną ludzkich odchodów z zamiarem wyładowania jej na jakimś polu, w pobliżu klasztoru. Gdy przemierzał główny dziedziniec, ujrzał brata Servanda, jak z grobową miną wychodzi ze stajni. Głowę miał spuszczoną i mruczał coś pod nosem sam do siebie. Gdy tylko poczuł ohydny woń, podniósł głowę i zobaczył Diega z taczkami. Zdecydowanie ruszył w jego stronę.

– Wiedziałeś, że z tymi kokonami się nie uda i nie ostrzegłeś mnie, prawda? – Przysunął swoją twarz tak blisko twarzy Diega, że poczuł jego oddech.

– Tak, to prawda – odparł szczerze.

– Tak myślałem... – Dziurki w nosie wzdęły mu się, a oczy zaczęły nabiegać krwią. – Przyniosło mi to bolesne skutki... wiesz? A wszystko z twojej winy!

– Pozwólcie mi łaskawie nie zgodzić się z waszym wnioskiem, ale też muszę przyznać, że coraz mniej mnie obchodzi wasze perypetie.

Diego poszedł dalej, nie zwracając na niego specjalnie uwagi. Dosyć miał już takiego traktowania.

– Stój! – wybiegł przed niego, zagradzając mu drogę. – Przeor odebrał mi właśnie władzę nad stajnią i wysłał mnie do pracy w polu, jakbym był byle kim.

– No, to znakomita wiadomość. W końcu zostawicie mnie w spokoju.

Nie mogąc znaleźć więcej słów na wyrażenie swoich uczuć, brat Servando zareagował na jego odpowiedź w sposób niewyobrażalny. Najpierw wyrwał mu z rąk taczki, a potem wyrzucił je na ziemię, robiąc wściekłą minę. Diego wpadł jednak w jeszcze większe osłupienie, gdy zakonnik zaczął kopać odchody jak szalony, rozrzucając je naokoło.

Diego rozejrzał się za jakimś świadkiem tego zajścia, ale niestety nie było nikogo. Gdy brat Servando uznał swe dzieło za dokonane lub też nie miał więcej materii organicznej do rozsiewania, nie pozostało mu nic innego, jak nakazać chłopakowi posprzątanie.

– Sami to zróbcie. Ja odmawiam! – odrzekł Diego.

Zakonnik, rozsierdzony, spoliczkował go z niewiarygodną siłą i po walił na ziemię.

– Impertynent...

Była to jedyna rzecz, jaką był w stanie jeszcze wypowiedzieć, bo Diego, mając dosyć tego człowieka, rzucił się na niego, pchając z całej siły. Ogromna siła duchownego nie była w stanie pokonać furii Diega. Ku zdziwieniu mnicha, znalazł się on na ziemi i spadały na niego ciosy wściekłych pięści Diega: na policzki, czoło, usta. Diego, wychodząc z siebie, zdołał złamać mu nos, a następne uderzenia skierował w jego brzuch. Brat Servando wołał pomocy.

Diego przestraszył się siebie samego. Sądził, że połamał mu już nie tylko nos, ale też parę zeber. Czuł się jednak świetnie. Gotów był zrobić to samo z resztą jego kości. Przyniosło mu to ulgę po wszystkich mękach, które musiał przejść.

– Miej litość... – prawie płacząc, poprosił go zakonnik.

– Czy wy macie w ogóle pojęcie, czym jest ta cnota? O litość mnie prosicie? – Obejrzał swoje pięści. Były zbroczone krwią. Nie był nawet pewien, czyją. – Macie litość!

Dwoma rękoma złapał jego głowę i zaczął walić nią w kamienne podłoże.

– Puść, zabijesz go! – Diego słyszał, jak ktoś krzyczy mu do ucha, ale nie miał ochoty przestać.

To byli Marcos i brat Jesús. Wracali z zakupów w Corelli, Marcos jeszcze z wizyty u Bernardy. Wszedłszy na dziedziniec, zobaczyli scenę i pośpieszyli, by zatrzymać jatkę.

– Diego! – Przyjaciel z całej siły powstrzymywał go przed zabiciem mnicha. Jego krzyk przebudził go z szaleństwa. Zdumiony patrzył na Marcosa, który pomagał mu wstać.

Wtedy brat Jesús ruszył na pomoc bratu Servandowi.

– Jest ciężko ranny... – zauważył ze smutkiem. – Idę po przeora i po resztę... – pogroził palcem Diegowi. – A wy nie ruszajcie się stąd, póki nie wrócę.

Diego i Marcos zrozumieli natychmiast, że ich pobyt w klasztorze dobiegł końca. Pobiegli do stajni po Sabbę oraz muła Marcosa i odjechali galopem.

CZEŚĆ TRZECIA

Ziemie spokoju

Wszystkich pięć królestw chrześcijańskich podpisało pokojowe pakt z almohadzkim kalifem al-Nasirem, choć każde z nich miało ku temu inny powód. Niektóre knują z nim niecne spiski.

Spory terytorialne i niesnaski pomiędzy królestwami nasilają się. Królestwo Leónu prowadzi walkę z Kastylią i Portugalią, Nawarra zaś z Aragonią i Kastylią.

Bez wspólnego porozumienia każdy projekt mający za cel ostateczny odzyskanie ziem niegdysiejszych Wizygotów, teraz al-Ándalus, skazany jest na fiasko.

Nawet stosunki wewnątrz samych królestw, choćby tak zażyłe jak między chorążym Diegiem Lópezem de Haro i jego królem, Alfonsem VIII Kastylijskim, ulegają załamaniu. Napięcie między nimi wzmagają się do takiego stopnia, że monarcha sięga zbrojnie po swe lenna i włości biskajskie, po czym wiosną 1203 roku rusza do Estelli, do swego leońskiego imiennika, gdzie zbiegi don Diego ze swoimi ludźmi. Zamierzają dopaść go i zemścić się na nim za jego ostatnie zniewagi.

I

Marcos musiał wybierać: jechać z Diegiem do Santa María de Albarracín w poszukiwaniu Mencí czy pozostać w Corelli, gdzie Bernarda przyjęłaby go z ochotą.

Gdyby zdecydował się na to drugie, nie zostałby bez pracy, bo jej rodzina posiadała rozległe ziemie i potrzebowała ludzi do zbiorów.

Ujechali milę od klasztoru. Marcos wciąż milczał. Diego spoglądał nań raz po raz, nie chcąc wywierać na niego presji. Gdy mijali płytką rzeczkę, Marcos w końcu przemówił.

– Wyobrażasz mnie sobie od świtu do zmierzchu schylającego plecy, zlanego potem tylko po to, by naładować taczki kapustą i marchwią, które nigdy nie będą moje?

– Wyobrażam sobie ciebie, ale wtedy, gdy ona słodzi ci odpoczynek...

– Nawet tak, nie... Nie ma mowy!

Marcos pognał muła, by nie zostawać w tyle.

Przez dwie następne mile jechał poważny, z pochyloną głową, pewnie ważąc wciąż swą decyzję. W końcu najpierw zaczął się uśmiechać, a potem śmiać bez przerwy.

– Z czego się tak śmiejesz?

– Gdy mieszkalem jeszcze w Burgos, ten zakonnik, co nauczył mnie czytać i pisać, powiedział mi któregoś dnia, że w Kastylii jest ponad milion ludzi. – Parsknął śmiechem, który wprowadził Diega w jeszcze większe osłupienie.

- Nic nie rozumiem...
- A jeśli ci powiem, że połowa z tego miliona to kobiety?
- Ach, ty łotrzyku, już pojmuję... Nic się nie zmieniłeś, prawda?
- A czyż nie rzekł król Alfons, że z jego prawa my, wszyscy Kastyljczycy, jesteśmy ludźmi wolnymi?
- Tak rzekł, to prawda...

Marcos upajał się pięknem otaczającego krajobrazu. Mijali falujące zbocza, pełne śliw i jabłoni. Dzień był słoneczny, ciepły, a unosząca się bryza dopełniała uczucia rozkoszy. Zbliżył się do drzewka i zerwał dwa dojrzałe, soczyste jabłka. Jedno z nich rzucił Diegowi.

– Czuję się wolny i nie zamierzam być wasalem żadnego rycerza ani szlachcica, jak to czyni wielu na tych ziemiach. Mówią, że robią tak w zamian za ich ochronę. Oddają im swe zboża, mięso, mleko swoich owiec, nieraz nawet swe córki, żeby zadowolić swoich panów. To niedorzeczne... Twierdzę, że tak naprawdę oddają im swoją wolność...

Diego jeszcze nigdy nie słyszał, by ktoś mówił w podobny sposób. Był zdumiony.

- Dlatego też nie chcę zostawać z Bernardą.
- Mój ojciec przez całe życie był wasalem kalatrawensów, dzięki czemu mógł prowadzić gospodę. Z pewnością jednak nie chciał, żebym poszedł w jego ślady. Namawiał mnie, bym zaszedł dalej niż on, znalazł sobie dobry fach, mistrza. Chciał, bym sam był sobie panem i nie zależał od nikogo.

– I jeszcze ci się nie udało?

– Nauczyłem się już prawie wszystkiego, co trzeba, by uprawiać mój fach, mimo wszystkich poświęceń, o których dobrze wiesz. I rzeczywiście, już chyba czas, by wreszcie zrobić użytek z mej wiedzy. Odtąd tym się właśnie zajmę! Fitero okazało się dużo gorsze niż więzienie, ale zdobyłem tam to, na czym mi zależało.

- Nauka nie powinna być taka trudna...
- Święte słowa, Marcosie. Ja też nie rozumiem, czemu tak musi być... Klasztory nie muszą być miejscami ciemnymi i zimnymi, gdzie nieprzejednanie jednych współżyje z dobrem i mądrością drugich. W Fitero poznaliśmy osoby tępe i ograniczone, jak brat Servando, ale też ludzi światłych i życliwych, jak brat Tomás...

Trzy dni później dojechali do miasta Calatayud, już w Królestwie Aragona.

Gdy próbowali dostać się na rynek, natknęli się na liczną grupę rycerzy i powozów z budami, które zagroziły im drogę. Usiłowali ich ominąć i jechać dalej, ale ulice były zatkane przez ów orszak.

Diego zsiadł z konia i podszedł do dziewczyny, która wydawała się nie należeć do grupy.

– Co tu się dzieje?

– To kastylijscy szlachcice. Chyba uciekinierzy... – odpowiedziało dziewczę, oczarowane jego okazałą postawą.

Diego stanął na palcach, żeby spojrzeć dalej poza tłum. Nie dostrzegł jednak żadnego herbu ani bronii czy tarczy, by dowiedzieć się, kim są. Chciał znów zapytać o coś dziewczynę, ale już jej nie było.

– To dziwne – powiedział do Marcosa. – Co mogą robić Kastylijczycy w Aragonii, i to uciekinierzy? Spróbuję się wywiedzieć. Zaczekaj na mnie z końmi – powiedział, podając mu lejce. – Zaraz wracam.

Diego znalazł wyrwę w tłumie i dojrzał do placu. Panowała tam taka wrzawa, że ledwie słyszał tych, których pytał. Ale w końcu, ktoś mu powiedział.

– Jedziemy za don Diegiem Lópezem de Haro.

Diego stanął jak wryty. Nie był w stanie pojąć, jak pan Biskai, którego znał, może uciekać z Kastylii, będąc najwierniejszym sługą jej króla. Wydało mu się to bardzo dziwne.

Poszedł na środek placu. Stała tam spora grupka rycerzy. Zwrócił się do nich.

– Skąd przybywacie?

– Z Estelli – odparł jeden.

Diego wiedział, że to miasto w Nawarze, choć teraz miało to akurat najmniejsze znaczenie.

– Musieliśmy stamtąd wyjechać – tłumaczył mężczyzna, widząc zdziwioną minę Diega – po długim oblężeniu przez Alfonsa VIII i jego kuzyna, króla Leónu. Nie zdołali nas pokonać ani pojmać don Diega López de Haro, ale gdy tylko odeszli, my też musieliśmy odejść...

– Diego z Malagón?

Głos, który zabrzmiał za jego plecami, wydał się znajomy. Gdy się odwrócił, rozpoznał, do kogo należał. Był to don Álvaro Núñez de Lara, małżonek doñi Urraki i zięć pana Biskai.

– Co ty tu robisz?

– To ja was pytam, co tu robicie! – odpowiedział Diego, uśmiechając się od ucha do ucha. Zawsze lubił tego człowieka.

– To długa historia, zapewniam cię. Ale nim ci opowiem, chodź ze mną. Gdy moja żona cię zobaczy, oszaleje z radości. Ile już czasu nie mieliśmy wieści o tobie? Dwa lata?

– Trzy. Byłem w klasztorze, w Fitero.

Don Álvaro, zdziwiony, przyjrzał się jego ubraniu.

– Chyba nie wdziałeś habitu...

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Byłem tam tylko po to, by pogłębić swoją edukację.

Gdy szli w stronę jednego z rogów rynku, don Álvaro dostrzegł, że Diego wciąż spogląda w jedną stronę.

– Jesteś z kimś?

– Tak, podróżuję z dobrym przyjacielem. Muszę go powiadomić. Powiedzcie, gdzie mogę was znaleźć, a wkrótce przyjdę tam razem z nim.

Wrócił do Marcosa, opowiedział mu, co się stało, i ruszyli pod adres, który wskazał don Álvaro. Oczekiwał ich tam wraz z małżonką, donią Urraką.

Kobieta podbiegła do Diega i ucałowała go w policzek.

– Ale się zmieniłeś! – zawołała.

Odkąd widziała go ostatni raz w Toledo, Diego zmężniał, stał się wyższy i bardziej atrakcyjny. Za to ona była tak piękna, jaką ją zapamiętał, a może nawet jeszcze piękniejsza.

Diego przedstawił im Marcosa. Ten oczywiście od pierwszej chwili zakochał się w doñi Urrace.

– Wejdzmy do zajazdu. – Kobieta wskazała wewnątrz domu. – Jesteście głodni?

Gdy czekali, aż zostaną obsłużeni, kobieta ściszonego głosem spytała Diega, czy wie, co stało się z Galibem.

– Nie wiem, o czym mówicie. Nic złego mu się nie stało, prawda?
Czekał na jej odpowiedź z niepokojem. Z oczu próbował wyczytać jej intencje. Czyżby miała na myśli wstrząsające zajście w stajniach? Czy też zamierzała go zganić za jego nielojalność wobec Galiba?

– Wybaczcie, ale nie wiem, o czym mówicie.

Urraca zauważyła jego nerwowość.

– Wkrótce po twoim odejździe Galib porzucił Benazir...

Diego poczuł się okropnie. Z pewnością to on był powodem tej tragedii. Zrobiło mu się żal, najbardziej Galiba, którego kochał jak ojca.

– Nic nie wiedziałem...

– Złe języki zamieszły cię w tę sprawę.

Diego zaczerwienił się. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Ona wiedziała, dlaczego. Odbyla z Benazir długą rozmowę, w której tamta wszystko jej wyznała.

– Nie przejmuj się. Wiem, że postąpiłeś szlachetnie i lojalnie. Powiedziała mi.

Pocieszyło to go trochę.

– A więc Benazir... mieszka dalej w Toledo?

– Nie, wróciła do Sewilli. Chyba znów mieszka ze swoim ojcem, perskim ambasadorem.

Diego zaciskał pięści z wściekłości. Okazało się, że jego rezygnacja nic nie zmieniła. Jeśli gestem tym chciał ocalić honor Benazir, nie dość, że mu się to nie udało, to jeszcze w końcu rozpadło się też jej małżeństwo.

Twarz jego się zasępiła i poczuł w sercu ogromny ciężar.

Don Álvaro natychmiast zmienił temat rozmowy.

– Jeśli przez tyle czasu siedziałeś w cysterskim zakonie, poświęcając się modlitwie i nauce, co wydaje mi się godne chwały, zastanawiam się, jaki może być twój kolejny cel...

– Santa María de Albarracín – odpowiedział za niego Marcos. – Mieszka tam pewna kobieta, która bardzo zawróciła mu w głowie...

Ich rozmówcy spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– My też tam jedziemy. Jak pamiętasz, mój teść powtórnie się ożenił, z jedną z Azagrów. To nazwisko silnie związane jest z tamtą ziemią.

– A kim ona jest...? – przerwała mężowi doña Urraca, płonąć z ciekawości. Zamierzała dowiedzieć się z ust Marcosa, jaka kobieta mogła zawładnąć Diegiem do tego stopnia, że ruszył na jej poszukiwanie.

– Mencía – odpowiedział bez najmniejszego oporu.

– Ale chyba nie Mencía Fernández de Azagra? – Doña Urraca zachmurzyła się. Jeśli to była ona, to związek z Diegiem, plebejuszem, był niemożliwy niczym śnieg na pustyni.

– Ta sama – odparł Diego.

Doña Urraca spojrzała na męża ze smutnym wyrazem twarzy.

– Moja żona i Mencía są kuzynkami... – wyjaśnił don Álvaro.

Dziwna cisza zapanowała przy stole. W końcu Lara znów zaczął mówić. Zdał pobieżną relację z wydarzeń w ich życiu, nie wspominając już o dziewczynie.

– Wkrótce po tamtym przyjęciu zostałem mianowany chorążym Alfonsa VIII w zastępstwie mojego teścia. Ale trwało to bardzo krótko. Spędziliśmy za to wiele miesięcy na oblężeniu Vitorii, wykorzystując nieobecność króla Nawarry, który bawił na arabskich ziemiach.

Diego dał mu do zrozumienia, że ma pojęcie o tej sprawie.

– Jednak napięcia pomiędzy królem Kastylii a moim teściem zaczęły stawać się nieznosne. Podczas oblężenia Vitorii król wykorzystywał ludzi i liczne środki pochodzące z Biskai, ani razu nie prosząc o pozwolenie mojego teścia. Ten bardzo się rozgniewał, gdy się o tym dowiedział, ale jeszcze bardziej, gdy parę miesięcy później doszły go słuchy, iż ten, który się mienił jego przyjacielem i był z tego bardziej dumny niż z tego, że jest królem, stanął po stronie monarchy leońskiego w sporze o jakieś zamki, prowadzonym z nim przez rodzinę Haro.

– Sądziłem, że łączyła ich niemal braterska przyjaźń.

– To prawda, lecz przemieniła się w nienawiść tak ogromną, że teść mój zażądał denaturalizacji.

– A cóż to znaczy?

– To wymówienie wszystkich przywilejów, posiadłości, wpływów, a nawet samej przynależności do królestwa. Tak to króla zgniewało, że musieliśmy czym prędzej uchodzić z Toledo. Pierwszego azylu uświadczyliśmy w Estelli, dzięki monarsze Nawarry, ale parę miesięcy

temu zostaliśmy napadnięci przez połączone oddziały Kastylii i Leónu. Obydwaj monarchowie, niegdyś śmiertelni wrogowie, teraz połączyli swe siły, by dopaść don Diega Lópeza de Haro. Schroniliśmy się w zamku zwanym Zalator, w przepięknej wiosce, w Esteli, i tam stawialiśmy opór.

Nie mogąc dać nam rady, w końcu odpuścili i zostawili twierdzę. Ale wkrótce król Sancho de Navarra wygnał nas ze swych ziem, ulegając presji Alfonsa VIII. A teraz Kastylia stała się dla nas piekłem, Królestwo Nawarry zamknęło przed nami swe wrota, a i Aragonia nie chce udzielić nam azylu. Dlatego też udaliśmy się do Albarracín. Jako że to ziemie niezależne od innych królestw, tam nie dosięgną nas kłopoty. No i panują tam nasi krewni.

Przemiany polityczne interesowały Diega coraz bardziej, choć czasem nie rozumiał ich do końca lub wydawały mu się dość odległe. Cenił króla Kastylii za jego zdecydowaną postawę wobec almohadzkiego fanatyzmu, za politykę opiekuńczą wobec niższych warstw i ustanowienie praw. Za wartościowe uważał jego skłonności do jednoczenia różnych terytoriów hiszpańskich w walce z saraceńskim nieprzyjacielem mimo rozmaitych przykrości, jak ta na przykład, o której właśnie usłyszał, z szacownym kastylijskim rodem.

Gdy don Álvaro mówił, Diego przyglądał mu się. Ten mężczyzna był jednym z najwyższych przedstawicieli kastylijskiej magnaterii i cieszył się ogromnym bogactwem i władzą. Diego zazdrościł mu jednak nie tyle tego, co posiadał, ile tego, jaki był. Don Álvaro miał bowiem cechę, którą on też chciałby mieć: męstwo.

Diego pojął, że bez tego nigdy nie zdoła spełnić danej ojcu obietnicy i osiągnąć zamierzonych w życiu celów. Czy miał taki dar? Nie wiedział.

Minęło już wiele czasu od chwili, gdy nie posłuchał ojca i nie udało mu się obronić swoich sióstr... Teraz też nie wiedział, jakie podjąć działania.

Życie mijało, czas płynął, a Diego żył wciąż z ciężarem zobowiązań, które podpisał własną krwią.

II

By dotrzeć do Santa María de Albarracín, pokonali łańcuch górski Balbanera, przeprawiając się przez jego wschodni kraniec, a następnie pojechali na południe. Po czterech dniach wreszcie postawili pierwsze kroki na tamtych ziemiach.

Diego i Marcos zostali zaproszeni do wspólnej podróży z ekspedycją kastylijską. Był trzydziesty maja, gdy dostrzegli majaczące w oddali magiczne zarysy miasta. Wzniesione na urwistej skale, wyglądało niczym długi język przyklejony do wybrzeża rzeki Guadalaviar.

Miasto otoczone było podwójnym murem. Na jego obrzeżu, w oddaleniu od ludzkich siedzib, widniał niewielki kościółek. Spośród zabudowań wyróżniała się potężna twierdza z wapienia o czerwonym odcieniu. W tym kolorze było tu zresztą wiele innych budowli. Mury całkowicie otaczały i chroniły miasto, na wschodnim krańcu wyraźnie wznosząc się po górkim zboczu.

Tuż przed dotarciem do celu Diego doświadczył tak silnych emocji, że poczuł skurcze w żołądku. Choć pragnął z całych sił ujrzeć Mencię, to wcale nie był pewien, czy ona życzy sobie tego samego. Z ogromnym przejęciem ścisnął list, w którym zapraszała go do Albarracín. Usiłował wyczytać więcej, niż było napisane w jego trzech prostych zdaniach.

Prawie u bram miasta don Diego Lopez de Haro rozpoczął rozmowę ze swym zięciem, Álvarem Núñezem de Lara. Toczyła się ona w pobliżu Marcosa i Diega z Malagón.

– Gdy przybędziemy, przedstawię wam mą szwagierkę, doinę Tere-sę Ibáñez. Jako matka i opiekunka młodego pana Albarracín stała się

głową włości. Ta kobieta to prawdziwa Kastylijka z charakterkiem, zobaczycie sami.

– Dużo nas... Przyjmą nas wszystkich?

– Jak tylko wyjechaliśmy z Estelli, wysłałem emisariusza. Jestem prawie pewien, że przygotowała gościnę dla wszystkich. Najpierw jednak należy ją przywitać.

– Ile lat ma dziedzic?

– Zaledwie jedenaście. Nim osiągnie dojrzałość, majątkiem zarządza zakon Santiago.

Brama Północna stała przed nimi otworem. Oczekiwano ich, ale wjechało przez nią tylko paru rycerzy. Dwukołowe powozy z budami i reszta ciężkiej kawalerii wojennej oraz ładunki zabrane zostały na rozległą równinę poza miastem.

Ulice Albarracin były strome, wąskie i kręte. Odetchnęli więc z ulgą, zostawiwszy większą część drużyny za miastem. Niektóre drogi zwężyły się nieraz do tego stopnia, że niemożliwe było, by dwie osoby swobodnie się minęły.

Przejechali jeszcze po spadzistych drogach, minęli zaludniony plac i znaleźli się na pustej równinie. Po ich prawicy, na skalistym podłożu, zbudowany był przeogromny zamek rodziny Azagrów. Pod wielkim czerwonym portykiem oczekiwali już gospodarze.

Don Diego López de Haro, wraz z jednym ze swych najbliższych żołnierzy, zsiadł szybko z konia, by oddać honory wdowie i jej młodemu synowi, Pedrowi. Obok nich stał kawaler zakonu rycerskiego Santiago i dwie małe jeszcze, niesforne dziewczynki. Stojąc od nich w pewnej odległości, Marcos i Diego obserwowali całą scenę. Nie mogli jednak nigdzie dojrzeć Mencii.

– Witajcie w Albarracin – przywitała doña Teresa don Diega i uściskała swą szwagierkę Todę. Następnie wypchnęła na środek swego syna, by go przedstawić.

– A to musi być... – don Diego przyglądał się chłopakowi.

– Pedro Fernández de Azagra, trzeci pan Albarracin, wasz siostrzeniec – odpowiedział chłopiec dziecinnym jeszcze, lecz zdecydowanym głosem.

Dwie dziewczynki nagle uciekły do zamku. Pobiegły, chichocząc i wesoło pokrzykując, jakby nie obowiązywały ich żadne konwenanse. Na ten widok ich matka przybrała zrozpaczoną minę.

– A te dwie trzpiotki to Belén i Beatriz, wasze siostrzenice. – Przypomniała sobie, że nie przedstawiła jeszcze Ordon z Santiago. – Wybaczcie, zapomniałam przedstawić wam naszego zarządcę...

Obydwaj kasztelani powitali się uprzejmie.

– A moja siostrzenica Mencía? – Doña Toda zdziwiona była jej nieobecnością.

– Mencía jest w Ayerbe, w Aragonii. Pewien możnowładca z tego królestwa, don Fabián Pardo, od miesięcy stara się o jej względy. W końcu wybrała się, by go poznać. – Puściła do nich oko i ściszyła głos. – Jak dla mnie, to mogliby się nawet pobrać, ale zobaczymy, co powie, gdy wróci...

– Czy nie jest to aby sędzia króla Pedra II? – Don Álvarowi nazwisko wydało się znajome. Z drugiej strony pomyślał o Diegu z Malagón i jego niemożliwym do osiągnięcia celu.

– W rzeczy samej – odparła doña Teresa – dlatego też zależy mi, by spotkanie ich było owocne. Jego wpływy na tamtym dworze są ogromne. Ale chodźmy do środka, sądzę, że zechcecie chwilę odpocząć przed kolacją. Moi służący zajmą się końmi i rozmieszczeniem reszty waszych ludzi po mieście. Jeśli macie zostać u nas dłużej, to ważne, aby było wam wszystkim jak najwygodniej. Jestem doprawdy zaszczyczona, mogąc was gościć, i o nic się nie martwcie. Wszystko jest dobrze przygotowane.

Diego i Marcos zostali wzięci za członków wyprawy, zapewniono więc im nocleg. Mieszkanie ich znajdowało się dość daleko od centrum miasta, stan jego był opłakany, a brud w nim wszechobecny, ale przynajmniej była tam stajnia i przepiękne widoki na Santa María de Albaracin.

Gdy oglądali dom, Marcos poczuł prawdziwe obrzydzenie. Potrząsnął workiem z monetami, które zarobił w Fitero.

– To nie jest prawdziwy dom... Poszukajmy sobie innego, gdzie da

się odetchnąć. – Wyciągnął garść złotych monet.

– Nie trwońmy ich. Mogą być potrzebne później. Przyznaję, że jest tu dosyć nędznie, ale inni mogli trafić gorzej. Spróbuj spojrzeć na to mieszkanie innymi oczyma. Na pewno będzie lepiej, gdy się trochę posprząta.

Dokonali ponownego oglądu, by stwierdzić najpilniejsze braki. Ściany były całkiem odrapane, gliniana podłoga przesiąknięta wilgocią i zgnilizną. Na domiar złego, w całym domu unosił się przyprawiający o mdłości zaduch.

– Śmierdzi kozą! – użalał się Marcos.

Diego znowu go zlekceważył. Szansa na to, że ujrzy Mencię, pozwalała mu pokonywać wszelkie przeciwności losu. Marcos, który dobrze go znał, wywnioskował, co sobie może myśleć jego towarzysz, ale on dalej był przygnębiony. Zmęczony dyskusją, kopnął leżący kamień, aż walnął w ścianę. Po uderzeniu oderwał się spory jej kawał, który rozleciał się na podłodze na kawałeczki. Diego przybrał zrezygnowany wyraz twarzy.

Zebrali kupę słomy w najbardziej osłoniętym kącie, żeby przespać tam pierwszą noc. Nie sądzili, że to nędzne łóżko, oprócz zasłużonego odpoczynku, zapewni im jeszcze niechciane towarzystwo: tuziny pcheł żądnych krwi.

Gdy tylko wstał świt, Diego ruszył do miasta, by zapytać o Mencię. Przekroczył zachodnią bramę i od razu znalazł wielką kuźnię. Były w niej trzy paleniska i pięciu mężczyzn kujących żelazo. Przypomniała mu się kuźnia Galiba w Toledo. Tu zapytał o Mencię po raz pierwszy. Nikt jednak nie był w stanie powiedzieć mu, gdzie się znajduje.

Poszedł parę ulic w głąb miasta. Zaczepiał po drodze ludzi.

– To dobra dziewczyna – powiedziała jakaś staruszka.

Usłyszał jeszcze wiele innych opinii, na przykład jakiś pasterz przysięgał, iż nie poznał nigdy kobiety piękniejszej od Mencii, a pewna pulchna staruszka zapewniała go, że słodka jest jak miód.

Przeważnie jednak odsyłano go do zamku, by tam zapytał. Po drodze zatrzymał jeszcze jakiegoś duchownego.

– Nie ma jej w mieście.
– A czy wiecie, gdzie pojechała? Czy prędko wróci?
– Cóż ja mogę wiedzieć, kiedy zajmuję się tylko kontemplacją i modlitwą, synu...

Przytłoczony brakiem wieści, poszedł dalej, na rynek. Był tam targ. Wpadł na roześmianą dziewczynę niosącą wielki koszyk.

Miał szczęście. Okazało się, że jest służącą Azagrów.

– Nie wiemy, kiedy wróci, ale nie wcześniej niż za tydzień... – Dziewczyna spytała sprzedawcę, czy ma bażanty.

– Ale dokąd pojechała? – dopytywał się Diego.

– A czy ty ją znasz? Nie muszę ci tego mówić. Kim ty jesteś, żeby tak o nią wypytywać? Przyjechałeś razem z Kastylijczykami?

Diego odpowiadał na wszystkie pytania, chodząc za nią krok w krok, od jednego stoiska do drugiego. Przez tę jego natarczywość dziewczyna zaczęła mieć go dosyć. Zawróciła, by obejrzeć koronki, i wpadła na niego znów.

– Dasz mi wreszcie spokój?

– Błagam cię... Muszę dowiedzieć się o niej więcej... – Diego schwycił ją za kaftan, by mu nie uciekła, a ona, obrażona, próbowała się wyrwać.

– Puść mnie...

– Nie puszczę, dopóki mi nie powiesz.

Zapłonęły jej policzki, spojrzała gniewnie i krzyżąc w głos, zawołała strażę. Na krótko zapadła cisza, potem cichy pomruk przeszedł tłum. Ludzie zaczęli wytykać go palcami. Paru mężczyzn, robiąc nieprzyjazne miny, ruszyło w jego stronę. Nie chcąc więcej kłopotów, oddalił się czym prędzej.

Marcos, nie chcąc zwlekać ani dnia, ruszył w miasto, rozejrzeć się za jakąś robotą. Szczęście mu nie dopisywało. Nie miał fachu w ręku, a zdawało się, że pracy nie zbywa. Przekonywał Diega, by spróbował swych sił jako weterynarz, nie wiedząc jeszcze, że nieodzowne jest do tego błogosławieństwo Azagrów. Gdy się o tym dowiedział, Diego postanowił poprosić o pomoc don Álvara Núñeza de Lare, ale też się nie udało. Powiedziano mu, że wyjechał z miasta i nikt nie wie, kiedy wróci.

Nic im się nie układało. Byli w Albarracin już cztery dni, gdy naraz z samego rana spotkała ich niespodziewana wizyta. Drzwi otworzył Diego.

– Wdowa chce z wami mówić. Natychmiast idźcie do zamku! – Mężczyzna przedstawił się jako służący doñi Teresy. Gdy tylko otrzymał potwierdzenie, oddalił się równie szybko, jak przybył.

Diego od razu wyruszył na spotkanie, nie mogąc pojąć, czego może od niego chcieć matka Mencíi. Pieszko przemierzył miasto, aż dotarł do wejścia do zamku, gdzie przedstawił się strażnikowi. Ten poprosił go, by zaczekał, i obwieścił jego przybycie. Zarówno jeden, jak i drugi zadziwili się, gdy doña Teresa pojawiła się osobiście na jego powitanie.

– Jesteś weterynarzem, Diego de Malagón, prawda? – Ta czterdziestoparoletnia kobieta szczyliła się wspaniałą figurą. Zadbany wygląd czynił ją jeszcze młodszą. – Wczoraj wieczorem słyszałam o tobie wiele dobrego. Dlatego też posłałam po ciebie.

Chciałabym, abyś coś zobaczył...

– Mówcie, pani. – Diego poczuł się swobodnie, ale nie był to brak szacunku. Zobaczył u niej oczy Mencíi, oczy, które go urzekły.

Doña Teresa poprowadziła go do zamkowych stajni. Jej twarz wyrażała jakąś troskę. Don Álvaro wiele mówił jej o Diegu, ale pominął coś bardzo ważnego: jego wielki urok osobisty. Wyobrażała sobie zwykłego prostaka, jakimi zazwyczaj byli ludzie z plebsu, tymczasem stanął przed nią młodzieniec o wspaniałych manierach i nienagannej prezencji.

– Zaledwie miesiąc temu opuścił nas nasz weterynarz, Żyd o świetnym oku i ogromnej wiedzy. Został wezwany przez almohadzkiego gubernatora Walencji. Sądziliśmy, że tylko na jedną poradę, ale nigdy już nie wrócił... – Kobieta zdecydowanym ruchem popchnęła drzwi do stajni i w milczeniu przeszła długim korytarzem, który prowadził do jasnej, przestronnej sali. Tam wróciła do rozmowy. – I chodzi o to, że bardzo przydałby się nam nowy weterynarz, który zająłby się naszym miastem.

– Jeśli macie na myśli mnie, to oczywiście byłoby znakomicie...

Po jego słowach doña Teresa nagle zamilkła. Jej usta lekko zadrżały, a po chwili powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Jeśli mam na myśli ciebie, mówisz... – Patrzyła pod nogi, żeby zobaczyć, gdzie stąpa, gdyż leżało tu pełno łajna. Diego poczuł się niezręcznie. To pewnie te oczy. – Być może... No dobrze, tak naprawdę to mam teraz poważny problem... A ściślej mówiąc, nie ja go mam, tylko moja klacz. Jeśli zdołasz sprawić, by odzyskała radość, dostaniesz tę pracę. Co o tym sądzisz? – złośliwy ogień pojawił się w jej oczach.

– Byłbym zaszczycony, ale uszczęśliwić konia, to nie jest praca, o której piszą w moich księgach. Sądzę, że zwierzę to cierpi na jakąś chorobę i ona powoduje jego smutek. W tej sprawie mogę wam pomóc.

– Oczywiście... Jeśli jest obolała, to z powodu grzbietu. Ma tam opuchliznę i wrzody od tygodnia. Nie mogę jej więc dosiadać, to jasne. Ale najgorsze, że widzę ją smutną, bez apetytu, bez wigoru.

Diego zaczął się zastanawiać. To mało istotny uraz. Jeśli jedyna próba, od której miałyby zależeć, czy dostanie pracę weterynarza, polegałaby na tym, to byłoby zbyt proste. Coś tu nie pasowało.

Klacz była precyzyjnym okazem siwej maści, o długiej grzywie i żywych, ciemnych oczach. Ale nie to wyróżniało ją najbardziej. Była w niej jakaś niezwykła moc. Potrząsała ogonem z taką siłą, że aż świszczało. Diego rozpoznał w tym oznakę największego rozdrażnienia.

Gdy podszedł, zwierzę zarżało przeraźliwie. Podsunął jej obie ręce, by je obwąchała, ale w odróżnieniu od innych zwierząt, klacz nie okazała nimi żadnego zainteresowania. Wręcz przeciwnie, uniosła przednie kopyta, gdy tylko się zbliżył, przyjmując agresywną postawę.

Doña Teresa przystanąła za ogrodzeniem, obserwując reakcje i zaczepki Furii, bo tak się nazywała. Była to najbardziej agresywna i niebezpieczna z jej klaczy. Wszyscy się jej bali. Nie chciała jej stracić.

Furia mogła posłużyć do tego, by wystawić na próbę każdego, kto przyszedłby do pracy, czy to jako weterynarz, czy też zarządca stajni.

– Wiadomo wam może, czy chętnie wierzga?

Diego oddalił się o jakieś dziesięć, dwanaście piędzi od zwierzęcia, by widziało go na wprost. Wiedział, że patrząc z małych odległości, zwierzęta nie są w stanie skupić się dobrze na jakimś przedmiocie, jeśli nie pochylą łba.

– Właściwie... Jest trochę podenerwowana, ale to nic poważnego – skłamała mu doña Teresa.

Klacz nie reagowała na nic, co robił. W końcu, znudzona, zaczęła przebierać kopytem. Diego postanowił niezwłocznie się do niej zabrać. Zaczął mówić do niej szeptem i ją głaskać.

Najpierw po grzbiecie, a potem po zadzie, omijając rzecz jasna chore miejsca.

W końcu doszedł do okolic ogona.

To chyba rozproszyło konia, a Diega uczyniło zbyt pewnym i nie przewidział jego następnej reakcji. Furia zaczęła, aż znajdzie się za jej zadem, by z niezwykłą szybkością i złością przygnieść go do ściany.

Diego napiął mięśnie, by oprzeć się presji, jaką wywierała na niego, i wziął wielki haust powietrza, by wzmocnić swą klatkę piersiową. Wstrzymał oddech i spojrzał na doñę Teresę, nie mogąc ukryć panicznego wyrazu twarzy. Wydawała się nie przejmować zbyt sytuacją, bo mówiła spokojnie dalej:

– Jest trochę narwana... Poprzedniemu weterynarzowi któregoś razu nadepnęła tak mocno na jeden tylko palec u nogi, że całkiem mu go zgmiotła. Ale jest bardzo mądra. Kiedy widzi, że ofiara nie może się już z nią bawić, zostawia ją.

Diego wydał z siebie cichy, prawie niedosłyszalny jęk. Modlił się, by klaczy jak najprędzej się znudziło i by mógł odzyskać oddech. I miał szczęście.

Zwierzę zainteresował wróbel, który usiadł przy wodopoju. Zostało więc Diega, który przylot wróbla uznał za cud. Uciekł aż do płotu, zza którego doña Teresa ze złośliwym uśmiechem oczekiwała na jego kolejną reakcję. Od determinacji, którą miał teraz okazać, zależec miała jego przydatność do pracy. Rozpoczął się decydujący etap próby.

– Dobrze się czujesz? – Twarz Diega była tak czerwona, jakby zaraz miała się zapalić.

– Tak, tak... Wspaniale.

Odetchnął trzy razy głęboko, nabrał sił i znowu ruszył w stronę Furii. To pokazało, że jest typem, którego niełatwo złamać. Wprost przeciwnie. Diego uważał się za jednego z tych, których przeciwności wzmacniają. Jeszcze o tym nie wiedząc, właśnie zdał egzamin. Zachował

się dokładnie tak, jak doña Teresa sobie życzyła.

Diego przyjrzał się owrzodzeniom klaczy. Niewątpliwie powstały od nadmiernego pocenia się i ocierania siodłem. Niektóre były otwarte i sączyła się z nich żółta ropa o okropnym zapachu. Wyciągnął skalpel ze swej walizeczki i ponacinał suche krawędzie skóry. Wiedział, że w ten sposób nie zrobi zwierzęciu krzywdy. Podniósł jeden ze strupni, żeby sprawdzić, jak się rozwinęły.

Doña Teresa, zaskoczona sprawnością jego rąk, pozwoliła mu działać spokojnie, nie chcąc go rozpraszać. Obserwowała tylko wszystkie jego ruchy i wyrzekła w końcu:

– Masz tę pracę.

Diego poczuł się bardzo zadowolony. Wreszcie będzie miał sposobność, by uprawiać swój fach, nie będąc zależnym, jak wcześniej, od mistrza, który zawsze ma ostatnie słowo. Poczuł, jak dreszcz satysfakcji przebiega go od stóp do głów, a między nim i wdową opada napięcie.

– Poznałem waszą córkę, Mencię.

– Ach, tak?

– W Olite. Jakieś trzy miesiące temu podczas gonitw rycerskich.

– Teraz, jak to powiedziałeś, wydaje mi się, że coś o tobie słyszałam...

– Ona wam mówiła?

– Nie pamiętam...

– Pomogła mi uleczyć rannego w szyję konia.

– Nie wiedziałam...

– Potem pchnięto mnie sztyletem, a ona była przy mnie.

– Ach... to straszne, rozumiem... – odpowiedziała machinalnie. –

Czy czegoś ode mnie będziesz potrzebował? Muszę teraz iść na ważne spotkanie.

Diego odwrócił się do jej klaczy.

– Do leczenia potrzebny mi będzie ocet, smoła, szałwia, siarka i trochę oliwy. Aha! I jeszcze fartuch.

– Dopilnuję, żeby wszystko to ci przynieśli – powiedziała, zbierając się do wyjścia.

Diego chciał zapytać, kiedy wróci jej córka, ale doña Teresa nie dała mu do tego okazji.

– Nakazę posprzątać i przygotować pokój – mieszkanie weterynarza. Jest niedaleko stąd i powinno ci się spodobać. Ma dużą stajnię, gdzie będziesz mógł umieścić konie, które masz leczyć albo których masz doglądać. W domu jest służba, która od tej pory będzie do twojej dyspozycji.

Przed samym wyjściem zawróciła.

– Aha... płacić ci będę sto soldów tygodniowo. Jeśli się zgadzasz, już jutro obwieszczę twoje powołanie.

III

Mencía wracała do domu pełna obaw.

Wjechała do Santa María de Albarracín z niewielkim orszakiem rycerzy, dwójką służących i trzema damami dworu.

Na swe własne życzenie podróżowała konno, wbrew woli jej pretendenta Fabiána Pardo, który przewidział dla niej karcę z wielkim orszakiem. Tak bardzo chciała opuścić już jego zamek, że nie zamierzała oczekiwać dłużej na powóz, który miał ściągnąć z innej ze swych twierdz. Sześć długich dni na końskim grzbiecie kompletnie ją wykończyło.

Przekonała się, że Fabián jest nią oczarowany, a poza tym, że choć powoli wchodził już w wiek średni, trzyma się całkiem nieźle. Powinowactwo z aragońską rodziną królewską zapewniało mu wysoką pozycję społeczną, rozległe włości i spory majątek. Miał jeszcze inne zalety: był biegły w grze na klawesynie, lubił malarstwo, strzelectwo, a nade wszystko ubóstwiał czytać.

Mencía powracała z wyjazdu, smakując gorzki owoc sprzecznych emocji. Od małości nienawidziła, by organizowano jej życie. I jedynie z tej przyczyny mężczyzna ten z góry skazany był na jej niechęć. Przekonała się jednak, że Fabián postarał się bardzo, by przezwyciężyć ten stan. Nie zawahał się zastosować najbardziej wyrafinowanych sztuk uwodzenia. Zaangażowanie jego było tak poważne, że nawet udało mu się początkowo zdobyć jej zainteresowanie.

Była pewna, że każda inna kobieta na jej miejscu padłaby ofiarą jego osobistego uroku. Ale nie ona. Gdy tylko go zobaczyła, wiedziała już, że nigdy za niego nie wyjdzie.

Jej powrót do Santa María uczczono hucznie. Radośnie były kościelne dzwony, przyciągając uwagę wszystkich mieszkańców.

– Skąd ten rwetes? – Diego i Marcos w swoim nowym domu zasiadali do śniadania.

– Dziś trzeci dzień czerwca. Nie przypominam sobie, żeby wypadało jakieś święto. – Diego wychylił się przez okno na piętrze. – Lud wiwatuje i pozdrawia jakiś niewielki orszak, ale nie widzę, kto jedzie.

Usiadł z powrotem do stołu, ale nim zabrał się do talerza przepysznego bobu, spojrzął na Marcosa. W jego wyrazie twarzy było coś lekko niepokojącego, a zarazem znajomego.

– Od paru dni widzę, że gdzieś biegniesz... A znając cię, chodzi albo o kobiety, albo o pieniądze, albo o jedno i drugie. Mam rację?

Marcos uśmiechnął się niewymuszenie.

– Albo jestem otwartą księgą, albo to ty jesteś bardzo przenikliwy.

Nalał sobie kwaterkę wina, drugą Diegowi i wypił jednym haustem.

– Nie chodzi o kobiety. Po prostu muszę się czymś zająć. – Marcos zrobił się szczerzy. – Rozpytywałem wokół o pracę. Okazało się, że poza trzema kopalniami soli w pobliżu i ogólnie handlem podstawowe dochody tego miasta pochodzą z wełny. No i może jeszcze ze sprzedaży baranków do sąsiedniego królestwa, Aragonii. Pamiętasz pewnie, że po drodze widzieliśmy wiele stad, przed samym wjazdem do miasta, ale na południowy wschód, w stronę Walencji, jest ich chyba jeszcze więcej.

– Zawód owczarza nie byłby dla ciebie zły. Mógłbyś włóczyć się po polach za pasterczkami... – powiedział Diego, starając się wybadać, jak poważne są jego plany.

– Nic z tych rzeczy. Zupełnie nie o to mi chodzi – odpowiedział poważnie. – Dowiedziałem się jeszcze, że po drugiej stronie granicy, w Królestwie Walencji, Saraceni uwielbiają owcze mięso. Nie tak jak u nas, gdzie woli się jagnięcinę.

Wstał i zaczął chodzić wokół stołu.

– I popatrz, przyjeżdżają aż do Santa María de Albarracin kupować wełnę...

- Już rozumiem. Wymyśliłeś, żeby brali też owce.
- Otóż to.
- Jest jednak jedna przeszkoda. Wątpię, by pasterze chcieli je sprzedać. Zwykle pozbywają się ich tylko wtedy, gdy są chore lub zbyt stare.
- To prawda, ale gdybyśmy tak wzięli tylko te najstarsze?
- Co ty na to, żeby zamknąć je na parę tygodni i utuczyc jęczmie- niem? To niezwykle pospolite w tej okolicy zboże... – Obiema rękami oparł się o stół.
- Ach tak... Spasione, chociaż stare. Saraceni wezmą je i dobrze zapłacą.
- Taki mam plan. Kupimy je tanio od owczarzy, utuczymy w ko- szarze i sprzedamy dwa razy drożej.
- Nieźle pomyślane, ale wątpię, czy to zadziała bez dobrego ukła- du z Saracenami...
- Nazywa się Abu Mizrain.
- Kpisz sobie ze mnie? – Diego pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Jesteśmy tu ledwie miesiąc i już jednego poznałeś?
- To kupiec, który mieszka na południe od Walencji i co dwa ty- godnie przyjeżdża do Albarracin po wełnę. Był właśnie wczoraj i chwi- lę z nim pogadałem. Choć wielu zajmuje się tym samym, on ma jedną zaletę, której brak pozostałym.
- Poznałeś innych kupców?
- Nie, ale słyszałem różne rzeczy...
- Nie bądź więc tak skąpy w słowach i podziel się ze mną.
- Inni jeżdżą sami.
- I co w tym złego?
- Abu Mizrain zawsze ze swą córką. – Westchnął, robiąc cielece oczy. – Śliczna... I chyba mnie lubi.
- No, teraz zaczynam wszystko rozumieć... – Diego otwartą dłonią klepnął go w kark. – I domyślam się, że znalazłeś już miejsce, gdzie będziesz je tuczyc...
- Jeszcze nie, ale zamierzałem poszukać go jeszcze dziś. Idziesz ze mną?

Parę ulic dalej doña Teresa Ibáñez przyjmowała swoją córkę, głodna wieści. Badawczo przyglądała się jej twarzy, pragnąc dojrzeć choć cień zadowolenia. Jak można się było spodziewać, Mencía okazała się nieuległa.

Ledwie ją pocałowała, zapytała o wszystko wprost, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

– Matko, daj mi spokój. Nie męcz mnie. Teraz marzę tylko o długiej kąpieli i pozbyciu się tego całego brudu. – Potrząsnęła suknią, aż wzbił się tuman pyłu. – Jestem wykończona, opowiem ci później.

– Ale czy ci się spodobał? Przystojny chociaż? – Doña Teresa chwyciła ją za rękę, gdy wchodziły do zamku i po schodach wspiwały się do komnat. – Z tego, co słyszałam, jest bardzo poważany na dworze króla Pedra II, a poza tym szalenie zamożny... – Pytania i komentarze następowały po sobie, nie dając czasu dziewczynie na odpowiedź. – Jak podobał ci się jego zamek? Na pewno potraktował cię jak królową. Jakiego koloru ma oczy? Czy wyznaczycie już termin ślubu? Sądzę, że król Pedro de Aragon przybędzie na ceremonię...

– Matko! – musiała podnieść głos, by ją wreszcie uciszyć.

– No dobrze... Nie było cię trzy tygodnie i bardzo za tobą tęskniłam – odparła. – Tak się smuciłam... Odjechałaś w tak złym humorze, że bardzo się martwiłam. – Oczy jej zasły mgłą i wytoczyła się z nich łza. – Nie wyobrażasz sobie nawet, jak cierpi matka, gdy widzi, jak jej córka staje się kobietą, kiedy wyrusza na poszukiwanie nowego życia jak ty, nowego życia u boku tego mężczyzny...

– Dosyć! Przestań w kółko mówić o jednym i tym samym.

– Ale jak możesz chcieć, bym cię zostawiła, gdy nie powiedziałaś mi jeszcze nic o swych odczuciach...

Mencía westchnęła ciężko, dając za wygraną. Stała w drzwiach łazienki.

– Dobrze. Powiem ci. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, powiem to teraz. Uważam, że nie jest to mężczyzna dla mnie. Tak widzę to obecnie, chociaż przyznaję, że spodobał mi się bardziej, niż sobie wyobrażałam.

Po tym krótkim zdaniu zamknęła jej drzwi przed nosem, ale dońę Teresę to nie zmartwiło. Na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech. Wobec tego, co oczekiwała usłyszeć, zabrzmiało to jak chóry anielskie.

Nim znikła w długim korytarzu, usłyszała jeszcze, jak drzwi łazienki się otwierają. Odwróciła się i ujrzała wychylającą się przez nie Mencię.

– Po drodze widziałam mnóstwo nieznajomych rycerzy. Kto to?

– Przybyła twoja ciotka, Toda, wraz ze swym nowym małżonkiem, don Diegiem Lópezem de Haro. Wiesz już o problemach, które miał on z królem Alfonsem Kastyljskim. Odkąd go wysiedlono, biedaczek tuła się z miejsca na miejsce. Przyjechali właśnie z Estelli i pozwoliłam im zostać tu tak długo, jak zechcą.

– Zawsze byłaś taka dobra, matko.

Mencía zawołała jedną ze swych dworek, by przygotowała jej kąpiel i pomogła się rozebrać.

Naga stanęła w milczeniu przed lustrem, czekając na gorącą wodę. Przyjrzała się swemu odbiciu. Zmierzyła wzrokiem swe krągłości, gładkość i biel skóry. Nagle przypomniała sobie Fabiána, co wywołało u niej gwałtowny dreszcz. Nie pragnęła tego mężczyzny i nie wyobrażała go sobie jako obiekt swych namiętności.

Usłyszała, że balia z wodą jest pełna. Podeszła do niej. Wsadziła do środka jedną nogę, po czym całkiem się zanurzyła. Gdy wychodziła z kąpieli, odetchnęła przeciągle i rozkosznie.

Pozostało jej tylko przekonać matkę, by zaakceptowała jej punkt widzenia...

– Będzie ciężko – powiedziała do siebie na głos.

– Trzeba wam jeszcze czegoś, pani?

– Niczego, Berto, niczego...

IV

Diego zdążył się już dowiedzieć, że Mencía wróciła do miasta, ale minęły dwa dni i nie udało mu się jej zobaczyć.

Zaczął pracę bardzo wcześnie, bo o świcie, gdy klienci wzywali go do swych koni i mułów, wychodząc do pracy w polu. Gdy coś zaczęło im dolegać, niezwłocznie go powiadamiali.

Mencía wychodziła z zamku też bardzo wcześnie, na mszę, ale szła niedaleko, zaledwie parę wiorst, i to nie w strony, gdzie mieszkali chłopci. Dlatego nigdy nie mogli się spotkać. Resztę poranka spędzała w swoich murach z nauczycielami muzyki, malarstwa i poezji. Popołudniami wybierała się na konne przejażdżki po okolicach miasta.

Diego przez te dni nie widywał też Marcosa. Wyjechał z Albarracin po owce, którymi zamierzał zapełnić wydzierżawiony koszar. Był dość spory i znajdował się dwie mile od miasta na południowy wschód.

Podczas jego nieobecności Diego nie miał z kim podzielić się swoim ciężarem, który poczuł, gdy dowiedział się o prawdziwej przyczynie pobytu Mencii na ziemiach Aragonii. Od tej chwili wszystko w nim zamarło. Marzenie o tym, że ona kiedyś będzie jego, rozmyło się równie szybko, jak nieznośny ból nawiedził jego duszę.

Następnego ranka, po tym, jak się o tym dowiedział, zrozpaczony, postanowił udać się do bram zamku i zapytać o nią wprost. Miał dosyć już tego, że jeszcze się z nią nie widział.

Gdy czekał, niechcący podsłuchał rozmowę dwóch mnichów, która spowodowała, że zmienił plany.

– W południe – mówił jeden – arcybiskup poświęci budowę nowej katedry. Przyjdiesz?

– Jakże mógłbym opuścić taką uroczystość? – odparł drugi. – Z pewnością miasto oszaleje na takie święto.

Diego pomyślał sobie, że Mencía na pewno przyjdzie na uroczystość i tam ją spotka. Wsiadł na Sabbę i ruszył na południowy kraniec miasta, do kościoła Świętej Marii. Tam czekała na niego mulica kapełana i jej nękanie przez robaki jelita. Uznał, że niezależnie od tego, ile czasu zabierze mu ksiądz, zdąży na poświęcenie.

Już parę godzin później tłumy przelewały się wąskimi, stromymi uliczkami miasta, które wypełniała zaraźliwa wesołość mnóstwa biegających tu dzieci.

Diego pokonywał je z niemalym trudem, aż dotarł na rynek. Raz jeszcze z zachwytem obejrzał stojące tam domki. Wzniesione były na jednej skale. Ich ściany z czerwonego gipsu opierały się na solidnych drewnianych stemplach. Zwraçały też uwagę kratownice w oknach i kasetonowe sufity.

Minął rynek i zatrzymał się na końcu następnej stromej ulicy, w miejscu, gdzie miała być wzniesiona katedra.

Na tę chwilę budowla swą wysokością nie przekraczała wzrostu dwóch ludzi, ale co dzień widać było, jak rośnie. Obok stała drewniana trybuna wyścielona kobiercem, figura Chrystusa i cztery wielkie gromnice w oczekiwaniu na przybycie arcybiskupa i władz miejskich. Diego, przepychając się, znalazł sobie miejsce na uboczu, ale możliwie najbliższej trasy przejścia orszaku. Stamtąd obserwował przygotowania.

– Nie sądziłem, że cię tu spotkam, weterynarzu z Albarracin.

Diego rozpoznał głos don Álvara Núñeza de Lara.

– A widzicie... Lubię takie obrzędy religijne.

– Nie wiem, czy ci wierzyć, czy domyślać się innych powodów...

– Nie mylicie się. W rzeczywistości przyszedłem tu, by zobaczyć Mencię...

Don Álvaro nie wiedział, czy Diego jest na bieżąco w sprawach relacji z aragońskim szlachcicem. Uznał za stosowne, by mu powiedzieć.

– Przykro mi, ale mam dla ciebie niedobłą wiadomość...

– Nie martwcie się – przerwał mu. – Wiem, że była w Ayerbe...

- Mam więc nadzieję, że o niej zapomniałeś.
- Nie. Jeszcze nie.
- Ależ, Diego... – ze współczuciem objął go ramieniem. – Co ty chcesz osiągnąć? Pewnie nawet o tobie nie pamięta...
- Chcę tylko z nią pomówić i spojrzeć w jej oczy. Muszę wiedzieć, czy coś znaczę w jej życiu, czy nie.

Don Alvarowi zrobiło się go żal. Choć pomyślał, że Diego powinien sam zmierzyć się z prawdą, postanowił mu pomóc. Upieranie się, by zdobyć miłość Mencii, było absurdalne, wiedział o tym. Trzeba więc wybić mu z głowy wszystko, co mogłoby mieć jakiś z nią związek. Teraz jednak miał do załatwienia sprawy, których nie mógł zaniedbać...

– Porozmawiałbym o tym z tobą na spokojnie... – Diega zdziwiło to nagłe zainteresowanie. – Każdego ranka ćwiczę trochę, wiesz, strzelanie z łuku, fechtunek... Może byś tak przyszedł rano, to pogadamy?

– Z przyjemnością. Nigdy tego nie widziałem, może mógłbym się od was trochę nauczyć...

– Z mojej strony nie widzę problemu. Może o pierwszej nad rzeką?

– Będę. – Uścisnął jego dłoń.

– Dobrze, zostawiam cię. Teraz muszę zabrać moją żonę przed procesją.

Nim rozpoczęła się uroczystość, Diego wynalazł sobie rozrywkę w postaci obserwowania publiczności. Koło niego stało dwóch bezzębnych chłopów o twarzach pomarszczonych jak rodzyнки, tak brzydkich, że jeszcze w życiu takich nie widział, którzy bez przerwy się zaśmiewali. Nikt nie wiedział z czego, ale śmiali się tak spontanicznie, że zarazili wkrótce wszystkich wokół. I tak, jako jeden z roześmianego tłumu, zobaczył ją.

Twarz miała skrytą pod niebieskim welonem. Szła pod rękę z matką, w procesji za młodym panem Albarracin.

Wykrzyknął jej imię, jednak jego głos utonął w powszechnej wrzawie. Zaczął wymachiwać rękami, próbując zwrócić jej uwagę, lecz też nic nie osiągnął. Od miejsca ceremonii dzieliło go ledwie sto stóp. Zapragnął się tam przedostać, ale tłum mu na to nie pozwalał. Jedni klęli,

drudzy odpychali go, mimo to udało mu się zająć dobre miejsce. Nie takie, jakie wcześniej planował, niemniej jeszcze bliższe trasy, którą przechodził orszak i którą będzie wracał. I tam już został, oparty o drewnianą barierkę, w pierwszym rzędzie, nieco z dala od trybuny, mimo to sam dobrze widoczny.

– Jakaż piękna ta doña Mencía! – padło z ust jakiejś staruszki obok niego.

On patrzył na nią, oczarowany. Była istotnie tak piękna, że niedorzecznością zdawało się walczyć o jej serce. Miała dwa jasne warkocze i suknię z niebieskiego aksamitu w kolorze oczu. I wyglądała na szczęśliwą.

Zazdrościł powietrzu, które ją otaczało, każdemu, kto ją pozdrawiał, nawet ptakom, które siadały na daszku, bo były bliżej niej.

Arcybiskup, wraz ze swymi diakonami i innymi duchownymi, przybył na trybunę ostatni i od razu zaczęła się ceremonia. Prowadzący zaintonował jakąś pieśń po łacinie, a potem litanie modlitw, której Diego nie słuchał. Uwaga jego skierowana była wyłącznie na oblicze jego damy, na jej oczy.

Miał zamiar zwrócić na siebie jej uwagę, gdy tylko spojrzy w stronę publiczności, ale niestety wciąż patrzyła tylko na prowadzącego. I choć musiało upłynąć sporo czasu, w końcu stało się. Gdy się odwróciła do tłumu, zobaczyła go. Najpierw się zdziwiła, potem uśmiechnęła i odwzajemniła mu pozdrowienie.

Zwróciła się do matki, mówiąc jej o jego obecności. Diego widział, jak doña Teresa odpowiada jej coś do ucha. Mencía raz tylko jeszcze spojrziała w jego stronę, ale za to z uśmiechem na twarzy. Potem przyjęła pobożną pozę, schyliła głowę i dalej uczestniczyła w ceremonii.

Diego z niecierpliwością oczekiwał na zakończenie uroczystości. W kieszeni miał wciąż list, który Mencía zostawiła dla niego w Olite. Na nim napisał swój adres, by mogła go znaleźć. Postanowił jej go dać, gdy będzie przechodzić blisko niego.

Gdy ceremonia dobiegła końca, arcybiskup zaintonował *Te Deum*... a za nim śpiewali wszyscy jak jeden mąż, uroczyście i z przejęciem. Potem zeszli z trybuny i zaczęli odchodzić, sunąc ulicą, przy której wystawał Diego.

Mencía zmieniała sobie miejsce w orszaku, żeby przejść bliżej niego. Szli powoli, za wolno jak na jego cierpliwość. Ona nie przestawała wciąż na niego patrzeć, uśmiechając się szeroko.

Uśmiechała się też doña Teresa, idąc obok niej.

– Diego! Nie sądziłam, że przybędziesz.

– Jak mógłbym odrzucić to zaproszenie...

Diego wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. Wychylił się, by ucałować jej dłoń i przy okazji podać jej ów kawałek papieru. Wzięła i szybko przeczytała. Potem wetknęła go sobie za szarfę przy sukni.

– Przyjdę do was.

Diego, gdy to usłyszał, omal nie padł z wrażenia.

Gdy ulice opustoszały, poszedł do domu, by zabrać Sabbę i ruszyć na długą przejażdżkę za murami.

Galopowali z wiatrem w samotności nagich stepów. Diego nie przestawał mówić. Opowiadał, co wydarzyło się z Mencią, a zwierzę go słuchało.

Musiał podzielić się swą radością.

Nabrał pełne płuca świeżego powietrza i odetchnął szczęśliwy. Sabba zrobiła to samo.

Kochał Mencię.

V

Wczesnie rano w Santa María de Albarracín zawsze panował chłód, nawet w lipcu. I nie mogło być inaczej, a to z powodu wyjątkowego położenia między górami na dużej wysokości.

U wybrzeża rzeki Guadalaviar, czekając na przybycie don Álvara Núñeza de Lara, Diego powstrzymał się od kichnięcia.

Za chwilę usłyszał zbliżające się ku niemu kroki konia.

– Chłód hartuje duszę, nieprawdaż?

Don Álvaro szybko zsiadł z konia i energicznie uściśnął mu dłoń.

– Wczoraj widziałem, jak rozmawiałeś z Mencią...

– Ledwie starczyło mi czasu, ale chyba ucieszyła się na mój widok.

– Nigdy nie wierz przeczuciom, jeśli chodzi o kobiety. To nie działa, zapewniam cię.

– Pewnie macie rację...

– Uwierz mi, mam ją, tym bardziej w twoim przypadku...

Diego, osłupiały, zapytał go, po co mu to mówi.

– To, co ci powiem, może cię zabołec, ale im wcześniej dotrze to do ciebie, tym lepiej. Przestań już o niej marzyć, Diego... Jest daleko, poza zasięgiem twoich możliwości. Nigdy nie spotkałem się z tym, żeby związek między szlachetnie urodzoną a plebejuszem się udał... Otoczenie na to nie pozwoli ani różnice kulturowe między wami, a nie chcę nawet myśleć, jak zareagowałaby jej matka...

– Sądzicie, że o tym nie pomyślałem? – Diego pochylił głowę, świadom prawdy. – Ale mimo to... nie wiem, chcę usłyszeć to od niej, być pewnym jej uczuć.

Diego prezentował postawę niepoddającą się rozsądkowi. Don Álvaro zrozumiał, że nic nie zmieni jego zdania. Tylko Mencía może to uczynić. Wyciągnął miecz i wywinął nim w powietrzu, aż zaświszczalo. Postanowił zmienić temat.

– W wojaczce tak samo ważna jest obrona, jak atak. Chcesz wiedzieć, jak trzymać tarczę?

– A czy nie bardziej skuteczne byłoby poznać użycie miecza?

– Nie. W walce należy być przebiegłym w obronie, by potem stać się groźnym w natarciu. W wielu wypadkach skuteczność zadawanych uderzeń zależy od tego, jak przyjmuje je przeciwnik.

Odpiął tarczę i podał mu. Miała trójkątny kształt, była dość długa, o zaokrąglonych krawędziach. Na jej powierzchni wymalowano herb rodu Lara: dwa czarne kociołki.

– Dobre tarcze wyrabia się z drewna, potem pokrywa skórą, grubą i twardą, by odbiło się od niej żelazo miecza. Nosi się ją zawieszoną na szyi, na rzemieniu. Dzięki niemu nie stracimy jej w walce i nie przeszkadza, gdy potrzeba dwóch rąk, jak podczas szarży konnej.

Diego wziął tarczę za drugi, krótszy rzemień i zasłonił prawie cały swój bok, od ramienia po kolano.

– Na środku jest inkrustacja z żelaza. Jak widzisz, kończy się dość ostrym szpicem. W starciu bezpośrednim może się przydać, by zranić przeciwnika.

Don Álvaro podszedł do konia, dobył miecza, drugą ręką chwycił maczugę.

– A miecz dla mnie?

– Nie będzie ci potrzebny – zawyrokował. – Teraz przejdziemy do akcji. Chyba tego właśnie chcesz, prawda?

– Co mam robić? – Diego stanął do obrony, nie spuszczać oka z maczugi, ogromnej straszliwej kuli z ostrymi kolcami.

W tym momencie, nie dając mu czasu na reakcję, miecz don Álvaro sięgnął jego barku. Tylko instynkt spowodował, że Diego raz i drugi zakrył się tarczą, ale gdy najmniej się tego spodziewał, żelazo musnęło jego nogę.

– Musisz, chłopaku, być zawsze czujny. Tarcza ochroni cię tylko przed niektórymi typami broni, przed innymi nie. Najbardziej uważaj na maczugę, unikaj jej, jak tylko możesz. Aha! Powinieneś też nauczyć

się wytrącać wroga z równowagi za pomocą tarczy.

Don Álvaro okrążał go powoli, z mieczem w prawej ręce i maczugą w lewej. Szukał jego słabych punktów, zmuszając go, by się kręcił wokół własnej osi. Ciężka kula chybotą się przy każdym jego ruchu. Diego pomyślał, że może skończyć wbita w jego ciało, jeśli nie będzie uważał. Nie przestawał na nią patrzeć. Trzymał tarczę, jakby chciał, by stała się jego częścią, przedłużeniem jego własnego ciała. Sądził, że może poruszać nią równie szybko jak własną ręką.

Don Álvaro zaszedł go od prawej strony. To była jego najsłabiej chroniona flanką. Niespodziewanie wydarł się na niego niemiłosiernie, a potem zadał mu trzy ciosy mieczem z rzędu i jeden maczugą, od którego zdołał się uchronić.

– Gdy będziesz walczył z kimś trzymającym coś takiego – podniósł rękę, w której miał kolczastą kulę – musisz się na tym skupić i uważać w każdej chwili, żeby nią nie dostać. Najlepiej go tego pozbawić, może celując mieczem w rękę albo mocno uderzając w podstawę. Może tak się uda, że mu wypadnie, bo jeśli nie będziesz uważał... – błyskawicznym ruchem wymierzył cios maczugą w tarczę, która pękła na dwa kawałki, a Diego przewrócił się na ziemię – ...możesz mieć poważne kłopoty.

Miecz don Álvaro zatrzymał się w powietrzu, dokładnie nad jego karkiem.

– Proszę o łaskę...

– Dzisiaj ją, rzecz jasna, otrzymasz, Diego. Ale nigdy nie bądź niczego pewien. Nigdy nie pozwól, by nieprzyjaciel mógł przystawić ci miecz do gardła, jak ja teraz. Nim to się stanie, dostań się na przykład do jego nogi, skoro będzie blisko, i wbij mu w nią sztylet. Wewnątrz uda idzie żyła. Jeśli jej dosięgniesz, umrze od razu.

Diego wstał, sądząc, że don Álvaro więcej go już nie napadnie, ale od razu jego miecz przystąpił do niestrudzonego ataku. Uderzył dziesięć, dwadzieścia razy, może i czterdzieści. Posypał się grad żelaza i furii, przed którym chłopak bronił się, jak mógł, aż w końcu poczuł się pokonany. Nie mógł utrzymać już nawet resztek tarczy. Dopadło go nieopanowane drzenie ramienia, gdy miecz nieprzyjaciela zadał mu ostateczny cios. W rezultacie Diego wyczerpany padł na ziemię.

Don Álvaro spojrzał na niego, spocony i zdyszany, z zaciśniętymi

zębami, wciąż jeszcze trzymając swój miecz z całych sił. Bez słów nakazywał Diegowi, by się nie poddawał, by bronił się do końca...

Diego zrozumiał. Z tarczą rozbitą w drzazgi, niemal bez tchu leżąc na ziemi, powędrował myślami w przeszłość. Przypomniał sobie dwóch rycerzy kalatraweńskich, którzy poświęcili swe życie w obronie ojca. W oczach don Álvara rozpoznał tego samego ducha. Biła od niego ta sama co od nich siła, właściwa ludziom wyjątkowym. Diego wstał, popchnięty nieznaną mocą. Napiął mięśnie rąk i nóg, wziął głęboki wdech i krzyknął jak nigdy wcześniej. Natarł na don Álvara, osłaniając się tym, co zostało z tarczy. Ten, jako że nie zdążył przewidzieć ataku ani zamachnąć się maczugą, otrzymał potężne pchnięcie, które go obaliło. Gdy upadał, uderzył głową w kamień, ale z niedowierzaniem spojrział na Diega. Ciekaw był jego następnego ruchu, jednak nie zdążył nawet pomyśleć. Od razu napotkał blokadę jego tarczy. Jej ostry szpic znalazł się nad jego oczyma.

– Zwycięstwo! – wydał okrzyk triumfu Diego.

– Gratuluję. – Núñez de Lara odsunął od siebie ostrze. – Szybko się uczysz, Diego. Może należałoby jeszcze popracować nad twoją muskulaturą, zwłaszcza ramion. Spróbuj podnieść ten kamień. – Wskazał na wielki okrągły głaz. – Zrób to, choćbyś miał umrzeć. 1 powtarzaj przynajmniej trzy razy dziennie.

– Chciałbym mieć odwagę...

– Odwagę... – otrzepał tunikę z ziemi. – Pewnie znowu myślisz o siostrach, tak?

– Serce pęka mi z bólu, że nie ruszyłem im na pomoc, kiedy mogłem. – Spuścił głowę, wyznając mu swój bolesny sekret. – Nie potrafię o tym zapomnieć.

– Miałeś nie więcej niż czternaście lat. Jak mogłeś stanąć sam przeciwko wielu ludziom, którzy w dodatku byli dzikimi imesebelenami? Nie zadręczaj się już. – Poglaskał go czule. – Teraz pracuj nad swoim ciałem i wzmacniaj je. Niechaj wzrasta też twój duch, to jest naprawdę ważne. By to osiągnąć, będziesz musiał przezwyciężyć swe niskie instynkty. Odtąd obserwuj je bacznie niczym najgorszych wrogów. Nie daj się pokonać próżniactwu, porzuć wygodnictwo. Jeśli ci się uda, poczujesz się zdolniejszy, bardziej pojętny i z czasem nabierzesz tej odwagi, której tak pragniesz. – Odetchnął, wziął suchą gałąź i zaczął kreślić nią na piasku. – W starożytnej Grecji sądzono, że cnotą tą

bogowie obdarzali tylko wybranych. Ale ja uważam, że wszyscy możemy ją osiąść, ty także...

Po południu Diego spotkał Marcosa w kuchni. Wysłał był właśnie pierwszą partię owiec walenkiemu kupcowi Abu Mizrainowi. Rachował rozłożone na stole pieniądze.

– Dzisiaj wziął pierwszych dwadzieścia sztuk, a pasły się ledwie dwa dni. Na przyszły tydzień przygotowanych mam trzydzieści kolejnych. – Marcos postanowił poświęcić zyski na zakup większej liczby bydła.

– Widać, że masz dobrą rękę do interesów...

Usłyszeli, jak ktoś dzwoni do drzwi.

Diego nakazał otworzyć jednemu ze służących. Sądził, że to jakaś wiadomość dla niego.

Ku jego zdumieniu paż powrócił w towarzystwie tajemniczej kobiety o zakrytej twarzy.

– Kim jesteście?

– Mam dla was wiadomość – powiedziała do Diego.

– Więc mi ją dajcie. – Diego pomyślał, że to coś pilnego.

– Moja pani, doña Mencía Fernández de Azagra, czeka was jutro w kościele Świętego Jana przed pierwszą mszą. Nakazała mi prosić was o dyskrecję.

– Po co te ostrożności?

– Ją lepiej spytajcie. Będzie czekać na was przy konfesjonalach.

– Wielkie dzięki. Komu zawdzięczam tę przysługę?

– Zapomnijcie o mnie. Wierźcie mi, tak będzie lepiej.

Diego przybył do kościoła długo przed mszą, tak wcześnie, że zastał zamknięte wrota. Czekał na zewnątrz na otwarcie, kryjąc twarz pod ciemnym kapturem.

Gdy znalazł już konfesjonały, poszedł w ich stronę i schował się za szeroką kolumną w oczekiwaniu. Obserwował wejście.

Kryła go ciemność.

Ludzie zaczęli wchodzić, ale Mencii nie było. W pewnej chwili usłyszał zbliżające się kroki. Schował się głębiej i wstrzymał oddech, bardzo pragnąc, aby się okazało, że to ona. Ktoś inny przechodził obok, jakiś ksiądz.

Znów utkwiał wzrok w drzwiach.

Dalej wchodzili ludzie, aż w końcu ją ujrzał. Choć miała woalkę, rozpoznał ją po kroku i po jasnych włosach. Towarzyszyły jej dwie damy. Umoczyła palce w święconej wodzie i przeżegnała się. Ukradkiem rozejrzała się po wnętrzu świątyni i dojrzała go. Porozmawiała chwilkę z jedną ze swych dam, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę.

– Witajcie – powiedziała szeptem.

Gdy upewniła się, że nikt ich nie widzi, znalazła pusty konfesjonał i wskazała mu go. Diego zrozumiał i wszedł do niego, nie tracąc czasu. Obok były drzwiczki, przez które wchodzili penitenci. Mencía weszła i szybko je zamknęła, po czym uklękła przed drewnianą kratownicą, dzielącą ją od Diega.

– Tu będziemy mogli porozmawiać spokojniej.

– Czemu musimy robić to potajemnie?

– To przez moją matkę. Nie pozwala mi mieć do czynienia z żadnym mężczyzną, odkąd wróciłam z Ayerbe.

– Dowiedziałem się, że jesteście zaręczona z pewnym aragońskim szlachcicem.

– Tak mówią.

– A czy nie jest to przypadkiem prawdą?

– Nie jestem.

Diego odetchnął z ulgą.

– Proszę, podnieście woalkę. Pozwólcie mi choć przez chwilę cieszyć się waszym pięknem.

Mencía uśmiechnęła się z przyjemnością.

Odsłoniła twarz. Pojawiły się jej piękne, niebieskie oczy. Diego patrzył na nią, oszołomiony.

– Ależ jesteście piękna!

Sam siebie zadziwił. Zawsze ciężko było mu wyrażać uczucia wobec kobiet, ale z Mencią było inaczej.

– Zaczerwienię się, jeśli dalej będziecie mówić mi takie rzeczy...

– Pojąłem właśnie, że przybyłem do tej krainy tylko po to, by was ujrzeć...

Mencía zamilkła. Diego pożałował, że był tak bezpośredni.

Widział, jak wzdycha, a pierś jej faluje. Myślała o czymś.

– Wybaczcie, może byłem zbyt szczery...

- Powiedzieliście, co czujecie. Macie więcej szczęścia niż ja.
- Nie rozumiem.
- Nie zawsze można mieć to, co się chce.
- Niestety, prawdą jest to, co mówicie.
- Wciąż jeszcze pamiętam was z Olite, gdy staliście nad tym ranym koniem. W waszych rękach było jego życie i śmierć. Wydaliście mi się w tamtej chwili Bogiem i odczułam wobec was wielki podziw... Potem tamten łajdak was ranił... Byłam przy was, gdy to się stało, i sądziłam, że was zabił. I wtedy po raz pierwszy poczułam coś bardzo dziwnego...

- Co macie na myśli...?

Drzwi konfesjonału nagle się otworzyły. Mencía, przestraszona, odwróciła się, by spojrzeć, kto to. Była to jedna z jej dam.

- Idzie wasza matka. Powinnyście siedzieć z nami na ławie.
- Dziękuję, Braulia.
- Odchodzicie...?
- Każdego popołudnia, nim zapadnie zmrok, wybieram się na konną przejażdżkę wybrzeżem Tuerto. Jeśli możecie dziś, odnajdźcie mnie.
- Będę tam.

VI

Sabba biegła klusem, zarażona radością Diega.

Znów jak kiedyś gadał jej do ucha. Delikatne dźwięki jego słów były dla niej pieszczotą. Odwróciła łeb w stronę pana i popatrzyła na niego.

Jak co dzień po południu, już od dwóch tygodni, jechali w dolinę, by spotkać się z Mencią. Rozmawiali ze sobą godzinami. Opowiadali sobie o swoim życiu, o swoich marzeniach, wspomnieniach. Dzień po dniu ich zażyłość rosła. Zdawało się, że tak już będzie zawsze.

W połowie drogi zjechali w dół niebezpiecznej przełęczy, co zmusiło ich do skupienia się na jeździe. Gdy się z niej wydostali, ukazało się niebo, pokryte gęstymi ciemnymi chmurami. Zadał wilgotny wiatr. Sabba, gdy tylko go poczuła, zareagowała w nieoczekiwany sposób. Nie wiedzieć czemu, rzuciła się do szalonego galopu, w podskokach i przechyłach, jakby była młodziutkim żrebaczkiem na wiosnę.

– Co z tobą? – zaśmiał się Diego z szalonego zachowania klaczy. Chwycił mocno uprząż i ścisnął kolanami, żeby nie spaść. Przez cały dzień była bardziej niż zwykle nerwowa, co tłumaczył sobie jej zazdrością. Zarżała po trzykroć, jakby w swoim języku odpowiadała na jego pytanie.

– Rozumiesz, co mówię, prawda? – Podrapał ją po szyi, a Sabba parsknęła. – Mencía mówiła mi o opuszczonej kapliczce, lecz nie powiedziała dokładnie, gdzie jest. Ale musi to być gdzieś tu blisko... – Pogłaskał ją po pysku. – Wąchaj powietrze... musisz wyczuć zapach jej kamiennych murów albo mchu, który z pewnością pokrywa jej zacienione miejsca, lub odgłosy korników toczących jej spróchniałe drewno...

Wycuj to i zabierz mnie tam, Sabbo!

Klacz rozszerzyła swe nozdrza i zaczerpnęła wielki haust powietrza. Potem zakręciła się wiele razy i zatrzymała, wyęczywszy słuch. Diego czekał cierpliwie, nic nie mówiąc, i dał się jej ponieść na północ – najpierw stępem, potem klusem, coraz bardziej przekonany, że klacz wie, dokąd zmierza.

W głębi stromego wąwozu, gdzie szemrał strumyk i rósł orzechowy lasek, odnaleźli murowaną budowlę w oplakany stanie.

Gdy dojeżdżali do niej od południowej strony, usłyszeli rzenie konia. Od razu po nim rozległ się nagły grzmot nad ich głowami. Czerń przysłoniła niebo. W jednej chwili spadły pierwsze krople ciężkie i dudniące. Trzeba było szybko znaleźć schronienie. Gdy okrążyli budynek, znaleźli konia Mencii, uwiązanego do starego dębu.

– Mencía?

Diego uniósł się w siodle i rozejrzał się wokół dokładnie. Nie było jej. Zsiadł i zostawił Sabbę wraz z drugim koniem. Mimo silnego deszczu stare drzewo było tak rozłożyste, że jego konary tworzyły naturalny dach.

Diego przeszedł kamienistą ścieżką prowadzącą do kapliczki i zajął do środka. W tym momencie niebo rozświetliła błyskawica.

Rozległ się grzmot.

Zawołał ją znowu, ale i tym razem nie odpowiedziała. Gdy wszedł, skierował się w stronę absydy, gdzie było trochę więcej światła, dzięki trzem małym okienkom.

– Witaj, Diego – usłyszał za plecami aksamitny głos Mencii.

Odwrócił się.

– Mencía... – Diego stanął zahipnotyzowany jej spojrzeniem.

Rozległ się kolejny grzmot. Deszcz zaczął dudnić o sufit z taką siłą, że przez moment przestraszyli się, że się zawali. W jednej chwili naliczyli z tuzin miejsc, przez które woda wlewała się strumieniami.

– Ten katafalk wygląda na suchy... – Diego wskazał miejsce po prawej stronie.

Choć był to środek lata, temperatura spadła tak bardzo, że Mencię przeszedł dreszcz. W drodze do kościółka starała się omijać kałuże, ale i tak jej suknia była przemoczona. Diego przytulił ją, gdy zobaczył, jak

się trzęsie. Ten naturalny odruch sprawił, że zastygli tak w uścisku, prawie nie oddychając, przeżywając namiętnie tę szczególną chwilę.

Krople wody waliły po ścianach kapliczki jak oszalałe, a grzmoty rozlegały się coraz częściej. Między jednym a drugim usłyszeli rzenie Sabby.

– Pójdę tam... Żał mi ich.

Diego wybiegł ze świątyni i, najprędzej jak mógł, odwiązał konie wśród niespokojnych rzeń. Udało mu się zabrać je do kapliczki i skłonić, by przedostały się przez wąskie wejście. Sabba obwachała wnętrze, ruszyła dolną wargą, odważyła się wejść i od razu wyszukała sobie suchy kącik. Drugi koń poszedł za nią. Wydawał się spokojniejszy.

Od ich pierwszego spotkania Mencía czuła się z Diegiem szczęśliwa. Jednak jego atrakcyjność dla niej wzrastała z każdym spotkaniem. Miała go za mężczyznę eleganckiego i wykształconego. Rozmowa z nim układała jej się gładko. Zaciekało ją jego życie, to, jak doszedł do wykonywania swojego zawodu, jego upodobania. Zapragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego. Ona sama też bez zbytnich oporów po trochu otwierała przed nim swoje wnętrze.

Rozmawiali o wszystkim, ale szczególnie o sobie samych. Mencía wyznała mu swą miłość do muzyki i poezji. Chciała zarazić go swą pasją, recytując ulubione fragmenty.

Bez żadnych obaw ani na nic nie licząc, odkrywała przed nim bogactwo swojej osobowości, swą wrażliwość, zręczność słowa. Po trochu oboje w tym samym stopniu zaczęli odczuwać potrzebę spotykania się, pragnąc tego przez cały czas. Tak samo czuli gwałtowną tęsknotę, gdy o sobie myśleli, i wystarczyło im się musnąć, by poczuć dreszcz na skórze. Niedługo pojęli, że to, czego doświadczają, to nic innego jak miłość.

Gdy Mencía zobaczyła go w kapliczce, przemoczonego do suchej nitki, ze zwichrzonym włosom, spojrzała nań z pożądaniem. Diego zbliżył swe usta do jej ust i posiadał je, oszołomiony ich miękkością, ich niebiańskim smakiem. Pogłaskał jej włosy, jej ramiona. Nie mógł w to uwierzyć. Kochał ją. Mencía przyłgnęła do niego, tuląc się do jego piersi. Chciała czuć się chroniona.

Diego zatopił się w niej następnymi pocałunkami. Dołączki w jej

policzkach, kości policzkowe, znowu jej usta. Drżała, odkrywając wspaniałe smaki miłości.

– Czuję, że między nami jest coś wielkiego... – wyszeptała mu do ucha.

Błysnęło. Nagła fala światła wlała się przez okienka i wypełniła nawę od środka. Towarzyszył jej przeciągły huk, jakby tysiące kamieni staczało się po górskim zboczu.

– Kocham cię. – Diego pogładził jej policzek, a ona wzięła jego drugą rękę. – Nie mógłbym chyba już oddychać, gdyby mi ciebie zabrakło, gdyby coś ci się stało... Gdy dowiedziałem się, że miałaś się zaręczyć, myślałem, że umrę.

Mencía ofiarowała mu namiętny pocałunek, pożądliwy, jak nigdy dotąd, zalewając się łzami. Poprosiła, by objął ją mocno, chcąc zapamiętać wszystko, co przeżywała. Skuliła się w jego ramionach. Z nim czuła się malutka, słaba, przestraszona. Obawiała się reakcji matki, gdy dowie się o jej prawdziwych uczuciach. Przyszłość ją niepokoiła.

Poczuła pieśczoć na swych policzkach, ciepło warg Diega dotykających jej warg, brody, szyi. Pod wpływem tych wrażeń jej myśli się rozjaśniły.

– Wiem już, co zrobię. Napiszę do niego. Nie chcę, by ten człowiek wciąż myślał, że się z nim zaręcę.

Gdy minęło popołudnie i noc okryła wszystko, Mencía poprosiła, by wracali już do miasta. Wychylili się na zewnątrz kapliczki i okazało się, że wciąż pada. Przekonali się też, że wszędzie jest pełno wody.

– Boję się. Chodźmy już, nim będzie jeszcze gorzej.

– Poczekaj w środku... – odpowiedział Diego. – Wyjdę zbadać teren.

Mencía została w drzwiach. Widziała, jak Diego oddala się, aż straciła go z oczu. Przez chwilę jeszcze starała się dojrzeć go przez tę niezwykłą kurtynę wody, ale zrozumiała, że pośród takiej ciemności to niemożliwe. Przez jakiś czas jeszcze się nie martwiła, ale w końcu zaczęło ją niepokoić, że nie wraca. Pomyślała o matce, pewnie histeryzuje. Na pewno zorganizowała już jej poszukiwania. Podczas gdy ona myślała o swoich kłopotach, Diego usiłował znaleźć wyjście z tej całym zatopionej doliny.

Wszędzie było pełno pniaków i gałęzi drzew, połamanych i splątanych ze sobą po okropnej wichurze. Szedł jakiś czas przez prawdziwe bajoro. Widział, jak toczyły się ogromne kamienie, a ściany ziemi rozsypały się w proch. Poruszony odstrasżającymi widokami wrócił do kapliczki, zdecydowany spędzić tam noc.

Gdy Mencía zobaczyła go powracającego, rzuciła mu się na szyję i zaczęła rozcierać mocno jego ciało, by odzyskało stracone ciepło. Zdjęła mu kaftan i wyżeła go. Potem swymi gorącymi dłońmi przebiegła jego piersi, plecy, nogi. Jego skóra zapłonęła.

– Nie ma sposobu, by wydostać się z doliny. Zbadałem wszystkie możliwości i uwierz mi, nie da się. To zbyt niebezpieczne... Zostaniesz tu na noc.

– Muszę wracać... Matka mnie zabije.

– Zrozumie...

– Nie znasz jej. Gdy dowie się, co się stało, nie wiem, co może zrobić, a zwłaszcza gdy pojmie, co do ciebie czuję...

– Nasza pierwsza noc razem...

Diego ucałował jej usta namiętnie. Odwzajemniła mu się, ale była nieco przygnębiona. Diego to zauważył.

– Nie bój się.

– Przytul mnie mocno.

Diego przytulił się do Mencii i razem skulili się w kąciku. Miłość unosiła się wokół nich, przenikała ich oddechy, roztopiała się w przenikającej ich ubrania wilgoci. Mencía wtulała się w niego, chcąc uczynić go częścią siebie, zatrzymać na zawsze.

Pośród pocałunków i pieszczot, słodkich słów i szeptów zasnęli w końcu, wykończeni emocjami, przyklejeni jedno do drugiego.

Pierwsze promienie słońca wpadły przez okienka, oznajmiając koniec burzy. Mencía obudziła się przestraszona. W tym świetle ciemna chmura smutku spowiła jej duszę. Nadejście nowego dnia oznaczało powrót do twardej rzeczywistości, powrót do matki i wysłanie listu do Fabiána Pardo.

Przez noc żyła z dala tych nieprzyjemnych spraw, poświęcając się jedynie marzeniom i rozkoszowaniu się bliskością swego ukochanego.

Diego, gdy się zbudził, zobaczył ją w progu. Dotknął jej pleców i objął ją od tyłu. Złożył gorący pocałunek na jej szyi. Westchnął z rozkoszą. Poczł silny zapach mokrej ziemi. Zobaczył też, że Mencía jest bardzo zaniepokojona.

– Myślisz o Fabiánie?

– Tak. I czuję się podle...

Gorzki szloch wyrwał się z jej piersi. Jej związek z Aragończykiem był prawie podpisany i zerwanie go mogło grozić konfliktem terytorialnym. Przez to małżeństwo matka jej zamierzała przekreślić aspiracje królestwa Aragonii do ziemi Albarracin. Poza tym plebejski stan Diega nie był w niczym pomocny. Nigdy nie zaakceptowałyby go jej matka ani najbliższe otoczenie. Mencía była świadoma konsekwencji, jakie w jej życiu oznaczać mogła ta miłość. Przyszło jej do głowy, by uciekać, rozpocząć nowe życie w nowym miejscu, może pod zmienionym nazwiskiem.

– Narobiłam już zbyt wielkich nadziei... – Otarła chusteczką łzy, nie mając odwagi spojrzeć mu w twarz.

– Nie wiem, czy rozumiem, że...

– Nie, nic nie rozumiesz. – Chwyła go za ramiona. – Szukam wyjścia z sytuacji, wyjścia, które nie istnieje... ale wiem, że cię kocham, tylko ciebie. Chcę mieć ciebie dla siebie, na zawsze, całkowicie, aż do...

– Jest szlachetnie urodzony, bogaty i potężny. Ma wszystko, czego życzy ci matka, ale wyobraź sobie przez chwilę, jak wyglądałoby twoje życie u boku kogoś, kogo nie kochasz. Pomyśl, że chodzi o twoje jedyne życie...! Zmarnowałybyś je, wiedząc, że będziesz nieszczęśliwa! To prawda, że posiadam niewiele, że krew moja jest nędzna, a cały mój spadek to jedna kłacz i zgłodzona rodzina. Przyznaję, że jestem synem ubogiego wasala, prostego karczmarza, jednak mam coś wartego o wiele więcej od wszystkich dóbr, którymi poszczycić się może ów aragoński szlachcic: twoje serce.

Na te słowa Mencía pocałowała go z przejęciem.

– Nie wiem, co począć z tym wszystkim...

– Nie pozwól, by ktoś odebrał ci to, co w twym życiu najważniejsze: twoją wolność. Bądź sobą. Bez lęku zmierz się z prawdą. Powiedz

to im obojgu. Pozwól, by stało się to, co ma się stać. Będę przy tobie.

- Nie zostawiaj mnie nigdy samej, błagam cię...
- Nie zrobię tego. Nigdy.

Godzinę później Mencía i Diego wjechali do Santa María de Albaracín. Przed wjazdem na zamkowy dziedziniec rozdzielili się. Doña Teresa obserwowała ich jednak z zanikowej wieży, nawet nim jeszcze minęli bramy miasta.

Wpadły na siebie w zamkowej bramie.

Gdy Mencía zobaczyła opuchliznę na jej powiekach, wyobraziła sobie, jak długą i ciężką spędziła nieprzespaną noc. Matka nie zaczęła, aż wejdzie, tylko od razu zaczęła obsypywać ją pytaniami.

– Czy na pewno jesteś cała? – Oglądała bacznie jej ręce i nogi, szukając jakiegos skaleczenia, siniaka, rany.

– Tak, matko. Nic mi nie jest.

– Opowiedz mi, co ci się stało, gdzie spędziłaś noc? Gdzie, w tę piekielną burzę?

– W kapliczce Santa Catalina.

– O ile się nie mylę, nie masz we zwyczaju tam bywać. Co tam robiłaś?

– Nic, matko.

– Pół miasta wysłałam na poszukiwania. Wyobrażałam sobie ciebie ranną, samotną, zaginioną. To było straszne. Pomyślałam w pewnej chwili, że już nie żyjesz.

Doña Teresa cieszyła się, że widzi ją całą i zdrową, ale potrzebowała jej wyjaśnień, między innymi odpowiedzi na pytanie, dlaczego znikła razem z weterynarzem.

– Nic mi się nie stało.

– Błagałam Boga, byś spotkała kogoś tej nocy, kto by ci pomógł. Nikogo nie widziałaś?

– Nie. Całą noc byłam sama... – skłamała.

– Na pewno?

Mencía, wahając się, wstrzymała oddech. Taka napastliwość musiała oznaczać, że matka coś wie... Na wszelki wypadek postanowiła więc powiedzieć prawdę.

- No dobrze... tak naprawdę... to byłam z weterynarzem Diegiem. Doña Teresa otworzyła szeroko oczy.
 - Jak to?
 - Wczoraj spotkałam go po drodze, gdy zaczynało padać. Ale nie obawiaj się, matko, przez cały czas zachowywał się po rycersku. Był przy mnie tylko po to, bym nie bała się podczas burzy. Miałam szczęście, że go spotkałam...
- Mencía wołała nie mówić jej, co Diego naprawdę dla niej znaczy. Znała ją zbyt dobrze, by wiedzieć, że złe wiadomości należy podawać jej stopniowo.
- Niepokoi mnie, że dotąd to ukrywałaś. Czy naprawdę był to przypadek? Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?
 - Nic więcej nie mam ci do powiedzenia.
 - Na pewno, córko?
 - Oczywiście, matko. Na pewno.

Gdy została już sama w swojej komnacie, Mencía napisała list. Starła się być w nim delikatna, by nie urazić dumy Fabiána, ale napisała jasno, że od tej pory zrywa z nim stosunki.

List ten jednak nigdy nie dotarł do adresata.

Doña Teresa Ibáñez zdołała w porę go przechwycić dzięki pomocy jednej z dam dworu, która była po jej stronie. Fabián Pardo dostał za to inny list, napisany przez samą doñę Teresę, podszywającą się pod córkę. Pisała mu w nim, że rzekomo rozpałił jej miłość i śpieszy jej się, by związek ich przypieczętować. Kończyła zaproszeniem do Santa María de Albarracín. Jakby tego było mało, pod sfalszowanym podpisem do dała: „Wasza przyszła żona”.

Ta sama dama doniosła też doñi Teresie, gdzie bywała jej córka każdego popołudnia, gdy jeździła konno, i przede wszystkim, z kim spotykała się od miesiąca.

Kobieta bardzo się zaniepokoiła. Dobrze знаła potęgę uczuć i trudność, gdy w porę się ich nie poskromi. Przez moment stanął jej przed oczyma obraz tych dwojga, zakochanych w sobie do szaleństwa. Wydał jej się tak zgubny, że postanowiła niezwłocznie działać. Nie mogła na to pozwolić, o nie, nie jej córka. Było jasne i wiadome, za kogo miała

zostać wydana, i na pewno nie był to żaden plebejusz.

Zaczęła rozmyślać. Musiała zrobić coś, by ich rozdzielić. Z początku zawahała się, czy pomówić o tym z córką, ale doszła do wniosku, że w tych okolicznościach jasny zakaz tylko utrudniłby jej działanie.

Minęły zaledwie dwa dni, a cała jej troska i niepokój spowodowane tym nagłym rozwojem wypadków ustąpiły wielkiej nadziei. Nieoczekiwany przypadek przyniósł zaskakujące rozwiązanie. Zobaczyła je tak jasno, że nic nie było w stanie jej powstrzymać.

W upalny dzień szóstego sierpnia gubernator sąsiedniej taify walenckiej, Abu Zayd, nadesłał pilną wiadomość do młodego pana Albarracin.

Tego samego dnia doña Teresa zwołała radę całej starszyny i rycerstwa miasta. Przybył również jej szwagier, Diego López de Haro.

Obwieściła im, że mauryjski król prosi o natychmiastową pomoc militarną, by odeprzeć niespodziewaną napaść Pedra II Aragońskiego na hrabstwo Rubielos de Mora. Obszar ten graniczył zarówno z Aragonią, jak i z ziemią Albarracin. Przede wszystkim jednak był to szlak handlowy, kluczowy dla rozwoju wszystkich trzech enklaw.

Sytuacja krainy Albarracin stała się więc niezwykle delikatna. Pragnęła bowiem zachować dobre stosunki z Walencjaninem, zważywszy na jego ogromną potęgę handlową, ale nie chciała też pogarszać ich z aragońskim sąsiadem. Nie krył on bowiem swych zapędów do aneksji.

– Natarcie pod waszą flagą nie opłaci wam się ani trochę – podsumował don Ordoño.

Kawaler zakonu Santiago i zarządca krainy spoglądał od czasu do czasu na doinę Teresę. Zajmowały go bardziej możliwe następstwa polityczne, które mogły dotknąć jego zakon, jeśli stanąłby przeciw oddziałom chrześcijan, niż interesy krainy.

– W takim razie ruszmy pod waszymi, Santiago... – doña Teresa spojrzała na niego ostro, pozbawiwszy go argumentu.

– Czy pomyśleliście, co na to papież? – don Ordoño gestykułował z przerażeniem.

– Ta kraina i wszystkie jej ziemie nadane zostały przez mauryjskiego króla Murcji – zabrała znów głos doña Teresa, tym razem

ostrzejszym tonem. – A ród Azagrów, z błogosławieństwem korony Nawarry, panuje w nim do tej pory. Z racji swego położenia i bliskiego sąsiedztwa z al-Ándalus od dawna stanowi obiekt zakusów Aragonii i Kastylii. Nawarra też ma do nas pretensje, bo stanowilibyśmy jej jedyną granicę z Maurami, gdyby kiedyś zapragnęła ekspansji na południe.

Doña Teresa zdawała sobie sprawę, że ciężko będzie jej przedstawić proste rozwiązanie problemu, nie wyjawiając planów na przyszłość swojego rodu. Zawiedziona, spojrzała po obecnych. Wydawało się, że nikt nie ma w zanadrzu żadnego wyjścia. Wszyscy prawie spuścili wzrok.

– Ja pójdę! – don Diego López de Haro wstał zdecydowany i walał pięścią w stół.

– Ja też! – za jego przykładem poszedł don Álvaro Núñez de Lara, potem don Sancho Fernández, jego siostrzeniec i kandydat do korony Leónu.

– Możemy wyjechać, kiedy zechcecie. Jesteśmy gotowi – zaoferował się don Diego, dumny z postawy swoich ludzi. – Dobrze się zastanówcie, Tereso. Osoby nasze nie kompromitują was w żadnym stopniu. Tak Kastylijczycy, jak i Aragończycy zrozumieją nasz zapal wojenny po hańbie, która dotknęła nas w Estelli i odmowie azylu przez króla Aragonii. Gdy zwyciężymy, czeka was wdzięczność i przysługi gubernatora Abu Zayda. A jeśli się nie uda, to i tak poczuje się wspomożony. Dla mnie, niezależnie od wyniku naszej interwencji, zaszczytem będzie móc spróbować odwdziżyć się za przyjęcie nas w tym mieście, jak to uczyniliście.

– A reszta co o tym sądzi? – doña Teresa spojrzała po twarzach swych współpracowników i dojrzała w nich przychylność. – Niechaj więc tak będzie. Narada zakończona. Możecie iść.

Zebrani zaczęli opuszczać salę jeden po drugim, żegnając się z gospodynią. Kiedy podszedł don Diego, poprosiła go, by na chwilę został. Gdy byli już sami, posadziła go i poczęstowała kieliszkiem wina.

– Byłeś niezwykle wielkoduszny. – Podeszła do niego od tyłu i czule pocałowała go w kark. Mężczyznę zdumiał ten gest.

– Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, Tereso.

– Nieprawda. Możesz zadowolić mnie jeszcze w inny sposób... – odpowiedziała zwięźle, lecz tajemniczo.

– Nie wiem, czy masz na myśli...

Don Diego przypomniał sobie ich szalone spotkanie, które zdarzyło się lata wcześniej. Coś, o czym nigdy potem nie mówili. Przelotna przygoda, która nie miała żadnych późniejszych konsekwencji. Ujrzał ją znów w swych ramionach, a ona, odgadując jego myśli, z pewną kokieteryą poprawiła sobie gorset w taki sposób, by odsłonić swój piękny biust.

– Mogłoby tak być... Czemu nie... – odparła. Wyjęła szpilki upinające jej włosy i pozwoliła im opaść swobodnie na ramiona.

– Sądzę jednak, że nie zatrzymałaś mnie dziś z takiego powodu... Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Dokończyła porządkować swoje myśli, by mu je przedstawić.

– To, o co cię poproszę, jest pilne, właściwie niecierpiące zwłoki. – Spróbowała wina i chusteczką wytarła usta. – Chcę, byś zabrał stąd tego młodego weterynarza, Diega z Malagón.

Jej szwagier milczał, czekając na dalszy ciąg, na czym jeszcze miałyby polegać jego rola.

– I to wszystko? – zapytał w końcu.

– Zobaczysz, czy to takie łatwe!

– Czy można wiedzieć, z jakich powodów prosisz mnie o tę osobliwą przysługę?

Teresa poruszyła się niespokojnie. Zawahała się, czy powinna mu wszystko wyjawiać.

– Słyszałam od don Álvara, że młodzieniec jest znawcą języka arabskiego. Może być ci bardzo przydatny, by negocjować z Abu Zaydem... – Widziała, że ten argument nie będzie wystarczający do zaspokojenia ciekawości szwagra, ale przynajmniej pozwoli jej zyskać trochę czasu.

– Tereso, znam cię dość dobrze. Twoje oczy cię zdradzają, nie mówisz mi wszystkiego.

Westchnęła trzy razy, czując się pokonana.

– Obiecasz dochować tajemnicy?

– Masz moje słowo. – Don Diego López de Haro zaczął coś podejrzewać.

– Chodzi o twoją siostrzenicę, Mencię. Przez nie wiem jak głupie okoliczności losu zakochała się chyba w tym Diegu z Malagón, a ja nie

mogę na to pozwolić. – Jej policzki zapłonęły gniewem. – Postanowiłam przerwać ten związek. Najpierw odsunąć ich wiele mil od siebie. Jeśli ich rozdzielię, może ich miłość przestanie się rozwijać, a zrodzi się ta, która naprawdę opłaci się Mencii, do Fabiána Pardo. On zapewni jej dobrobyt, świetną pozycję i godne potomstwo. Mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz. Czy mam rację?

Don Diego rozważył sytuację, zanim odpowiedział. On też nie zgadzał się, by człowiek z plebsu mógł starać się o miłość kobiety z wielkiego rodu, a zwłaszcza jego siostrzenicy. Od zawsze córki magnaterii wychodziły za kawalerów szlachetnie urodzonych. Była to święta tradycja, której należało strzec.

– Możesz na mnie liczyć, Tereso. – Szwagierka uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem. – Już jutro wyruszymy na wschód. Zrobię, co w mej mocy, by wymazać z jego życia twoją córkę. Oby mi się to udało...

Teresa wypięła pierś, z zadowoleniem słuchając jego słów. Nie zamierzała jednak pozostawić niewyjaśnionej ani jednej sprawy.

– Chcę cię jeszcze tylko prosić o jedno. Nie mów o tej sprawie z nikim. Z twoim zięciem, don Álvarem też nie. Wiem, że łączą ich bliskie stosunki.

– Dochowam tajemnicy. Przysięgam.

Zapłaciła mu za przysługę czułym pocałunkiem w usta. Obojgu posmakował on jak zakazany owoc.

VII

Diego nie zdążył nawet pożegnać się z Mencią. Dostał zadanie na krótko przed północą. Pismo, w którym pilnie go wzywano, dostarczył paż don Diega Lópeza de Haro.

- Wybaczenie późną porę, ale przynoszę rozkazy od mego pana.
- Mówcie, słucham.
- Macie stawić się jutro przed szóstą w jego rezydencji, by niezwłocznie wyruszyć w podróż.
- Dokąd? Czy wiecie po co?
- Za bardzo nie wiem, ale sądzę, że chodzi o pilną wyprawę wojenną.
- Wojenną?
- Przykro mi, panie, ale nic więcej nie wiem. Muszę iść.

Chłopiec wybiegł, by wykonać swe rozkazy, a Diego zbity z tropu zaniknął drzwi. Do czego był im potrzebny, skoro nie miał przygotowania wojennego i nie był też rycerzem? Nie wydawało się to zbyt sensowne, chyba że jako weterynarz miałby się zajmować rannymi końmi.

Szukał Marcosa, by opowiedzieć mu, co się stało, ale nie było go w domu. Pomyślał, że pewnie jest z córką kupca Abu Mizraina, gdy przypomniał sobie, że ten przyjechał ostatnio do Albarracin.

Nim położył się spać, przygotował sobie worek z odzieżą i walizczkę z narzędziami, które posiadał. Napisał też dwa listy. Jeden, który Marcos miał przekazać Mencii, a drugi do niego. Opisywał w nich, co mu się przydarzyło, a w tym do Mencii przysięgał jej swą miłość.

Ledwie zmrużył oko. Nie mógł pojąć, co mogą od niego chcieć. Dreczęło go, że będzie musiał opuścić ukochaną na nie wiadomo jak

długo. Wstał przed czasem, zdenerwowany. Przygotował uprząż Sabby i zachęcił ją do zjedzenia odrobiny owsa przed odjazdem.

Nie świtało jeszcze, gdy przybył na równinę obok pałacu, który służył za rezydencję los Haro. Stu rycerzy ze swymi paziami i giermkami czekało w ciszy.

Wraz z przybyciem Diega dzwon na kościele Świętego Jana zakłócił ciszę sześcioma uderzeniami.

Punktualnie pojawił się don Diego López de Haro w asyście swych dwóch ludzi: don Álvara Núñeza de Lara i jego siostrzeńca, infanta Leónu, don Sancho Fernández. Była też doña Teresa, ale ona przybyła tam tylko, by ich pożegnać.

Otrzymali błogosławieństwo miejskiego arcybiskupa, pożegnali nielicznych dworzan i rozpoczęli marsz na wschód, by wkrótce opuścić miejskie mury.

Mencía obudziła się niespokojna. Gdy zaczęła szukać matki, powiedziano jej, że wyszła, by pożegnać swego szwagra, który opuszczał miasto. To ją zdziwiło. Nikt jej nic nie mówił. Szybko ubrała się i poszła na plac, z którego jak mówiono, ruszyć miała wyprawa.

Po drodze spotkała swą matkę, ale że nie odpowiadała jasno na jej pytania i okazywała rozdrażnienie, przeczuła, że ukrywa przed nią coś ważnego.

Przyśpieszyła kroku. Doszła na plac, ale nikogo tam nie było.

Zdziwiona udała się do domu Diega.

- Pan niedawno wyszedł – powiedziała na wpół śpiąca służąca.
- Ale czy wiecie dokąd?
- Mówił, że jedzie z oddziałami don Diega Lópeza de Haro i że nie będzie go przez wiele dni lub tygodni.

Mencía pędem puściła się stromymi uliczkami miasta do północnej bramy, którą jak sądziła, mieli wychodzić. Musiała go zobaczyć. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej nic nie powiedział ani się z nią nie pożegnał. Uniosła suknię, by biec szybciej. Omijała resztki końskiego łajna, jeszcze świeże, nie mogąc wciąż dojrzeć jeźdźców.

Gdy przekroczyła bramę, spojrzała w kierunku wschodnim i zobaczyła liczny konwój kawalerów. Byli o jakieś pół mili. Zbyt daleko, by

ją usłyszeć. Mimo to wiele razy z całych sił wykrzyczała imię Diega.

– Czemu mnie opuszczasz...? – Niepocieszona padła na kolana, tonąc we łzach. – Moja miłości... mój Diego...

Nie ujechali pół mili od miasta, gdy don Álvaro odwrócił się, by zobaczyć, gdzie jest Diego. Był odwrócony tyłem. Usłyszał rozdzierający krzyk pochodzący z miasta, ale nie wiedział, skąd się wydobywa ani co znaczy.

– Bardzo się cieszę, Diego, że jedziesz z nami. Będziesz nam wielce pomocny.

– To miłe, ubolewam jednak, iż wciąż nie wiem, po co zostałem wezwany. Słyszałem, że wyruszamy na pomoc gubernatorowi Walencji Abu Zaydowi, i nie rozumiem, do czego miałbym się tam przydać...

Paź don Álvaro przybiegł do nich z poważną miną.

– Pan Biskai wzywa was do siebie.

Don Álvaro spojrział w przód i dojrzał swego teścia. Dał mu znak, ale przed odejściem zwrócił się do Diega.

– Będziesz tłumaczem w rozmowie z arabskim gubernatorem.

Pomiędzy miejscowościami Mora de Rubielos i Rubielos de Mora, które leżały o dwa dni drogi od Albarracin, istniała nie tylko zbieżność nazw. Toczył się też o nie odwieczny spór pomiędzy królestwami Aragonii i Walencji. Pierwsza z nich pięć lat wcześniej została podbita przez Aragończyka, a teraz ostrzył sobie zęby na drugą. Nie było między nimi więcej niż pół dnia konno, oddziały je za to trudne do przebycia góry. Gdy oddziały don Diega Lópeza de Haro dotarły do nich, okazało się, że znajdują się już tam wojska Pedra II i gubernatora Abu Zayda.

Wjechali do obozu Saracenów od południowej flanki. Przywitał ich wielki entuzjazm i rwetes. Diego od razu poczuł się nieswojo. Te saraceńskie szaty, turbany, zakrzywione szable, wszystko przypomniało mu tragiczne wydarzenia w zajeździe ojca.

Nie zsiadł jeszcze z Sabby, gdy poproszony został przez don Diega Lópeza de Haro, by towarzyszył mu w namiocie gubernatora. Kiedy go zobaczyli, stanęli obydwaj olśnieni jego przepychem. Namiot był olbrzymi, z niebieskiego sukna, ozdobiony malowidłami w złożonych ramkach. Dwie czarne pantery strzegły jego wejścia wraz z dwoma

żołnierzami o czarnej skórze. Gdy przechodzili obok nich, bestie warczały, ukazując krwiożercze kły.

– Salam alejkum! – Głos wydobył się z małego człowieka, siedzącego na górze poduszek.

– Alejkum as salam – odpowiedział Diego.

Abu Zayd pozdrowił ich, unosząc rękę do turbanu. Wskazał miejsce, gdzie mieli usiąść, i wezwał służącego z napojem, który nazwał sorbetem.

Diego zaczął tłumaczyć pierwsze słowa.

– Dziękuję wam za pomoc i usprawiedliwia swą nagłą potrzebę tym, iż znajduje się o mniej niż siedem mil od Królestwa Aragona.

– Powiedźcie mu, że wszystko zawdzięcza hojności doñi Teresy Ibáñez i jej syna, młodego pana Albarracin. – Pociągnął spory łyk owego orzeźwiającego napoju, zaskoczony obecnością w nim lodu, zważywszy, że był to najcieplejszy miesiąc roku.

Poprosił Diega, by spytał, jak go uzyskują.

– Mówi, że w zimie przynoszą lód z gór Granady i chowają go w głębokich otworach, które wiercą w skałach. W ten sposób utrzymuje się przez całe lato. A co do reszty jego składu, to jest to mieszanina w równych częściach pomarańczy, cytryn i granatów.

– Przepyszne i orzeźwiające. – Don Diego oblizał wargi.

Po tych wstępnych uprzejmościach Diego zaczął objaśniać taktykę, obmyśloną, by powstrzymać Aragończyka. Abu Zayd, o ciemnej cerze, ale miękkich, niemal kastylijskich rysach, polecił przynieść mapy, by zobaczyć rozmieszczenie sił przeciwnika.

– Chce wam powiedzieć... – zwrócił się Diego do pana Biskai – że dysponuje trzystoma ludźmi na koniach i tysiącem piechoty. Proponuje, by jego jeźdźcy atakowali okrążając, a wasi czołowo, w zbitym szyku.

Diego słuchał dalej gubernatora. Wskazywał określony punkt na mapie, twierdząc, że ma on ogromne znaczenie.

– Pokazuje wam dolinę o trzy mile stąd. Mówi, że byłoby to idealne miejsce, by ich rozgromić, jeśli tylko zdołalibyście przegnać tam oddziały króla Aragonii. Od północy zamyka ją strome i wysokie zbocze, tak samo jak od wschodu i zachodu. Gdyby już tam się znaleźli, nie uda im się uciec.

– A jak chciałby, abyśmy zagonili ich do tej dziury?

Diego przełożył pytanie.

– Sądzi, że coś wymyślicie.

– Wspaniale! Zostawia mi najlepszą robotę... – zmarszczył czoło. – Ale tego mu nie tłumaczcie.

– Pyta, czy coś wam się stało.

Don Diego López de Haro zamilkł i zastanawiał się. Spoglądał raz po raz na mapę. Abu Zayd z niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi.

– Mam! Rozbijemy wokół doliny namioty, rozpalimy ogniska, ustawimy konie. Upozorujemy też obecność wielu ludzi. Z odległości nie będą dobrze widzieć, a gdy zrozumieją, że jest to miejsce, w którym trudno się bronić, z pewnością na nas napadną... Najważniejsze, żeby wyglądało to prawdziwie, a powinno zadziałać.

Po wysłuchaniu tłumaczenia Diega Abu Zayd wyglądał na zadowolonego.

– Pomysł mu się podoba. Pyta, kiedy rozpocząć podstęp. Jest niecierpliwy.

– Powiedzcie mu, żeby przystąpił do dzieła niezwłocznie.

– Dziękuję raz jeszcze za pomoc i zachęca do chwili odpoczynku po długiej podróży.

Gdy mieli już wstać i wyjść z namiotu, don Diegowi Lópezowi de Haro wyrwało się ostatnie pytanie, którego zapomniał wcześniej zadać.

– Ilu ludzi, według niego, ma król Pedro?

– Pięciuset w kawalerii i dwa tysiące piechurów, tak mówi.

– To wielu... wielu, na Boga... zbyt wielu.

Rozstali się z gubernatorem w gorszym nastroju, gdy poznali już siły nieprzyjaciela. Wyszli z jego namiotu i udali się do swoich na spoczynek.

– Gratuluję, Diego. Dobra robota. – Chociaż znalazł się tam z całym innemu powodu, trzeba było przyznać, że jako tłumacz był znakomity.

– To dla mnie zaszczyt.

– Walczyłeś kiedy na wojnie? – zapytał don Diego.

– Nigdy, mój panie, jestem synem karczmarza, nigdy broni nie nośłem.

– Dla nas wojna to część życia. Nie przypominam sobie, bym kiedy więcej niż pięć lat nie wojował.

– Wybaczcie, jeśli to, co powiem, będzie nieuprzejme, ale dla mnie jest niewiarygodnym, byście mieli to za zwykłą rzecz.

– Tak nigdy nie będzie... – urwał zapatrzony w horyzont. – Jakże-
bym mógł mieć ją za zwykłą rzecz, jeśli odkrywa to, co w człowieku
najgorsze: nienawiść, zemstę, żądzę, chciwość, okrucieństwo. Wojna
łączy w sobie wszystkie grzechy główne, to prawda, ale widać na niej
też najwyższe cnoty. Zdumiałbyś się, widząc osoby z prostego ludu, jak
ty, walczące z zapałem prawdziwych bohaterów. Przez bitewny zgiełk
przebija się czasem wielkoduszność, bezinteresowna pomoc, a nade
wszystko odwaga.

Ostatnie słowo przeszło serce Diega. Pomyślał, że może biorąc
udział w tej bitwie, mógłby zasiać w sobie tę cnotę. Przez moment za-
pragnął nawet poprosić o pozwolenie na uczestnictwo w walce.

Ale pomyślał o Mencii i się przestraszył. Ryzyko, że mógłby więcej
jej nie zobaczyć, było zbyt wielkie.

Parę godzin później stał już fałszywy obóz. Dwóch najlepszych lu-
dzi Abu Zayda, świetnych znawców okolicy, zostało w pobliżu, by z
ukrycia obserwować każdy ruch wroga.

Diego wykorzystał ten czas pełnego napięcia oczekiwania, by lepiej
przyjrzeć się jednym i drugim wojskom. Zaskoczony był, jak bardzo się
różniły. Chrześcijanie wyposażeni byli w ciężkie zbroje, miecze i bu-
ławy. Walencjanie natomiast nosili lekkie skórzane pancerze i barwne,
zwiewne szaty. Konie ich były lżejsze i bardziej żwawe.

O brzasku żołnierze Abu Zayda spostrzegli, że Aragończycy wpadli
w pułapkę. Zobaczyli, że idą w stronę doliny, i co sił popędzili do obo-
zu, by o tym donieść.

Rozpoczęto wymarsz.

Korpus centralny pochodu stanowił don Diego López de Haro wraz
z setką kawalerii. Na flankach, w rozproszeniu, szły oddziały Abu Zay-
da.

Przejechali dwie mile i stanęli. Znajdowali się na rozległej równinie.
Widać było z niej dolinę. Mieli uderzyć, gdy nieprzyjaciel wejdzie do
tego kotła.

Diego i don Álvaro Núñez de Lara rozmawiali ze sobą, stojąc w pewnej odległości od głównego korpusu. Żaden z nich nie był uzbrojony i żaden nie brał udziału w bitwie.

Don Álvaro miał czuwać nad zachowaniem właściwego szyku oddziałów i ustalonej wcześniej taktyki ataku. Z miejsca, w którym stał, na sporym wzniesieniu, mógł śledzić przebieg bitwy, by w odpowiedniej chwili wyjść naprzeciw niespodziewanym posunięciom wroga.

Diego u jego boku miał za zadanie tłumaczyć w razie potrzeby wszystkie zmiany i nowe rozkazy, które mogłyby paść.

– Czy nie wydaje się wam potworne stawać przeciwko chrześcijanom? – Diego odetchnął głęboko, chłonąc zapach rozmarynu.

– Jesteśmy rycerzami – odparł lakonicznie.

– Aragończycy też.

Don Álvaro przypomniał jedno z głównych rycerskich praw.

– Rycerz posłusznym być musi. – Odetchnął głęboko, gdy je wypowiedział. – Tak rzecze jedno z naszych najważniejszych przykazań. Cnota ta matką jest wszystkich dobrych obyczajów, które mężczyzna musi sobie przyswoić, jeśli chce zostać rycerzem. Panu swemu winien jest posłuszeństwo. Także w chwilach takich jak ta, w walce okrutnej przeciw nieprzyjaciołom, którzy jak słusznie mówisz, mogliby być naszymi braćmi.

Wraz z echem tych słów rozległ się nagły chór rzeń. Setki koni, niepokojnych, zaczęły przeczuwać tragedię, czekając na rozkazy swych jeźdźców. One też posłuszne były swym panom i gotowe zmierzyć się z nieznanym, otrzymać cios kopią w brzuch lub śmiertelną strzałę w szyję, cały czas wykonując rozkazy. Poczul ucisk w żołądku, gdy pomyślał, że coś takiego mogłoby spotkać Sabbę.

– Rycerz swą cnotę posłuszeństwa wypełnia bohatersko z trzech powodów, Diego. – Don Álvaro wyliczył je na palcach. – Po pierwsze, rozumie, że został wybrany, by strzec i bronić innych. Po drugie, by bronić honoru swego rodu, dbać o dobre imię swych przodków i potomków. I po trzecie wreszcie, by nie okryć się hańbą, która nie ominęłaby nas z pewnością, gdybyśmy nie stanęli na wysokości zadań, których wykonania wasale nasi od nas oczekują.

Diego z całą swą otwartością i dobrą wolą przemyślał jego słowa, ale i tak wydały mu się niedorzeczne. Żaden pakt posłuszeństwa nie

mógł pociągać za sobą zadawania śmierci drugiemu człowiekowi. Nigdy tego nie zrozumie.

Pogłaskał Sabbę. Zauważył, że jest zdenerwowana. Udzieliło jej się chyba ogólne poruszenie wszystkich, którzy tam byli, ludzi i zwierząt, w tym pełnym napięcia oczekiwaniu. Zaczął do niej mówić po cichu, wydobywając z siebie dźwięki, które widział, że podziałają na nią uspokajająco. Don Álvaro przyglądał się temu ciekawie.

Gdy klacz trzy razy z rzędu poruszyła łbem, rżąc i parszkając, Diego powtórzył to po niej. Wyglądało to tak, jakby mieli własny język, niezrozumiały dla innych.

Don Álvaro po raz kolejny poczuł podziw dla Diega. Młodzieniec ten miał błyskotliwy umysł, był odpowiedzialny i dyskretny, przy tym skromny, ale z tego wszystkiego w największy zachwyt wprawilo szlachcica jego niezwykle podejście do koni.

– Rycerz i jego koń... – podsumował ich don Álvaro. – Przepiękna para, zwłaszcza w czasie wojny. Czy wiesz, jak mierzy się przydatność konia na wojnie?

– Tego nie wiem.

– Grecy zalecali, by koń wojenny miał trzy cechy: piękny kolor, wielkie serce i silne członki. Wtedy zawsze poddał zadaniu. Ja dodam jeszcze jedną: musi mieć rodowód, jak ich panowie. – Pogłaskał swojego kasztanka o przepięknym profilu i wysokim wzroście.

– A w owej parze, o której mówiliście, co do zrobienia ma rycerz?

– Wiele. Musi mu pomóc w doskonaleniu swych przymiotów i winien robić to też na trzy sposoby.

Diegowi przypomniał się brat Tomás i jego teoria, wedle której porządek życia, zdrowia i wpływ na chorobę zawsze związane są z numerami.

Don Álvaro mówił dalej :

– Kawaler musi wzmacniać jego zalety, wypleniać wady i wreszcie chronić od chorób, które, rzecz jasna, musi umieć rozpoznać.

– Jak powiedzieliście wcześniej, istnieją barwy, które czynią konie godnymi towarzyszami swych panów. Czy istnieją więc jakieś, które są nieodpowiednie?

Don Álvaro już miał odpowiedzieć, gdy rozległ się donośny dźwięk

rogu. Wszyscy spojrzeli w napięciu na Abu Zayda i don Diega Lópeza de Haro, czekając na znak.

Biała chorągiew gubernatora wzniosła się w górę i zaczęła zamazywać łopotać. Na jej widok kilku jeźdźców puściło się do szalonego galopu w stronę doliny. Za nimi cała kawaleria pana Biskai. Jako rezerwa pozostała większość wojska walenckiego. Don Álvaro wspiął się na najwyższy punkt wzgórza, żeby dobrze widzieć całą bitwę.

Diego stanął przy nim i w zdumieniu obserwował pierwsze zderzenie z aragońskimi oddziałami. Najpierw szczęknęły miecze, potem zaświszczały strzały, wystrzelone z łuków i kusz. Pierwsi ludzie zaczęli padać na ziemię, na pastwę bezlitosnych końskich kopyt. Niektórzy wołali o pomoc, inni błakali się zagubieni, bez ręki albo trzymając się za miejsca, w które zadano im rany. Widział jednego z wbitą w plecy maczugą, którą bezskutecznie usiłował sobie wyciągnąć. Podziękował Bogu, że ocalał go od uczestnictwa w tej potwornej jatce.

Kastylijczycy, mając przewagę przez zaskoczenie, zeszli jedynym zboczem, którym się dało, w dwóch szeregach. Pierwszy zderzył się już z Aragończykami, a drugi właśnie to robił. W każdym z nich było dwudziestu pięciu ludzi na koniach i trzech z tyłu. Za nimi szła piechota.

W pewnym momencie potyczki Aragończycy uznali już, że udało im się zatrzymać napastników. Rozbili ich szyki i otoczyli ich.

– Popelnili właśnie sromotny błąd – powiedział don Álvaro na głos, przyglądając się ruchom jednych i drugich.

Odszukał podchorążego wojsk Abu Zayda. Dawał znaki, machając energicznie chorągwią w górę i w dół. Na jego wezwanie kolejnych trzystu jeźdźców ruszyło w dół zbocza. Natarli na Aragończyków. Tamci nagle znaleźli się w potrzasku, pomiędzy dwoma siłami: Kastylijczykami w środku, teraz wzmocnionymi, i atakującymi bez litości Saracenami na zewnątrz.

Krew zaczęła obryzgiwać obficie broń, ludzi, wszystko. Dosięgała nawet końskich grzyw. Ziemię zapełniły niezliczone martwe i ranne ciała.

Don Álvaro wskazał miejsce starcia, w którym walczył król Pedro II.

– Patrz, co się zaraz stanie...

Zobaczyli, jak don Diego López de Haro zbliża się do pozycji, na których znajdował się aragoński monarcha. W krótkim czasie odmieniły się losy bitwy i teraz życie króla było w poważnym niebezpieczeństwie. Don Álvaro pewien był tego, co za chwilę zrobi jego teść.

– Będziesz świadkiem cudownego ocalenia. Obserwuj...

Zobaczyli, jak pan Biskai, wraz z tuzinem kawalerów, przedostał się przez oddziały Walencjanina. Gdy byli już w pobliżu króla, zsiadli z koni i zaczęli walczyć ramię w ramię, narażając dla niego swoje życia. Wojownicy Abu Zayda, zaskoczeni, natarli na nich z jeszcze większą furią. Jeden z nich dosięgał już swą dłonią ramienia don Diega, ale padł przeszyty mieczem króla Aragonii.

– Teraz! Teraz albo nigdy! – zakrzyknął don Álvaro.

Ze swej pozycji widział, że zbyt wielu saraceńskich żołnierzy zdążyło do miejsca, w którym znajdował się jego teść. Trzeba było stamtąd uciekać, teraz, natychmiast.

Dostrzegli, jak król dosiada wierzchowca, a wraz z nim dwaj rycerze. Jednym był jego chorąży García Romeu, stary znajomy Diega. Kastyljczycy zrobili im szerokie przejście, przez które wyrwali się co siłą.

– Wyobrażam sobie wściekłość Abu Zayda... – skomentował Diego.

– Rycerz, który się ceni, nigdy nie pozwoli na śmierć króla z ręki bezbożnika. To jest właśnie wierność. Dziś Pedro II Aragoński został pobity, ale kto wie, czy kiedyś nie będzie walczył u naszego boku.

Gdy bitwa się skończyła, podeszli do don Diega Lópeza de Haro. Był ranny, ale na jego twarzy widać było radość zwycięstwa i zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku.

Diego, widząc go, poczuł dogłębny ból. Myślał o własnej sytuacji. Był już weterynarzem i zdobywał dobrą reputację, spełniał więc daną ojcu obietnicę. Ale mimo to nie mógł odnaleźć w sobie prawdziwego spokoju. Ciągle myślał o siostrach.

Przytulił się do szyi swej klaczy i po cichutku podzielił się z nią swymi uczuciami.

– Kiedyś to obiecałem, świadkiem byłaś tylko ty. Uwolnię je, cokolwiek by się działo. Razem nam się uda...

VIII

Estela czuła wstręt do swego życia, do swego losu.

Co noc, już od miesiący, chodziła do komnat kalifa, by spać w jego łożu. Nienawidziła go.

On patrzył na nią, wahał jej perfumy, czuł jej bliskość w świeżej pościeli, ale jej nie dotykał.

Al-Nasir był w niej zakochany bez pamięci. Oszalał dla niej. Jej niezłomność raniła go do żywego.

– Estelo... gdybyś tylko знаła ból, który mam w sercu. – Spojrzał jej głęboko w oczy, w to niebieskie morze. Były jak zawsze puste, prawie lodowate.

Westchnęła. Ona też szukała w jego oczach wielu odpowiedzi, na przykład na pytanie o brutalną egzekucję przeprowadzoną na jej siostrze. Cztery miesiące minęły od tego okropnego wydarzenia i wciąż nie mogła zapomnieć. I wcale nie chciała.

– Wiem bardzo dobrze, co znaczy ból serca. Już dość dałeś mi do niego powodów...

Al-Nasir zaczynał mieć już tego dosyć.

Zbyt wiele razy upokarzał się, prosząc ją o wybaczenie, nie czując się wcale winnym. Bolała go jej nikła wdzięczność za to, że wybawił ją z rąk wezyra.

Podniósł się z góry poduszek, na których leżał, i zasapał z wściekłością. Kopniakiem wyrzucił stojący przed nim stolik z tacą pełną owoców, aż poleciał w powietrze.

Estela przestraszyła się. Ogarnął go szal, nie panował nad sobą. Przewrócił na ziemię szafę pełną porcelany, po czym stłukł wielki szklany dzban. Zaciśnął pięści i usta pełen gniewu. Rozerwał sobie

tunikę na pół i ruszył w jej stronę. Estela skuliła się przestraszona, myśląc, że zaraz ją pobije.

– Co mam zrobić, byś mnie pokochała? – powiedział do niej z tak bliska, że poczuła ciepło jego oddechu. Nie odważyła się poruszyć. – Poproś mnie o to, czego najbardziej pragniesz... Dam ci wszystko. Chcesz być panią tego miasta, czy może wolisz moje królestwo? Drogie kamienie, najpiękniejsze szaty? Wszystko będzie twoje, wszystko... Gdy tylko mnie pokochasz któregoś dnia, którejś nocy...

Estela wypięła pierś i zadarła nos z miną pełną dumy.

– Tego, czego najbardziej pragnę, dać mi nie zechcecie.

– Spróbuj...

– Mojej wolności! – wykrzyknęła bez żadnej nadziei.

– To wszystko, czego chcesz?

– Nie, nie tylko tego. Jeszcze ujrzeć was martwym któregoś dnia... – Spojrzała mu w twarz, nie okazując żadnego strachu.

– Zamilcz! – krzyknął zrozpaczony. – Na Allaha miłosiernego, co mam z tobą zrobić? Jakich więcej dowodów oczekujesz? Od czasu tej tragedii szanowałem cię. Nie tknąłem cię więcej. Obchodzę się z tobą delikatnie, a wszystko, co od ciebie dostaję, to nienawiść, szalona i dzika nienawiść. – Zdecydowanie ruszył w stronę jednej ze ścian, na której wisiała broń. Wziął dwa złote sztylety.

– Pragniesz ujrzeć mnie martwym? – wrócił do niej. – Tego właśnie chcesz, prawda? – Podał jej ostre noże i rozchylił tunikę, odsłaniając pierś. – To zrób to własnymi rękoma! Spełnij swe pragnienie!

Estela chwyciła sztylety urzeczona ich niebieskawym blaskiem. Jeden z nich przystawiła mu do serca, drugi do brzucha. Patrzyła na jego skórę i wyobraziła ją sobie otwartą i krwawiącą, aż wykrwawi się na śmierć.

Wzięła głęboki oddech, ale powietrze nie zdołało dotrzeć do jej płuc. Coś ścisnęło ją w piersiach z przejęciem. Nagle zawahała się, czy rzeczywiście tego chce. Nienawidziła tego człowieka jak nikogo na świecie, ale gdyby go zabiła, stałaby się kimś tak samo odrażającym. Byłaby morderczynią.

– Zrób to wreszcie! – krzyknął kalif.

Estela spojrzała mu w oczy. Mogła to zrobić, ale nie chciała. Rzuciła

sztylety na ziemię i wybuchła płaczem. Al-Nasir wahał się, co zrobić, choć pragnął tylko ją przytulić. Fakt, że nic mu nie zrobiła, oznaczał, że coś do niego czuła. Coś więcej niż nienawiść. Jeśli nie zrobiła tego tylko przez jakiś przebłysk litości, żalu czy brak odwagi, było mu wszystko jedno. Estela darowała mu życie i nie targnęła się na nie. Poczul, że kocha ją jeszcze bardziej niż wcześniej.

Dotknął palcem jej policzka, aby otrzeć łzę, i sam kontakt z jej skórą przeniósł go do raju. Przejechał po jej twarzy, by otrzeć drugą, aż dotknął warg. Dotykał ich powoli, zmysłowo.

– Pragnę ciebie... – Odgarnął jej z czoła długi kosmyk włosów i muskał go między palcami.

Estela spojrzała na niego poważnie. Dosyć miała jego i jego natarczywości.

– Poszukajcie innej, która będzie mogła się wami cieszyć. Mnie nigdy nie posiadziecie. Choć rościecie sobie prawo do mego ciała, wasza nigdy nie będę.

– Nie rozumiem, czemu muszę to znosić... Wiesz co? Dość mam już ciebie, twojej dumy, twego okrucieństwa!

Zawołał swoją straż przyboczną.

Trzej imesebeleni wbiegli natychmiast z szablami w dłoni, zaalarmowani jego krzykiem. Estela rozpoznała wśród nich Tijmuda.

– Wtrąć ją na noc do lochu! – krzyknął al-Nasir, wychodząc z siebie.

Dwaj strażnicy podnieśli ją z ziemi, a Tijmud zapytał kalifa, jakiej chce dla niej kary.

– Wy chłostać ją pierwszej godziny poranka na wielkim placu pod minaretem. Taka moja wola... Serię dwudziestu pięciu batów... A potem zostawić ją tam, skutą kajdanami na trzy dni, by wszyscy ją widzieli.

Podszedł do okna i poczuł chłód wieczoru na swej rozpalonej twarzy. Potem wziął swój Koran, najpiękniejszą z ksiąg, jaką posiadał. Napisał coś na kartce pergaminu, złożył ją i włożył między stronicę. Robił tak zawsze, gdy chodziło o coś ważnego.

– Czekajcie! – zawołał, gdy wychodzili z jego komnat.

Al-Nasir podszedł do dziewczyny i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jeśli teraz poprosisz mnie o wybaczenie, ominie cię jutrzejsza udręka... To twoja ostatnia szansa... Co powiesz?

– Możecie ranić moje ciało, toczyć krew z mojej skóry, ale nigdy nie zdobędziecie mojego serca – odparła bez lęku.

Słyszając to, al-Nasir poczuł w swojej duszy palącą ranę, gorszą, niż gdyby wbiła mu sztylety. Nigdy nie kochał tak żadnej kobiety. Nic jednak nie mogło już powstrzymać jej kary.

– Zabrać ją!

Następnego ranka po pierwszej modlitwie Estela została powleczona pod minaret i uwiązana do drewnianego pała. Pięciu potężnych imebelenów oddzielało ją od tłumu, który zaczynał gromadzić się wokół.

Jednym z nich był Tijmud. Widział, jak trzęsą się jej nogi, i zrobiło mu się jej żal. Same ugiwały się w kolanach, niezdatne, by ją utrzymać. Gdy była już o włos od tego, by paść, cudem odzyskiwały jeszcze trochę napięcia, by ją nieco podtrzymać. Łokcie, ramiona, całe jej ciało przechodziły raz po raz skurcze, które były efektem potwornego strachu, jaki czuła.

Estela postanowiła nie krzyczeć i znosić ciosy, niezależnie od tego, jak byłyby ciężkie. Pomyślała o swoich siostrach i zdecydowała się ponieść tę ofiarę.

– Nie róbcie jej krzywdy... Jest dobra... – słodki dziecięcy głosik przyciągnął jej uwagę.

Estela podniosła głowę i ujrzała dziewczynkę, na oko ośmioletnią, o czystym i szczerym spojrzeniu. Mała wyciągnęła do niej rączkę, oferując jej swe wątłe siły i wsparcie, jakby w ten sposób mogła jej pomóc. Jej ojciec, gdy spostrzegł ten gest, zganiał ją, tłumacząc, że to heretyczka, przebrzydła chrześcijanka. Z oczu małej potoczyły się łzy. Jej niewinność wzruszyła Estelę. Patrzyła za nią, nim znikła jej z oczu dokładnie w chwili, gdy pojawił się wezyr.

– Czy ty jesteś Estela z Malagón?! – krzyknął do niej.

– To ja – odpowiedziała cienkim i drżącym głosikiem.

– Dobrze, zaczynamy więc, póki czas. – Przez tłum przeszedł pomruk zadowolenia. Mężczyzna zwrócił się do żołnierzy i wskazał Tijmuda.

– Ty pierwszy. – Podał mu bat.

Strażnik wziął go i z przygnębieniem spojrzął na kobietę. Był wyszkolony, by zabijać w obronie kalifa, nigdy dotąd ręka mu nie zadrżała, ale tym razem było inaczej. Dziewczyna była bezbronna, a poza tym znał ją.

Tak czy inaczej, rozumiał, że to jego obowiązek, i przygotował się do wykonania rozkazu.

– Zaczynajcie już i bądźcie surowi. – Wezyr podciągnął kaftan Esteli do połowy. – Taka jest wola waszego kalifa, któremu winniście wszystko, nawet wasze życie.

Tijmud westchnął głęboko i machnął biczem dwa razy w powietrzu, nim uderzył dziewczynę. Głucha cisza towarzyszyła jego pierwszemu razowi. Wraz z trzaskiem skóry na ciele kobiety rozległ się stłumiony jęk bólu. Gawiedź wiwatowała żadną krwi. Następny raz rozciął jej skórę, otwierając ranę od podstawy szyi do połowy pleców.

Wezyr nakazał przerwać i zwrócił się do ukaranej. Złapał ją za włosy i pociągnął, zmuszając do patrzenia na zgromadzonych.

– Patrz na ich twarze, suko... Widzisz, jak ich to cieszy?

Nie odpowiedziała. Czują otwartą ranę na plecach i głęboki ból, ale i dość siły, by to jeszcze znieść.

– Dalej – odezwał się znów do Tijmuda – i nie miej litości. Z całej siły po żebrach.

Tijmud napiął mięśnie ręki i wymierzył serię dziesięciu batów bez żadnej przerwy. Skóra otwierała się, gdzie tylko padały razy.

Przy ostatnich Estela już krzyczała, nie mogąc więcej znieść potwornego bólu. Piekły ją plecy.

Tijmud otarł krew z rąk i zbliżył się do niej, żeby sprawdzić, jak się czuje. Ukradkiem powiedział jej prosto do ucha.

– Nienawidzę tego robić... – wyszeptał – Wybacz mi.

Estela spojrzała mu w oczy i wybaczyła, sama niemiłosiernie cierpiąc z bólu. Wybaczyła, choć był jej katem. Nie musiała tego mówić, on to zobaczył, rozumiał i ogarnęło go nieznanne dotąd uczucie. Był to jakiś dziwny impuls, który nakazał mu chronić ją przed dalszym cierpieniem. Brakowało jeszcze trzynastu batów. Nigdy dotąd nie poczuł czegoś podobnego. Pomyślał, że musi to być to, co inni nazywają litością, uczucie jemu dotąd nieznanne. Wylał końcówkę bata, trochę niezdecydowany, i miał kontynuować. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa...

Wezyr krzyknął mu do ucha, by bił dalej. Ubliżył mu, nawet podniósł jego rękę, by pomóc mu zamierzyć się batem na dziewczynę.

Estela nabrała powietrza w płuca i napięła mięśnie pleców, szykując się na kolejne razy, które zaczęły padać. Tłum zaczynał się już niepokoić. Niektóre kobiety protestowały przeciw tak surowej karze, kilka krzyczało, prosząc o zatrzymanie tej rzezi, ale wezyr nie zwrócił na nie uwagi. Miał dokładne rozkazy kalifa i zdecydowany był je wykonać.

Estela czekała smutno na świszczący dźwięk, który rozlegał się wraz z każdym ciosem, ale w końcu zaczęła myśleć o czym innym. Wspomniała swoje życie w Malagón. Myśli jej zaczęły krążyć wokół rodzinnego zajazdu. Ujrzała tam siebie wraz z rodzeństwem, gdy byli jeszcze szczęśliwi. Pomyślała o Diegu. Co z nim?

Potworny ból wyrwał ją z rozmyślań, gdy bat oplatał jej zębra, a jego długi, ostry koniec ukąsił ją w pierś.

Zacisnęła zęby i czekała na następne uderzenie, patrząc na Tijmuda. W jego oczach zobaczyła współczucie.

Od egzekucji Blanki ten imesebelen, strażnik księżniczki Najli, wiele razy się do niej zbliżył. Choć niewiele ze sobą rozmawiali, od początku zauważyła w nim coś szczególnego. Był inny niż reszta tych bezdusznych strażników. I wtedy znów zobaczyła siebie, jak razem z Blanca uciekają ulicami tego miasta, na tym samym placu. Przypomniała sobie mężczyznę z fletem i koszem węży, który grał słodką melodię, kiedy je pojmali.

Wkrótce poczuła się bardzo zmęczona i chciała tylko spać.

Przestała już słyszeć odgłos razów spadających na swoje ciało. Głowa zaczęła jej strasznie ciążyć. Pozwoliła jej opaść.

Wezyr, mocno rozgniewany, chciał przekonać się, czy tylko udaje, i podszedł, by się jej przyjrzeć. Nakazał Tijmudowi przerwać, by przekonać się, czy straciła przytomność. Począł chwilę, aż odzyska świadomość, ale że się to nie stało, polecił przynieść wiadro wody, by ją obudzić. Sam wylał je na jej głowę i poharatane plecy. Nie zareagowała.

– To nic! – rzekł. – Dokończyć należne baty, a potem zostawić tutaj. Niech słońce leczy jej rany.

Tijmud dalej już nie był w stanie bić. Podał bat drugiemu imesebelenowi. Nowy osilek wymierzył Esteli taki cios, że odbił się echem na

całym placu. Natychmiast obecni tu ludzie zaczęli się buntować. Niektórzy rzucali wyzwiskami, inni ciskali owocami i kamieniami, oskarżając bijących o tchórzostwo.

Żołnierz, za nic mając to, co działo się wokół, dalej smagał ją biczem raz, drugi, piąty, aż Estela obudziła się i przerażona otworzyła oczy. Wezyr, gdy to zobaczył powstrzymał bat własną ręką i patrzył, czekając, co się stanie.

Estela zacisnęła pięści i wydała bolesny jęk, z niezmiernym trudem podniosła się z ziemi i krzyknęła. Jej przesywający krzyk wdarł się głęboko do głów wszystkich tam obecnych. Usłyszała go też Najla w głębi pałacowych komnat. Była ze swym bratem.

Oboje spojrzeli po sobie w przerażeniu, wiedząc, skąd pochodzi.

– Zabiłeś moją najlepszą przyjaciółkę, Blancę. Teraz pozwolisz, by z nią stało się to samo?

Al-Nasir zatkał uszy, aby uciec od swej własnej udręki, ale Estela krzyknęła znów, jeszcze głośniejsze, aż usłyszało ją całe miasto. Ze swego szafotu rzuciła wezyrowi pełne dumy spojrzenie. Daleka była od prośzenia go o łaskę. Słyszając jednogłośnie wołanie ludu o łaskę, splunęła na ziemię z pogardą.

Niektóre z zawodzących kobiet, rozzuchwalone, uzbroiły się w kamienie i poczęły ciskać nimi w osiłków. Wezyr musiał opanować sytuację. Podniósł głos.

– W imię Allaha miłosiernego, litościwego, słuchajcie mnie wszyscy. – Podniósł w górę ręce i powtórzył to trzy razy, aż zrobiło się całkiem cicho. – Jak wicie, prawo nasze karze chłostą na placu publicznym cudzołóżnika, cudzołożnicę i tego, co fałszywie oskarża. – Okrzyknął Estelę i przyłożył obie dłonie do jej pleców, aż nabrały czerwonej barwy, po czym pokazał je wszystkim wokół. – Zaprawdę powiadam wam, że krew tej kobiety nie została przelana na darmo. Wiedzieć wam trzeba, że to niewierna, która ośmieliła się urazić dumę naszego pełnego chwały kalifa. Dlatego grzech jej musiał zostać ukarany i tak też się stało. Zobaczycie, jak modlicie się za nią do Allaha, może prosicie o łaskę dla niej. I chcę, żebyście wiedzieli, że Allah was wysłuchał. Posłuszni jego woli – podniósł głos jeszcze bardziej – dalszą chłostę darujemy.

Przez tłum przeszedł pomruk zadowolenia.

- To ją wypuście! – krzyknął jakiś chłopak.
- Tak, tak... – dołączyli się inni.
- Nie mogę – odparł wezyr. – Musi odbyć swą karę. Będzie przykuta do tego pala trzy dni, zgodnie z wolą naszego kalifa.

Lud, mruczając z niezadowoleniem, zaczął rozchodzić się po placu, zwanym Djemaa el Fna, pośród straganów handlowych. Wezyr też wydał ostatnie rozkazy i odszedł.

By nikt z ciekawskich już jej nie nękał, na straży pozostawiono ime-sebelenów. Jednym z nich był Tijmud.

Po jakimś czasie Estela skierowała na niego swe spojrzenie.

Przeglądała się jego oczom, ciemnym jak jego skóra. Nie miała już siły znieść potężnych bólów, które ją dręczyły.

- Tijmud, chcę pić.
- Nie mogę, pani... Musicie mnie zrozumieć.
- Błagam cię. Umieram z pragnienia.

Tijmud spojrział na swego towarzysza. Po jego minie odgadł, że on by się na to nie zgodził. Podeszedł do niego i w jego języku powiedział mu coś do ucha. Potem zawołał chłopca i polecił mu przynieść dzbanek wody. Tijmud sam pomógł jej pić.

- Jeszcze raz dziękuję.
- Teraz odpocznijcie i więcej nic nie mówcie. Spróbujcie spać, by ból was nie wycieńczył.
- Macie rację... Jestem bardzo zmęczona i ciężko mi jest mówić...
- Postaram się wam pomóc...
- Czemu to robisz?
- Nie wiem... Gdy widzę wasze cierpienie, czuję, jak coś się dzieje we mnie w środku, ale nie wiem, co to może być...

Estela przytuliła się do słupa i wyczerpana zamknęła oczy. Jej cierpienie było tak wielkie, że nawet nie wiedziała dokładnie, skąd pochodzi. Po chwili zmoгло ją zmęczenie i zasnęła.

Pierwszą noc spędziła wśród własnych jęków i w nieustającym bólu.

Następnego dnia, gdy zaczęło świtać, ciepły promień słońca ogrzał jej lica i ją obudził. Gdy otworzyła oczy, zaczęła szukać wzrokiem Tijmuda, ale go nie było. Zastąpił go inny żołnierz, który odmawiał odpowiedzi na jej pytania. Ale wrócił po południu i wtedy mogli porozmawiać.

– Czuję się, jakby ktoś przykleił mi do pleców wysuszoną skórę, która ciągnie je na wszystkie strony – zwierzała mu się Estela. Gruba skorupa z zakrzepłej krwi całkowicie pokrywała jej plecy. – Chwilami ledwo mogę złapać oddech z bólu...

Gdy nadszedł czas popołudniowej modlitwy, plac opustoszał. Tijmud wykorzystał okazję i obmył jej rany świeżą wodą. Osuszył je troskliwie bawełnianą chusteczką.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosiła Estela.

– Imesebelen nie ma rodziny.

– To niemożliwe.

– Nie, pani. Jeśli tego nie wiecie, powiem wam, że tuż po urodzeniu oddziela się nas od rodziców i zabiera do specjalnej szkoły. Tam wychowuje się nas tak, byśmy któregoś dnia stali się najwierniejszymi strażnikami kalifa. Ja z tego, co wiem, zostałem zostawiony w stajni, gdzie poza mną była tylko wielbłądzica. Nigdy nie dowiem się, jak to możliwe, ale zdaje się, że wykarmiłem się jej mlekiem. To podobno pierwsza próba, jakiej poddaje się nas, byśmy stali się dobrymi imesebelenami. Ten, kto okaże dość instynktu samozachowawczego, rusza do wielbłądzicy, gdy żołądek zassie go z głodu. Ten, kto go nie okaże, umiera. Niektórzy nie są nawet w stanie przyswoić sobie całego bogactwa jej mleka, inni giną stratowani pod jej kopytami. Tak właśnie działa selekcja. Od pierwszego już dnia zaczyna się okrutny odsiew. To dopiero początek bezliku ciężkich prób, by sprawdzić, którzy z nas są zbyt słabi, a którzy zostaną wybrani, by chronić kalifa.

– A matczyna miłość, ojcowska ochrona? Jak można bez tego żyć?

– Nie znam tego. Nigdy nie widziałem, na czym polega, wiercie mi. My, imesebeleni, żyjemy tylko dzięki kalifowi i dla kalifa. On nas żywi, my go bronimy. To proste i użyteczne. Podczas naszego szkolenia tych, którzy okazywali najdrobniejszą słabość, próbowali uciekać albo nie wytrzymywali ciężkich warunków podczas ćwiczeń, czekał okrutny los.

– Nie rozumiem.

– Służyli za cel podczas ćwiczeń.

– A jakie to były ćwiczenia?

– Na wszystkie możliwe sposoby uczono nas zabijać.

Strach zdjął Estelę.

– Nie mogłeś więc poznać miłości ani smaku pieśczoły...
– Wychowałem się wśród innych pojęć. Powinność, posłuszeństwo, całkowite poświęcenie. Należę do szczególnego gatunku, do grupy wybrańców, i czuję się z tego dumny...

– Uwierz mi, nie powinieneś. Brakuje ci tego, co w życiu najlepsze. Mam nadzieję, że kiedyś będę mogła ci to wytłumaczyć.

Tego wieczoru, wracając do pałacu, Tijmud pograżył się w rozmyślaniach o tym, co usłyszał. Nigdy nie dopuszczał takiej możliwości, by mogli istnieć jego rodzice, i sama myśl o tym budziła w nim dziwny niepokój. Czy oni żyją?

Gdy tylko przekroczył bramę, natknął się na ambasadora, don Pedra de Morę. Szedł razem z wezyrem. Choć nie widział go już od dawna, coś w jego twarzy przykuwało uwagę. Jakby grymas, który mącił jego uśmiech.

Spojrzeni na siebie. Tamci dwaj rozmawiali.

Tijmudowi wydało się, że słyszy coś, co zainteresowało go jeszcze bardziej. Schował się za mur, za ich plecami, i szedł obok nich, dokładnie słysząc każde ich słowo.

– Zrobiła mi to kanalia, która przyznała, że jest bratem tej rudej suki, którą właśnie ukaraliście, Esteli.

– Uważajcie, co o niej mówicie, a zwłaszcza komu mówicie – ostrzegł go wezyr. – Zdradzę wam sekret, ale musicie najpierw przysiąc, że nie zdradzicie go nikomu.

– Macie moje słowo.

– Dobrze. Chodzi o naszego kalifa. Jest zakochany w tej dziewczynie do szaleństwa... Nie ma innej w haremie, która byłaby w stanie go zadowolić. Kocha ją tak bardzo, że, tak naprawdę, nikt nie rozumie tego, co się wczoraj stało.

– Dziękuję wam za ostrzeżenie. To, co mi powiedzieliście, tak bardzo mnie nie dziwi, chociaż od dawna już nie widziałem ich razem, a nie rozmawiałem z nim o tej sprawie. Będę bardziej uważał, ale muszę wam też powiedzieć, że przysięgam odplacić tej kobiecie za niegodziwość, której brat jej dopuścił się na mnie. Kiedyś sobie to na niej odbiję.

IX

Doña Teresa Ibáñez przyśpieszonym krokiem weszła do sali muzycznej, gdzie Mencía, przygrywając sobie, śpiewała psalmy.

– Chodź szybko. Zostaw to i chodź do sali balowej. Czeka cię wspaniała niespodzianka.

Mencía odłożyła instrument na ławę i wstała z obawą. Ten pośpiech, obniżony ton głosu i nerwowy chód matki wzbudziły podejrzenie, że coś ukrywa.

– Co się stało?

Doña Teresa energicznie natarła jej policzki, by się zaczerwieniły.

– Najlepiej sama zobacz, kochanie... Chodź, zobacz.

Minęła porośnięty kameliami dziedziniec i ruszyła w stronę głównego skrzydła zamku. Matka szła za nią krok w krok. Gdy weszła do sali przyjęć, stał tam odwrócony do niej plecami mężczyzna, który wyglądał przez balkon. Chrząknęła delikatnie, by zaznaczyć swą obecność. Odwrócił się.

– Moja kochana Mencía... – Stanęła jak wryta, gdy ujrzała, że to Fabián Pardo, a jeszcze bardziej, gdy okazało się, że jego postawa zupełnie nie współgra z treścią listu, który wysłała mu tydzień wcześniej.

Mężczyzna chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie, by ucałować jej usta. Odsuwała się od niego, jak tylko mogła.

– Skąd wy tutaj...? – Mencía wyciągnęła ręce przed siebie, by go odepchnąć. – Sądziłam, że jesteście na wojnie, wraz z waszym królem, Pedrem.

– Moim fachim są prawa, a nie broń. Tak pragnąłem was ujrzeć...

Doña Teresa wtrąciła się do rozmowy.

– Nie wyobrażacie sobie, jaką radość sprawia nam wasza wizyta – powiedziała, krzątając się pomiędzy nimi.

Podąła mu swą dłoń, by przyjąć jego powitanie, po czym odwzajemniła mu grzeczność, całując jego policzki.

– Wybaczcie mi te wyznania, ale dla mnie jesteście prawie już członkiem rodziny...

Mencía wbiła w nią przerażony wzrok.

Przyjmowała Aragończyka, jakby był jej zięciem. Jakby tego było mało, Fabián wydawał się zachwycony takim pomysłem.

– Jesteś wspaiała – odezwał się nieproszony, zwracając się znów do Mencíi – najcudowniejsza żona, jaką mężczyzna może sobie wymarzyć.

Mencía nie wierzyła własnym uszom. Odmówiła mu na piśmie, a jednak jego zachowanie zdawało się świadczyć o czymś wprost przeciwnym. W liście wyłożyła mu wszystko dość jasno, jego obecność była więc dla niej niezrozumiała. Uzbroiła się w odwagę i postanowiła wyjaśnić sprawę. Oczekiwała sensownego wyjaśnienia.

– Otrzymaliście mój list?

– Tak, otrzymałem... – Aragończyk zamknął oczy i zrobił niejasną minę. Mogła wyrażać namiętność, smutek albo jedno i drugie. – Dlatego powziąłem decyzję, by przybyć. Poruszył mną tak bardzo, że poczułem potrzebę, by się z wami rozmówić...

Z jego słów Mencía wywnioskowała, że wciąż niestety nie daje za wygraną.

Doña Teresa, słuchając, o czym mówią, drżała ze strachu.

Musiła natychmiast przeszkodzić im w rozmowie, zanim wyjdzie na jaw jej manipulacja. Spięta, ale z wymuszonym uśmiechem, wzięła gościa pod rękę i niemal powlokła go, by oprowadzić po swych włościach.

– Jesteście pewnie zmęczeni po podróży. Rozumiemy, że pragniecie trochę odpocząć... – Fabián spojrzał na Mencíę zawiedziony. – O ósmej będziemy jeść kolację. Starczy wam czasu, by pomówić o wszystkim, o czym zechcecie.

Mencía, wreszcie sama, padła zdezorientowana na fotel. Nie wiedziała, jak wyswobodzić się z tego potrzasku. Fabián był uparty i sływał

z tego, że się nie poddawał, dopóki nie osiągnął celu. Jeśli przeczytał list, znał już jej zdanie. Co więcej mogła mu powiedzieć?

Doña Teresa rozmyślała, szykując wszystko do kolacji. Musiała zrobić coś, co przekształci jej podstęp w mocną umowę. Coś, od czego nie będzie odwrotu. W niedługim czasie na to wpadła. Pomysł może nieco przewrotny, ale jak najbardziej możliwy do wykonania.

Szczegółowo obmyśliła, jakie kroki musi przedsięwziąć, jakie przeszkody mogą się pojawić i jak je przezwyciężyć. Myślała i myślała. Pomysł był dobry, to pewne. Mogło się udać.

Wzięła czysty pergamin, gęsie pióro i kałamarz. Zaczęła pisać.

Wiele mil dalej, w wieży zamku Cirat, o pół dnia konno i na południowy wschód od Mora de Rubielos, Diego z Malagón słuchał ze smutkiem o dalszych planach wojennych.

Osiągnięto dopiero pierwsze zwycięstwo. Nic wielkiego. Zarówno Diego López de Haro, jak i Abu Zayd wiedzieli, że król Pedro II tak łatwo się nie podda.

– Skoro nie udało mu się zwyciężyć tym, co miał, to teraz wezwie najznamienitszych rycerzy swego królestwa, nowe drużyny kawalerii i piechoty, by sformować większe wojsko – tłumaczył Diego słowa walenckiego gubernatora. – Oprócz złorzeczeń na wasze zachowanie, gdy pozwoliliście mu zbiec – ciągnął Diego – mówi, że jako zadośćuczynienia będzie potrzebował was jeszcze przez cztery miesiące, aż do nadejścia zimy.

– Powiedzcie mu, że wysłałem właśnie list do doñi Teresy, by donieść jej o minionych wydarzeniach i prosić ją o życzenia jak najszybszego zwycięstwa.

Don Diego López de Haro pociągnął łyk korzennego, słodkiego wina z nutą cynamonu, które podała właśnie służąca o migdałowych, tajemniczych oczach. Miał nadzieję, że tłumaczowi podczas wykonywania pracy nie umkną rozkoszne krągłości tej kobiety.

– Dziękuję wam z całego serca i zapewniam, że będzie dla was hojny.

– Już jest. Od dawna już nie było mi dane zjadać takich przysmaków ani liczyć na takie względy... Nie mówiąc już o tak pięknym towarzystwie... – powiedział, mierzając wzrokiem od stóp do głów kobietę, gdy wracała, by napęlić kielich diabelskim trunkiem.

– Zapewniam też, że zapłaci wam złotem.

Po czwartym kielichu Diegowi zaczęło się tłumaczyć gorzej.

– Wyśmienita wiadomość, mój pan-niee. – Don Diegowi poplątał się język i od tej chwili postanowił mówić mniej.

Diego tłumaczył dalej na hiszpański słowa Walencjanina, ale coraz trudniej było mu je zrozumieć. Być może z powodu obecności kobiety, nieczęstej w ostatnich tygodniach, zaczął myśleć o Mencii. Cztery miesiące bez niej byłyby dla niego piekłem. Pociągnął jeszcze łyk i poczuł się źle, jakby jego żołądek dzielił się na dwa. Zebrało mu się na mdłości, ale zdołał je przeczucić. Postanowił poczekać, aż poczuje się lepiej.

Chociaż chciał o niej myśleć, ciało jego, było pochłonięte zadaniami zbyt trudnymi, by się skoncentrować, zwłaszcza gdy weszły tancerki.

Przy dźwiękach żywej muzyki rozpoczęły swój ociekający zmysłowością taniec. Żywiłowy ruch opanował każdy najdrobniejszy nawet ich mięsień. Ciało ich, okryte tylko barwnymi welonami, były ponętne i wabiące, a woń, którą roztaczały, upajająca. Diego dał się uwieść tej tętniącej zmysłowością atmosferze dzięki skutkom działania napoju i wdziękom owych pięciu kobiet. Jedna z nich porwała go do tańca, a inne – gubernatora i don Diega. Ów diabelski taniec wymagał wielkiej zręczności i musieli mocno trzymać się ich bioder, aby wyczuć rytm i poddać się mu. Wśród śmiechów, otumaniony pięknem ich ciał, Diego zapomniał o swych smutkach.

One zaś pragnęły tego niebezpiecznego napoju, który mącił umysł i radował serce. Piły go niemal do upadłego, zaśmiewając się przy tym do rozpuku. Diego, zamiast tłumaczyć, bełkotał bez ładu i składu, a gubernator chyba stracił głowę, bo usiłował tańczyć, leżąc na ziemi, wywróciwszy się jak długi trzeci raz z rzędu, i nie próbując już wstać.

Po północy ktoś zaproponował, by z owymi kobietami udać się do sypialni. Don Diego López de Haro zmusił weterynarza, by wziął najładniejszą. W tajemnicy zaoferował Buthaynie, bo tak nazywała się nałożnica, piętnaście dukatów, jeśli zdoła spędzić noc z młodzieńcem, i następnych sto, jeśli skłoni go, by odtąd robił to częściej. Wszystko po to, by zapomniał o jego siostrzenicy, Mencii.

Ochoczo przyjęła układ i podeszła do Diega z uwodzicielskim spojrzaniem. Wzięła go za rękę i powiodła długim korytarzem, który prowadził do pokojów gościnnych. Przed samą sypialnią Diega ucałowała go pożądliwie i otarła się o niego, dając mu poczuć swe ciało.

Myśli Diega skupione były na Mencii. Próbował odtrącić tancerkę, ale kobieta była niezwykle biegła w sztuce miłości i dysponowała umiejętnościami, które rozpały jego namiętność. Oszołomieni weszli do sypialni. Buthayna zaczęła go rozbierać, pieszcząc i szepcząc wciąż czule. Diego na to pozwalał. Krew tętniła w jego skroniach, a puls przyspieszał w rytm narastania jego pragnień. Gdy ją potem rozebrał, zachwyił się jej ciałem i jednym popchnięciem rzucił ją na łożo.

– Twoi rodzice byli bardzo mądrzy, nadając ci to imię, Buthayno. Oznacza ono „kobieta o ciele pięknym i oddanym”, czyż nie?

– Przekonajcie się sami...

Kobieta uśmiechnęła się, przyciągając go do siebie. Diego zatopił się w jej ciele, całował je, muskał palcami rozpaloną skórę, która je spowijała, poczuł jego sprężystość. W nagłym przebłysku pomyślał znów o Mencii. Prawie ją ujrzał. Nie mógł posunąć się dalej. To nie było to, czego naprawdę chciał ani co powinien robić.

Oszołomiony, powstrzymał swe ręce.

– Buthayno, jesteś słodka i piękna, podobasz mi się, ale nie chcę więcej... – Spojrzała na niego ze zdumieniem. – Nie chodzi o ciebie, to moja wina. Jestem zakochany w innej kobiecie, istocie najśłodszej i najczulszej, jaką poznałem, o pięknym wnętrzu i powierzchowności. Czuję, że winien jestem jej wierność. Ona jest moim życiem, dzięki niej oddycham, nie mogę bez niej żyć...

Kobietę, mimo że ją odrzucił, wzruszyło jego szlachetne zachowanie. Zrozumiała go. Nie zdołała jednak zapobiec, by Diegowi zrobiło się jej żal.

– Nie płacz przeze mnie. Zapewniam cię, że jesteś ładna i pociągająca, ale...

– Nie dlatego płaczę. To czysta zazdrość. Gdyby tak ktoś poczuł kiedyś do mnie coś takiego. Wasza postawa jest piękna. Nie mogę przestać, wzruszyłam się...

Wstała z łóżka i wzięła swoje szaty, by się ubrać. Diego zakładał kaftan. Razem siedzieli na łóżku.

Spojrzała na niego z wahaniem, ale w końcu się odważyła.

– Mam do was prośbę.

– Postaram się ją spełnić.

– Pozwólcie mi tu spać. Nie będę was zaczepiać, obiecuję. Zrozumcie, gdy zobaczą, że wracam tak szybko, pomyślą, że was zaniebadałam, wyrzucą mnie na ulicę i zostaną bez pracy...

– W porządku. Możesz tu spać.

Położyła się na skraju łoża i po jakimś czasie zobaczyła, że Diego wciąż nie śpi. Odwróciła się do niego.

– Jak nazywa się ta szczęśliwa kobieta?

– Mencía – odparł z tęsknotą w głosie.

– Piękne imię...

Kobieta na powrót odwróciła się do niego plecami i zasnęła, poplając cicho ze wzruszenia i trochę ze wstydu.

Tej samej nocy Mencía, leżąc w swoim łóżku, myślała o Diegu. Dzieliąca ich odległość bolała ją jeszcze bardziej od spotkania z Fabiánem. Matka i jej zalotnik, wywierając na nią nacisk i wprost czyniąc aluzje, prześcigali się między sobą w szalonej gonitwie, która doprowadzała ją na skraj wyczerpania.

Nakryła się szczelnie kołdrą, jakby pod nią nikt nie mógł jej dosięgnąć. Ale sen nie nadchodził. Myśli kołowały jej w głowie jak oszalałe. Wciąż się pociła, nie mogąc opanować nerwowego napięcia. Oczy otwierały się wbrew jej woli.

Ktoś zapukał do drzwi komnaty.

– Mencía?

– Matka?

Zobaczyła, jak wchodzi. Twarz dońi Teresy wyrażała stan wzmożonego napięcia. Chwyciła za kołdrę i zerwała ją z niej jednym ruchem.

Nijak tego nie tłumacząc, przykryła ją z powrotem, zadowolona. Mencía patrzyła na nią przestraszona.

Doña Teresa zaczęła mówić poważnym tonem, upewniając się, że córka rozumie każde jej słowo.

– O północy wejdzie do tej sypialni, a ty pozwolisz mi na wszystko, czego zechce...

– Matko, o czym ty mówisz?

– Mówię o Fabiánie Pardo. Teraz właśnie z pewnością czyta twój list... – Mencía chciała o coś spytać, ale matka nie dopuściła jej do głosu. – Nic nie mów, tylko słuchaj! Jest w nim napisane, by przybył do ciebie tej nocy. Podpisany przez ciebie, pachnie twoimi perfumami.

– Ale ja nie...

– Zamilcz i słuchaj mnie! – zrobiła groźną minę. – Sądzę, że postanowi przyjsć, bo twoje zaproszenie wyda mu się na tyle ekscytujące, że pokona jego rozsądek. Gdy przybędzie do twego łóżka, oddasz mu się, wkładając w to całą twą namiętność.

Mencía przetarła oczy i spojrzała znów na matkę, sądząc, że śni jej się jakiś koszmar. Ale nie, ona wciąż tam stała. Nie była w stanie pojąć, jak może nakłaniać ją do popełnienia takiego okropieństwa.

– Ale matko, to takie... nie wiem... Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co czynisz?

– Może kiedyś to zrozumiesz... – Zmarszczyła brwi, czując się nieco przytłoczona. – Jakkolwiek głupie by ci się to zdawało, myślałam o tym wiele, córko, i jestem pewna, że to będzie dla ciebie najlepsze.

– Nie sądzę, że pozwolę mu wejść!

– Nie tylko to zrobisz, jeszcze oddasz mu się z rozkoszą.

– Nigdy!

Mencía odkryła się i jednym susem wyskoczyła z łóżka, szukając ubrania. Chciała wybiec z tego pomieszczenia, wsiąść na konia i opuścić zamek, miasto, uciekać stąd, od tego szalonego świata, od matki. Wszystko jedno gdzie.

Doña Teresa powstrzymała ją. W jej spojrzeniu tkwiło poważne ostrzeżenie.

– Jeśli wyjdiesz tymi drzwiami, przyczynisz się do śmierci Diega z Malagón.

Słyszając to, Mencía stanęła jak wryta. Czowała, jak drżą jej nogi. Miała wrażenie, że się dusi.

– Co ty mówisz o Diegu...? – sapała zdenerwowana.

– Wtajemniczyłam twojego wuja w twoje wybryki i on się ze mną zgadza. Mam gotowego posłańca. Jeśli nie przyjmiesz mojej umowy, popędzi do twego wuja jak grom, by wydać mu rozkaz. W przeciwnym razie zostanie w Albarracin.

– Jaki rozkaz?

– Zostanie wysłany na pierwszą linię piechoty. Z jego marnym doświadczeniem wojennym najpewniej nie będzie mu łatwo stawić czoło wojskom nieprzyjaciela... Zdajesz sobie sprawę, że jeśli mój posłaniec będzie musiał wyruszyć z zamku, twojemu przyjacielowi może się stać coś strasznego. Wszystko zależy od ciebie.

– Ależ matko, jak możesz... Przecież to taka podłość... Jesteś, jesteś... okrutna, wstrętna.

Rzuciła się na nią, żeby ją podrapać, zdesperowana po tym, co właśnie usłyszała. Matka przewidziała ten ruch i w porę się usunęła. Popchnęła ją i dziewczyna padła na łożo. Chciała porozmawiać, musiała zrozumieć, zapytać, dlaczego jej to robiła, ale matka ją uprzedziła.

– Wiem, co do niego czujesz – doña Teresa zmieniła nagle ton na bardziej miękki i wyrozumiały, niemalże matczyny. – Moja biedna córko, uwierz mi, że cię rozumiem... Kochasz go, prawda? Czujesz, że mogłabyś za niego umrzeć, i wydaje ci się niemożliwe, by ktokolwiek mógł go kiedyś zastąpić...

– Nie wiesz, co czuję... I nie masz prawa decydować o moim życiu. Rozumiesz?! – krzyknęła wzburzona.

– To ty nic nie rozumiesz. Ja wiem, kto zasługuje na ciebie, a kto nie. Zapomnij o tym panie Nikim, zachowaj się choć raz jak dorosła kobieta i porzuć ten kapryśny ton.

– To nie jest żaden kaprys. – Mencía, zrozpaczona, obróciła się na łóżku.

– Wszystko mi jedno, jak to nazwiesz, ale zapomnisz o tym. Więc przestań już w kółko... Robi się późno i nie mam zamiaru wysłuchiwać więcej bzdur. Teraz mnie posłuchasz.

Odkorkowała małą szklaną buteleczkę i wlała dziesięć kropli do szklanki wody.

– Wypij to. Pomoże ci zapomnieć... i rozbudzi twoje zmysły.

Mencía nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– Próbujesz mnie odurzyć?

Doña Teresa położyła się na nią i przemocą wlała jej płyn do gardła. Mencía zaczął drżeć podbródek. Poczuli się oszołomiona. Spojrzała na swoją matkę i wydała jej się obca. Przyglądała się każdej najdrobniejszej rysie na jej twarzy, szukając w niej śladu współczucia, troski czy czułości, ale widziała tylko zdecydowanie, chłód i surowość.

– Wszystko masz już powiedziane. Posłaniec oczekuje na moje rozkazy. Życie Diega z Malagón zależy od ciebie, od tego, co uczynisz tej nocy. Jeśli go naprawdę kochasz, wiesz już, jak masz to okazać.

– Mój wuj nie musi cię posłuchać. – Mencía szukała ostatniego wyjścia, nim się podda wyrokowi ponurej rzeczywistości.

Matka wybuchła okrutnym i bezdusznym śmiechem.

– On zgadza się ze mną we wszystkim. Nalegam, nie myśl o tym więcej. Zrób, co ci mówię...

Gdy dzwony z pobliskiego kościoła Świętego Jana biły północ, doña Teresa w pośpiechu opuściła komnatę Mencía, licząc na niezwłoczne przybycie Fabiána.

X

Pośród lodowych tafli, skał o ostrych obrzeżach, tonąc w śniegu po kolana, Sabba niosła Diega z powrotem do Santa María de Albarracin.

Poza miastem byli już sześć miesięcy. Był środek grudnia. Zostały dwa dni do świąt.

Pragnienie, by ujrzeć Mencię, popychało go naprzód. Wyprzedził resztę kawalerów, gdy już zbliżali się do zabudowań Teruel.

Trzy godziny później, parę mil przed Albarracin, pogoda zaczęła się wyraźnie psuć. Rozpoczęła się potworna zawieja. Pod koniec dnia mgła stała się tak gęsta, że nie sposób było rozeznaczyć się w terenie.

– Biedna Sabbo, masz lód nawet na grzywie...

Diego wyciągnął zawiniętą w płaszcz rękę, by jej go zdjąć.

Gdy zarżała, z jej nozdrzy buchnęły kłęby pary. Przestraszona Sabba otworzyła oczy szeroko, dziwiąc się sama sobie. Parę razy pokiwała łbem na boki i zamachała ogonem, jakby przeczuwała jakieś niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo większe, niż jej pan mógł się spodziewać.

Diego przyspieszył, by śnieżycy nie dopadła ich w szczerym polu, ale po chwili, gdy przestał już widzieć ścieżkę, zrozumiał, że się zgubił. Sabba, strwożona, spoglądała w dół, nie wiedząc sama, gdzie ma stąpać. W pewnej chwili przestała słuchać rozkazów Diega i zatrzymała się. Zaczął mówić do niej powoli, aby ją uspokoić.

Zapewniał ją, że wszystko ma pod kontrolą, ale Sabba nie chciała dalej iść. Kręciła szyją, odmawiając wykonywania jego komend.

Bezsilny już wobec jej zachowania, Diego zsiadł i chwycił ją za uzdę, zamierzając ją za nią pociągnąć. Postarał się z całych sił, ale zdołał

wymusić ledwie parę kroków. Zawinał sobie jej cugle wokół nadgarstków, naciągnął je i zacisnął zęby, żeby ją zmusić do pójścia dalej, choćby piędź po piędzi. Nagle zorientował się, że jedna z jego nóg przestała stąpać po ubitej ziemi. Zawisała w powietrzu. Rozejrzał się zdumiony i zobaczył wtedy, że jest na skraju niebezpiecznego urwiska. Było dokładnie na wprost nich.

Sabba zarżała i znów wypuściła kłęby pary. Oparła łeb na jego ramieniu. Strach już ją opuścił. Teraz czekała tylko, aż jej pan podziękuje jej za ostrzeżenie.

– Jesteś mym aniołem stróżem... – Podrapał ją w szyję i znów się na nią wspiął. – Gdyby nie twój instynkt, byłibyśmy już martwi. Znajdź drogę, którą zgubiliśmy, i proszę cię, zabierz mnie do naszej krainy.

Portki miał już tak zeszywniałe, że gdy uniósł się w siodle, by się rozejrzeć, ich fałdy przykleiły mu się do skóry. – Musimy być blisko, Sabbo. Taką mam nadzieję...

Sabba cofnęła się i zaczęła stąpać z większą rozwagą. Diego uświadomił sobie, że jego odpowiedzialność wzrosła. Od pewnego czasu musiał troszczyć się nie tylko o nią, ale i o maleństwo, które nosiła w swym brzuchu. Nie wiedział jeszcze, jak i kiedy mogło się to stać. Podejrzewał, że w noc, którą wraz z Mencią spędzili w kapliczce, chroniąc się przed deszczem. Tam Sabba była wraz z Cieniem, ale... równie dobrze mogło się to wydarzyć w każdej innej chwili podczas ich sześciu miesięcy spędzonych na froncie.

Był tak nieczuły i apatyczny w ostatnim czasie, że nawet nie zauważał zmian w jej zachowaniu, a potem jej rosnącego brzucha.

Ale ona była wciąż przy nim, a teraz miała po raz pierwszy zostać matką. Diego był pewien, że już czuje w swoim brzuchu siłę nowego życia. Pogłaskał ją czule z uczuciem, które dało jej moc do dalszej drogi.

Gdy przekroczyli długie miejskie mury i zakole rzeki Guadalaviar, radośnie przyśpieszyli kroku. Pojechali kłusem w dół, do północnej bramy, potem ulicami do swego domu.

Zapadała już noc i prawie nikogo nie widział po drodze. Było trochę za zimno, by przebywać na dworze. Wjechał z Sabbą do stajni. Naszykował

jej snopek siana i wiązkę suchych ziół do zjedzenia i zostawił ją tam, skonaną, by spoczęła po podróży.

Gdy wszedł do domu, zobaczył Marcosa śpiącego przy ogniu. Rozdmuchał żar i dołożył dREW. Nim usiadł, spróbował kawałek sera i przyniósł sobie dzbanek wina. W ciepłe wyciągnął nogi i przymknął oczy, ciesząc się z powrotu do domu.

Przez chwilę rozkoszował się ciszą, którą mącił tylko czasem jakiś szelest albo trzask w kominku. Gdy poszedł po więcej drewna, przez nieostrożność narobił hałasu i zbudził Marcosa.

– A kogo my tu mamy...! – Mężczyźni szczerze padli sobie w objęcia.

– Marcos, mój drogi przyjacielu... Jak tam interesy? Wszystko mi opowiedz... Ale najpierw musisz mi powiedzieć, co z Mencią. Zdaje się, że nieco przytyłeś. – Z każdym pytaniem Diego próbował odbić sobie sześć długich miesięcy z dala od miasta.

– Spokojnie... Za dużo naraz chciałbyś się dowiedzieć – odparł, chcąc zapewne ukryć jedyną istotną wiadomość. – Interesy mogłyby iść mi lepiej, ale co u ciebie? Jak było na wojnie? A właśnie, przejeżdżałeś już koło zamku?

– Nie, chciałem najpierw się trochę ogrzać i przebrać, cuchnę koźmi. – Diego uśmiechnął się szczerze. Widać było, że tak bardzo chce już zobaczyć się z ukochaną. – Muszę ci powiedzieć, że doświadczenia wojenne pomogły mi podjąć nowe decyzje. Między innymi zamierzam poprosić Mencię, by za mnie wyszła. Inne sprawy ogłoszę ci później, muszę spokojnie to przemyśleć.

Marcos zrobił smutną minę.

– Muszę ci coś powiedzieć...

– Co się stało?

– Chodzi o Mencię. – Chwycił pogrzebacz i zaczął uderzać w polano, by chwycił je ogień.

– Co z nią? – Diego poczuł nagłe przygnębienie. – Czyżby była chora...?

Marcos wstrzymał na chwilę oddech i znów zaczął mówić.

– W Santa María de Albarracin jej nie ma...

– Wyjechała w podróż?

– Nie, nie o to chodzi... – Spojrzał na niego ze współczuciem. – Wyszła za tego mężczyznę, którego poznała jeszcze przed naszym przyjazdem, z Aragonii.

Diego złapał się rękami za głowę i poczuł przeszywający ból brzucha, jakby ostre żelazo przebiło na wylot jego wnętrzości. Poczuli się załamany. Nie mówił nic.

– Wszystko to stało się wkrótce po twoim wyjeździe. Któregoś dnia pojawił się Fabián Pardo, a miesiąc później, ku zaskoczeniu wszystkich, ogłoszono ślub. Niedługo potem wyjechali do Ayerbe, by zamieszkać w aragońskim zamku.

Marcos ze spuszczoną głową ujął go ręką pod bark.

– Przysięgała mi swą miłość... – Diego załamał się. Był zrozpaczony. – Powiedziała, że kocha mnie jak nikogo... Jak mogła mnie tak okłamać?

– Muszę powiedzieć ci coś jeszcze...

– Czy może być coś jeszcze gorszego?

– Wzięła ślub, będąc już w ciąży... – powiedział zdenerwowany ochrypłym głosem – i zastanawiałem się, czy cię o to spytać, ale zrozum mnie, zważywszy na planowaną datę narodzin...

– Nigdy nie była moja, jeśli o to pytasz. Dlatego też nie ma żadnej wątpliwości w kwestii ojcostwa...

– Przykro mi, Diego. Kobiety... takie są. Nieprzewidywalne, zmienne. Dlatego nigdy im nie ufam. Zmieniają się z dnia na dzień, a co dzieje się w ich wnętrzach, to wielka zagadka. Ja zamierzam tylko się nimi cieszyć, od czasu do czasu brać od nich miłość i smakować ich krągłe ciała. Nic więcej. Ty powinieneś zrobić tak samo i porzucić swój romantyzm. Nie warto tak dla nich cierpieć.

– Nie rozumiem, Marcos... – Diego cały pobladł. – Ja... ja myślałem, że mnie kocha, przysięgała. Zdawała mi się gotowa, by przezwyciężyć bariery, które dzielą nasze światy... ale nie zrobiła tego. Ależ byłem fantastą! Tak jak mnie ostrzegali, rodowód okazał się silniejszy niż miłość. – Załamany złapał się za głowę. – Nie wiem, jak mogłem starać się o serce kobiety szlachetnie urodzonej, sam będąc zwykłym nędznikiem z gminu. Uważałem się za kogoś, bo jestem weterynarzem, jakim był Galib, obracający się wśród wyższych sfer w Toledo, ale jasne, że to nie wystarczyło. Mencía... tak, ona nie mogła inaczej. Jej

otoczenie wybrało dla niej inny los, z dala ode mnie, a ona uległa... – Wypuścił powietrze, które zatrzymywał w płucach, że o mało się nie uduślił. – I co ja teraz pocznę, Marcos? Mogę tylko umrzeć z bólu...

– Musisz spojrzeć na to jak na sprawę z kobietami. Mówię ci, z nimi tak jest...

– Ale czy nie zostawiła ci dla mnie żadnego listu, żadnej wiadomości przed odjazdem, nic...?

Marcos spuścił głowę. Nie odpowiedział. Rozumiał jego ból. Gdy spojrzał na niego znów, jego przyjaciel cały dygotał z gniewu albo z rozpacz. Widział, jak podchodzi do okna, z którego było widać zamek rodu Azagra. Diego wyobraził sobie Mencię w cudzych ramionach, całowaną i pieszczoną przez innego mężczyznę, i nie mógł tego znieść.

Tylko jedno pytanie, wciąż to samo, nachodziło go raz po raz. Co musiało się stać, by Mencia zerwała swą przysięgę miłości i wierności?

– To miasto, jego ulice, wszystko tu budzi we mnie wstręt – wyznał Marcosowi – wypełnione jest zdradą, kłamstwem, kpina. Nie mogę już w nim mieszkać ani dnia dłużej, Marcos. – Zaczął chodzić nerwowo po pokoju, aż zatrzymał się naprzeciwko przyjaciela. – Muszę stąd wyjechać, daleko...

– Co masz na myśli? – Marcosowi zamiar jego nie przypadł specjalnie do gustu.

– Chyba nadszedł czas wyruszyć do Marrakeszu na poszukiwanie moich siostr... – Utkwił wzrok w nieokreślonym punkcie na suficie. – Tak jest! Teraz mogę to zrobić. Znów objadę al-Ándalus.

Marcos skrzywił się. Ten pomysł wcale mu się nie podobał. Diego opowiadał mu kiedyś o przygodach, jakie spotkały ich podczas owej podróży na nadmorskie mokradła, sądził więc, że zapuszczać się na tamte tereny to szaleństwo. Co więcej, dla niego oznaczałoby to porzucenie interesów.

Wcześniej, przewidując możliwą reakcję Diega na zastany stan rzeczy, obmyślił inne wyjście. Gdyby udało mu się przekonać go do niego, mogłoby to okazać się jeszcze bardziej opłacalne niż sprzedaż owiec Walencjanom. Gdy w myślach dobierał odpowiednie słowa, by wyłożyć swój plan, Diego nieoczekiwanie ułatwił mu zadanie.

– Albo nie, czekaj... – Diego zdał sobie sprawę z tego, w jak egoistyczny sposób myślał. – Ty musisz tu zostać. Wybacz mi, jestem nieczuły. Zapuściłeś już tu korzenie i nie powinieneś porzucać tego, co z takim wysiłkiem tu zdobyłeś. Pojadę, ale sam... Tak uczynię!

– Na to nie pozwolę.

– Ani ja, byś jechał ze mną.

– Znam cię nazbyt dobrze, by nie przewidzieć, jaka będzie twoja reakcja, Diego. Nawiązałem więc kontakty, potrzebne, aby zacząć w nowym miejscu i...

– Zapomnij o tym, nalegam... Pojadę sam, o świcie.

– Wysłuchaj najpierw mojego pomysłu.

– Dobrze, mów.

– Najpierw poznaj tę nazwę. Cuéllar.

– Nic mi nie mówi. Gdzie to?

– To wioska na południe od rzeki Duero, w Kastylii. Panuje tam wolne prawo. Z tego, co wiem, są tam niemałe stada owiec. Jakies dwa miesiące temu dowiedziałem się, że Abu Mizrain, mój pośrednik z walenckiej taify, miał zamiar rozpocząć tam handel, ale chciał kupić też wełnę, nie tylko mięso. Mówiono mi, że owce, które hoduje się w Cuéllar, mają bardziej miękką wełnę niż tutejsze, a mięso ich jest tłustsze i smaczniejsze. Pojechałem tam z nim, by się o tym przekonać, i potwierdziło się. Mam dobre stosunki z jednym z większych właścicieli trzody, który z pewnością pomógłby nam wejść na tamten rynek.

Diego słuchał go tylko połowicznie. Rozczarowanie i żal dusiły go i nic nie łączyło go już z tym czy innym krajem. Nie miał nawet siły, by decydować... Chciał tylko zniknąć ze świata, wypłakać swój ból.

– Ja jadę do al-Ándalus...

– Dlaczego? – Marcos postanowił zmienić strategię, a przynajmniej opóźnić jego wyjazd.

– Przysiągłem coś dla nich zrobić, oto mój cel – odparł Diego, czując głęboką rozterkę.

– Sądzę, że to z twojej strony bardzo szlachetny zamiar, ale mam nadzieję, że wzięłeś też pod uwagę wysokie koszty, jakie poniesiesz, by go spełnić. Będziesz potrzebował dużo pieniędzy, kogoś, kto pojedzie z tobą, najlepiej zbrojnie, i dobrego pretekstu, by chodzić pomiędzy

Maurami, ale nade wszystko trzeba ci będzie dużo odwagi. Nie przeczę, że tego ostatniego masz już dość, ale może ci brakować całej reszty. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Posłuchaj mnie, Diego. Tak wielkich rachunków jak twój nie wyrównuje się przy użyciu siły. Tu potrzeba głowy, inteligencji, a nade wszystko dobrego planu. Aby go zdobyć, trzeba ci będzie czasu i obfitych środków finansowych. Pojedziemy, Diego, do Cuéllar. Zrobimy tam interesy, wzbogacimy się. A potem pomyślimy, jak po nie wyruszyć, obiecuję ci to. Zgadzasz się?

Diego uściśnął go. Nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy, ale nigdy też nie okazano mu takiej przyjaźni jak teraz.

Usiedli przed kominkiem i patrzyli, jak pali się drewno. Poczuli, że dzielą nie tylko jego ciepło, ale też losy, życie. Ogniste języki wiły się na suchym drewnie po cichu, aż otwierały w nim kolejną szczelinę i pożerały je od środka.

Diego był tak pochłonięty przeżywaniem swojego bólu, że nie mógł się ruszyć. Oczy jego zostały zniewolone przez te płomienie, od których trudno mu było oderwać wzrok. Czuł się głęboko zraniony, jakby rozdarto go od góry do dołu. Bez Mencii jego życie nie miało już sensu.

– Zostałem oszukany, upokorzony...

Obiecał sobie zapomnieć o niej, ale nie mógł. Miał znów przed sobą jej błękitne oczy, jej czułe słowa, piękne włosy, słodki głos. Mencía była jego jedyną miłością.

CZEŚĆ CZWARTA

Ziemie zamętu

Pod koniec 1203 roku papież Innocenty III zobowiązał Alfonsa VIII Kastylijskiego do zerwania związku małżeńskiego jego córki Berengueli z królem Leónu Alfonsem IX. Wrogość pomiędzy monarchami rośnie do tego stopnia, że wniwecz obracają się ich umowy o dobrosąsiedzkich stosunkach. Alfons IX, urażony, przywołuje na swój dwór wrogów Alfonsa VIII.

Don Diego López de Haro wraca do Leónu i uzyskuje posiadłości Sarria, Toro, Extremadura oraz samą stolicę królestwa: León.

Tego samego roku zostaje podpisany rozejm pomiędzy królestwami Kastylii, Nawarry i Aragonii. Każde z nich dąży do wzmocnienia w ten sposób swojej pozycji. Pedro II, ożeniony niegdyś z Marią de Montpellier, walczy o rozciągnięcie obszaru swego królestwa aż do Walencji, widząc, jak Majorka pada łupem almohadzkiego kalifa al-Nasira.

Alfons VIII Kastylijski, chcąc osłabić magnaterię, zaczyna przyznawać prawa autonomii miastom i wsiom, faworyzując ich handel, by móc później dysponować ich siłą zbrojną, nie musząc liczyć się z kosztownymi zobowiązaniami.

Tak mają się sprawy w Comunidad de Villa i Tierra de Cuéllar, w samym środku Kastylii.

I

Na swym wygnaniu Diego topił w winie niespełnioną miłość.

Tej nocy Marcos zżymał się w duchu, pędząc na jego poszukiwania. Nie pierwszy już raz wyruszał dwukołowym powozem z budą o późnej porze, do zajazdu Matiasa pod Cuéllar, by zabrać stamtąd na wpół nieprzytomnego z pijaństwa Diega. Ale tym razem wieści były naprawdę ważne. Sabba zaczęła rodzić i miał poważne kłopoty.

Od ich przybycia do Cuéllar minęło ponad pięć miesięcy i gorycz Diega przenikała wszystko. Nawet sprawy mniejszej wagi, jak decyzja o miejscu zamieszkania, urastały do rangi niemożliwych do wykonania zadań. Nic nie było w stanie go zadowolić. W każdym budynku wynajdywał jakieś wady, którym nie sposób było zaradzić, niektóre wymyślone, inne prawdziwe.

Cztery razy zmieniali mieszkanie, aż wreszcie zamieszkali we wspaniałym domu, w którym osiedli na dobre. Opierał się on o mury cytadeli, stał w samym środku miasteczka, niedaleko od głównego placu. Wygląd miał dostojny, a rozmiary ogromne. Choć najem był kosztowny, to Marcos pomnożył swoje uzyskane w Albarracin zyski dziesięciokrotnie i miał dość gotówki.

Biorąc pod uwagę ogólnie niski poziom wiedzy na temat leczenia zwierząt, Diego stał się bardzo popularny, gdy zaczął pracować jako weterynarz, choć teraz robił to bez dawnej pasji. Nie pragnął już umieć więcej, nie dociekał przyczyn tej czy innej choroby. Nie szukał też już, jak kiedyś, źródeł bólu, ropienia czy gorączki. Gdy ktoś go wzywał – jechał. Starał się uleczyć to, co było chore, dawał lekarstwo i udzielał porady, którą uznał za stosowną. Ale wiedział sam, że stracił to, co było najważniejsze do uprawiania jego fachu: marzenia.

Zawód uczuciowy przeniósł się na wszystkie sfery jego życia. Także na pracę. Ów szlachetny fach, o którego zdobycie walczył z takim poświęceniem jeszcze w Toledo, już go nie zadowalał. Nawet czasem brakowało mu na niego sił.

Przez te wszystkie miesiące Diegowi udało się tylko jedna rzecz: przestał szarpać się z życiem. W całym tym zamięcie odnalazł w winie jednego ze swych najmocniejszych sojuszników. Stało się jego idealnym towarzyszem, by zarywać noce, wetować poniesioną stratę i krzepić złamane serce.

Za to Marcos upatrywał w Cuéllar niezwykłą okazję do osiągnięcia sukcesu i bogactwa. Handel wełną zajmował mu całe dnie, wkładał weń całą swą uwagę i wysiłek. Były na tych ziemiach nieprzebrane stada, wiele z nich należało do kleru lub uboższej szlachty, ale inne, a było ich niemało, stanowiły własność *pecheros*. Zwano tak ludzi wolnych, przybyłych z północy Kastylii, by skorzystać z szansy, jaką król dawał wszystkim, którzy zechcieli zaludnić owe odebrane Maurom ziemie.

Marcos w krótkim czasie przejął większą część lokalnego handlu wełną, dzięki pomocy swego przyjaciela Abu Mizraina, Walencjanina. Ten, zakupując ją po dobrej cenie, wysyłał statkami na największe bazy Egiptu, Damaszku i Persji. Potrzebowano jej tam wciąż więcej i więcej i bardzo dobrze płacono.

Ta okoliczność sprawiła, że Marcos nie miał większych trudności, by przekonać niemal wszystkich właścicieli stad, że jest lepszy od wcześniejszych kupców pochodzenia flamandzkiego.

– Sabbo, moja Saaaaaabbo... – zaczął zawodzić Diego rozochocony kołysaniem powozu. – Jesteś klaczą słooooońca i księżycaaa...! – wołał płaczącym się językiem. Był w pożałowania godnym stanie.

Nie wypuszczając cugli z rąk, jego przyjaciel odwrócił się, by natchmiast ugasić jego zapal.

– Daruj sobie te pieśni. Postaraj się lepiej szybko oprzytomnieć. Musisz mieć trzeźwą głowę, żeby zająć się Sabbą.

Marcos potrzebował pomocy dwóch mężczyzn, żeby wyciągnąć przyjaciela z gospody. Nawet dwa wiadra wody nie wystarczyły, by rozjaśnić mu umysł. Gdy dojechali do domu, pomógł mu zwlec się z powozu i prawie przemocą zaciągnął do kuchni. Posadził go obok paleniska.

– Nie czuję się za dobrze... – Diego oparł głowę na stole. Czuł się, jakby miał zaraz umrzeć. Kręciło mu się w głowie i oblewał go zimny pot.

Marcos zagrzał na ogniu kawał łoju w oleju rycynowym i zmieszał to wszystko z wyciągiem z tymianku. Niezawodny lek na podobne okazje. Wziął kubek, by mieć w co zebrać wymiociny, i zawołał Verune, którą przyjęli na służbę, gdy tylko wprowadzili się do tego domu. Veturia była kobietą niezamężną, tęgą i dość ograniczoną, za to wspólnie gotowała. Jej wadą, nie jedyną zresztą, był dość trudny charakter. Mogła wydawać się miłą i opiekuńczą, a zarazem zimna i szorstka.

Gdy pojawiła się w kuchni z rękoma powalanymi krwią, Marcos wolał o nic nie pytać. Zostawił Sabbę pod jej opieką, ale poprosił ją przede wszystkim, żeby niczego nie dotykała. Jak widać, nie posłuchała go ani trochę.

– Jak idzie? – spytał Marcos z przejęciem.

– Źle. Sprawy mają się paskudnie, mój panie. Nie ma już skurczy.

– Ach, tak...

Veturia przyjrzała się Diegowi i ogarnęło ją współczucie.

– Znowu choroba winna, prawda? – Tęga kobiecina pochyliła się nad nim, zajrzała mu w oczy i mlasnęła językiem. – Dziś wygląda jeszcze gorzej niż wcześniej...

Diego, daleki od tego, by bronić swej nadszarpniętej godności, uśmiechnął się do niej głupkowato, przyczesując z galanterią włosy, jakby zobaczył w niej kobietę swoich marzeń.

– Pani... to dla mnie zaszczyt... – splątał mu się język – móc poznać damę tak piękną... – zakończył uprzejmym ukłonem.

– Matko święta! W takim stanie nie ma co liczyć na cuda... – podsumowała Veturia.

Marcos podszedł z dymiącym naczyniem i we dwoje zmusili go do wypicia jego zawartości. Na odpowiedź ze strony żołądka nie trzeba było długo czekać.

– Teraz ja pójde do stajni – powiedział Marcos. – Jak mu się poprawi, przyślij go do mnie.

Veturia zamoczyła chusteczki w mokrej wodzie i położyła mu jednana czole, a drugą na karku. Gdy żołądek został już opróżniony, Diego poczuł się trochę lepiej.

– Musicie szybko do niej iść, drogi panie. Wasza klacz potrzebuje was. Jest z nią źle, bardzo źle. Biedaczka...

Diego najpierw poszukał swoich narzędzi. Potem zszedł do stajni, jeszcze otępieły i na wpeł skołowany. Gdy ujrzał Sabbę w takim stanie, poczuł ostry ból żołądka.

Odcchrząknął, by przełknąć resztki kwasu żołądkowego, i zasmucił się, że nie było go przy niej wcześniej. Zawołał klacz po imieniu, a ona natychmiast zareagowała, odwracając szyję w jego stronę. Słaby błysk pojawił się w jej oczach, gdy unosiła górne powieki na znak ulgi.

– Ach, tak... Myślisz, że wszystko będzie dobrze, prawda?

Sabba zarżała z pewnym wysiłkiem, okazując mu, że się zgadza.

Diego odgarnął jej ogon i zajrzał do kanału rodnego. Część łóżyska zwisała już na zewnątrz. Miało ono szpetny kolor, prawie ciemny. Namydlił sobie ręce aż po łokcie i spojrzął na Marcosa, ostrzegając go wzrokiem, że to będzie bolesne. Nie tracąc czasu, zbadał wnętrze. Gdy zdał sobie sprawę, co się dzieje, zdjął go strach. Trzeba było teraz działać szybko, jeśli chciało się ocalić oboje. Młode było tak pokręcone, że gdyby nie był dość uważny, mógłby rozerwać matkę. Okazało się też, że worek płodowy jest dziurawy, a źrebię o mało nie uduszone. Zrozumiał, że operacja ta wymaga nie tylko zręczności, ale też wiele skupienia. W tej chwili nie było go stać ani na jedno, ani na drugie.

Ręce mu drżały, brakowało czucia w opuszkach palców, w głowie szumiało. Mimo to wziął się do roboty, wkładając w to całe serce.

Odkręcił źrebaczkowi szyję i skierował go do siebie. Następnie chwycił za jego przednie kopytka. Przesuwał je najostrożniej, jak tylko mógł, ale gdy tylko udawało mu się wreszcie przesunąć je na właściwe miejsce, źrebak znowu wracał do poprzedniej pozycji.

Westchnął ciężko. Przerażało go to, jak delikatne i trudne miał przed sobą zadanie. Na nowo złapał małe nóżki, ale po raz kolejny mu się wymknęły. Sabba zaczęła się już uskarżać. Postarał się jeszcze trochę i

w końcu się udało. Wreszcie je uwiązał. Zaczynała wstępować w niego nadzieja. Drugi koniec sznura podał Marcosowi, żeby zapobiec nieoczekiwanej reakcji żrebaka.

– Powiedz mi, jeśli zaczniesz się dziać coś dziwnego. Zacznę od najbardziej delikatnej części.

Teraz Diego musiał przekręcić resztę ciała za pomocą tylko palców swojej dłoni, przewyciężając opór i siłę żrebaka. Zaciśnął zęby i wytrzymał wszystkie siły, ale nie ruszyło się ani trochę. Brakowało mu mocy, nie miał dość pewności tego, co robi... i w gruncie rzeczy był jeszcze bardzo pijany.

Po chwili poczuł mdłości. Zostawił Sabbę i odszedł w kąt. Gdy wrócił, w jego oczach widać było ogromną niemoc.

Na nowo wsadził rękę i odszukał pysk żrebaka, żeby lepiej się orientować.

Palcami namacał jego szyję. Gdy dotarł do kości grzbietowej, użył jej jako oparcia, aby zacieśnić uścisk i pociągnąć małę. Zdziwiło go jednak, że nie poczuł żadnej reakcji ze strony żrebaka.

Pociągnął znów i poczuł chyba leciutkie drgnięcie, ledwie wyczuwalne, a może mu się wydawało. Nie mógł się o tym przekonać, bo nadeszła kolejna fala mdłości. Marcos patrzył na niego ze smutkiem. Diego odszukał pierś żrebaka i nie poczuł bicia jego serca. Był martwy.

To, co się stało, było straszliwe samo w sobie, ale pozostawało coś jeszcze gorszego. Teraz musiał porozcinać ten płód na kawałki, powyciągać je, a potem oczyścić i wyleczyć wewnątrz klaczy.

Wy tłumaczył to Marcosowi. Poprosił go o więcej gorącej wody, macerat z czosnku i tymianku, by zapobiec późniejszemu ropieniu ran, sztydło i dratwę do szycia, sznury i szerokie żelazne piły, które sam zrobił.

– Będziemy musieli postawić ją na nogi. Na leżąc nie będę mógł skutecznie jej oczyścić.

– Jest za bardzo wyczerpana... – powiedział Marcos, gdy bez skutku starali się wykonać zadanie.

Za każdym razem, gdy Diego wymierzał jej siarczystego klapsa w zad, Sabba wstawała. Spróbował tego i teraz dwa albo trzy razy, ale nie reagowała. Przemówił do niej szeptem i podskubywał ją przy grzywie, co uwielbiała. W odpowiedzi Sabba zarżała, wzdęła nozdrza i poruszyła trochę ospale uszami. Dotknął ich. Miała gorączkę.

W tym momencie Diega dopadł straszliwy smutek. Jego oczy zaszczyły mgłą. Przestraszył się, że mógłby zostać bez swojej klaczy. Poczł się winny za wszystko, co do tej pory się stało. Nie było go przy niej, gdy najbardziej go potrzebowała, za to ona była przy nim zawsze w trudnych chwilach. Gdyby tej nocy nie poszedł pić, udałoby się wyciągnąć żywego źrebaka. Diego popatrzył na swoje ręce, dłonie, widział, jak się trzęsą. Potem spojrzął na swą klacz.

Nagle postanowił działać.

Wtedy właśnie Marcos stał się świadkiem jednego z owych cudów, które potrafił czynić tylko Diego.

Położył się na grzbiecie Sabby, głową przy jej łbie. Przytulił się do jej szyi, całował ją z czułością. Marcos słyszał, jak mamrota jej do ucha, wydając krótkie, niemal niesłyszalne dźwięki, zrozumiałe jednak w języku Sabby.

Po chwili zwierzę zaczęło żywiej oddychać. Trwała ich rozmowa. Odpowiadała mu rżąc cichutko, głucho pomrukując, ledwie słyszalnie, miękko parszczając. Była to dziwaczna rozmowa, intymna i tajemnicza, ale skuteczna.

Wkrótce, chociaż w widoczną trudnością, Sabba stanęła na nogi i przetrwała cicho i posłusznie ekstrakcję swego źrebaka. Diego przyspieszał pracę, jak tylko mógł. Parę razy sprawdzał, czy nie zostawił wewnątrz żadnej resztki łożyska. Porządnie zeszył rany, zanim zabrał się do czyszczenia jej wnętrza, sposobem, którego sam był wynalazcą. Posłużył się wydrążoną trzcinką, obszytą świńskim jelitem, którą napełniał ciepłą wodą i maceratem z czosnku i tymianku.

Wyplukał po trzykroć do czysta i jeszcze raz sprawdził. Zadanie było wykonane. We troje pomogli jej się ułożyć na posłaniu z nowej słomy.

Diego obserwował ją dławiony poczuciem winy. To źrebię zginęło przez jego nieodpowiedzialność. Powolne ruchy rąk podczas operacji wywołane były tym przeklętym winem, które opóźniło jego reakcje.

Sabba była niespokojna. Podniosła łeb i zaczęła rozglądać się na wszystkie strony, jakby oczekiwała pojawienia się w każdej chwili małego źrebaczka. Gromadzące się mleko zaczęło wypełniać jej wymiona. W oczach pojawiło się głębokie zadowolenie. Zarżała parę razy, przywołując swoje małe. Nie rozumiała, czemu jej potrzeba nie zostaje zaspokojona.

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, zmęczona, opuściła w końcu łeb na słomę z zawiedzioną miną. Ale uszy jej zdradzały ciągłą czujność.

– Zmienię się, Marcosie. Po przyjeździe do Cuéllar kompletnie upadłem. Obrąłem błędną drogę, idąc nią, skrzywdziłem istotę tak niewinną jak Sabba.

– Przestajesz więc chodzić do tawerny?

– Poświęcę się pracy. Tak właśnie uczynię. Zmienię się, odzyskam swoje wielkie cele, ambicje, dążenie do wiedzy...

Parę miesięcy po poronieniu Sabba zdołała odzyskać sprawność fizyczną, choć wydawała się odtąd smutniejsza.

Diego przestał pić i dużo poważniej zajął się pracą. W ten sposób zaczął zdobywać prestiż w okolicy i nie zdając sobie nawet z tego sprawy, rosące zainteresowanie wielu kobiet. Jako młodzieniec przystojny i elegancki, a do tego kawaler, wkrótce stał się obiektem ich marzeń.

Przez następne miesiące biegał tylko od jednej do drugiej, porzucawszy dotychczasowy tryb życia. Ta bezkompromisowa miłość, którą czuł niegdyś do Mencí, ustąpiła innym, przejściowym miłośnikom, może nie tak silnym, ale też ciekawym. Próbował naśladować Marcosa i jego zabawy w czerpaniu maksymalnej rozkoszy z każdą kobietą, która stanie na jego drodze.

I tak przeminął cały rok, aż do zimnego dnia wigilii Bożego Narodzenia.

Zawarł wtedy znajomość z kobietą kryjącą w sobie wiele tajemnic, nieszczęść i czegoś jeszcze gorszego...

Nazywała się Sancha de Laredo.

II

Sancha de Laredo była kobietą o zwyczajnym wyglądzie, mężatką i matką dwojga dzieci. Życie jej mogło zdawać się podobne do życia każdej innej kobiety mającej rodzinę, pracującej w domu i posiadającej małe stadko owiec. Takie jednak nie było...

Diego poznał ją przypadkiem podczas gęstej śnieżycy. Wracał z pobliskiej wioski, gdzie był z wizytą u chorej krowy.

Śnieg leżał na pięć stóp i Sabba ledwie mogła iść. Droga była ciężka. Od dłuższego czasu Diego rozglądał się za jakimś schronieniem, żeby przeczekać najgorszą pogodę, ale nic nie znalazł, aż nadeszła ciemna noc.

Przez gęstą kurtynę śniegu, opodał zamrożonego strumyka, dostrzegł wreszcie w oddali dom. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej go widział, ale było mu wszystko jedno. Ruszył w jego stronę z nadzieją, że będzie mógł wejść.

– Spójrz, Sabbo, na ten dym. Jeśli będziemy mieli szczęście, pozwolą nam się tam schronić.

Zapukał parę razy do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Zajrzał przez okno, przez firany, ale nic nie było widać. Spróbował otworzyć drzwi, ale były dobrze zaryglowane.

Obok domu mieszkalnego wznosiły się jeszcze jakieś budynki. Pomyślał, że nie powinny być zamknięte, i w pośpiechu ruszył do nich, smagany lodowatym wiatrem. Nazajutrz, gdy spotka właścicieli, wszystko im wytłumaczy.

Gdy wszedł do stajni, niezbyt obszernej, ale dobrze utrzymanej, powitał go donośny chór beków, dochodzący z pełnej owczarni. Obok

niego za ogrodzeniem siedziało, jak pobieżnie obliczył Diego, jakieś trzysta owiec. Wyglądały na zadbane i tłuste. Wziął z uprząży wełniany koc i uwiązał Sabbę koło innego konia, świetnej budowy i cennej rasy. Obecność takiej liczby bydła gwarantowała im dość ciepła. Gdyby zwierzaki były cicho, mogli odpocząć wygodnie. Przy ścianie, obok miejsca, gdzie trzymano owce, znajdował się wąski korytarzyk, który zaczął zwiedzać w poszukiwaniu miejsca do spania. W połowie drogi usłyszał dziwny dźwięk dochodzący z jednego z kątów. Na wypadek, gdyby był to zły pies, uzbroił się w długi znaleziony po drodze kij.

– Kto tam jest?

Podszedł do kąta, z którego dobiegał głos, wyteżając wzrok, by coś dojrzeć. Znalazł tam dwie małe dziewczynki, skulone, przytulone jedna do drugiej.

– Kim jesteście? – odezwała się starsza drżącym głosem. – To nasz dom... Co tu robicie?

Dziewczynka, na oko trzynastoletnia, o prostych włosach i przestraszona twarzą, wychyliła się, trzymając długi kostur.

– Nie bój się, mała. Nazywam się Diego i chcę tylko schronić się przed śnieżycą. A wy, jak się nazywacie?

– Precz stąd! – krzyknęła druga, która miała lat mniej niż siedem.

– Powiedźcie rodzicom, jeśli chcecie. Porozmawiam z nimi, żeby pozwolili mi tu przenocować. Powiedźcie im, że zapłacę...

Spojrzały po sobie i zaczęły coś szeptać. Diego nie słyszał ich, ale o coś się spierały.

– Dajcie temu spokój, pójdę do domu, żeby z nimi pomówić.

Gdy tylko się odwrócił, dziewczynki krzyknęły.

– Nie, nie idźcie, prosimy.

Diego zmierzył je wzrokiem.

– Jest tam teraz z nią i jeśli mu przeszkodzicie, to my potem...

– Mówicie o naszym ojcu?

– Jest z mamą... – odpowiedziała mniejsza.

– A dlaczego wy nie jesteście też w domu? – Gdy z bliska przyjrzał im się lepiej, zaskoczyło go, jak wielki lęk malował się na ich twarzach.

– Żeby nie słuchać, jak mama płacze...

– Cicho, Maria! – ucięła starsza.

– A wiecie, czemu płacze? – Diego zaczął coś podejrzewać.
– Tak jest co noc – odparła dziewczynka, mimo kuksańca od starszej siostry.

– A ty, co miałaś wcześniej na myśli, kiedy mówiłaś o gniewie twojego ojca?

Chociaż pytanie skierowane było do starszej, Diego patrzył na młodszą. Nie przestawała trzeć rączek, jak nie o sukienkę, to o włosy. Biedaczka była bardzo nerwowa.

– Nic. Nic nie chciałam powiedzieć...

– Nieprawda... Czasami nas bije, bardzo mocno! – zakrzyknęła druga.

– Nie musisz nic temu panu mówić – zapiszczała druga. – A jak tata się dowie...

– Wszystko mi jedno.

Diego pomyślał, że ich ojciec jest jednym z tych władczych i nieprzejednanych mężczyzn i że może siedzą tam ukarane za jakiś wybryk. Ale jeśli nawet by tak było, zważywszy na tę okropną noc i prymitywną oborę, zrobiło mu się ich szkoda. Usłyszał, jak starsza nazywała siostrę Marią, i przypomniała mu się Estela. Dziewczynka miała ten sam uśmiech, podobny wyraz oczu i czoło tak samo szerokie jak ona.

– Jak długo już tu siedzicie?

– Dwa dni – z niewinnością w głosie odpowiedziała Maria. – Tata mówił, żebyśmy nie wychodziły do jutra.

Na te słowa Diego stanął jak wryty. Nic nie rozumiał. Jeśli miałyby to być zwykła kara, to wydała mu się zdecydowanie za sroga.

– Chcecie powiedzieć mi, że jesteście tu dwa dni bez rodziców? A co jecie?

Maria potarła brzuch i wskazała na jagnię ssące owcę. Podbiegła do niej i chwyciła wolne wymię. Ku zdumieniu Diega wzięła je do ust i zaczęła ssać. Zwierzę warknęło, obwąchało ją parokrotnie, trochę rozdrażnione, ale w końcu zdało się ją zaakceptować.

Diego spojrzął na starszą z niedowierzaniem, ale ta przytaknęła tylko skinieniem głowy.

Niewiarygodne wydało mu się, by ktoś mógł w ten sposób traktować dwa niewinne stworzenia. Jak zwierzęta. Jacy rodzice mogli zachowywać się w ten sposób?

Po chwili Maria podbiegła do Sabby. Poszedł za nią. Klacz przyjęła ją, obwąchując z wyraźną ciekawością. Dziewczynka podrapała ją po pysku.

– Jak się wabi?

– Sabba.

– Piękna... – Maria sięgała ledwie do kolan zwierzęcia, ale głaskała ją z takim zapalem, że Sabba parsknęła zadowolona.

Diego posadził dziewczynkę na jej grzbiecie. Wesolo pokrzykując, uczepiła się jej grzywy i pociągała, wyobrażając sobie, że galopuje, podskakując raz po raz w siodle.

– Biegnij... leć!

Diego przytrzymał ją mocno za ramiona, żeby nie spadła.

– Nie dotykajcie mojej siostry!

Ten krzyk starszej sparaliżował go. Twarz tego dziecka wyrażała twogę, panikę, wściekłość. Diego poczuł się zmieszany, a po chwili straszliwa myśl przemknęła mu przez głowę.

– Idźcie stąd, proszę was... błagam. – Pierwsza łza potoczyła się z jej oka. – Jeśli mój ojciec się dowie, że spędziliście tu noc, zabije nas, i was też. Zrobi to ze mną znowu... nie...

Diego zdjął Marię z Sabby i stanął przed nimi. W głowie miał zamęt. Z jednej strony nie miał żadnego prawa mieszać się w życie tych ludzi. Jeśli jednak posłuchałby ich i odjechał, zdołałby przebyć ledwie parę piędzi. Śnieżycą była nie z tej ziemi. Stało się jasne, że dzieje się tam coś dziwnego i, rzecz jasna, nic dobrego.

Maria podbiegła do niego i przytuliła się do jego nogi ze wzruszającą siłą. Wydały mu się tak wrażliwe i bezbronne, że nie mógł ich tak zostawić.

– Nie posłucham was, przepraszam. Pójdę porozmawiać z waszymi rodzicami.

– Nie! Nie róbcie tego teraz... – starsza dziewczynka złapała go za nadgarstek i pociągnęła w błagalnym geście.

– Ale dlaczego?

– Bo nasza mama zawsze mówi, że potrzebny nam jest ojciec. Chociaż dużo bije, ona to znosi i każe nam robić tak samo.

Diego wszystko zrozumiał. Ta kanalia była tak podła, że wszystkie były maltretowane.

– Jak nazywa się wasz ojciec?
– Basilio Merino. – Z jakiejś przyczyny to nazwisko nie wydało mu się całkiem obce.

Nagle dał się słyszeć straszliwy krzyk wydobywający się z domu. Diego wybiegł wraz z dziewczynkami, by zobaczyć, co się dzieje.

Popchnęli drzwi i weszli do mieszkania. Tarzając się po podłodze, młoda kobieta w koszuli nocnej zasłaniała głowę rękoma.

– Wstrętna dziwko! Jesteś niczym. – Mężczyzna, stojąc nad nią, zamierzył się, by ją kopnąć.

– Ależ, co robicie? – Diego ruszył w jego stronę z zaciśniętymi pięściami.

– A wy kto? – Na szarozielonej cerze krzaczaste brwi zdawały się niemal w całości zasłaniać twarz. Jego oczy wyrażały najpierw niedowierzanie, a po chwili furię. – Czy można wiedzieć, co robicie w moim domu?

– Nieważne, kim jestem... – złapał go za kaftan, który zgniótł w swojej pięści. – Wy jesteście tchórzem. Odważcie się tknąć mnie, a nie te biedaczki...

Mężczyzna zatrzymał się zdumiony pojawieniem się Diega, ale po chwili chwycił długi nóż kuchenny, którym zaczął mu grozić.

– Nie mieszajcie się w sprawy, które was nie dotyczą. – Skierował ostrze ze stali do jego brzucha. – Idźcie sobie natychmiast, jeśli nie chcecie, bym pociął was od góry do dołu.

– Nie jesteście mężczyzną. Powinno wam być wstyd za to, co robicie tym biednym dziewczynkom.

Basilio objął je wolnym ramieniem, jakby zamierzał chronić przed Diegiem, ale starsza wyrwała się.

– Nie dotykajcie mnie, ojcze! Nienawidzę was! – krzyknęła.

Mężczyzna zamierzył się na Diega i ruszył w jego stronę. Pod ostrzem noża został wypchnięty na dwór. Twarz napastnika wyrażała tylko szaleństwo. Diego nie mógł nic zrobić. Mężczyzna wyglądał na gotowego do użycia broni, a on nie wiedział, jak zareagować. Spojrzał na kobietę. Twarz jej pełna była sińców. Miała rozciętą wargę. Odważemniła mu spojrzenie, nie mogąc wyrazić nic innego niż rozpacz.

– Doniosę na was władzom... – pogroził mu zza progę. – Teraz idę, ale nie myślcie, że ujdzie wam to bezkarnie, przysięgam.

– A któż to mnie straszy, jeśli wolno spytać? – odparł Basilio pełen pychy.

– Dowiedcie się w swoim czasie, bez obawy. I jeszcze jedno ostrzeżenie: jeśli jeszcze raz je tkniecie, znajdę was choćby na końcu świata, zapewniam. A jak was dopadnę, wtrącę do takiego samego piekła. Jasne?

– Patrzcie tylko, jak się trzęsę... – odpowiedział, machając rękoma.

III

Marcos poznał teraz Diega jako choleryka.

Kiedy opowiadał mu o minionych wydarzeniach, był tak poruszony, że pragnął tylko wrócić do tamtego domu, by dowiedzieć się, co stało się z tymi trzema biedaczkami.

– Pojadę do nich dziś po południu. Wczoraj nic nie mogłem zrobić, ale dzisiaj wrócę lepiej przygotowany.

– Jak można być takim nędznikiem? – opowiadanie Diega wywarło na Marcosie ogromne wrażenie.

– Gdybyś tylko widział tę nieszczęsną kobietę... Jak ona wyglądała! Choć mimo cierpienia była bardzo piękna.

– I myślisz, że dziewczynki też bije...

– Tak. Obawiam się nawet, że z tą starszą robi coś jeszcze gorszego. Nie jestem pewien, ale jej mina, kiedy ją złapał, gdy wyrzucał mnie z domu, oznaczała coś więcej niż strach.

Marcos, oburzony, zacisnął pięści. Taka podłość, nieważne kto by ją czynił, zasługiwała na surową karę.

– Nazywa się Basilio Merino i ma spore stado owiec, może nawet najwspanialszych w okolicy.

Marcos uniósł brwi i zastygł w zdumieniu.

– Znasz go?

– Właściwie... Chyba coś mi to mówi...

Wziął dzbanek wina do rąk i pił powoli, dając sobie czas do namysłu.

Pewnie, że znał Basilio. Ten człowiek, tak samo jak on, handlował wełną i mięsem. Co więcej, dobrze mu szło. Nie dalej jak tydzień temu

rozmawiali o pewnym wspólnym interesie. Marcos zaproponował mu, że kupi od niego cały towar, bo sam ledwie dawał radę z zamówieniami z Walencji. Układ miał zadowolić ich obydwu: Marcosa, bo nie zawiodłby Abu Mizraina, i Basilia, bo odtąd dziesiąta część całego handlu miałaby stać się jego udziałem. Dlatego też wystąpienie przeciwko niemu było sprawą delikatniejszą niż tylko zwykłym ujawnieniem jego nieuczynnych postępów.

– O czym myślisz? – Diego wyrwał mu z rąk dzbanek i spojrzał w oczy.

– O Basiliu. Coś sobie o nim przypomniałem... To człowiek bardzo wpływowy, Diego. Może nawet za bardzo, jak na interes tego domu.

– Jak to?

– To handlarz, tak samo jak ja. I tak się składa, że akurat robię z nim interesy. A sprawa tak paskudna mogłaby, oczywiście...

– Ach, rozumiem – przerwał mu. – Gdy mówiłeś o interesie tego domu, miałeś na myśli wyłącznie swój własny. Wszystko jasne...

Diego wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami, do cna poruszony. Starał się, jak mógł, odepchnąć od siebie chęć uderzenia go prosto w twarz z powodu jego pożałowania godnej postawy. – To ostatnie, czego się po tobie spodziewałem – zakończył oschle.

– Wyobrażam sobie, co myślisz, ale zapewniam cię, że jeśli go zadenuncjujesz, sam sobie też zaszkodzisz.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby tak być. Ale jeśli nawet to prawda, wolę to, niż godzić się na maltretowanie biednych dziewczynek, nie mówiąc już o jego żonie...

Marcos otarł pot z czoła. To nie było przyjemne, ale uznał, że należy wyjaśnić sprawę do końca.

– Trzeba ci wiedzieć, że Basilio jest krewnym pana tej wioski. A to oznacza, że nigdy nie będziesz bardziej wiarygodny niż on, jeśli na niego doniesiesz. Winę jego musiałbyś dobrze udowodnić, a to chyba nie będzie łatwe. W takich wypadkach, niestety, kobieta zwykle nie zeznaje przeciw swemu małżonkowi, bo przeważnie jest od niego całkowicie zależna, a kiedy indziej ze zwykłej litości albo by nie czynić więcej krzywd swoim dzieciom. Całkiem możliwe, że nie odniesiesz żadnego skutku.

Diego wiedział, że nie taki był prawdziwy powód, by go odwozić od zamiaru, lecz interesy, którym mogło to zaszkodzić.

Westchnął zawiedziony i pogodził się z tym, że odpowiedzialność poniesie sam. Jasne dla niego było, że nie zrezygnuje ze swych planów.

– Zobaczmy, Marcosie, zobaczymy...

Basilio powiedział żonie, że wróci niebawem, jak tylko załatwi dostawę.

Gdy tylko dziewczynki zobaczyły, jak znika w swoim wozie za wzgórzem, pobiegły do domu poszukać matki. Znalazły ją w łóżku dławiącą się łzami.

Położyły się obok niej, przytuliły i całowały. Chciały pocieszyć ją po brutalnym pobiciu, jakiego doświadczyła tego ranka. Nic wprawdzie nie widziały, ale słyszały, jak ojciec ich wrzeszczał w niebywałej wściekłości.

– Mamo, trzeba ci doktora. – Starsza córka pomacała jej zębra. Zachręściły pod jej palcami. Miała rozciętą wargę i prawą kość policzkową na wierzchu.

– Nie trzeba, kochanie. To nic takiego – odpowiedziała Sancha. – Przestraszysz ją... – wskazała na Marię.

Malutka siedziała w stajni, gdy miały miejsce te brutalne sceny. Teraz, o niczym nie wiedząc, bawiła się długim kosmykiem włosów mamy, miętosząc go w rączce. Zwróciła uwagę na jej zaczerwienione oko i spytała, jak to się stało.

– Moja mała... – pogładziła jej policzek. – Nic się nie martw, moje złotko, uderzyłam się.

– Musisz uważać, mamusiu.

– Oczywiście, moja maleńka. Posłucham cię i będę ostrożniejsza.

Sanchę dopadł silny ból brzucha. Jeden z kopniaków trafił ją w szczególnie czułe miejsce i od jakiegoś czasu czuła potworne bóleści.

– Mario, przynieś mamie troszkę wody.

Dziewczynka posłuchała i pobiegła, podskakując wesoło.

Gdy zostały same, Sancha zajrzała starszej córce głęboko w oczy.

– Powiedz prawdę, nie okłamuj mnie, jak zawsze, żebym była spokojna. Czy coś ci się stało?

– Nie, przyrzekam. Ale jeśli znów będzie tego próbował, nie zrobię tego co ty. Nie zniosę już więcej ani razu.

– Kim był mężczyzna, który pojawił się z wami?

– Przedstawił się jako Diego i powiedział, że jest weterynarzem. Przyszedł tej nocy do stajni, by schronić się przed śnieżycą. Wydał mi się dobrym człowiekiem, ale w końcu, jak sama widziałas, nic nie zrobił, żeby nas obronić. Kolejny tchórz. Nienawidzę wszystkich mężczyzn. To śmiecie.

– Nie mów tak, córeczko. Próbował, ale twój ojciec stał się zbyt niebezpieczny i musiał uciekać.

– Gdyby zachował się inaczej, to może teraz nie byłabyś w takim stanie. – Dziewczynka spojrzała na matkę, kiedyś tak piękną, teraz pełną sińców i zadrapań.

Przyszła Maria z dzbanuszkami i trzema kubkami. Ostrożnie nalewała wodę, ale wszystko wylało się jej na łóżko.

– Ojciec zbilby mnie, gdyby to zobaczył... – rozpląkała się.

– Widzisz, jak reaguje Maria, gdy dzieją się rzeczy tak błahe? Wyobrażasz sobie, jakie lęki musi przeżywać, że pomyślała sobie coś takiego? – Po tych słowach starszej córki Sancha poczuła, jak oczy jej zachodzą mgłą. – Matko, czemu nie odejdziemy?

– Nie, Roso, nie możemy. Gdzie pójdziemy? Dogoni nas i będzie jeszcze gorzej.

– Wiele razy słyszałam, jak mówiłaś, że mamy rodzinę w Laredo, nad morzem. Pojedźmy tam, matko. Zostaw go wreszcie! To tylko nędzny łotr...

– Dokąd mówisz, że chcesz pojechać? – niespodziewanie rozległ się głos Basilia. Wszystkie trzy obleciał strach. Wszedł właśnie bezszelestnie do sypialni. Od razu podszedł prosto do Rosy i złapał ją za rękę, pełen wściekłości.

– Boli... – uskarżyła się.

– Widzę teraz, jak bardzo kocha mnie moja córka, nazywając mnie nędznym łotrem. Zaraz się przekonasz... Wyjdź ze mną!

– Zostaw ją w spokoju! – krzyknęła matka, próbując podnieść się z łóżka. Popchnął ją brutalnie. – Dlaczego nam to robisz...? – załkała z zalem.

María czuła, że dzieje się coś złego. Bez zastanowienia rzuciła się ojcu na plecy, okładając go małymi piąstkami.

Basilio zdjął ją z siebie z trudem i rzucił na łóżko, obok matki. Rosa, rozwścieczona, podbiegła do jego ręki i wgryzła się w nią z całych sił. Ojciec zawył i w odwecie złapał ją za szyję i podniósł do góry. Tak zawłókł ją do kuchni. Kopała i drapała przez łyzy z bezsilności. Nie pozwoli na to, pomyślała, nie tym razem.

Basilio posadził ją na stole i spojrzał jej w oczy.

– Czy to, co robisz, wydaje ci się normalne? Wracam do domu i widzę, jak podjudzasz matkę, by mnie zostawiła. Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem...

Rosa chciała mu odpowiedzieć, ale ścisnął ją mocniej za szyję i zdusił jej słowa.

– Teraz zamilknieisz, dziewczyneczko.

– Nie dotykaj jej. – Sancha stanęła w drzwiach, gotowa przeciwstawić się swemu mężowi.

– To moja córka... i mogę robić z nią, co chcę.

Mężczyzna przysunął się do jej policzka, żeby ją pocałować, ale Rosa wykorzystała jego bliskość i ugryzła go w ucho. Zacisnęła zęby z taką furją, że zdołała je przegryźć. Basilio zaczął wrzeszczeć jak szalony, a ona wciąż nie puszczała. Ścisnął ją znów mocniej za gardło, żeby ją poddusić, i wymierzył potężny cios w piersi.

Zaczęła się dusić, kaszleć i musiała puścić jego ucho.

– Zachowujesz się jak zwierzę i tak cię potraktuję. Zobaczysz, odechce ci się... – Trzymając się za ranne ucho, poszedł po skórzany pejcz. Gdy miał go już w rękę, machnął nim w powietrzu, aż świsnęło.

Złapał córkę w pasie i przewrócił na stół. Potem zadarł jej kaftan i nad jej gołymi plecami zamachnął się batem, by wymierzyć karę.

Rosa, zalana łzami, oczekiwała na pierwszy cios. Przyjmując go, czuła się, jakby jej plecy pękały na pół. Za drugim razem matka chciała pohamować jego rękę, ale spoliczkował ją, aż upadła. Gdy zobaczył ją leżącą bezbronną na ziemi, wymierzył jej jeszcze kopniaka w brzuch, który spotęgował jej cierpienie.

Rosa próbowała uciekać, ale trzymał ją, przyciskając karkiem do stołu.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Basilio nakazał się wszystkim uciszyć, grożąc Rosie, że ją udusi.

– Siedźcie lepiej cicho, bo będzie gorzej... – strasył.

W tej chwili pojawiła się mała Maria. Wybiegła ze swojej kryjówki w sypialni pod łóżkiem. Strach błąkał się po jej żrenicach.

Sancha spojrzała na nią w chwili, gdy znów rozległo się pukanie do drzwi. Dziewczynka zrozumiała, co ma zrobić. Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

Diego wszedł zdecydowanie i zastał przerażającą scenę. Dobył sztyletu i zamierzył się nim na tego człowieka.

– Rzućcie natychmiast ten pejcz! – krzyknął rozwścieczony, łypiąc przerażającym wzrokiem.

– Znowu wy? – rzucił pogardliwie.

Diego spojrział na kobietę leżącą na ziemi. Widać było, że przeszła prawdziwą mękę. Potem na zaczerwienione plecy dziewczynki. Poczul głęboką nienawiść do tego człowieka za jego podłość.

– Natychmiast wynoście się z tego domu albo nie rękę za siebie... – Basilio zamachnął się na niego batem, ale nie trafił. – I nie będę tego powtarzał. No, już!

Basilio rzucił się jak oszalały na Diega, próbując wytrącić mu sztylet. Ten w odpowiedzi dźgnął go w udo. Basilio dotknął ręką nogi i niespodziewanie dostał jeszcze jeden cios nożem, tym razem w ramię.

– Powiedziałem, że macie sobie iść... Zostawcie je w spokoju! Zrozumiano?

– Nie wiecie, kim ja jestem.

– Właśnie że wiem. I wiem też, że jak powiem, co robicie waszej żonie i dzieciom, jak potwornego grzechu wobec nich się dopuszczacie, zostaniecie uniewinnieni ze względu na wasze pokrewieństwo z tym, kto zarządza wioską. Ale choć ujdzie wam to bezkarnie, imię wasze na zawsze pozostanie zhańbione. Już ja się o to postaram, przysięgam. A więc precz stąd... Opuśćcie tę ziemię. To ostatnia szansa, jaką wam daję. – Diego skierował ostrze sztyletu w jego serce.

– Zapłacicie mi za to... Pewnego dnia pomszczę tę zniewagę.

– Idźcie już. – Diego wypchnął go za drzwi i poszedł za nim aż do stajni.

Mężczyzna osiodłał konia i dosiadł go, rzucając ostatnie nienawistne spojrzenie.

Diego został z nimi parę dni na wypadek, gdyby tamten wrócił. Ale że tak się nie stało, powrócił do swego domu w Cuéllar, przy czym nie przestał codziennie ich odwiedzać, wypytyując, czy im czego nie trzeba. Czuł się po części odpowiedzialny za ich przyszłość, pomagał więc, jak tylko mógł. Wyszukował owce. Odrobaczył je, podleczył im nerki, by na wiosnę urodziły dużo jagniąt. I tak też się stało.

Minęło parę miesięcy i w tym domu wiele się zmieniło. Lato przyniosło obfite zbiory jęczmienia i w bród słomy, by utrzymać stado bez ponoszenia kosztów. Dochody się poprawiły i Sancha przestała się już tak martwić o pieniądze.

Trzy kobiety pracowały wytrwale, odzyskując spokój, radość i chęć życia.

Gdy potworne katusze stały się tylko wspomnieniem, pojawiła się prawdziwa Sancha. Piękna kobieta. W wieku dwudziestu sześciu lat miała niemal doskonałe ciało, foremne biodra, duże, jędrne piersi, ciemne oczy. Usta jej były mięsiste, a głos słodki.

María i Rosa wyprowadzały stada na różne, coraz to dalsze pastwiska. Wracały w południe. Wraz z matką szykowały obiad i pomagały jej w pozostałych pracach.

Sancha próbowała prowadzić interesy męża, ale okazało się to niemożliwe. Nikt nie chciał handlować z kobietą. Poza tym zniknięcie Basilia prawie przez nikogo nie zostało zrozumiane właściwie. Wkrótce podniosły się głosy krytykujące zbyt częstą obecność Diega w jej domu. Niektórzy uważali ich już za kochanków.

Diego nie przejmował się zbyt bardzo gadaniną. Co innego Marcos. Parę razy już zmuszony był wysłuchiwać wymówek klientów, którzy prosto w twarz skarżyli mu się na naganne zachowanie jego przyjaciela.

W tym czasie Diego przyjmował wszystkie zlecenia, które dostawał jako weterynarz, chociaż zaczął zauważać, że jest ich coraz mniej. Marcos miał rację. Jego relacja z Sanchą wywoływała różnorakie komentarze, a to szkodziło jego pracy. Wielu pytało go o Basilia Merina,

jakby to on miał wiedzieć, gdzie jest. Znalazł się nawet ktoś, kto zaczął obarczać go winą za separację. Jakby tego było mało, w okolicy pojawił się dziwny człowiek, o którym wszyscy rozprawiali, niejaki Efraim. Do tej pory jeszcze go nie spotkał, ale pomyślał, że musi to być stary Żyd, przybyły niegdyś z Grenady, znany znachor. Miał więc konkurenta.

Od pewnego czasu Diego zaczął znajdować dziwne przedmioty, które człowiek ów zostawiał na farmach. Nie wydawały się szczególnie niebezpieczne, ale któregoś ranka zobaczył coś naprawdę dziwnego.

Leczył właśnie owce z grzybicy, gdy zaciekawiły go kamienie, zawieszono im u różnych części ciała. Właściciel wytłumaczył mu.

– To czarne kamienie węzowe... Tak nazywa je Efraim.

– Aha... A do czego one służą?

Pasterz wziął do ręki jeden z nich i pokazał mu. Okrągły, z nierównym otworem w środku, przez który przewleczony był sznurek. Ten uwiązano do ogona.

– Tej owcy zawsze było ciężko rodzić. Powiedział, że jak go jej powiesi, nie będzie z tym miała więcej kłopotów.

– A ta? – Diego pokazał drugą, której zawieszony kamień zasłaniał jedno oko.

– Dla swoich jagniąt była zawsze bardzo złą matką. Często zaniedbuje je i inne muszą je chować. Efraim zawiesił jej ten kamień, by otworzyć jej oczy i serce, tak mówił.

– A wierzycie mu?

Mężczyzna poczuł się nieswojo. Nie posługując się żadną wiedzą ani nauką, temu Żydowi udawało się zadowalać wielu klientów. Diego i jego zdanie spadły teraz na drugi plan. Najpierw wzywano Żyda, a gdy ten nie rozwiązał problemu, wołano jego.

– A dlaczego miałbym mu nie wierzyć, skoro uczynił u mnie prawdziwy cud? – upierał się pasterz.

– Wam też zawiesił kamień? – Diego uśmiechnął się, wyobrażając sobie kamień uwieszony na jego głowie, żeby rozjaśnić jego ciemnotę.

– Nie żartujcie sobie. Wiecie tak samo jak ja, że owce na wiosnę wcale nie są takie żwawe. Ale on powiedział mi, że je połączy, jak poleje im olej naciowy na... no wiecie, na ich części. I to lekarstwo było jak ręka boska. Tyle mam teraz brzemiennych jak nigdy w życiu.

– Bardzo mnie to cieszy, ale sędzę, że przyczyna jest inna. Trawa wyrosła bardzo silna tej wiosny. Lepiej jedzą, to i lepiej się parzą...

Pasterz spojrział na niego pobłaźliwie. Żyd miał moc przewyższającą zdolności zwykłego weterynarza. To jasne, że zazdrości mu takich rąk, pomyślał mężczyzna.

Diego zaczynał już mieć dosyć tego Żyda, dosyć patrzenia, jak przybywa naśladowców jego fałszywego fachu i tego, jak go ubóstwiają... Aż wreszcie się spotkali pod koniec tej ciężkiej zimy.

IV

Diego pomógł wyciągnąć dziewczynę z topieli. Starał się opróżnić z wody jej płuca, ale nie oddychała. Otaczało ją pięć przerażonych kobiet. Wszystkie myślały, że już nie żyje.

– Idzie Efraim, przepuście go... – powiedziała jedna.

Diego obrócił się. Ujrzał nadchodzącego mężczyznę. Od stóp do głów ubrany był na czarno, miał szpiczasty kapelusz, posępne oblicze i zrośnięte brwi. Na szyję zwisała mu długa broda. Jego oczy były małe, niezgłębione. Wyglądał dosyć staro.

Wszedł pomiędzy kobiety i spojrzął na Diega z ukosa. Oparł swą drewnianą laskę na piersi dziewczyny i nacisnął ją, oczekując jakiejś reakcji. Młasnął dwa razy językiem, ale nic się nie stało.

Zaczął więc rozglądać się po ziemi. Wypatrzył kilka psów, które poły się na brzegu. Ku zdumieniu obecnych poszedł w ich stronę i zaczął grzebać w ich odchodach. Z jakiegoś nieznanego powodu wybrał sporą białą kupę. Bez najmniejszego oporu wziął ją do ręki i zbliżył się do dziewczyny, rozdarł jej kaftan, i rozgniół jej starannie to świństwo na piersi.

Diego, jak reszta gapiów, z obrzydzeniem zatkał nos i chciał przerwać mu tę blagę, ale musiał się powstrzymać. Dziewczyna zaczęła nagle kasłać i prawie od razu wylewać z siebie wodę przez usta i nos. Gdy otworzyła oczy, przywitało ją chłodne spojrzenie tego mężczyzny. Potarła nos, czując wokół cuchnącą woń, ale po chwili uśmiechnęła się.

Ciemna postać odwróciła się do publiczności i obserwowała reakcje, nie mówiąc ani słowa, bardzo tajemnicza. Bez pożegnania zaczęła wracać,

skąd przyszła. Kobiety szeptały między sobą, pozostając pod wrażeniem dokonanego cudu, ale nie odważyły się odezwać głośno. Postać cudotwórcy wzbudzała w nich lęk.

– Zaczekajcie! – zawołał Diego. – Pozwólcie mi, proszę, wam towarzyszyć...

Starzec wzrokiem udzielił mu zezwolenia.

– Nazywam się Diego z Malagón.

– Wiem, synu. Wiedziałem to... – odparł tajemniczym tonem. – Wiem dużo więcej, niż sądzisz.

Diego patrzył na niego z niedowierzaniem. Przyjrzał się jego profilowi. Długi nos zaginał się już od swej podstawy. Twarz usiana była głębokimi zmarszczkami, suchymi i gdzieniedzie poskręcanyymi.

– Co potrzebnego do uleczenia topielca zawierają waszym zdaniem psie odchody?

– Istnieje moc w kamieniach, w roślinach i w materii. Musi jedynie być rozpoznana przez kogoś o dostatecznej wrażliwości, aby została użyta i zadziałała we właściwym miejscu i czasie... – Chrząknął groźnie. – Jesteś uzdrowicielem, więc chyba wiesz, o czym mówię...

– Jestem weterynarzem. Znam się tylko na nauce.

– Nie przeczę. Lecz twoja nauka nie wszędzie sięga.

– A dokąd, waszym zdaniem, nie sięga?

– Do świata ukrytego przed rozumem. Do magii.

Diego zaśmiał się na te słowa.

– Magia, czarodzieje? Toż to komedianci. Zabawiają tylko gapiów na targach i odpustach dzięki swym sztuczkom i wielkiej zręczności...

– Jesteś niedorzeczny – odparł oschle.

– Czemu tak mówicie?

– Kolejny naiwniak... który wierzy tylko w to, co widzi. Granica między tym, co prawdziwe, a tym, co nieprawdziwe, jest bardzo ulotna. Tak samo między nauką a magią. Nie pomył się co do mnie, nie jestem szamanem ani jarmarcznym sztukmistrzem, znam takie wymiary rzeczywistości, jakich nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić...

– Mówicie do człowieka nauki. Wierzę tylko w to, co namacalne. Cała reszta zalatuje mi blagą.

– Nauki... Zatem dla ciebie wszystko jest nauką, czyż nie? Chcesz przez to powiedzieć, że wszystko, co wymyka się rozumowi, jest fałszem, zwykłą bujną. Jasne... A gdybym tak ofiarował ci eliksir, cudowny lek, abyś to lepiej zrozumiał, który przydałby się chronionej przez ciebie Sanchy, tak by nigdy więcej nie została poniżona przez swego małżonka?

Diegowi zabrakło tchu. Zatrzymał się.

– Skąd wiecie? – w głębi jego oczu usiłował znaleźć odpowiedź. – Ona... nie wiem, zawsze trzymała to w tajemnicy, to niemożliwe...

– Mówiłem, że wiele wiem.

– Ale nie sądziłem, że o tym też... Nikt nie może wiedzieć, co działo się w tym domu. A poza tym jej mąż nie wraca już od wielu miesięcy...

– Wróci, zobaczycie... – przybrał posępny wyraz twarzy. – Przybędzie objuczony ziarnem zła, które rozsieję w ciemności tego domu. Pojawi się wkrótce... Jestem, jak powiedziałem, magiem, dlatego umiem odgadywać te i wiele innych spraw... Czy teraz mi wierzycie?

– Muszę przyznać, że jestem zaskoczony.

– Magia jest wszystko, co sprzeciwia się rozumowi. Słowa, czyny. Magia to groza, ale i zachwyty, to też upojenie... Wszystko to, czego przyczyna pozostaje ukryta przed rozumem i jest trudne do wyjaśnienia, jest magią...

Diego słuchał go z niekłamanym zainteresowaniem. Wydawało mu się, że przeczytał już kiedyś coś podobnego w traktacie *Mekor Chaim*, który zostawił mu brat Tomasz. Opisano tam dwadzieścia dwie litery hebrajskiego alfabetu jako siły duchowe, dzięki którym stworzono świat. Była też w nim mowa o dziesięciu sefirach oraz ukrytych znaczeniach życia i w ogóle wszystkiego, co nas otacza. Ale książka ta, jak pamiętał, nie była księgą czarów. Diego miał umysł otwarty na każdą dziedzinę wiedzy, nieważne, czy zwać ją kabałą, czy magią, ale mimo to i mimo odgadnięcia sytuacji Sanchy i jej córek, działalność tego człowieka stanowczo kłóciła się z jego sposobem przyswajania wiedzy. Diego zbliżał się do prawdy przez obserwację i naukę, a nie przez to, co wyśnione i ezoteryczne, jak ten starzec.

– Nazywają mnie Efraim. Teraz muszę iść, ale gdy będzie ci potrzebny eliksir, o którym wcześniej wspomniałem, odszukaj mnie. Przyrządę go, abyś i ty mi uwierzył...

Minęło parę miesięcy, podczas których Diego nie myślał o eliksirze ani o owym osobliwym magu, aż prawie skończyła się wiosna i nastąpił tydzień, w którym lało bez przerwy. Stało się to pewnego dnia, gdy wpadł do Sanchy w odwiedziny. Akurat miał wizytę w pobliżu jej domu.

Gdy tylko Diego ją zobaczył, spostrzegł, że jest bardzo niespokojna. Nic nie mówiła do czasu, aż obydwie dziewczynki poszły do stajni i zostali sam na sam.

– Wczoraj tu był... – powiedziała, miętosząc w rękach bawełnianą chusteczkę.

– Twój mąż?

– Tak, Diego, to był on. Kręcił się po stajniach, aż znikł... Nie mogę odtąd przestać spoglądać w okno, wyobrażając go sobie w drzwiach... Czuję się zastraszona. On jest szalony. Namalował dziwne czarne wzory na drzwiach stajni i na ścianach. Nie wiem, do czego zmierza ani co nam teraz robi...

Diego przytulił ją, by ukoić jej nerwy, i przypomniał sobie rozmowę z magiem. Przepowiedział mu, że Basilio powróci, by w ciemności domu rozsiać ziarno zła. Takie były jego słowa, a najgorsze, że zgadzały się z tym, co właśnie opowiedziała mu Sancha.

– Zostanę tej nocy z wami. Gdy mnie zobaczy, nie odważy się wtargnąć.

– Jestem ci wdzięczna z całego serca, ale, niestety, tej nocy niebezpieczeństwo nie minie. Jak będziemy się bronić, kiedy pójdziesz do pracy? Co z nami będzie? Nikt i nic go nie powstrzyma i znów będzie nas bił... zobaczysz. – Sancha poczuła, jak nogi jej drżą. Musiała usiąść. – Kiedyś, w przeszłości, była taka chwila, gdy bardzo korciło mnie, żeby zrobić coś, by nie tknął nas już nigdy więcej... Rozumiesz, co mam na myśli? – Diego przytaknął. – Ale nie byłam do tego zdolna...

Diego znów pomyślał o Efraimie. Na samą myśl, by korzystać z jego pomocy, włos mu się jeżył, nie mógł jednak przestać myśleć o

owym eliksirze, który ustrzegłby Sanchę przed dalszym upokarzaniem i cierpieniem.

– Być może istnieje sposób, by tak się nie stało... – Sancha otworzyła szeroko oczy i poprosiła, by to wyjaśnił. – Nie mówiłem ci jeszcze o Efraimie, prawda?

Potwierdziła.

– Nadszedł czas, byś go poznała.

Jeszcze tego samego dnia Sancha samotnie weszła do żydowskiej dzielnicy w Cuéllar. Diego uznał, że lepiej, by nie widywano ich razem na ulicach, i został w tyle, pół mili od miejskich murów.

Gdy został sam, zsiadł z Sabby i zaczął przechadzać się po zielonym zagajniku, nieopodal rzeki. Po jakimś czasie postyszał tętent kopyt. Wytężył uwagę, na wypadek gdyby miał spotkać Basilia. Ku jego zaskoczeniu był to Marcos. Nie zawołał go ani nawet mu się nie pokazał, bo jechał wraz z jedyną córką pana wioski. Wyglądali na dość spoufalconych.

– Przepraszam, którędy do domu Efraima?

Ruda dziewczyna o kręconych włosach i łobuzerskim spojrzeniu pokazała Sanchy drogę. Skręciła w lewo i poszła ulicą wzdłuż muru.

Ogromna kolejka ludzi pod niskimi drzwiami była znakiem, że znalazła się wreszcie w miejscu, którego szukała. Gdy dotarła, niektórzy ją rozpoznali.

– To wy, Sancha? – kobieta na końcu kolejki była sąsiadką z jej wioski. – Ja przychodzę z powodu mojej córki. Nie ma wciąż potomstwa. Słyszałam, że ten człowiek na wszystko znajduje znakomite leki.

– Rozumiem... – odpowiedziała Sancha, nie zamierzając ciągnąć tej rozmowy.

– A wy, czego chcecie od Efraima? – dopytywała się kobieta, niezrażona jej milczeniem.

– Tak naprawdę to nie wiem... – odpowiedziała cichutko. Nigdy nikogo nie obchodziło jej życie.

– Tutaj nie przychodzi się bez konkretnego celu – nie dawała za wygraną kobieta.

Sancha uczyniła rękoma gest, prosząc ją, by mówiła ciszej.

– Nie musicie mi mówić... Poprosicie, by zrobił tak, żeby wasz mąż wrócił... Albo też przeciwnie, chcecie, żeby ten weterynarz zajął jego miejsce... Pewnie o to tu chodzi! – zakrzyknęła w głos.

– Zostawcie mnie, pani, w spokoju – broniła się Sancha, mówiąc jej do ucha.

Dokuczyla jej tym komentarzem, ale sądziła, że nikt więcej go nie usłyszał. Spojrzała na stojących w kolejce. Słyszac pomruk, który przeszedł, i widzac parę krzywych spojrzeń, zrozumiała, że tak nie było. Na domiar złego kobieta odwróciła się do niej plecami, okazując swą urazę.

– Jesteście bezczelna – powiedziała jej Sancha do ucha.

– A wy, jędrza... Żeby tak wykorzystywać nieobecność małżonka i dogadzać sobie z innym chłopem... Kto to słyszał!

Na te słowa Sancha tak się oburzyła, że poczuła pokusę, by udusić ją własnymi rękami. Uratowało ją szczęśliwe pojawienie się staruszka o zakrzywionym nosie, który wychylił się przez drzwiczki chaty.

– Wejdz ty, Sancha! – Efraim wskazał ją palcem, a ona spojrzala za siebie, rozgladajac się za inną osobą o tym samym imieniu.

Reszta pacjentów chciała protestować, ale stary zmierzyl ich surowym wzrokiem. Poniewaz nikt się nie ruszył, zrozumiała, że chodziło o nią. Gdy podążała do wejścia, zdumiało ją posłuszeństwo reszty pacjentów. Kiedy tylko weszła, spytała, skąd znał jej imię.

– Ujrzałem je na wodzie tego ranka. Wiedziałem, że przyjdiesz.

Mężczyzna zaprowadził ją do okrągłego pomieszczenia, w którym pośrodku stał tylko stolik z kolekcją dziwnych figur. Wskazał jej, gdzie ma usiąść.

– Ty w to nie wierzysz, prawda?

– Nie za bardzo. Przychodzę za radą Diega.

– Cieszy mnie to... Jesteś dowodem na to, że w końcu zaczął wierzyć. Kochasz go?

– Co takiego? – To pytanie nie tylko zbiło ją z tropu, ale spowodowało też, że jej twarz się całkiem zaczerwieniła. – Mówicie o moim mężu?

Efraim spojrział jej w oczy bardzo głęboko, aż poczuła się zawstydzona.

– Wiem, czego pragniesz. Uwarzę ci eliksir, dzięki któremu zniknie on na zawsze z twojego życia... – Zakasłał, zacharczał i wytarł sobie usta czarną chustką. – A teraz wiedz, że od ciebie zależy, czy skutek jego będzie trwały, ostateczny, czy tylko przejściowy... – Nie zaważała się przyznać mu, czego rzeczywiście pragnie, chociaż nie rozumiała wszystkiego, o czym mówił.

Efraim wziął do ręki małe kostki, potrząsnął w dłoniach i rozrzucił po stole. Odgarnął włosy z twarzy i przyjrzał się ich rozłożeniu. Potem obwąchał je i znowu na nią spojrział.

– Kiedy mówiłem o waszej miłości, nie jego miałem na myśli... Trzeba ci wiedzieć, że sięgam, gdzie nikt nie sięga. Dlatego też wiem, co masz w sercu. – Zamknął oczy. – Diego podoba ci się, pociąga cię coraz bardziej, pragniesz go...

– Nigdy mnie nie dotknął! Od pierwszego dnia szanował mnie, a ja jego... – broniła się z godnością, chociaż częściowo nie mogła odmówić mu racji.

– Zrób, co do ciebie należy, jeśli tak go kochasz. – Podniósł rękę, by powstrzymać ją od kolejnego komentarza. – Ale teraz musisz zdecydować się na eliksir. Mam dużo do zrobienia i mało czasu. Chcesz tego czy nie?

– Wczoraj kręcił się koło mojego domu. Nienawidzę jego twarzy, jego głosu, jego oddechu. Nie chcę go nigdy więcej widzieć...

– A więc wybierasz trwały skutek dla swojego męża, czy tak?

– Właśnie tak.

– Dobrze, więcej pytał nie będę.

Sancha przyjrzała się jego długim palcom i poczuła obrzydzenie na widok paznokci. Były długie i pomalowane na czarno.

Efraim przeczytał na głos fragment dziwnej księgi zatytułowanej *Picatrix*, którą podniósł ze stołu:

– „Wziąć liść laurowy i pokruszyć w jednej dłoni, tak by nic nie upadło na ziemię. Wrzucić do ucha osoby, dla której lek jest przeznaczony.

Potem dać jej wino do wypicia. Niech wypije, ile chce. Miłość przejdzie i nigdy już nie spojrzy na ukochaną osobę z dawną namiętnością...”

– Wybaczenie, ale dla mnie to chyba nie dość silne – odezwała się Sancha.

– W porządku. Pośpiech nie jest dobrym towarzyszem wiedzy, ale zobaczmy, czy hinduski mędrzec zaproponuje nam coś mocniejszego. – Przewrócił w księdze dwie strony i zaczął znów czytać na głos: – „Jarzębina to drzewo przeciwne ludziom, nie żeby ze swej natury było zabójcze, ale odmienia ich serca...”. – Przerwał czytanie i utkwiał w niej wzrok. – Tego ci trzeba. – Klepnął w stół z zadowoleniem i powrócił do lektury. – „Gdy mężczyzna skosztuje jego kwiatu o pełni Księżycy, uwolni się od targającej nim obsesji, a nawet gdyby spróbował oddać się jej na nowo, zemrze jeszcze tego samego dnia. Żadne antidotum nie odwróci działania owego środka”.

Ten ostatni przepis chyba bardziej zadowolili Sanchę. Wciąż jeszcze nie była pewna, co tu właściwie robi ani czy się to do czegoś przyda, musiała jednak przyznać, że wokół tego człowieka czuje się w powietrzu jakąś moc, której nigdy nie doświadczyła u nikogo. Postanowiła spróbować, nie mając nic do stracenia, nawet jeśli wydawało się to bezsensowne.

– Co to za drzewo?

– Nic się tym nie martw. Nie będziesz musiała go szukać ani czekać do wiosny, żeby zerwać jego kwiaty. Co roku sporo ich zbieram, a potem je suszę.

Wstał z krzesła i wziął gliniany garnek. Wyjął z niego sporą garść i pokazał jej. Sancha zauważyła, że miał je pochowane w porcjach po sześć.

– Zagotuj napar z dwóch tuzinów tych kwiatów i daj mu do wypicia. Podziała od razu i uwolnisz się od niego na zawsze.

Efraim zawiązał kwiaty w białą jedwabną chusteczkę i podał Sanchy.

– Dziesięć dukatów.

– Dziesięć?

– Nikt nie mówił, że magia jest za darmo. Ty dostajesz to, czego ci trzeba, a ja spłacam swoje długi.

Sancha wyciągnęła z woreczka dziesięć monet.

- Powiedz Diegowi, żeby przyszedł spotkać się ze mną za trzy dni o wschodzie słońca nad Wielkim Potokiem.
- Coś jeszcze mam mu powiedzieć?
- Tak, ogłoś mu, że otworzę mu wrota do innych światów...

Mencía czuła, jak porusza się w jej brzuchu.

Dziecko rosło wewnątrz niej, nie wiedząc, że jego matka nigdy nie uzna go za owoc miłości, lecz za efekt zdrady.

Przepełniona goryczą i ociążała patrzyła z balkonu swojej sypialni w zamku Ayerbe, własności jej małżonka, jak pada deszcz.

Była to jej druga ciąża. Parę miesięcy wcześniej straciła poprzednie dziecko tuż przed datą zaplanowanych narodzin. Nikt nie znał przyczyny tego nieszczęścia poza nią. To dziecko spłodzone było wbrew jej woli i jej sercu i to jej własne ciało odrzucało je od samego początku.

Teraz, w szóstym miesiącu ciąży, naszło ją przeczucie, że stanie się to samo.

Usłyszała potężny grzmot, który wstrząsnął murami zamku. Woda dudniła o kamienne ściany. Ta burza przypomniała jej inną, kiedyś w opuszczonej kapliczce. Splotła ręce na piersiach w bólu i głębokim żalu. Diego był jej jedyną miłością, miłością zerwaną z powodu ambicji jej matki. Został wymazany z jej życia tylko dla utrzymania nieskalanej czystości jej nazwiska.

Jak co dzień pomyślała o nim, przypomniawszy sobie jego gesty, słowa, słodycz jego pocałunków. Nie było nocy, by nie zasypiała, żegnając się przedtem ze swoim ukochanym Diegiem. Nawet gdy jej mąż ją posiadał, ona wciąż miała przed oczyma swą miłość.

Cierpiała wewnętrznie, niepocieszona i skryta.

Zapadał już zmrok, gdy znowu pokazała się błyskawica, która wypełniła komnatę zimnym, niebieskawym światłem.

– Pani... – Mencía odwróciła się od okna na głos dworki – przybył posłaniec.

– Wpuście go, prędko, nim mój mąż wróci.

Mencía nerwowo zacierała ręce w oczekiwaniu na nadesłane wiadomości.

Gdy tylko wszedł goniec, dopadła go z niecierpliwością.

– Mówcie... Macie jakieś wieści? Co u niego? Rozmawialiście z nim?

Młodzieniec ściągnął płaszcz i przygotował się do odpowiedzi na wszystkie jej pytania. Poczł jednak, że za bardzo zaschło mu w gardle.

– Zanim odpowiem... Macie odrobinę wody?

– Blanco, przynieś dzban, prędko!

Wypił dwie szklanki duszkiem, odchrząknął i zaczął mówić:

– Nie ma go już w Albarracin.

– Więc nie dałeś mu mojego listu? – Mencía zacisnęła pięści z wściekłości.

– Nie, nie mogłem. Ale dowiedziałem się jego nowego adresu.

– Gdzież on jest, gdzie...? – oczy Mencii płonęły. – Proszę, odpowiedz szybko! Tak bardzo chcę się już wszystkiego dowiedzieć...

– W miasteczku Cuéllar, w Kastylii – odparł zadowolony.

– Nie znam tej miejscowości. – Mencía poczuła kopanie w brzuchu i wyciągnęła się na krzesło, przybierając wygodniejszą pozycję.

– To w połowie drogi pomiędzy Segowia a Valladolid. Z tego co wiem, okolica ta bogata jest w sosnowe zagajniki i stada owiec. Powiedział mi jeden handlarz, który zna niejakiego Marcosa.

– Ach tak, Marcosa, jego przyjaciela, od lat trzymają się razem – przyznała.

– No właśnie, jego przyjaciel wybrał to miejsce z uwagi na znakomite możliwości handlu.

– Cuéllar... w Kastylii... – Mencía w zadumie wypowiedziała te słowa na głos, gdy w tej chwili wszedł jej mąż, Fabián Pardo.

– Co się dzieje w Cuéllar? – przywitał ją pocałunkiem w usta i pogłodził jej duży brzuch. – Bardzo dziś dało ci się we znaki, najdroższa?

– Możecie odejść, młodzieńcze. – Mencía dotknęła swej twarzy i poczuła, że jest rozpalona.

Posłaniec skłonił się z szacunkiem i szybko opuścił komnatę, odprowadzany pytającym spojrzeniem małżonka. Mencía starała się nąprędcie wymyślić jakieś wytłumaczenie wzmianki o Cuéllar.

– Czy znam tego młodzieńca, z którym rozmawiałaś? – Fabián poczekał, aż zniknie za drzwiami. – Nie przypominam go sobie...

– Właściwie... Wydaje mi się, że nie... Chodzi o taki... – Zakasłała po trzykroć. – To znaczy...

– Nieważne, nie musisz kończyć... Wiem, że chodzi o twego tajemniczego kochanka... Przyznaj się! – Uśmiechnął się i pocałował jej usta z nowym zapałem. – Mój Boże! Nie sądziłem, że można kochać kobietę do tego stopnia. Przez cały dzień myślę tylko o tym, aby znaleźć się znów przy tobie...

– Odejdź, Blanco. Już mi niczego nie trzeba.

Mencía z trudem wstała z krzesła i podeszła do okna. Wciąż lało. Ramiona Fabiána otoczyły jej plecy i złączyły się na jej piersiach. Zaczął ją całować po szyi, po policzkach.

– Moja miłości, jakże bym chciał poczuć cię znów, odnowić zar naszych wspólnych chwil – pogładził jej brzuch – żeby było jak dawniej...

Mencía milczała. Jego widok, tak w niej zakochanego, czynił ją podwójnie nieszczęśliwą. Nie kochała go. Ani teraz, ani nigdy wcześniej. Wiedziała też, że nigdy go nie pokocha. Serce jej знаło tylko miłość do Diega, a on był tak daleko...

Łzy potoczyły się spod jej powiek i opadły na jego palce.

– Co z tobą, moje złoto?

– Nic, nic. Wzruszam się... To pewnie przez to dziecko... – skłamała jak zawsze. Żal jej bowiem inne miał imię: Diego z Malagón. Nieosiągalny.

Wiele mil na południe Sancha zdejmowała z ognia rondel w wrzątkiem. Parząc sobie palce, odstawiała go na kuchenny stół i uśmiechnęła się.

Jej mąż, Basilio Merino, patrzył, nie rozumiejąc, czemu jest dla niego taka miła.

Wrócił do wioski, zamierzając już tam zostać. Interesy nie szły mu dobrze, odkąd wyjechał z Cuéllar. Tam zostawił rodzinę. Pomyślał, że jeśli tylko się postara, spięcia z Sanchą staną się do zniesienia. Przez cały czas, kiedy był w podróży, brakowało mu jej jedzenia, ciepła domowego ogniska, jej ciała...

Gdy zbliżał się do domu, wyteżył uwagę w obawie przed owym człowiekiem, który tak go nastraszył. Ponieważ jednak nigdzie go nie widział, bez obawy wszedł do domu. Jakież było jego zdumienie, gdy

Sancha przyjęła go bez problemu. Spodziewał się, że będzie opryskliwa, pełna pretensji do niego. Spotkał odmienioną kobietę. Zachowywała się, jakby w ogóle nie pamiętała tego, co zaszło.

– Sancho, tęskniłem za tobą... za dziewczynkami też... – Gładził jej udo, gdy przelewała wodę do mniejszego dzbanka. – Teraz żałuję tego, co zrobiłem, zmieniłem się, uwierz mi. Przyjechałem prosić cię o wybaczenie.

– Ponad rok cię nie było.

– Nie miałem odwagi wrócić. Sądziłem, że mnie nienawidzisz.

– Twój grzech jest ogromny. Nie tylko wobec mnie... Ale może z czasem, kto wie, o wszystkim zapomnimy, może tak będzie...

Sanchą wzdrygnęło obrzydzenie, gdy poczuła jego rękę na swoim brzuchu, kierującą się do jej piersi. W porę wyswobodziła się. Wzięła dzbanuszek z gorącą wodą i poprosiła go, by usiadł.

Basilio zrobił to niechętnie.

– Napar? A po co? Wiesz, że nie cierpię tych ziółek. Wolałbym trochę wina...

Sancha uśmiechnęła się do niego, ale wyjęła z szafki dwie gliniane filiżanki i napełniła je gorącą wodą. Potem z drugiego garnka wyjęła chusteczkę i ostrożnie ją rozwinęła. Basilio patrzył zaciekawiony.

– Co tam masz? – Wyciągnął szyję i przekonał się, że były to małe, białe kwiatki. – Mówiłem ci, że odrzuca mnie od takich wynalazków... Nie sądz, że to wypiję...

– Czyżbyś mną pogardzał? – Sancha stanęła przed nim, biorąc się pod boki z rozczarowaną miną. – Tak chcesz zacząć pojednanie ze mną?

Mężczyzna z rezygnacją zgodził się przyjąć, co mu da.

Sancha zaczęła liczyć kwiatki przed wrzuceniem ich do kubka. Efraim zalecił jej użyć dwóch tuzinów, ale zważywszy na to, jak były małe, nie zdołała dokładnie ustalić, ile ich wpadło do wody. Mogło wpaść trochę więcej. I pewnie tak się stało.

Drugie tyle wrzuciła do swojej filiżanki i zamieszała łyżką, aż dobrze nasiąkły wodą. Wkrótce woda nabrała białawej barwy i słodkiego, apetycznego zapachu.

– Wypij, polubisz to. – Przysunęła do niego filiżankę i usiadła mu na kolanach, patrząc zachęcająco.

Basilio powąchał i siorbnął odrobinę.

– Nie wrzuciłaś mi tam czegoś dziwnego?

Podniosła swoją filiżankę do ust i udała, że pije.

– Jedyne, czym ryzykujesz, to że nie dam ci jej wypić do końca... –

Przytrzymała jego podbródek i gorąco ucałowała jego usta.

Basilio wychylił wszystko jednym haustem i ogarnięty namiętnością chwycił ją w pasie. Obsypał pocałunkami jej szyję i dekolt. Sancha ukrywała swoją odrazę, czekając, aż eliksir zacznie działać. Nie opierała mu się. Niepostrzeżenie przesuwiała swoją filiżankę, aż upadła na podłogę i rozbiła się na tysiąc kawałeczków. Teraz nie musiała już pić.

Sancha nie знаła działania naparu, czekała więc cierpliwie, posłuszna.

Basilio rzucił ją na stół. Coraz mniej jej się to podobało. Siłowała się, by nie zerwał z niej ubrania. Sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa. Ufała w zupełności w działanie leku, ale wciąż nie widziała tego po swoim mężu. I nie była w stanie przeciwstawić się jego sile...

– Bądź spokojna...! Od tak dawna cię pragnę...

– Zostaw mnie... Nie chcę... – Podrapała mu rękę, zbytnio się przy tym nie wysilając, jakby na ostrzeżenie, ale to go rozzłościło i odzyskał swą dawną brutalność. Spoliczkował ją bez namysłu.

Sancha krzyknęła i rzuciła mu wyzwisko. Krzyknęła znów, gdy uderzył ją w twarz i natarł na nią z powrotem. Głowę miał poniżej jej twarzy, dlatego nie widział, jak wchodziła. Nie zatrzymał też ręki, gdy wbijała ogromny nóż w jego plecy, a potem drugi, przesywający mu żebra, aż po samo serce. To była Rosa.

Gdy tylko usłyszała krzyki, dziewczynka pobiegła do kuchni i zobaczyła mamę w objęciach tego odrażającego człowieka. Krew nabiegła jej do głowy, a wraz z nią potworna złość, która popchnęła ją ku niemu, aby wymazać go ostatecznie z ich życia.

Basilio nie zdążył nic powiedzieć. Rana była śmiertelna. Legł na Sanchę, aż w końcu uwolniła się od niego z obrzydzeniem. Potem przytuliła się do córki i razem zapłakały.

Sancha spojrzała na nieboszczyka i przypomniała sobie, co mówił Efraim. Dawał jej wybór pomiędzy separacją częściową i ostateczną. Wybrała drugie wyjście.

Efekt był widoczny jak na dłoni. Chociaż nigdy nie spodziewałyby się, że eliksir zadziała w taki sposób.

Gdy po południu przyszedł Diego i dowiedział się o całym zdarzeniu, postanowili po pierwsze utrzymać całą sprawę w tajemnicy, żeby chronić Rosę. Poza tym kobiety zachowywały się spokojnie i nie zdradzały najmniejszych oznak skruchy.

Małą Marię zamknęły w pokoju, żeby nic nie widziała, a Diego zataszczył ciało Basilia do stajni, gdzie we troje zagrzebali go w ziemi. Rosa pierwsza sypnęła na niego łopatę piachu. Dobiegła kresu męka jej matki, najgorsza potworność, która spotkała je w życiu. Czuła się uwolniona, gdy widziała, jak ziemia pochłania jej ojca na zawsze.

Gdy wreszcie skończyli, Diego zostawił je same, by zabrać konia tego niegodziwca na północ. Postanowił sprzedać go na pierwszym jarmarku, który będzie dość daleko, żeby tylko nikt nie skojarzył zwierzęcia z Cuéllar i jego poprzednim właścicielem. Parę dni później, w drodze powrotnej, natknął się na Efraima.

Staruszek jak zwykle go zaskoczył.

– Jakże się miewa wdowa Sancha?

V

Delikatna pustynna bryza kołysała lekko grubą kotarę w sypialni Esteli. Ukryty za nią człowiek oczekiwał, aż pierwsze światła poranka dosięgną posłania, aby przystąpić do dzieła. Westchnął ciężko pełen niepokoju.

Dwóch strażników strzegło wrót sypialni, dlatego wszedł przez taras. Była to jedyna możliwość, by tam dotrzeć.

Zawahał się przez chwilę. Ryzyko, że zostanie wykryty, było olbrzymie. Każdy bez trudu mógłby się domyślić, kim był. Podrapał się w czoło i postanowił spróbować inaczej.

Miał właśnie przeskoczyć na sąsiedni taras, gdy usłyszał, jak zakaśłała, i odwrócił się, by na nią spojrzeć. Snopek pomarańczowego światła dotknął jej twarzy i rozlał się na niej ciepłym blaskiem, mieszając się z kolorem włosów. Jej piękno było obezwładniające, a jego zamiary wobec niej – ostateczne.

Po cichu zbliżył się do niej, aż musnął jej pościel. Jego ręce płonęły z żądz. Mógł zrobić to teraz, natychmiast, w tej samej chwili. Obserwował rytm jej piersi, gdy śpiąc, oddychała, widział, jak unosiły się i opadały.

Był tak blisko tego, czego pragnął...

Nie dotykając jej, przejechał opuszkami palców nad policzkami, potem wargami, zapragnął poczuć tę wątlą szyję w swoich rękach. Zrobiłby to w tym momencie...

Zatrzymało go nagle wezwanie na modlitwę. Czując, że do sypialni ktoś wchodzi, rzucił się do kryjówki. W porę skrył się za kotarę i pozostał niezauważony. Przeskoczył z tarasu Esteli na przeciwległy, pokonując niewysoki murek.

Druga sypialnia też nie była dobrą kryjówką. Zaraz wymyślił inny sposób, by spełnić swe pragnienie, być może niełatwy, ale jak mu się zdawało, możliwy do wykonania.

Wziął głęboki wdech, by odświeżyć sobie wspomnienia tego, czego doświadczył przed chwilą. Gdy wyszedł i skręcił w pierwszy korytarz, od razu natknął się na jedną z niewolnic Esteli, która właśnie miała wejść do jej komnaty.

Postanowił zająć się wszystkim od razu po kąpielach.

Księżniczka Najla nurzała się w ciepłych wodach wielkiej sadzawki w łaźniach haremu. Gdy wyszła, odrzuciła włosy do tyłu.

– Czy wiesz, że dżiny lubią zamieszkiwać w pobliżu wody? Dlatego rozpalamy świece, przywołując je, by nasza obecność była im miła.

Najla wybrała najbardziej płaską świecę i sprawdziła, czy unosi się na wodzie. Popchnęła ją ku Esteli. Dziewczyna wzięła ją z uśmiechem. Czując na swych plecach ręce niewolnicy, przytknęła oczy i spróbowała się odprężyć. Doszedł ją zapach olejku rozmarynowego, którym ją smarowała.

Najla zaczęła wychwalać śpiewem Proroka.

Hammam, cotygodniowa kąpiel, stanowiła dla Esteli najlepsze doświadczenie w haremie. Tam zapominała o swych nieszczęściach, dając się ponieść niesamowitym wrażeniom, jakie tu jej towarzyszyły.

– W wodzie jest poezja, czystość, a także mądrość, ona bowiem ugasza pragnienie duszy. – Najla bawiła się płatkami róży, które pływały wokół niej, i przemieszczała się, aż przybliżyła się do swej przyjaciółki. Spojrzała na jej plecy. Usiane były wieloma bliznami po odbyciu owej okrutnej kary na rynku.

– Boli? – przejechała palcem po jednej z nich.

– Nie tu czuję największy ból...

Najla poczuła współczucie.

– Nie powinien być tak robić. Mój brat postąpił z tobą w sposób okrutny. – Najla zmaciła wodę, by zetrzeć z jej powierzchni swoje odbicie. – Wiem, jak to jest, gdy ktoś zadaje ci cierpienie...

Estela pomyślała, że ma na myśli gwałt, zadany przez króla Sancha z Nawarry, po którym nigdy nie zdołała się otrząsnąć. Ona przypomniała sobie swojego brata. Myślała o nim ciągle, odkąd Tijmud opowiedział jej o rozmowie Pedra de Mora z wezyrem, podczas której ten pierwszy wspomniał imię Diega i obietnicę zemsty na niej.

Jej radość, gdy dowiedziała się, że brat żyje, była niezmierna, choć wieści otrzymała nikłe. Jak twierdził Tijmud, don Pedro się z nim zmierzył. Nie miała pojęcia, gdzie ani jak to się wszystko stało, ale to nie było ważne. Wiadomość nappełniła ją nadzieją, ale i trwogą. Była zagrożona.

Dwie niewolnice pomogły im wyjść z wody i zaczekały, aż ułożą się na hamakach, by natrzeć ich plecy wspaniałym balsamem z oleju arganowego, i drugim ze słodkimi migdałami. Potem przystąpiły do odprężającego masażu.

– Mój brat kocha cię... – Najla odwróciła głowę w stronę Esteli i przyglądała się w rosnącym zachwycie jej pięknemu ciału. – Nie rozumiem, dlaczego zadaje ci cierpienie... Jak można dręczyć kobietę, której się pragnie? – zamilkła na chwilę. – Choć jesteś niewolnicą, sądzę, że też zasługujesz na szacunek. Uważam cię za siostrę i rozumiem twój ból. Jesteś delikatna, a on taki potężny...

Estela była wdzięczna za jej słowa.

– W każdym razie, jeśli tylko zechcesz, mój brat da ci wszystko... Byłabyś najważniejszą jego ulubienicą. Nigdy cię to nie pociągało?

– Nigdy, Najlo. Chcę być tylko wolna – odparła, podczas gdy niewolnica zbierała chusteczką nadmiar oleju z jej brzucha.

– Wolna! Czyżbyś uważała, że ja jestem? Nikt nie jest. Musisz w końcu się z tym pogodzić. Ani ty, ani ja nigdy nie będziemy wolne. Zrozum to. Nasza kultura zabrania nam dążyć do czegokolwiek, co nie byłoby małżeństwem. Rodzimy się i żyjemy dla mężczyzn. Jesteśmy ich dopełnieniem i żyjemy w służbie dla nich. Tak właśnie jest. Ja też zatęskniłam kiedyś za tym duchem wolności, gdy uczyłam się w Sewilli. Sądziłam, że przeniknie mnie on, jeśli rozwinę dostatecznie swą inteligencję, nasiąknę rozmaitymi sztukami pięknymi i filozofią. Wyobrażałam sobie potem siebie uczącą poezji i różnych teorii inne kobiety,

jak te, które uczyły mnie. Miałam, gdy tylko zdobędę dość przygotowania, umknąć na ziemię chrześcijan i tam zacząć żyć, będąc nikim, na swój własny sposób, bez ograniczeń, których doświadczam teraz... Taki był mój plan, ale nic podobnego się nie stało. Nawet żeby uciec, potrzeba odwagi, której mi zabrakło. Wróciłam do Marrakeszu, poznałam króla Nawarry, resztę znasz. – Wtarła w dłonie różaną piankę. – Wolna, powiadasz... To nierealne sny.

Gdy się podniosła, rozkazała wezwać Ardah, niewolnicę, która upiększała skórę henną. Wzięła dwa ręczniki i wytarła się do sucha, zbierając resztki oliwy.

Najla podeszła naga do szerokiego okna na północnej ścianie i poczuła wpadającą przez nie miłą bryzę na swoim ciele.

– Ciesz się wiatrem. On jest wolny.

Estela podeszła do niej, przymknęła oczy i przeniosła się do niekończoności, odurzona resztkami aromatycznych esencji, które pozostały na jej skórze, czując na sobie pieszczotę wiatru.

– Księżniczko Najlo...

Słyszając te słowa, odwróciły się i zobaczyły Ardah. Niosła miedzianą tacę z dwoma dzbanami wypełnionymi pastą z henny i dwa narzędzia do jej nakładania. Jedno przeznaczone było dla księżniczki. Kobieta, pełna niepokoju, bała się ich pomylić.

Owa pasta, którą tatuowały się co tydzień, wyrabiana była w specjalnym miejscu wewnątrz haremu. Pracowały tam kobiety o wprawnych rękach. Mieszały liście rośliny, od której wzięła swą nazwę, z wodą, cukrem i cytryną. Potem do masy dodawały mieszankę aromatycznych olejków z akacji, tamaryndowca i goździków. Ale tego dnia, gdy przyszedł ten człowiek, kobiety nie odważyły się o nic zapytać. Zagroził im śmiercią, gdyby powiedziały, co tam jest. Zamilkły więc. Pozwoliły mu dobrać się do jednego z dzbanów, bo znały jego złą sławę i nie wątpiły, że gotów jest spełnić swą groźbę. Dodał parę kropel płynu o szarawej barwie i cuchnącej woni. Powiedział, że ten, i tylko ten, dzban przeznaczony jest dla nałożnicy Esteli, rudowłosej chrześcijanki.

Najla spojrzała na swoje dłonie i ramiona i zapragnęła nowego tatuazu, ciekawszego niż ten, który miała na sobie. Wciąż te roślinne wzory,

w kółko to samo. Poprosiła Ardah, by poszła po nowy szablon.

Kobieta wstała, gotowa zabrać ze sobą tacę z całą jej zawartością.

– Ale to zostaw...

Niewolnica zdenerwowała się, ochrypla i zaczęła się wahać, nie wazyła się jednak tknąć tacy i zostawiła ją na miejscu. Dzbana po prawej stronie używać miała tylko Estela. Tak rozkazał tamten mężczyzna po opłaceniu jej przysługi pękatyń mieszkaniem pieniędzy. O nic nie pytała. Pilnie potrzebowała pieniędzy dla swojej rodziny.

Gdy wróciła do komnaty, w której zostały obydwie kobiety, poczuła, że się dusi. Księżniczka Najla miała w dłoniach jeden z dzbanów, a Estela drugi. Na dodatek zaczęły malować się wzajemnie, chichocząc.

– Zostawcie to mnie – zawyla, tracąc panowanie nad sobą.

– Co z tobą, Ardah? – Najla spojrziała zaskoczona, oddając jej dzban i patyczek do nakładania. – Nie martw się, nie zamierzałyśmy cię wygryźć. Nikt nie robi tego lepiej niż ty...

Kobieta zaczęła, cała drżąc, malować motyle na dłoniach Najli, potem na plecach, na nogach skorpiony, a na piersiach krągłe wzory. Nie wiedziała tylko, czy pasta, której dotknął Pedro de Mora, rzeczywiście przypadła Esteli.

Efraim podał mu tę księgę z absolutnym nabożeństwem i ostrożnością, jakby był to najdelikatniejszy i najbardziej kruchy przedmiot na świecie.

Diego zajął do niej. Dziwne rysunki i symbole przyciągnęły jego uwagę.

– To *Picatrix* – jego głos zabrzmiał poważnie i przenikliwie – najznakomitszy traktat, jaki napisano o szlachetnej sztuce magii. Największy zbiór pradawnych mądrości. Od antycznej Grecji po Persję, od Damaszku po Indie, nie pomijając zagadek starożytnego Egiptu. Księga jedyna w swoim rodzaju. Napisano ją po arabsku, możesz ją więc przeczytać. Znajdziesz w niej inną naukę. Wierzę, że pomoże ci otworzyć oczy. Wy tłumaczone tu jest, jak zburzyć miasto Promieniem Ciszy. Przedstawiono najbardziej wyszukane sposoby wpływania na ludzi, którzy znajdują się bardzo daleko. Ale nade wszystko, co przydatne w

twoim fachu, księga wyjawi ci, jak ciała astralne wpływają na pojawienie się niektórych chorób, gdy zaburzą ład elementów mineralnych, zwierzęcych lub roślinnych.

– Przypominam sobie, że widziałem inny egzemplarz w klasztorze w Fitero.

– Dziwne... Jego lektura zakazana jest chrześcijanom. Do czego mógłby służyć zakonnikom?

– Może ktoś chciał sprawdzić, czy magia jest sprawą boską, czy diabelską...

– A ty jak uważasz?

– Wolę myśleć, że nosi boską pieczęć.

Siedzieli na zwałonym pniu nad potokiem. Efraim wrzucił do wody wielki kamień i od razu pojawiły się okrągłe fale.

– Widzisz ją?

– Mówicie o wodzie?

– Tak. Naliczyłem pięć fal, liczbę nieparzystą. To dobry omen.

– Gdybyście spróbowali z większym kamieniem, wyszłoby ich więcej niż pięć. Rzeczy nie dzieją się z tajemnej przyczyny, lecz są skutkiem procesów fizycznych. Większy kamień rozpycha więcej wody wokół siebie.

Efraim rzucił znowu kamień, dużo większy, i pojawiły się tylko trzy.

– Mag może zmieniać porządek żywiołów, tak jak ja właśnie zrobiłem z wodą. Nie odpowiedziała twojemu rozumowaniu, tylko mojej woli. Gdy nauczysz się przechwytywać ducha ciała astralnego, by skierować go na materię, osiągniesz cele, które dziś wydają ci się niemożliwe.

– Czy sądzicie, że w ten sposób dałoby się uleczyć jedną z chorób, które teraz my, weterynarze, uważamy za nieuleczalne?

– Spróbuj, a przekonasz się sam, przyjacielu. Przeczytaj *Picatrixa* i zobaczymy, czy dałoby się to zrobić, czy też nie...

VI

Efraim zarznął baranka w obecności Diega, żeby od razu wyciągnąć wątrobę.

– Kiedy jest gorąca, wszystko lepiej widać – powiedział, rozdzielając wnętrzności.

Diego był sceptyczny.

– Zobaczycie moją przyszłość w tych flakach?

– A czy ja ciebie kiedykolwiek okłamałem?

Diego patrzył na niego uważnie. Wiedział, że wkracza w najciemniejsze zakamarki rzeczywistości, prowadzony przez człowieka, którego intencji jeszcze nie rozumiał.

Trzeba przyznać, że Efraim umiał przejmować energię z najbardziej niesamowitych przedmiotów. Było to tyleż prawdziwe, co niepokojące. Zawsze, kiedy Diego pytał go, jak to robi, Żyd przypisywał to zbiegowi określonych sił kosmicznych. Na ten temat Diego nie wyrobił sobie zdania. Jednakże nieraz widział, jak trzyma kamień czy polano i otrzymuje od nich odpowiedzi bardzo odległe od natury tych przedmiotów. Tak jak gdyby dzięki niemu zwykłe rzeczy odkrywały, że zostały stworzone do wielu innych celów. To było dla niego czymś niesłychanym.

Na przykład, nie mógł zrozumieć, co się stało z Basilem. To, co opowiadał Efraim, nie rzucało nowego światła na tę ponurą tajemnicę. Choć upłynęło już sześć miesięcy od tego wydarzenia, wciąż zadawał sobie pytanie, czy to eliksir wpłynął na śmierć tej kanalii, zważywszy na to, co zaszło.

Diega interesował ten czarownik, chociaż wciąż miał potężne wątpliwości co do tego, czy jego magia jest dobra. Spotykał się z nim co

tydzień nad brzegami Wielkiego Strumienia, z dala od wrogich spojrzeń i złośliwych komentarzy.

Chciał wiedzieć, czy w księgach, które znał Efraim, jest opisana któraś z chorób, dla jakich jeszcze nie znalazł wyjaśnienia. Żyd zapewnił go, że tak, i jako przykład pokazał mu w swoich traktatach opis pewnych medykamentów, rzeczywiście skutecznych. Zgodnie z jego wskazówkami każda kuracja powinna być zawsze uzupełniana specjalnym zabiegiem, w zależności od tego, jaka jest dominująca konstelacja gwiazd w dniu leczenia. Doprawdy trudno było to zastosować.

Diego starał się uchwycić jakąś logikę w dziwnych teoriach Efraima, ale to prawie nigdy mu się nie udawało.

Pewnego dnia Żyd wdrożył go w podstawowe tajniki magii, wyjaśniając, że wszystko pochodzi od mocy siedmiu gwiazd kierujących swe promienie ku ziemi. Według niego ciała niebieskie miały zdolność wpływania na istotę każdego człowieka i zwierzęcia, jak również roślin i minerałów. W ramach tej dziwacznej teorii zdefiniował następnie koncepcję eliksiru jako narzędzia bardzo popularnego wśród czarowników, narzędzia, które skupiało w sobie szczególną mieszaninę trzech królestw obecnych w naturze, złączonych dla osiągnięcia konkretnego celu.

Często Diego nie był w stanie odróżnić, kiedy czarownik mówi o rzeczywistości, a kiedy o tworach swojej wyobraźni, bo w obu światach poruszał się z równą maestrią.

– Woreczek żółciowy jest spuchnięty.

Diego porzucił swe rozmyślenia, widząc, jak Efraim wydziela gruczoł wątrobowy, by go pokazać.

– To nas informuje o sprawie doprawdy dużej wagi. – Bez wahania pomacał wątrobę i wbił w nią wzrok. – Mówi mi, że któregoś dnia będziesz służył silniejszemu i oddasz mu w służbę swój słuch, talent, całą swoją wiedzę.

Diego słuchał go bez przekonania, ale zbadał pozostałość wątroby i zobaczył w wyższych płatach trzy linie o jasnej barwie. Nie przypominał sobie, by takie linie znajdowały się w zdrowym okazie.

– Doprawdy, nie rozumiem, co znaczą wasze słowa. – Wskazał mu białe ślady. – Czy możecie odczytać w tych liniach jeszcze jakiś przekaz?

– Oczywiście, że tak. To dobry znak. Ale teraz zamilcz, muszę się skoncentrować.

Ścisnął dłońmi swoje skronie i ciężko westchnął co najmniej pięć razy. Kiedy skończył, znów zaczął mówić:

– Sumerowie stosowali pewną złożoną taktykę przewidywania przyszłości. Po zbadaniu wątroby palili ją, by odczytać przekaz z układu płomieni. Tylko trzy razy próbowałem tego sposobu, ale zapewniam cię, że rezultat zawsze był zaskakujący.

– Spalicie ją?

– Tak właśnie uczynię.

Wyciągnął z baranka całą wątrobę, lekko ją osuszył i ułożył na wiązce suchej słomy. Następnie podłożył ogień i zapalił gałąź. Zbliżył ją do słomy i mięsa. Natychmiast wystrzelił w górę słup szarego dymu o nieprzyjemnym i lepkim zapachu.

– Od tej chwili, Diego, zapamiętaj wszystko, co ci mówię. Musisz to zrobić ty, bo ja, gdy już się obudzę, nie będę w stanie nic sobie przypomnieć.

Efraim wziął głęboki wdech i łykając dym, wciągał go głęboko aż do płuc. Zaraz potem zamknął oczy i wymawiał jakieś słowa ochrypłym i dudniącym głosem. Znów otworzył oczy i skupił uwagę na płomieniach, przyglądając się ich barwom, formom, jakie przybierały, tańcząc nad pozostałościami wątroby, i kształtom wyziewów wydzielanych w procesie spalania. Niczym w ekstazie zaczął słuchać różnych rodzajów trzaskania słomy i iskier. Nagle rozwarł oczy bardzo szeroko i przez jego usta przebiegł jakiś dziwny dreszcz, jakby chciał mówić, ale coś w środku mu to uniemożliwiało. Wciągnął jeszcze więcej dymu do ust, jak gdyby go przeżuwał. Po tych wszystkich przygotowaniach wreszcie przemówił:

– Góra zapłacze krwią, chwałą i miłością.

Diego przejechał dłonią przed jego oczyma i stwierdził, że znajduje się w transie. Nie widział jednak sensu zagłębiania się w szczegóły tej wizji.

Czarownik przyłożył swą dłoń do ust i głośno zawołał:

– Krzyk w powietrzu... minaret. Uciekasz...

Kiedy to powiedział, dostał ekstatycznego drżenia nóg i zaczął się drapać. Diego patrzył na niego zatroskany, nie wiedząc, co czynić. Efraim mówił dalej:

– Sznur, drewno, życie i śmierć. Wytrzymaj.

Kiedy skończył mówić, wyglądał na tak wyczerpanego, jakby właśnie wykonał jakąś bardzo ciężką pracę.

Diego bardzo dokładnie zapamiętał te trzy zdania.

Kiedy Efraim skończył, wypluł wstrętną czarną maź i padł bez sił w kierunku ognia niczym kłoda. Diego podbiegł w jego kierunku i uratował go, nieprzytomnego, z płomieni. Żyd nie rozumiał, co się stało. Przez dłuższą chwilę dochodził do siebie.

– Jak się czujecie?

– Dobrze... Chyba dosyć dobrze... Sądzę, że... Wróciłem... – między jednym a drugim słowem robił długie pauzy.

Diego nie mógł się nadziwić temu, czego był świadkiem. Czarownik znów skoncentrował się na płomieniach i coś mamrotał, jak gdyby recytował modlitwę. Wreszcie zwrócił się do Diega, świadom wagi tej chwili.

– Nie chcę wiedzieć, co ci powiedziałem, chcę tylko, byś to zapamiętał na całe życie. Tylko ty się dowiesz, czy te trzy przepowiednie w końcu się spełnią.

Diego poszedł za jego radą. Zachował te słowa w pamięci, choć nie umiał rozszyfrować ich znaczenia. Góra, krew, powietrze, drewno, sznur. Te słowa mogły mieć tyle znaczeń, że któregoś dnia postanowił przestać o nich myśleć i po prostu je zapamiętał.



Marcos sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zemdleć ze zmęczenia. Wracał z Mediny del Campo, gdzie spędził dwa długie tygodnie, dobijając interesu z pewnym szlachciurą kiepskiego rodu, który chciał od niego wyrwać za bezcen bajeczną porcję wełny. Musiał się nieźle nagimnastykować, żeby wyjść na swoje.

Owszem, udało mu się, ale te targi niemożliwie go wyczerpały.

– Rynki w Tordesillas są już twoje, masz Peñafiel, a teraz zdobyłeś jeszcze Medinę. Czegóż pragniesz więcej? – Diego nalał mu kieliszek wiśniówki i dorzucił drwa do kominka. – Tobie potrzeba kobiety, chłopie, musisz się wreszcie ustatkować.

– Rozumiem, że to wielkie osobiste doświadczenie przez ciebie przemawia... – zadrwił sobie Marcos, ale Diego się nie poddawał.

– Co się stało z tą Lucią, córką właściciela miasteczka? Jakoś przestałeś o niej mówić.

Diego pociągnął nieco słabego domowego likieru. Był to prezent od wdzięcznego pasterza.

– Ooooo... – rozmarzył się Marcos na jej wspomnienie. – To była prawdziwa perła, bracie. Kłopoty się zaczęły, kiedy pewnego dnia zasugerowała mi coś na temat małżeństwa. No i oczywiście rozumiesz, że to już nie było zabawne.

– No tak, ale potem nie widziałem cię z żadną inną, a to do ciebie niepodobne.

– Zawsze uważałem, że kobiety trzeba często zmieniać i nie angażować się za bardzo. Nie jestem taki jak ty...

– Chodzi ci o Mencię?

– Niezupełnie. Myślę o tej twojej protegowanej, Sanchy.

– Między nami nie ma nic z tych rzeczy. Ona jest mężatką, wiesz o tym dobrze.

– Niby tak, ale przecież nam wszystkim tutaj bardzo trudno sobie wyobrazić, że przez tyle miesięcy u jej boku nie skorzystałeś z żadnego z licznych wdzięków, których, sam przyznasz, jej nie brakuje. – Diego nie chciał nijak zareagować. – Tylko spójrz. Kobieta jest sama, bez wieści od męża, już tyle czasu opuszczona... No nie wiem... Musi jej bardzo brakować...

Diego przerwał mu, nim tamten zdążył powiedzieć jakieś świństwo.

– Chciałem im tylko pomóc, nic więcej.

– Ludzie mówią...

– O co ci chodzi?

– Uważają was za kochanków, a nawet doszukują się podejrzanych związków między tym a zniknięciem Basilia. Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? – Diego uciekł spojrzeniem, by nie okazać zaniepokojenia. Jeśli któregoś dnia odkryją ciało w stodole, z pewnością obwinia właśnie jego. – A co najgorsze, plotki o waszym domniemanym grzesznym związku dochodzą do uszu najwyższych władz kurii kościelnej.

– Niech się zajmą swoimi sprawami.

– Ja cię rozumiem, ale do tego dochodzi ten dziwny Żyd. A to im jeszcze bardziej śmierdzi. Świetnie wiesz, że pewne kręgi nie lubią, kiedy chrześcijanin prowadzi się z Żydami – czy też bogobójcami, jak

ich nazywają. Nie wiem, co ty w nim widzisz, ale słyszałem, że za tym typem ciągną się oskarżenia o czary i jest też na niego złożony donos o satanizm. Przemyśl to dobrze, chłopie, bo tak właśnie widzi to opat. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ciekawi mnie jego wiedza... To wszystko.

– Pięknie, ale weź pod uwagę, że on jest obserwowany. Postępuj rozważnie i – więcej dyskrecji! No i skończ, proszę, z odwiedzaniem Sanchy. Zresztą, przecież ona już cię nie potrzebuje...

Dobre rady Marcosa nie płynęły bynajmniej jedynie z jego szlachetnego serca, jak mogłoby się wydawać. Zarzuty w stosunku do Diega mogły położyć się cieniem i na nim samym, a to oznaczało negatywny wpływ na jego interesy. A na to Marcos nie miał już najmniejszej ochoty.

– No nie wiem, przyjacielu... Zobaczymy.

VII

Ludzie umierali z nieznanego powodu.

To nie była dżuma, nie była też cholera.

Zaraza padała codziennie na nowe osoby i nikt nie wiedział, jak zatrzymać to nieszczęście.

Panika szerzyła się w miasteczku Cuéllar i po okolicznych wioskach, w miarę jak umierało coraz więcej dzieci. Kościoły się wypełniły, znów przywoływano wszystkich świętych, by odstraszyć to nieznanne zło. Ileż było bólu, ileż strachu wobec śmierci, która bezlitośnie zbierała swe żniwo. Pojawiły się nawet głosy, że oto nadchodzi kres naszych czasów.

Ze względu na powagę sytuacji Diego de Malagón zgłosił się do Rady Wspólnoty, choć na niego nie liczyli. Na własną rękę próbował dociec, co mogło być przyczyną tych groźnych objawów. Zbadał rany i starał się doszukać jakichkolwiek związków między nimi a tym, co wcześniej wyczytał w książkach.

Właściciel miasteczka, don Rodrigo Bermúdez, rozpytywał na wszystkie strony, szukając jakiejś rady. Nie wiedział, co robić. Czuł się przytłoczony rozwojem wypadków i rozczarowany brakiem wyjaśnień i skutecznych środków zapobiegawczych.

Jako pierwszy delegat króla Kastylii don Rodrigo reprezentował najwyższą władzę w prowincji. Jego zarząd obejmował nie tylko własne miasteczko, ale również ogromne połacie ziemi przyznane i potwierdzone specjalnym przywilejem przez samego Alfonsa VIII. W sumie na Wspólnotę Miasta i Gminy Cuéllar składało się trzydzieści sześć wiosek. Były one podzielone na szóstki. Każda szóstka delegowała

jednego przedstawiciela do Rady. Rada zbierała się dosyć często, aby omawiać takie zagadnienia, jak podział pastwisk, kary za niektóre przestępstwa, prawo do ścinania drwa na opał i inne ważne sprawy dotyczące wszystkich mieszkańców. Teraz taką sprawą była tajemnicza epidemia. Na spotkaniach każdy z szóstkowych dysponował prawem głosu.

Większość mieszkańców Wspólnoty stanowili ludzie wolni, wielu z nich przybyło z północy Kastylii, marząc o zdobyciu dla swych rodzin prawa do ziemi i bydła. W zamian przyjmowali ryzyko, że w każdej chwili mogą zaatakować ich Saraceni, bo rekonkwista na tych ziemiach miała miejsce bardzo niedawno i granica była blisko. Nie mieli za to nad sobą ani szlachty, ani kleru, jak to było we włościach na północy Kastylii.

Rodrigo Bermúdez, właściciel miasteczka, mieszkał na szczycie wzgórza, w potężnej fortecy, cytadeli i warowni w ramach miasta. Tam właśnie odbywały się zebrania wspólnoty. W przestronnej sali zasiadało sześciu szóstkowych, czterech przedstawicieli rady kościelnej i on sam.

Owego pierwszego piątku kwietnia roku tysiąc dwieście ósmego sprawa, która ich tu przywiodła, była najpoważniejszą ze wszystkich, jakie dotąd omawiano przy tym stole. Zebrani debatowali burzliwie, nastrój był bardzo poważny. Wszyscy mieli świadomość, że niebezpieczeństwo w każdej chwili może osiągnąć każdego z nich.

– Mówię wam, że to sprawka czarów! – orzekł opat, niewysoki przygarbiony człowieczek o zimnym i twardym spojrzeniu.

– Albo kara boska... – wypalił szóstkowy z Navalmanzano, który reprezentował wioski Sanchonuño, Zarzuela del Pinar i las Navas de Oro. – Niepodobne to do niczego, co tu kiedykolwiek widziano. Uderza, nie patrząc, czy kto stary czy młody, bogaty czy biedny, chrześcijanin czy nie. Niczym te biblijne plagi, co niszczą wszystko na swej drodze.

– I do tego na łeb się rzuca – dodał przedstawiciel południowych wiosek. – Ludzie wariują i mają wizje. Nie dalej jak dziś rano! Idę, patrzę: sąsiad – tarza się po ziemi jak prosiak w błocie i drze się na cały głos, wzywając świętego Macieja.

Właściciel wioski otarł pot z dłoni o kamizelkę. Nie miał pojęcia, co począć w obliczu takiego nieszczęścia. Zmarło już ponad sto osób, a od

czasu, jak zaraza położyła swą pierwszą ofiarę, upłynęły zaledwie dwa tygodnie. Lekarze nie umieli znaleźć przyczyn choroby i walczyli jedynie z jej objawami. Wszyscy byli przerażeni i bezradni.

– Owce też już bierze – te ponure słowa padły z ust szóstkowego z Montemayor.

Reszta zamilkła. Oczywiście ludzie byli najważniejsi, ale jeśli zaraza padnie też na bydło, nieszczęście będzie jeszcze większe. Owce stanowiły główne źródło dochodów miasteczka.

Delegat wyjaśnił, że w sąsiedniej wiosce Rapariegos widziano stado owiec zarażone bardzo dziwną chorobą.

– Kręciły się w kółko jak szalone i za nic nie chciały stanąć w miejscu. Niektóre spuściły łby i pędziły na oslep przed siebie. Potykały się o wszystko po drodze, skakały w górę bez żadnego sensu. Jakby je sam diabeł opętał. Takie to było dziwne, że uradzono posłać po weterynarza Diega, żeby wysłuchać jego opinii.

– Jak można zatrudnić człowieka, który bezwstydnie pokazuje się w towarzystwie tego, niech go piekło pochłonie, Żyda! – wykrzyknął opat, przerywając wieśniakowi.

– O czym mówicie? – zapytał don Rodrigo.

– Czyżbyście nie wiedzieli? Czyżby nikt wam nie powiedział, że ten weterynarz spotyka się z czarownikiem, czy tam magiem, wszystko jedno, o imieniu Efraim? – Pytany zaprzeczył. – Otóż tak właśnie jest i niczego dobrego nie można się spodziewać po takim, co to nic innego nie robi, tylko zajmuje się wróżbiarstwem albo cały dzień pichci jakieś dziwne mikstury, które tylko ogłupiają naszych wiernych. Udaje dobrodusznego, ale zapewniam was, że za tą fasadą kryje się mroczna postać, pełna złowrogich tajemnic.

– A jaki to może mieć wpływ na naszego weterynarza?

– Zdaje się, że i on użył jakichś czarów tamtego, lecząc konie.

Podejrzewam, że mógł już sobie przyswoić niektóre jego diabelskie sztuczki.

– My w naszej szóstce dobrze go znamy... – odezwał się przedstawiciel Hontalbilla. – Weterynarza Diega można często spotkać w domu jednej naszej sąsiadki, pięknej kobiety Sanchy de Laredo. Jej mąż odszedł jakiś czas temu. Oczywiście, wszyscy wiedzą, że Diego to jej kochanek, a dwie biedne córki Laredów muszą na to wszystko patrzeć.

– Kolejny dowód, że ten brudny Żyd rzucił na chłopaka zły urok – orzekł opat z naciskiem.

– Dobrze, dobrze... Już rozumiem, o co chodzi – przerwał don Rodrigo Bermúdez. – Nie mnie sądzić jego czyny ani z kim się prowadzi. Skoro Diego de Malagón jest najlepszy w swoim fachu, to jego opinia może być dla nas kluczowa w obecnych okolicznościach. Powiedźcie, proszę, co się w końcu stało z tymi zwierzętami – zwrócił się do tego, który mówił o owcach.

– Weterynarz podejrzewa, że to mogą być robaki. – Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem. – Tak, tak, robaki w mózgu. Ja też o czymś takim wcześniej nie słyszałem.

– Skoro tak, to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą – uznał don Rodrigo. – Dziś jeszcze powiedziano mi, że dwanaście kobiet poroniło w ciągu tego tygodnia i mamy kolejnych pięć w stanie krytycznym. Wdała się gangrena i w każdej chwili mogą umrzeć... – podniósł się z krzesła i uważnie popatrzył po zebranych. – Ktoś ma jakiś pomysł?

– Trzeba wezwać więcej lekarzy. Oczy kogoś nowego mogą zobaczyć coś, czego my nie zauważaliśmy do tej pory – powiedział jeden z duchownych.

– Zgoda, sam się tym zajmę – odpowiedział don Rodrigo. – Zarządę, by wszyscy chorzy skupili się w jednej z waszych parafii. – Opat, zaskoczony, zaprotestował, ale don Rodrigo uciszył go siłą swego autorytetu. – Odizolujemy ich, żeby uniknąć rozprzestrzeniania się choroby.

Decyzję zaaprobowali wszyscy oprócz opata i pozostałych duchownych, których zwierzchnik szybko nakłonił do lojalności.

– W obliczu nieskuteczności dotychczas zaproponowanych środków konieczne będzie czuwanie modlitewne... tej nocy i następnego ranka – odezwał się znowu opat, świadom, jaki efekt wywrą jego słowa, i chcąc obniżyć prestiż don Rodriga.

Ten poczuł się oburzony. Od początku, od kiedy tylko przybył do Cuéllar, nienawidził zachowania i postawy tego człowieka, ale starał się tego nie okazywać.

– Znakomicie. Wy zatem się módlcie, a ja tymczasem zajmę się organizowaniem pomocy dla naszych mieszkańców – rzucił cierpko w odpowiedzi don Rodrigo.

– Tak uczynię. Z pewnością tak właśnie uczynię. Kiedy człowiek nie znajduje odpowiedzi, których szuka, na ziemi, powinien zwrócić się ku Bogu. On otworzy nam oczy... – opat żarliwie się przeżegnał.

Veturia potrząsała Diegiem, starając się go obudzić. Wiedziała, że w nocy wychodził, by odebrać poród u jednej klaczy, a teraz było już późno, prawie południe.

– Panie Diego. Na dole czeka na pana ten Żyd.

Służąca otworzyła szeroko okiennice.

– Przyszedł z jakąś paczką, która strasznie cuchnie.

Diego szybko obmył twarz i ubrał się. Nie tracąc czasu, zbiegł na dół. Efraim tutaj, o tak wczesnej porze? To było dziwne.

– Prawie wszystko sprawdziłem, Diego – głos mu drżał, wyglądał na załamanego. – Prawda jest taka, że nie wiem, z czym albo z kim walczymy.

Diego patrzył na niego zmartwiony. Nigdy nie widział go w takim stanie; był niesamowicie spocony i nieustannie wycierał sobie nerwowo ręce. Jego twarz wyrażała wielkie wyczerpanie. Był bliski paniki.

– Obie moje siostry zachorowały i umrą, Diego. Mają bardzo silne dreszcze i halucynacje. Gdy wychodziłem, miały oczy wpatrzone w jeden punkt i krzyczały coś bez sensu. Wypróbowałem na nich trzy różne eliksiry i dwa talizmany. Wygląda na to, że nic nie działa. To jest ta sama zaraza, która zabiła wszystkich pozostałych.

Teraz Diego zrozumiał jego stan. Codziennie na jego oczach umierali ludzie, prawie wszystkich znał i, podobnie jak Efraim, za każdym razem czuł się bezsilny.

– Wejdźcie do kuchni. W końcu musi się znaleźć jakieś rozwiązanie.

W kuchni przy palenisku stała Veturia. Mieszała coś w rondelku.

Diego wskazał Efraimowi siedzenie i podał mu dzbanek zimnej wody. Patrzył, jak tamten pije. Potem poprosił służącą o garnuszek ciepłego mleka i bułkę. Nie jadł jeszcze śniadania i było mu trochę słabo.

Kobieta postawiła posiłek na stole i zabrała się do ugniatania mąki ze smalcem na stolnicy w drugiej kącie kuchni. Wyglądała na pochłoniętą

tą czynnością, ale było zupełnie inaczej. Nie chciała uronić ani jednego słowa z ich rozmowy, zwłaszcza że chodziło o tego dziwnego człowieka.

– Pamiętasz, jak pewnego dnia opowiadałem ci o dwudziestu ośmiu fazach Księżyca, o których mowa w *Picatrixie*? O tych, które znali mędracy hinduscy?

– O ile dobrze zrozumiałem, mówiliście, że służą one za model do produkcji talizmanów stosowanych do bardzo konkretnych zadań. Czy nie tak? – zapytał Diego.

Efraim nie odpowiadał. Otworzył paczkę, którą przyniósł ze sobą, i wyjął z niej martwą żmiję i trzy kulki zrobione z miękkiej, zielonkawej masy.

Veturia spojrzała na to z ukosa z obrzydzeniem.

Diego zauważył, że kobieta zdradza nadmierne zainteresowanie ich rozmową, i wyprosił ją z kuchni. Veturia nie była szczególnie bystra, ale za to bardzo religijna. Pomyślała, że te dziwactwa nie mogą być miłe Bogu, a już na pewno, jeśli pochodzą z żydowskich rąk. Jednak posłuchała i wyszła, starając się nie domknąć za sobą całkowicie drzwi.

– Co zamierzacie z tym zrobić?

Diego odsunął się od stołu, widząc, co na nim leży.

– Te kulki nazywamy farbami. Zawierają zmielony róg koziorożca, zieleń miedzianą i sfermentowaną żywicę. Wyłapują duchowość dominującej gwiazdy i sprowadzają ją do funkcji talizmanu, w tym wypadku w postaci węża albo żmii, bo to symbol mądrości. Będzie mi potrzebny kociołek z letnią wodą, żeby wsadzić kulki, niech sobie powoli rozmiękną. Potem spuszcze całą krew ze żmii do tej cieczy – no i dalej to już ty odczytasz, co z tego wyniknie.

Veturia, która podsłuchiwała z przyległego pokoju, uchyliła szerzej drzwi. To, co dotychczas usłyszała, wprawiło ją w osłupienie. Nawet nie wyobrażała sobie, jak dziwne, żeby nie powiedzieć niegodziwe, sprawy mogą łączyć tego czarownika z jej pracodawcą. Poczula strach. Nogi zaczęły jej drżeć i wydawało się jej, że się dusi. Musi natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza, bo inaczej zemdleje. Jednym uderzeniem otworzyła drzwi i skierowała się wprost do Diega.

– Przepraszam, ale muszę na chwilę wyjść.

– Oczywiście, Veturio, wyjdź, jeśli chcesz.

Niemal biegiem, nie patrząc na nich, opuściła dom.

Efraim dalej tłumaczył:

– Musisz skoncentrować się na falach, na formach, jakie będzie tworzyć jej krew. Otwórz się wtedy na dowolne skojarzenia. Daj się porwać do innego świata. Jeśli ci się uda, to zobaczysz, co się dzieje i jaka jest tego przyczyna. Z jakiegoś nieznanego mi powodu mnie się to nie udaje, być może jest nade mną jakaś aura, która mnie blokuje, nie wiem.

– To bardzo dziwny pomysł. Doprawdy, nie sądzę, żeby się to na coś zdało. – Diego poczuł się oszukany tą śmieszną propozycją rozwiązania problemu.

– Możesz uratować wiele istnień, w tym moje siostry, no i nas samych, jeśli i my zachorujemy – odpowiedział Efraim, prawdziwie zrozpaczony.

Diego wstał z krzesła, żeby nieco rozprostować kości. Doprawdy, źle się poczuł, widząc, że ten człowiek wierzy, iż rozwiązanie tej potwornej sprawy, której on poświęcił wiele dni, całą swoją wiedzę i zaangażowanie, mieści się w garnku pełnym jakichś świństw.

– Przestudiowałem dziesiątki traktatów w poszukiwaniu śladu tej choroby – usprawiedliwiał się Diego. – Mało tego, zbadałem też uszkodzenia ciała u ponad dwudziestu owiec, które padły. Myślałem, że może tam znajdę wskazówkę, która pozwoli wytłumaczyć ich śmierć. Wierście mi, łamałem sobie głowę, rozmyślając nad tym, jaki może być związek między śmiercią zwierząt a następującym po nich zgonem ich właścicieli. – Znowu usiadł i milczał przez chwilę. – I nie mam żadnej odpowiedzi.

Efraim pokroił żmiję ostrym nożem i naciął ją od końca do końca tak, że jej krew spływała strużką do różowawej wody. Na powierzchni powstały różne dziwne kształty, a w wodzie utworzył się wir.

– Nie ma co próbować, Efraimie. Ja wierzę w naukę, a nie we wróżby albo jakieś przeczucia. Ze mną to nie wyjdzie.

– Jeszcze nie rezygnuj! Zaufaj mi. Jeszcze nie widziałeś siły, która się kryje w materii. Nie myśl ciągle tylko o tej swojej nauce. Otwórz oczy na ciemną stronę mocy! Czasami nie ma innego wyjścia niż się tam udać...

To się Diegowi nie spodobało. Ostatnie słowa sprawiły, że poczuł wątpliwości co do moralnej strony praktyk Efraima.

– Mówicie o czarnej magii? – utkwił w nim wzrok Diego. – Użyliście jej wobec męża Sanchy?

Efraim spuścił głowę i odpowiedział z namysłem.

– Tak, to prawda, znam jej działanie. Kiedy zdałem sobie sprawę, że ta biedna rodzina wymaga konkretnej pomocy, użyłem pewnego prastarego czaru, który mógł wywołać, nazwijmy to tak, ciemny rezultat. Owszem, tak właśnie się stało.

– Sądząc po waszym głosie, nie wydaje mi się, żebyście mieli z tego powodu specjalne wyrzuty sumienia.

– Nic nie daje większej satysfakcji niż zniszczyć zło, tak naprawdę je zniszczyć – a ten człowiek nosił zło w duszy.

Diego poczuł się zaniepokojony. To wyjaśnienie nie bardzo go przekonywało, no i nie widział sensu szukać nie wiadomo czego w jakimś kolorowym mazidle.

Efraim go zawiódł, najwyraźniej zanadto mu ufał.

– Myślisz, że za tą chorobą może kryć się czarna magia? – zapytał.

– Mam przeczucie, że tak. Jakiś czas temu słyszałem historię pewnego pruskiego kolegi, który zdobył sławę swym złym charakterem. Mówią, że pewnego razu rzucił klątwę na całą społeczność, bo nie pozwolili mu wejść na jakąś uroczystość, i w akcie zemsty przygotował miksturę, która sprowadziła straszną chorobę na mieszkańców. Wrzucił ją do studni, skąd ludzie czerpali wodę do picia, i skutki dosięgły wszystkich. Zapamiętałem wtedy przepis, bardziej z ciekawości niż czegokolwiek innego.

Zamknął oczy i modulowanym głosem rozpoczął recytację.

– To było tak: weź czternaście ziaren lauru i pięć musztardy, ususz, zmiel drobnutko, połóż na czystym palenisku, zmieszaj z podpuszczką od owcy i krowy, zalej mlekiem kozim i ubij to wszystko razem. Ten eliksir przyprawi o utratę zmysłów każdego, kto się go napije. Nikt jednak nie pozna przyczyny swojego szaleństwa.

Efraim utkwił spojrzenie w Diego w oczekiwaniu na jakiś komentarz.

– Nie wiem... Podpuszczka fermentuje mleko i podejrzewam, że ziarenka mogą zawierać jakiś toksyczny składnik. Po wymieszaniu tego

wszystkiego... mogłoby to być... Ja jednak myślę, że przyczyna tej tragedii jest znacznie bardziej przyziemna, znacznie bliższa naszym zmysłom i poznaniu...

Efraim popchnął go w kierunku rondla z wodą i krwią.

– Więc jej tam szukaj... i pośpiesz się.

Diego poczuł, że wobec siły nacisku tamtego nie jest w stanie się już dłużej opierać, i zaczął się przyglądać kolorowej cieczy.

– Oczyść swoje myśli – polecił mu Efraim.

Diego posłuchał i skoncentrował się na tym, co widział u owiec: na objawach, na poronieniach, nerwowych konwulsjach, na tym, jak szybko przychodziła na nie śmierć... Przypomniał sobie ich opuchnięte wątroby, widoczne po otwarciu zwłok, i wewnętrzne wylewy krwi.

Pomyślał też o dziwnym przepisie, który przed chwilą dał mu czarownik. Przemyślał go powoli. Żaden z wymienionych składników zastosowany z osobna nie mógł uczynić szkody. Aby doszło do tak potwornego efektu jak śmierć, coś się musiało dziać, kiedy laur mieszał się z podpuszczką albo musztarda z mlekiem, albo wszystko razem.

Przypomniało mu się, że Efraim wspominał, iż czasami różne pierwiastki natury mogą się łączyć, powodując zmianę zastosowania jakiejś rzeczy.

Myślał o tym w kółko i nic nie przychodziło mu do głowy. Powiedział to Efraimowi. Na niego to nie działa. On nic nie widzi.

I mag odszedł, kompletnie zdruzgotany, bez nadziei na to, że uda się zapobiec pewnej śmierci jego sióstr i tych wszystkich, którzy wcześniej czy później zachorują.

Przez resztę dnia Diego myślał tylko o tym. Czuł się jak w labiryncie. Przeczynał, że wyjście musi być gdzieś blisko, ale nie umiał znaleźć właściwej drogi. Od kilku dni podejrzewał, że przyczyna musi tkwić w pożywieniu – albo, być może, w wodzie.

Tego samego popołudnia, szukając domu jednego z klientów, musiał przekroczyć wilgotny parów. Nikt tamtędy nie chodził. Niebo było wciąż zaciągnięte chmurami po porannym deszczu, ale temperatura, jak na późną jesień, panowała całkiem wysoka.

Sabba słyszała, jak trzaskają gałązki pod jej kopytami, kiedy mijała pnie drzew. Diego ujrzał wśród listowia rozległą kolonię grzybów. Zsiadł z konia, by je zebrać. Były piękne. Mieniły się wszystkimi

kolorami tęczy i miały najróżniejsze kształty. Najwyborniejsze gatunki rozsiadły się tuż obok tych, które mogły zabić po uszczknięciu zaledwie kawałeczka. Znalazł jeden z najgorszych, o czerwonej barwie i białych kropkach na kapeluszu, i zmiotł go z ziemi zamaszystym kopniakiem, by nikogo nie zmylił. Przypomnił sobie, co czytał o nim w pewnym traktacie botanicznym: powodował między innymi ślepotę, ataki szaleństwa i wizje. Zobaczył drugi podobny, ten był jeszcze większy. Podeszedł i już miał go rozgnieść obcasem, gdy wtem się zatrzymał.

Powąchał swe dłonie i zdał sobie sprawę z czegoś, co do tej pory zupełnie nie przyszło mu do głowy. Krzyknął z radości.

Już wiedział, co zabija ludzi. Cały czas miał to przed nosem i nie zdawał sobie z tego sprawy. Ani on, ani nikt inny.

Potrzebował tylko jeszcze jednego dowodu, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Tylko jednego.

VIII

Veturia podejrzliwie obserwowała, co robi Diego.

Poprzedniego popołudnia kobieta wróciła do domu już trochę spokojniejsza, z mocnym postanowieniem, że nie będzie się denerwować tym, co widziała i słyszała wtedy, kiedy był tu ten dziwny Żyd. Zawsze jej mówili, że ma za bogatą wyobraźnię, i mogli mieć rację. Może i widziała coś, czego tam nigdy nie było.

Z samego ranka natknęła się na Diega, który biegł w stronę stajni. Zniknął w zabudowaniach, a już chwilę później pogalopował przed siebie na grzbiecie swej klaczy, Sabby. Veturia sądziła, że nie zobaczy go przed obiadem, ale Diego wrócił znacznie wcześniej. Przywiózł kilka woreczków. Część była wypełniona starym żytnim chlebem, a inne zawierały ziarna żyta.

Ledwie wszedł, poprosił o dziesięć glinianych kubeczków z wodą i jeden większy, z naparem z kwiatów kopru. Veturia wszystko przygotowała i podała, tak jak jej polecił. Postanowiła zostać, bo umierała z ciekawości: co też on z tym wszystkim będzie robił?

Diego obwąchał kilka kawałków chleba i ostrym nożem podcinał najbardziej spleśniałe części skórki. W ten sposób zebrał na stole kupkę chleba w najgorszym stanie. Usatysfakcjonowany, popatrzył na rezultat – uzyskał substancję koloru purpurowego o proszkowatej konsystencji. Wziął jej szczyptę na czubek łyżeczki i wrzucił do pierwszej filiżanki z wodą. To samo uczynił z dwiema czy trzema garściami spleśniałego żyta, choć w tym wypadku namoczył ziarna, nim je wrzucił do odpowiedniego kubeczka.

– Proszę pana... Przepraszam za ciekawość, ale czy można wiedzieć, co pan takiego właściwie robi?

– Teraz doświadczę zła... – odpowiedział zdecydowanym tonem, prawie zamroczony z przejęcia. Tak właśnie uczynię...

Veturia wstrzymała oddech i poczuła się dużo gorzej niż poprzedniego dnia. Zrozumiała, że on już zupełnie zwariował, i postanowiła nie spuszczać z niego oka.

Diego, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, jak jest odbierany, pobrał próbki z obu kubeczków i wrzucił do kolejnego naczynia. Dobrze zamieszał, a potem uważnie przeniósł łyżeczką zawartość jednego kubeczka do drugiego, aż doszedł do wniosku, że uzyskał w naczyniu niskie stężenie pleśni. Potrząsnął nim energicznie i wypił jednym haustem.

– Ależ co pan wyprawia? – Veturię przeszył dreszcz, gdy zobaczyła, że pije to świństwo – To może panu bardzo zaszkodzić.

Diego podniósł się z krzesła z triumfującą miną, wylał resztki do wiadra i rzekł:

– Otóż, Veturio, słuchaj, co ci powiem: umiem wywołać tę straszliwą chorobę, od której wszyscy tu umierają! – przerwał na chwilę. – Teraz ja sam na nią zachoruję, być może za chwilę to zauważysz. Jeśli będę bardzo źle wyglądał, wezwij kogoś, ale przede wszystkim daj mi do picia mleko, dużo mleka.

– Ależ, co pan mówi? Co za brednie. Jak to: umie pan wywołać chorobę? – Kobieta umierała ze strachu.

Diego usiadł i przyłożył sobie ręce do skroni, czując, że już robi mu się niedobrze. Mięśnie miał tak zwiotczałe, że jego ramiona nie były nawet w stanie utrzymać ciężaru czaszki. Niemał w tym samym momencie poczuł, jak szybuje w powietrzu ponad ogromną zieloną łąką. Zadziwiony swoją szybkością spojrzął na boki i zobaczył, że u rąk wyrosły mu dwa wielkie skrzydła o białych i czarnych piórach. Potrząsnął nimi, zachwycony. Tuż obok niego pojawiły się bociany o twarzach kobiet. Były bardzo piękne i wszystkie dokładnie takie same. Chciał ich dotknąć swoimi piórami, ale wtedy ich oblicza przybrały wyraz demoniczny, ciemny i zły. Otworzyły usta i pokazały mu długie, spiczaste kły. Diego krzyknął, bojąc się, że właśnie umiera.

Tymczasem Veturia przyciskała do piersi kuchenną ścierkę przerażona tym, co się działo. W jej głowie zaczęło się rodzić potworne pojęzelenie.

Poprzedniego dnia widziała, jak Efraim coś tu wyczyniał z tym obrzydliwym wężem. Nic z tego nie rozumiała. Teraz znów jej pan wymachiwał rękoma jak szalony, z oczyma wbitymi w jeden punkt, krzycząc, jakby go diabeł opętał. Czuła, że ta sytuacja ją przerasta, była bardzo zdenerwowana i nie wiedziała, co ma robić.

Przyłożyła Diegowi mokrą chustkę do czoła, wciąż zadając sobie pytanie, co się tu dzieje. Coś w środku jej nakazywało działać, i to szybko. Ale jak działać? Czy to, co widziała, to były czary? Albo, co gorsza, jakieś satanistyczne obrzędy?

Choć trawiły ją wątpliwości, poczuła na sobie ogromną odpowiedzialność, jako że była jedyną osobą, która знаła tę tajemnicę. Przez chwilę wydawało jej się, że powinna poczekać na pana Marcosa, by mu to wszystko opowiedzieć. Miał wrócić z podróży następnego dnia. Jednak co, jeśli ten jej nie uwierzy albo też przyłączy się do działań swojego przyjaciela? Doprawdy, nie wiedziała, co ma robić.

Nagle Diego otworzył oczy, ze zdziwieniem rozejrzał się dookoła, jakby się właśnie obudził z głębokiego snu, a potem, jak gdyby nigdy nic, wyszedł z kuchni oznajmiając, że idzie się na chwilę położyć.

Kiedy Veturia została sama, znów opadły ją rozterki. Choć nie chciała na niego donosić, nie mogła też zatrzymać dla siebie tego, co zobaczyła.

Kiedy tak rozmyślała, targana wątpliwościami, znalazła wreszcie wyjście, by ulżyć swojemu sumieniu. Zdjęła fartuch, włożyła czystą, lnianą koszulę, aby ładnie pachnieć, uczesała się i dyskretnie wymknęła się z domu.

Wspięła się pod górę i przekroczywszy Bramę Świętego Marcina, weszła do kościoła Świętego Piotra, by poszukać spowiednika. Na szczęście był jeden wolny, a jeszcze lepiej się złożyło, że trafiła na samego opata.

Kiedy zaczęła opowiadać mu o swych lękach i ich przyczynach, od razu poczuła się lepiej. Łagodny głos opata, jego pytania, obietnica lepszego losu, to wszystko skłoniło ją do wyznania szczegółów całej historii. Opowiedziała, do czego przyznał się Diego i jaki był w tym wszystkim udział tego podejrzanego Żyda. Zdała też dokładną relację z tego, jakie mikstury przygotowywali i co znajdowało się w ich składzie, nie zapominając zwłaszcza o tych odrażających zmięjach.

Opat udzielił jej rozgrzeszenia i gorąco podziękował za informacje, których mu dostarczyła. Veturia dojrzała przez drewnianą kratkę, która ich dzieliła, jego złe spojrzenie i dziwny uśmiezek. Natychmiast zdrętwiała z przerażenia i poczuła się podle. Pan był dla niej zawsze taki dobry, a ona właśnie go wydała. Zrobiło jej się wstyd, ale wiedziała, że nie musi się obawiać konsekwencji, bo istnieje przecież tajemnica spowiedzi.

– Jaką pokutę mi zadajecie, ojcze? – Opat już wstał i ją pobłogosławił, najwyraźniej bardzo mu się dokąś śpieszyło.

– Żadnej, moja córko. Inni za ciebie odpokutują, sama zobaczysz.

Diego obudził się z dotkliwym bólem pleców. Coś mu się w nie wbijało. To była ostra krawędź kamienia. Pomacał wokół siebie i stwierdził, że jest ich więcej. Były wilgotne i ostre jak tamten.

Otworzył oczy. Wszystko spowijały ciemności, jedynie po lewej stronie znajdowało się małe okratowane okienko, przez które wpadało nieco światła. Dotknął swojej twarzy i ramion. Przez chwilę sądził, że nie żyje.

Kiedy doszedł już do siebie, poczuł, że ktoś tam jeszcze jest. Usłyszał kaszel. Odwrócił się, słysząc kroki za swoimi plecami.

– Kim jesteś?

– A ty? – głos był głęboki i ochryply – Do wszystkich diabłów! Co za towarzystwo mi się trafiło.

Diego usłyszał, że postać się oddala. Powiódł spojrzeniem po ścianach i zatrzymał wzrok na wysokości malutkiego okienka.

W tym świetle mógł mu się lepiej przyjrzeć. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, słusznego wzrostu, o lekko posiwiałej brodzie. Wyglądał na szlachcica.

– Przynoszą cię tu nieprzytomnego, wygadujesz jakieś głupoty, oczy masz postawione w słupek, jakbyś był opętany, śpisz niemal pół dnia. Wygląda na to, że nieźle się wczoraj upiłeś, aż w końcu nie mogłeś ustać na własnych nogach. – Mężczyzna przysiadł na załomku muru. – Potraktowali cię nawet gorzej niż mnie. Ciekaw jestem, co ty takiego nawyczyniał.

– Gdzie ja jestem? – Diego przyłożył dłonie do uszu, zaskoczony, że jego słowa odbijają się głucho od ścian.

- W lochu.
- Uwięziony?
- Zgadłeś, mój przyjacielu – odpowiedział tamten drwiąco.

Diego przypomniał sobie o swoich doświadczeniach z żytem i o tym, co udało mu się ustalić, nim się zanurzył w otchłań nieświadomości. Jego ciało było żywym dowodem na to, że ta choroba ma swoją nazwę i konkretną przyczynę. Zapytał sam siebie, co takiego mógł zrobić później, by zasłużyć na wtrącenie do lochu. Pamiętał, że latał po jakimś dziwnym, wymyślnym świecie, nawet miał przed oczyma swą sylwetkę, unoszącą się wśród chmur. Ale czyżby popełnił w tym stanie jakieś przestępstwo?

– A wyście czym zawinili, panie? – Diego popatrzył na świetnie skrojony strój i pochwę od miecza, wiszącą u jego pasa. – Dlaczego tu jesteście?

Mężczyzna wymamrotał coś niezrozumiale, a potem zaczął charczeć, by oczyścić sobie gardło. Wreszcie się odezwał.

- Za dużo wypilem. A w takich sytuacjach tracę kontrolę.
- Nie jesteście stąd, prawda?
- Istotnie, jestem z Oñate. Choć tak naprawdę mieszkam dużo bardziej na południe. – Naszedł go drugi atak kaszlu i minęła długa chwila, nim zdołał wrócić do siebie. – Jestem tu tylko przejazdem.
- Nigdy nie słyszałem, żeby za samo picie ludzi pakowali za kratki.

– Nie, to robią tylko wtedy, gdy się spuszcza manto najczcigodniejszemu opatowi miasteczka. A tego właśnie dokonałem wczorajszego wieczoru. Obraził mnie, gdy wychodziłem z tawerny nieco się zataczając, i...

- Teraz wszystko jasne...

Diego poczuł, że trzęsą mu się ręce i ma silne odruchy wymiotne. Zrozumiał, że są to kolejne objawy choroby, i poczuł gwałtowny smutek. Jeśli to prawda, że siedzi tu w zamknięciu i odosobnieniu, odcięty od świata, to źle dla niego, ale jeszcze gorzej dla wszystkich innych. Musi ich przecież ostrzec, wytłumaczyć władzom, co ustalił, i to szybko.

- Ja się nazywam Bruno de Oñate, a ty?
- Diego de Malagón.

Uścisnęły sobie dłonie i Bruno dostrzegł, że jego towarzysz nie jest w stanie kontrolować drżenia rąk.

– Może być ze mną znacznie gorzej.

Po tej deklaracji mężczyzna poczuł się jeszcze bardziej zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– Jest bardzo prawdopodobne, że złapią mnie konwulsje, a potem halucynacje, może nawet dojść do jakiejś zapaści.

– Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się z tobą dzieje?

Diego przez chwilę poczuł się lepiej, nabrał powietrza i lżej odechnął. Zauważył nawet, że ręce przestają mu się trząść.

– Wywołałem u siebie chorobę, tak, tak, dobrze słyszycie, w tym tylko celu, by potwierdzić jej przyczyny. Symptomy, które teraz odczuwam, są łagodniejsze, niż gdybym naprawdę zachorował. Mówię o chorobie, która zabiła u nas ponad sto osób w ciągu kilku ostatnich tygodni, nie licząc bydła.

– Nic o tym nie wiedziałem...

– Najgorsze, że nikt do tej pory nie potrafił jej pokonać, gdyż przyczyny były nieznanne. A jednak ja, od wczoraj, wiem, co ją powoduje, i dlatego mam świadomość, co należy czynić. Mogę jeszcze uratować wiele osób.

– A co to za choroba?

– Słyszeliście kiedyś o ogniu świętego Antoniego?

– Nie, nigdy.

– To trucizna, która dostaje się do organizmu po zjedzeniu spleśniałego żyta albo czarnego chleba upieczonego z takiej mąki. Skutki są tragiczne. Ludzie dostają potwornych halucynacji i wszelkiego rodzaju konwulsji, trzęsionek i mdłości. Wielu umiera. Czasami wdaje się gangrena, a jeśli zatruje się kobieta w ciąży, następuje poronienie. Chorują też owce, kozy i krowy, ale nie konie, bo one nie jadają tego zboża. Odkryłem to nieomal przypadkiem, kiedy jechałem lasem i zobaczyłem różne trujące grzyby. To mnie zainspirowało, by powiązać chorobę, która dotyka ludzi i zwierząt, z grzybami – bo żyto też mogą porosnąć grzyby, choć są one bardzo malutkie.

Diego wyjaśnił mu, że po powrocie z owego wąwozu przypomniał sobie opis tego zjawiska zawarty w pewnej księdze, autorstwa zakonnicy Hildegardy de Bingen. Pojawienie się grzybka w życie spowodowane

było złym przechowywaniem zboża, w warunkach nadmiernej wilgotności i w zbyt wysokiej temperaturze.

Bruno de Oñate przyjrzał mu się uważnie. Miał wiele powodów do zdziwienia. Jeśli ten chłopak mówił prawdę, jego czyn był nie tylko zacny, lecz też wymagający wielkiej odwagi, rzecz by należało, bohater-ski. Zaskoczyła go też nieprzeciętna pamięć towarzysza niedoli. Przed chwilą recytował tu przecież całe akapity z traktatu, który jak twierdził, czytał tylko raz, i to w dodatku wiele lat temu.

– Jesteś lekarzem?
– Nie, weterynarzem.
– I nikt inny nie zdiagnozował tej choroby?
– Zdaje się, że nie. To rzadka przypadłość na tym obszarze. Lepiej jest znana w miejscach o wilgotniejszym klimacie, gdyż tam grzyb ma dogodniejsze warunki rozwoju.

– A jeśli umrzesz? Jak ludzie dowiedzą się o twoim odkryciu?
– Sądzę, że zaaplikowałem sobie odpowiednio niską dawkę, tak mi się przynajmniej wydaje.

– Bruno de Oñate, ktoś do was. – Głos strażnika przerwał im rozmowę. – Podejdźcie do krat.

Bruno zbliżył się, by zobaczyć, kto przyszedł do niego w odwiedzi-ny. Był to rycerz zakonu Calatrava. Na jego białym płaszczu widniał duży, czerwony grecki krzyż, zakończony na każdym końcu kwiatem lilii.

Diego nie słyszał, o czym mówią, ale przybysz nie spuszczał z niego oka. Nagle poczuł lekkie mrowienie w stopach i jakby swędzenie. Pomyślał, że grzyb z żyta zapewne zawiera jakąś substancję powodującą słabsze krążenie krwi w zakończeniach układu. To wyjaśniało, dlaczego wielu zakażonym wdawała się dodatkowo gangrena. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Przyczyną masowych zatruc w Cuéllar nie było nic innego jak tylko żyto.

Konieczniew musiał o tym powiadomić władze. Nie można było pozwolić, by dalej produkowano chleb z tego zboża ani karmiono nim zwierzęta. Ale dlaczego go tu zamknęli? – zastanawiał się raz po raz.

– Jeśli kto mnie słyszy: trzeba zawiadomić władze! Niechaj spalą całe żyto z magazynów. Niech nikt nie robi z niego żadnych placek ani chleba. Jest zatrute! Powiadam wam! – krzyknął na cały głos.

– Zamknij się wreszcie, głupku – usłyszeli głos dobiegający z końca korytarza.

Mężczyźni odsunęli się od kraty, przestraszeni, i nagle, spoglądając do wnętrza celi, zobaczyli, jak całym ciałem chłopaka kilkakrotnie wstrząsnęły konwulsje.

Diego starał się zgiąć nogi, ale mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Były sztywne jak kamień. Zawył z bólu, usiłując się podnieść, ale i to mu się nie udawało. Przez chwilę był już załamany, myśląc, że jednak łyknął zbyt dużą dawkę trucizny. Wyobraził sobie, jak powoli i samotnie umiera w więzieniu.

Zwrócił głowę w kierunku okienka, przez które wpadało światło. Jego refleksy wywołały u niego nieznośny ból głowy, a zarazem nagle wyczerpanie. Stracił przytomność i upadł na ziemię, uderzając o kamienie.

Bruno rzucił mu się na pomoc.

IX

Marcos nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od Veturii.

– Chciałam tylko uwolnić duszę od ciężaru tych potworności. Skąd mogłam wiedzieć, że go po tym zabiorą? – usprawiedliwiała się kobieta. – Przecież spowiadałam się u samego opata.

– Jak mogłaś, Veturio? Jak mogłaś? – Marcos znał bardzo dobrze tego człowieka. Skoro to on był spowiednikiem, sytuacja była naprawdę niewesoła.

Marcos właśnie wrócił z Walencji. Był u Abu Mizraina. Ubił z nim całkiem dobry interes. Ale teraz nie miał nawet chwili czasu, by usiąść. Służąca zagroziła mu drogę, żeby opowiedzieć o tym, co się stało. Była bardzo poruszona i załamana.

– Biedny pan Diego! Czuję się winna tego, co się wydarzyło! Ale proszę postawić się na moim miejscu. Co mogłam sobie pomyśleć, jak go zobaczyłam z tymi wszystkimi świństwami? Potworności wyczyniał z tym czarnoksiężnikiem, no i w końcu straszne rzeczy przysły mi do głowy.

– Jeśli ktoś wierzy, że to Diego odpowiada za śmierć tych wszystkich ludzi, jest nierozsądny, po prostu głupi, i w ogóle go nie zna. A jednak okazuje się, że ktoś mógł tak pomyśleć... – Marcos zbliżył się do kobiety. A ty mów, jakie to rzekome dowody masz przeciwko niemu?

– Ale przecież to on sam powiedział! – podniosła głos. – Świetnie pamiętam jego słowa... Że potrafi wywołać chorobę – mówiła głosem pełnym przekory – i nawet widziałam, jak robi truciznę. Na moich oczach, dokładnie tutaj – uderzyła pięścią w kuchenny stół. I potem ją wypił i... nie wiem, chwilę później zaczął wyprawiać bardzo dziwne rzeczy, machał rękoma i trząsł się cały.

Marcos otarł pot, który zalewał mu czoło, kiedy słuchał tej kobiety. Ogarniał go smutek.

– Jak mu teraz pomóc. – Zastanawiał się, kto z jego znajomych mógłby interweniować u właściciela miasteczka, ale żadne nazwisko nie przychodziło mu do głowy. On sam, oczywiście, nie mógł tego zrobić. Porzucił przecież jego córkę, byłby tu najgorszym pośrednikiem.

Pomyślał, że sąd nad Diegiem, ze względu na wagę postawionych zarzutów, odbędzie się zapewne w trybie natychmiastowym. Nie było więc dużo czasu do stracenia.

– Cóż ja mogę zrobić? Mój Boże, nic nie przychodzi mi do głowy!
– wykrzyknął.

– Powiniście być ostrożni. Może i was szukają.

Marcos osłupiał.

– Co ty mówisz? Dlaczego?

– Wtedy, na spowiedzi, kiedy tylko skończyłam mówić swoje, opat bardzo się o was wypytywał. Aż kazał mi przysięgać, że dam mu znać, jak tylko wrócicie.

To jeszcze bardziej poruszyło Marcosa. Sytuacja stawała się coraz bardziej poważna. Teraz i on był już zagrożony. Wiedział aż za dobrze, jak działają te „sądy”, w których niby to wymierzano sprawiedliwość. Nieraz musiał opłacać sędziów, by rozstrzygnęli jakiś spór po jego myśli, i mógł o tych procesach powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są uczciwe i bezstronne. Widział, jak fabrykuje się dowody i jak zatrudnia się fałszywych świadków, kiedy sprawy przybierają obrót niekorzystny dla przewodniczących trybunału.

I jakby tego było mało, w tym wszystkim brał udział opat. To było najgorsze. Marcos wiedział, że mnich od dawna węszy za jego przyjacielem, bo nie podobają mu się kontakty Diega z Żydem, którego uważa za wiedźmina, demona, bogobójcę... – lista epitetów, którymi go obdarzał, była dużo dłuższa. Raz nawet wezwał Marcosa na rozmowę i powołując się na ich przyjaźń, starał się wymóc na nim, by wpłynął na Diega i odciągnął go od złych wpływów. Wciąż pamiętał, z jaką furją mówił opat o Efraimie, jak nazywał go ponurą i złośliwą bestią, deprawatorem niewinnych duszyczek.

Przyszło mu do głowy, że mógłby odwiedzić brata Gabriela, który był w hierarchii zakonnej drugi zaraz po opacie. Ufał mu całkowicie, od dawna to z nim właśnie negocjował zakupy wełny i jagniąt od rady kościelnej.

Jednak dwie godziny później, gdy wrócił z tego spotkania, zrozumiał, że jest w sytuacji bez wyjścia. Brat Gabriel potwierdził mu, jak ciężkie oskarżenia padły na Diega, ale również dodał, że opat pragnie rozciągnąć je i na niego. Protesty Marcosa na nic się zdały, gdyż zdaniem władz jego bliska relacja z oskarżonym stanowiła wystarczający powód, by wciągnąć i jego w te nieczne sprawy. Nie przysłużyła mu się też opinia, jaką miał na jego temat właściciel miasteczka, który uważał go, ni mniej, ni więcej, tylko za kanalię. No i do tego dołożyły się jeszcze pewne nigdy do końca nierozstrzygnięte spory w interesach, jakie w przeszłości robił z opatem. Marcos zrozumiał, że sytuacja Diega jest bardzo trudna, by nie powiedzieć beznadziejna. W niczym nie zdoła mu pomóc. A on sam? Jeśli go aresztują, bez wątplenia czeka go podobny los. Miał zbyt wielu wrogów wśród tych, którzy z pewnością zasiądą wśród sędziów. Czy go uniewinnią? Ryzyko, że tak się nie stanie, było bardzo duże. I dlatego nie mógł pozwolić na to, by go schwytali. Nie, do tego nie dopuści!

Widział jedno wyjście. Było ono bolesne, nieszlachetne, straszliwe, ale chyba jedyne możliwe. Przywołał Veturię z kuchni.

– Nikomu nie powiesz, że wróciłem. Rozumiesz?

Kobieta pojęła, że chodzi o opata.

– Skoro tak rozkazujecie...

Wyciągnął ze swego tobołka mieszek pełen złotych monet i wręczył jej.

– To dla ciebie, aby wynagrodzić ci twoje milczenie. To ci pozwoli rozpocząć nowe, lepsze życie.

Otworzyła woreczek i widząc, co jest w środku, od razu przytaknęła gorliwie.

– Opuszczam natychmiast Cuéllar, jadę w stronę Burgos. Gdyby ktoś cię o mnie pytał, powiedz, że musiałem pilnie wyjechać, ale nie mów dokąd. Widzę, że nie mogę uczynić nic dla Diega, a gdybym tu został, zgniłbym w lochu razem z nim.

Godzinę później Marcos galopował już na swym wierzchowcu, okrążając duży zagajnik sosnowy oddalony o pół mili od Cuéllar. Kiedy ujrzał wieżę górującą nad fortem, wyobraził sobie, jak musi czuć się Diego, uwięziony tam w środku. Poczul się nikczemny i nielojalny.

Żołądek dokuczał mu tak bardzo, że musiał się na chwilę zatrzymać, by powstrzymać ból. Czul pieczenie w gardle, głowa niemal mu pękała. Palił go wstyd, czul, że jest nikim, nie jest godny przyjaźni Diega. Ledwo mógł przełykać ślinę. Jednak mimo wszystko podążał naprzód. Pocięszal się tym, że nic już nie może zrobić dla swojego przyjaciela, jedynie ratować samego siebie.

Łagodny wietrzyk podziałal jak balsam na jego ból. Wcięż zalany łzami, pocięgnął za lejce i ścisnął kolanami boki konia, kierując go na północ. Nim zniknął w niekończącym się gęszczu drzew, życzył przyjacielowi szczęścia.

Nawet pomodlił się o to.



– Czyż nie mówiłem ci, że ja też jestem kalatrawensem, czyli kawalerem z Salwatierry, jak nazywamy się po utracie Alarcos, a wraz z nim prawie wszystkich naszych zamków?

Po tym, co usłyszał od Diega, Bruno de Oñate nie odważył się spróbować skórki czerstwego, czarnego chleba, która była jego jedynym pożywieniem.

– Nie, nie mówiliście mi tego... – powiedział sucho Diego.

Wracał z rozprawy sądowej i czul się kompletnie opuszczony.

– O co cię więc oskarżają?

– Mówią, że jestem odpowiedzialny za śmierć naszych wszystkich zmarłych i ponad tysiąca owiec. Zapewniają, że mają dowody na to, iż to ja ich otrułem. To niewiarygodne.

– Jak się zamierzasz bronić?

– Jutro dalsza część rozprawy. Jeśli nie udowodnię, że jestem niewinny, to koniec ze mną. To wszystko zupełna farsa. Oskarżają mnie bez żadnych podstaw i wcale mnie nie słuchają. Ten cały proces służy chyba tylko do tego, żeby stłumić wściekłość ludzi, bezsilnych wobec

niedowładny rządzących. Nie wiem, jak to wszystko może się skończyć...

– Podli łajdacy! – Bruno kopnął z całej siły w ziemię, wywołując głuchy odgłos. – Gdybym miał taką możliwość, to jakoś bym ci pomógł.

– Chciałbym, żeby było to możliwe, ale sami widzicie.

– Co za głupota z ich strony! Przecież jesteś jedyną osobą, która wie, jak rozwiązać ten potworny problem. Tylko ty wiesz, jak zatrzymać chorobę, która ich dziesiątkuje. Powiedziałeś im o tym?

– Tak, ale mi nie wierzą. Dałem im zalecenia, co mają robić. Nawet podałem dowód, że konie nie chorują – bo jedzą tylko owies. Wierzcie mi, błagałem ich. Krzyczałem, żeby spalili całe żyto, ale nic z tego.

– Jakie dowody mają przeciwko tobie?

– Zeznania mojej służącej, Veturii. Słyszała, jak mówiłem, że wiem, jak wywołać chorobę. Zakażałem samego siebie. Widocznie źle zrozumiała wówczas moje słowa, a teraz sądzę, że jest przymuszana do zeznań. Widziałem, jak patrzy na nią opat, kiedy tonuje swoje wypowiedzi albo umniejsza znaczenie tego, co słyszała. Nie wiem, jakie ciemne cele przyświecają temu mnichowi.

– I nie masz nikogo, kto by zeznawał na twoją korzyść?

– Zrobiłaby to jedna moja dobra przyjaciółka, ale ciąży na niej podejrzenie, że jest moją kochanką, a w dodatku ma męża. Mógłbym też zawołać pewnego żydowskiego maga, którego chyba też sądzą, no i Marcosa, mojego najlepszego przyjaciela. W nim cała moja nadzieja. On zna mnie najlepiej i może zaświadczyć, jakim jestem człowiekiem i zawsze byłem, jaką etyką się kierowałem.

– Gdybym mógł, sam bym to zrobił.

– Dziękuję, Bruno. Ale cóż wy możecie zrobić?

– Dziś rano dowiedziałem się, że za dwa dni mnie wypuszczą. Spróbuję wam pomóc, gdy będę już na wolności. Czeka na mnie trzech towarzyszy, z którymi podróżuję. Jedziemy na południe do Salwatierry.

– Na południe... – westchnął Diego. – Jakże chciałbym pojechać z wami.

Wyjaśnił, dlaczego to mówi.

Bruno de Oñate dowiedział się, co się wydarzyło w Malagón trzynaście lat temu, kiedy Diego był chłopcem. Wysłuchał opowieści o zbrodni na starszej siostrze, o wzięciu w jasyr dwóch pozostałych i o śmierci ojca, chronionego przez innych rycerzy Calatravy. Diego opowiedział mu też o Sabbie, o tej pięknej klaczy, z którą nigdy nie chciał się rozstać, bo stanowiła jedyną żywą pamiątkę po jego rodzinie. A potem o Toledo, gdzie nauczył się języka arabskiego i zawodu weterynarza. W pochlebnych słowach przedstawił postać swego mistrza, Galiba, nie wyjawiając, dlaczego musiał go opuścić. Potem mówił o Fitero, o książkach i o tym, jak pojawił się jego najgorszy wróg, Pedro de Mora, jak uczestniczył w podniecającym, ale niebezpiecznym turnieju w Olite. Powiedział, jak go poznał i dlaczego tak bardzo go nienawidzi.

I wreszcie opowiedział o tym, co wydarzyło się w Albarracin, o porażce, jaką poniósł w miłości, miłości do Mencii. Jak czuł się opuszczony, zraniony, kiedy okazało się, że ona jest w ciąży. Jak czuł nagłą konieczność opuszczenia tego miejsca, uwolnienia się, pozostawienia wszystkiego za sobą. I zakończył, mówiąc o swych ostatnich latach, które spędził w Cuéllar, o Sanchy i dziewczynkach.

Doprawdy, po raz pierwszy słowami ogarnął całe swoje dotychczasowe życie, podsumowując je w tych kilku etapach.

– Co za szkoda, że nie zabiłeś tego zdrajcy Pedra de Mory. Od dawna marzę o tym, by pomścić jego wiarołomstwo i bezprawie, którego się dopuszcza. On jest hańbą dla całej Kastylii i dla nas wszystkich...

– To on wywiózł moje siostry do Marrakeszu...

– Od lat jest poszukiwany. Król Alfons VIII zapłaci sto tysięcy marawedów temu, kto przyprowadzi mu go żywym – tylko po to, by wyrównać rachunki za jego obmierzlą zdradę.

Po południu znów przyszedł do Bruna drugi kalatrawens. Długo rozmawiali po cichu. Diego nie mógł zrozumieć o czym, ale wydawało mu się, że ma to związek z nim samym.

X

– Oskarżony nadal twierdzi, że jest niewinny – prokurator popatrzył na Diega, zachowując wymowne milczenie.

Był znakomitym mówcą i jak nikt inny umiał rozgrywać takie sytuacje na swoją korzyść.

– Słyszymy tu – mówił dalej – że jedynym odpowiedzialnym za nasze nieszczęścia jest jakiś mały grzybek, i to jego powinniśmy tu dziś sądzić. – W sali rozległ się gromki śmiech.

Mówiąc to, oskarżyciel przechadzał się od jednego końca sali do drugiego, gładząc długą brodę. Panowała taka cisza, że słychać było tylko odgłosy jego kroków.

– Skłonny jestem wybaczyć tę reakcję zebranych – ciągnął – gdyż istotnie, pański argument jest co najmniej komiczny. – Publiczność wydała pomruk aprobaty. – Ale wróćmy do istoty rzeczy. W ciągu ostatnich dni straciliśmy ponad sto istnień ludzkich. Dusz bożych.

Stanął przed Diegiem i wymierzył w niego oskarżycielski palec.

– Słyszeliście, co powiedział ten człowiek. Kiedy składał swoje zeznania, usiłował przekonać nas o swej szlachetności. Któż by mu uwierzył? Kiedy nam opowiadał, jak sam się zatrul, żeby wykazać istnienie tego tajemniczego grzyba, nieomal się tu popłakaliśmy. – Chwycił chusteczkę i wykonał taki gest, jakby osuszał łzy. – Ale nie zapominajmy o jednym. Mamy przed sobą mordercę, to pewne. Mordercę pozbawionego skrupułów. – Chwycił go za kaftan, cedząc mu w twarz swe ostatnie słowa: – Człowieka, który wyprawia bardzo dziwne rzeczy od samego początku, odkąd tu przybył. Tak, tak, zaprawdę powiadam wam, bardzo dziwne...

Publiczność pragnęła, by mówił dalej. Dłużyła im się ta pauza, przemawiał tak ciekawie!

– Spytacie zapewne, co mam na myśli?

– Leczenie zwierząt za pomocą czarów! – krzyknął któryś ze słuchaczy. Pozostali odwrócili się, by zobaczyć, do kogo należy ten głos.

– Jeśli będziecie przerywać, wszystkich was stąd wyrzucę – zaintereseniował właściciel miasteczka. – Proszę mówić dalej, prokuratorze.

– Nie sposób odmówić temu dobremu człowiekowi racji – ten, kto wspomniał o czarach, uśmiechnął się, dumny z otrzymanej pochwały – gdyż widziano, jak oskarżony uprawia niecodzienne praktyki, których z pewnością nauczył się od swojego żydowskiego mistrza, Efraima. Otóż zbiera on trupy zwierząt i wyciąga z nich wątroby, a nawet pali je, wdychając ich opary i fetor. Usiłuje też się parać wróżbiarstwem, stosując do tego żmije oraz różne podejrzane mikstury, jak nam opowiedziała jego własna służąca. A na dodatek, wszyscy słyszeliśmy, jak majstrował przy chlebie, by z niego sporządzić jakiś tajemniczy eliksir, który następnie wypił. – Znów zawiesił głos. – Czy tak zachowuje się przyzwoity weterynarz?

Ludzie w skupieniu i zachwycie słuchali tej oskarżycielskiej mowy.

– Czyżbyśmy sądzili tylko zwykłego mordercę, czy też, tak naprawdę, jest to adept czarnej magii, który wywołał panikę w naszej prowincji, masowe poronienia u naszych kobiet i zdziesiątkował nasze stada owiec?

– To wszystko manipulacja! – zawołał nagle Diego. – Przemawia przez was zła wola, nie ma żadnych dowodów na to, że ja spowodowałem chorobę. Powinniście zrobić to, co wam mówię, i spalić całe żyto z magazynów. To jest jedyny winowajca! – Rozejrzał się po całej sali w poszukiwaniu Marcosa.

Właściciel miasteczka, jako przewodniczący trybunału, uciszył go, a nawet rozkazał wepchnąć mu knebel do ust.

Jeden z woźnych sądowych wykonał ten rozkaz tak gorliwie, że rozciął mu wargę. Gdy zobaczył, że oskarżony krwawi, przeprosił trybunał, że nie zdjął wcześniej stalowych rękawic.

– Twierdzicie, że kłamie... – kontynuował oskarżyciel. – Zaraz się przekonamy...

Inny członek trybunału przekazał mu liścik, by ten odczytał go na głos.

– Właśnie się dowiedziałem, że jedyny świadek obrony, Marcos de Burgos, nie tylko nie stawił się w sądzie, ale w ogóle uciekł z Cuéllar.

Słyszając to, Diego po raz pierwszy poczuł się załamany. Nie mógł uwierzyć, że Marcos zostawił go samego. To nie mogła być prawda. Ta wiadomość go powaliła. Skoro tak, to nikt nie będzie zeznawał na jego korzyść. Zatem wyrok skazujący miał już w kieszeni.

Oskarżyciel mówił dalej:

– I dlatego pozostaje mi tylko zwrócić się do Wysokiego Sądu o wymierzenie kary.

Publiczność znów zaczęła krzyczeć.

– Powiesić go! Zabił moją żonę! – krzyknął jakiś bezzębny mężczyzna z oczyma ziejącymi nienawiścią.

– Niech zapłaci życiem! – zawołała jakaś staruszka, siedząca w rogu sali.

– Śmierć oprawcy! – chórem zażądała publiczność.

– No cóż... – zwrócił się prokurator do Diega. – Zdaje się, że nikt nie uwierzył w bajeczkę o grzybku.

Ludzie zaśmiali się, słysząc ten przytyk.

– Cisza! Oskarżyciel ma głos.

– Dziękuję, panie. To wszystko byłoby jeszcze śmieszniejsze, gdyby nad tą salą nie unosiły się dusze ponad stu naszych zmarłych ziomków. Zналиśmy ich wszystkich. Wyznam, że czuję ich wołanie o sprawiedliwość, o zemstę. Oni nas proszą o zadośćuczynienie ich krzywdom, o zadośćuczynienie za tragiczny los, jaki ich spotkał. Krzyczą to ze swych grobów. A ja ich słyszę, słyszemy ich wszyscy... – Stanął na wprost Diega. – Zeznania świadków, dowody, wszystko, co do tej pory usłyszeliśmy, wskazuje jednoznacznie, że winnym jest ten człowiek, Diego de Malagón. To on popełnił wszystkie te potworne zbrodnie. – Wskazał na Diega oskarżycielskim gestem i dla uzyskania pełnego efektu podniósł głos. – To on ich otruił! On, do spółki z tym żydowskim łachudrą, magiem Efraimem.

Zebrani zaczęli szeptać imię, które przed chwilą wymienił.

Czekał go podobny los co Diega. Miał być osądzony w kolejnym procesie.

Oskarżyciel mówił dalej:

– Nikt tu nie potwierdził jego argumentów, nikt go nie bronił. Czy pozostaje chociaż cień wątpliwości?

Właściciel miasteczka podziękował mu za przemówienie. Chciał zakończyć już rozprawę i niechaj ta egzekucja już się dokona. Tak byłoby najlepiej. Ludzie oczekiwali od władzy ochrony przed złym urokiem, a on potrzebował teraz winowajcy, na którym wszystko się skrupi. Nie do końca wierzył w winę Diega de Malagón, ale już przydzielił mu rolę kozła ofiarnego, by dać ludowi to, czego tak bardzo pragnął. Niechaj tak będzie.

– Jeśli uważacie, że wina oskarżonego jest dowiedziona, a muszę przyznać, że trybunał jest tego samego zdania, o jaką karę wnioskujecie?

– Proszę Wysoki Sąd o wyrok śmierci!

Słyszając to, publiczność zaczęła wiwatować i klaskać.

Diego poczuł się pokonany i kompletnie rozbity. Zrozumiał, że to już koniec. Spojrzał na swych pięciu sędziów, zebranych wzdłuż długiego stołu. Naradzali się po cichu. Zrozumiał, że postanowili wykorzystać jego przypadek do wydania pokazowego wyroku. Poczuł potworny strach i bezbrzeżny smutek.

Właściciel miasteczka przywołał do siebie skrybę. Nadstawił ucha, by tamten powiadomił go o treści wyroku, a następnie podszedł do Diega, rozkazując mu wstać.

– Diego de Malagón!

– Tak, proszę pana.

– Ten tu trybunał, po wysłuchaniu zeznań obecnych świadków i przebadaniu wszystkich dowodów, uznał cię winnym śmierci ponad stu obywateli tej wspólnoty, jak również niezliczonej ilości sztuk zwierząt. Dlatego też ogłaszam wyrok skazujący na śmierć przez powieszenie.

Przez salę znów przeszła burza oklasków. Diego spojrział na zebranych, nie rozumiejąc, skąd w nich tyle nienawiści.

– Poza tym – dodał skryba – trzeba wam wiedzieć, iż wolą sądu jest, by egzekucja odbyła się jutro przed południem. – Popatrzyl Diegowi w oczy i zakończył. – Niech Bóg ci wybaczy...

Diego bez sił opadł na krzesło. Kręciło mu się w głowie, cały się słał. Dwóch sędziów musiało go ciągnąć, bo nie był w stanie utrzymać się na nogach, i tak dotarł do kazamatów. Gdy był już w celi, popchnęli go z taką pogardą, że upadł na ziemię. Leżąc, jeszcze słyszał obelgi i drwiny tych mężczyzn.

– Śpij, śpij, morderco. Jutro sobie pośpisz w piekle.

Bruno de Oñate podbiegł, by mu pomóc. Domyślał się najgorszego. Diego ciężko dyszał, cały się spocił, był błydy i wycieńczony. Upłynęło trochę czasu, nim się odezwał.

– Po... po... – wystękał, kompletnie załamany – po... wie... są mnie... Jutro... rano...

– Ogromnie ci współczuję, naprawdę.

– Co za różnica... To jest mój koniec.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Zostaw mnie... chcę być sam. Muszę pomyśleć.

– Nie, nie, lepiej porozmawiaj ze mną, mów o wszystkim, co czujesz. Tak będzie lepiej, wierz mi... to ci pomoże.

Diego czuł, że zeszywniały mu wszystkie mięśnie. Przeciągnął się, by się odprężyć, i zaczerpnął powietrza, by jako tako dojść do siebie.

– Widzisz, Bruno – rzekł z goryczą – mam zaledwie dwadzieścia osiem lat i całe życie przed sobą. Żeby zająć, dokąd zaszedłem, musiałem włożyć mnóstwo wysiłku, mnóstwo pracy, mnóstwo poświęceń. Po drodze zostawiłem dużą część siebie samego i musiałem też porzucić tych, których kochałem całym sercem, ale jeśli to zrobiłem, to tylko po to, by wypełnić złożone obietnice. Dlatego jeszcze nie mogę umrzeć. Jeszcze nie teraz. Mam pewne zadanie do wykonania.

Bruno wciąż myślał o tym, jak mu pomóc. Sytuacja była na tyle zła, że należało rozważyć każde rozwiązanie. Nie było ich wiele. Jednak jeden sposób przyszedł mu do głowy.

Tymczasem Diego nadal otwierał przed nim swą duszę.

– Ale to, co najbardziej mnie boli, to świadomość, że kiedy umrę, wszystko, co do tej pory zrobiłem, nie będzie miało żadnego znaczenia, żadnego zastosowania. Dam światu tylko niewielką cząstkę możliwości, jakie życie złożyło w moich rękach, w moim umyśle.

Bruno odpowiedział od razu głębokim głosem, w którym słysząc było całą wieczność.

– Śmierć jest naszym wyzwoleniem. Miej wiarę, niechaj to będzie jedynie przejście do lepszego świata...

– Tak chcecie mnie pocieszyć?

– Owszem, właśnie w ten sposób powinienem to robić. Tak sędzę. Nie zadreńczaj się już więcej, Diego, ufaj w moje słowa i czekaj na to, co się stanie. Przed laty człowiek, którego uważam za swego największego mistrza, podarował mi pewną myśl, która okazała się bardzo pomocna przy wielu okazjach. Mówił, że nic nie jest takie, jakim się wydaje, że za wszystkim kryje się zawsze jakiś sens, choćby był głęboko ukryty. Być może tak samo będzie z twoją śmiercią... – zakończył.

Twarz Diega nie mogła już przybrać wyrazu większego niedowierzania.

– Nigdy nie sądziłem, że okażecie się tacy bezwzględni...

Bruno położył rękę na jego ramieniu.

– Nie myśl, że jestem pozbawiony uczuć. Najpierw wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia. Być może ta bezwzględność, którą teraz widzisz, przemieni się w pokój.

Tak też Diego uczynił. Poprosił Boga ze wszystkich sił, by ten człowiek miał rację i by to wszystko nie było tym, czym się wydawało.

XI

Drewniana platforma z szubienicą była ustawiona na czterech grubych słupach, również zrobionych z drewna. Na środku znajdowała się podnoszona kłapa, która uchylała się, kiedy sędzia dawał znak do wykonania wyroku. Kat popychał wajchę, skazaniec szedł w górę, ku niebu, i tam wisiał na sznurze, aż umierał z uduszenia.

Bruno wyszedł z celi znacznie wcześniej niż Diego i obiecał mu, że będzie na placu, by dotrzymać mu towarzystwa. Tłum napierał na miejsce kaźni ze wszystkich stron. Winowajca był powszechnie znany, a czyn, którego się dopuścił, stanowił najgorszą zbrodnię, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w całej historii Cuéllar.

Kiedy pojawił się Diego w eskorcie dwóch żołnierzy, tłum zareagował, miotając wyzwiskami. Gdy przechodził, ludzie pluli na niego i przeklinali. W ich oczach była nienawiść i żądza zemsty. Najwyraźniej cieszyli się z jego upokorzenia.

Diego znosił to z pokorą. Niejeden z tych, którzy teraz się nad nim znęcali, inaczej się zachowywał, gdy Diego ratował mu zwierzęta. Być może nie myśleli naprawdę tego, co mówili, a tylko dawali się ponieść nastrojowi, tej obłąkańczej fali potępienia.

Brakowało mu powietrza. Wciąż musiał wytrzymywać nieznośny ciężar ich spojrzeń. Był niewinny i tak też się czuł. Jego gesty wyrażały bezradność. Całkowicie zdał się na los.

Spojrzał na plac i zobaczył innego skazańca, który już wisiał na szubienicy, dyndając na sznurze. Ten sam sznur wkrótce otoczy jego szyję. Zbliżył się jeszcze bardziej i z ogromnym bólem dostrzegł, że

jest to jego przyjaciel, Efraim. Kiedy kroczył po schodach na trybunę, wejrzał w jego oczy. Były spuchnięte, życie już je opuściło, ale jemu wydawało się, że Efraim wciąż na niego patrzy. Szyję miał zgietą w pół, wyraz jego twarzy wskazywał na długą agonię. Diego słyszał kiedyś o tym, że niektórzy wisielcy umierają dłużej niż zwykle, i tak chyba było w tym wypadku. Pomodlił się za duszę Żyda i by oddać mu szacunek, patrzył na niego, dopóki nie ściągnięto, zresztą z odrazą, jego ciała. Zwłoki spadły na ziemię i uderzyły o drewno, ale nikogo to nie obchodziło. Podeszedł zgarbiony, brudny człowiek i pociągnął go za nadgarstki, by umieścić na krawędzi trybuny. Tam czekał już otwarty wóz. Diego przełknął ślinę. Zobaczył, że w wozie jest jeszcze jedno miejsce. Czekają na niego. W tej chwili przypomniała mu się jedna z przepowiedni Efraima: Sznur, drewno, życie i śmierć. Wytrzymaj. Teraz rozumiał, o co chodzi. Wytrzymaj, powiada. Ale jak tu wytrzymać własną śmierć?

Kiedy stanął na trybunie, ludzie zaczęli klaskać z radości. Spojrzał na nich zdziwiony. Niektórzy odwracali wzrok, być może zawstydzeni. Diego starał się zrozumieć motywy, które nimi kierowały, ale doprawdy nie wiedział, skąd bierze się ta głęboka niechęć. Zaskoczyło go to szalone pragnienie zbiorowej zemsty. Na końcu placu dostrzegł Bruna de Oñate, który go pozdrowił. Ten jedyny przyjazny gest dodał mu nieco otuchy.

Obok Bruna stała Sancha, złamana bólem, ze swą córką Rosą. Spojrzeli na siebie. Diego uśmiechnął się do niej łagodnie, a ona pożegnała go ze łzami w oczach, wdzięczna za wszystko, co uczynił dla niej i jej córek. W jej oczach dojrzał przyjaźń, miłość, pragnienie ostatniego pocałunku.

Kat sprawdził więzy i przerzucił sznur przez jego głowę. Zacisnął mu go na szyi tak mocno, że ocierał skórę.

– Proszę was o wybaczenie. – Zza kaptura widać było czyste, niebieskie oczy.

– Wybaczam...

Sędzia zapytał, czy Diego życzy sobie kaptur, czy nie. Diego wołał go założyć, by nikt nie widział jego twarzy. Od tej chwili każde słowo, które słyszał, wydawało mu się gorsze od razów zadanych batem. Było

tych słów niewiele, tylko te niezbędne, by ogłosić wykonanie wyroku śmierci.

– Czy jesteście gotowi na wymierzenie kary?

Diego skinął głową przytakująco i naprężył mięśnie, naprężył całe ciało, spodziewając się usłyszeć ostatnie słowa.

– Pragniecie coś powiedzieć?

– Pragnę błogosławieństwa księdza.

Sędzia dał znak, by na trybunę wstąpił sługa Boży.

Diego opuścił głowę, a ksiądz położył ręce na suknie, które go okrywało, i nakreślił znak krzyża nad jego czołem, cichym głosem odmawiając modlitwę. Tylko Bóg ją słyszał. Gdy skończył, skazaniec mu podziękował za jego słowa.

– Wkrótce będziesz wolny, jak wolne są wszystkie dzieci Pana... – pożegnał go ksiądz.

– Niech Bóg was błogosławi, ojcze.

– Wszystko gotowe do wykonania wyroku.

Sędzia dał znak i kat chwycił za wajchę, która poruszała pochylnię.

Część kobiet zaczęła protestować, prosząc o łaskę. Jednak inne przekrzykiwały je, domagając się zemsty i najsurowszej kary. Były żądne śmierci i krwi, jak gdyby wcale nie miały serca.

Diego nie widział ich spod swego okrycia, ale czuł żądzę kary, którą przesycone było powietrze, i własny strach. Czekał na złowieszczy rozkaz sędziego, a kiedy to nastąpiło, poczuł, jak leci w pustkę. W końcu sznur na jego szyi zatrzymał go, zadając ostatni cios. Cios straszliwy, potworny.

Ludzie zebrani na placu krzyczeli poruszeni, widząc, jak kopie nogami w powietrzu i czyni ostatnie wysiłki, by przeżyć. Inni wybuchnęli radością, cieszyli się na cały głos i klaskali. Byli usatysfakcjonowani, bo raz jeszcze sprawiedliwość zatriumfowała nad złem – i to radowało ich dusze.

– Obyś zgnił w piekle! – krzyknęła jakaś kobieta.

Echo tych słów poniosło się po całym placu. Być może dotarło też do uszu Diega.

A potem zapanowała już tylko cisza.

Kat popchnął ciało i sprawdził, że się nie rusza. Rozwiązał sznur i Diego upadł na ziemię. Wszyscy to widzieli, również Bruno de Oñate. Przecisnął się przez tłum, by jak najszybciej opuścić ten przekłety plac. Na jego twarzy malowało się napięcie.

Nim wskoczył na konia i wyjechał przez wrota twierdzy, krzyknął:

– Diego de Malagón, zrobiłeś, co do ciebie należało! Teraz my zajmiemy się resztą.

CZEŚĆ PIĄTA

Ziemie trwogi

W roku tysiąc dwieście ósmym na biskupa Toledo mianowany zostaje Rodrigo Ximénez de Rada z Nawarry. Od tej chwili będzie on pierwszym zaufanym króla Alfonsa VIII z Kastylii i kronikarzem epokowych wydarzeń, które rozegrają się na obszarze pogranicza.

Ximénez de Rada stawia sobie za cel swego urzędu przekonanie papieża, by ten ogłosił konkwistę al-Ándalus krucjatą, i będzie się starał odzyskać dla Toledo miejsce nadrzędne w stosunku do innych biskupstw.

Po zerwaniu rozejmu z al-Nasirem zaczynają się wyprawy oblężnicze i zdobywcze przeciwko Saracenom, takie jak wyprawa na Jaén i Baezę pod wodzą Alfonsa VIII lub na Andújar, przeprowadzona przez kalatrawensów w roku tysiąc dwieście dziewiątym.

Kalif Almohadów, zachęcany przez swych doradców, decyduje się stacjonować w Sewilli, gdzie przygotowuje ostateczny atak na chrześcijan z północnych królestw. W jego Alkazarze, niedaleko Aljamy, w cieniu wysokiego minaretu, stanowiącego dokładną replikę wieżyczki z Marrakeszu, zaczęto kreślić plany bitwy, która odmieni losy świata.

I

Bywają sekrety, które zostają pochowane wraz ze swoim właścicielem. Umierają razem z nim. Nigdy nie wychodzą na światło dzienne.

Ale w przypadku Diega było inaczej.

– Oficjalnie nie żyję – ogłosił stanowczo.

– Tak właśnie jest, Diego. Dokładnie o to nam chodzi. – Bruno de Oñate otrzepał go z resztek słomy i piachu, które chłopak jeszcze miał na plecach. Był bardzo zadowolony, że jego plan się powiódł. – Ciebie po prostu już nie ma.

Diego pojawił się w towarzystwie swego kata, który nie był nikim innym, jak tylko tym kalatrawensem, który odwiedzał Bruna de Oñate.

Niewiele wcześniej opuścili cmentarz miasteczka Cuéllar. Spędzili na nim całą noc, ukryci w starej szopie. Spora sumka pieniędzy odciągnęła na kilka godzin uwagę stróża i nikt nie był świadkiem tego, jak zamiast ciała Diega w trumnie spoczęła góra piachu.

Miejsce do spania było bardzo szczególne, do tego doszło ogromne napięcie nerwowe, jakiego doświadczył w ciągu ostatnich dni. Wszystko to spowodowało, że Diego przez całą noc nie mógł zmrużyć oka i miał czas na przemyślenie swego życia nie bez pewnej gorczy. Pomyślał, że utrata wszystkich tych, których kochał, to chyba jakieś fatum: stracił rodzinę, Galiba, Marcosa.

W czasie tej niekończącej się bezsennej nocy widział kilkakrotnie swoje ciało na szubienicy, martwe, powiewające na wietrze. Za każdym razem pocił się z przerażenia.

Wczesnym rankiem pojawił się niedoszły kat, Tomás Ramírez, by go zabrać. Razem opuścili to miejsce. Na szczęście nikt ich nie widział

– ani wtedy, ani później, gdy galopowali w stronę umówionego miejsca – opuszczonej owczarni oddalonej o pół mili od miejscowości Carbonero nad brzegami rzeki Eresma.

Kiedy tylko Diego zsiadł z konia, natychmiast poprosił, by zdjęli mu tę grubą obręcz ze skóry, dzięki której mógł wytrzymać na szubienicy i przeżyć. Na jej przedzie widać było ogromny grecki krzyż, wypalony ogniem, a z tyłu Diego wymacał solidną pętelkę, również zrobioną ze skóry. Była bardzo dobrze ukryta.

To przez nią kat przeciągnął sznur, by nie dopuścić do uduszenia.

– Musieliśmy to przygotować w pośpiechu i prawie bez narzędzi – to mówiąc, jeden z kawalerów wyjął mu obrozę z rąk i sprawdził, czy mocno się trzyma. Potem energicznie uściśnął rękę Diega. – Nazywam się Pinardo Márquez i jestem odpowiedzialny za ten wyrób.

– Kiedy poczułem linę na swojej szyi, miałem wątpliwości co do skuteczności tego urządzenia, wierzcie mi. Ale teraz mogę wam tylko dziękować.

– Naprawdę nie mieliśmy czasu na przygotowania – dodał ostatni z obecnych, którego Diego jeszcze nie znał. – Nazywam się Otón, Otón de Frías – złożył ręce w modlitewnym geście i wyrecytował, jakby odgrywał jakąś sztukę: – Znajdź pokój w Jezusie, mój synu... Poznacie mnie teraz?

Diego od razu zrozumiał, o kogo chodzi.

– Stary zakonnik, który mnie odprowadzał na trybunę... ten, który założył mi obrozę, bym „czuł światło Chrystusa bliżej serca, co ulży moim grzechom”. Nie tak to sformułowaliście?

– Właśnie tak. Wydawało nam się, że to jedyny sposób, by ją założyć.

– A gdyby sędzia wam nie pozwolił albo dostrzegłby pętelkę na skórze?

Na samą myśl o tym Diego poczuł dreszcz i właściwie wołał nie słyszeć odpowiedzi.

– Zazwyczaj miewamy alternatywny plan – odezwał się Pinardo, nie wykazując jednak zbyt wielkiego przekonania do swych słów.

– Nie mówcie mi jaki, niech tak zostanie. Plan numer jeden się udał.

Bruno był jednak zdenerwowany. Przerwał im.

– Nie traćmy tu czasu, ruszajmy. Czeka nas długa droga do Salvatierry.

Diego rozejrzał się dookoła. Nie widać było żadnych innych koni niż te, które należały do tej grupy. Poczł głęboki żal z powodu opuszczenia Sabby, ale rozumiał, że nie może po nią wracać. Szaleństwem byłoby zaproponować coś takiego. W Cuéllar wszyscy uważali go za zmarłego i dawno pochowanego.

Nagle usłyszał rżenie dochodzące ze stajni nieopodal owczarni. Twarz mu pojaśniała. Podbiegł, zajrzał przez okno i tam ją zobaczył. Klacz zbliżyła się do niego z opuszczoną głową, wydając chrapliwe odgłosy radości.

– Pomyślałem, że nie będziecie chcieli jej zostawiać... – zbliżył się do niego Bruno de Oñate. Wierście mi, nie było z nią łatwo. – pokazał mu ślad po ugryzieniu w ramię, a Otón – wielkiego siniaka na nodze.

Diego pogłaskał japo głowie i dosiadł wierzchowca, szczęśliwy.

– Teraz możemy jechać...

Galopowali trzy dni bez przerwy, aż dotarli do przedpoła Guadalajary, gdzie stanęli na dłuższy postój. Bruno miał się tu z kimś spotkać.

Wybrali gospodę blisko murów. Bruno wziął Diega ze sobą do centrum miasta, by chwilę porozmawiać w cztery oczy. Mimo że Bruno sadził długie susy, Diego dotrzymywał mu kroku.

– Będziesz musiał dostosować się do otoczenia bardzo innego od tego, które poznałeś do tej pory. Dlatego też zrozumiałe jest, że poczujesz się przez jakiś czas zagubiony. Chcę jednak, żebyś wiedział, że wybraliśmy cię ze względu na twoje umiejętności.

Od dłuższego czasu szukamy kogoś, kto zna arabski i wygląda tak, że można go wziąć za Saracena. Tamtego popołudnia, gdy byliśmy razem w celi i słuchałem o twoich nieszczęściach, o smutnych kolejach twego losu, o doświadczeniach i zasługach – zrozumiałem, że być może jesteś właściwym człowiekiem. I dlatego cię wybrałem.

Diego starał się słuchać go uważnie. Jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia po tym, jaki przewrót dokonał się w tak krótkim czasie – to drżał

o swoje życie, to znów galopował wraz z kawalerami Calatravy.

Ale największy smutek ogarniał go na myśl o zawodzie, jaki w tych dniach sprawił mu Marcos. Czuł się rozgoryczony, oszukany, zraniony przez człowieka, którego uważał za kogoś więcej niż przyjaciela. Nie mógł zrozumieć, co takiego się stało, że ten zdradził go w chwili, gdy najbardziej go potrzebował. To rozdzierało mu duszę tak mocno, jak utrata Mencii. Czuł się opuszczony. Żył, bo zainteresowali się nim rycerze, ale w środku był martwy, nie miał już marzeń ani nadziei. A poza tym nie wiedział, do czego jest im potrzebny.

– Co może dla was zrobić prosty weterynarz?

– Zrozumiesz, kiedy przybędziemy do Salvatierry. Leży ona jak wyspa na oceanie, który jest terytorium wroga, tylko sześć mil na południe od granicy z Kastylią. Żyjemy otoczeni muzułmanami, którzy w każdej chwili gotowi są nas zabić przy najmniejszej sposobności. Znaczenie Salvatierry jako punktu strategicznego polega na jej położeniu, gdyż wzniesiona jest u stóp portu Muradał, najważniejszej drogi komunikacyjnej między al-Ándalus i Kastylią. Nasz podstawowy cel polega na tym, by w każdej chwili wiedzieć, co czyni nieprzyjaciel, znać jego plany, śledzić, którędy się porusza, jakie są jego mocne strony i słabości. – Dotarli do bram budynku i Bruno przedstawił się strażnikowi. – Zresztą lepiej wam to wytłumaczę, gdy już tam dotrzemy.

Weszli do pałacu sąsiadującego z pięknym kościołem. Przeszli przez patio w kształcie prostokąta z fontanną pośrodku i po schodach wdrapali się na drugie piętro. Skręcili w prawo, przeszli przez otwartą galerię. Na końcu były drzwi, zastawione przez dwóch halabardników. Diego zobaczył, że mają na swych tunikach herb Kastylii.

Jeden z nich odsunął się, by zrobić przejście dla Bruna.

– Ty zostań tutaj – powiedział Bruno do Diega. – Wkrótce będę z powrotem.

Bruno wszedł i skierował się ku mężczyźnie w średnim wieku, który czytał coś w świetle padającym przez duże okno. Skłonił się.

– Ekscelencjo...

– Cieszę się, że cię widzę, Bruno. Bez tych formalności, proszę. Słuchaj. Mam dla ciebie bezpośrednio rozkazy od króla Alfonsa i zapewniam cię, że są one niezwykle ważne.

– Jak się czuje monarcha?
– Jest bardziej ożywiony niż kiedykolwiek i śpieszo mu, by ujrzeć rozgromionych Almohadów, co i ja rad bym zobaczyć. Rozejm wynegocjowany z al-Nasirem dobiega końca, a nasz król nie ma najmniejszego zamiaru go odnawiać. Teraz strategia się zmieni. Sądzimy, że – jeśli zadziała – zupełnie odwróci to sytuację.

– Co macie na myśli?
– Tobie, jako szefowi sieci informacji, nie muszę chyba przypominać o poufnym charakterze tej rozmowy? – Bruno przytaknął skinieniem głowy. – W porządku, zatem wyjaśnię. Staramy się, by papież ogłosił naszą wojnę z Saracenami świętą krucjatą. Jako arcybiskup Toledo osobiście pojedę go o to poprosić. Jeśli mi się uda, przemierzę liczne królestwa, by je o tym powiadomić.

– Ach tak... w ten sposób rekonkwista w al-Ándalus stałaby się wspólnym przedsięwzięciem. Nikt nie mógłby jej już postrzegać jako indywidualnej wojenki toczonej przez Kastylię. A niezastosowanie się oznaczałoby nałożenie bezpośrednich sankcji przez papieża, czyż nie tak?

– Ekskomunikę. To bardzo poważna kara dla każdego z naszych monarchów, którzy ociągają się z pomocą dla Kastylii, jak władcy Leónu, Nawarry i Portugalii. Nie wspominam tu Aragona, bo od jakiegoś czasu jest już z nami.

Bruno znał od dziecka tego właśnie powołanego na arcybiskupa Toledo doradcę króla, Rodriga Ximéneza de Radę, z którym rozmawiał w tym pałacu. Podziwiał jego talent i zdolności, jak również jego nieraz dowiedzioną lojalność wobec króla Kastylii. Perfekcyjnie władał wieloma językami, między innymi arabskim, pobierał nauki w Bolonii i w Paryżu. Ich rodziny przyjaźniły się, choć nie byli sąsiadami: Bruno pochodził z Oñate, a Ximénez de Rada z Nawarry.

– Sądzisz, że potrzebujemy tych zza gór, żeby ich pokonać? Ja tak nie uważam.

– Bruno – odpowiedział na to don Rodrigo – pomyśl dobrze. Nie chodzi o to, że potrzebujemy ich siły. To, czego chcemy, to obalić raz na zawsze mit, że nasz konflikt z Saracenami jest przygraniczną wojenką, typową dla zwaśnionych sąsiadów, chcących pewnie odzyskać

jakiś kawałek utraconej ziemi, który niby im się należy – jak to się dzieje od czterystu lat. – Spojrzał mu głęboko w oczy. Po jego twarzy widać było, że to wyjątkowo ważna chwila. – Teraz chodzi o coś innego. Ta wojna musi przybrać wymiar globalny. Chcemy wydać wielką bitwę, ostateczną. Muszą się otwarcie zmierzyć dwie religie, aby wiara katolicka zapanowała nad całym tym terytorium, które kiedyś było królestwem Wizygotów.

– Gdy was słucham, serce mi rośnie. Co mogę uczynić, by dopomóc tej szlachetnej sprawie?

– Znamy twe dokonania, doskonale sterujesz swoimi ludźmi, działającymi na południe od Salvatierry. Informacje, które zdobyli, są cenne, ale od dziś musimy zacząć działać na znacznie większą skalę. Pilnie potrzebujemy, by nasi ludzie przeniknęli do Sewilli, ich stolicy, bo tam zapadają decyzje o działaniach wojskowych skierowanych przeciwko nam. Zdaję sobie sprawę z trudności, jakich nastęrcza ta misja. Jednak w tym momencie jest niezwykle ważne, byśmy dokładnie znali zamiary wroga, nim wdrożymy w życie jakikolwiek plan akcji. Z tego względu powinienes przewartościować priorytety i w całości poświęcić się temu zadaniu. Od jego wyników zależy nasz sukces.

– Powtórzcie, proszę, jego wysokości, że może na mnie liczyć – bez cienia wahania odpowiedział Bruno. – Przenikniemy aż do ich trzewi. Od tej chwili nie stanie się w Sewilli nic, co umknęłoby naszej uwagi.

W gospodzie czekali Otón i Pinardo, siedząc przy dwóch pustych dzbankach od wina. Trzeci był napoczęty. Brakowało tylko Tomasa, „kata”. Wyjaśnili, że wziął kawałek chleba i trochę mleka i poszedł nakarmić gołębia, który zawsze z nim podróżuje.

Kiedy wracali z tego tajemniczego spotkania, Diego usiłował wyciągnąć z Bruna jakieś szczegóły na temat zadania, które go czeka. Ten jednak milczał uparcie, twierdząc, że wszystko mu wyjawí we właściwym czasie, kiedy dotrą już na miejsce.

W trakcie dwóch następnych dni wespół z pozostałymi towarzyszami przebyli pięćdziesiąt mil, jakie dzieliły ich od fortecy Salvatierra,

wzniesionej na wzgórzu na wprost portu Muradal. Diego domyślił się, że ostatnich sześć mil mają przebyć przez terytorium muzułmańskie, a więc nie można się zatrzymać ani na chwilę i trzeba gnać konie co sił w nogach.

Wtedy zrozumiał, do czego potrzebny jest ów gołąb, którego tak doglądał i karmił Tomás. „Kat” napisał mały liścik i mocno przywiązał go do jednej z nówek gołębia.

– To jeden z najlepszych sposobów, jakich używamy do przesyłania wieści. W twierdzy Salvatierra żyjemy odcięci od świata, otoczeni przez nieprzyjaciół. Dzięki gołębom wiemy, co się dzieje – zarówno na północ, jak i na południe od nas. Pokażę wam później cały mój gołębnik.

– I jesteście pewni, że on doleci na miejsce, czyli – jak rozumiem – do zamku?

– W zupełności. One nigdy nie zawodzą. – Trzymał gołębia w swych dłoniach. Podrapał go po główce i coś do niego powiedział, nim go wypuścił. Gołąbek spojrzał na niego niespokojnie, a następnie wzbił się w górę. Wykonał dwa pełne okrążenia, aż wreszcie bez wahania obrał kierunek na południe i poszybował, rozwijając pełną prędkość.

– Dobra robota, mój mały – patrzył za nim Tomás, dopóki nie stracił go z oczu.

– Jakie wieści niesie?

– Informuję naszych braci, że wkrótce przybędziemy. Przygotuj się na nasze spotkanie. Sami zobaczycie... – odpowiedział tajemniczym tonem.

Gdy byli już w al-Ándalus, w odległości jedynie czterech mil od Salvatierry, Bruno rozkazał swoim ludziom otoczyć Diega i szybciej pognać konie. Przed nimi rozciągała się otwarta przestrzeń, niechroniona lasem ani rzeźbą terenu. Dlatego należało koniecznie przemierzyć ją galopem. Tylko w ten sposób mogli dotrzeć do murów fortecy. Żaden z tych pięciu mężczyzn nie miał w tej chwili ochoty na rozmowę. Pilnie przyglądali się temu, co dzieje się przed nimi, za nimi i po bokach. Wiedzieli, że w każdej chwili może im wyjść na spotkanie nieprzyjacieli – czyli śmierć.

– Otón, patrz prawo! – zaalarmował go Diego.

Właśnie spostrzegło ich dwóch almohadzkich wojowników i nadszedli ku nim. Otón wyciągnął łuk i wymierzył do jednego z nich. Naciągnął cięciwę tak mocno, że aż rozboleły go opuszki palców, i wypuścił pierwszą strzałę. Jednak chybił. Spróbował następnej i powalił pierwszego jeźdźca. Tomás przyszedł mu z pomocą i wspólnie udało im się też zgładzić drugiego.

– Mieście się na baczności. Teraz będzie najtrudniej. Albo się nam uda, albo zginiemy. Uwaga! Największe niebezpieczeństwo czyha na nas za pierwszym wzniesieniem, tam zazwyczaj się na nas zasadzają.

– Panie, jeśli będziemy jechać razem, łatwo osiągną nas ich strzały. Rozdzielmy się. Łatwiej będzie ich ustrzelić i może nie dopadną nas tak szybko.

– To nie jest dobry pomysł, Pinardo – odpowiedział Bruno. – Musimy chronić Diega, rozumiesz?

Wszyscy trzej rycerze podążyli bez słowa za jego rozkazem.

Gdy minęli wzgórze, ich oczom w odległości pół mili ukazała się wspaniała forteca. Jednak oprócz niej dostrzegli po lewej stronie dużą grupę Saracenów. Tamci, gdy tylko ich zobaczyli, z krzykiem rzucili się w ich kierunku. Szybko poleciały też pierwsze strzały.

Diego spostrzegł, że Tomás wyciąga z siodła długi róg. Przystawił go do ust i silnie zadął trzy razy. Echo trzykrotnie poniosło dźwięk po całej równinie. Gdy róg zabrzmiał po raz trzeci, w jego udzie utkwił grot strzały. Poczł przenikliwy ból. Niewiele myśląc, chwycił strzałę, złamał ją w pół i odrzucił daleko od siebie, przeżuając w ustach siarczyste przekleństwo. Pełen furii chwycił łuk i zaczął wyrzucać z niego strzały niczym maszyna na wszystkie strony. Doliczył się już pięciu, którzy padli z jego ręki.

– Po prawej! Podnieście wyżej tarcze! Uwaga! – krzyknął Otón.

Niewiele mieli czasu, by zareagować – z pobliskiego pagórka błyskawicznie spadł na nich grad strzał. To byli tureccy łucznicy. Na szczęście nie mieli koni i dlatego szybko udało się zostawić ich z tyłu.

Diego obejrzał się za siebie. Goniło ich co najmniej pół setki żołnierzy. Wydawało mu się, że cofnął się w czasie i znów ucieka ze swej gospody. To nie było przecież daleko stąd. Przytulił Sabbę. Pociła się jak nigdy wcześniej, podobnie zresztą jak pozostałe konie, których jeszcze nigdy nie zmuszano do aż takiego wysiłku.

- Już otwierają bramę! – krzyknął Pinardo.
- Teraz patrz! – zawołał Bruno do Diega.

Wszyscy zwrócili oczy w jednym kierunku. Zza murów wyjechało około stu konnych rycerzy. Natychmiast uformowali długi szpaler niczym tunel, by osłonić nadjeżdżającą grupę. Kolejni dodatkowo chronili tych pierwszych. Następnie wszyscy ruszyli w ich kierunku. Skierowali ku nieprzyjacielowi długie lance i wydawali głośnie okrzyki. Podjechali bardzo blisko, aż wreszcie udało im się spotkać. Diega przeszył kolejny dreszcz emocji. Jak pięknie wyglądali, dumnie wyprostowani w swych zbrojach zdobnych barwami i insygniami kalatrawensów, z całym swoim pysznym rynsztunkiem. To ci dopiero widowisko!

W tej znakomitej eskorcie dojechali do fosy. Kiedy przemierzali zwodzony most, szeregi stopniowo zwierały się, by chronić ich tyły. Bezpiecznie wjechali do fortecy.

Kiedy Diego znalazł się już w środku, chroniony solidnymi murami twierdzy, poczuł ogromną ulgę. Westchnął głęboko, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą przeżył.

- Bruno de Oñate podszedł do niego i mocno poklepał go po plecach.
- Witamy w zamku Salvatierra!

II

Donośny, przeciągły świst przerwał mu sen.

Diego wyskoczył z pryczy i pobiegł na dziedziniec zamku, bo zobaczył, że tak robią wszyscy pozostali.

Hałas dobiegał spoza murów, ale był coraz bliżej. Diego instynktownie spojrzął ku niebu, a wtedy ktoś krzyknął:

– Katapuła! Kryć się!

Pobiegł na oślep przed siebie, gdzie go nogi poniosły.

Usłyszał drugi świst, a zaraz po nim trzeci. Ogromny głaz zdołał pokonać podwójne mury i spadł do rowu wypełnionego wodą. Rozprysła się w jednej chwili. Następny głaz uderzył w wieżę, a trzeci, sądząc z drgań i odgłosów, jakie wywołał, zapewne trafił w jeden z balkoników wykutych w murze.

Potem nastąpiło jeszcze kilka tuzinów wystrzałów; żaden z nich nie spowodował większych zniszczeń, gdyż kamienne mury miały bardzo solidną konstrukcję. Jednak wyższe piętra wzniesione z cegieł nie wytrzymały i częściowo się zawaliły.

– Dać im kilka dni spokoju, no i masz, już są – mruknął jeden z katatrawensów. Spostrzegł, że Diego nie wie, co ma robić. – A ty co tak stoisz? Gnaj zaraz ze mną na blanki i wal do wszystkiego, co się rusza tam w dole! – Podał mu kuszę i kołczan pełen strzał.

Po drewnianych schodach dostali się na długą galeryjkę, która biegła po obwodzie zewnętrznego muru. Diego wychylił głowę i zobaczył okazałą grupę Saracenów. Część z nich obsługiwała cztery katapulty, inni trebuszety. Towarzyszyło im co najmniej dwustu konnych i ze dwa razy tyle piechoty.

Diego uchylił się, widząc nadlatującą strzałę tuż przy swoim uchu. Dostrzegł, kto ją wypuścił, i bez wahania ją walił z kuszy.

– Musisz się przyzwyczaić, tak właśnie tu będzie... – ten głos mógł należeć tylko do Bruna de Oñate.

– Więc to takie macie pobudki w zamku Salvatierra?

– Cóż może być lepszego niż poranna zaprawa? Trochę ruchu i masz siłę na cały dzień – zaśmiał się Bruno. – No dobrze, niechaj tym zajmą się inni, a ty chodź za mną. Czekają nas ważne zadania, a czasu jest niewiele.

Zeszli razem na plac broni.

– Wszyscy kryć się! – zawołał ktoś z blanki.

Spojrzeli w górę. Nad ich głowami przemknął pocisk. Śledzili tor jego lotu. Spadł na wóz pełen słomy, rozrywając go na strzępy. Ku wielkiemu zdumieniu Diega Bruno przyjmował to wszystko, co się działo, z dużym spokojem. Diego tymczasem co chwila nerwowo spoglądał w niebo, obawiając się, że jeden z tych straszliwych głazów rozłupie mu w końcu czaszkę.

– Teraz cię przećwiczymy... – powiedział Bruno i otworzył kłapę w podłodze, gdy znaleźli się w pomieszczeniu przylegającym do głównego budynku.

Przecisnął się przez wąską szczelinę, uważając na głowę, i zniknął w środku. Diego wszedł za nim. Zeszli po stromych schodkach w dół aż do galerii, która biegła wokół podziemia fortecy. Bruno chwycił pochodnię umocowaną na ścianie.

– Będziecie mnie ćwiczyc? W czym? – zapytał Diego, sądząc, że chodzi o jakiś rodzaj sztuki wojennej.

– W walce z tymi fanatykami. Ale nie zbrojnej, tylko szpiegowskiej – odparł Bruno.

– Czy dobrze słyszałem? – wzdrygnął się Diego.

– Dokładnie tak. To będzie od tej chwili twoje zadanie.

W końcu długiego korytarza były drzwi. Bruno uderzył w nie trzy razy.

– Hasło? – dobiegł głos ze środka.

– Sancho nie wrócił – odpowiedział Bruno.

Usłyszeli dźwięk klucza przekręcanego w zamku i drzwi się otworzyły.

– Wejdźcie, panie. – Mężczyzna spojrział na Diega. – A wy jesteście?

– Diego de Malagón – podał mu rękę.

– Ja nazywam się Teobaldo de Cordoba, proszę do środka.

Był to człowiek niezwykle sztywny, o surowym spojrzeniu. Weszli do okrągłej komnaty, do której światło wpadało przez dwa duże świetliki w suficie. Na środku stał duży okrągły stół, a na nim namalowany był symbol: dwie pustułki w locie pod krzyżem kalatrawensów. Wokół stołu siedzieli Otón de Frías, Tomás Ramírez i Pinardo Márquez oraz jeszcze sześciu mężów. W sumie było ich dwunastu. Przywitani się bez zbędnych formalności i usiedli.

Bruno zasiadł w środku kręgu. Spojrzął po twarzach zebranych. Wszyscy razem, jak jeden mąż, położyli rękę na piersi i wzniesli okrzyk:

– Wiara i krew, Bóg i odwaga!

Bruno zabrał głos.

– Nim przejdziemy do najważniejszego punktu dnia, chciałbym wam przedstawić osobę, którą pragnę włączyć do naszej grupy. – Wszyscy spojrzeli na Diega. – Niektórzy z was już go znają. Nazywa się Diego de Malagón.

Uklonił się, nie bardzo rozumiejąc, co tutaj robi. Bruno mówił dalej:

– Jak wiemy z własnego doświadczenia, czeka go teraz długie szkolenie. Liczę na waszą pomoc, by udało nam się je przeprowadzić jak najszybciej. Najbliższe miesiące obfitują w ważne dla nas misje. Potrzebujemy jak najwięcej wsparcia. Diego świetnie mówi po arabsku i ma dostateczne powody, by nienawidzić naszych nieprzyjaciół tak samo silnie jak my. – Spojrzął na Otóna i wskazał na niego palcem. – Ty będziesz odpowiedzialny za jego szkolenie.

– Zaczniemy jeszcze dziś – odpowiedział.

– Dobrze, przejdźmy więc do innych spraw. Jak wiecie, część z nas pojechała do Prowansji w poszukiwaniu narzędzia, które pozwoliłoby nam lepiej ukrywać nasze informacje. Na szczęście udało nam się je zdobyć. To zestaw urządzeń: jedno służy do tworzenia wiadomości za pomocą liter i symboli, drugie je odszyfrowuje. Pokażę wam. – Pomacał swój kaftan i wyciągnął spod niego woreczek z czerwonego aksamitu. W środku był mały metalowy cylinder, składający się z kolei z

dwunastu okrągłych blaszek, poruszających się niezależnie od siebie. Każda blaszka miała wygrawerowane inne litery i symbole. W sumie, jak wyjaśnił Bruno, było ich sześćdziesiąt. Kawalerowie podawali sobie urządzenie z rąk do rąk, aż wróciło do Bruna.

– Użycie tego nie jest zbyt skomplikowane, pokażę wam. – Podniósł się, by wziąć buteleczkę atramentu i czysty pergamin. – Najpierw musicie nauczyć się na pamięć tabeli, w której każdy symbol odpowiada jakiemuś słowu. Później ją wam wręcę. Gdy to już opanujemy, poruszamy dwunastoma kółeczkami, wybierając odpowiednie symbole, aż wyjdzie nam pełen rząd. – Nacisnął blokadę, która zatrzymywała ruch urządzenia. – Kiedy już go mamy, blokujemy, nasączamy powierzchnię tuszem i odbijamy kolistym ruchem na pergaminie. – Zaprezentował to, co przed chwilą objaśnił. – Jak widzicie, w efekcie otrzymujemy tabelę składającą się z dwunastu rzędów i pięciu linii, utworzoną przez sześćdziesiąt różnie rozłożonych liter i symboli, całkowicie nieczytelną dla kogoś, kto nie ma drugiego wałka.

Bruno podał pergamin sąsiadowi z prawej strony, by wszyscy obejrzeli odcisnięty wzór.

– Gdy otrzymacie taką wiadomość, musicie ustawić kółka swojego wałka w takiej kolejności, jak wskazuje na to sekwencja z pierwszej linii. Potem trzeba zrobić nadruk własnym wałkiem. Pojawi się nowy obrazek i ten może być już czytelny.

Przez komnatę przebiegł pomruk aprobaty.

Na tym Bruno zakończył prezentację urządzenia i poprosił Diega o opuszczenie sali, by bez świadków omówić ostatnią sprawę.

Diego pożegnał się i szybko wbiegł po schodach na górę, z ulgą odnajdując wyjściową klapę. Nigdy nie lubił zamkniętych pomieszczeń. Ta komnata pachniała wilgocią.

Oblężenie twierdzy ustało, więc mógł się przespacerować po dużym placu i spokojnie pomyśleć o ostatnich wydarzeniach.

Zawsze uważał się za prostego syna tej ziemi, plebejusza, który zgłębił, kosztem ogromnego wysiłku i przewyciężając wszelkiego rodzaju przeszkody, wiedzę nieczęsto spotykaną wśród przedstawicieli jego grupy społecznej. Był weterynarzem, miał najpiękniejszy ze wszystkich zawodów świata i chciał służyć bliźnim, pracując dla dobra

ich zwierząt. Być może dlatego, czując, że już osiągnął to, co należało, nie mógł się nadziwić, że teraz proponowano mu, by został szpiegiem.

Był wciąż oszołomiony niewiarygodnymi wydarzeniami, jakie zaszły w ciągu jego ostatnich godzin w Cuéllar. Nie był w stanie zareagować w żaden sensowny sposób. Czuł się bardzo niepewnie, pozbawiony silnej woli i wiary w ludzi po tym, jak go zdradzili: najpierw Mencía, a teraz jeszcze Marcos.

Tymczasem zebranie w podziemnej komnacie trwało nadal.

– Porozmawiajmy teraz o pewnym zadaniu, być może najważniejszym ze wszystkich, jakie nam poruczono do tej pory. – Bruno umyślnie zawiesił głos i poczuł napięcie w powietrzu. Wziął głęboki wdech i mówił dalej: – Polecenie to mamy od samego króla i stanowi ono część większego planu. A my będziemy w nim mieli swój udział. – Pociągnął łyk wody. – Na razie mogę wam tylko powiedzieć, że trwają przygotowania do wielkiej bitwy, bitwy, jakiej jeszcze nie było. Nam przypada zadanie zintensyfikowania działalności szpiegowskiej w Sewilli. Na razie mamy tam, niestety, zaledwie dwóch ludzi.

– Wszystkich pozostałych schwytano – dodał Otón. – Nie postąpiłszy ani kroku naprzód, odkąd Almohadzi mają nowego szefa wywiadu. Nic o nim nie wiemy. To znaczy, wiemy tyle, że poprawił ich system kontrwywiadowczy i zwiększył skuteczność swoich ludzi. A poza tym, udało mu się wprowadzić sporo agentów do naszego królestwa. Gdybym tylko dorwał kogoś z nich. – Otón zacisnął dłonie na nieistniejącej szyi jakiegoś Saracena.

– Zdaję sobie sprawę, że zadanie jest trudne, ale radziliśmy sobie i w gorszych okolicznościach. Pamiętajcie, że to bezpośredni rozkaz od króla, więc nie ma nad czym się zastanawiać – trzeba go wykonać.

Wszyscy chórem potwierdzili swą gotowość do realizacji zadania.

– Od tej chwili dzielimy się na grupy i każda robi swoje. Cel: zwiększyć naszą obecność na ich terytorium. Musimy być w świetnej formie, nieustannie przygotowani na to, by udać się w każde wyznaczone nam miejsce. Będę was informował na bieżąco o szczegółach, jak tylko potwierdzą pewne daty.

Gdy tylko narada się zakończyła, Otón pierwszy wyszedł z sali i podszedł do Diega.

- Chcesz poznać nasze koleżanki?
- A to w Salvatierze są kobiety?
- Jak znajdziesz jakąś, to mi powiedz. A teraz chodź za mną, wejdziemy na wieżę.

Diego długo się wahał, ale w końcu musiał zadać pytanie.

- Otón, chciałbym się zająć końmi. Sądzisz, że Bruno by mi pozwolił?

– Od tego mamy kowala i jest naprawdę dobry w swym fachu. Ale zapytam. Nie sądzę, by miał coś przeciwko, skoro jesteś weterynarzem.

Wspięli się na najwyższe piętro wieży po kręconych schodkach, które w odczuciu Diega wydawały się nie mieć końca. Gdy byli już na szczycie, Otón włożył wielki klucz do zamka. Nim go przekręcił, uprzedził Diega, by wchodził powoli i w milczeniu.

Popchnął go lekko do przodu i nagle znaleźli się w ogromnej klatce. Były tam setki gołębic. Widząc ich, niektóre zerwały się do lotu i turkocząc, ukryły w przeciwległym kącie. Wpatrywały się w nich teraz z trwogą niezliczone ilości ciemnych, żywych oczu.

– To nasze koleżanki. Nie tak je sobie wyobrażałeś, co? – Zaśmiał się głośno, podtrzymując rękoma swój wydatny brzuch.

– Po co wam ich aż tyle? – Diego nigdy nie przepadał za ptakami, a jeszcze mniej za silnym zapachem, jaki się wokół nich unosił.

– To najlepsi gońce. Są wytrenowane, żeby latać w określone miejsca, gdzie znajdują się nasi ludzie, a potem wracają do domu, do tego zamku. Mają nadzwyczajny instynkt orientacji, nigdy się nie mylą.

– A wiadomość przywiązujecie im do nóżki, tak jak to zrobił Tomás? – Jeden gołębek usiadł mu na ramieniu i przyglądał mu się uważnie. Diego natychmiast go odgonił.

– Do niedawna tak właśnie robiliśmy, ale ci przekłeci tureccy łucznicy są tak celni, że udaje im sieje zestrzelić i tracimy ważne wiadomości. – Chwycił jednego gołębia, podniósł mu skrzydełko i poszperał między piórkami. Nie znalazł tego, czego szukał, sięgnął po drugiego, potem trzeciego – ten był właściwy. Obrócił go w kierunku Diega.

Ptak miał, ukryte pod piórami, wytatuowane na skórze jakieś pojedyncze litery, pozornie bez żadnej treści.

- Wybierz co piątą, a potem połącz.

Tak też Diego uczynił i nagle przeczytał nazwę: Jaén.

– Ta przyleciała dziś wcześniej rano, nim rozpoczęła się narada. Przyniosła wiadomość dla jednego z naszych ludzi – to jest rozkaz, dokąd ma jechać. A więc, nie będzie nam już potrzebna. – wykręcił ptakowi szyjkę i urwał mu łeppek. – Jak na razie system jest pewniejszy od pergaminu, ale i droższy – podniósł do góry jeden palec, a potem drugi – bo teraz jeden gołąb przypada na jedną misję.

Nagle dobiegł ich donośny dźwięk trąbki. Wśród ptactwa wywołało to ogromne poruszenie. Na ten dźwięk wszystkie gołębie zaczęły latać w kółko jak szalone, uderzając skrzydłami o siatkę. Diego i Otón opuścili gołębnik i zbiegli kilka stopni po schodach, by zobaczyć, co się stało. Otón wychylił głowę przez okienko strażnicze.

– Jeden z naszych tu jedzie.

Odsunął się, by Diego również mógł popatrzeć. W oddali galopował samotny jeździec, a za nim gonila chmara Saracenów. Oceniał, że jest o jakieś pół mili od bramy fortecy.

– Dlaczego nikt nie wychodzi mu na spotkanie? – zwrócił się Diego do Otóna, nie rozumiejąc tej bezczynności.

– Nie słyszałeś machin oblężniczych? Otoczyli nas. Dziś otworzyć bramę i czekać, aż wyjedzie kawaleria, oznaczałoby tyleż samo, co oddać im twierdzę. Niestety, teraz nie możemy nic zrobić. Pozostaje tylko zdać się na łut szczęścia, no i, oczywiście, na Boga.

Diego znów wyjrzał przez okienko. Jeździec był w coraz gorszym położeniu. Dwóch napastników było już bardzo blisko. Nie brakowało mu wiele, by dopaść bram cytadeli, ale gdy zbliżył się już prawie o sto stóp, chwycili jego lejce i zatrzymali konia. Bronił się, jak mógł, ranił jednego z napastników, ale nie zauważył drugiego, który zajechał go od tyłu z ostrą szablą w dłoni.

Diego odsunął się od okienka w chwili, gdy Saracen, odciawszy mu głowę, zabierał się do nabicia jej na swoją włócznię, by z dumą pokazać zdobycz mieszkańcom zamku.

Tej nocy ataki muzułmanów nie ustawały, choć zmienił się rodzaj broni. Teraz Saraceni ciskali w nich ze swych wyrzutni sieci pełne belek i kamieni, spowite płonąca smołą. Kiedy taka siatka trafiła w dach ze słomy lub z drewna, skutki były tragiczne. Nacierali bezustannie,

czyniąc ogromne zniszczenia. Ta noc to było prawdziwe piekło.

W fortecy pracowano bez wytchnienia. Murów broniono przed napastnikami, którzy się po nich próbowali wspinać, zrzucając na nich kamienie, wrzącą smołę i strzały. Liczne oddziały biegały tam i z powrotem, nosząc wodę do gaszenia pożarów, a inni przynosili ze zbrojowni kolejne strzały, dzidy czy pociski do balist, tak aby na blankach w żadnym momencie nie zabrakło amunicji.

Diego całą noc nie spał i uwijał się ze wszystkimi, pomagając przy zadaniach, które były mu wyznaczane.

Gdy niemal już świtało i siła ataku nieco osłabła, udało mu się odnaleźć Bruna i porozmawiać z nim o sprawach, które tak go nurtowały.

– Niektórzy jeszcze sądzą, że wojny wygrywa ten, kto ma lepszą broń, konie, wyposażenie, więcej żołnierzy... – powiedział Bruno. – Nie wiedzą nawet, jak się mylą.

Kalatravens chciał osobiście sprawdzić, jakie szkody zostały poniesione zarówno w ludziach, jak i w zabudowaniach, i poprosił Diega, by mu towarzyszył w obchodzie. Idąc, rozmawiali.

– Wojny wygrywa ten, kto zdobywa lepsze informacje na temat wroga. Kto potrafi wyprzedzić jego ruchy i zna zamierzoną przez niego taktykę – ten potrafi w porę wykonać ruch godzący w jego strategię i zatriumfować. Posiadając wiedzę, najsłabszy może wygrać z najsilniejszym, bo odbierze mu broń. Na tym właśnie polega nasze zadanie w Salvatierre, Diego: mamy wiedzieć, co planuje nieprzyjaciel, kontrolować jego ruchy, przeniknąć do informacji o tym, skąd i kiedy chce nas zaatakować i jakimi środkami. Nasz monarcha Alfons wie aż za bardzo, jak przegrywa się bitwy, gdy się nie ma wystarczających danych na temat przeciwnika. Tak właśnie się stało w Alarcos. I to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Stali na północnych blankach. Wychyleni, spoglądali w dal, widząc, jak napastnicy oddalają się od zamku. Byli już poza zasięgiem ich strzał. Bruno nadal nadawał ton rozmowie.

– Pytałeś mnie, jaki sens ma twoja obecność wśród nas. Czy jesteś już gotowy, by usłyszeć odpowiedź? Jeśli tak, to słuchaj uważnie.

Diego przełknął ślinę i skoncentrował się całkowicie na tym, co do niego mówił.

– Przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że mam do ciebie głęboki szacunek. I wiedz też, że nie będę tego wiele razy powtarzał.

Diego poczuł się nieco zmieszany.

– Jesteś ucieleśnieniem tego rodzaju odwagi, którą nieczęsto spotyka się w naszych czasach. Mam tu na myśli twoją zdolność do przewycięzania trudności i predyspozycję do poświęceń. Widzisz, Diego, ja jestem rycerzem i mam szlacheckie pochodzenie. Wywodzę się ze starego i czcigodnego rodu, któremu chciałem przydać blasku swymi czynami. Wielu kalatrawensów, których już poznałeś w tym zamku, również jest szlachcicami, tak jak i ja. – Przerwał wywód, aby dać rozkaz kilku ludziom niosącym ogromną kadź z wrzącą wodą. Chcieli wylać ją na jeden z murów. Powiedział, by zachowali ją na potem, gdy będzie bardziej potrzebna. – Ciebie życie zmusiło do szukania sposobów na przetrwanie. Los nieoczekiwanie bardzo wcześnie odciął cię od twoich bliskich, ale to nieszczęście sprawiło, że wydorostałeś. Od tej chwili wciąż walczysz o to, by stać się kimś. Staraleś się nauczyć jak najwięcej, stać się lepszym człowiekiem, poszerzyć swoją wiedzę. I w tym celu udałeś się do mistrza, który nauczył cię fachu.

– Przypuszczam, że każdy by tak uczynił na moim miejscu.

– O nie, wcale nie każdy. Kiedy tam w lochu słuchałem twojej opowieści, rozpoznałem u ciebie dwie oczywiste zalety: wielkie zdolności i twardy charakter. To są cechy, które nie wszyscy mają, zapewniam cię. Uczysz się szybciej niż inni, znasz języki obce, dość łatwo możesz zapamiętać dowolny tekst. Możesz być z siebie dumny, Diego, bo udało ci się przewyciężyć barierę twego pośledniego pochodzenia, twój status syna biednego karczmarza, by stać się najlepszym weterynarzem w całej Kastylii. A ponadto cieszysz się szacunkiem, o którym wielu mogłoby tylko pomarzyć, i zaufaniem bardzo wpływowych ludzi. Czy mam mówić dalej?

– Jestem zawstydzony waszymi pochwałami. Jednak, wybaczenie moją śmiałość: nie powiedzieliście jeszcze nic na temat tego, do czego jestem wam potrzebny.

Bruno westchnął. Był zdecydowany powiedzieć mu o wszystkim.

– Nie dysponuję obecnie nikim, kto miałby wszystkie twoje zalety. Dlatego chcę cię widzieć między nami. Chcę, byś oddał nam w służbę

swą inteligencję, wykorzystał wiedzę, którą już posiadałeś. Jak ci mówiłem, wojny wygrywa się głową, a nie silnym ramieniem czy szpadą. Wziąłem sobie twoje życie, ratując cię z szubienicy, a teraz potrzebuję jeszcze twych myśli, twojej wiedzy. Musisz oddać je do mojej dyspozycji. Pomożesz mi podejmować decyzje, kreślić plany, budować strategie. Do tego cię potrzebuję! Teraz rozumiesz?

Diego nie wiedział, co powiedzieć, ale to mu wystarczyło. Będzie wykonywał wszystkie rozkazy tego człowieka.

– Pierwszy etap szkolenia może ci zająć jakieś sześć miesięcy. Gdy je ukończysz, będziesz mógł wziąć udział wraz z twymi przyszłymi towarzyszami w jakiejś pomniejszej misji. To będzie rozgrzewka. Poczujesz się pewniej i zastosujesz swoje umiejętności w praktyce. Nauczymy cię, jak przeżyć w nieprzyjaznym otoczeniu, a kiedy będziesz już lepiej przygotowany, być może powierzmy ci poważniejszą misję. Za każdym razem będziesz musiał wystawić na próbę swe zdolności, wiedzę, nawet instykt. Jeśli będziesz dobrze służył i wykonywał wszystkie rozkazy, moglibyśmy ci dopomóc w rozwiązaniu problemu, który najbardziej cię boli.

– Co macie na myśli?

– Uratować twoje siostry. Twoja misja stanie się naszą, wspólnie pójdziemy je odnaleźć.

– Naprawdę?

– Masz moje słowo.

Diego był w siódmym niebie. Po raz pierwszy od wielu lat ktoś oferował mu pomoc w odzyskaniu Esteli i Blanki. Choć nie miało to nastąpić tak prędko, ogarnęła go ogromna radość. Poczuł wielki spokój w sercu.

– Od czego mam zacząć?

– Już to zrobiłeś. Od dziś będziesz rozwijał umiejętności potrzebne do tego, by stać się dobrym szpiegiem. Poznasz najbardziej wyrafinowane techniki obserwacji, posiadasz mistrzostwo w stosowaniu przebrań, będziesz musiał uczyć się na pamięć tekstów, dokumentów, planów, cyfr i odwzorowywać je bez najmniejszego błędu. Wyrobisz w sobie dyscyplinę umysłową do tego stopnia, by wcielać się w różne postaci, jak również odpowiednio reagować w różnych sytuacjach. Będziesz musiał podszkolić sposób podejmowania decyzji, dostosowując

go do sytuacji maksymalnego napięcia. To wszystko, w połączeniu z twoimi własnymi zdolnościami, pozwoli ci osiągnąć cele, jakie postawisz sobie w życiu.

– Jakież to piękne i emocjonujące wyzwanie – powiedział Diego.

Bruno znów włączył się, by dodać kilka ostatnich zdań.

– Pamiętaj, że dziś zawiazaliśmy pakt, który góruje nad wszystkimi innymi zobowiązaniami, jakie pojawią się w twym życiu w przyszłości: masz zawsze udzielać pomocy swoim towarzyszom, czy cię o to poproszą, czy nie, masz być gotów oddać za nich życie, jeśli będzie taka potrzeba, i nigdy ich nie wydasz, a jeśli okaże się to konieczne, będziesz się troszczył o wdowy i sieroty po nich.

Diego poczuł brzemień wielkiej odpowiedzialności, ale zarazem wielką dumę z powodu wszystkich pochwał, które usłyszał na swój temat.

– Możecie na mnie liczyć. Wykonam wszystkie zadania, jakie mi powierzycie – zobowiązał się z całkowitym przekonaniem.

– Muszę cię jednak ostrzec. Najbliższe miesiące będą bardzo ciężkie. Spocisz się jak nigdy dotąd, poczujesz ból w każdym mięśniu i będziesz marzył jedynie o chwili odpoczynku.

– Wytrzymam.

– Musisz wzmocnić swoje ciało do tego stopnia, by swobodnie wywijać mieczem, a nawet toporem. Do twojego treningu fizycznego włączymy parę technik koncentracji, żebyś wytrzymał tortury i zaakceptował ewentualność śmierci.

– To już przerobiłem.

Bruno spojrział mu w oczy.

– Nadal interesuje cię ta praca?

III

Kolejne poronienie jeszcze bardziej osamotniło Mencię. Jej mąż, widząc, jak kończą się wszystkie jej ciążę, postanowił poszukać sobie innej kobiety. Pragnął mieć wreszcie potomka, choćby i miał być bękartem.

Dlatego Mencia niemal go nie widywała i owa miłość, którą jej kiedyś przyrzekał, teraz najwyraźniej już wygasła.

Wiedziała, że chadza do pewnej damy z sąsiedniego hrabstwa i że z nią sypia. Tak naprawdę, widywała go w Ayerbe jedynie raz na miesiąc, gdy przyjeżdżał, by uregulować rachunki: zapłacić wyrobnikom i pobrać należne pieniądze od swych wasali.

Ona zaś samotnie odbywała konne przejażdżki po rozległym zagajniku, który otaczał zamek, i wspominała swoje spaceru u boku Diega.

– Co też się z nim stało? – zapytywała się codziennie.

Upłynęło już pięć lat od jej ślubu w Albarracin. Ostatnie wieści o nim pochodziły sprzed czterech lat. Mieszkał wtedy w Cuéllar, małym miasteczku w Kastylii. Trudno przypuszczać, by przez tyle lat nie znalazł innej kobiety. Mógł mieć już własne dzieci.

– Proszę pani, proszę pani. – Jej dama do towarzystwa wbiegła do saloniku muzycznego. Mencia właśnie ćwiczyła dość trudny kawałek na klawikordzie.

– Co się dzieje? – zapytała poruszona, widząc ją w takim stanie.

– Pan... pan... Mój Boże... – dziewczyna chwyciła się rękoma za głowę.

– Ależ to dopiero połowa miesiąca... Biedni wasale nie mają jeszcze z czego zapłacić. Czy też może źle się poczuł i chce się ze mną

spotkać? – zapytała przekornie.

– Nie, nie... pan miał okrutny wypadek...

– Co ty mówisz? – chwyciła ją za ramiona, usiłując wytrząsnąć z niej wszystkie informacje.

– Jego paż już tu jest, proszę pani. On wszystko opowie.

– Niechaj więc tu wchodzi, a żywo!

Młodzieniec wszedł, cały blady, i natychmiast przypadł do jej kolan. Ucałował ją w rękę i prosił o wybaczenie za swój niedbały wygląd.

– Tym się nie kłopotz, tylko mów. Co takiego się stało?

– Fatalny upadek z konia, co za nieszczęście. – Zaczerpnął powietrza, by się nieco uspokoić. – To było niedaleko zamku Monzón. Gałąź pociągnęła go w dół i upadając, złamał sobie kark. Co za pech.

Mencía wstała. Upewniła się, czy jej mąż na pewno nie żyje. Potem odprawiła służbę, chciała zostać sama. Oboje, dama do towarzystwa i paż, wyobrażali sobie pewnie, że pragnie sobie popłakać w samotności, ale tak nie było. Owszem, czuła żal z powodu śmierci Fabiána, ceniła go. Było jej teraz zapewne równie przykro, jak przykro byłoby jej z powodu śmierci kogokolwiek z jej otoczenia, ale – szczerze mówiąc – nie bardziej. To prawda, że chodziło o jej męża, ale zaślubiny były wynikiem oszustwa i zostały wymuszone. Nigdy go naprawdę nie pokochała.

To był dobry człowiek, zawsze odnosił się do niej z szacunkiem, choć ostatnimi czasy szukał ciepła u boku innej kobiety, Mencía nie miała mu tego za złe. Nawet odczuwała pewną ulgę, wiedząc, że w innych łóżach dostaje te pocałunki i pieszczoty, których ona tak mu skąpiła, no i oczywiście zapewne spłodzi dziedzica, którego ona nie była w stanie mu dać.

Na pogrzebie, który odbył się kilka dni później, było mnóstwo ludzi. Mencía miała na sobie czarne ubranie. Długa woalka chroniła ją przed licznymi spojrzeniami ciekawskich, którzy próżno szukali w jej twarzy jakiegoś odbicia jej stanu ducha. Jednak, w zgodnej opinii zgromadzonych, zachowywała się niezwykle dystyngowanie i powściągliwie, jak przystało na damę.

Mimo że śmierć nastąpiła zupełnie nieoczekiwanie, na pogrzeb przybyło wiele znakomitych osobistości z całego Królestwa Aragona, łącznie z królową Marią de Montpellier, która przyjechała w towarzystwie biskupa Léridy. To spowodowało, że Mencía wciąż musiała się wysilać i okazywać uczucia, które były jej obce.

Ludzie, którzy podchodzili, by ucałować jej ręce, byli zadziwieni jej urodą. Krążyły o niej legendy, ale osobiście знаło ją niewiele osób. Zebrani podawali też sobie z ust do ust plotki o niewierności nieboszczyka. Ktoś nawet stwierdził, że – wbrew temu, co zostało oficjalnie powiedziane – zgon nastąpił w łóżu pewnej damy, która być może nawet jest wśród żalobników. Ludzie nie mogli zrozumieć przyczyny tej niewierności, skoro małżonce nieboszczyka nie brakowało ani urody, ani też słodyczy.

Gdy ciało jej męża złożone już było w grobie, zbliżyła się do niego w milczeniu, by pożegnać go po raz ostatni. Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej. Świadoma, że w tym momencie stanowi centrum uwagi, uklękła nad wykopanym grobem, ciężko westchnęła i wzięła garść ziemi, by rzucić ją na trumnę. Potem, wśród chóru łkań zebranych kobiet, zdjęła z dłoni rękawiczki, ucałowała je i złożyła na piersi swego małżonka.

Wszyscy odebrali to jako piękny gest, a dla Mencii oznaczało to symboliczne zakończenie małżeństwa, którego nigdy nie pragnęła, początek wolności oraz, czemu by nie, również prawo do marzeń o tym, że pewnego dnia odnajdzie tego, kogo naprawdę kocha.

Była przejęta tym, co się stało, ale tliła się w niej również isierka nadziei. Śmierć jej męża oznaczała gwałtowną zmianę, wpływała na całą jej przyszłość, otwierała przed nią nowe perspektywy, jak na przykład możliwość podejmowania niezależnych decyzji czy też podążania wreszcie za głosem serca.

Z bijącym sercem, czując powiew świeżego powietrza na swych policzkach, wśród tylu ludzi, którzy ją obserwowali, poczuła się wreszcie wolna i po raz pierwszy podjęła decyzję, myśląc tylko o sobie. Poczekaj na przydział spadku, a potem wyruszy w długą podróż do Kastylii. I już tu nie wróci.

W ciągu zaledwie dwóch tygodni udało się załatwić wszystkie sprawy związane z pogrzebem i odczytano testament. Od tej chwili Mencía została dziedziczką ogromnej fortuny, która należała do Fabiána. Mianowała

zarządcę majątku, nadając mu uprawnienia wystarczające do użytkowania i dzierżawy ziemi, i rozkazała sprzedać pałac, który posiadała w Jacy, by dysponować sporym zasobem gotówki.

Następnego dnia po otrzymaniu pieniędzy z tej sprzedaży, zamknawszy jeszcze kilka pomniejszych spraw, porzuciła żalobę i wsiadła na jednego ze swych najlepszych koni.

To był ostatni poranek tej długiej jesieni. Wszyscy widzieli, jak wyjeżdża z zamku wraz ze swą damą do towarzystwa. Jednak nikt, nawet zarządca, nie wiedział, dokąd się udają.

Po dziesięciu dniach podróży Mencía dotarła do miasteczka Cuéllar. Bardzo pragnęła zobaczyć Diega. Czowała palącą potrzebę zadośćuczynienia za całe zło, które mu wyrządziła, wytłumaczenia się, podania prawdziwej przyczyny tego, dlaczego go zostawiła, i wyjaśnienia, skąd wzięła się pierwsza ciąża. Nawet gdyby miał inną kobietę, powinien poznać warunki narzucone jej przez matkę, gdyby poszła za głosem serca.

Możliwe, że dla Diega to wszystko było już tylko odległą, zapomnianą przeszłością, ale nie dla niej. Czowała potrzebę złożenia mu wyjaśnień, niezależnie od tego, co miało później nastąpić, nie mając nawet nadziei na to, że potem jeszcze będą się widywać.

Przejeżdżając przez bramę miasta, Mencía poczuła ogromne poruszenie. Łzy popłynęły po jej policzkach. Tak bardzo pragnęła go zobaczyć. Przytulić się do niego.

Gdy tylko wjechały na pierwszą ulicę, zatrzymały starszego człowieka i zapytały, czy nie wie, gdzie mogłyby znaleźć weterynarza, Diega de Malagón. Jakież było ich zdziwienie, gdy ten odsunął się od nich, nic nie odpowiadając i wymachując rękoma jak wariat, jak gdyby usłyszał imię diabła.

– Przepraszam panią. – Mencía zsiadła z konia i zatrzymała z kolei jakąś kobietę z dzieckiem. – Czy mogłaby mi pani wskazać, gdzie mieszka weterynarz, Diego de Malagón?

– Święty Jezu! – przeżegnała się tamta dwa razy, nie zwalniając kroku. – Co za pytanie!

Mencía spojrzała na swą damę do towarzystwa, nie rozumiejąc, co się z nimi wszystkimi dzieje, dlaczego nie odpowiadają? W ich kierunku zmierzał jakiś młodzieniec, ciągnąc za uzdę dużego muła. Mencía pomyślała, że pewnie on zna Diega.

– Młody człowieku, młody człowieku. – Chłopak odwrócił się i ujrzał przepiękną damę o jasnych włosach i niesamowitych niebieskich oczach. Zapało mu dech w piersi. Aż się zakrztusił.

– Co mogę dla was uczynić, pani?

– Jedziemy z bardzo daleka, by spotkać się z Diegiem de Malagón i... – Młodzieniec przyłożył swą dłoń do ust, jakby bardzo go coś wystraszyło. – Co się z wami dzieje? – Mencía przytrzymała go za kaftan, gotowa wytrząsnąć z niego informację o Diegu, jakakolwiek by ona była.

– Nic nie wiecie, co się wydarzyło?

– O czym mówisz?

– Jesteście jego rodziną?

– Nie, jestem tylko jego przyjaciółką, i od bardzo dawna już się nie widzieliśmy.

– Straszna rzecz się stała.

Mencía poczuła, jak dławi ją paniczny lęk.

– Mów jaśniej, proszę.

– Oskarżono go o zatrucie ludzi, wielu sąsiadów powymierało.

– Co za nedorzecznosc!

– To nie żadna nedorzecznosc, proszę pani. Mielismy tu ponad sto trupów i dlatego był sąd nad nim. No i...

Chłopak spuścił głowę, nie chcąc mówić o tragicznym finale.

– I co się potem stało?

– No... że... w końcu go powiesili. – Przyglądał się reakcji swojej rozmówczyni. – Przepraszam, że mówię to tak wprost. Przykro mi, ale tak właśnie było. Jakiś miesiąc temu...

Mencía poczuła się tak, jak gdyby ktoś przelupał jej głowę na pół jednym uderzeniem siekiery. Oparła się o swego konia i, niemal opadając na ziemię, wodząc wokół rozdierającym spojrzeniem, poczuła, że umiera ze smutku. Zaczepnęła nieco powietrza, by móc oddychać, ale mówić nie mogła. Głos uwiązł jej w krtani. Jej towarzyszka, widząc, co się z nią dzieje, postanowiła zapytać za nią.

– Wiecie, gdzie mieszkał? Czy możemy porozmawiać z kimś, kto miał z nim kontakt przed śmiercią?

– Zajmowali dom niedaleko rynku, tuż przy murach twierdzy. Tam pytajcie.

– Kogo macie na myśli, mówiąc: zajmowali?

– Kupca o imieniu Marcos. Zniknął wkrótce po tym, jak osądzili waszego przyjaciela.

– Czy możesz nas tam zaprowadzić? – Mencía odzyskała mowę i wcisnęła mu do ręki złotą monetę.

Poszli tam, ale okazało się, że dom, w którym mieszkał Diego, zajęła już inna rodzina. Chłopak zaprowadził je więc do Veturii, dawnej służącej Diega. Mencía wynagrodziła mu to kolejnymi pięcioma mone-
tami i pożegnała, wchodząc do drzwi mieszkania, chyba zbyt bogatego jak na zwykłą służącą.

– Ty jesteś Veturia, prawda?

Kobiety otworzyły drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszły do środka.

– A wy... kim jesteście i co was tu sprowadza? – Veturia była zaskoczona tym wtargnięciem.

Mencía wyjaśniła jej, co należało, od razu przechodząc do pytania o losy obu gospodarzy. Co do Marcosa Veturia powiedziała, że pojechał do Burgos tuż przed wykonaniem wyroku, zabierając ze sobą wszystko, co posiadał. Natomiast gdy przyszło do Diega, głos jej się załamał.

– Bardzo żałuję, proszę pani. Nie chciałam tego, ale to przede wszystkim ja ponoszę winę za śmierć pani przyjaciela. – Mencía nie chciała jej wyjawic, że chodzi o miłość jej życia. – Ja się tylko chciałam wypowiedzieć z gnębiących mnie grzechów, których byłam świadkiem. A potem... wszystko się tak szybko potoczyło. Sama widziałam, jak go wieszali. Umarł na szubienicy, na sznurze wisiał.

I Veturia uderzyła w głośny płacz. Mencía patrzyła na nią ze wściekłością i bólem. Była bezsilna i taka nieszczęśliwa! Jej marzenia o ponownym spotkaniu Diega rozpadły się na tysiące kawałków. Poczuli wielki ciężar w sercu. I zalała się łzami. Łkała, w niczym nie znajdując pocieszenia, szlochała tak, jak nikt jeszcze nigdy nie szlochał. Pograżyła się w czarnej otchłani rozpacz.

Kilka godzin później znalazły się na cmentarzu. Mencía odnalazła grób Diega – stał nad nim skromny drewniany krzyżyk, mocno już pochylony, a na nim widniało jego imię i data śmierci.

Uklękła i przytuliła ten biedny pagórek, pod którym leżał jej ukochany.

Dama do towarzystwa ze smutkiem spoglądała, jak jej pani rzuca się na ziemię i obejmuje ją, zraszając swoimi łzami. Jej ból był tak ogromny,

że wydawało się, iż podziela go i powietrze, i trawa rosnąca wokół. Słyszała, jak szepcze do Diega, że bardzo go kocha, jak mu przysięga swą wieczną miłość, złamana żalem, że nigdy więcej nie będzie mogła już spojrzeć mu w oczy ani poczuć ciepła w jego objęciach, ani smaku jego ust.

W piekącym bólu Mencía rzuciła się, by całować ziemię, chcąc tam szukać choć jego duszy. Służąca, pełna współczucia, próbowała ją odciągnąć, co się jej jednak nie udawało. Wreszcie poprosiła ją zdecydowanym tonem, by już przestała, i pociągnęła ku sobie. Być może z powodu tej szarpaniny żadna z nich nie usłyszała nadejścia tego człowieka.

– A wy kto? – zapytał jakiś głos za ich plecami.

Kobiety odwróciły się i krzyknęły ze strachu. Odsunęły się nieco, bo ten typ naprawdę groźnie wyglądał i nie wiadomo było, czego od nich chce.

– Lamentujecie tak, jak byście były kochanicą tego tu pod ziemią – wskazał grób Diega. – Ale ja was nie znam. Nie widziałem was ani w sądzie, ani potem. Kto wy? – powtórzył.

Mencía wstała i spojrzała mu w oczy.

– Nazywam się Mencía Fernández de Azagra. Kochałam tego człowieka z całej duszy, ale pewnego dnia go porzuciłam i nigdy nie było mi dane wyjawić dlaczego. Życ u jego boku nie mogłam, a wiercie mi, że pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. – Mimo że lzy na jej twarzy zmieszały się z kawałkami ziemi, mężczyzna dojrzał w jej oczach szlachetność i szczerłość, i zrobiło mu się jej bardzo żal.

– Jestem grabarzem, proszę pani. – Mencía utkwiała w nim wzrok.
– Chyba powinienem pani o czymś powiedzieć.

– Mówcie, błagam.

– Tego dnia, jak go powiesili, wszystko wyglądało bardzo dziwnie. Różne dziwne rzeczy się tu działy. Jacyś ludzie mi dali pieniądze, żeby...

– Nic nie rozumiem...

Mencía zaciskała pięści tak mocno, że wbijała sobie paznokcie w skórę.

– Zapłacili mi, żebym go nie grzebał, tylko żebym sobie poszedł na parę godzin. – Spojrzał na grób Diega. – I dlatego nic nie widziałem.

No i wtedy zacząłem podejrzewać, że może go wcale tam nie ma...

– Jak to? – Mencía zachłysnęła się powietrzem, słuchając słów tego człowieka. – Sądzicie, że tam nikogo nie ma? – Wskazała na kurhan usypany z ziemi.

– No, tak myślę.

– Gdzie macie łopatę?

Niewiele dni później piękna uśmiechnięta kobieta wraz ze swą damą do towarzystwa stała przed drzwiami pewnego mieszkania w centrum Burgos. Zastukała dwa razy. Wreszcie w drzwiach pojawiła się twarz człowieka w nieokreślonym wieku.

– Proszę przekazać panu Marcosowi de Burgos, że doña Mencía Fernández de Azagra pragnie się z nim widzieć.

IV

Mijał już rok, od kiedy Diego przybył do Salvatierry. Teraz przygotowywał się do swojej pierwszej misji.

Na stole stały różne pomady, peruki, farbki do przyciemniania oczu i specjalna maź, która wywoływała zmarszczki. Po jej zastosowaniu skóra wyglądała, jakby była stara. Pinardo tłumaczył mu, do czego wszystko służy i jak się to stosuje.

Było to uzupełnienie wszechstronnego szkolenia, dzięki któremu Diego wydatnie poprawił swój zmysł orientacji. Setki razy przemierzał całą fortecę z zawiązanymi oczyma i związanymi rękoma, kierując się jedynie węchem, słyszanych dźwiękami i rodzajem podłoża, o które ocierały się jego stopy. Nauczył się też obsługiwania wszelkiego rodzaju broni oraz unikania ciosów zadawanych przez przeciwnika. Opanował technikę fałszyfikowania dokumentów i produkcji sympatycznego atramentu, a od niedawna znał już skomplikowany język migowy, którym czasami się posługiwali w swoim gronie.

Przed Pinardem szkolił go Otón. Ten kalatrawens zadał mu jako egzamin bardzo skomplikowany tekst, którego trzeba było się nauczyć na pamięć w ciągu godziny. Był to długi rymowany poemat, napisany po arabsku. Diego najpierw przeczytał go szybko w całości, a potem drugi raz, uważnie, fragment po fragmencie. Następnie udało mu się wyrecytować go tak, by zmieścić się w czasie i nie popełnić żadnego błędu.

– Ale z tym to ci się już nie uda. – Otón wybrał inny tekst, napisany po łacinie, i rzucił mu go na stół niemal z pewną pretensją, bo on musiałby poświęcić co najmniej tydzień, by go opanować.

Diego wziął tekst do rąk i przeczytał ściszym głosem. Był to traktat zatytułowany *Źródło prawdziwości i źródło fałszu** napisany przez świętego Augustyna. Skupił na nim całą swoją uwagę, odciął się od wszystkich innych myśli. Całkowicie skoncentrował się na tych wersach. Wreszcie zaniknął księgę i przystąpił do recytacji pierwszego akapitu.

– *Noliforas ire, in teipsum redid; in interiore homine habitat Veritas...*

– Dobrze już, dobrze. Ty się nigdy nie pomylisz. Przyjdź jutro, będziemy się uczyć map. Sewilli, Kordoby i Grenady.

* Traktat w Księdze II dzieła św. Augustyna *Soliloquia*.

Diego opowiadał Pinardowi, jak pracowali z Otónem, a ten, słuchając go, pracował nad jego twarzą.

Tuż przed południem, gdy charakteryzacja została już zakończona, wyszli na plac, by sprawdzić efekt. Był tak zaskakujący, że wielu braci zeszło się z odległych punktów zamku, by go zobaczyć.

– Boję się nawet klepnąć cię po ramieniu. – Bruno przyjrzał się sztucznym zmarszczkom, które okalały oczy Diega, zachwycony ostatecznym rezultatem. – Wyglądasz jak starzec, który za chwilę się rozleci...

Diego szedł zgarbiony, oparty na lasce. Miał na sobie długą szatę w białym kolorze z rodzaju tych, które często nosili Saraceni. Mówił ochryplym i drżącym głosem. Wydawało się, że brakuje mu tchu, by dokończyć każde zdanie, które rozpoczynał.

– Świetna robota, Pinardo – pochwalił Bruno swojego człowieka – no i znakomita gra, Diego. Mam nadzieję, że wszystko się sprawdzi – tak jak to mamy zaplanowane. Teraz chodźcie ze mną do sali zebrań. Wtajemniczę was w szczegóły, byśmy mogli przystąpić do naszego przedsięwzięcia.

Diego wyprostował się i szerokim uśmiechem pożegnał widzów, nim zniknął w podziemnej komnacie. Za nim poszli Otón, Pinardo, Tomás i sześciu pozostałych – wszyscy ci, którzy zazwyczaj bywali na zebraniach.

Bruno już tam był. Siedział na centralnym miejscu przy stole i w miarę jak rycerze wchodzili, usadawiał ich szybko, by nie tracić czasu. Donośnym głosem poprosił o uwagę.

– Nasi informatorzy zapewniają, że trzy dni temu wyruszył z Sewilli pocztylion wroga, niosąc wiadomość – rozpoczął przemowę Bruno, by zapoznać ich z dotychczasowymi wypadkami. – Widziano go także, jak przejeżdża przez Éciję i Jaén, co oznacza, że jeśli utrzyma tempo, dziś w nocy dotrze do portu Muradal. Chodzi o to, żeby ustawić Diega na czatach i zaskoczyć gońca na ostatniej przełęczy, nim wyjdzie na płaskowyż. Aby plan się powiódł, musimy jeszcze sporo zrobić dziś przed zachodem słońca. Pinaro niechaj kończy makijaż, a Otón tymczasem przygotowuje pozorowany atak, aby odciągnąć uwagę nieprzyjaciela i w ten sposób pozostawić otwartą drogę dla Diega. Weź ze dwudziestu rycerzy! – Otón przytaknął. – Im więcej was będzie, tym więcej wojska poślą za wami. Sęk w tym, by jego przebranie wywołało prawdziwe współczucie u naszego pocztylionia – kontynuował Bruno, zwracając się teraz do Diega. – Co więc masz zrobić?

– Ma uwierzyć, że jestem ranny, a jak tylko się do mnie zbliży, wbiję mu sztylet w szyję. – Dyszał niespokojnie, nie do końca pewny, czy uda mu się wykonać to trudne zadanie. – Zrobię to szybko, żeby nie zdążył krzyknąć, a sztylet trzeba wbić naprawdę głęboko. Potem przechwyć wiadomość, a jego ciało ukryję w małej jaskini, która znajduje się na jednym ze zboczy.

– Właśnie tak. Problem tylko w tym, że będziesz musiał działać w zupełnym osamotnieniu, Diego. Wąwóz jest bardzo wąski i nie da się tam schować ani jednego konia. A gdybyśmy się zasadzili w którymś z wcześniejszych, szerszych niż ten, ryzyko byłoby większe, bo są one lepiej strzeżone.

– A skąd będzie wiedział, że to właściwy człowiek? – zapytał Otón z zaciekawieniem.

– Poinformowali nas, że jedzie sam, na czarnym koniu. Wiemy też, że nosi długą, spiczastą bródkę, ostry wąsik i ma bardzo ciemną skórę.

– Jednak jeśli założy turban, te szczegóły będą prawie niewidoczne. – Otón starał się pomóc Diegowi, by ten nie pomylił się co do osoby.

– Jego koń ma na czole pewną szczególną plamę o kremowym kolorze, w kształcie ósemki. Nie sądzę zresztą, by zbyt wielu jeźdźców pojawiło się po zmroku akurat w tym wąwozie. Nasz agent w Sewilli twierdzi, że wiadomość, którą wiezie ten człowiek, jest bezcenna. Pamiętajcie, że to może być nasza jedyna okazja, bo później, gdy już wyjedzie z gór na równinę, będzie miał znacznie większe możliwości ucieczki.

Bruno spojrzął na Diega. Szczerze mówiąc, miał co do niego jeszcze pewne wątpliwości. Chociaż to on sam wyznaczył chłopaka do tej misji, wiedział, że wymaga ona od niego wielkiej odwagi i umiejętności reakcji. Specyficzne ukształtowanie terenu nie pozwalało na zorganizowanie wsparcia na wypadek, gdyby coś poszło źle, a to z kolei oznaczało narażenie Diega na wielkie niebezpieczeństwo. Będzie musiał najpierw oszukać posłańca, potem sprawić, by ten nie uciekł, i wreszcie go zabić. I zrobić to tak, by nikt tego nie zauważył. To naprawdę poważne wyzwanie, jak na pierwszą misję.

Kiedy odprawa dobiegła końca, Diego wrócił do pomieszczenia, w którym Pinardo zostawił wszystkie swoje przybory, by poddać się ostatecznej charakteryzacji. Po drodze rozmyślał o tym, co go czeka, i sam nie mógł wyjść z podziwu nad swoją determinacją. Do tej pory nie zamordował jeszcze nikogo własnymi rękoma, choć miał takie intencje wobec don Pedra de Mora, a w porywie gniewu niemal nie zgładził brata Servanda. Dla niego życie miało zbyt wielką wartość, by je niszczyć, nie mając ku temu bardzo poważnych powodów.

Jednak od kilku miesięcy sprawy miały się inaczej i jego odczucia również uległy zmianie. Zaczął postrzegać samego siebie jako część ambitnego planu: planu pokonania i zniszczenia imperium Almohadów. Zdawał sobie sprawę, że jest to niezwykle poważne zadanie, ale i niezbędne, by ocalić cywilizację, którą znał. I być może to poczucie, że bierze udział w tak epokowym przedsięwzięciu, sprawiało, że jego serce wypełniało się spokojem.

Codziennie uczył się od swych towarzyszy czegoś nowego. Cenił ich bardzo, nigdy nie poznał nikogo lepszego od nich. Wydawali mu się ludźmi odważnymi i oddanymi sprawie, jakby ulepionymi z lepszej gliny, zdolnymi do urzeczywistnienia w praktyce i nie wpadając z tego

powodu w pychę, najwyższych zasad i wartości, takich jak wzorowe wypełnianie obowiązków, wierność, lojalność, zaangażowanie. U ich boku zrozumiał, że wykonywane zadania niekiedy kończą się trudnymi i nieprzewidywanymi konsekwencjami, tak jak to mogło być teraz z tym gońcem. I tak istotnie było: za ocalenie cywilizacji, wiary i zasad, za to, by dać odpór almohadzkiej nienawiści i ekstremizmowi, trzeba było zapłacić wysoką cenę.

Kiedy tak myślał, poczuł, jak skręcają mu się z nerwów wnętrzności. Poszedł do kuchni i ugryzł kęs kanapki, by wypełnić sobie czymś żołądek.

Pinardo skończył malować mu twarz, wykonując piękny ślad po nacięciu na jednym z policzków, podciągnął mu tunikę na wysokości brzucha i skropił jagnięcą krwią brzeg drugiej rany, która też nieźle mu wyszła.

Zaledwie godzinę później Diego leżał już na ziemi, czekając na pocztyliona. Panowała niemal zupełna cisza. Słychać było tylko pohukiwanie jakiegoś nocnego ptaka, polującego na swą ofiarę.

Leżał w niewygodnej pozycji, zjadały go nerwy i czuł pewną ulgę tylko wtedy, gdy owiewał go łagodny wietrzyk, który przemierzał wąwóz z północy na południe.

Wreszcie usłyszał jakiś odgłos. Było to słabe echo, które w coraz bardziej oczywisty sposób zamieniało się w stukot końskich kopyt. Zdaje się, że nadchodziła jego chwila.

Zaczął jęczeć i szlochać. Wzywał po arabsku imię Allaha, tak modulując głos, by przypominał jęk starca.

– Pomocy... – Diego, wijąc się z bólu, tarzał się po ziemi, utyłany w kurzu. – Proszę, pomocy...

Jeździec usłyszał krzyk i wymacał szablę.

– Kto tu?! – Jego groźny głos odbił się głośnym echem od wszystkich ścian wąwozu.

– Pomocy... potrzebuję pomocy. – Głos Diega brzmiał tak, jakby pochodził od ledwo żywego człowieka.

Jeździec zeskoczył z konia, gdy znajdował się parę stóp od Diega, i wyciągnął szablę w jego kierunku, na wypadek gdyby wykonał jakiś podejrzany ruch. Cała scena oświetlona była światłem księżyca. Mężczyzna zrozumiał, że to dobre miejsce na zasadzkę. Uważnie rozejrzał

się dookoła i stwierdził, że chyba nie ma w pobliżu zarośli, które mogłyby stanowić kryjówkę dla ewentualnych wrogów.

Wydało mu się, że coś rusza się w oddali. Rzucił w tę stronę kamieniem. W odpowiedzi tylko przestraszony szczur wybiegł ze swej nory.

Wykonał więc kilka kroków w stronę tego człowieka, który leżał na jego drodze. Zastanawiał się, czy lepiej go udusić, czy po prostu zostawić. Rozkaz był jasny: należało dostarczyć korespondencję do młodego tłumacza z Toledo, nie zatrzymując się ani na chwilę.

– Na Allaha, potrzebuję pomocy. – Diego wzmógł swój lament i udał suchy, duszący kaszel.

Rycerz ulitował się nad nim i podszedł bliżej.

Odsunął ze swej twarzy zasłonę, za którą ukazały się stalowe oczy. Miał władczą, pewną siebie postawę i wyglądał na bardzo silnego. Długa bródka „hiszpanka” i ostry wąsik wskazywały jednoznacznie, że jest to wyczekiwany posłaniec. Diego nie spuszczał oka z jego szabli.

– Co wam się stało? – Mężczyzna miał stanowczy głos i zdecydowane ruchy. Wciąż utrzymywał dystans między sobą a Diegiem.

– Błogosławiony niech będzie miłosierny Allah, który przywiódł tu was i postawił na mojej drodze. – Diego podniósł głowę i obrócił się tak, by tamten dostrzegł cięcia na jego twarzy i krew na ubraniu. – Okradli mnie, niech będą przeklęci. – Gestem pełnym bezsilności chwycił grudkę ziemi i zacisnął w dłoni.

– O kim mówicie, dobry człowieku?

– Bandyci... Napadli na mnie, zabrali wszystko, co miałem, i rzucili tu na ziemię, kopiając mnie, jakbym był psem.

Goniec przyjrzał się starcowi uważnie i wciąż nieufny, zapytał, skąd przybywa i dokąd zmierza.

– Wracałem właśnie z Úbedy, z towarem do mojego sklepiku, i tu na mnie napadli. Stamtąd pochodzę. – Wydał z siebie znów stosowny jęk i skulił się na ziemi, trzymając się za brzuch.

Ten ostatni manewr zadziałał. Mężczyzna schował szablę i podszedł, by mu pomóc. Kiedy nachylił się nad nim, Diego błyskawicznie wyciągnął sztylet schowany pod ubraniem, i nie pozostawiając tamtemu ani chwili czasu na reakcję, wbił mu go w szyję z całej siły, drugą ręką zatykając mu usta, by zdławić jego krzyk. Goniec próbował się

jeszcze krótko bronić, ale Diego zdołał to wytrzymać. Miał nadzieję, że udało mu się trafić w tętnicę. Zaczął liczyć do dziesięciu, nim go puści, ale już gdy doszedł do pięciu, mężczyzna padł na ziemię obok niego.

Diego odrzucił sztylet i patrzył na tego człowieka z niepokojem. Oddychał z trudem, dusząc się we własnej krwi. Oczy miał szeroko otwarte, w jego źrenicach malował się strach. Był jeszcze przytomny, choć jego spojrzenie powoli owiewała mgła śmierci. Diego poczuł żal z powodu tego, co się stało. Poczekał, aż umrze. Potem przeszukał jego ubranie i znalazł skórzaną sakwę, w której znajdowała się mała drewniana skrzyneczka inkrustowana miedzią i fałszywa przepustka pozwalająca na poruszanie się po Kastylii.

Otworzył skrzyneczkę. Był w niej malutki kawałek pergaminu zapisany drobnymi literkami. Schował go do skózanego woreczka, który powiesił sobie na szyi.

Wkrótce później odnalazł wejście do tak zwanej Czarnej Jaskini i pociągnął ciało w jej kierunku. Nie było to łatwe, zwłaszcza pod koniec, gdyż otwór prowadzący do jaskini znajdował się nieco powyżej poziomu drogi. Kiedy już wrzucił nieboszczyka do środka, zebrał nieco gałęzi, by przykryć wejście. Z pewnej odległości ocenił rezultat. Nic nie było widać.

Chwycił jego konia i ostrożnie, tak by nikt go nie zobaczył, wrócił do zamku. Jadąc, czuł jednak pewne wyrzuty sumienia.

– Gratuluję ci, Diego. Perfekcyjnie wykonałeś swoje zadanie. – Bruno domyślał się, co może się dziać w jego sercu. – W naszej robocie czasami trzeba sobie pobrudzić ręce, a być może nawet zrobić coś, co kłóci się z twoimi zasadami, wspominałem ci o tym. Ale nie dopatruj się grzechu we krwi, którą przelałeś, nie pozwól się tym zadręczać. Musisz to postrzegać jako pewien konieczny środek na drodze do celu, który jest dużo bardziej szlachetny.

– Szlachetny cel, powiadacie... Wątpię, czy zabójstwo może być...

– To jest wojna, pamiętaj o tym. Albo ty zabijasz, albo zabijają ciebie, w większości wypadków nie ma innej opcji. To są chwile grozy. To jest ziemia trwogi. Tu nie ma miejsca na sentymenty, na to, co teraz odczuwasz. Musisz być twardy. – Bruno spoważniał. – Śmierć tego człowieka uratuje wielu innych. W tej akcji niejednemu podarowałeś życie. Tak musisz na to patrzeć, nie w żaden inny sposób.

Bruno nalał mu szczerze wina i zadbał, by wychylił cały puchar.

– Zapomnij o tym, co się stało. Niechaj Bóg osądzi tego człowieka, jak również ciebie, w stosownym momencie. Nam wszystkim dany jest czas życia i czas śmierci.

V

Przyjazd Mencíi do Burgos wyzwolił u Marcosa prawdziwą spiralę emocji. Jego myśli znów krążyły wokół Diega. Samo wspomnienie o nim otworzyło piekącą ranę nie tak dawnej zdrady.

Kiedy opowiedziała mu, co przydarzyło się jego przyjacielowi w Cuéllar, ogarnęło go przerażenie, ale poczuł natychmiastową ulgę, dowiadując się, że jego grób był pusty.

Mencía przyjechała do niego przekonana, że w ten sposób odnajdzie Diega. Jakże się myliła. Nie przyszło jej do głowy, że Marcos nie wie nic o tym, co zaszło, a w dodatku, co gorsza, że go opuścił w najgorszym momencie życia.

Marcos, oczywiście, umiał wytłumaczyć przed samym sobą, dlaczego tak się stało. Snując przypuszczenia na temat negatywnych konsekwencji, które mogły go spotkać, gdyby tylko pojawił się w sądzie, opadł go tak potworny strach, że bał się tylko o swoje własne życie. Myślał, że zgnije w lochu jak Diego. I w czym mógłby mu wówczas pomóc? W niczym. Cuéllar potrzebował kozła ofiarnego i go znalazł. Jeden nic nieznaczący człowiek, jakim był on, nie mógł nic zrobić, by zmienić wyrok, który z pewnością i tak byłby skazujący dla jego przyjaciela.

– Poszukajmy go więc razem – zachęciła go. – Na pewno go znajdziemy.

– To nie takie proste, Mencío. Nie wiem, myślę, że powinniśmy się dobrze nad tym zastanowić, no i kto wie, od czego by tu zacząć. Poza tym weź pod uwagę, że mam pewne zobowiązania i...

Mencía zamilkła. Było jej przykro, że nie wykazywał większego

zainteresowania losem Diega. Poza tym odnosiła wrażenie, że Marcos nie mówi jej wszystkiego. Coś bardzo poważnego musiało zajść między nimi w czasie tych decydujących dni, inaczej by się tak nie zachowywał.

Mimo że czuła się bardzo rozczarowana, postanowiła kontynuować poszukiwania. Nawet samotnie. Ale żeby zacząć, potrzebowała jakiegoś śladu, jakiejś wskazówki. I najgorsze było to, że nic takiego nie istniało. Pomyślała, że w Burgos, jako stolicy Kastylii, powinien być jakiś rejestr, archiwum, gdzie przechowuje się najważniejsze dokumenty spisane w całym królestwie, a to, co stało się w Cuéllar, chyba należało do wydarzeń zasługujących na odnotowanie.

Marcos potwierdził istnienie takiego miejsca i poradził jej, dokąd ma się udać. Mencía dostrzegła w tym światelko nadziei. Być może wśród tych papierów znajdzie się jakaś informacja, jakiś ślad, który pozwoli dociec, co naprawdę zdarzyło się w czasie rozprawy, a zwłaszcza w okresie między rozprawą a wykonaniem wyroku.

Na razie dysponowała jedynie dwiema wskazówkami: o fałszywym pogrzebie na cmentarzu w Cuéllar i o istnieniu tajemniczych ludzi, którzy opłacili milczenie grabarza. Postanowiła rozpocząć poszukiwania od przejrzenia rejestrów więziennych, a potem dogłębnie przestudiować tekst wyroku.

Marcos obiecał jej pomoc w uzyskaniu nieograniczonego dostępu do dokumentów, co był w stanie uczynić przez swoje znajomości z rządzącymi miastem.

To jej wystarczyło. Bez zwłoki zabrała się do pracy.

Przez kolejne miesiące ciągnęły się długie i rozczarowujące procedury. Mimo wszystko jednak udało jej się coś odkryć, a to dzięki pomocy jednego ze znajomych Marcosa, *merinero* Kastylii o nazwisku García Rodríguez Barba.

Instytucja, na której czele stał ten człowiek, dysponowała dużymi wpływami politycznymi na dworze królewskim. Jej przedstawiciel miał prymat nad wszystkimi prawnikami królewskimi. Jako jeden z nielicznych podpisywał wszystkie dokumenty. Prawnicy dworscy, jej funkcjonariusze zajmowali się prowadzeniem drobnych spraw, ale i ściganiem sprawców poważniejszych przestępstw przeciwko koronie. I chociaż sprawa Diega nie leżała w ich kompetencjach, wieść o potwornej

zbrodni w prowincji Cuéllar dotarła i tutaj i była szeroko komentowana.

Mencía spotykała się z Garcíą Rodriguezem Barbą dwa, trzy razy w tygodniu. Pracował on we włościach przyległych do monasteru Santa María la Real de las Huelgas. Był to klasztor bliski pałacowi królewskiemu, wzniesiony na wyraźne życzenie samego króla Alfonsa VIII i jego żony Leonor. Ta piękna budowla miała się stać panteonem monarchów kastylijskich i głową żeńskich klasztorów cysterek w Kastylii. Jego blask i prestiż sprawiły ponadto, że szybko stał się miejscem odpoczynku i wyselekcjonowanym opactwem przeznaczonym do religijnej posługi córek wysokich rodów szlacheckich.

Dzięki jego przepastnym archiwom i pomocy *merinero* Mencía mogła przystąpić do odkrywania przeszłości, a nawet zaczęła łączyć pewne wątki.

– Marcos, chyba wreszcie wiem, kto mu pomógł.

Pewnego dnia Mencía wpadła niczym kometa do jego salonu, ucałowała go w policzek i rozsiadła się na kamiennym parapecie przy oknie, rozpromieniona uśmiechem.

– Jak to?

Marcos zamknął grubą księgę, w której zapisywał swoje rachunki, i spojrzał na Mencię wyczekująco. Była ubrana w dwuczęściową suknię w kolorze lila z bielą, ozdobioną kamykami na dekolcie, do tego miała przezroczystą woalkę. Wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Uplynęły już cztery miesiące, odkąd przyjechała do Burgos.

Mencía wyjrzała na ogród i wciągnęła w nozdrza delikatny zapach, jaki roztaczały jaśminy tuż przed zachodem słońca.

– Kalatrawensi! – oznajmiła głośno, przenosząc się na fotel.

– Macie na myśli ten niesławnej pamięci zakon zbrojny?

Mencía była zdziwiona. Przynosiła znakomite wieści, a Marcos wyrażał się tak niepochlebnie.

– Masz coś przeciwko nim?

– Nie, absolutnie nic. – Marcos starał się ukryć napięcie, jakie towarzyszyło mu, gdy w rozmowach pojawiał się temat Diega.

– Nie wiem, odniosłam wrażenie, jakby ci się nie spodobało to, co mówię. – Mencía niespokojnie podniosła się z fotela. – Przed chwilą

miałam w rękach rejestr zatrzymań i zwolnień z więzienia w Cuéllar. Wreszcie udało mi się go zdobyć! A to wszystko dzięki twojemu przyjacielowi. Biedak wciąż nie rozumie, jaki interes mam w tym swoim szukaniu, choć na początku opowiedziałam mu przecież o przyjaźni, która łączyła mnie z Diegiem.

– I co dokładnie udało się wam stamtąd wyciągnąć?

– W tych dniach zatrzymany został też pewien rycerz zakonu Calatrava, niejaki Bruno de Oñate. Wsadzili go za jakieś drobne przestępstwo, zdaje się, że obraził władze. Ze względu na zbieżność dat wszystko wskazuje na to, że mógł on poznać Diega, a nawet z nim rozmawiać w tych kazamatach. Lista zawierała też inne nazwiska więźniów wraz z przestępstwami, jakich się dopuścili: jakiś przydrożny złodziej, dwóch Maurów, którzy nie zapłacili podatku, i Żyd występujący pod przydomkiem „Mag”. Żaden z nich nie pasuje do opisu grabarza.

– Efraím! – przerwał jej Marcos. – Ten mag przyjaźnił się z Diegiem. Pamiętam go. To był dziwny, mroczny człowiek.

Mencía nałoga sobie szklankę wody. Drugą podała Marcosowi, ale on wolał napić się wina.

– Wypytywałam wszystkich o tego kalatrawensa, ale wydaje się, że nikt nic nie wie. Zniknął niczym duch! Zebrała poły swej sukni i znów przesiadła się w inne miejsce. – Nie rozumiem też, dlaczego, kiedy wymieniam nazwę tego zakonu, ludzie tak niechętnie reagują. Z tobą było podobnie. Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Marcos nie znał się zbyt dobrze na polityce. Interesowała go o tyle, o ile mogła wpłynąć na jego interesy, ale w tym wypadku było inaczej – sporo słyszał o tych mnichach.

– Kiedy nieprzyjaciel atakuje zamek, załoga ma, z grubsza rzecz biorąc, dwie możliwości. Bronić go aż do śmierci albo oddać w nienaruszonym stanie w ręce wroga, by tym sposobem przeżyć. Otóż kalatrawensi wybierają zwykle to drugie wyjście, zwłaszcza od czasu, kiedy padła twierdza Alarcos. Porzucili swoje fortyfikacje, aby ująć z życiem przed nawałą Saracenów. Od tamtej chwili mają złą sławę.

Mencía słuchała go, ale nie chciała wydawać pochopnych sądów. Interesowało ją w tej chwili tylko to, jak odnaleźć tamtego rycerza.

Nagle coś jej się przypomniało.

– Czy klasztor w Fitero nie jest kolebką zakonu Calatrava? Czy nie stamtąd się on wywodzi?

Marcos potwierdził.

– Kogo stamtąd znasz? Podaj choć jedno nazwisko! Przypomnij sobie czym prędzej! – twarz jej pojaśniała. – Zaraz napiszę do tej osoby z prośbą o pomoc. Tam będą wiedzieli, jak odnaleźć Bruna de Oñatę.

– Brat Jesús, kucharz. On dobrze zna cały zakon.



Setki mil na południe inna kobieta również rozmyślała o Diegu. Była to jego siostra.

Po raz pierwszy od szesnastu lat opuszczała Afrykę, by udać się do Sewilli – wśród innych członków wielkiej wyprawy kalifa al-Nasira. Był marzec tysiąc dwieście jedenastego roku. Mijało właśnie szesnaście lat, odkąd została wzięta w jasyr. Szesnaście długich lat.

Po dwóch gorących dniach podróży przez stały ląd dotarli wreszcie do morskiego portu Al-Dżadida, na północ od Marrakeszu, a pięć dni później ich statek wpływał przez ujście Gwadalkiwiru, by następnie podążyć dalej w górę rzeki i wreszcie zacumować w porcie stolicy al-Ándalus.

Kiedy Estela zobaczyła z pokładu statku to miasto, z miejsca się w nim zakochała. Zachwyciły ją jego żywiołowość, zapach, koloryt, ogromne budynki stoczni wznoszące się nieopodal.

Miała prawie trzydzieści lat i w zupełności zaakceptowała swój status nałożnicy kalifa, zwłaszcza że od kilku miesięcy była jego faworytą.

Wraz z nią podróżowała siostra kalifa, Najla, w ciemnym kwefie. Od dłuższego czasu księżniczka nosiła go nie tylko po to, by uchronić się przed męskimi spojrzeniami. Zasłona maskowała też potworne blizny, które pozostawiło użycie zatrutej henny. Jej twarz stała się niczym sucha, naciągnięta maska, co oszpeciło ją już na zawsze.

Nie udało się odkryć, kto był odpowiedzialny za to nieszczęście. Niewolnicę, która malowała księżniczkę, znaleziono martwą, podobnie

jak dwie inne kobiety, które tego dnia przygotowywały hennę. Brat księżniczki, al-Nasir, nakazał śledztwo, ale nie przyniosło ono żadnych rezultatów. Utknęło w martwym punkcie i po jakimś czasie pogodzone się z tym, że sprawa na zawsze pozostanie tajemnicą, niemal zapomnianą przez wszystkich – oprócz biednej Najli, która codziennie musiała spoglądać na swe potworne oblicze w lustrze.

– Czy wiesz, w jakim celu przybyliśmy do Sewilli? – zapytała księżniczkę Estela. Jej niebieskie oczy błyszczały zza czarnego kwefu niczym dwie gwiazdy. Kiedy czekała na jej odpowiedź, spostrzegła, że zbliża się ku nim Tijmud, jeden z imesebelenów.

– Mój brat pragnie wojny – odpowiedziała sucho Najla.

– Dostojne panie – przerwał im Tijmud – jestem w posiadaniu informacji wielkiej wagi.

– O co chodzi, mów szybko – poprosiła Estela.

– Dowiedziałem się od jednej z niewolnic, że...

Przeciągły, donośny dźwięk przerwał jego słowa. Ten sygnał oznajmiał o przyjeździe gubernatora Sewilli, brata al-Nasira i Najli. Obie kobiety spojrzały w kierunku młodzieńca przeskakującego z sąsiedniego statku na ich pokład. Szybko skierował się ku nim.

Tijmud dyskretnie się oddalił.

Przybysz był bardzo podobny do Najli. Miał delikatniejsze rysy niż jego brat, kalif, co odzwierciedlało jego pogodniejszy charakter. Ucałował siostrę, nie podnosząc zasłony na jej twarzy, i właśnie przedstawiał się Esteli, kiedy nadszedł al-Nasir. Bracia uściśli się i nawzajem pożartowali na temat wielkości swoich brzuchów.

Po tych powitaniach gospodarz zachęcił ich, by przyjrzeni się magicznej sylwetce miasta, usianego minaretami i drzewami palmowymi. Tymczasem rozpoczęto cumowanie okrętu.

– Nasz dziadek odmienił to miasto i uczynił je stolicą imperium. On to wznosił mury, które chronią je przed rzeką. Ich budowę zlecił najlepszym rzemieślnikom. Wykonali je ze żwiru i żywego wapna. Jego zasługą jest też budowa wodociągu. Jakby tego było mało, przerzucił przez rzekę nowy most i postawił Wielki Meczet. Zobaczycie też słynny Alkazar i bramę Yahwar – to również jego dzieła.

Gubernator zwrócił się do kobiet bardzo poruszony.

– Pokochał Sewillę tak, jak kalif kocha swą faworytę – i spojrzal na Estelę, natychmiast doceniając dobry gust swojego brata. Ta nieśmiało spuściła głowę.

Najla zwróciła uwagę na schodkowe nabrzeże biegnące po obu stronach rzeki. Zebrały się tam tysiące osób, wiwatujących na ich cześć. Jeszcze nigdy nie widziano w Sewilli tak ogromnej flotyli okrętów ani też takiego przepychu, jaki przybywał tu wraz z dworem kalifa.

Statkowi al-Nasira towarzyszyło trzydzieści innych. Wiozły pięćdziesiąt koni, około dwustu imesebelenów, cały orszak dworski, do tego sześćdziesiąt nałożnic i pięćdziesiąt niewolnic, naczynia, nakrycia i wszystko, czego potrzebowali, by spędzić długi czas z dala od Marrakeszu, wcale nie tęskniąc do domu.

Zachodnia bryza napięta nieoczekiwanie żagle statku. Przyniosła ze sobą rzeźkość dalekiego oceanu. Wdychając jej zapach, Estela poczuła, jak płyną jej łzy. Po tylu latach spędzonych w niewoli i poniżeniu po raz pierwszy czuła się nieco bardziej niezależna. Z tego miasta było już nie tak daleko do jej ziem, do jej bliskich. Poczwała, że jest w domu.

Kiedy ujrzała pałace Alkazaru, pomyślała, że nie może być nic piękniejszego na ziemi. Składało się na nie ponad dwanaście budynków, wzniesionych wokół licznych dziedzińców, połączonych przejściami naziemnymi i podziemnymi oraz zaułkami. Każdy dziedziniec miał inny charakter i porastała go inna roślinność. Na jednym pachniały jaśminy, na drugim lilie, a na trzecim bazylia. Poza tym każde patio miało inaczej udekorowane ściany, posadzki i łuki. Wzniesienie tej bajecznej rezydencji na gruzach starej konstrukcji omajjadów, zwanej al-Mubarak, było zasługą ojca al-Nasira.

Estela została zakwaterowana w pomieszczeniach sąsiadujących z komnatami księżniczki Najli oraz, oczywiście, z sypialnią kalifa. Kierując się radami siostry kalifa, odwiedzała jego łóżce i pozwalała mu się kochać, choć nie sprawiało jej to żadnej przyjemności.

Tę natomiast odnalazła w przepysznych pałacowych ogrodach. Starła się rozkoszować nimi w całej pełni. Cieszyła się ze zmiany miejsca pobytu i z tego, że nie musi wciąż tkwić zamknięta w haremie w Marrakeszu. Przechadzając się, słuchała szmeru fontann, oglądała swe odbicie w sadzawkach i słuchała śpiewu jaskółek i słowików.

Gdy podczas drugiego tygodnia pobytu odbywała jeden ze swych spacerów, spotkała przelotnie Tijmuda, któremu udało się wymknąć z koszar. Przybywał, by ją ostrzec.

– Pani...! – zawołał ją, kryjąc się za wysokim pnem wiciokrzewu, który rósł przy jednej ze ścian.

Odwróciła się, nie wiedząc, kto ją wzywa.

– Tutaj! Z tyłu...

Estela dostrzegła imesebelena i ostrożnie podeszła w jego kierunku.

– Co się stało, Tijmudzie?

– Zbliżcie się ku mnie. Muszę wam powiedzieć coś ważnego: to, czego nie zdołałem przekazać na statku. Pamiętacie?

Nagle usłyszeli jakieś głosy, które niosły się po dziedzińcu. Estela przestraszyła się. Obawiała się, że zostanie zauważona w towarzystwie tego mężczyzny i aby tego uniknąć, popchnęła go zdecydowanym ruchem pod wiciokrzew i weszła sama za nim.

Ukryli się. Z uwagą obserwowali zza gałęzi, co się dzieje, i jakież było ich zaskoczenie, kiedy zobaczyli samego kalifa, który rozmawiał z Pedrem de Mora.

– Albo zrobimy to tej wiosny, albo będziecie mieli poważne problemy z niejednym ze swoich gubernatorów, wierzcie mi – tłumaczył don Pedro. – Dowiedziałem się, że wielu układa się z królami chrześcijańskimi, a nawet niektórzy im płacą w zamian za pokój. Jak widzicie, sytuacja jest krytyczna i coraz bardziej przypomina czasy sprzed znakomitej konkwisty almohadzkiej, kiedy to gubernatorzy sami mianowali się królami swoich małych taif.

– Król Aragonii atakuje nam Walencję – al-Nasir właśnie otrzymał wieści z Lewantu – a co najgorsze, chyba udaje mu się posuwać naprzód. Niestety, najwyraźniej już zapomniał, jakie cięgi od nas otrzymał w zeszłym roku w Barcelonie. A król Kastylii, pewnie w porozumieniu z tamtym, wydarł nam kilka pogranicznych miejscowości wraz z ich zamkami. – Spojrzał w niebo, ufny, że Allah dopomaga mu w jego przedsięwzięciu. – Trzeba ich zaatakować, Pedro. Teraz jest ta chwila. Musimy się przygotować, by zadać im ostateczny cios. Kilka dni temu miałem wizję. Prorok mnie natchnął.

Pedro de Mora spojrzał mu w oczy. Przejrzysty błękit tego spojrzenia

był niczym otwarte okno, przez które widać najskrytsze myśli. Al-Nasir dalej opowiadał mu o swoim objawieniu:

– Otrzymałem od niego wielkie zadanie: całkowicie zmieść chrześcijan z półwyspu. Wygnać niewiernych z ziem, które za czasów naszych przodków również należały do al-Ándalus. I rozkazał mi, bym potem przemierzył Pireneje i dotarł aż do Rzymu. Władza Allaha sprawi, że tamtejszy papież odda mi miasto i wręczy klucz do swego Kościoła. Zawsze Sprawiedliwy, Najpotężniejszy mi to objawił... – złożył swoje ręce na piersi i podniósł wzrok. – Dźwigam na swych barkach wielkie, szlachetne brzemię odpowiedzialności i nie spocznę, dopóki nie zobaczę, jak chrześcijaństwo leży na zawsze zgładzone z mojej ręki, Pedro...

Podniósł ramiona w górę i potrząsnął nimi, rozentuzjasmowany własnymi słowami. Potem wygładził sobie starannie szatę i przybrał spokojniejszy ton.

– Dlatego też musimy brać pod uwagę długą kampanię, a wy odegracie w niej decydującą rolę.

Pedro de Mora zapytał, co ma na myśli.

– Musicie doprowadzić do złamania jedności między północnymi królestwami. Niechaj się poróżnią. Podsyć wzajemne niesnaski między nimi, jak już zrobiłeś w przeszłości z Nawarrą. Gdyby udało im się zjednoczyć, nie damy rady ich pokonać. Jeśli jednak nadal będą działać przeciwko sobie, my wygramy, a oni przeżuwać będą gorycz kłeski.

– Udam się do królestwa Leónu. Tamtejszy monarcha mnie ceni i wiem, że nadal jest skłócony ze swym kuzynem, Alfonsem Kastyljskim. Postaram się przeniknąć na jego dwór, jeszcze bardziej podburzyć stosunki tam, gdzie już są nadwyrężone, doprowadzić do konfrontacji.

Pedro de Mora wykazywał całkowitą obojętność na wszelkie religie. Nie rozumiał ich, a w Boga nie wierzył. Jego jedynym bożkiem było bogactwo. Gonił za łupem, ogromną fortuną, która wpadnie w jego ręce, jeśli al-Nasir zrealizuje swoje plany. Gdyby Pedro nie opuścił chrześcijan, nigdy by tak daleko nie zaszedł. A teraz w swych marzeniach widział już, jak Alfons VIII, rozbity przez wojska Almohadów, całuje mu stopy, jak klęczy przed nim w pozie całkowitego poniżenia.

Al-Nasirovi pomysł wyjazdu do Leónu się spodobał.

– Ten plan bardzo mnie przekonuje. Tak czy inaczej, postarajcie się tu wrócić we wrześnie. Będziecie mi tu potrzebni do wsparcia pierwszego ataku. To, co przygotuję, bardzo ich zaboli. Trafimy ich w samo serce, zapewniam was.

Przeszli na następny dziedziniec i dzięki temu Estela z Tijmudem mogli wreszcie wyjść ze swej kryjówki. Oboje wiedzieli, jakie ryzyko ponoszą, jeśli natychmiast się nie rozstaną. Imesebelen czym prędzej zaczął mówić.

– To on... Pedro de Mora... – chwycił ją za rękę, by mu nie przerywała. – Jedna z niewolnic widziała, jak tego dnia dodał czegoś do henny. Milczała, bojąc się zemsty tego człowieka, bo wystarczy spojrzeć, jak skończyły inne służące. Jednak jakiś czas temu nabrała do mnie zaufania i opowiedziała mi wszystko, co wie.

– Co za kanalia... – naburmuszyła policzki Estela. – Ale dlaczego miałby chcieć zamordować księżniczkę Najlę. To straszne!

– Błąd. To wy miałyście paść jego ofiarą, nie księżniczka.

– Naprawdę?

– I spróbuje znowu, po raz kolejny.

Estelę przeszył dreszcz.

– Uważajcie na siebie. Proszę cały czas być ostrożną. Będę się starał was chronić, ale wciąż miejcie się na baczności.

VI

Podczas tego długiego lata tysiąc dwieście jedenastego roku szeroko rozchodziły się wieści o wojnie między północą a południem. Słowa takie jak „rekonkwista”, „święta wojna”, „wiara” i „wyprawa krzyżowa” były na ustach wszystkich.

Kiedy zebrano zboże z pól i spadły pierwsze wrześnieowe deszcze, jedni z rozczarowaniem, inni z ulgą mówili, że walki rozpoczną się dopiero na wiosnę, gdy łąki znów zazielenią się młodą trawą.

Oba wojska czyniły tymczasem przygotowania.

Wśród ulewnych deszczów, podmokłych pastwisk i niemal nieprzebytych bagien forteca Salvatierra, osadzona na swej niewielkiej przełęczy, przyjęła ten początek jesieni bieganiną i wrzawą. Słusznie mówiono, że ona nigdy nie śpi.

Z Toledo nadchodziły bardzo stanowcze rozkazy. Mieli niszczyć nieprzyjaciela, nękać jego pozycje, paść zbiory i spichlerze, pustosząc sady i kradnąc bydło. Ten sposób walki, nazwany „jałową ziemią”, rozprzestrzenił się na południe, nie napotykając specjalnego oporu ze strony Saracenów. Nikt nie wiedział, dlaczego Maurowie tak słabo przykładają się do obrony swoich pozycji.

Pod koniec września Salvatierra przyjęła ważnych gości. Była to wielka niespodzianka dla Diega i początek jego kolejnej, ważniejszej już, misji.

– Pragnę się widzieć z Diegiem de Malagón! – rozkazał przybysz po spotkaniu z Brunem de Oñate. Zjawił się w eskorcie dwudziestu uzbrojonych po zęby rycerzy.

– Zaprowadzę was. – Kasztelan, choć zdziwiony, poprowadził go

za sobą po malutkich schodkach, które tonęły w ziemi i wydawały się nie mieć końca.

Przeszli przez ciemności, aż dotarli do końca słabo oświetlonej galerijki, gdzie znajdowały się stare drewniane drzwi. Zaskrzypiały, jakby od lat nikt ich nie otwierał. W środku było duszno. Potężny snop światła wpadał przez świetlik w suficie. Tyłem do drzwi wejściowych siedziało trzech mężczyzn, pilnie kaligrafując coś malutkimi literkami na kawałkach pergaminu o rozmiarach nie większych od wiśni. Jednym z nich był Diego. Przybysz podszedł do niego i chwycił go za ramię.

– Kimkolwiek jesteś, zaczekaj. Muszę skończyć zdanie, nie mogę przerwać go w połowie.

Nie sprawdzając, o kogo chodzi, Diego zamoczył czubek cieniusieńkiego piórka jaskółki w kałamarzu i na tym maleńkim skrawku pergaminu dopisał jeszcze trzy słowa i dorysował dwa symbole. Czynił to pod uważnym spojrzeniem gościa, który nie znał tego języka. Kiedy skończył, zdjął z twarzy gruby szklany okular, który pomagał mu zwiększyć pole widzenia, i zwrócił się w kierunku tego, kto chciał z nim rozmawiać.

– Co za spotkanie! Nie mogę w to uwierzyć! – uściśnął mu rękę Diego, uradowany jego przybyciem.

– Ja też nie! Wyobraź sobie, że wszyscy nadal uważają cię za zmarłego. No, może nie wszyscy, ja śledzę twoje kroki, odkąd zawisłeś na szubienicy.

– Proszę, proszę. Don Álvaro Núñez de Lara w Salvatierze! Jakże się cieszę.

Diego poprosił, by usiadł, i zapytał, jak się miewa jego małżonka, doña Urraca, dzieci oraz szwagier, pan ziemi biskajskiej.

– Wszyscy zdrowi, dziękuję. Jestem ci dozgonnie wdzięczny za to, co uczyniłeś.

– Ależ nie wiem nawet, o co chodzi?

– O ten meldunek, który udało ci się przechwycić. Pamiętasz już?

Myśli Diega pobiegły ku wąskiej przełęczy nieopodal portu Muradal, gdzie zabił Saracena. To wspomnienie miało gorzki smak.

– Tak, tak. Oczywiście.

– Dzięki twojej robocie zdołaliśmy zniszczyć najważniejszą siatkę szpiegowską, jaką dysponował al-Nasir w całej Kastylii i Aragonii. Tej

wiadomości nie udało się co prawda w całości odszyfrować, bo zawierała nowe symbole i nie mieliśmy klucza. Ale rozpoznaliśmy jedno imię i nazwę miasta, Arévalo. Dzięki temu dotarliśmy do pierwszego szpiega, a po nim wpadli następni, w sumie dwudziestu. Całkiem niedawno zatrzymaliśmy ostatnią trójkę w Valladolid. – Tu zrobił małą pauzę. – To jest największa operacja, jaką pamięta Kastylia. Brakuje nam tylko ich szefa. To tajemniczy typ, którego jeszcze nikt nigdy dotąd nie widział. Nie znamy ani jego imienia, ani miejsca zamieszkania. Co za koszmar.

– Któregoś dnia popełni jakiś błąd i wtedy go złapiemy. Zobaczycie – powiedział Diego. – No właśnie, nie wiem jeszcze, czemu za wdzięczam waszą wizytę.

– Chorąży Kastylii – a taką funkcję pełnię – jest bezpośrednio odpowiedzialny za tę twierdzę, łącznie z podejmowanymi przez nią misjami. Powiedzmy, że jestem pośrednikiem między wami a królem. Bruno de Oñate składa mi meldunki o tym, co się tu dzieje, a ja, u boku króla, planuję kolejne misje. Wiedziałeś o tym?

Diego zaprzeczył.

– Słuchaj więc. Następne zadanie będzie najważniejsze ze wszystkich, jakie dotąd zostały zlecone. Dlatego tu jestem. Dowiesz się, co mam na myśli, gdy już porozmawiam z twoim zwierzchnikiem o roli, jaka przypadnie ci w udziale. Ale już teraz mogę ci powiedzieć, że będzie ona decydująca. Niebawem cię powiadomimy.

Dwie godziny później Diego zwrócił się o pozwolenie na wstęp do małego pomieszczenia przylegającego do zbrojowni. W tym ustronnym miejscu czekali na niego Bruno de Oñate i Álvaro Núñez de Lara.

– Zamknij drzwi i siadaj – rozkazał Bruno.

– Czy znasz Sewillę? – Don Álvaro rozpostarł plan miasta na stole.

– Osobiście nigdy tam nie byłem, ale nauczyłem się tego planu na pamięć w najdrobniejszych szczegółach, podobnie jak Kordoby i Granady. Wiem, jak nazywają się ich ulice, place i meczety, pamiętam, gdzie zlokalizowane są główne budynki.

– Znakomicie, Diego. Teraz będziesz musiał się nauczyć ich rozległej sieci kanałów. – Don Álvaro rozłożył kolejny skomplikowany schemat, który nałożył na poprzedni plan. – Będzie ci to potrzebne, aby

przeniknąć do pałacu al-Nasira. Wiemy, że mieszka teraz w Sewilli, i to jest najdogodniejsza okazja.

– Wybaczcie, nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Powiadacie, że mam się dostać do posiadłości samiuteńskiego kalifa?

– Dokładnie tak – zabrał głos Bruno – dobrze usłyszałeś. Twoja misja będzie polegała na zdobyciu jego najdroższego Koranu.

– Koranu?

Don Álvaro przysunął mu rysunek, na którym widniała jakaś księga. Jej okładka była pokryta niezliczonymi arabeskami i figurami geometrycznymi, a pośrodku błyszczał wielki zielony kamień.

– I to nie byle jakiego! Musisz odnaleźć ten Koran! Najbardziej ukochany przez al-Nasira, jego księgę. Jedyne egzemplarz.

– Mam narażać swoje życie, żeby ukraść jakąś książkę?

– Nie ukradniesz jej. Gdybyś to zrobił, zdradzimy się ze swoimi zamiarami i nasz ostateczny cel się wyda. Posłuchaj, lepiej ci to wytłumaczę. Wiemy, że al-Nasir ma w zwyczaju chować między kartami tego Koranu wiele swych sekretów i strategicznych planów. Nasz ambasador niedawno to zauważył i dowiedział się od innych ludzi, że jest to ulubione przez kalifa miejsce przechowywania najważniejszych dokumentów. Traktuje go niczym sejf. Powiadają, że przyczyny są mistyczne, być może kieruje się pragnieniem, by sam Allah pobłogosławił jego projekty? Tego dokładnie nie wiemy.

– Kiedy już go zdobędziesz, przeszukasz wszystkie dokumenty, które tam będą, po kolei jeden po drugim. I tu właśnie dochodzimy do odpowiedzi na pytanie o niezbędną twojego udziału, a mianowicie: będziesz musiał nauczyć się ich na pamięć – dodał don Álvaro. – Twoje nadzwyczajne zdolności zapamiętywania tekstów sprawiły, że zostałeś wybrany do realizacji tego zadania.

Teraz głos zabrał Bruno de Oñate, by przekazać mu pierwsze szczegóły operacji.

– Wiemy, że na jednym z dziedzińców Alkazaru znajduje się ujście kanalizacji; to bardzo blisko komnat kalifa. To będą wrota, przez które się tam dostaniesz. A potem, w stosownym przebraniu, będziesz mógł się poruszać między pomieszczeniami.

Diego był przytłoczony trudnościami, jakie nastęrczało to zadanie.

– Nie wiem, czy będę w stanie tego dokonać...

– Trzy lata się uczysz, uczestniczyłeś w wielu misjach, w każdej z nich wykazałeś się odpowiednimi umiejętnościami i zawsze udało ci się zachować zimną krew – pocieszył go Bruno. Dasz sobie radę.

– Ja też tak uważam – dodał don Álvaro.

– Masz tydzień, licząc od dzisiejszego dnia, na przygotowania. Przystudiujemy całą operację krok po kroku – dokładnie tak, jak będziesz postępował. Przećwiczymy to z tobą tyle razy, ile będzie trzeba. W Sewilli pomoże ci jeden z naszych najlepszych ludzi. Nie martw się, wszystko będzie dokładnie przygotowane i obliczone. Nic złego nie ma prawa się wydarzyć.

Diego nerwowo potarł rękę. Miał mnóstwo pytań, choć czuł, że to nie jest odpowiedni moment na ich zadawanie. Jedno pytanie jednak padło.

– Czy wiemy, gdzie trzyma tę książkę?

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Każdy z nich miał nadzieję, że odezwie się ten drugi.

– Nie odpowiadacie. Ja sam muszę ją znaleźć, czy tak?

VII

Diego cicho szeptał do Sabby. Prosił ją, by od tej chwili zachowywała się bardzo spokojnie. Zrozumiała go i dyskretnie chrapnęła.

Stali nad brzegami rzeki Tagarete, w miejscu, gdzie jej wody zbiegają się z wodami Gwadalkiwiru. Byli u bram Sewilli. Tu czekali na pierwszego łącznika.

Diego w roztargnieniu patrzył na niesamowity spektakl, jaki rozgrywało słońce nad czterema miedzianymi kopułami wieńczącymi strzelisty minaret meczetu. Wyglądało to jak wielka latarnia morska, której światło można było dostrzec na ponad dwie mile od miasta.

Diego przejechał przez al-Ándalus wśród tuzina dorodnych klaczy rasy andaluzyjskiej, podając się za hodowcę koni. Po drodze nie napotkał większych trudności. Tych nastreczył tylko przejazd przez Muradal, gdzie ekspedycja kalatrawensów musiała najpierw oczyścić mu drogę.

Spojrzał na pobliski zegar słoneczny zamontowany na wieży stojącej nad rzeką i ze zdziwieniem stwierdził, że jest już południe – umówiona godzina, a nikt jeszcze nie przybył.

Nagle dobiegł go głos.

– Pomarańcze są teraz gorzkie... – Głos należał do człowieka w turbanie i niebieskiej tunice.

– Ja też wolę te zimowe.

Dzięki tej odpowiedzi się rozpoznali.

– Zapraszam do mego domu, ale wcześniej wam pokażę, gdzie znajdują się trzy wielkie kanały, które uchodzą do strumienia – i wskazał palcem punkt, który znajdował się bardzo blisko nich. – Ten pierwszy,

widzicie? Nazywają go Bydłęcym. Ten drugi, następny, tradycyjnie nazywano Świętego Bernarda. A ten ostatni, blisko starych rur, które wciąż doprowadzają wodę do miasta, nosi nazwę Kłębów.

– Pójdę tym pierwszym, jego ujście wypada najbliżej Alkazaru. A teraz chodźmy stąd; stoimy na widoku, a poza tym jestem strasznie głodny.

– Tak więc: za mną! Mój pseudonim to Błękitna Czapla.

W sąsiedniej wiosce Coria, na lewym brzegu rzeki Gwadalkiwir, człowiek ten posiadał młyn i liczne zabudowania. Ukryli tam konie i zasiedli do stołu. Jedząc, opracowywali jednocześnie następne kroki.

– Ja jestem tylko łącznikiem – usprawiedliwił się Błękitna Czapla. – Teraz w Sewilli będziecie musieli odnaleźć Dzikiego Lisa. Ja nie mogę wam już w niczym więcej pomóc, gdyż ze względów bezpieczeństwa nawet nie znam miejsca jego zamieszkania. W ten sposób chronimy się przed zatrzymaniami – na wypadek, gdyby wpadł któryś z naszych.

– Nie kłopotz się, wiem, gdzie go szukać. On dostarczy mi plany Alkazaru. Tak czy inaczej, widziałem liczne wojska u bram miasta. Nie wiesz czasem, co się takiego dzieje?

– Chodzą słuchy, że atak na Kastylię jest nieuchronny. Dzikie Lis chce jednak potwierdzić te informacje, aby na darmo nie niepokoić Salvatierry. Jego zapytajcie. Ja nic więcej nie wiem.

W trakcie posiłku omówili ustalenia, jakie Błękitna Czapla poczynił na temat owego tajemniczego szefa almohadzkiego wywiadu. Przypisywano mu kastylijskie pochodzenie, ale nic konkretnego na jego temat wciąż nie było wiadomo. Diego nie żałował sobie pysznych ryb z kapustą i marchewką. Nieprędko go przecież czeka kolejny ciepły posiłek. I tak, w towarzystwie aromatycznego wina, czas im przyjemnie upłynął aż do późnego popołudnia.

Na chwilę przed opuszczeniem tej wioski Diego spojrzął na kontur miasta zarysowujący się przed jego oczyma. Był świadom, że od tej chwili czeka go najtrudniejsza część zadania. Teraz naprawdę wkroczył do akcji.

Poprawił sobie przebranie, w którym zamierzał działać. Poszedł bulwarem nadrzecznym, aż dotarł do Sewilli. Przeszedł przez nowy most i skierował się do Bramy Wodnej.

Diego nie obawiał się, że zostanie rozpoznany. Kwef całkowicie osłaniał mu twarz, pozostawił sobie jedynie wąską szparę na oczy. Pod powłóczyście szatą miał obcisły kaftan, a pod nim dwa kłębki bawełny udające kobiece piersi. Patrząc na niego, nikt nie mógł powątpiewać, że to dziewczyna. Wiódł za sobą osiołka, obwieszzonego glinianymi dzbanami wypełnionymi wodą. To nie pozostawiało wątpliwości, czym się zajmuje.

– Dokąd zmierzasz, kobieto? – zatrzymał go wojskowy strażnik.

Diego przyłożył rękę do ust, dając do zrozumienia, że jest niemową.

– Ach, nie możesz mówić, rozumiem. Pokaż no, co ty tu wiesz. Odetkał dwa dzbany i sprawdził, co jest w środku. Upewniwszy się, że to tylko woda, odsunął się na bok. – Możesz iść.

Diego przekroczył bramę o łukowatym sklepieniu i szybko podążył w lewo, ku wąskiej uliczce. Nim ta dobiegła do muru, skręcił z kolei w prawo, w następną, wytyczoną dość nieregularnie, a następnie minął po przekątnej mały placyk, znany mieszkańcom ze swych chętnie odwiedzanych łaźni. O dwie przecznice od niego, na prawo, tuż za kolejnym, mniejszym placikiem, powinien być ślepy zaułek, a na końcu zaułka dom Dzikiego Lisa.

Jednak gdy już chciał pokonać ostatni placyk, jak gdyby nigdy nie zatrzymał go jakiś starzec, chcąc kupić dzbanek wody.

– Co z ciebie za woziwoda? Co ty tam sprzedasz, skoro wcale nie nawołujesz?

Diego znów wykonał gest, z którego wynikało, że nie może mówić, i nalał mu wody do naczynia.

Starzec ją wypił jednym haustem.

– Woziwoda – niemowa. To mi źle pachnie. – Splunął na ziemię i poprosił o drugi dzbanek. Potem wyszukał dwie monety i zapłacił. Diego zaczął się niepokoić, czując na sobie rosnącą presję jego spojrzenia. Pochylił głowę, by starzec nie patrzył mu w oczy, błagając go w duchu, by poszedł już sobie jak najprędzej.

Tak też się stało.

Wkrótce potem był już na wewnętrznym dziedzińcu domu kolejnego

łącznika. Kalatrawens przywitał go w stanie dużego wzburzenia, ale Diego, przeciwnie, poczuł się w jego towarzystwie znacznie spokojniejszy. Jego twarz wydała mu się znajoma.

– Musicie się o tym dowiedzieć czym prędzej! – potrząsnął Diegiem, jakby od jego słów zależało całe życie – To nieszczęście!

– Ale... o co chodzi? – Diego zdjął swój kwef i pomógł mu się uspokoić.

– Właśnie się dowiedziałem, że kalif szykuje się do ataku na Salvatierre! A co najgorsze, już jest w drodze.

– Jak to? Nie spotkałem po drodze żadnych wojsk oprócz tych, które stacjonują na polach przed miastem.

– To są ostatni. Reszta poszła inną trasą, zdaje się, że przez Jaén. Tam dołączą do oddziałów, które przyjechały z Afryki.

Diego zapytał, czy już wysłał meldunek z ostrzeżeniem.

– Właśnie miałem to zrobić. Chodź ze mną, szybko.

Diego zostawił osiołka na patio i zebrał poły swej szaty, by łatwiej mu było wbiec po schodach na płaski dach domu. Na jednym z jego rogów zobaczył mały gołębnik z nie więcej niż tuzinem ptaków w środku.

Nim zajął się gołębiem, mężczyzna przypomniał sobie, że nie dał jeszcze Diegowi planów pałacu kalifa.

– Trzymaj, żebym nie zapomniał. Tu znajdziesz komnaty zajmowane przez kalifa, są zaznaczone niebieskim krzyżykiem. W każdej z nich może być książka, której szukasz. Czerwone krzyżyki oznaczają pomieszczenia osobistej ochrony kalifa. Tych się strzeż. Wiele kosztowało mnie zdobycie tego planu, ale mam nadzieję, że było warto ryzykować. No i na koniec chcę ci przypomnieć, że aby opuścić Sewillę, musisz tu do mnie wrócić. Przygotuję dla ciebie nową tożsamość i stosowne ubranie.

– Oczywiście, pamiętam. Liczę na ciebie.

Diego schował plan w wewnętrznej kieszeni swej szaty i patrzył, jak tamten postępuje z gołębiami. Ponieważ działał za szybko i nerwowo, jeden gołębek właśnie mu uciekł, a drugi zamierzał zrobić to samo. Mężczyzna zdołał jednak uchwycić go za kark.

W końcu wybrał najsilniejszego gołębia i zaczął przywiązywać do jego nogi mały skrawek pergaminu, wciąż mówiąc o nieszczęściu, jakie czeka Salvatierre, jeśli wiadomość nie dotrze na czas. Sprawa była tak

pilna, że nie mógł teraz poświęcić ani chwili na zastosowanie jakiejś pewniejszej metody komunikacji, na przykład ułożenie kodu za pomocą cylindra szyfrującego. Gołębicą miała szansę dolecieć szybciej, niż zjawi się nieprzyjaciel.

Z dachu Diego obserwował okolicę. Znajdowali się na lekkim wzniesieniu, tak więc widok na miasto, który się stąd roztaczał, był imponujący. Niedaleko było też do meczetu, a więc i do Alkazaru – nawet majaczyły w oddali ząbkowane blanki i fragment murów.

Na niebie pojawiły się różowo-pomarańczowe smugi, a słońce zaczęło powoli znikać za horyzontem, kiedy Diego usłyszał jakieś głosy. Spojrzał w dół. Na placu kilku mężczyzn śpiewało, a kobiety im kłaskały. Wszystko wydawało się w porządku.

Odrzucił się w stronę Dzikiego Lisa, który skończył już umocowywać wiadomość u nóżki gołębic i właśnie wypuszczał ptaka w najważniejszą z jego podróży.

– Leć, maleńka – powiedział jej do ucha. – Mknij prędko niczym wiatr, niechaj on cię wspomaga. Odganiaj złe wiatry, omijaj burze i szybko osiągnij cel.

Puścił gołębia, a ten mocno zamachał skrzydłami. Osiągnął odpowiednią wysokość i kilka razy okrążył dom. Obaj patrzyli, czekając, czy wybierze właściwy kierunek i zdecyduje się w końcu lecieć na północ. Ale w tym momencie pojawił się dużo większy cień. Zbliżał się z szatańską szybkością, poruszając się znacznie prędzej od biednego gołąbka.

– A to co? – zapytał Diego.

– O nie! To sokół! – mówiąc to, kalatrawens aż się zakrztusił. – To znaczy, że nas przejrżeli... Musimy uciekać! – krzyknął na cały głos.

Zobaczyli brutalny atak drapieżnika na gołębia i jak wzbija się do lotu, niosąc zdobycz w swych pazurach. Po polowaniu pozostała tylko chmura piór. Diego śledził wzrokiem lot sokoła i z przerażeniem stwierdził, że zakończył się on na placu przed domem. Stała tam grupka żołnierzy. Jeden z nich chwycił sokoła dłonią w skórzanej rękawicy. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Teraz nie było już żadnej wątpliwości. Sytuacja stała się krytyczna.

Coś przemknęło mu tuż obok policzka. Odsunął się instynktownie. To była strzała.

– Którędy uciekamy? – zapytał Dzikiego Lisa.

Odrzucił się i musiał wyciągnąć ręce ku swemu towarzyszowi, by tamten nie upadł. Ze zgrozą dostrzegł, że strzała, przed którą on się uchylił, dosięgła Dzikiego Lisa. Przeszyła mu oko i dotarła do mózgu. Biedak już nie żył.

Diego zostawił go leżącego na ziemi. Z dołu dobiegł go chór głosów. Rozejrzał się wokół, szukając drogi ucieczki. To nie było przewidziane, ale nie miał teraz czasu, by narzekać ani też, by się dalej wahać.

Podbiegł do krawędzi dachu i ocenił sytuację. Niedaleko był drugi, niższy budynek, ale odległość między nimi wydawała mu się jednak zbyt duża. Nim się zdecydował na skok, sprawdził, czy nie ma innej drogi ucieczki. Niestety, nie było. Podniósł swą szatę aż po pas, zawiązał w duży węzeł, schował kwef do torby i wziął rozbieg, by pokonać przestrzeń dzielącą oba budynki.

Kiedy był już w powietrzu, mimo ogromnego wysiłku, jaki włożył w ten skok, wydawało mu się, że nie doleci do celu. Czuł, jak cała krew gromadzi mu się w nogach, by wydusić z nich jeszcze większy wysiłek. Gdy był już o dwie stopy od krawędzi drugiego dachu, rozbolały go skronie, zapewne od tego, że mocno zaciskał szczęki. Niemal nie odychając, wyętzając wszystkie siły, osiągnął dach drugiego domu. Natychmiast poczuł wokół siebie deszcz strzał. Starając się ich unikać, przeskoczył na kolejny dach, niższy i przylegający do tamtego. Poślizgnął się na dachówkach, raniąc się w ręce i nogi. Spojrzał w tył i zobaczył dwóch żołnierzy biegnących za nim. Jeden z nich właśnie wykonał skok i był już na dachu budynku. Drugi zawisnął na krawędzi, ale też już się wdrapywał na górę, wykrzykując coś w jego kierunku.

Diego ocenił odległość dzielącą go od ziemi i nie widząc nikogo na ulicze, skoczył bez wahania. Stamtąd rozpoczął szaleńczy wyścig wśród labiryntu uliczek, które zdawały się prowadzić donikąd. Zapadał już zmrok i w ciemnościach wszystkie wydawały się do siebie podobne, ale Diego wybierał drogę, kierując się nie ich wyglądem, ale planem, jaki miał w głowie, niemal bez zastanowienia podejmując decyzję, którymi pobiec, a których unikać.

Słyszając, że się zbliżają, rozważył, jakie ma możliwości. Powrót do bram miasta oznaczałby samobójstwo, bo strażnicy zostali z pewnością

poinformowani o jego ucieczce i tylko na niego czekali. Pomyślał o kanałach i to nie było złe rozwiązanie, choć najbliższy władz został z tyłu i nie mógł już do niego wrócić. Nie pozostawało mu na razie nic innego, jak tylko zwiększyć szybkość, by przynajmniej trochę oddalić się od swych prześladowców.

W jednej uliczce zobaczył meczet i zaczął się zastanawiać, jakie inne budynki spotka jeszcze na swej drodze i który z nich może mu posłużyć za przejściową kryjówkę. Kiedy tak oceniał ich przydatność, rozpatrując jeden po drugim, przyszło mu do głowy genialne wyjście.

Oszacował, że o jakieś trzy przecznice stąd powinien się znajdować pałac ambasadora Persji i pomyślał o Benazir. Przed laty słyszał, że wróciła do Sewilli po rozstaniu z Galibem. Było to co prawda dawno temu, mogła tu przebywać albo i nie, ale uznał za jedyny ratunek.

Zakwefił się i tak szybko, jak tylko mógł, pobiegł do bramy tego pałacu. Zastukał, by mu otwarto, nie patrząc za siebie. Jednak nikt nie otwierał. Zastukał znowu, tym razem wielką kołatką w kształcie głowy pantery. Czekał, ciężko dysząc. Wszystkie mięśnie miał napięte. Nikt nie otwierał. Poszukał jakiegoś schronienia i zauważył dwie duże beczki oparte o ścianę. Dobiegł do nich i tam się ukrył. Po chwili zobaczył tych dwóch, którzy go gonili, a za nimi biegło jeszcze z tuzin kolejnych. Wszyscy minęli go, a wtedy Diego opuścił swą kryjówkę i znowu zastukał do bramy.

Wreszcie nieco się uchyliła. Jakaś kobieta wystawiła głowę i zapytała, o co chodzi.

– Muszę się spotkać z panią Benazir, to pilne. – Diego starał się mówić cienkim głosem. Jednak kobiecie wydał się on podejrzany.

Już zaczęła zamykać drzwi, kiedy od wewnątrz dobiegł jakiś głos.

– Kto to?

– Kim jesteście? – zapytała go z kolei odzwierna.

– Proszę, błagam, byście powiadomili panią, że jestem siostrą Galiba. – Diego pomyślał, że to ją na pewno zaintryguje. Jemu chodziło o to, by wejść do środka jak najszybciej, żeby go tylko nie dogonili.

Drzwi się szeroko otworzyły i stanęła w nich Benazir, teraz dojrzała, ale tak samo piękna, jaką ją pamiętał. Ona ze zdziwieniem przyglądała się nowo przybyłej kobiecie w czadorze. Zapytała, co takiego ją sprowadza.

Gdyby nie obecność służącej, Diego od razu ściągnąłby zasłonę z twarzy, odkrywając swą tożsamość. Jednak to mogłoby przestraszyć odźwierną, która gotowa była jeszcze wezwać strażników.

Wolał więc kontynuować maskaradę.

– Brat mnie tu przysyła. Wysłuchajcie mnie, proszę. Mam wieści wielkiej wagi dla wszystkich, również dla was.

Benazir rozpoznała coś dziwnego, a zarazem znajomego w tym głosie, mimo że był nieco przytłumiony grubą zasłoną.

– Chodź i wszystko mi opowiedz. – Wreszcie pozwoliła mu wejść do środka i Diego zrobił to tak błyskawicznie, że znów zaniepokoiło to obie kobiety.

– Możemy porozmawiać na osobności?

Benazir zastanowiła się, czy nie roztropniej było jednak pozostać w towarzystwie służącej. Ta dziwna kobieta, nieoczekiwane najście, późna pora. To wszystko było podejrzane. Chciała odpowiedzieć, że nie.

Diego przejrzał jej myśli i wobec niebezpieczeństwa ponownego wystawienia go za bramę spróbował innej strategii.

– Jestem z Malagón. Pamiętacie mnie?

Benazir podniosła dłoń do ust, zaskoczona. Nie słyszała tej nazwy, odkąd opuściła Toledo. Poza tym teraz głos stał się jakby twardszy, bardziej męski. Nie może być, pomyślała.

– Ishamadi, możesz już odejść. Gdyby mój ojciec mnie szukał, jestem w sali lektur.

Starła się dociec, do kogo należały oczy wyzierające zza kwefu, i wreszcie go poznała.

– Proszę za mną... – nim skończyła zdanie, upewniła się, że służąca już jej nie słyszy – Diego de Malagón.

VIII

W ciągu godziny Diego zdążył jej opowiedzieć, co się z nim działo przez cały ten czas: od pośpiesznej ucieczki z Toledo aż do chwili, kiedy pojawił się w drzwiach ambasady w przebraniu kobiety, goniony przez tłum ludzi.

Benazir słuchała go w napięciu, bo jego obecność, prócz radości, wywoływała u niej również bolesne wspomnienia.

– Jak mogłam popełnić tak potworny błąd? – żałowała teraz. – Wierz mi, tyle razy o tym myślałam. Gdzie ja miałam głowę, byłeś przecież zaledwie młodym chłopcem.

W jej spojrzeniu widać było przesywający ból.

– Może lepiej to zostawić, zapomnieć już...

– To mi się nigdy nie udało, Diego. Dużo o tym rozmyślałam, być może pragnąc oczyścić swoje sumienie albo zrozumieć samą siebie, i doszłam do wniosku, że przez całe życie potrafiłam tylko niszczyć to, czym mnie obdarowano. W Toledo miałam obsesję, by uchościć za kogoś, kim nie byłam, chciałam stać się kobietą pożądaną, czarującą i uwodzicielską, zapominając, że powinnam zajmować się tym, kogo naprawdę kochałam, swoim mężem. Nie doceniałam jego pracy, jego odpowiedzialności, wręcz znienawidziłam jego skromność. Zachowywałam się w sposób kapryśny i niedojrzały jak prostytutka albo, po prostu, byłam taka głupia. – Strzepnęła z policzka wielką łzę. – Wkroczyłam w swoje małżeństwo i pojechałam do Toledo, zanim nauczyłam się naprawdę być sobą. Mimo swego wieku dalej bawiłam się jak dziecko, zamiast wcielić się w rolę, która mi przypadała: kobiety

odpowiedzialnej, wiernej, kochającej żony. Wszystko zrobiłam źle, Diego, a raczej fatalnie.

– Czy nie jesteś dla siebie zbyt surowa? – przerwał jej Diego.

– Surowa? Surowa, powiadasz? – Podbródek jej zadrżał, a ręce nerwowo krążyły od poły sukni do twarzy i od twarzy do sukni. – Czy wiesz, co się czuje, gdy robiąc bilans życia, nie można w nim znaleźć nic ważnego? I nie wydaje ci się tragiczne, by los człowieka był już na zawsze naznaczony jednym tragicznym błędem, co prawda bardzo poważnym, ale tylko jednym?

Diego poczuł, że pragnie ją przytulić ze współczuciem. Abstrahując od tego nieszczęsnego zdarzenia, Benazir odegrała w jego życiu bardzo ważną rolę, wręcz decydującą w tych pierwszych latach młodości, gdy zdręczał się wątpliwościami. To przy niej nauczył się arabskiego i poznał świat tłumaczy w Toledo. To ona podarowała mu pierwszą książkę (wciąż ją pamiętał) i z nią odbył tę fatalną podróż na mokradła nad Gwadalkiwirem. Ale nade wszystko Benazir była dla niego cudem, stanowiła przedmiot młodzieńczych westchnień i pożądania, dziką pokusę, która obudziła jego zmysły.

I zdał sobie sprawę, że nadal jej pragnie.

W milczeniu pogłaskał ją po włosach, przypominając sobie jedną ze swoich męskich rozmów z Galibem, kiedy tamten charakteryzował Benazir. Mówił, że jest jedyna, niepowtarzalna, nazywał ją esencją kobiecości, córą pustyni, nieokiełznaną, nie do ogarnięcia, wymykającą się z rąk niczym pustylny piasek. Diego wciąż miał w pamięci swego mistrza, jak opowiada o niej z błyskiem w oczach i dłońmi drżącymi ze wzruszenia, wkładając całe swoje uczucie w każde z tych określeń.

– Z tego, co mówisz, wygląda, że osiągnąłeś chyba wszystkie swoje cele. – Benazir patrzyła na niego z podziwem, który wyzierał z gorących miodowych oczu. – Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam w Toledo, byłeś jedynie młodym plebejuszem, synem karczmarza, ubożego wasala. W wieku czternastu lat jedynym twoim kapitałem była ambicja i zdecydowane postanowienie, że staniesz się kimś.

– Masz rację. Uciekałem nie tylko przed Saracenami, ale i przed losem, jaki zapewne miałbym dzielić. Pragnąłem urzeczywistnić marzenie niedostępne dla ludzi mojego pokroju: pobierać nauki, przyswoić

sobie wiedzę zawartą w księgach, wchłonąć naukowe zasady, dotrzeć do istoty rzeczy. O, ja naiwny, nie wiedziałem jeszcze wówczas, że wiedza łączy się z władzą i że jedynie szlachcic lub zakonnik może uzyskać do niej dostęp. Nie była ona w zasięgu biednego syna tej ziemi, takiego jak ja.

– Tym większa jest twoja zasługa – przerwała mu. – Stałeś się słynnym weterynarzem, być może nawet lepszym niż twój nauczyciel, a to wszystko dzięki determinacji, z jaką podszedłeś do nauki. Ale poza tym zakosztowałeś życia w klasztorze, doświadczyłeś grozy wojny i znasz gorzki smak oszustwa i zdrady, choć również słodycz wielkiej miłości. – Tu przerwała, by uporządkować myśli. – Mój kochany Diego, powinieneś być z siebie dumny. Twoje życie było naspikowane niekończącymi się przygodami i zasadzkami, zajrzałeś nawet śmierci w oczy.

– Tego dnia narodziłem się na nowo. Udało mi się to zrządzeniem losu i przeznaczenia. Ty też możesz pozostawić przeszłość za sobą, Benazir.

– Ty wróciłeś do życia bez wyrzutów sumienia, które mnie zadręczają.

– Nawet za najgorsze zło zawsze istnieje rozgrzeszenie...

– Być może masz rację... – wstała, czując się niezręcznie i wzięła dwa jabłka z wielkiej patery. Podała mu jedno, ugryzł je natychmiast, zdradzając wilczy apetyt.

– W sercu wciąż noszę poczucie ogromnej winy wobec ciebie. – Benazir westchnęła ciężko. – Powiedz, co mogę dla ciebie uczynić, błagam.

– Na razie mnie ukryj, to już będzie dużo. Nie mogę ci wiele wyjaśnić, bo naraziłbym cię na poważne problemy...

Benazir zastanowiła się nad jakąś kryjówką i nie przyszło jej do głowy nic lepszego niż piwniczka na wino, którą jej ojciec miał pod podłogą.

– Zapewne wiesz, że al-Nasir jest w Sewilli.

– Oczywiście – odpowiedział, nie zagłębiając się w ten temat.

– A może twoja misja dotyczy właśnie jego?

– Może...

– Ach, rozumiem... Poszukujesz informacji dla Kastylia. Nie o to chodzi?

– No, może tak być...
– Ty nie możesz się więcej narażać, natychmiast cię rozpoznają. Ale ja, owszem. – Benazir przybrała minę współniczki.

– Nawet o tym nie myśl. Nie pozwolę, byś się narażała na niebezpieczeństwo.

– Często odwiedzam jego siostrę, księżniczkę Najlę. Przyjaźnimy się i łatwo mogę się poruszać po jej komnatach. To znakomita poetka. Spędzamy długie godziny, recytując najpiękniejsze strofy. Znam też dobrze kalifa, jego żony, łącznie z ulubioną nałożnicą: piękną rudowłosą dziewczyną, która...

Diego zamarł, słysząc te słowa. Rudowłosa na dworze al-Nasira? Niemożliwe... Twarz mu płonęła, a oczy niemal wychodziły z orbit.

Benazir zauważyła jego stan, ale nie rozumiała przyczyny.

– Co cię tak poruszyło?

– Rudowłosa... – powiedział drżącym głosem. – Czy znasz jej imię?

Diego jednym ruchem pozbył się przebrania, jak gdyby te szaty nie pozwalały mu oddychać i nagle stały się wielką przeszkodą.

– Czekaj, niech sobie przypomnę... Chyba nazywają ją Falak...

– Falak po arabsku znaczy Gwiazda, *Estrella!* To Estela! – zawołał Diego, zapominając zachować ostrożność.

– Ciszej, proszę, nie krzycz tak. Co się stało?

– To moja najmłodsza siostra. Nie pamiętasz, co się stało w Malagón, nim zdołałem uciec do Toledo? Blanca na pewno też tam jest.

– Tego imienia nigdy nie słyszałam, jedynie Falak, czy też, jak mówisz, Estela.

Diego wyprostował się, stanął przed Benazir i spojrzał jej prosto w oczy, gotowy do działania.

– Muszę je odnaleźć, natychmiast. Muszę je uwolnić z więzienia, zabrać do domu... – Poruszył się niespokojnie. – Co ja tu jeszcze robię. Do dzieła, i to już!

– Chyba nie myślisz, że uda ci się tak łatwo wejść do pałacu. Strzegą go ci fanatyczni Afrykańczycy. Zabiją cię na miejscu.

– Pójdę kanałami. Wiem, jak dotrzeć na jeden z dziedzińców. Taki był mój pierwotny plan: dostać się do komnat kalifa przez Kanał Bydłęcy, właz jest przy strumyku.

Diego myślami przebiegł plany podziemnych korytarzy. Skoro byli

w ambasadzie, to najbliższe wejście do kanału prowadzącego do pałacu było nieopodal Wielkiego Meczetu. Wyjął pergamin z planem Alkazaru, który dostał od Dzikiego Lisa. Rozpostarł go, by Benazir wskazała mu, gdzie może znaleźć Estelę. Przypomniał sobie też zaraz o swojej misji.

– Czy widziałaś kiedyś w pałacu Koran z wielkim kamieniem szlachetnym na okładce?

– Oczywiście. Al-Nasir nigdy się z nim nie rozstaje. Ten kamień to szmaragd, jest ogromny jak śliwka. Tego szukasz?

– A czy wiesz, gdzie on może chować tę książkę?

Wskazała na planie miejsce, które wydawało jej się prawdopodobne.

– Przyznaję, że kanały mogą być dobrym rozwiązaniem. To chyba jedyna możliwość dotarcia do Alkazaru – powiedziała Benazir. – Z tego domu też jest ujście do kanałów.

– Wiem, ale ten kanał nie prowadzi do pałacu. Nie nadaje się.

Benazir była pod wielkim wrażeniem zmiany, jaka zaszła w tym chłopcu. Widziała przed sobą odważnego, wysportowanego i atrakcyjnego mężczyznę. Wiedziała, że ma niezwykle ważne powody, by dojść do Alkazaru, i nikt go nie zatrzyma, ale bała się o niego. Tak pragnęła by mu pomóc. Wiadomość o obecności jego siostry Esteli nadmiernie go poruszyła i wydawał się teraz zbyt zdenerwowany, żądny natychmiastowego działania. W takim stanie mógł zrobić jakiś nierozważny krok, a teraz nade wszystko trzeba było zachować zimną krew.

– Pójdę z tobą. – Nagle podniosła się zdecydowanie i zatkała mu usta w momencie, gdy Diego chciał zaprotestować. – Mów co chcesz, ja idę. Muszę iść. Nie mogłabym tu zostać. Jakoś ci pomogę, nie wiem, choćby pilnując wjazdu do twojego kanału.

IX

Diego czekał na Benazir w piwnicy ambasady perskiej. Niezależnie od targających nim emocji, czuł ogromną odpowiedzialność za złożenie relacji o postępach nieprzyjaciół zmierzających do Salvatierry.

Pozostało mu już bardzo mało czasu na odzyskanie sióstr i na dotarcie do Koranu. Aby zdążyć dojechać do twierdzy wcześniej od Almo-hadów, musiał wyruszyć z Sewilli jak najprędzej.

Benazir przyszła w ciemnej chustce na głowie.

– Chodźmy.

Wyszli na ulicę i zachowując ostrożność, kierowali się ku centrum miasta. Posuwali się zrazu wąskimi uliczkami, ale w końcu doszli do rozległego placu, który należało przeciąć. Tymczasem pośrodku, w cieniu drzew pomarańczowych, stało dwóch żołnierzy zajętych rozmową.

Diego próbował przypomnieć sobie jakąś inną drogę, ale takiej nie było. Aby dojść do Wielkiego Meczetu od jego północnej strony, trzeba było albo przejść przez środek placu, albo co najwyżej posuwać się jego skrajem. Wy tłumaczył to Benazir ściszym głosem.

– Zobaczą nas – przestrzegął Diego.

– Idź za mną, damy sobie radę. – Benazir chwyciła go za rękę i po-ciągnęła w stronę stojących na środku żołnierzy. Diego, zbity z tropu jej determinacją, czuł pod skroniami rytm uderzeń serca. Gdy znaleźli się już blisko nich, Benazir rzuciła się w ramiona Diega i ucałowała go w usta z namiętnością typową dla zakochanych.

– Tak bardzo cię kocham – powiedziała szeptem, ale dostatecznie głośnym, by tamci mogli usłyszeć.

Żołnierze przyglądali się tej scenie z uśmiechem, nie widząc jednak

ich twarzy. Szukali kobiety w nikabie, jak im powiedziano, młodej i energicznej, nie zaś pary płomiennych amantów.

Tymczasem Benazir i Diego posuwali się dalej, wymieniając słodkie i gorące pocałunki, aż pozostawili patrol za sobą. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że Diego upuścił właśnie na ziemię kawałek pergaminu z planem warownego zamku, ale żołnierze to zauważyli.

– Poczekajcie! – krzyknął jeden z nich, chcąc tylko zawiadomić ich o zgubie. – Zatrzymajcie się.

Ci zaś rzucili się do ucieczki, sądząc, że zostali rozpoznani.

Żołnierze z powodu tej niespodziewanej reakcji puścili się za nimi w pogoń. Jeden z nich podniósł zgubiony pergamin z ziemi i po rozwinięciu go pojął, że ma w ręku plan. Natychmiast powziął podejrzenie, że może tu chodzić o szpiega.

– Przy najbliższym rozwidleniu ulic na prawo odchodzić będzie dość długi zaułek. Pobiegniemy w tamtą stronę – zdecydowała Benazir, krztusząc się z braku wprawy w tak szybkich biegach. – W połowie długości jest duży zbiornik na wodę, zazwyczaj pusty. Schowamy się do niego. Nie dojrzą nas, jest już wieczór.

Żołnierze szukali ich, biegnąc po okolicznych uliczkach, nie mogąc pojąć, jak zdołali się ulotnić. W końcu zdecydowali się rozdzielić, aby poszerzyć strefę poszukiwań, i już wkrótce przestało być ich słychać.

– Wychodzimy? – Benazir zapytała go najciszej, jak mogła.

Diego wysunął się ostrożnie, po czym wyszedł na zewnątrz.

– Wracaj do domu, Benazir. Ze mną za bardzo się narażasz. To bez sensu, żebyś szła dalej.

– Nie nalegaj. Przydałam ci się na placu i możesz mnie znów potrzebować.

Diego przestał się sprzeciwiać, chwycił ją za rękę i razem ruszyli w dalszą drogę. Przemierzyli jeszcze dwie ulice i dotarli do bramy, za którą otwierał się widok na rozległy plac ze stojącym w jego rogu meczetem.

W jednej ze ścian tej świątyni, najpewniej blisko ziemi, powinno znajdować się niewielkie okienko lub coś podobnego, co pozwalałoby na odprowadzanie ścieków. Diego przemierzył wzrokiem część muru widoczną z miejsca, w którym się zatrzymali, ale niczego szczególnego nie dostrzegł. W zdumienie wprawił go widok minaretu, który wznosił

się w połowie długości muru.

– Muszę podejść bliżej, stąd nie widzę dobrze. – Wskazał na meczet.
– Ty poczekał w tym miejscu. Jeśli się okaże, że zniknąłem, to będzie jasny sygnał. W takim razie nie czekaj na mnie, bardzo cię proszę.

– Żądasz ode mnie rzeczy trudnych do spełnienia. – Benazir uchwyciła się go, bliska rozpacz. Przez moment miała nawet obawę, że widzą się po raz ostatni. – A jak się dowiem, że jesteś cały? – zapytała i pogładziła go po policzku.

– Jeśli mnie złapią, to będzie o tym głośno. Ale nie przejmuj się, dam radę. Odzyskam swoje siostry, znajdę też Koran i uciekniemy przez podziemia zamku, tym korytarzem, który dobiega do kanału ściekowego tuż przed jego ujściem do Gwadalkiwiru. Uciekniemy razem na północ.

Benazir zrozumiała, że nie może go dłużej zatrzymywać.

– Idź więc, i niech Bóg ma cię w swej opiece. – Ucałowała go nadzwyczaj czule i pożegnała cała we łzach.

Diego puścił się biegiem przez dziedziniec z ogromną prędkością i zdołał dotrzeć do ściany meczetu niezauważony przez nikogo. Korzystając z osłony ciemności, przebadał jego wschodnią ścianę, ale bez efektu. Najwyraźniej coś zawiodło. Sprawy mogły przyjąć zły obrót, gdyby nie udało mu się znaleźć wejścia. Zaczął się niepokoić. Rozejrzał się w poszukiwaniu Benazir. Ta ukryta była za jedną z kolumn budowli, skąd obserwowała jego poczynania.

Tymczasem coś zwróciło uwagę Diega. Zauważył, że w mroku najwyraźniej jakiś człowiek przesuwa się w kierunku tego miejsca, gdzie stoi Benazir. Bardzo chciałby się mylić, ale po chwili okazało się, że tak właśnie jest. Dokładnie już teraz widział żołnierza, który szedł w jej stronę. Za chwilę ją zobaczy. Trzeba jej pomóc.

Diego krzyknął z całej siły, aby ściągnąć na siebie uwagę tego człowieka, ten zaś rzucił się na jego poszukiwanie. Cóż było robić? Rozległego dziedzińca nie dało się przebiec niepostrzeżenie i nie było się gdzie na nim ukryć. Diego utkwiał wzrok w minarecie; u jego podstawy dostrzegł nieduże wejście. Przez moment wydawało mu się, że już widział kiedyś w przelocie podobny obraz, i z przerażeniem przypomniał sobie prorocstwo Efraima. Była tam mowa o minarecie, o krzyku unoszącym się w powietrzu, ucieczce. To pasowało do obecnych zdarzeń,

ale cóż więcej miałyby oznaczać? Nie mając czasu na rozważania, pobiegł w stronę wieży i gdy dotarł do drzwi, silnym kopnięciem wyrwał je z zawiasów.

Choć niewiele mógł zobaczyć we wnętrzu, po chwili odnalazł jednak pochylnię, łagodnie wznoszącą się ku wyższym piętrům. Słyszając za sobą kroki goniącego go żołnierza, nabrał powietrza w piersi i z absolutną determinacją jął pokonywać kolejne kondygnacje, jedna po drugiej, z całą energią, jaką mógł wykrzesać ze swoich nóg. Na każdym podeście zatrzymywał się na moment, by rozejrzeć się w poszukiwaniu miejsc dogodnych do ukrycia, jakichś drzwi, które prowadziłyby do innego pomieszczenia, dowolnego sposobu na umkniecie przed pościgiem, ale wszystko było zamknięte.

Kiedy na koniec dotarł na dziewiąte piętro, czuł się już osłabiony, miał wrażenie, że to kres jego możliwości, ale w tym właśnie momencie usłyszał metaliczny dźwięk, jakby ostrze szabli otarło się o mur gdzieś niedaleko, na niższym piętrze. Dotychczas nie myślał o tym, jak miałby się bronić. Starał się tylko uciekać, dobiec do najwyższego punktu, a potem – zobaczymy.

W tym miejscu rampa się kończyła, dalej prowadziły wąskie schody, wychodzące na wierzchołek wieży. Wszedł się po nich zdyszany i wyczerpany. Stopnie były krótkie i bardzo wysokie, co wymagało od jego nóg podwojonego wysiłku. Na drugim z kolei podeście zaczął odczuwać skurcze i dotkliwe klucie w łożądku.

– Nie uciekniesz!

To zapewnienie ze strony ścigającego go żołnierza, przerywane i wypowiedziane na wpół zduszonym głosem, odbijało się we wnętrzu minaretu wielokrotnym echem. Do uszu Diega dotarło w momencie, gdy znajdował się na czwartym podeście. Po prawej stronie dojrzał wreszcie półotwarte drzwi, popchnął je, po czym znalazł się na zewnątrz. Silny wiatr orzeźwił jego twarz. Stwierdził, że znajduje się na niewielkim tarasie, bardzo wąskim, ogrodzonym niską kamienną balustradą. Zaiste, trudno było uciec z tego miejsca.

Zaczął się błyskawicznie zastanawiać, co może w tej sytuacji zrobić, by obronić się przed ścigającym go człowiekiem. Nie miał ze sobą broni, czuł się wyczerpany i nie mógł opanować przyspieszonego oddechu. W tym momencie miał wrażenie, iż krew z całego ciała uderza mu do głowy.

Ukrył się za rogiem wieży i w napięciu oczekiwał na pojawienie się żołnierza.

Najpierw dobiegł go odgłos skrzypiących drzwi. Próbował przede wszystkim uspokoić oddech. Z lewej strony usłyszał dyszenie ścigającego. Ścisnął mocno pięści na widok błyszczącego końca jego szabli, po czym w przyływie determinacji rzucił się nań i popchnął z niespotykaną siłą. Wykorzystując zaskoczenie żołnierza, przeciągnął go niemal bez oporu do krawędzi balustrady. Ten zaś, bardzo młody wiekiem, otworzył szeroko oczy, jakby nie wierząc temu, co się dzieje. I nim się zorientował, już był po drugiej stronie balustrady – w powietrzu.

Ów młody człowiek krzychał tak głośno, że rozdarł nocną ciszę w całej okolicy. Scena ta obudziła znów u Diega wspomnienie prorocstwa Efraima, które mówiło wszak o krzyku w powietrzu. A więc dokładnie o tym, co teraz zaszło. Wychylił się przez barierę i dostrzegł ciało żołnierza rozplaszczone na ziemi.

Zbiegł na dół po schodach i dalej wzdłuż rampy, po czym wyszedł z wieży na dziedziniec, gdzie równocześnie pojawiła się Benazir. Wcześniej czekała w ukryciu na drugim końcu placu, do czasu, gdy usłyszała ów przeraźliwy krzyk i zobaczyła spadającego człowieka. Wówczas to zdecydowała się przebiec przez plac, aby sprawdzić, co się dzieje, przerażona myślą, że to może być Diego. Teraz, gdy go zobaczyła, chwyciła go w objęcia.

– Przez moment bałam się, że...

Usłyszeli hałas. Znajdowali się naprzeciwko wejścia do zamku, choć w pewnej od niego odległości. Zobaczyli, jak wybiega stamtąd oddział żołnierzy na czele z człowiekiem odzianym w wykwintny strój chrześcijański.

Diego obrócił się ku Benazir z twarzą pełną głębokiego rozczarowania. Oznaczało to koniec jego misji, a także, co gorsza, utratę nadziei na odzyskanie siostr, i to w sytuacji, gdy przez całe siedemnaście lat rozłąki nigdy jeszcze nie zbliżył się do nich aż tak bardzo. Czuł przerażającą udrękę, okrutną niemoc, widząc w jednym momencie krach wszystkich planów.

Ci ludzie już się do nich zbliżali. Za moment mogą ich schwytać.

– Uciekamy!

Benazir silnym szturchnięciem wyrwała go z odrętwienia. Diego przyjrzał się bacznie biegnącym żołnierzom i szybko rozpoznał tego, kto nimi dowodził, ale tamten jednocześnie rozpoznał też jego. Był to Pedro de Mora.

– Zatrzymać tego człowieka! – krzyczał rozwścieczony Kastyljczyk. – Chcę głowy tego drania. Jeśli trzeba, macie go zabić...

– Biegnijmy do twojego pałacu... – Diego rzucił się do ucieczki, pociągając za sobą Benazir.

– Ale co dalej? – zapytała przestraszona. Nie potrafiła odgadnąć, skąd on mógł znać tamtego człowieka.

– To jest terytorium perskie. Nie sędzę, żeby ośmielili się tam wkroczyć. – Diego brał też pod uwagę jako ostateczność kanały podziemne. Znał ich rozkład na pamięć i byłby w stanie zmylić w nich pościg. Była to rozległa konstrukcja, istna płatanina korytarzy, kolanek, rozszerzeń, zwężeń, naw i pochylni; labirynt niemożliwy do przejścia dla niewtajemniczonych.

Spojrzał do tyłu i stwierdził, że tamci są już coraz bliżej. Benazir nie była w stanie biec prędeej. Przeszkadzał jej w tym wąski ubiór.

Diego ocenił, że brakuje im już niewiele, ale uznał też, że jeśli nie przyspieszą biegu, zostaną schwytani. Nie zważając na nic, chwycił w biegu koniec tuniki Benzair i rozdarł ją, tworząc w ten sposób z boku sporą szczelinę. To pomogło rozwiązać problem i przyspieszyło ich bieg, dzięki czemu po chwili dotarli już do bramy ambasady perskiej. Popchnęli wrota i wbiegli na pierwsze patio, w przekonaniu, że są już bezpieczni. Ale za chwilę okazało się, że nie są. Żołnierze nie zawahali się przekroczyć bramy, a za nimi podążał Pedro de Mora.

– Złapią nas, Diego. – Benazir spostrzegła, że są już tak blisko, iż przez moment wszystko wydawało się jej stracone.

– Nie złapią, zobaczysz. Zgubimy ich w kanałach.

– No, nie wiem.

Pobiegli dalej korytarzem i trafili na drugie patio, gdzie znajdowało się wejście do kanałów, przykryte klapą. Gdy tam dotarli, Diego pociągnął klapę z całych sił za żelazny uchwyt, ale ta dawno nie była używana i nie puściła. Oparł się mocno piętami o ziemię i nabrał w płuca powietrza, aby wyteńczyć swe siły. Spróbował ponownie i tym razem miał więcej szczęścia. Klapa uniosła się ze skrzypieniem. Powiało spod niej zgnilizną.

- Wchodź, Benazir!
- Nie idę – odparła z pełnym zdecydowaniem.
- Zwariowałaś? To nie jest moment, żeby... Na Boga, oni już tu są.
- Uciekaj! Okłamię ich. Powiem, że mnie porwałś. Inaczej będę dla ciebie tylko balastem. Biegnij sam.

Diego stanął przed trudnym wyborem. Powinien zostać? Czy jednak uciekać?

Benazir, widząc jego wahanie, pocałowała go w policzek i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę nadbiegających mężczyzn.

Diego wsunął się już dolną połową ciała do otworu i zdołał jeszcze w ostatniej chwili zauważyć, jak Benazir zatrzymuje żołnierzy przy wejściu na patio, krzycząc i rzucając się na nich. Nagle dostrzegł błysk ostrza wbijającego się w jej brzuch. Wydała przeciągły jęk, ale zdołała jeszcze odwrócić się ku niemu z twarzą łagodną i pełną spokoju, przekonana, że w tym momencie, po latach, odpokutowała wreszcie swój grzech.

Diego zamknął nad sobą klapę i zagłębił się pod powierzchnię ziemi, potykając się często na śliskich schodkach. Skierował się korytarzem odchodzącym w prawo, a gdy usłyszał za sobą głosy, skręcił w inny korytarz. Próbowali go ścigać, ale on nie obawiał się już teraz o swój los, czuł się bezpieczny. Tutaj złapać się nie pozwoli. Pokonywał kolejno wiele zakrętów i przewężeń, wybierał korytarze biegnące na różnych wysokościach i wreszcie sforsował chodnik zalany wodą, która sięgała mu aż do pasa. W ten sposób zostawił pościg daleko w tyle.

Wkrótce potem znalazł się w nurcie strumienia, już poza obrębem murów, i z radością rzucił się w jego czyste wody. Pobiegł pędem wzdłuż koryta, by trafić – wraz ze strumykiem – do rzeki Gwadalkiwir. Zanurzył się w falach rzeki i trzymając się blisko jednego z brzegów, zdołał tym sposobem oddalić się od Sewilli w kierunku wschodnim. Teraz pozostawało mu tylko dojść do wioski Coria, żeby odebrać stamtąd Sabbę. I oboje pognali bez wytchnienia w stronę Salvatierry.

Misja zakończyła się niepowodzeniem, Koranu nie zobaczył, swoich siostr też nie. Diego uznał, że w tej sytuacji pozostało mu tylko zdążyć na czas z pomocą do przyjaciół, zanim spadnie na nich atak Almohadów.

Dwa dni później, gdy jechali z Sabbą, najczęściej bezdrożami, a w każdym razie z dala od głównych szlaków, Diego poczuł, że jest dumny z Benazir. Jej czyn był świadectwem najwyższej szlachetności i odwagi.

Na jej wspomnienie zapłakał.

Ta kobieta zaiste udowodniła, że w jej żyłach płynie krew córki pustyni, dzikość burz piaskowych i ciemność pustynnych nocy. Dusza Benazir była nieskalana.

Zapamięta ją na zawsze.

Po pięciu dniach jazdy Diego dotarł do pasma górskiego Muradal. Kiedy przebył góry, ujrzał twierdzę Salvatierra, wzniesioną na szczycie wzgórza, dominującą nad całą okolicą.

Ogromna chmura pyłu wznosiła się w górę z wnętrza jej murów i obrysowywała jej kontury. Otaczały ją setki jeźdźców, gotowych do ataku i ufnych w zwycięstwo.

Już z daleka dobiegł go przerażający wrzask, brzęk uderzających o siebie ostrzy, bicie bębnow i głosy tręb zagrzewających Maurów do ataku.

Spojrzał na donżon i stwierdził, że nie powiewały już nad nim ani chorągwie Kastylii, ani Calatravy. Teraz jedna z chorągwi była biała, bez emblematu, almohadzka, druga zaś zielona, należąca do wojsk andaluzyjskich.

Przyjechał za późno, Salvatierra wpadła już w ręce wroga.

– Zawiodłem ich. Na Boga, a co z nimi?

Klacz parskała nerwowo i z niepokojem biła kopytem w ziemię, czując bliskość śmierci.

– Dokąd mam teraz jechać?

Sabba odwróciła łeb i spojrzała na niego. Zarząła zdecydowanie i puściła się galopem przyprawiającym o zawrót głowy.

Diego się jej nie przeciwstawił.

CZEŚĆ SZÓSTA

Ziemie bohaterów

Wiść o utracie Salvatierry tak mocno wstrząsa europejską wspólnotą chrześcijańską, że bez wahania odpowiada ona masowo na wezwanie papieża Innocentego III do krucjaty przeciwko muzułmanom.

Już wkrótce drogi całej Europy zapelniają się rycerzami, zmierzającymi w kierunku Toledo. Po przybyciu na miejsce oddadzą się pod rozkazy głównodowodzącego całą batalią, Alfonsa VIII Kastyljskiego. Ogromne wojsko gromadzi się pod bramami stolicy Wizygotów.

Kastyljski monarcha rozsyła do wszystkich podległych mu prowincji edykt, w którym nakazuje przerwanie prac budowlanych i wszelkich innych, mogących uszczuplić środki niezbędne do prowadzenia wojny; zobowiązuje też wszystkich, zarówno szlachtę, jak i chłopów, do zaopatrzenia się w broń i konie.

Decyzja o krucjacie nakłada obowiązek udziału w tym przedsięwzięciu na wszystkich pozostałych władców chrześcijańskich. Aragonia już od samego początku staje u boku Kastylii. Nawarra początkowo nie chce się przyłączyć, ale w końcu ulega. Udziału w wojnie nie biorą tylko królowie Leónu i Portugalii.

Po przeciwnej stronie kalif al-Nasir gromadzi ogromną armię, złożoną z regularnych wojsk andaluzyjskich oraz oddziałów tureckich, arabskich, egipskich i berberyjskich.

Wszystko wskazuje na to, że zbliża się ostateczne starcie. Naprzeciw siebie stają dwie religie i dwaj bogowie.

Historia nadała temu starciu miano bitwy pod las Navas de Tolosa.

I

Sabba nie zawiozła go do Toledo.

Chociaż Diego skierował się w tę właśnie stronę, to przez całą drogę miał w pamięci, że niektórym kalatrawansom udało się uciec z Salvatierry i znaleźć schronienie w drugiej co do ważności twierdzy ich zakonu w Kastylii, Zorita de los Canes, położonej nad brzegiem Tagu, zaledwie dwa dni konnej jazdy od Toledo.

W miarę jak zbliżał się do murów miasta, odczuwał coraz większe pragnienie, żeby dowiedzieć się, jak potoczyły się losy Bruna de Oñate, Otóna, Pinarda i w ogóle wszystkich tych, którym nie tylko zawdzięczał życie, ale wręcz uważał ich niemal za rodzinę.

Zamek Zorita wznosił się na stromym brzegu rzeki i otoczony był murem z kamieni połączonych zaprawą wapienną, bardzo krętym, lecz solidnym. Do głównej bramy prowadziła droga wznosząca się lekko pod górę i do połowy chroniona murem.

– Szukam Bruna de Oñate. – Diego zatrzymał człowieka, który schodził tą drogą, dźwigając na ramionach ćwiartkę wołu.

– A mnie co do tego? – warknął napotkany, pomrukując gniewnie na boku. – Zapytajcie lepiej tam w środku, ja nie chcę mieć nic wspólnego z tymi mnichami, rycerzami czy też co tam oni za jedni. Zalegają mi z zapłatą już cztery miesiące. Niech będzie przeklęty ten dzień, kiedy sprzedałem im...

– Sam sobie jedz swoje mięso! – krzyknął doń ktoś zza bramy, machając pięściami.

Diego dostał się za zewnętrzne mury twierdzy nierozpoznany, przy bramie nie było bowiem strażników. Przemierzył cały pierwszy dziedziniec, gdzie też nikogo nie dziwiła jego obecność, i dopiero za

zwodzonym mostem, przed solidną drewnianą bramą zatrzymali go dwaj żołnierze.

– Nazywam się Diego de Malagón, szukam kilku rycerzy, którzy walczyli w Salvatierze.

– Otwórzcie im! – Jeden ze strażników odepchnął go na bok.

– Co się dzieje?

– Zwolnić drogę dla arcybiskupa!

Diego ujrzał przed sobą grupę złożoną z czterech eskortujących ją konno kalatrawensów i przynajmniej tuzina osób duchownych. Wśród tych ostatnich wyróżniał się jeden w średnim wieku, odziany w szarą sutannę przykrytą czerwoną komżą. Głowę miał ogoloną, tylko wąskie pasemko włosów biegło od ucha do ucha. Mimo żywych oczu i okrągłej twarzy o wyglądzie niemal pospolitym emanowało od tego człowieka dostojeństwo.

Duchowny ów, gdy znalazł się w pobliżu Diega, zaczął przyglądać mu się natarczywie, choć zajęty był rozmową z kim innym. Spojrzenie to było na tyle nieprzyjemne, że Diego poczuł się niezręcznie. Przyjrzał się sobie. Musiał przyznać, że ubranie ma dosyć wybrudzone, a włosy tłuste i rozczochrane. Cuchnął też mocno, chyba gorzej niż stado świń. Zawstydził się, bo pojął, że ksiądz też musiał to zauważyć.

– Skąd znasz arcybiskupa Ximéneza de Radę? – zapytał go jeden ze strażników, zdziwiony widocznym zainteresowaniem, jakie okazał mu duchowny.

– Ja, znikąd... Widzę go po raz pierwszy... – odrzekł Diego obojętnym tonem, choć sam był tą sytuacją zdziwiony – ale znam Bruna de Oñate. Możesz mi powiedzieć, czy jest w tym zamku, a jeśli tak, to gdzie go znajdę?

Ku radości Diega strażnicy wskazali mu drogę, co znaczyło, że Bruno żyje; pozwolili mu też wejść do środka, ale pod warunkiem, że pozostawi Sabbę jako gwarancję w rękach chłopca stajennego, którego w tym celu przywołali.

Diego zeskoczył z siodła i oddał wodze chłopcu.

– Daj mi pić, ale ostrożnie, po trochu, bo jest bardzo spragniony.

– Spokojnie, będzie w dobrych rękach – ten uśmiechnął się przyjaźnie.

Z twarzy przypominał mu Marcosa. Co się z nim stało? Gdzie też

może teraz być? – myślał. Za mało czasu upłynęło od wyjazdu z Cuéllar, żeby zdążył zapomnieć o jego niegodziwości.

Nie przestając o tym myśleć, przemierzał brukowany dziedziniec zatłoczony ludźmi. Przyglądał się uważnie ich twarzom, ale nikogo nie rozpoznał. Gdy doszedł do budynku, w którym – jak mu powiedziano – miał spotkać Bruna de Oñate, zatrzymał się na chwilę, szukając wejścia. Dostrzegł z boku niewielkie drzwi zwieńczone łukiem. Były otwarte. Wszedł bez wahania. Po chwili znalazł się w wielkiej sali wypełnionej ludźmi. Rozpychając się między nimi, przyglądał się każdemu po kolei, ale i tym razem nie znalazł nikogo znajomego. Chodził wciąż po sali z jednego końca na drugi, coraz bardziej tracąc nadzieję na to, że jakaś znaczniejsza liczba osób zdołała przeżyć muzułmański atak na Salvatierra, choć wiedział już, że Brunowi się to udało.

Z jednego z rogów sali roznosiła się aromatyczna woń płonącego drewna. Przeciskając się w tym kierunku, zauważył raptem, że twarz jednego z trójki ludzi, zajętych ożywioną konwersacją, wydaje mu się znajoma.

– Bruno...! – zawołał Diego, próbując przekrzyczeć gwar.

Kalatravens na dźwięk swego imienia obrócił się w jego stronę.

– Diego? – zapytał zaskoczony. – Wielkie nieba! Co za radość! – Uścisnęli sobie dłonie, ale Bruno wciąż przyglądał mu się z niedowierzaniem w oczach. – Czy wiesz, że uważaliśmy cię za zmarłego?

Pożegnał swych rozmówców, żeby dowiedzieć się, co zdarzyło się w Sewilli.

– A więc pojechałeś, żeby zobaczyć Koran? – zapytał go szeptem na ucho. – Powiedz, co było w środku. No, mów zaraz.

– Dużo mnie kosztowało, żeby do was dołączyć. – Diego próbował zostawić na razie ten temat. – Gdy dotarłem do Salvatierry, już była zdobyta, musiałem uciekać. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteście. Dojeżdżałem już prawie do Toledo, kiedy przyszło mi na myśl, że mogliście schronić się tutaj.

– I jak widzisz, miałeś rację. Udało nam się wydostać z tego piekła w ostatnim momencie, ale zostawmy to, powiedz lepiej... – Bruno zauważył na jego twarzy cień zakłopotania i zaczął obawiać się najgorszego – No, mów o Koranie...

– Nie udało mi się do niego nawet zbliżyć.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że twoja misja się nie powiodła? – rzekł, groźnie wykrzywiając usta.

– Wkrótce po przedostaniu się do Sewilli, gdy już byłem w domu Dzikiego Lisa, zostaliśmy obaj nakryci przy próbie wysłania wiadomości o rychłym szturmie na Salvatierre. Jego zabili na miejscu, ale mnie udało się uciec. Ścięła mnie połowa miasta. Na szczęście pomógł mi pewien znajomy sprzed wielu lat i...

– A więc byłeś świadom tego, że zaprzepaściłeś swą misję, tak? – Pytanie Bruna było bolesne, a spojrzenie lodowate.

– Oczywiście, wiedziałem o tym, ale już wam mówiłem, pojawiły się trudności i nie byłem w stanie zrobić nic innego, jak salwować się ucieczką. Natknąłem się na Pedra de Mora i on mnie rozpoznał. Pojąłem wtedy, że to on kierował siatką szpiegów almohadzkich. – Diego mówił nerwowo, z przerwami. Odpowiedź Bruna była surowa.

– Pokładaliśmy w tobie wielkie nadzieje,.. – tu zrobił pauzę, która dla Diega ciągnęła się w nieskończoność. – Czuję się głęboko zawiedziony i to nie tylko dlatego, że nie wykonałeś swojego zadania. To, że pozwoliłeś się rozpoznać wrogowi, czyni cię nieprzydatnym do jakiegokolwiek innej misji. Stoimy u progu wielkiej wojny. Nie czas na szpiegowanie, lecz na działanie. Tak więc, Diego, to oznacza twój koniec współpracy z nami. Od tego momentu możesz robić, co zechcesz. – Spojrzenie Bruna było zimne jak stal.

– Nie rozumiem was. Wykonywałem powierzone mi zadania, ryzykując przy tym własne życie. Uważam, że nie zasługuję na utratę zaufania. Bardziej niż ktokolwiek inny żałuję, że nie udało mi się wypełnić do końca powierzonej misji, ale sam też poniosłem wielkie straty. – Miał na myśli Benazir.

Jego wyjaśnienia zdawały się jednak Bruna nie obchodzić.

Zbierał się do odejścia. Diego chwycił go za ramię.

– Uważam, że wasz osąd jest niesprawiedliwy, ale nie zamierzam was więcej prosić. Skoro nie chcecie, żebym brał udział w waszych planach, to trudno. Ciężko mi będzie, ale muszę się z tym pogodzić. Chcę tylko jeszcze przypomnieć o złożonej mi obietnicy. Pamiętacie o moich siostrach? Są w Sewilli.

Kalatravens nie wydawał się specjalnie przejęty tym, co słyszy.

– Daj spokój. W tej chwili nie da się nic w tej sprawie zrobić. – Ruszył w stronę wyjścia.

– A kiedy się da? Powiedźcie. – Podązał za nim.
– Być może nigdy!
– Nie dotrzymujecie słowa...! – zawołał. – I to wy jesteście tym, który czuje się zawiedziony?! Oszukaliście mnie!

Bruno odwrócił się i wymierzył mu potężny cios w szczękę, po czym oddalił się szybko, by nie wysłuchiwać dalszych impertynencji. Diego zaś, mimo bólu, poczuł zadowolenie. Przynajmniej powiedział to, co myślał.

Gdy niedługo potem wraz z Sabbą opuszczał zamek, wciąż dudniły mu w uszach bolesne słowa Bruna. Klusem przejechał przez ostatnią bramę twierdzy z gorzkim przeświadczeniem, że powtarza się właśnie ta sama scena, jaką dane mu już było przeżyć w Toledo, Fitero, Albarracín i Cuéllar. Najtrudniej mu było pogodzić się z tym, że całe poświęcenie i wytrwałość, jakie okazał w ciągu trzech lat spędzonych w Salvatierze, miały prowadzić w efekcie jedynie do poniżenia.

Zostawił za sobą dolinę Tagu, prosząc Sabbę, żeby zabrała go jak najprędzej z tych stron. Ta musiała najwyraźniej poczuć jego smutny nastrój, bo puściła się klusem, bijąc w ziemię kopytami z taką energią, jak gdyby chciała w ten sposób pomóc mu wrócić do normalnego stanu. Parskała głośno, machała ogonem w obie strony i podnosiła uszy, zwracając je następnie ku wschodowi.

Diego przytulał się do niej mocno, czuł płynącą od niej energię, a wraz z nią odrobinę pocieszenia w swoim smutku. Sabba była stworzeniem wiernym i bezinteresownym, jego jedyną pamiątką po rodzinie i bez wątpienia najlepszym подарunkiem, jaki dostał w całym życiu.

Zamknął oczy i usiłował wymazać z pamięci gorzką stronę swoich niedawnych przeżyć. Swój związek z kalatrawensami wołał wciąż traktować jako doświadczenie w sumie pozytywne. Z nimi przecież nauczył się odczuwać radość z działania w grupie, uczestniczył w heroicznym dziele godnych podziwu ludzi gotowych oddać swoje życie za wielką sprawę, ludzi, których jedynym marzeniem było wyzwolenie ludów żyjących pod jarzmem Almohadów.

Wziął głęboki oddech, pogłaskał Sabbę i postanowił jechać do Toledo, by odszukać Galiba. Tam wszystko się zaczęło. Tam też teraz zdecyduje, jaka będzie jego przyszłość.

II

– Ach, to wy... co za niespodzianka. – Pan Galib wyszedł właśnie na wizytę. – Stary Sajjad próbował odgadnąć, czy Diego znów zamieszka w ich domu. Przyglądał mu się z obawą i niedowierzaniem.

Gdy po opuszczeniu zamku kalatrawensów Diego skierował się do Toledo, w miarę zbliżania się do miasta był coraz bardziej niespokojny. Myśl o ponownym spotkaniu z Galibem wyzwała weń strumień emocji. Wyobrażał już sobie moment uścisku na powitanie, niespieszne rozmowy, opowieści o swoich przeżyciach, wspólne oplakiwanie Benazir.

– Wyglądasz tak samo jak dawniej – uśmiechnął się do Sajjada.
– Galib bardzo się zmienił, sid. Wy zresztą też... A ja jestem już bardzo stary.

Staruszek przyglądał mu się wciąż z obawą. Przed wieloma laty podejrzewano go przecież o parokrotne próby uwiedzenia swej gospodyni, a pewnego fatalnego poranka obaj z Galibem zastali ich niemal nagicz. Na pewno wciąż skrywa do mnie żal, pomyślał Sajjad, spoglądając na Diega. Na wszelki wypadek odszedł więc na pewną odległość i stał, nie spuszczając go z oka.

- Zmężnieliście... Może przyniosę coś chłodnego do picia.
- Dziękuję, Sajjad, chętnie się czegoś napiję.

Diego został sam w tym samym gabinecie, w którym dwanaście lat wcześniej spędzał długie godziny na nauce. Przyglądał się uważnie półkom z książkami i cieszył z tego, że przypomina sobie wiele tytułów. Natrafił jednak na okazały tom, którego wcześniej nie znał. Wyciągnął go z półki i odczytał tytuł, wodząc po wypukłych literach opuszkami palców: *Mulomedicina Chironis*.

Serce mu zadrzało. Nie mógł uwierzyć, że trzyma w ręku tę prawdziwą perłę starodawnej mądrości, uznawaną za zaginioną.

Otworzył księgę na chybił trafił i zaczął czytać. Napisana była po łacinie.

– Ta *Mulomedicina* kosztowała mnie fortunę.

Diego znieruchomiał. Przecież to głos...

Za jego plecami stał Galib, mocno postarzały, nieco przygarbiony i kompletnie siwy.

– Wyobrażam sobie, drogi mistrzu...

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę, niosąc żywe wzruszenie pomimo gorzkich wspomnień.

– Ja... – zaczął niewyraźnie Diego – chciałbym prosić was o wybaczenie za to wszystko...

– Zostawmy to, Diego. Co się stało, to się stało... – Wyciągnął ku niemu otwarte ramiona i uściśnął go serdecznie i mocno.

– Ja... Nie bardzo wiem, w jaki sposób... Jak miałbym wam to powiedzieć... – Radość ze spotkania ze swym mistrzem, z kimś, kogo traktował jak drugiego ojca, była tak wielka, że nie pozwalała mu wypowiedzieć sensownego zdania.

– No dobrze, opowiedz wszystko po kolei. Ale nie tytułuj mnie tak uroczyście. Teraz jesteśmy kolegami. Siadaj, bardzo proszę, i mów.

– Zdarzyło się coś takiego... muszę o tym powiedzieć od razu. – W oczach Diega pojawił się cień smutku. Galib zaczął się domyślać...

– To o nią chodzi, prawda?

Diego poczuł nagle ucisk w gardle tak silny, że trudno mu było oddychać. Zdecydował, że musi mu to powiedzieć, patrząc prosto w oczy.

– Umarła w Sewilli, miesiąc temu. Byłem przy tym.

Galibowi zadrzało serce, gdy usłyszał. Przed paroma tygodniami miał koszmarny sen, w którym widział ją, jak umiera w wielkim bólu,

ale nie podejrzewał, że to mogło zdarzyć się naprawdę. Zwiesił głowę i opuścił skrzyżowane ręce na kolana, pogrążony w płaczu i dotkliwym bólu.

Diego przyglądał mu się najpierw zaskoczony, czując respekt dla jego osobistej tragedii. Ale nie wytrzymał, podszedł i objął go, by wspólnie przeżywać ból.

Gdy już przestał płakać, Galib odezwał się i dał wyraz swoim myślom i uczuciom.

– Nikt nie potrafi sprzeciwić się wiatrom wiejącym z pustyni, ich dusza jest swobodna. Ona też taką miała. Moim błędem było, że chciałem zatrzymać ją tylko dla siebie, Diego, ale to przecież było niemożliwe. Kochałem ją bezgranicznie i dlatego poczułem, że umieram z zazdrości, kiedy dotarło do mnie, że pragnie ciebie.

– Ja... nadużyłem zaufania...

– Nie, nie przejmuj się już tym więcej – przerwał mu. – Benazir była porywcza, namiętna, nieprzewidywalna. Parę dni później sama powiedziała mi wszystko o tym, co się zdarzyło i co ją męczyło. Ta wiadomość zachwiała moim stosunkiem do niej, zacząłem podejrzewać ją już o wszystko, wyobrażałem ją sobie z innymi mężczyznami, nie wierzyłem jej pocałunkom. Zmieniło się wszystko... Zaufanie między nami rozbiło się na tysiąc kawałków jak drogocenny puchar z ciętego szkła. Zacząłem jej wręcz nienawidzić. – Spojrzał na twarz Diega, pełną poczucia winy. – Twoja odpowiedź na to, co się zdarzyło, była wzorowa. Wzięłeś na siebie całą odpowiedzialność i uwolniłeś ją od jakiegokolwiek winy. W ten sposób wykazałeś lojalność w stosunku do mnie. Benazir wymykała się jak woda między palcami, nie można było jej utrzymać.

Diego opowiedział mu o okolicznościach jej śmierci, a także o tym, z jakiego powodu znalazł się w Sewilli. Wspomnienie jej ostatnich godzin budziło w nim tak samo intensywne uczucia jak te, które przeżywał wówczas.

Galib słuchał go zdruzgotany i bezsilny, pełen wyrzutów sumienia, jak zawsze, gdy myślał o tym, że porzucił żonę, choć potrafił żyć tylko z nią i tylko dla niej.

Choć noc już dawno zapadła, długo ciągnął opowieść o swojej żonie, mówił o niej przy tym tak serdecznie i szczerze, jak nie zdarzało

mu się nigdy wcześniej, z przypomnieniem wszystkich najdrobniejszych szczegółów, które utkwiły mu w pamięci.

Diego słuchał go w milczeniu. Pamiętał gwałtowne uczucie, jakie sam do niej żywił. W owym czasie wydawało mu się, że nie może istnieć żadna wspanialsza od niej istota. Ale po latach, gdy pojawiła się Mencía, zdał sobie sprawę, na czym tak naprawdę polega miłość do kobiety.

Świeżo wspominając te właśnie zdarzenia, zapragnął opowiedzieć Galibowi o wszystkich tych przygodach, w które został uwikłany, i o osobach, które pozostawiły w nim głębokie ślady, przede wszystkim o Marcosie i Mencíi.

– Miałem wszystko i wszystko utraciłem, Galibie. Doszedłem do tego, że byłem ceniony jako weterynarz. Zdołałem zrobić użytek z tego, czego dowiedziałem się od ciebie, czego nauczyłem się w klasztorze w Fitero i z tego, co wyniosłem z codziennej praktyki. Ale nade wszystko dałem wiarę temu, że kocha mnie jedyna kobieta, która kiedykolwiek naprawdę porwała moje serce. A potem wszystko nagle runęło. Marcos mnie zdradził, a Mencía wyszła za innego.

– Nigdy nie jest tak, że traci się, jak powiadasz, wszystko. Są lepsze i gorsze chwile. Zapewne teraz przyszła ta zła. Ale pomyśl o tym, że możesz jeszcze zrobić dużo dobrego dla innych. Wciąż spory kawał życia przed tobą, a zawód, jaki zdobyłeś, w twoich rękach staje się prawdziwą sztuką. My, weterynarze, przynosimy pożytek wszędzie tam, gdzie się pojawimy. Mamy moc uzdrawiania, jesteśmy uzdrowicielami koni. Ja z przyjemnością i z dumą uznaję się właśnie za takiego, za uzdrowiciela koni. Ta moc przywracania do zdrowia jest łaską, jaką Allah zesłał na nasze ręce i nasze oczy. Tobie podarował poza tym ogromną inteligencję, a z twoich opowieści o bohaterskich czynach z kalatrawensami widzę, że także odwagę.

Diego ujął w ręce gruby tom *Mulomedicina Chironis* i uświadomił sobie, ile to już czasu spędził bez nauki.

– Przypominam sobie, że ktoś nazwał mnie kiedyś właśnie uzdrowicielem koni i że wtedy mi się to nie spodobało. Ale teraz, gdy ciebie słucham, muszę przyznać, że jest to całkiem wdzięczna nazwa naszej profesji. Minęło jednak już sporo czasu, od kiedy ostatnio się tym zajmowałem. Niczego nowego się nie nauczyłem, niczego nie czytałem,

w ostatnich latach praktycznie nie miałem kontaktu z zawodem, chociaż...

– Pokrzepia mnie to, że choć ostatnimi czasy oddawałeś się innym zoğa zajęciom, to twoja ciekawość wiedzy bynajmniej nie wygała.

W czasie gdy rozmawiali, Galib wziął dwie grube szczapy drewna i rozpalil w kominku. Potem wyjął dwa kieliszki i napelnil je słodką nalewką wiśniową.

– Uplynęło już tyle lat... – Galib rozprowadził łyk nalewki po ustach i delektował się jej smakiem. – Zdziwila mnie wielość twoich doświadczeń, ale... powiedz mi szczerze, czy udało ci się osiągnąć to, co zamierzałeś?

– Gdy przyjechałem do Toledo, jeszcze jako dziecko, byłem zwykłym plebejuszem, żyliśmy w niedostatku, mój ojciec musiał ciężko pracować i walczyć ze wszystkim, nawet z własną słabością fizyczną, żeby jako tako utrzymać rodzinę. I jemu właśnie, ubogiemu rzemieślnikowi, karczmarzowi, a wcześniej pasterzowi, bo wszystkim był po trochu, przysięgłem, że wyjdę na ludzi. Bardzo chciał, żebyem zdobył przyzwoity zawód, odpowiedni do moich zdolności... – Zamilkł na chwilę, by wziąć głęboki oddech. – I teraz mnie pytasz, czy udało mi się osiągnąć to, co zamierzałem... Nie wiem – zawahał się – być może, że w tym właśnie sensie zaszedłem dużo dalej, niż wówczas zamierzałem.

– Bardzo się cieszę z tego, co mówisz...

– Ja też w zasadzie powinienem się cieszyć, ale – prawdę mówiąc – nie potrafię. Mam wrażenie, że po drodze umknęło mi coś najważniejszego – miłość, przyjaźń, zaufanie do ludzi, których najbardziej szanowałem. Zaliczam do nich i ciebie. Nie wiem, wszystko to przebiegło przez moje życie tak gwałtownie...

– Życie to długa pielgrzymka szlakiem wiodącym do doskonałości. Wciąż staramy się usilnie, żeby dojść do celu, i nie zdajemy sobie sprawy, że to, co najważniejsze, jest już za nami. Znam wielu takich, co uważają się za nieszczęśliwych tylko dlatego, że nie osiągnęli wszystkiego, co zamierzali. Własne ambicje zaślepiły ich do tego stopnia, że nie są w stanie zauważyć tego dobra, jakie spotyka ich po drodze.

– Rozumiem cię, ale muszę powiedzieć, że co się mnie tyczy, to zbyt wiele tego dobra nie spotkałem. Może dlatego, że dane mi było

przemierzyć zbyt wiele szlaków, a do tego prawie zawsze wyboistych i pełnych przeszkód. Plebejskie pochodzenie zamykało przede mną wiele bram, Galibie, w tym także te najważniejsze, bo wiodące do wiedzy. Jeśli udało mi się jej nieco liznąć w Fitero, to –r wierz mi – dzięki rozmaitym fortelom i konieczności wkradania się w niejedne łaski. Musiałem też przyjąć do wiadomości, że daremne są moje starania o zdobycie serca córki szlacheckiej. I to tylko dlatego, że moją krew oni uznawali za obcą! Z powodu tej miłości byłem zmuszony zaznać okropieństw wojny i skazany zostałem na wygnanie. A co do naszego zawodu, to muszę powiedzieć, że jakoś nie udało mi się spotkać kolegów, którzy zbliżaliby się choć trochę do twojej szlachetności. Jednemu z nich, neapolitańskiemu menescalowi, zawdzięczam nawet ranę – z czystej zazdrości o to tylko, że udało mi się przywrócić życie koniowi, którego on zdążył skazać już na śmierć. I wreszcie, spotkało mnie niezrozumienie i wyrok śmierci w Cuéllar tylko dlatego, że udało mi się tam wykryć ognisko okrutnej zarazy, która roznosiła się stamtąd do wszystkich sąsiednich miejscowości.

Galib przesunął szczapę, żeby objęły ją płomienie.

– Zdolność do samodoskonalenia, mimo wszelkich przeciwności losu, jest miarą wielkości człowieka, a każde nowe wyzwanie to ożywiający bodziec dla serca. Zrozumienie własnych błędów uszlachetnia każdego z nas, a postawa pokory w świecie przepelnionym pychą, zapewniam cię, to najlepsza recepta na szczęście. Diego, wszystko, o czym mi opowiedziałeś, to zaledwie kilka kroków na długiej drodze twego życia. Powinieneś zrozumieć, że szczęście nie płynie wcale stąd, że udało się nam osiągnąć jakieś wielkie cele. Sukcesem jest każda rzecz, która czyni cię lepszym i sprawia, że się rozwijasz – pomyśl o tym.

Diego przyglądał mu się z tym samym podziwem co kiedyś. Galib był nie tylko najlepszym weterynarzem w Toledo, ale także mędrcem i filozofem, a przy tym po prostu dobrym człowiekiem, kimś, kogo wspominał tak często. Słuchając jego słów, zaczął przebiegać w myślach kolejno najważniejsze epizody swoich losów i ku swemu zaskoczeniu ujrzał je raptem ułożone w kształcie wielkiego koła zębatego. Dokładnie tak, jak mówił przed chwilą Galib, każdy z nich coś nowego mu przyniósł. To prawda, że niektóre przyniosły jedynie gorycz, ale te nie stanowiły większości.

- Czegóż ci zatem brakuje? – zapytał Galib.
- Od dłuższego czasu wiem, że coś muszę zrobić...
- Co masz na myśli?
- Wciąż jeszcze żyję zbyt krótko... Ojciec kazał mi troszczyć się o siostry, a ja nie byłem w stanie zapewnić im obrony, gdy jej potrzebowały. W Salvatierze poznałem ludzi, których jedynym zajęciem była walka z fanatyzmem almohadzkim. Oni liczyli na mnie i powierzyli mi pewną misję, ale i to mi się nie powiodło...

Galib przeciągnął palcem po krawędzi kieliszka, myśląc o tym, jak może mu pomóc. Po chwili milczenia zwrócił się doń serdecznie.

- Kiedy Allah chciał stworzyć konia, rzekł do wiatru Południa: „Zrobię z ciebie stworzenie, które będzie dumą moich bliskich, hańbą moich wrogów i obroną przed tymi, którzy mnie będą napadać”. Odpowiedział wiatr Południa: „Niechaj stanie się twa wola, Panie”. Wziął On wtedy garść wiatru i stworzył konia.

Diego spojrział nań z zachwytem. Bajka ta poruszyła go równie mocno jak wówczas, gdy słuchał jej po raz pierwszy.

- A pamiętasz, co jeszcze wówczas ci powiedziałem?
- Pamiętam, że mówiłeś coś o mojej przyszłości.
- Zgadza się. I powiązałem to z kłaczą Sabbą jako twoją nieodłączną towarzyszką. Powiedziałem, że to ona zawiezie cię w niezwykle miejsca i że właśnie te szlachetne zwierzęta będą towarzyszyły ci w drodze do tego, by stać się wielkim, sprawiedliwym i ważnym człowiekiem. Z nimi będziesz czynił dobro, wiele dobra. Pamiętasz?

- Ale cóż by to miało dzisiaj znaczyć?

- Znaczy to, że nie powinienes zaniedbywać wiedzy, którą zdobyłeś z tak wielkim poświęceniem. Gdy twój ojciec mówił ci to, co mówił, nie miał chyba na myśli tego, że miałbyś zajmować się wojaczką, choć oczywiście rozumiem twój zapał, żeby ukarać niewiernych, którzy są nimi tak wobec twojej, jak i mojej religii. Powinienes zaufać swemu przeznaczeniu, a pewnego dnia, może już wkrótce, ono właśnie wskaże ci sposób, jak podołać obu obowiązkom. Otwórz na nie szeroko swoje oczy i posłuchaj głosu swego serca. Ono się nie myli. Gdy usłyszysz ten głos, czyń, co ci powie.

Z daleka dobiegło sześciokrotne uderzenie dzwonu i Galib poczuł, że jest zmęczony i powinien nieco odpocząć, nim zaświta.

– Powinienem położyć się przynajmniej na chwilę, Diego. Raniem muszę być wyspany, mam umówioną wizytę. Może poszedłbyś razem ze mną?

– Oznaczałoby to, że znów pracujemy wspólnie... – Diego uśmiechnął się, zadowolony z tego pomysłu.

– Co byś powiedział, gdyby zacząć od jednego z koni królewskich?



Gdy nadszedł świt, Sajjad bezskutecznie szukał ich po wszystkich pokojach. Okazało się, że Diego rozmawia z Sabbą w niezrozumiałym dlań języku, Galib zaś głaszcze ją łagodnie po nozdrzach. Przygotowywali się do wyjazdu w kierunku stajni królewskich.

Sabba rżała radośnie, rozpoznając człowieka, którego nie widziała od tak dawna, i czując dotyk jego rąk na swoim łbie.

– Co za radość widzieć cię znów w moim domu, kochana Sabbo.

III

Diego czuł się szczęśliwy. Od wielu już lat nie miał okazji uczestniczyć w tym rytuale, gdy się wstaje o świcie i jedzie konno u boku swego mistrza, rozmawiając z nim o tym, czego się nauczył, i o tym, co go niepokoi. Galib zaś, mimo podeszłego wieku, pracował dalej w swym zawodzie, i to z coraz większym powodzeniem. Od dawna już ceniony był przez możnych, czy to chrześcijańskich, czy to żydowskich, ale jego sława w Toledo ciągle narastała i przed paroma laty stał się weterynarzem najbardziej pożądanym przez króla.

Zdradził nawet Diegowi, że Alfons VIII próbował namówić go na to, aby pracował tylko dla niego, a nawet towarzyszył mu w podróżach, ale Galib nie chciał wyrzec się niezależności ani opuszczać swego domu.

Dojechali do bram wspaniałego pałacu, położonego poza obrębem miasta, na brzegu Tagu. Budowla ta została wzniesiona przez ostatniego władcę muzułmańskiego w epoce taify toledońskiej. Otaczał ją rozległy ogród, pełen różnorodnych kwiatów, drzew i krzewów. W swoim czasie uznawany był za ziemskie wyobrażenie raju.

Diego był zachwycony. Bywał już w wielu rezydencjach możnych władców, ale to miejsce wydało mu się nadzwyczajnie piękne.

A poza tym zadowolony był także z tego, że zmierzają razem z Galibem do stajni królewskich, o których miał okazję niejednokrotnie słyszeć.

We wnętrzu oczekiwał ich już królewski koniuszy wraz z odźwierzonym i stajennym. Od razu doprowadzili ich do chorego konia.

– Diego, zostawiam ten zaszczyt dla ciebie. – Galib wskazał ręką na zwierzę.

Pacjentem okazała się drogocenna siwa klacz rasy arabskiej, leżąca na słomie, o wyglądzie mocno apatycznym.

Diego zbliżył się, przemawiając do niej przyciszonym głosem. Klacz wodziła za nim wzrokiem i próbowała zarzęć, ale nie mogła. Wyglądała na mocno wyczerpaną.

Jej uszy nie były gorące.

– Do wczoraj silnie gorączkowała, a tej nocy miała krew w moczu.

Badając ją, Diego zauważył w jej spojrzeniu coś nietypowego; wydało mu się zbyt zamglone. Pochylił się, aby dotknąć obu jej powiek. Już sam dotyk wywołał protest zwierzęcia. Spojówki miała pożółkłe, a na jednej z nich dostrzegł ciemną plamkę.

– Przynieście mi świecę.

Galib pochylił się, by przyjrzeć się jej oczom, podczas gdy Diego badał resztę ciała.

– Ból mięśniowy... – klacz zadrżała, gdy nacisnął jej zad – i wewnętrzne zapalenie oczu.

Galib domyślał się już przyczyny, ale czekał, co na to powie Diego.

Stajenny wrócił tymczasem z zapaloną lampą i z okrągłym zwierciadłem, które odbijało jej światło. Diego skierował światło na jedno z oczu, zwierzę zaś zaprotestowało gwałtownie i zamknęło powieki.

– Ma zapalenie żył...

Galib spojrział na niego zdziwiony. Nigdy wcześniej nie słyszał o takiej chorobie.

– Co masz na myśli?

– Widziałem coś podobnego w Albarracin. Wciąż nie wiem, jak to lepiej nazwać. Żaden traktat tego nie opisuje. Podejrzewam, że powodem to jakiś pasożyt, za mały, żeby dało się go zobaczyć. Zbadałem to dosyć dokładnie i podejrzewam, że dostaje się on do organizmu zwierzęcia przez jakąś otwartą ranę, a następnie przenosi się z jednego miejsca na drugie, wywołuje cały łańcuch zmian chorobowych i daje po kolei różne objawy. Najpierw pojawia się wysoka gorączka jako reakcja obronna organizmu. Kiedy zakażone są nerki, widzimy krew w moczu, atak na wątrobę powoduje, że wydzielina z chrap staje się żółtawa.

I w końcu, kiedy zwierzę zaczyna tracić wzrok, dzieje się tak na skutek wewnętrznego zapalenia gałki ocznej.

– Czy wiesz, jak to leczyć?

– Nigdy mi się nie udało. Zwierzę ślepnie i pada martwe. Możemy złagodzić jego cierpienia i tylko tyle. Ale najgorsze jest co innego. – Zamilkł na chwilę w zakłopotaniu. – Zwierzę w tym stadium stwarza zagrożenie, bo jego choroba z łatwością przenosi się na człowieka.

– Jak powiadasz? – zaniepokoił się koniuszy. Jeden z jego chłopców stojących dostał właśnie wysokiej gorączki i skarżył się na ból brzucha.

– Trzeba natychmiast ją izolować. – Diego wskazał na klacz. – Jej zakażenie może przenieść się na wszystkich dookoła, łącznie z samym monarchą.

Rozmowę przerwała im niespodziewana wizyta.

– Jak się miewa moja klacz?

Ten głos mógł należeć tylko do jednego człowieka. Diego odwrócił się, by go zobaczyć. Król Alfons zjawił się z towarzyszem potężnej postury.

– Wasza Wysokość... – Galib skłonił się głęboko. – Niestety, nie mamy dobrych wieści.

– Mówcie jaśniej.

– Najlepiej to wyjaśni mój dawny uczeń, a teraz kolega, Diego de Malagón.

Alfons VIII spojrział na niego bez szczególnego zainteresowania. Okryty był długim czerwono-białym płaszczem z wyhaftowanym na piersi wizerunkiem dwóch zamków koloru złotego. Włosy miał bujne i siwe, brodę gęstą, oblicze smagłe, a skórę ogorzałą i pomarszczoną. Diego dostrzegł w jego oczach poczucie silnej władzy i dumny był z tego, że może przebywać tak blisko kogoś, dla kogo żywił głęboki podziw. Raptem zauważył, że władca zamierza pochylić się, by czule pogłaskać ulubione zwierzę.

Jego towarzysz tymczasem przemawiał doń nieprzerwanie. Wyjaśniał mu trudności, jakie mieli z poprawą uzbrojenia zmobilizowanych chłopów i utrzymaniem masy wojsk cudzoziemskich, zwołanych do Toledo na krucjatę. Tłumaczył konieczność wyposażenia wszystkich w

dobre konie, tarcze i miecze. Był to zastępca głównodowodzącego wojsk królewskich, odpowiedzialny za wyżywienie i uzbrojenie oddziałów przygotowywanych do kampanii. Z racji skali spodziewanej bitwy jego niepokój był zrozumiały.

– Proszę jej nie dotykać, Wasza Wysokość! – zawołał Diego zdecydowanym tonem.

– A można wiedzieć, dlaczego?

Diego wyjaśnił mu szczegółowo, na jaką chorobę zapadła klacz i jakie stwarzała teraz zagrożenie dla otoczenia. Mile zdziwiony był serdecznością władcy, jego prostotą i łatwością w rozmowie.

– W takim razie daj jej wszelkie lekarstwa, jakie pomogą ulżyć w cierpieniu – rzekł król. – To była dobra klacz i taka wierna. Towarzyszyła mi w różnych trudnych momentach. Teraz nie ma już koni tej krwi.

– Macie na myśli rasę arabską?

– Tak, o tym mówię. To jedyny taki egzemplarz, podarunek od dawnego gubernatora taify Walencji. Nazywa się Faiza. Jak mi wyjaśnili, pochodzi od klaczy Habdach, jednej z tych pięciu pierworodnych. Jest taka legenda, która im właśnie przypisuje zapoczątkowanie tej najpiękniejszej końskiej rasy, arabskiej. Znacie tę opowieść? – Spojrzał na Galiba. – Ty z pewnością znasz.

– Nasz Prorok nadał tym pozostałym imiona Obayah, Kuhaylah, Saqluiyah, Hamdaniyah – włączył się Galib. – Pewnego pięknego dnia Mahomet nakazał wybrać setkę klaczy spośród wszystkich tych, które miało jego wojsko, i zamknął je w zagrodzie nieopodal strumienia o świeżych wodach. Trzymał je tam na słońcu bez dostępu do wody i dopiero po paru dniach kazał otworzyć bramę. Spragnione klacze jak szalone puściły się galopem w kierunku strumienia. Ale w tym momencie kazał zadąć w róg, by przywołać je do siebie. Nie posłuchały go żadne z wyjątkiem pięciu, które wróciły bez picia. Posłuszeństwo znaczyło dla nich więcej niż instynkt. Od tego czasu były to jego ulubione zwierzęta i nigdy się ze sobą nie rozstawali.

– Faiza była wspaniała jak one – ciągnął król. Będę żałował jej utraty tak, jakby chodziło o kogoś z mej rodziny. – Jego spojrzenie spoczęło w końcu na Diegu i wtedy przypomniał sobie, od kogo już miał okazję o nim słyszeć: był to przecież jeden z jego dowódców,

Álvaro Núñez de Lara. – Czy to nie ty przypadkiem byłeś uwikłany w tę nieudaną misję, gdy chcieliśmy dotrzeć do Koranu Muhammada al-Nasira?

– Zgadza się, najjaśniejszy panie... – Diego zawstydzony pochylił głowę.

– Miałeś w osobie don Álvara swojego gorącego zwolennika, wyrażał się o tobie z dużym uznaniem pomimo niepowodzenia misji. W każdym razie musisz być świadom swego niespłaconego długu wobec korony Kastylii.

– Zrobię wszystko, czego ode mnie oczekujecie.

– Na razie spróbuj oszczędzić jej bólu. – Wskazał na klaczkę.

– Potrafię pomóc jej w cierpieniach, ale muszę powiedzieć, że ona wcześniej czy później padnie.

– Galibie, czy ty też zgadzasz się z tą diagnozą?

– Diego zna się na tym tak samo jak ja albo lepiej. Czasem zdarzenia będą inaczej, niż byśmy chcieli, Wasza Wysokość.

– Ale ta klacz... ona nie może umrzeć!

– Zaaplikujemy jej różne środki na zmniejszenie bólu, ale trzeba być przygotowanym na to, że wszystkich cierpień usunąć się nie da i że wkrótce padnie.

Monarcha był smutny i wyraźnie rozczarowany. Ale skoro ci dwaj weterynarze, z pewnością najlepsi w całym królestwie, nie potrafili wyleczyć jego klaczy, to najwidoczniej dlatego, że po prostu nie ma na to sposobu. Zbliżył się do niej. Nie chciał jej dotykać, żeby nie próbowała się podnieść, ale w głębi poczuł ogromny żal.

– Czy jesteś pewny?

– Tak – odparł Diego tonem, który nie pozostawiał wątpliwości.

– Błagam cię więc, zrób dla niej wszystko, co potrafisz.



Zmierzając w stronę domu Galiba, nadal rozważali przypadek tej klaczy.

– Nigdy nie pogodzę się z uczuciem bezradności w sytuacji, kiedy nie ma żadnej metody leczenia.

– Ja też nie – dodał Diego – i wciąż próbuję dociec, jakie są te prawdziwe przyczyny wywołujące choroby. Zupełnie już odrzuciłem

teorię patologii humoralnej Hipokratesa i oczywiście tę drugą, która wiązała powstawanie chorób z wolą boską. Natrafiłem jednak na pisma perskiego lekarza Awicenny, które mocno mnie zainteresowały. To, co on pisze, to sama prawda. Czytając jego prace, doszedłem do wniosku, że u koni oprócz chorób zewnętrznych, których przyczyny i objawy są nam znane, mamy też do czynienia z chorobami wewnętrznymi, wywołanymi działaniem dwóch głównych zasad. Jedna z nich polega na wadliwym funkcjonowaniu podstawowych organów, jak wątroba, serce i mózg. Tę drugą zaś przypisuję wpływowi pewnych czynników, niewidocznych, ale realnych, które same z siebie powodują odstępstwa od normy w działaniu tych czy innych organów.

Galib też czytał dzieła Awicenny i też cenił jego teorie. W rzeczy samej, jedno z jego ustaleń, dotyczące zakaźnego pochodzenia gruźlicy, mogło dostarczać wsparcia dla wysuwanej przez Diega idei o obecności pewnych czynników zewnętrznych powodujących choroby. Tak właśnie argumentował ów perski uczone i lekarz.

– Czasem dochodziłem do podobnego wniosku, ale sam nie wiem... Ten rodzaj wyjaśniania zbliża nas bardziej do świata magii niż nauki. Małe, niewidzialne istoty... albo cząsteczki, które wywołują choroby, możemy to nazwać, jak chcemy. Ale jeśli udzielimy błogosławieństwa takiej teorii, to dostarczymy tylko dodatkowych argumentów tym kolegom, którzy interpretują chorobę jako skutek działania złośliwych istot. Jedni zwą je demonami, inni potworami, a są nawet tacy, którzy mówią o przewrotnych bóstwach. Nie ma nic dalszego od moich przekonań.

Diego z energią argumentował na rzecz swej idei, odwołując się właśnie do przykładu choroby kłaczy króla Alfonsa VIII.

– Takiego zapalenia żył nie może spowodować nic innego jak pewien czynnik zewnętrzny i jak już mówiłem, uważam, że chodzi tu o pasożyta. W czasie mego pobytu w Albarracin rozciąłem jedną z jego ofiar. Nie udało mi się go wprawdzie zlokalizować, ale wiem, że musiał tam być. Korzysta z osłabienia zwierzęcia i przechodzi przez wszystkie jego ważne organy, aż dostaje się do oczu, do tej torbieli, którą można dostrzec z zewnątrz. Zanim doszedłem do tego wniosku, próbowałem trzymać się zasad klasycznych. A więc skoro w moczu pojawiała się krew, miałooby to znaczyć, że ten humor występuje w nadmiarze i że

trzeba się go w ten sposób pozbywać. Ale to rozumowanie nie prowadziło do niczego. Starodawne sposoby okazały się bezużyteczne.

Galib słuchał go z zadowoleniem. Mógł nie podzielać jego idei, mógł spierać się z nim o przyczyny tych czy innych chorób, ale po raz kolejny podziwiał jego talent.

– Tak więc nie dysponujemy niczym, co mogłoby pomóc tej klaczy, tak cenionej przez króla – podsumował Galib.

– Obawiam się, że nie. Ona wkrótce padnie, a ja – jak to określił – pozostanę wobec niego dłużny z powodu niepowodzenia w mej misji.

– A cóż może mieć wspólnego jedno z drugim?

– Gdy zgłosiłem swą gotowość do spłacenia długu, powiedział tylko, żebym ją leczył.

– A co mógł innego zaproponować, wiedząc, że znasz się tylko na koniach?

Diego zamilkł, gdy to usłyszał. Ale już wkrótce zaświtał mu w głowie niesamowity pomysł.

– A gdybym tak mu podarował trzy lub cztery tysiące koni rasy arabskiej?

– O czym ty mówisz? Chyba zwariowałeś?

– Może byśmy tak wrócili na nadmorskie mokradła?

– Diego, chyba masz gorączkę? Wracać tam po tym wszystkim, co się zdarzyło? Czyżbyś już zapomniał?

– Z tego, co mówił zastępca dowódcy, zrozumiałem, że byłaby to dla nich ogromna pomoc. Wojsko potrzebuje koni, a zwłaszcza dobrych koni...

– To wszystko prawda, ale przecież nie możesz ryzykować swojego życia.

– Pomysł, Galibie, byłaby to pomoc dla mojego królestwa w postaci tego, co zawsze było obecne w moim życiu, w postaci koni.

Galib przypomniał sobie, co sam mu kiedyś przepowiedział. To konie wskażą mu kierunek życiowej drogi.

– Jak to sobie właściwie wyobrażasz? Miałbyś skraść z samego serca Andaluzji tysiące koni, po czym prowadzić je z górą setkę mil do Toledo?

– Poproszę króla, by dał mi do dyspozycji swoich najlepszych jeźdźców i przede wszystkim trochę czasu na przygotowanie wszystkiego.

– Byłoby to zaiste wspaniałe przedsięwzięcie i chyba tylko tobie mogłoby się ono udać. Faktycznie, tu zbiegają się oba twoje wielkie dążenia: zadać ciężkie straty Almohadom i zrobić praktyczny użytek ze swojej wiedzy i doświadczeń. Ale powinieneś wszystko dobrze przemyśleć. Weź pod uwagę, że dla al-Nasira byłaby to nie tylko bolesna strata, ale przede wszystkim ogromny dyshonor. Znaczyłoby to, że na swym własnym terytorium nie potrafi upilnować świętego dziedzictwa swoich przodków. Taka hańba ciągnęłaby się za nim do końca życia.

– Będę potrzebował twojej pomocy.

– Tego ode mnie nie żądaj. Postanowiłem nie wracać nigdy na nadmorskie mokradła i pozostać przy dawnych wspomnieniach. Gdybym tam się zjawiał, w każdym miejscu widziałbym Benazir. Nie chcę też powtórnie przeżywać widoku okropnej śmierci tej biednej Fatimy. Nie, ja tam nie wrócę. Już jestem za stary, Diego, ale ty rzeczywiście powinieneś jechać. Almohadom należy się kara. Ogłosili świętą wojnę przeciwko chrześcijanom, aby odebrać im i przyłączyć do Andaluzji ziemie, którymi ci władali od wieków. Próbowali siłą wykorzenić wiarę chrześcijańską z północnych królestw, ale także tę, którą wyznajemy my, muzułmanie, nieuznający narzucanych przez nich reguł. – Diego nigdy nie słyszał go mówiącego tak ostro jak teraz. – Gdyby udało im się osiągnąć swoje cele, podporządkowaliby nas swoim formom życia i narzucili tę swoją diaboliczną wizję islamu. Będą tępić waszą kulturę aż do cna, spalą kościoły, by zbudować meczety i medresy, zniszczą wszystkie książki, które uznają za bezbożne, i obrócą w niewolę tych, którzy odmówią przyjęcia ich wiary. Nie miej złudzeń. Pozostawią tylko jedną religię i jedną formę społeczeństwa, tę swoją. Dlatego powinniśmy ich powstrzymać...

Diego, słuchając go, zauważył, że wszystko zaczyna mu się układać w całość. Galib był muzułmaninem, ale o otwartym umyśle i wielkim sercu. Oceny i pragnienia, jak się okazało, mieli wspólne. Diego poczuł, że jego dawne miraży nabierają uchwytnych kształtów i że nowe zadanie ma głęboki sens. Teraz był już tego pewien. Położenie tamy szaleństwu Almohadów leżało w interesie wszystkich. Ta plaga, zrodzona na północy Afryki, groziła rozlaniem się i zniszczeniem świata w takiej formie, jaką znał dotychczas. Na to nie mógł pozwolić. Oprócz

tego Diego nie znosił nietolerancji i narzucania innym swych idei przemocą.

– Wszystkie siły i umiejętności poświęcę temu, żeby ich powstrzymać – teraz odbierając im konie, a potem na różne inne sposoby.

– Wykorzystaj do tego swoją inteligencję, nie jesteś przecież żołnierzem. A kiedy skończysz, wróc do swego zawodu. Masz do niego świetne przygotowanie, powinieneś wykorzystać wiedzę i talent w tym kierunku. Tak najlepiej przysłużysz się ludziom... Zwróć uwagę. Konie wskażą ci kierunek życiowej drogi... Zgodzisz się, że jak na razie moja przepowiednia się sprawdza?

– Jak najbardziej.

– Konie zawsze były blisko ciebie. Do dziś pamiętam twoją nadzwyczajną zdolność do nawiązywania z nimi kontaktu. Wspominam też długie godziny spędzone na nauce, pierwsze przypadki chorób, jakie wspólnie leczylimy.

– Jestem tylko skromnym uczniem, który od was zaczerpnął wiedzy.

– Pochlebiasz mi, mówiąc w ten sposób. Ale w naszej profesji potrzebna jest nie tylko sama wiedza, ale coś jeszcze, pewna iskra ducha i ogromna odwaga. A tego ci nie brakuje.

Diego zatrzymał Sabbę i z niepokojem spojrzał na jej grzbiet.

– Muszę wrócić do pałacu i przedłożyć im mój plan.

– Nie możesz poczekać do jutra?

– Muszę jak najwcześniej spłacić dług, jaki zaciągnąłem wobec mojego monarchy i wobec Kastylii, gdy zawiodłem ich w sprawie tego Koranu.

Galib długo stał w miejscu i przyglądał się, jak Diego galopuje do pałacu, zdecydowany podjąć nowe wyzwanie. Widział w nim dużo więcej niż tylko ucznia czy kolegę po fachu. Widział syna, którego nie mógł mieć, i podziwiał zdolności, których jemu samemu brakowało. Cenił jego wierność i ambicję, uważał za wzór dobrego człowieka.

IV

Król Kastylii Alfons VIII zdecydował, że weterynarzowi Diegowi w tym niezwykłym przedsięwzięciu towarzyszyć będzie setka jego najlepszych ludzi.

Konie miały być potrzebne dopiero po przybyciu ochotników do udziału w krucjacie oraz zmobilizowanych mieszkańców wsi i miasteczek, a tego należało spodziewać się nie wcześniej niż pod koniec maja. Do przygotowania misji pozostawało więc sporo czasu.

Don Álvaro i Diego planowali ją starannie i rozważnie, obmyślali różne warianty strategiczne i wybierali stosowne szlaki, aż ułożyli w końcu plan optymalny dla powodzenia wyprawy.

Oddział, którym dowodził don Álvaro Núñez de Lara, opuścił Toledo dnia pierwszego maja tysiąc dwieście dwunastego roku i aż do tego czasu nie nastąpiła żadna istotna zmiana planów.

Gdy już znaleźli się na terenach zalewowych, ich pierwsze zadanie miało polegać na zlokalizowaniu piętnastu posterunków straży, którą imesebeleni rozmieścili w tej okolicy. Następnie na dany rozkaz należało unieszkodliwić jednocześnie wszystkich strażników, nie dopuszczając do ucieczki żadnego z nich.

Z twarzami poczernionymi sadzą i głowami owiniętymi w ciemne chusty, w oczekiwaniu na umówiony sygnał, pozostawali zanurzeni w niespokojnych wodach centralnej laguny. Nocne ciemności, głębia moczarów i obfita roślinność ukrywały ich przed oczyma nieprzyjaciół. Chłodna woda łagodziła nieco rumieniec emocji na twarzach.

Zanurzony aż po brodę, Sancho Fernández, infant Leónu i towarzyszyz weterynarza Diega, wciąż miał w uszach fragmenty mowy, którą tuż przed akcją wygłosił do nich don Álvaro.

– Nie zapominajcie – mówił do nich – że ci imesebeleni są znakomicie wyszkoleni, wychowywani w pogardzie dla śmierci, a przy tym słyną z okrucieństwa. Osiągniemy sukces tylko pod warunkiem wykorzystania ich nieuwagi, a do tego musimy działać błyskawicznie i koniecznie wszyscy naraz. I najważniejsze, żaden z nich nie może pozostać żywy. Musicie upewnić się, że nie żyją, a jeśli będzie trzeba – dobić z zimną krwią.

Podzielili się na dwójki, po czym z zachowaniem nadzwyczajnej ostrożności rozeszli się na wybrane miejsca. Światło księżyca pomogło im zlokalizować przeciwników, woda zaś pozwoliła pozostać w ukryciu. Chwilami znajdowali się tak blisko koni, że niektórym z nich zdarzało się zarzeć z niepokoju, nie na tyle jednak głośno, by zaalarmowało to strażę.

– Sancho, są tam, po prawej. – Diego niemal szeptem wskazał mu dwóch żołnierzy na cyplu. Jeden z nich najwyraźniej spał.

Drugi siedział, spoglądając w przeciwnym kierunku.

– Tobie zostawię tego leżącego, a drugiego biorę na siebie – zaproponował Sancho.

Starając się nie wywoływać nadmiernych fal, posuwali się piędź po piędzi, by ukryć się za kępami roślin w niewielkiej odległości od strażników. Wyciągnęli sztylety z pochwy i trzymali je pod powierzchnią wody, z napiętymi mięśniami i słuchem wytężonym w oczekiwaniu na sygnał.

Czas oczekiwania dłużył się w nieskończoność. Chłód wody dawał się odczuć już nawet w kościach. Wedle ich oceny czekali tak już trzy kwadransy, gdy zaszło coś nieprzewidzianego. Coś, co zmusiło ich do podjęcia fatalnej decyzji.

Ten, który wydawał się spać, nagle podniósł się, zarzucił na ramię torbę i po krótkiej rozmowie z drugim strażnikiem ruszył w kierunku swojego konia.

Sancho na migi dał sygnał do ataku. Wskoczyli obaj z wody i Diego dopadł jednego ze strażników, zanim ten mógł się odwrócić się i zobaczyć, kogo ma za plecami. Nim zdążył zareagować, już miał szyję rozciętą na przetrzał.

Ten drugi natomiast, widząc, że ściga go Sancho, wskoczył na konia i wbił mu kolana w żebra, ale zwierzę nie zareagowało. Obrócił się więc,

by zobaczyć, jak daleko znajduje się przeciwnik, i stwierdził, że jest tuż za nim. Jego koń tymczasem z niezrozumiałych powodów wciąż odmawiał posłuszeństwa. W tym momencie otrzymał cios w wewnętrzną stronę ramienia, ale drugiego już udało mu się uniknąć, a jego koń wreszcie ruszył galopem. Po chwili spowolnił konia, widząc, że oddalił się już na bezpieczną odległość od napastnika.

Nie ujechał jednak daleko, gdy poczuł, że coś ciepłego spływa mu po boku, a po chwili doznał gwałtownego zawrotu głowy. Spojrzał na ranę i przeraził się, widząc, jak bardzo jest głęboka. Krew tryskała z niej jak woda z fontanny. Poczul nagle chłód, dotkliwy chłód, niechybną oznakę zbliżającej się śmierci, i ze zdławionym jękiem zwałił się do wody.

Sancho dobiegł doń i dobił go.

Gdy wrócił do Diega, usłyszeli sygnał: trzy zawołania puchacza. W tym momencie w różnych punktach laguny rycerze zaatakowali z zaskoczenia pozycje Afrykanów, wszyscy z jednakową determinacją, choć efekty miały okazać się różne.

Kiedy sygnał zabrzmiał po raz wtóry, zeszli się w umówionym miejscu i stwierdzili, że brakuje dziesięciu ludzi. Dziesięciu innych odniosło rany, w tym niektórzy ciężkie.

– Mówcie, czy zlikwidowaliście strażników co do jednego?

Don Álvaro zebrał wszystkich w kręgu, nieustannie świadom spoczywającej na nim odpowiedzialności. Od każdego po kolei odbierał sprawozdanie z wykonanych zadań. Po zakończonej rundzie nakazał przejść jak najprędzej do wykonania drugiej części planu z zachowaniem należytej ostrożności.

– A teraz słuchajcie uważnie, Diego wyjaśni nam, co trzeba zrobić, żeby ująć jak najwięcej koni.

Diego zabrał głos i poprosił, by uważnie przyjrżeli się grupie koni, które pały się niedaleko od nich na brzegu laguny.

– Na wolności klacze żyją w stadach i na każde działanie z zewnątrz reagują zawsze grupowo. Na czele stada znajduje się zwykle jedna albo dwie samice i właśnie one są odpowiedzialne za kierowanie całą resztą. Powinniśmy wykorzystać je tak, aby wraz z nami stały się przewodnikami całego stada. Przywiążemy je do naszych uprzęży i jeśli wszystko pójdzie dobrze, to one pociągną już za nami pozostałe

konie. Tylko w taki sposób można to zrobić. Ale musimy przy tym zachowywać się spokojnie i obchodzić z nimi delikatnie, żeby ich nie spłoszyć.

– A jak zamierzasz zabrać się za te samice, powiedzmy, szczególnie? – zapytał jeden z kawalerów. Pochodził z Sorii, miał cienki wąsik i trudny charakter.

– Wydaje mi się, że wiem, co myślą, jak można pozyskać ich zaufanie, a czego się boją. Potrafię interpretować ich reakcje i postępować tak, aby uznały mnie za swego przewodnika. Do tego wszystkiego potrzebuję ciszy i cierpliwości z waszej strony. Skorzystam z nocnego spokoju i pospaceruję sobie między nimi, żeby pozyskać ich zaufanie. Kiedy już rozpoznam te klacze, które grają rolę przywódcze, będę potrzebował waszej pomocy, żeby je poskromić. Ale starajcie się nie wywoływać u nich niepotrzebnego napięcia.

Inny z towarzyszy zapytał, ile potrzeba będzie na to czasu.

Diego ocenił, że jakieś trzy godziny.

– Ze wszystkich zadań w czasie naszej misji to akurat nie będzie może najbardziej niebezpieczne, ale na pewno najbardziej delikatne. – Diego starał się zjednać ich sobie. – Wasza współpraca będzie miała zasadnicze znaczenie dla odniesienia sukcesu. Jeśli wywołamy hałas, czeka nas niepowodzenie. Nastanie już wtedy dzień i nie sądzę, żeby cała operacja udała mi się ponownie. I dlatego zachowajcie jak największą ostrożność, starajcie się ich nie zdenerwować i zaufajcie swemu instynktowi. Zawsze wierzyłem, że konie potrafią odgadywać ludzkie myśli. Uważajcie więc, żeby wasze myśli ich nie przestraszyły...

Diego pozostawił większość grupy na brzegu ogromnej laguny, zdolnej pomieścić chyba miliard zwierząt. Zapamiętał, jak Galib w czasie poprzedniego pobytu na terenach zalewowych mówił, że tworzy je ponad setka lagun zajmujących rozległy teren na północ od ujścia rzeki Gwadalkiwir i że na przemierzenie całego obszaru potrzeba pół dnia jazdy konnej. Zeskoczył z Sabby i szedł dalej pieszo po wodzie sięgającej mu do kostek. Pod osłoną nocy i starając się zachować ciszę, rozpoczął poszukiwanie pierwszych klaczy przewodniczek. Zabrał ze sobą dwóch ludzi.

Zatrzymał się przed grupą koni, by uważnie przyjrzeć się ich zachowaniu. Rozglądał się w poszukiwaniu klaczy, która wyróżniałaby się na tle innych, i po pewnym czasie zwróciła jego uwagę jedna z nich, o jasnym grzbiecie, najwyraźniej zaczynająca z wolna prowadzić za sobą stado w przeciwnym do niego kierunku. Usłyszał, jak rzy w szczególnie sposób, i zaobserwował, że inne klacze opuszczają wówczas uszy na znak posłuszeństwa i postępują w ślad za nią. Diego, zbliżając się do niej powoli, wykorzystał przy tym cały repertuar dźwięków i gestów, który okazał się najwyraźniej wystarczający do tego, by usunąć jej początkową nieufność, bo gdy do niej doszedł, była łagodna i spokojna. Stał tuż przy nozdrzach i pokazał jej sznur, który przełożył następnie wokół łba i zawiązał na szyi. Koniec sznura wręczył jednemu ze swych towarzyszy i nakazał mu pozostać na miejscu, aż usłyszy sygnał do drogi. Sam zaś ruszył na dalsze poszukiwania.

Wkrótce spotkał następne stado, dużo większe od tamtego, liczące może czterysta sztuk. Łatwo odnalazł wśród nich trzy klacze przewodniczki i jednego starego ogiera, który także czuł się uprawniony do dowodzenia. Najpierw skierował się właśnie do niego.

– Jak to możliwe, że obowiązki kierowania stadem nie spoczywa na samcach? – Sancho Fernández, przyjaciel don Álvara i kuzyn władcy Baskonii, uznał tę sytuację za bardzo dziwną.

– Ogiery walczą pomiędzy sobą i z każdym, kto stara się o ich samice, a poza tym mają za zadanie bronić ich przed napastnikami. Natomiast w innych sprawach, jak poszukiwanie nowych pastwisk czy wyruszanie do wodopoju, przewodnictwo należy do samic, najstarszych i najbardziej doświadczonych.

– To dlaczego w takim razie podchodzisz teraz do tego samca?

– Jeśli mi się teraz uda pewna sztuczka, to możemy oszczędzić sobie problemów. One potrafią czasem walczyć z samicami, jeśli nie mają chęci na opuszczanie miejsca.

Wydał dźwięk podobny do parsknięcia i ogier natychmiast spojrzął na niego z zainteresowaniem. Diego zatrzymał się, pozostawiając mu inicjatywę. Ten zbliżył się do niego z wielkim szacunkiem i obwąchał mu starannie głowę i ramiona. Chwytał go lekko za ubranie, po czym głośno parsknął na znak akceptacji. Diego z kolei uszczypnął go w szyję

i przewiązał ją sznurem, cały czas mówiąc mu przy tym coś do ucha.

Po uporaniu się z ogierem bez trudu już oswoił trzy klacze.

Łatwo też poszło w kolejnych stadach. W ciągu dwóch następnych godzin udało mu się zebrać ponad pół setki zwierząt przewodników, po czym zabrzmiał ostry gwizd, umówiony sygnał do wymarszu.

Każdy z jeźdźców przywiązał do swej uprzęży jedną z pozyskanych klaczy, te zaś z kolei pociągnęły za sobą grupy liczące od dwudziestu do pięćdziesięciu zwierząt.

Początkowo wiele z nich stawiało opór i nawet trzeba było uwolnić niektóre najbardziej nerwowe sztuki, by uniknąć większych problemów. W końcu, z zachowaniem delikatności i bez większej presji, udało się poprowadzić stada w kierunku północnym, do ujścia rzeki Guadamar, gdzie wszyscy się spotkali.

Dalej jednak należało przemierzyć dolinę, ciągnącą się między kanionem tej rzeki a górami oddzielającymi ją od Sewilli, i tam właśnie czekał ich jeden z najtrudniejszych etapów powrotnej drogi. Zamierzali przejechać przez górzysty teren przed świtem, żeby nie pozwolić się dostrzec, jako że widok trzech tysięcy koni opuszczających mokradła poruszyłby chyba każdego.

W miarę jak zjeżdżali się po kolei rycerze ze swymi stadami, zadowolony don Álvaro pozdrawiał ich, gratulując pokonania pierwszych trudności. Czekał na Diega, żeby omówić z nim dalsze plany.

– Dziś, zanim wzejdzie słońce, ponad tysiąc rycerzy kastylijskich pozostawi za sobą z tyłu Kordobę i obierze kierunek na Carmonę. Wyruszyli z Toledo z jedynym zadaniem udzielenia nam pomocy. Ich atak ściągnie na siebie większą część wojsk Almohadów i jeśli tylko ci zareagują tak, jak przewidujemy, to pozostawią nam otwartą drogę powrotu. – Spojrzał na zgromadzone za jego plecami ogromne stado koni, po czym wznosił wzrok ku niebu. – Do świtu pozostały nam tylko dwie godziny. Nie zwlekajmy więc z wymarszem.

– Przypominam sobie, że po drugiej stronie gór, nad brzegiem rzeki Huéznar, widziałem wielką równinę, gdzie będziemy mogli dać koniom odpocząć – podpowiedział mu Diego.

Don Álvaro, ogarniając wzrokiem tę niezwykłą ekspedycję, czuł dumę, ale też ogromne strapienie. Nigdy nie wyobrażał sobie czegoś

podobnego, nigdy nie widział tyle piękna zgromadzonego w jednym miejscu, nigdy nie brał udziału w misji tak skomplikowanej i pasjonującej. Czując wciąż świeży ból z powodu poległych towarzyszy i z pewnym niepokojem spoglądając w przyszłość, pomodlił się po cichu w jednej i drugiej intencji, po czym dał sygnał do wymarszu.

Kolejnego dnia, gdy przemierzali pustynny region Serena, postanowili przyspieszyć marsz. Decydując się na to, wiedzieli, że będą podnosić ogromną chmurę pyłu, ale za to szybciej dotrą na wilgotne tereny, gdzie będzie można zaspokoić pragnienie, które stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Upał utrudniał zwierzętom oddychanie i czynił marsz nieznośnym. Wiele koni głośno okazywało swe niezadowolenie i rozglądało się za najlepszą okazją, żeby uciec swym porywaczom. Jeźdźcy musieli niemało się natrudzić, żeby udaremnić próby ucieczki, co powodowało opóźnienie marszu.

Gdy pozostawili już za sobą step i zaczęli wspinać się na wyżej położone tereny, przyszło im stoczyć walkę z patrolem saraceńskim, który wypatrzył ich i dogonił. Zdołali zabić prawie wszystkich, ale jednemu udało się zbiec.

– To nam skomplikuje wszystko... zobaczycie...

Świadom zagrożenia, jakie zawisło w ten sposób nad nimi, don Álvaro uznał, że przyszedł czas na podjęcie nowych decyzji. Zebrał wszystkich na naradę i przedstawił im swój plan.

– Od tego momentu powinniśmy postarać się kierować stadem siłami tylko połowy ludzi. Reszta utworzy pięć pierścieni ochronnych, jeden w pobliżu nas, a pozostałe rozstawione w różnych odległościach.

Wyzaczył pięciu odpowiedzialnych i dał im pisemne rozkazy, by czynili wszystko, co trzeba, by uniknąć wroga.

– Zaatakować ich, unicestwić, rzucić się za nimi w pościg i zabić!
– Don Álvaro, mówiąc to, energicznie gestykulował. – Zdecydujcie sami, jak to zrobić, ale nie chcę widzieć żadnego Saracena bliżej niż dziesięć mil od tego stada. Zrozumiano?

Poszczególne grupy ruszyły każda w swoją stronę i nie dawały znać o sobie przez cztery następne dni, do czasu, gdy zbliżyli się do rzeki Gwadiany, stanowiącej granicę Kastylii, a zarazem ostatnią przeszkodę przed dostaniem się na przyjazne tereny.

Gdy znajdowali się już parę mil od brzegu rzeki, dostrzegli zbliżające się do nich gwałtownym galopem dwa spośród czterech patroli. Wedle wiadomości, jakie przynieśli, ścigał ich oddział złożony z co najmniej trzystu Saracenów, znajdujący się już w niewielkiej odległości.

Don Álvaro zapowiedział, że po powrocie do Toledo spotka ich surowa kara za niewypełnienie jego rozkazu o utrzymaniu należytej odległości. Przez nierozwagę ściągnęli za sobą wroga i stworzyli zagrożenie dla wszystkich.

Przywołał Sancha Fernándeza.

– Parę mil na północ od rzeki leży zamek kalatrawensów. Wezwij ich tu do nas z pomocą. Wyciśnij całą energię ze swego konia, choćby na koniec miał paść. Pędź, jakby gonił cię sam diabeł. – Sancho uderzeniem w zad pognął swoją klacz, ta zaś ruszyła jak strzała, osiągając taką prędkość, że po chwili zniknęli z widoku.

Don Álvaro kazał wszystkim się zebrać, by poinformować ich o sytuacji. Z siodła swego konia, emanując dostojnością i odwagą, wyjaśnił im, czego od nich oczekuje.

– Nie mamy teraz czasu na długie rozmowy, powiem więc krótko i jasno. Musimy sprawić, żeby zwierzęta przedostały się przez rzekę całe i zdrowe. To oznacza, że musicie utworzyć na naszych tyłach żelazną barierę, która nie dopuści do nich Maurów. Jeśli będą próbowali rozbić stado, postawcie zaporę, przetnijcie im drogę albo zabijcie konie, wszystko mi jedno. Zrozumiano? – krzyczał ze wszystkich sił.

Potwierdzili jednogłośnie bojowym okrzykiem.

Dały się już słyszeć pierwsze krzyki Saracenów, kiedy na sygnał don Álvaro wszyscy rzucili się do popędzania stada klaczy w kierunku północnym.

Galopując na Sabbie, Diego spojrzął za siebie i stwierdził, że na wzgórzu, z którego właśnie zeszli, roi się teraz od wrogów.

Zwierzęta ociekały potem i biegly naprzód, zastraszone razami wymierzanymi przez jeźdźców i oszołomione wznoszącymi się dokoła krzykami. Od brzegu rzeki dzieliło ich już zaledwie pół mili. Przeprawa w tym miejscu miała prowadzić przez wodę niezbyt głęboką. Diego, który zalecił taki właśnie wybór, zbliżył się teraz do don Álvaro i przyglądał mu się uważnie. Ten jechał z przymrużonymi oczami i zaciśniętą szczęką. Napięcie mięśni i emanująca zeń odwaga czyniły go podobnym

do greckiego posągu zdobiącego jeden z portali w Toledo.

– Muszę zająć miejsce na czele stada. – Diego wykrzyknął mu niemal do ucha. – Trzeba sprawić, żeby klacze nie rozbiegły się przed wejściem do wody. Jeśli to się wydarzy, to żadna z osobna nie zechce przejść przez rzekę i poniesiemy kompletną porażkę.

– Masz rację. W takim razie wysuwaj się naprzód, to już niedaleko. – Dały się słyszeć pierwsze świsty strzał. Niektóre z koni, przestraszone tymi odgłosami, zaczęły biec jeszcze szybciej, popychając te, które znajdowały się przed nimi. Widząc to, don Álvaro powziął pewien pomysł i natychmiast przesunął się nieco do tyłu, by przedstawić go kawalerom.

Diego i Sabba w dalszym ciągu przesuwali się do przodu stada, żeby zająć pozycję na jego czele. Spoglądając za siebie, czuli się oboje zaskoczeni niezwykłym spektaklem, jaki tworzyły tysiące dzikich koni, pięknych i silnych, przemierzających z pełną prędkością ostatnie ćwierć mili, dzielącej ich od granicy Kastylii.

Diego, podobnie jak reszta jeźdźców, dobrze wiedział, że po jednej stronie rzeki czekało ich życie, a po drugiej śmierć – jeśli przeprawa się nie uda i wpadną w ręce Saracenów. Konie wrócą wówczas na mokradła, oni zaś użyzną tę ziemię swą krwią.

Diego pochylił się do ucha Sabby.

– Pokaż wszystkim, że jesteś córą wiatru. Daj świadectwo znakomitości twej krwi, twojego imienia i rasy stworzonej specjalnie do lotu. Pędź szybciej niż kiedykolwiek, rozbij powietrze, gdy cię hamuje.

Sabba odpowiedziała nową falą energii i przejęła dowództwo nad tym wspaniałym kluczem, kierując go najkrótszą drogą ku rzece. Tuż za nią niósł się ogłuszający koncert końskiego rżenia i suchy tętent tysięcy kopyt, bijących w ziemię z taką siłą, że kamienie podskakiwały przy drodze.

Diego dojrzał nieodległy już brzeg i zdecydował się jechać w kierunku prześwitu między drzewami, który wychodził na ławicę piasku nad rzeką.

Tymczasem w tylnej części stada niektórzy jeźdźcy, wykonując polecenie don Álvaro, kłuli mieczami niektóre klacze ze swoich grup, sztucznie wywołując wśród nich panikę. Pobudzone w ten sposób zwierzęta zarażały swym strachem pozostałe sztuki, a te dodatkowo przyspieszały pęd.

Gdy zbliżyła się pierwsza horda saraceńska, miecze chrześcijan zabłysnęły w powietrzu, a ich stalowe ostrza wydały wyrok śmierci na ścigających. Nie ustając w galopie, zdołali odeprzeć ich atak tak brawurowo, że na drodze pozostało wielu rannych i zabitych wrogów, podczas gdy ze swoich utracili tylko dwóch.

Wzrok skierowali ku rzece i modlili się, by dotrzeć do niej jak najprędzej, jako że kolejna wraza fala była już niedaleko, a liczebnością swą mogła przewyższać tę poprzednią nawet trzydziestokrotnie.

Grad strzał powalił wiele koni, co spowodowało upadki innych, trwogę wśród pozostałych i niebezpieczne skupienie się zwierząt. Prędkość całej kolumny w ten sposób spadła i miecze Saracenów zdołały osiągnąć pleców niektórych chrześcijan. Sytuacja w mgnieniu oka pogorszyła się tak bardzo, że niektórym wszystko wydało się już stracone.

Diego przejechał już nadbrzeżny zagajnik i kopyta Sabby zdążyły poczuć ciepło piasku i chłód rzecznej wody. Z rosnącym niepokojem rozglądał się za pomocą, jakiej oczekiwali od kalatrawensów, ale nie było widać nikogo. Za chwilę jednak na niewielkim wzgórzu dostrzegł kilka chorągwi powiewających na wietrze, potem błyszczące ostrza włóczy i wreszcie okazały oddział w pełni uzbrojonych jeźdźców, przepelnionych żądzą walki.

– Trzymajcie się! – krzyknął do swoich, obracając się ku nim. – Mamy wsparcie!

W tym momencie rzeka zapełniła się tysiącami koni, wzbijających kopytami fontanny piany. Olbrzymi potok zadów i głów rozciął powierzchnię wody, tworząc widok zaiste imponujący. Don Álvaro na moment przed dotarciem do brzegu miał tuż za sobą trzech przeciwników, odległych zaledwie o parę łokci. Jeden z nich napinał właśnie cięciwę swego łuku, by wystrzelić strzałę w jego kierunku, gdy inna strzała wbiła się w jego szyję, zabijając go na miejscu. Don Álvaro poczuł ogromny przyływ nadziei, widząc ponad setkę rycerzy kalatrawensów na przeciwnym brzegu rzeki. Gdy jedni z nich pomagali uporządkować przeprawę stada koni, a inni przedostawali się przez rzekę, aby odeprzeć atak przeciwników, pozostali wystrzelili w kierunku tych Saracenów, którzy najbardziej zagrażali kawalerom.

Po dotarciu na drugi brzeg Diego zatrzymał się i obejrzał za siebie. Widok był oszałamiający. Wody rzeki zabarwione były krwią i wzburzone przejściem tak ogromnej masy zwierząt. Kolejne setki koni wyskakiwały na brzeg i przebiegały obok niego, obryzgując go wodą i błotem. Ale na to nie zważał, witał je w poczuciu radości z ogromnego sukcesu. Z drugiego brzegu rzeki usłyszał ostatnie uderzenia mieczy, a po nich okrzyk do odwrotu nieprzyjacielskiego wojska.

Stado koni z terenu lagun, marzenie Abderramana III i kaprys kolejnych muzułmańskich kalifów, najwspanialsza w dziejach kolekcja czystej krwi arabów znalazła się teraz w rękach chrześcijan.

W owej chwili Diego zapłakał, obejmując Sabbę za szyję. Jego radość była niezmiernie wielka.

V

Świat chrześcijański został wezwany do przybycia na krucjatę do Toledo dwudziestego maja tysiąc dwieście dwunastego roku.

Odzew dał się zauważyć już parę dni wcześniej, w miarę jak pojawiały się pierwsze cudzoziemskie oddziały z Baskonii i Langwedocji. Do nich dołączyły inne, mniej liczne, ale jadące z dalekich stron, z Pomorza, Czech i Niemiec.

W ciągu zaledwie dziesięciu dni nad brzegiem Tagu zgromadziło się ponad trzy tysiące rycerzy, dziesięć tysięcy jeźdźców i pięćdziesiąt tysięcy innych ludzi, chłopów, giermków, żon niektórych z nich i wszelkiego rodzaju pomocników.

Król Kastylii Alfons VIII przyjmował przybyłych z należytymi honorami i zgodnie z obietnicą złożoną wszystkim, którzy wezmą z nim udział w krucjacie, wypłacał każdemu rycerzowi ustalone dzienne wynagrodzenie, ćwiartkę tej sumy zaś każdemu chłopu. Ponadto co ranka rozdzielane było pieczywo zwane *bizcocho*, solone mięso, ser, czosnek i woda. Starannie pilnował, aby wszystkie wydatki były pokrywane ze skatupy królewskiej.

– Wasza Wysokość, tej nocy znów napadli na synagogę. – Reprezentant wspólnoty żydowskiej, czerwony ze złości, ścisnął nerwowo w rękach swój kapelusz. – Zgwałcili... zgwałcili dwie nasze dziewczyny i... i poza tym porwali trzech kupców z naszej dzielnicy. Powlekli ich jak bydłęta i... i obdarli ich żywcem ze skóry pośród wyzwick i drwin. – Mężczyzna pocił się i zgrzytał zębami w poczuciu bezradności. – A poza tym w ciągu dnia wyśmiewają nas i obrzucają kamieniami.

– Domyślam się, że mówisz o tych obcokrajowcach – przerwał mu król. – Czy udało wam się kogoś z nich konkretnie rozpoznać?

– Działają zakapturzeni, ale podejrzewamy, sądząc po akcencie, że to muszą być ci z Poitou... – Wyjął dwie sakiewki pełne złotych monet. – Wiecie przecież, że z pełnym poświęceniem odpowiedzieliśmy na żądanie naszego udziału w finansowaniu tej nowej wojny i nigdy się na to nie skarżyliśmy, ale skoro nie mamy najmniejszych gwarancji bezpieczeństwa dla nas i naszych interesów, rozumiecie chyba sami, że nie możemy dalej udzielać wam wsparcia.

Arcybiskup Toledo, don Rodrigo Ximénez de Rada, wkroczył do sali przyjęć z zaczerwionym obliczem.

– Wasza Wysokość... Przed chwilą widziałem walki na ulicach.

– Mówcie więcej, Eminencjo – monarcha aż podniósł się z tronu.

– Uformowały się oddziały milicji miejskiej z plebejuszy i ludzi ze wsi, występują zbrojnie przeciw obcokrajowcom, którzy dopuszczają się grabieży. Mają dość ich ekscesów, przerażenia, jakie sięją na wszystkie strony, i okrucieństw w stosunku do waszego ludu żydowskiego, który chcą ochronić. – Spojrzał ze zrozumieniem w kierunku zamożnego arendarza podatkowego, który pożyczył ponad osiemnaście tysięcy marawedów na wyprawę przeciwko Almohadom.

Król Alfons zacisnął pięści z gniewu. Brakowało trzech tygodni do przybycia wojsk aragońskich oraz ochotników z Portugalii i Leónu. W tym samym czasie spodziewał się też przybycia arcybiskupa Narbony, Arnalda Amalrica, który miał również przyprowadzić ze sobą pewną liczbę rycerzy z Lyonu oraz z regionów Vienne i Valence. Tego akurat dostojnika chciałby widzieć obok siebie jak najprędzej, tylko on bowiem mógłby uspokoić swych awanturnych rodaków, a poza tym obiecał przywieźć wiadomości o zamiarach króla Nawarry, Sanchy VII. Arnaldo miał odwiedzić go po drodze i przekonać do udziału w wyprawie, ale na razie król Kastylii nie znał rezultatu tych rozmów.

– Rozkażę, by obcokrajowcy natychmiast opuścili miasto. Polecę urządzić wszystkie potrzebne sklepy za murami oraz zadbać o zaopatrzenie w jedzenie i siano dla koni. Od dziś bramy Toledo będą zamknięte na czas od północy do świtu.

Kazał wezwać swego przyjaciela i zastępcę, don Diega Lópeza de Haro, i wydał mu stosowne dyspozycje. Arendarz poczuł się w miarę usatysfakcjonowany z rezultatu audiencji i opuścił salę, zostawiając króla z arcybiskupem samych.

– Wasza Wysokość jest, jak widzę, bardzo zdenerwowany.

– Jak mam nie być, Rodrigo... Wciąż nie zdajemy sobie sprawy z ogromu naszego przedsięwzięcia.

– Już teraz macie prawo do dumy. Jako jedynemu w ostatnich stuleciach udało wam się połączyć siły wszystkich królów hiszpańskich, dziedziców czcigodnej monarchii wizygockiej. – Arcybiskup duszkiem wypił kielich wody.

– Nie wiem jeszcze, co zamierza zrobić mój kuzyn Alfons, władca Leónu, czy król Nawarry, Sancho. Portugalia przyśle zaledwie paru rycerzy.

– Czy przyjadą wszyscy, czy też nie, i tak zgromadzicie armię ogromną i potężną. Dwa tysiące rycerzy cudzoziemskich, trzy tysiące w drodze z Aragonii plus trzy tysiące waszego wojska, oprócz tych z Nawarry, jeśli w końcu przyjadą, i tych, których wyśle Portugalia. Do nich wszystkich trzeba jeszcze dodać uzbrojonych chłopów, giermków i strażników miejskich z Segovii, Ávili, Cuéllar, Madrytu i reszty wolnych miast waszego królestwa. Jeśli samych rycerzy będzie dziesięć tysięcy, to trzeba dodać jeszcze do tego dwadzieścia tysięcy piechurów, którzy też wybierają się z wami na wojnę. Pomyślcie tylko, trzydzieści tysięcy dusz pragnących tego, by wasze marzenia się spełniły, trzydzieści tysięcy ludzi oddanych sprawie rekonkwisty tych ziem, które należały niegdyś do naszych przodków.

Król podliczał tymczasem w myślach koszty, jakie trzeba będzie ponieść na utrzymanie wszystkich wojsk. W zawartej umowie zobowiązał się do pokrycia ich wydatków od przybycia do Toledo, tymczasem jego początkowe szacunki przekroczone zostały już ponad dwukrotnie. Sfinansowanie całego przedsięwzięcia spoczęło niemal wyłącznie na jego barkach, co sprawiło, że skarb mocno ucierpiał. Mimo to jednak wysiłek ów znaczyłby niewiele, gdyby w efekcie doprowadzić miał do triumfu. Jego pragnienie zwycięstwa było tak wielkie, że nie zawahał się pożyczyć dziesięciu tysięcy marawedów królowi aragońskiemu, by ten zgodził się stawić ze swym wojskiem w Toledo, po

tym, jak mocno zubożyły go trzy wielkie kampanie przeciw al-Nasirovi w strefie Lewantu i na Majorce.

– Przyjmijmy, że każdy rycerz przywiedzie ze sobą cztery wierzchowce – dzielił się swoimi myślami z arcybiskupem. – Jednego konia do boju i drugiego do podróży, trzecim przyjedzie giermek; czwarty będzie muł do transportu broni i dobytku. Zgromadzi się wówczas czterdzieści tysięcy zwierząt, które trzeba codziennie nakarmić. Kiedy dodamy te trzy tysiące pozyskanych ostatnio od Almohadów i te, którymi przyjadą strażnicy miejscy, myślę, że dojdziemy w sumie do pięćdziesięciu tysięcy.

Don Rodrigo pozostawał pod wrażeniem tej kalkulacji.

– Koń bojowy musi dostać codziennie korzec siana i prawie pół korca owsa oraz dwa wiadra wody. A każda dziesiątka ludzi to korzec pożywienia...

– Nie wiem, czy bardziej nas niepokoją wydatki na to wszystko, czy to, żeby nikomu niczego nie zabrakło.

– Niepokoją mnie dwie rzeczy. Dziś rano oszacowałem liczbę wozów, jakie będą potrzebne każdego dnia, żeby dowieźć jedzenie, gdy już zaczniemy kampanię, i pomijam tu siano, bo liczę na wykorzystanie naturalnych pastwisk. No więc, jaka to może być liczba?

– Dwieście wozów...

– Dla samych tylko koni będziemy potrzebowali każdego dnia pięćuset wozów... i dodatkowo jeszcze stu, żeby dostarczyć jedzenie wojownikom.

– Wielkie nieba! – zakrzyknął duchowny.

– Może byśmy się w takim razie zastanowili teraz nad tym, jak pokryć wszystkie związane z tym wydatki.

Król zaczął właśnie bić nową monetę ze złota po tym, jak nałożył na swych poddanych specjalny podatek na finansowanie wojny, ale i tak sam musiał pokryć większość kosztów.

– Za parę dni przyniosę wam wiadomość o wkładzie, jaki będzie mógł wnieść Kościół Kastylii do tej świętej krucjaty. – Arcybiskup dotychczas nie myślał o tym, ale podzielił troski monarchy. – Wedle mojej decyzji byłaby to połowa wszystkich rent, jakie pobieramy w ciągu roku, ale wyplacona awansem.

Król Alfons wydawał się tym zdumiony.

– Doskonale, Rodrigo, doskonale. Czuję się doprawdy zaskoczony.

Mówicie o sporej sumie pieniędzy, byłaby to duża ulga dla mojego przetrzebionego skarbu. A widzieliście już to wspaniałe stado, jakie udało nam się uprowadzić Almohadom?

– Jeszcze nie, Wasza Wysokość.

– A więc wyrzycmy stamtąd. – Skierował kroki do narożnika sali i przeszedł pod kamiennym łukiem do półkolistej wieżyczki. Z jej balkonu otwierał się widok na wschód od pałacu.

Na rozległej łące nad brzegiem rzeki pasły się tysiące kłaczy i ogierów, sprowadzonych z mokradeł u ujścia rzeki Gwadalkiwir. Już od tygodnia przeszło setka rycerzy, giermków i chłopców stajennych pracowała nad ich ujeżdżeniem, aby mogły być przydatne w kampanii.

– Gdy na nie patrzę, to myślę sobie, że Stwórcą musiał mieć dobry dzień, gdy powoływał do życia tę wspaniałą rasę. – Don Rodrigo podziwiał ich elegancką sylwetkę, dostojny chód, ich witalność.

– Z tego, co słyszałem, prorok Mahomet do tego stopnia kochał konie, że nakazał swym następcom traktować tę rasę ze szczególnym szacunkiem i strzec jej nawet z narażeniem własnego życia. Odbierając im to stado, nie tylko zapobiegliśmy wyposażeniu w nie potężnej armii, która mogłaby być niszcząca dla naszych wojsk, ale przede wszystkim zraniliśmy ich honor.

– Nigdy nie zrozumiem, jak to się mogło udać... Nigdy.

– Ja też nie – przyznał Alfons VIII. – Ten weterynarz wykazał się ogromną odwagą i znakomitym umysłem.

– Poznałem go w Zorita de los Canes i już wówczas zauważyłem u niego coś szczególnego, ale nie wiedziałem, czym jest to coś. Później dowiedziałem się, że nie jest rycerzem ani szlachcicem, że w swej edukacji podlegał niebezpiecznym wpływom mudejarów, ale posiadał rozległą wiedzę medyczną i ma nieprzeciętną inteligencję. Jest w nim coś niezwykłego, być może dusza bohatera, sam nie wiem. Sądzę, że dobrze byłoby mieć go w pobliżu w czasie kampanii, jego talent może okazać się przydatny. – Don Rodrigo usłyszał bijące w pobliżu dzwony i stwierdził, że na niego już pora.

– Chcę wyruszyć z Toledo najpóźniej dwudziestego maja – przerwiał mu król. – Jeśli będziemy czekali dłużej, upał może stać się nieźnośny, a poza tym wyschną pastwiska. Ci, którzy do tego czasu nie

zdążą, będą musieli dołączyć do nas po drodze. – Wpatrywał się w horyzont w powadze i skupieniu. – Czekają nas największe bitwy z tych, jakie toczyły się na ziemiach chrześcijańskich. Takie oddziały nie zgromadziły się nawet w Ziemi Świętej. Od dziś, drogi przyjacielu, mianuję was kronikarzem tej batalii. To wy będziecie tym, który opowie przyszłym pokoleniom, co wydarzyło się roku pańskiego tysiąc dwieście dwunastego.



Tymczasem w Sewilli, nieopodal miasta, zebrało się drugie ogromne wojsko, oczekujące na rozkaz kalifa Muhammada al-Nasira.

Na grzbiecie swego pięknego berberyjskiego ogiera potężny władca Almohadów przeprowadzał inspekcję swoich wojsk. Towarzyszył mu alkad zdobytej niedawno twierdzy Salvatierra, Andaluzyjczyk Ibn Qadis, wódz cieszący się wśród żołnierzy znakomitą reputacją z racji dostojęstwa i odwagi.

– Społeczeństwo andaluzyjskie nie ma zrozumienia dla dżihadu – mówił do kalifa – i wcale nie pała żądzą odebrania terytoriów opanowanych przez chrześcijan. Jest to lud usposobiony pokojowo, który pragnie tylko uprawiać ziemię i żyć bez większych problemów.

– Mogłeś powiedzieć mi to w nieco łagodniejszych słowach... – odrzekł al-Nasir – tymczasem czuję się, jakbyś opisywał mi lud złożony ze zdrajców. – Przejeżdżał obok oddziału przybyłego niedawno z Afryki, tak zwanych zanatów lub gomarów, drapieżnych Berberów, należących do jednego z plemiennych odgałęzień almohadzkich. – Doszło do tego, że muszę sprowadzać kontraktowe kontyngenty z dalekiej Arabii, żeby zbudować odpowiednią armię. Wierz mi, wstyd mnie ogarnia, gdy muszę tłumaczyć, co mam do zrobienia, bo tutejsi ludzie nie lubią nosić broni...

Przywitał się z dowódcą agzazów, niezwykle utalentowanych wojowników tureckich, najlepszych łuczników konnych, jakich świat kiedykolwiek widział. Nawet galopując z największą prędkością, potrafili oddać celny strzał w dowolnym kierunku i nie spaść przy tym z siodła. Al-Nasir wyznaczył im miejsce w pierwszej linii swojej kawalerii.

Tuż za nimi stało legendarne wojsko arabskie. Stawiło się tu przed tygodniem w liczbie prawie dziesięciu tysięcy, jadąc z dalekiej ziemi Proroka. Ich zachowanie w boju mogło wydawać się chaotyczne, ale potrafili dobrze posługiwać się włócznią i po mistrzowsku władali mieczem. Przyjechali ze swoimi żonami i dziećmi i stanowili grupę najbardziej ożywioną i hałaśliwą ze wszystkich. Przejeżdżając obok swej kawalerii, przypomniał sobie w głębokim smutku tę znieważającą kradzież koni. Wspaniałe stado z mokradeł... w prostej linii wywodzące się ze stadniny Ismaela, syna proroka Abrahama, w dwóch trzecich zrabowane zostało przez przeciwników islamu! Ta obraza stanowiła najgorszą wiadomość, jaką był w stanie sobie wyobrazić od czasu niespodziewanej śmierci syna, Yahia, która nastąpiła parę dni wcześniej. Potomek ów był jego ulubieńcem, upatrywanym na następcę kalifa. Ta śmierć poruszyła go do tego stopnia, że wszystkim dookoła powtarzał jedno: jego pamięć uhonoruje podarkiem w postaci zwycięstwa nad chrześcijanami i głowy monarchy kastyljskiego.

– Oprócz wojsk regularnych, którymi dysponuje al-Ándalus – mówił dalej al-Nasir – agzazów i wojsk arabskich, które widzieliśmy przed chwilą, mamy sporo wojowników berberyjskich i wielu braci Almohadów przybyłych z Marrakeszu. Poza tym oczywiście dysponujemy moją gwardią imesebelenów i mniej więcej pięcioma tysiącami ochotników z najróżniejszych stron. I wreszcie, mamy trzy tysiące rycerzy andaluzyjskich oraz grupę najemników chrześcijańskich pod rozkazami wiernego mi Pedra de Mora, nielicznych, ale bardzo odważnych.

– Jak wielkie będzie zatem wasze wojsko?

– Dowodzić będę armią złożoną z dwudziestu tysięcy jeźdźców i sześćdziesięciu tysięcy piechoty. Osiemdziesiąt tysięcy dusz, zdolnych zwyciężyć lub polec za Allaha, jeśli taka byłaby Jego wola.

– Czy mogę pozwolić sobie na mały komentarz, którym w żadnej mierze nie chciałbym was urazić i umniejszyć chwalebnej misji?

– Mów, mój wierny Ibn Quadisie.

– Jak zamierzacie sprawić, aby wojsko złożone z tak różnorodnych oddziałów walczyło, jakby było jednym ciałem? Czy wiecie, że Arabowie przybyli pod przymusem, za pokutę z powodu ich udziału w buncie przeciwko wpływowi almohadzkim, z którymi nigdy się nie

pogodzili. Andaluzyjczycy zaś, moi krajanie, jak już wam mówiłem, zgadzają się walczyć tylko skuszeni zapłatą.

– To prawda, że zdolny ruszyć ich jest tylko pieniądź – odparł al-Nasir – ale to oni najlepiej ze wszystkich znają kawalerię chrześcijańską i w walce zachowują się tak jak tamci.

– Rozwagi wam nie brak, sid, ale jak powiadam, motywacja poszczególnych waszych oddziałów jest mocno zróżnicowana. Spójrzmy na wojowników berberyjskich. Oni z pewnością przybyli tu, by nade wszystko bronić almohadzkiego credo. Czy możemy przyjąć, że to samo sprowadziło innych ochotników? – Wskazał na jeden z oddziałów, który wyglądał bardziej chaotycznie od pozostałych. – Poza tym, że są niezdiscyplinowani, ich marzeniem jest tylko jedno: zginąć w świętej wojnie i trafić do raju...

– Mam taki wielki motyw, który wszystkich nas zjednoczy... – Kalif skierował spojrzenie na Sewillę, odbitą w falach Gwadalkiwiru.

– A moglibyście mi zdradzić jaki, sid?

– Saladyn poprowadził swych ludzi na podbój Jerozolimy i zdołał odzyskać to święte miejsce dla naszej wiary. Ten bohaterski wyczyn zapewnił jego ludziom chwałę i bogactwo. Ja zrobię to samo. – Wypiął pierś i pogładził się po brodzie. – Poprowadzę ich na Rzym. Podbijemy to miasto, najświętsze dla niewiernych. Zadamy w ten sposób śmiertelną ranę ich dumie. I wtedy moje imię i imiona ich wszystkich – wskazał na zgromadzone wojska – pozostaną na zawsze połączone z tym czynem, jak Saladyna i jego ludzi z Jerozolimą.

VI

Mencía wbiegła mocno poruszona, głośno wzywając Marcosa. Nareszcie znów dostała wieści o losach kalatrawensa Bruna de Oñate.

– Przyszedł właśnie nowy list z Fitero. – Pokazała mu kartkę, którą ścisnęła w rękach. – Piszą, że po upadku Salvatierry skierował się do innego zamku, Zorita de los Canes.

– Uspokój się, złap oddech! Ledwie cię rozumiem... – Marcos uświadomił sobie, czego może pragnąć Mencía i że zapewne zechce, aby jej towarzyszył.

Zaledwie miesiąc wcześniej przyszedł list, w którym don Álvaro Núñez de Lara zawiadamiał o śmierci Diega. Mimo że informacja pochodziła z takiego źródła, ona nigdy w nią nie uwierzyła, jako że oprócz tego, co podpowiadało jej serce, widziała domniemany grób Diega pusty.

– Gdzie leży ta Zorita?

– W regionie Trasierra, na południe od Guadalajary. – Mencía odrzuciła do tyłu włosy. – Skoro Bruno de Oñate jest teraz w tej twierdzy, to być może Diego też. Pojedziesz ze mną go odnaleźć?

– No... tak, oczywiście... – Marcos zastanawiał się szybko nad tym, które z jego spraw mogą poczekać, a które nie. – Z tym że przed wyjazdem potrzebowalbyśmy kilku dni na załatwienie paru rzeczy.

– Kilku dni? Nie mogę tak długo czekać. I nie mam takich wątpliwości jak ty. Powinniśmy wyruszyć jeszcze dziś po południu.

Mencía miała świadomość, że podróżować z Marcosem będzie jej na pewno łatwiej, ale i bez niego też sobie poradzi. Nikt i nic nie jest w stanie opóźnić jej wyjazdu.

– Daj mi tylko trzy dni i wtedy możemy jechać razem. – Marcos spojrział jej prosto w oczy, oczekując zmiany decyzji, ale nie dostrzegł cienia wahania.

– Ty po prostu nie chcesz jechać, prawda?

Opuścił głowę.

– Mam pewne zobowiązania tu na miejscu... a poza tym wojna wi-
si w powietrzu. Nie jestem rycerzem i nie potrafię władać bronią. Ro-
zumiem twoje pragnienie, żeby go odnaleźć, ale jeśli o mnie chodzi...

– Obliczyłam, że dojazd do tej twierdzy zajmie mi tydzień. Nie li-
czę na ciebie, pojedę sama.

– Czemu nie zaczekasz na jakąś karawanę zmierzającą w tym kie-
runku? Weź pod uwagę, że od kiedy rozeszły się wieści o nadciągającej
wojnie, znacznie zmniejszył się ruch na drogach i przez to niebezpie-
czeństwo na nich wzrosło.

Marcos miał bez wątpienia rację, ale Mencía powodowała się raczej
pasją niż ostrożnością. List od don Álvara wystawił jej nadzieję na
ciężką próbę, potrzeba zdobycia pewności była więc silniejsza od logi-
ki. Wpadła na pomysł, by dla uniknięcia kłopotów wybrać się w podróż
w przebraniu męskim.

– Przecież teraz wszyscy jadą na wojnę! Skróć włosy i schowam
je pod kapeluszem. Włożę obcisły strój i ukryję swój kobiecy wygląd.
Tak zrobię.

Marcos dobrze wiedział, że nic jej powstrzyma. Z poczuciem winy
pożegnał ją, życząc powodzenia w misji i prosząc o przekazanie po-
zdrowień dla Diega, jeśli go odnajdzie.

– Bardzo proszę, przyślij mi wiadomość, jak ci poszło, a nade
wszystko uważaj na siebie.



Tymczasem w upalny dzień, szesnastego czerwca, zaledwie cztery
dni po dacie ustalonej jako początek krucjaty, do Toledo przybył król
Aragonii, Pedro II, na czele silnej liczebnie armii.

Ludzie z całego miasta wylegli, by powitać go okrzykami i brawa-
mi. Widząc go przejeżdżającego przez most Alcántara, oddychali z
większą nadzieją. Z jego pomocą pokonanie wroga wydawało się im
pewne.

Diego, u boku don Álvaro Núñeza de Lara, uczestniczył w zgromadzeniu zwołanym przez króla Kastylii, Alfonsa VIII. Rozpoznał tam przybyłego z królem Aragona porucznika Gardę Romeu, którego miał okazję poznać w Olite. Jechali strzemię w strzemię, trzymając w rękach sztandar korony aragońskiej. Za nimi powiewały setki proporców rycerstwa najznakomitszych rodów.

– Przyjechał wicehrabia Cardony – don Álvaro znał osobiście wielu ze zgromadzonych. – O tam, pod tą chorągwią ze złotą gałązką kardua na czerwonym tle. A to mój przyjaciel Guillem de Cervera. Jego herb przedstawia jelenia koloru szkarłatnego na srebrnym tle. Jest też Ximeno de Cornell i Dalmau de Creixel. Teraz dołączyli hrabiowie Tarragony i Ampurii. Spójrz na tę złotą chorągiew ze szkarłatnym haftem. Należy do Aznara Parda. To majordomus królewski. – Don Álvaro obserwował przybyłych ze sporą dozą emocji. – Przyjechali wszyscy. To największe zgromadzenie dostojęstwa aragońskiego, jakie widziała kiedykolwiek ta ziemia.

Po trzykrotnym uderzeniu w dzwon wszyscy zamilkli.

Król Alfons i jego małżonka Leonora, w galowych strojach, przystąpili do ceremonii powitania króla Pedra II. Ten zsiadł ze swego pięknego rumaka i na oczach wszystkich uściskał króla Kastylii, dając wyraz serdecznym doń uczuciom.

– Wraz z jego przyjazdem kończy się w naszym mieście długi okres wyczekiwania na to, by ujrzeć wreszcie nasze wojska połączone – rzekł don Álvaro do Diega. – Cudzoziemcy od miesiąca już są w Toledo, a Sancho VII z Nawarry w końcu zdecydował się dołączyć, choć dogonić ma nas po drodze. Królowie Leónu i Portugalii sami udziału nie wezmą, ale przysłali spore grupy swych rycerzy. A ty, czy już podjąłeś decyzję?

Diego dwa dni wcześniej został poinformowany o tym, że król na niego liczy.

– Odebrałem to jako zaszczyt, ale czy wiecie, dlaczego właściwie król chciałby, bym z wami jechał?

– Wojny wygrywa ten, kto wkłada w nie więcej inteligencji. Król wie o tym i stara się zgromadzić wszystkich ludzi z talentem. Zobaczył, że powiodła ci się niezwykła misja na lagunach, wie, czego nauczyła cię Salvatierra i wreszcie ufa twoim zdolnościom.

Diego poprawił się w siodle i podrapał Sabbę po czole.

– Dobrze to przemyślałem: tak, pojadę.

– Osobiście ogromnie się z tego cieszę. Twoja obecność będzie dla nas bardzo przydatna, jestem tego pewien. A co najbardziej wpłynęło na twoją decyzję?

– Chęć niedopuszczenia do zwycięstwa Almohadów. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co oznaczałoby dla nas wszystkich utrata wolności. Uważam za swój obowiązek, by powstrzymać ich fanatyczne zapędy i zniweczyć ich plany zrobienia z nas niewolników i poddanych. Tej wizji musimy się przeciwstawić. Jeśli teraz ich nie zdołamy powstrzymać, obrócą w perzynę nasze zasady i tradycje. Postanowiłem jechać z tych właśnie powodów, ale także przez wzgląd na osobę naszego króla, dla którego od dawna już żywię największy szacunek. Dał dowód dużego zaufania do swego ludu, podpisując setki dekretów o przyznaniu szczególnych praw radom miejskim i gminnym. Dzięki jego determinacji, tysiące ludzi ze wsi i miasteczek, osób pochodzenia tak marnego jak moje, zyskały szanse na powodzenie niewyobrażalne w innych epokach, kiedy szlachta decydowała o wszystkim.

– Mądrze powiadasz, Diego. To nie będzie wojna podobna do innych. Tu dojdzie do zderzenia dwóch cywilizacji i dwóch religii. Moja funkcja zobowiązuje mnie do wierności wobec króla, ale wierz mi, że gdyby było inaczej, też wyruszyłbym, aby odzyskać ziemie naszych przodków i na zawsze pozbyć się najeźdźców. Oni marzą o narzuceniu swej wiary całej Europie i od nas zależy, czy zdołamy temu zapobiec. Od pomyślności wiatrów w czasie bitwy zależeć będzie, czy pozostaniemy ludźmi wolnymi, czy dostaniemy się pod ich panowanie.

Znów na trzykrotne uderzenie dzwonu wszyscy zebrani ucichli. Król Kastylii zamierzał wygłosić przemówienie. Wszedł na niewielką wieżę i odezwał się donośnym głosem:

– Przyjaciele... Chrześcijanie! Maurowie wtargnęli na nasze ziemie i odebrali je nam przemocą. Tylko nieliczni chrześcijanie przetrwali w górach na północy i wystąpili zbrojnie przeciwko najeźdźcom, zabijając wielu z nich, ale i ginąc przy tym samemu. Przez wiele lat starali się pokonać wrogów wszędzie, gdzie to było możliwe, odzyskując przy tym nasze ziemie, aż doszło do sytuacji, jaką mamy dziś.

Zebrani przyjęli jego słowa z aplauzem, wielu skandowało jego imię, on zaś po chwili mówił dalej:

– Jako synów zaprzyjaźnionych ze sobą i wielce czcigodnych królestw hiszpańskich oraz jako braci w chrześcijańskiej wierze wzywam was do wzniesienia wraz ze mną swej prośby do Boga o powodzenie naszej misji. Dla przypieczętowania naszego zobowiązania i w ofierze dla naszego Pana proszę was, abyście powtarzali za mną: Wszystko dzięki Tobie, wszystko dla Ciebie. Wszystko dzięki Tobie, wszystko dla Ciebie...

W wielkiej manifestacji radości zebrani wznosili swe głosy ku niebu i parokrotnie powtarzali jego słowa, odczuwając dumę z udziału w wielkim historycznym przedsięwzięciu. Zbiorowe emocje zarażały wszystkich. Już sam fakt udziału w nim ludzi wywodzących się z tak wielu krajów i kultur nadawał mu nadzwyczajny charakter.

W owej chwili wielu żołnierzy uwierzyło, że są niepokonani, niektórzy zaś skłonni byli uznać się za bicz boży.



Dnia dwudziestego czerwca o świcie cała armia przepojona wzniosłą ideą krucjaty ruszyła na południe, by podjąć walkę z potężnym wrogiem.

Składało się na nią trzydzieści tysięcy piechoty, dziesięć tysięcy rycerzy i pięćdziesiąt tysięcy innych jeźdźców. Konie sprowadzone z nadmorskich mokradeł zostały przeznaczone dla wolnych obywateli wchodzących w skład straży miejskich. Do tego i tak już ogromnego wojska dołączyło w ostatnim momencie jeszcze ponad pięciuset członków zakonów rycerskich kalatrawensów, templariuszy i Santiago.

Różnorodność ich sztandarów i strojów, brzęk oręża, stukot kopyt końskich i wreszcie ogromne rozmiary całej kolumny – wszystko to robiło wrażenie. Wszędzie tam, gdzie przejeżdżali, ludzie wychodzili im na spotkanie, zarażając się ich entuzjazmem i marzeniem o zwycięstwie, jakie emanowało z ich twarzy. Niektórzy nawet dołączali do ich szeregów.

Dowódca wojsk królewskich, don Diego López de Haro, ruszył na czele rycerzy biskajskich na południe już trzy dni wcześniej. Zabrał ze

sobą oddziały cudzoziemskie, aby złagodzić napięcie odczuwane przez ich rycerzy przed walką z niewiernymi i uniknąć możliwych konfliktów z oddziałami kastylijskimi i aragońskimi.

Don Diego ustalał zawczasu, gdzie mają zatrzymać się wieczorem na spoczynek, aby nie brakowało tam wody, pastwisk i drewna na opał. Pomagali mu w tym zadaniu zwiadowcy, którzy przeszukiwali uprzednio teren pod kątem dostępu do pastwisk i zbiorników wody.

Po czterech dniach od opuszczenia Toledo ta pierwsza grupa dojrzała zamek i miejscowość Malagón, zajęta przed wielu laty przez Maurów. Twierdza nie była wielka, miała tylko jedną wieżę usytuowaną centralnie i cztery narożne. Zbudowana została z kamieni łączonych wapnem, a jej umocnienia były dość skromne.

Gdy okupanci dostrzegli zbliżające się wojska cudzoziemskie i biskajskie, szybko wysłali parlamentariuszy z ofertą poddania twierdzy w zamian za ocalenie życia mieszkańców. Don Diego przyjął tę propozycję, typową zresztą w tego rodzaju sytuacjach, ale cudzoziemcy, gdy znaleźli się w obrębie murów, niesieni duchem krucjaty rzucili się na Saracenów, wycinając ich wszystkich w pień, czemu nie zdołał zapobiec ani biskajski dowódca, ani też nikt inny.

Po dokonaniu tej jatki wielu cudzoziemców odczuwało radość, choć ręce mieli unurzane we krwi po same łokcie, a wśród ofiar nie czynili różnicy dla wieku i stanu. Upojeni sukcesem, postanowili poczekać w tym miejscu na przybycie pozostałych wojsk.

Główny korpus wojsk dotarł do Malagón przed południem dnia dwudziestego siódmego czerwca. Diego, który przyjechał w tej grupie, na widok murów twierdzy i powiewających na blankach chorągwi chrześcijańskich wysunął się wraz z Sabbą naprzód, by powspominać dawne czasy.

Pognał w kierunku dużego jeziora i dostrzegł z daleka gospodę, teraz całą w ruinie. Stojąca obok stajnia też wyglądała na zrujnowaną. I on sam, i Sabba zapłakali na ten widok. Z tym miejscem wiązała się cała jego przeszłość, wspomnienie sukcesów odnoszonych w bólu i pamięć o śmierci najbliższych. Ojciec i starsza siostra spoczywali na dnie jeziora, podobnie jak rycerze kalatrawensi, którzy pośpieszyli im z pomocą. Tyle wspomnień cisnęło się do jego głowy, tyle żalu zbierało

się w sercu, że pragnął teraz tylko wziąć tę ziemię w objęcia i oblewać ją łzami.

Tymczasem porywcy obcokrajowcy w twierdzy i poza nią zaczęli uskarżać się na złe zaopatrzenie w prowiant.

Wozy z jedzeniem docierały spóźnione i nie dość liczne. Pobliskie tereny były zbyt skąpo porośnięte trawą, by wykarmić ich konie, do-
kuczliwy upał zaś znacznie przekraczał to, do czego przywykli w swo-
ich krajach. Zdecydowanie nieodpowiednie do tego klimatu okazały się
też ich grube ubrania.

Gdy królowie chrześcijańscy dowiedzieli się o przelewie krwi spo-
wodowanym przez cudzoziemców, postanowili zwrócić się w tej spr-
awie ze skargą do ich dowódców, wśród nich zaś do biskupów Bordeaux
i Narbony. Żołnierze otrzymali surową naganę i przestrożę przed do-
puszczeniem się takiej samowoli w przyszłości. Ale to bynajmniej nie
spodobało się tym, którzy przyjechali tu przecież z tak daleka, a w do-
datku uczynili to na wezwanie papieża i z wyraźnie określonym zadan-
iem, aby panowanie Almohadów z ziem iberyjskich wyrwać z korze-
niami. Nie pojmowali, dlaczego mieliby puszczać wrogów wolno, by
później musieć znów z nimi walczyć. Dla wielu gest taki oznaczałby
nawet akt tchórzostwa i zdradę szczytnych ideałów krucjaty.

– Wasza Wysokość, moi ludzie przyjechali tu po to, aby zobaczyć,
jak płynie krew heretyków, podobnie jak to miało miejsce w Jerozoli-
mie czy w innych podobnych przypadkach. Nie pojmują, czemu mamy
wdawać się w negocjacje w sprawie poddania twierdzy, zamiast zrów-
nać ją z ziemią razem z okupantami. – Dowódca wojsk z Gaskonii,
występując w imieniu wszystkich cudzoziemców, przetłumaczył ich
skargi królowi Alfonsowi VIII. – Mówią, że jeśli to dalej ma tak wy-
glądać, oni rezygnują z udziału w przedsięwzięciu i wracają do domu.

Król Alfons, poruszony głęboko tak poważną przeszkodą w ledwie
co rozpoczętej kampanii, próbował przekonywać ich najlepiej, jak po-
trafił.

– Powiedźcie, że zapłacę im podwójnie. Wyjaśnijcie im też, że nie
możemy pozwolić sobie na niszczenie twierdz, bo musielibyśmy bu-
dować je od nowa, aby móc utrzymać zdobyte tereny. Nasza wojna

przeciw Almohadom nie ma zakończyć się jednym wielkim starciem, choćby miało być nie wiem jak wspaniałe. Musimy stopniowo, krok po kroku, zdobywać teren, aby w końcu zepchnąć ich do morza i zmusić do powrotu na ich ziemię, z których nigdy nie powinni byli wyjść. Musimy w tym celu opanować wiele twierdz, abyśmy mogli z pewniejszych pozycji dalej uwalniać obszary na południu.

– Rozumiemy, Wasza Wysokość, ale wy powinniście z kolei zrozumieć nas. Moi ludzie stawili się na tę krucjatę, mając w pamięci bohaterские czyny, jakich dokonali ich przodkowie w Ziemi Świętej. Gorąco pragną im dorównać... Nie hamujcie ich. Nie powstrzymujcie ich ducha bojowego, bo wrócą do siebie. Przemyslcie to dobrze.

Król wziął pod uwagę fatalny skutek, jaki dla morale jego wojsk miałoby wycofanie się cudzoziemców, i zaproponował tym ostatnim ugodę.

– Zaledwie dwie mile stąd, na przeciwległym brzegu Gwadiany, leży ufortyfikowana miejscowość Calatrava. Jest to solidna budowla obronna, prawie niemożliwa do wzięcia szturmem. Wzniesiona jest na skale i otoczona głęboką fosą, której część stanowi samo koryto rzeki. – Wyciągnął z pochwy miecz i przeciął nim powietrze. – Weźmiemy ją siłą! Walczyć z obrońcami będziemy wspólnie, ramię przy ramieniu. Pokażemy niezłomność naszego ducha! Jej zdobycie to będzie, zaiste, wyczyn godny bohaterów!

– Spróbuję ich przekonać, Wasza Wysokość. Pomożemy wam, ale potem pozwólcie nam robić swoje.

Aby dotrzeć do Calatravy, musieli przedtem sforsować rzekę Gwadianę. W jej korycie napotkali pierwszą poważną trudność tej wyprawy. Saraceni rozrzučili tam tysiące jeży, które wbijały się w kopyta koni, gdy te zaczynały wchodzić do wody.

Diego podniósł jeden z nich i przerażenie ogarnęło go na myśl o szkodach, jakie może uczynić tak mały obiekt. Był to kawałek metalu w kształcie piramidki z zastrzonymi końcami, zdolnymi wbić się, gdy nastąpi na nie koń lub człowiek.

Tuzin zwiadowców przystąpiło do mozolnego wybierania wszystkich jeży z szerokiego pasa rzeki, aby umożliwić w ten sposób bezpieczny przemarsz wojsk.

Pochłonęło to sporo czasu, cudzoziemcy zaś w tym czasie ponownie zaczęli uskarżać się na panujący w środku dnia upał i na niedostateczne zaopatrzenie w prowiant.

Gdy po paru godzinach znaleźli się wreszcie w pobliżu Calatravy, zaskoczyły ich nowe możliwości obronne tej twierdzy. Otoczona została mianowicie nowym szerokim murem, z potężnym barbakanem, chroniącym podjazd i bramę. Poza tym jej fosa była dużo głębsza niż poprzednio i obejmowała dwie trzecie obwodu, od strony rzeki, dostęp zaś utrudniała urwista skarpa.

Na całej długości murów widać było rozmieszczoną różnego rodzaju broń i przynajmniej setkę żołnierzy andaluzyjskich, gotowych bronić się aż do śmierci.

Don Álvaro Núñez de Lara zbliżył się do obu monarchów, by z nimi pomówić.

– Gdy zbierzemy się na radę, powinniśmy przede wszystkim zastanowić się, jak przeprowadzić szturm. Wiemy, że na czele obrońców stoi Abdulhachah Ibn Qadis, sławny rycerz andaluzyjski, urodzony w Kadyksie, którego bojowe zasługi otacza już legenda.

– Wydaje się, że to zadanie nie do wykonania – rzekł Pedro, władca Aragonii. – Potrzebne byłyby katapulty, a ich nie mamy, i ciężki sprzęt do podminowania fundamentów, którego też nie mamy.

– Rozbijemy obóz w pewnej odległości – zdecydował monarcha kastylijski. – Zawiadomcie wszystkich dowódców, chorążych i alkadów, którzy prowadzą straż miejską. Musimy pomówić o wyborze strategii. Trzeba też wysłać szpiegów na południe. Musimy wiedzieć, co robi nasz przeciwnik, gdzie się znajduje i jakie ma względem nas zamiary. Aha, i dobrze by było, żeby w tej ostatniej misji wziął udział ten weterynarz Diego. Chciałbym poznać jego punkt widzenia.



Dwadzieścia mil dalej na północ piękna dama przebrana za mężczyznę zatrzymała się na chwilę przy studni, by się napić i napoić swą klacz.

Trzy dni wcześniej opuściła zamek Zorita de los Canes, gdzie dowiedziała się, że Bruno de Oñate wyruszył stamtąd na wojnę przeciwko

miramamoliniowi, którym to słowem na ziemiach kastylijskich zazwyczaj określano almohadzkiego kalifa al-Nasira. Powiedziano jej, że ów kalatrawens w towarzystwie setki innych rycerzy odjechał przed dwoma tygodniami.

Niestety, wszyscy, których o to pytała, zarzekali się, że nie wiedzą nic o tym, gdzie też może być ów poszukiwany przez nią niejaki Diego de Malagón. Nie tracąc jednak nadziei, zdecydowała się pojechać w ślad za ową grupą rycerzy, licząc, że za ich pośrednictwem zdoła dotrzeć do Diega.

Pociągnęła za sznur i z niejakim trudem wyciągnęła ze studni drewniane wiadro pełne zimnej wody. Najpierw dała pić swemu koniowi, rozglądając się tymczasem ostrożnie dookoła. Znajdowali się w pobliżu zrujnowanego gospodarstwa, w którym najwyraźniej nikt nie mieszkał. Zdjęła kapelusz i poczuła przyjemny chłodny powiew we włosach. Upał tego dnia był nieznośny.

Wrzuciła wiadro z powrotem do studni i usłyszała, jak uderza o powierzchnię wody. Wydobyła je ponownie napełnione wodą i oparła o cembrowinę. Rozwiązała sznurówki swej ozdobnej koszuli i podwinęła rękawy, aby trochę się orzeźwić.

Zaniepokoił ją hałas za plecami, ale gdy się odwróciła, nie było widać nikogo. Jednak zza jednej ze ścian domostwa obserwował ją jakiś człowiek. Przechodząc nieopodal, usłyszał, jak sądził, odgłosy kogoś plądrującego zabudowania i zbliżył się z ciekawości, by zobaczyć, kto to taki. Jego zaskoczenie wzrosło, gdy dostrzegł damę w męskim stroju, jeszcze bardziej zaś, gdy pod rozchyłoną koszulą zarysowały się naddobne kształty. Ustronność miejsca sprawiła, że jej zapragnął. Od pewnego czasu nie miał okazji zaznać niewiasty.

Mencía postanowiła zamoczyć swoją koszulę, by ta chłodziła ją w dalszej drodze, zdjęła ją więc w tym celu, zostając w samej bieliźnie. Z tyłu tymczasem zbliżał się do niej bezszelestnie osobnik o surowym obliczu i sprośnym spojrzeniu. Nieświadoma niebezpieczeństwa, Mencía zanurzyła głowę w wiadrze, co przyniosło jej ulgę od upału. Gdy ją wyjęła, usłyszała trzask złamanej gałązki i obróciła się, ale nie zdążyła zareagować. Poczuła czyjeś ręce na swoich ramionach. Ogromnie przestraszona, próbowała uwolnić się z uchwytu i jako że pierwsze, co zobaczyła, była twarz owego mężczyzny, z furią natarła na nią paznokciami.

– Podła suka! – krzyknął napastnik, gdy poczuł jej paznokcie tuż przy oczach.

Spoliczkował ją z taką siłą, że przeciął jej wargę, po czym chwycił rękami za szyję i powalił na ziemię.

Mencia usiłowała wyswobodzić się z uścisku, wykręcając się i kopiąc. Ale mężczyzna był silny i zdołał utrzymać jedną ręką oba jej przeguby.

– Jak się nie uspokoisz, to zabiję cię tu na miejscu.

– Ty zwyrodnialcu, puszczaj mnie natychmiast! – Zdołała podrapać mu jedno z ramion. – Nie jadę sama... – skłamała – moi towarzysze cię zabiją.

Ten uśmiechnął się cynicznie.

– Drżę na samą myśl o tym...

Próbował pocałować ją w usta, ale nie był zbyt zręczny i Mencia ugryzła go w policzek. Odpowiedział drugim uderzeniem, które rozjątrzyło jej ranę na twarzy.

– Uspokój się.

Skierował ręce ku jej piersiom. Mencia krzyczała ze wszystkich sił wzywając pomocy, ale gdy spojrzała na twarz napastnika, utraciła całą nadzieję. Nie potrafi sobie z nim poradzić i nikt nie przyjdzie jej z pomocą.

Przypomniała sobie o radach Marcosa. Mówił, żeby dla bezpieczeństwa podróżowała z karawaną, ale teraz było już za późno. Mężczyzna zdejmował właśnie spodnie. Odwróciła się i ze łzami w oczach wydała przeraźliwy pisk, ale uzyskała tylko kolejne uderzenie w nos. W poczuciu klęski dyszała tylko i zamknęła oczy, czując, że nic więcej nie może zrobić.

– Puszczaj ją natychmiast! – Agresor poczuł na plecach dotyk ostrza miecza.

Mencia zdołała teraz zrzucić go z siebie i spojrzała w stronę, z której dobiegł głos. Zobaczyła dwóch uzbrojonych rycerzy.

– Usłyszeliśmy wasz krzyk, pani, i pośpieszyliśmy wam z pomocą. – Mimo dziwnego ubioru Mencia nie zdołała ukryć swego szlachetnego pochodzenia.

– Bogu niech będą dzięki... – Podniosła się i schroniła za plecami swych obrońców.

– To nie było tak, jak myślicie – tłumaczył się napastnik – ta kobieta mnie sprowokowała i...

– On łże! – krzyknęła wściekle.

– Masz szczęście, że brakuje nam czasu, by doprowadzić cię przed oblicze sprawiedliwości – odpowiedział mu jeden z nich. – Właściwie należałoby cię tu na miejscu powiesić, ale nie możemy się zatrzymywać. Zmykaj stąd szybko, zanim zmienimy zdanie.

Mężczyzna posłuchał niezwłocznie i oddalił się biegiem, pozostawiając za plecami obłoki kurzu.

– A wy, pani, dokąd zamierzacie dalej jechać samotnie w tym przebraniu?

– Na wojnę – odrzekła zdecydowanie, nie zastanawiając się nad efektem swoich słów. Wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Nie jesteście przecież z plebsu, to widać. Powinniście pomówić z naszym władcą. Jedźcie z nami. A, przepraszam, nazywam się Íñigo de Zúñiga.

Mencía doprowadziła do porządku ubranie, ukryła włosy ponownie pod kapeluszem i dosiadła klaczy, by pojechać za nimi.

Po przejechaniu paru mil dotarli do prowizorycznego obozowiska, gdzie stacjonowało przynajmniej pięciuset rycerzy w asyście piechoty i giermków, rozłożonych wokół namiotu z herbem króla Nawarry.

Mencía doprowadzona została aż do wejścia, gdzie zebrała się grupa osób zajętych rozmową. Dwójkę z nich poznała od razu. Zeskoczyła z siodła i puściła luźno swą piękną klacz, pojawieniem swoim budząc zdziwienie zebranych.

– Przepraszam was, pani, ale mam wrażenie, że was poznaję... – odezwał się Gómez Garceiz, chorąży króla Nawarry, którego miała okazję widzieć w Olite po tym, jak Diego został ranny.

– A ja was. – Uśmiechnęła się do niego.

– Mencía Fernández de Azagra... o ile się nie mylę?

Ta potwierdziła skinieniem głowy, po czym pokłoniła się z respektem królowi, jako że była to druga ze znanych jej osób.

– Z rodu Fernández de Azagra... – głos potężnego monarchy zadudnił jak echo w kamieniołomach – a zatem córka mojej ziemi, jak cała twoja rodzina. Dostrzegł jej rozciętą wargę i ranę na podbródku. – Co się wam stało?

Odpowiedziała krótko, bez wnikania w szczegóły, wyjaśniając przy tym powody tak ryzykownej podróży.

– Przepraszam was, pani, nie chciałbym być nieuprzejmy – prze-rwał jej Gómez Garceiz – ale nie rozumiem, jak kobieta szlachetnego rodu, jak wy, pragnie być blisko tak okropnych wydarzeń. Co wami powoduje?

– Poszukuję Diega de Malagón.

Gómez Garceiz zmarszczył brzoźmi na wspomnienie jego imienia.

– Już go poszukiwaliście przed laty, w Olite. Dobrze to pamiętam. Czy coś go z wami łączy?

– Muszę powiedzieć mu, że go kocham... – jej wspaniałe błękitne oczy powilgotniały, gdy publicznie wyznawała swą miłość. – I w tym celu zdolna jestem zaryzykować wszystko, nawet swoje życie, swoją cześć, co tylko będzie trzeba. Walczyć będę z każdym, kto mi stanie na drodze, i gotowa jestem przejechać pół świata, żeby móc mu powiedzieć, co do niego czuję.

Zgromadzeni poczuli podziw dla jej determinacji i – dalecy od żar-tów – skrycie pozazdrościli temu, kogo darzyła tak wielką miłością.

– Jedźcie z nami, Mencío. – Gómez Garceiz ucałował jej dłoń ze szczerem i głębokim szacunkiem. – Od tej chwili zapewnimy wam ochronę aż do linii frontu. A tam wy szukać będziecie waszej miłości, a my wojny i cierpień.

VII

Wojska króla Aragonii, grupa templariuszy i liczne oddziały cudzoziemców przypuściły szturm na zamek Calatrava od jego wschodniej strony, tej wychodzącej na rzekę, przejmując w efekcie pod swą kontrolę dwie spośród trzydziestu wież zamkowych.

Ku zaskoczeniu wszystkich wkrótce potem dowodzący obroną twierdzy Ibn Qadis zgłosił gotowość do kapitulacji. Alfons VIII podjął decyzję o przyjęciu tej propozycji mimo spodziewanego gniewu obco-krajowców. Wedle oferty złożonej przez sławnego dowódcę rodem z Kadyksu twierdza miała przejść pod władzę króla bez potrzeby prowadzenia walki. Warunkiem traktatu było jednak to, że oszczędzone zostanie życie wszystkich obrońców: połowa z nich miała opuścić zamek na koniach, druga połowa zaś pozostać w chrześcijańskiej niewoli.

– Wasza Wysokość, nie powinniście się na to zgadzać... – arcybiskup Rodrigo Ximénez de Rada wysunął zarzuty wobec traktatu o kapitulacji, powołując się na argumenty Kościoła.

Przypomniał też o tym, jakiej reakcji należy się spodziewać ze strony wojsk cudzoziemskich.

– Rodrigo, posłuchaj mnie spokojnie... – król wyciągnął do niego rękę, nakazując gestem milczenie. – Wciąż nie mogę pojąć, dlaczego oni poddali się tak szybko i prawie bez oporu, ale faktem jest, że tak się stało. Dotychczas zdobyliśmy tylko dwie ich wieże spośród trzydziestu. Szturmowanie kolejno wszystkich następnych zajęłoby nam przynajmniej tydzień, a nasze straty mogłyby być ogromne. I teraz wyobraź sobie taką sytuację, że w tym samym czasie wojska al-Nasira atakują nas od tyłu. – Arcybiskup pokiwał głową na znak zrozumienia dla jego

słów. – Musimy też pamiętać o problemach, jakie mamy z zaopatrzeniem, dużo gorszych teraz niż na krótko po opuszczeniu Toledo. A w tym zamku są całkiem spore zapasy żywności. Już tylko sam ten wzgląd byłby godny uwagi, a tak nawiasem mówiąc, pozwoli nam to uspokoić nieco nastroje wśród cudzoziemców.

Poczynając od dnia pierwszego lipca, sztandary Kastylii i Aragonii powiewały na wieżach legendarnej twierdzy, nieopodal Calatravy, czerpiącej korzyści z położenia tuż obok tego sporego miasta otoczonego murami.

Hiszpanom jej zdobycie dodało wiele animuszu, ale mocno zawiodło obcokrajowców, którzy stracili okazję, by zadać śmierć niewiernym, co nie mieściło się w ich mentalności. Znowu spotkali się z decyzją, ich zdaniem, godną pogardy. I to właśnie, a także dokuczliwe upały, jakie przyszło im znosić w ciągu dwóch następnych dni, oraz nasilające się konflikty z Kastylijczykami i Aragończykami, prowadzące nawet do zranień po obu stronach, wpłynęło na decyzję niektórych przywódców cudzoziemskich o definitywnym wycofaniu się z całego przedsięwzięcia. Jeśli nie można zadać śmierci Maurom i nie można pomścić krwi przelanej przez braci w Jerozolimie, to ich udział traci sens. Uznali, że przyjechali tu przecież nie po to głównie, by pomagać umacniać panowanie Kastylii przez przejmowanie kolejnych zamków i twierdz. Dlatego też dnia trzeciego lipca w rozmowie z królem Alfonssem VIII zawiadomili go o nieodwołalnym postanowieniu powrotu do swych krajów.

Tego samego dnia dwa tysiące rycerzy i około sześciu tysięcy piechoty skierowało się na północ ku zdumieniu i dezaprobacie pozostałych krzyżowców. Zdecydował się pozostać tylko arcybiskup Narbony, rodem z hrabstw katalońskich, Arnaldo Amalarico, na czele stu trzydziestu swoich rycerzy, a także tych z regionów Valence i Vienne.

Następnego dnia Alfons VIII ruszył na czele swoich wojsk oraz części oddziałów aragońskich w stronę Alarcos. Wszyscy pozostali zaś, a wraz z nimi Pedro II, mieli oczekiwać w twierdzy Calatrava na przybycie króla Sanchy VII oraz grupy rycerzy katalońskich.

Gdy znajdowali się w drodze, spotkali wracających z południa zwiadowców, wśród których był Diego de Malagón.

Don Álvaro Núñez de Lara, który jako pierwszy otrzymał informacje o położeniu i planach al-Nasira, zabrał ze sobą Diega wraz z dwoma towarzyszami w celu przekazania wiadomości królowi.

– Sądząc po tym, jaką trasą podąża obecnie miramamolin, oceniamy, że dotrze do południowego zbocza pod przełęczą Muradal czternastego lipca, Wasza Wysokość. – Jeden ze zwiadowców miał świadomość ryzyka, związanego z podaniem tej daty, z racji ogromu armii, trudnego terenu i długości pozostałego do pokonania dystansu.

– Ponadto udało nam się schwytać jednego z ich szpiegów i dowiedzieliśmy się, że jego zadaniem było przekazanie posłania od kalifa naszym wojskom. Poza tym podejrzewamy, że musiał już pozyskać do współpracy kogoś od nas, Wasza Wysokość – dodał Diego.

– A co zawiera to posłanie? – zapytał don Álvaro.

– Obiecuje tysiąc marawedów każdemu, kto zbiegnie z wojsk chrześcijańskich i przyłączy się do niego.

Wszyscy trzej Kastylijczycy wpadli w osłupienie, słysząc o tak ogromnej sumie.

– Dobrze przynajmniej, że o tej ofercie nie dowiedzieli się cudzoziemcy – ironizował arcybiskup Rodrigo Ximénez de Rada.

– Udało nam się uzyskać jeszcze jedną informację, która w danej sytuacji może mieć spore znaczenie dla naszych interesów – dodał trzeci ze zwiadowców. – Wygląda na to, że po tym, jak puściliście wolno alkada Ibn Qadisa, miramamolin, mocno rozsierdzony utratą Calatravy, skazał go na publiczną egzekucję, oskarżając o zdradę, tchórzostwo i dezercję.

– Znakomite wiadomości! – ocenił król. – Choć przyznam, że trudno mi zrozumieć, jak udało się wam uzyskać od niego aż tyle informacji.

– Wasza Wysokość pozwoli nam oszczędzić sobie wchodzenia w szczegóły. Bardziej przydatne może okazać się to, co powiedział nam tuż przed odejściem do upragnionego rajdu.

– Co macie na myśli? – Król Alfons zaczął okazywać niepokój. Wolałby, aby byli bardziej konkretni.

– Ibn Qadis cieszył się wśród wojsk andaluzyjskich opinią bohatera – odpowiedział Diego. – Gdy al-Nasir nakazał go w swojej obecności ściąć, najwyraźniej nie przewidział, jak bardzo negatywną reakcję wywoła to wśród ludzi. Już nie po raz pierwszy al-Nasir poniża Andaluzyjczyków, i to czasem tylko z tego powodu, że urodzili się na ziemiach iberyjskich, nie zaś w czcigodnych górach Atlas.

Król, słuchając tego, powziął pewien plan.

– Dezercja cudzoziemców nadwątlila morale naszych żołnierzy. Wielu sądzi, że wraz z nimi ulotnił się duch świętej krucjaty i że teraz tocymy już po prostu tylko jedną z batalii, podobną do tych, jakich było wcześniej wiele. Z uszczuplonym wojskiem nasza kampania wystawiona jest na niebezpieczeństwo, ale widzę, że oto pojawia się przed nami dobra okazja, którą należy wykorzystać. – Zwrócił się do trójki zwiadowców. – Mam dla was nowe zadanie, związane jednak z jeszcze większym niebezpieczeństwem.

Król wyłożył im swój plan i polecił, aby don Álvaro kierował przygotowaniem wszystkiego do czasu, gdy Bruno de Oñate, jako szef wywiadu kalatrawensów, stanie na czele misji. Nakazał też, aby udział w niej wzięło co najmniej pół setki rycerzy.

Diego postanowieniem tym nie był zachwycony. Od czasu pamiętnej rozmowy w zamku Zorita de los Canes więcej się już nie spotkali. Odmowę pozostawienia go w swej grupie przez kalatrawensa wspominał z głęboką urazą, choć pamiętał też, że właśnie jemu zawdzięcza życie. W sumie miał więcej powodów, by myśleć o nim dobrze niż źle, jednak perspektywa udziału z nim we wspólnej misji nie cieszyła go ani trochę.

– Podczas gdy wy będziecie działali w pobliżu al-Nasira, my skierujemy się do Alarcos – kontynuował król Kastylii. – Mam tam ogromny dług do spłacenia. Poza tym przyjadą pozostali królowie.

– Wasza Wysokość... pozostała nam do powiedzenia jeszcze jedna rzecz, a mianowicie wielkość ich armii. – Soriańczyk o wyschniętej twarzy spoglądał na podłogę z ewidentnym zakłopotaniem.

– Racja! – zawołał król. – Wiem, że wyszli z Sewilli dwa dni po nas, dwudziestego drugiego czerwca, ale nie wiem ilu.

Spoglądali jeden na drugiego, nie wiedząc, który z nich ma przekazać tę wiadomość. Don Álvaro i król ośmielili ich w końcu.

– Siedemdziesiąt do osiemdziesięciu tysięcy...

– Wielkie nieba! To ogromna masa. – Don Rodrigo Ximénez de Rada spojrzął na oblicze monarchy, ale nie dostrzegł na niej oznak niepokoju.

– Tylko dobrze przygotujcie tę misję, którą wam przed chwilą zleciłem. Wszyscy trzej mówicie dobrze po arabsku, prawda?

– Diego mówi z nas trzech najlepiej – zapewnili szybko dwaj pozostali. Alfons VIII skierował na niego głębokie spojrzenie.

– Diego de Malagón... – Przybrał uroczystą postawę. – Znow chciałbym powierzyć ci zadanie o dużej doniosłości. Ufam twemu oddaniu i odwadze. Mam nadzieję, że twoja nowa odpowiedzialna misja odniesie sukces porównywalny z tym poprzednim. Od jej powodzenia mogą zależeć losy całej batalii.

– Zobowiązuję się do tego, Wasza Wysokość – zapewnił stanowczo Diego.

Choć nie cieszyła go perspektywa współdziałania z Brunem de Oñate, co do którego powziął pewne wątpliwości, to przede wszystkim odczuwał dumę z uczestnictwa w akcji, która miała pomóc zadać cios almohadzkim aspiracjom.

Następnego dnia król Alfons zdobył Alarcos tylko własnymi siłami i bez większych trudności. Najwyraźniej zdarzenia w Malagón i kapitulacja Calatravy były już znane Saracenom, którzy, powodowani być może strachem, poddali się stosunkowo szybko.

Wojska królewskie skierowały się następnie w stronę Salvatierry, twierdzy o symbolicznym znaczeniu, której upadek był dla świata chrześcijańskiego w swoim czasie na tyle bolesny, że porównywano go z utratą Jerozolimy na rzecz Salady. W odróżnieniu od poprzednich, ta była mocno ufortyfikowana i jej zdobycie wydawało się zadaniem niewykonalnym.

Król kastylijski zdecydował o rozłożeniu się w jej pobliżu z obozem i oczekiwaniu na przybycie pozostałych sprzymierzonych monarchów.

Mieli wspólnie zdecydować, czy przypuścić szturm, czy kontynuować marsz.

Wojska aragońskie, a wraz z nimi pięćuset rycerzy z Nawarry pod wodzą króla Sanchy, dojechały pod zbocza Salvatierry dnia ósmego lipca. Alfons VIII powitał tego ostatniego jak brata, dumny z jego obecności, i od razu zwołał naradę, na którą zaproszono też chorążych. W jego namiocie spotkało się tylko sześć osób, reprezentujących większą część terytoriów hiszpańskich z okresu Wizygotów.

Narada nie trwała zbyt długo, wszyscy bowiem szybko doszli do tej samej konkluzji: szturmowanie twierdzy trzeba zostawić na później, ponieważ al-Nasir znajduje się już w odległości zaledwie sześciu mil, po drugiej stronie łańcucha górskiego.

Tymczasem w obozie chrześcijan aż kipiało od napięć i niepokoju. Jedni oczekiwali na rozkaz przystąpienia do szturm na Salvatierrę, inni przygotowywali broń, ostrzyli włócznie i miecze bądź też naprawiali oczka kolczugi, uszkodzone we wcześniejszych starciach. Była wśród nich jasnowłosa kobieta o szlachetnym obliczu i strapionym spojrzeniu, która próbowała odnaleźć Álvara Núñeza de Lara, aby zapytać, czy wiadomo mu coś o losach Diega de Malagón.

– Tylko co wyszedł z namiotu królewskiego, dosłownie przed momentem. – Jeden z żołnierzy wskazał jej miejsce, gdzie właśnie zakończyła się narada u króla. – Teraz z pewnością znajdziecie go w tym drugim namiocie. – Pokazał jej w którym.

Mencía nie mogła pojąć, dlaczego od wyjazdu z Burgos prześladowa ją tak fatalny los. Po dotarciu do Calatravy okazało się, że wojska kastylijskie właśnie wyruszyły w stronę Alarcos i że grupa rycerzy pod wodzą Bruna de Oñate pojechała z nimi.

W Alarcos powiedziano jej, że wszyscy są już w dalszej drodze i jadą zdobywać Salvatierrę. I teraz znów, gdy dotarła już do tej twierdzy, nie mogła ustalić miejsca jego pobytu, tym bardziej zaś Diega.

– Mencía? – Don Álvaro zastanawiał się przez chwilę, czy na pewno dobrze rozpoznaje kobietę, którą widzi przed swym namiotem. Miała włosy dużo krótsze i wygląd jej zmienił się znacznie od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. – Mogę zapytać, co ty tu właściwie robisz?

– Szukam Diega... – odpowiedziała bez upiększeń. – Wiesz... Nigdy nie mogłam uwierzyć w to, co napisałeś w liście.

Don Álvaro milczał przez chwilę, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Jej niespodziewane pojawienie się w tym miejscu, twarz pełna nadziei oraz fakt, że oszukał ją w swym liście – wszystko to razem wprawiło go w zakłopotanie. Ona chciała poznać prawdę, ale jeśli wyjaśni jej wszystko nie dość ostrożnie, może to spowodować wstrząs.

– Nie wiedziałem, że owdowiałaś. Przykro mi. Dowiedziałem się tego od osób trzecich. – Don Álvaro chciał zyskać nieco na czasie.

– To wydarzyło się trzy lata temu. Mój mąż uległ ciężkiemu wypadkowi i zmarł na miejscu, taki to pech. Ale, Álvaro, nie unikaj odpowiedzi na pytanie, z którym tu do ciebie przyjechałam. – Chwyciła go za nadgarstki i patrząc nań, nie pozostawiła wątpliwości, że więcej matactw znosić nie zamierza.

– Być może powinnaś była wyjaśnić mi wtedy więcej spraw w swoim liście...

– Zapewne. Ale wtedy nie wydawało mi się to potrzebne. Moim jedynym pragnieniem było odnaleźć miłość swojego życia, Diega. Jechałam tu konno aż z Burgos i po drodze musiałam pokonać wszystkie trudności, jakie tylko można sobie wyobrazić. Trafiłam wreszcie na ślad kalatrawensa, Bruna de Oñate, i w ten sposób dotarłam w końcu do tego obozowiska. Álvaro... – spojrzała mu w oczy – ryzykowałam wiele i sądzę, że wycierpiałam też już dość dużo w czasie tej podróży. Nikt nic o nim nie wie, a wierz mi, pytałam już chyba wszystkich. Nie mogę tego pojąć. Szukałam go po wszystkich namiotach, pytałam wielu rycerzy i nikt go nie widział. Nie wiem, co dalej robić. – Z rozpacz popłynęły jej łzy. – Mam takie wewnętrzne przeczucie, że on żyje, ale nic mi nie pomaga w podtrzymaniu tej wiary. Proszę, nie zwlekaj dłużej, powiedz mi to, co masz do powiedzenia...

– Zgoda... Oszukałem cię wówczas, że Diego nie żyje. Chciałem w ten sposób ochronić jego, ale myślałem też o tobie. Nie wiedziałem o Fabiánie. – Mencía poczuła na twarzy przyływ świeżej krwi. – Diego miał wiele szczęścia, że w lochach Cuéllar poznał się z tym kalatrawensem, którego poszukujesz, Brunem de Oñate, bo ten, po ocaleniu go przed szubienicą, przywiódł go aż tu – wskazał na sylwetkę twierdzy Salvatierra. – Szukaliśmy wtedy człowieka o mniej więcej takich

właśnie zdolnościach jak jego i uznaliśmy, że to będzie odpowiednie miejsce do ukrycia go przed wymiarem sprawiedliwości.

Don Álvaro zdradził jej jeszcze parę szczegółów z działań podejmowanych przez Diega w ostatnich latach, na zakończenie zaś poinformował, że właśnie poprzedniego dnia opuścił on obóz z powierzoną mu delikatną misją.

– Cóż może być bardziej delikatnego niż wojna? – zapytała zaniepokojona.

Don Álvaro rozejrzył się dookoła, poprosił ją o ściszenie głosu i zaprosił do swego namiotu.

– Tego nie mogę ci zdradzić. Jego misja może okazać się decydująca dla nas wszystkich. I nie traktuj, proszę, mojej dyskrecji jako braku zaufania do ciebie. Wiemy, że al-Nasir ma swoich szpiegów w naszych oddziałach. Rozumiesz? Gdyby z powodu naszej nieostrożności dotarło do uszu kalifa, co zamierzamy uczynić, zamordowałby Diega własnymi rękami. Muszę czuwać nad jego bezpieczeństwem.

– Z ogólnego tonu tego, co usłyszałam przed chwilą, wnioskuję, że chcecie, żeby przedostał się do obozu Saracenów. – W przerażeniu uniosła rękę do ust, a jej oczy zapełniły się łzami. Tyle lat poszukiwań, tyle starań, by znaleźć się obok niego, i właśnie teraz, gdy zdawało się, że jest już blisko, ryzyko utracenia go na zawsze raptownie wzrosło. Zaskoczona obrotem sytuacji, nie mogła się już pohamować i płakała w ramionach Álvara.

– Nie miałem pojęcia, że aż tak go kochasz...

– Bardziej niż kiedykolwiek i kogokolwiek na świecie – odpowiedziała szlochając. – Co się z nim teraz stanie?

VIII

Al-Nasir zażyczył sobie poznać osobiście domniemanych dezertorów chrześcijańskich, których zatrzymało właśnie jego wojsko w pobliżu przełęczy Losa w łańcuchu górskim Muradal.

Na widok tak licznej grupy żołnierze saraceńscy nie mogli uwierzyć w szczerość ich intencji. Na wszelki wypadek związali im ręce i postanowili doprowadzić do swego wezyra, aby on zdecydował o ich losie. Gdy znaleźli się już w obozie almohadzkim, zostali ustawieni w szereg i otoczeni przez trzydziestkę żołnierzy berberyjskich o wrogich minach i spojrzeniach.

– Który z was mówi dobrze po arabsku? – zapytał człowiek o oliwkowej cerze i brodzie niestrzyżonej od lat.

Wszyscy spojrzeli w kierunku Diega.

– Wygląda na to, że ty... – Wyciągnął go z szeregu i rzucił na kolana. Następnie nakazał, aby jego ludzie zrobili to samo z resztą, po czym zagroził śmiercią każdemu, kto ośmieli się podnieść głowę w obecności kalifa.

– Nikt nie ma prawa spoglądać mu w oczy ani odzywać się bez pytania. Dobrze wam radzę.

Wszyscy go posłuchali.

Diego usłyszał odgłos kroków, po czym zatrzymał się przed nim człowiek, którego buty przykuwały uwagę. Wyszyte były złotą nicią i ozdobione kamieniami szlachetnymi. Serce zabiło mu gwałtownie na myśl o tym, że może go rozpoznać jeden z tych żołnierzy, którzy mu towarzyszyli razem z Pedrem de Mora. Był świadom ryzyka, jakie teraz podjął, po tym, co wydarzyło się w Sewilli. I choć nie było zbyt wielu

tych, którzy widzieli go podczas ucieczki, to niewątpliwie ów zdrajca kastylijski był jednym z nich.

Więcej wszakże znaczyło dlań powstrzymanie zapędów tej hordy fanatyków niż cokolwiek innego, w tym jego własne bezpieczeństwo. Poza tym gorąco pragnął wykazać niesłuszność wątpliwości, które zgłaszał Bruno de Oñate, gdy dowiedział się o jego udziale w misji. Na szczęście, decydujące okazało się stanowisko, jakie zajął w tej sprawie don Álvaro Núñez de Lara, nie zaś opinia kalatrawensa.

– Czego szukacie w oddziałach Allaha?

– Waszego złota, sid. Usłyszeliśmy, że zapłacicie tysiąc marawędów każdemu, kto zechce walczyć razem z wami.

– Jaką mi dacie gwarancję, że nie macie innych intencji? I że nie jesteście szpiegami?

– Możemy podać wam aktualną pozycję ich wojsk, ile mają kawalerii, jak są uzbrojeni. – Diego dobrze wiedział, o jak wielką gra teraz stawkę. – A czy wiedzieliście, że ich szeregi opuścili właśnie cudzoziemcy? Albo to, że wydali już połowę całej gotówki, jaką mieli, i że ich duch bojowy podupadł?

Al-Nasir nic mu na to nie odpowiedział, zwrócił się natomiast ścisłym głosem do wezyra.

– Myślę, że kłamią – szepnęł.

– Moja rada jest taka, żeby poczekać na Pedra de Mora. On przecież odpowiada za wszystkie nasze siatki szpiegowskie i na pewno będzie wiedział, czy wiadomość o cudzoziemcach jest prawdziwa. Z pewnością potrafi też ocenić wiarygodność intencji tych ludzi. Ma przyjechać jutro po południu. Do tego czasu powinniśmy, moim zdaniem, trzymać ich pod dobrą strażą.

– Ja jednak tymczasem spróbuję swoich własnych metod, żeby zbadać, czy ich intencje są czyste. Potraktujmy to jako sposób na oszczędzenie czasu. – Al-Nasir chwycił Diega za włosy i krzyknął mu do ucha: – Powiedz im, że zapłacę nie tysiąc, ale dziesięć tysięcy marawędów, dam trzy dobre konie, dwie niewolnice i moją gwarancję nietykalności pierwszemu, który powie mi prawdę.

Diego, zanim przełożył jego słowa, próbował się usprawiedliwić.

– Sid, zostaliśmy zakontraktowani przez króla kastylijskiego z racji

naszej kondycji żołnierzy najemnych. Dla nas wojna to tylko pieniądze. Do tej pory dostaliśmy tylko połowę zapłaty, ponieważ druga połowa uzależniona jest od wyniku walki. Od czasu wyruszenia z Toledo ciągle brakuje jedzenia i w dodatku żaden dzień nie minął bez jakiegoś nieszczęścia. Po ucieczce wojsk cudzoziemskich i po wiadomościach o liczbie waszych wojsk uznaliśmy batalię za z góry przegraną. Jeśli do tego wszystkiego dodać, że zapłata, jaką oferuje nam król Alfons, to trzysta marawedów, wy zaś proponujecie trzykrotnie więcej, a wygrana będzie z pewnością po waszej stronie, to nasza decyzja jest chyba zrozumiała. Nie interesują nas motywy waszych walk, czy są one religijne, czy terytorialne, chcemy się po prostu wzbogacić...

– Przetłumacz swoim ludziom, ile im zapłacę, i milcz. – Al-Nasir wymierzył mu policzek.

Diego przełożył jego słowa, a te wywołały ogromne poruszenie. Wszyscy czekali z niepokojem na to, co się dalej wydarzy.

– Czy ktoś chciałby coś powiedzieć?! – krzyknął głośno.

Diego przetłumaczył to na hiszpański. Nikt się nie poruszył ani nie otworzył ust.

– Widzę, że nie macie ochoty mówić... – Przywołał palcem jednego z żołnierzy berberyjskich i nakazał mu wyjąć z pochwy miecz. Polecił następnie doprowadzić do siebie pierwszego człowieka z szeregu, stojącego obok Bruna de Oñate, i gdy ten się już zbliżył, zmusił go do uklęknienia. Cofnął się następnie o krok, dokładnie w tym momencie, w którym głowa klęczącego upadła na ziemię, odcięta przez żołnierza jednym uderzeniem ostrego żelaza.

– Widzę, że nie zrozumieliście tego, co wam powiedziałem, więc powtarzam. Ten, kto powie mi prawdę, dostanie trzy konie, dwie niewolnice, dziesięć tysięcy marawedów w złocie i... ocali życie. To chyba niezła oferta, pomyślcie.

Diego znów przełożył jego słowa z nadzieją, że wszyscy będą milczeć. Gdyby ktoś zaczął mówić, dla wszystkich pozostałych oznaczałoby to śmierć. Al-Nasir odczekał chwilę, ale nikt się nie odezwał.

– A teraz kolej na ciebie. – Zbliżył się osobiście do szeregu chrześcijan i pociągnął za koszulę Bruna de Oñate.

– Mówimy prawdę, zabijając nas, niczego nie zyskacie. – Diego przetłumaczył na arabski to, co powiedział Bruno, i dostrzegł w jego oczach odwagę.

– Zabić go! – odpowiedział chłodno kalif.

Ostrze świsnęło ponownie, ukazując szyję Bruna de Oñate pozbawioną głowy.

Diego zamknął oczy i poczuł się zdruzgotany. Ta bezsensowna śmierć człowieka, któremu zawdzięczał życie, wydała mu się równie okrutna, co absurdalna. To niepoahamowane okrucieństwo, ta głęboka nienawiść zagnieżdżona w samym środku ich serc, to było dokładnie to, z czym pragnął walczyć i co sprawiło, że trafił właśnie tu. Żałował, że gdy dowiedział się o wspólnym udziale w misji, nie zdążył wyjaśnić swych nieporozumień z Brunem ani też okazać mu osobistej wdzięczności i podziwu dla jego zasług. Po drodze, niedługiej zresztą, z obozu chrześcijańskiego do saraceńskiego nie byli w stanie pokonać lodowego dystansu, jaki ich dzielił.

Po śmierci Bruna ten sam los spotkał tuzin innych towarzyszy. Diego z przerażeniem spoglądał na ich głowy leżące o kilka piędzi od niego i modlił się, by się to wreszcie skończyło.

– Na koniec spróbujemy z tłumaczem. – Diego wstrzymał oddech. Jego spojrzenie skierowane w dół padło ponownie na buty kalifa – teraz zbroczone krwią.

Tymczasem do kalifa zwrócił się stojący obok niego człowiek.

– Wiemy, że macie ciężką rękę i nieustraszone serce, ale posłuchajcie przez chwilę waszego pokornego doradcy.

– Mów...

– Myślę, że oni mówią prawdę. Nigdy nie widziałem takiej wytrwałości. Jeśli każesz ich dalej zabijać, na nic się nam nie przydadzą, a poza tym żadnego z nich nie zobaczy Pedro de Mora.

– Przygotuj miecz. – Al-Nasir nie słuchał jego słów.

Żołnierz podniósł drżące ramię, wyczerpany dotychczasowym wysiłkiem. Widząc to, kalif wyrwał mu miecz i ujął go w swoje ręce, podnosząc go następnie zdecydowanym ruchem. Diego trwał nieruchomo, nie okazując strachu, choć wiedział, że na niego przyszedł już kres. Poleciał swą duszę Bogu i zamknął oczy w oczekiwaniu na finał, z przezywaniem oddechem i przyśpieszonym tętnem.

Ale w tym momencie rozległ się ogromny krzyk i do obozu wjechała pełnym galopem grupa żołnierzy. Wołali, że spostrzegli nieprzyjacielskie wojska tuż za grzbietem górskim, zbliżające się do przełęczy.

Al-Nasir przypatrywał się przez chwilę szyi Diega, a potem mieczowi. Sam wyglądał na zmęczonego. Chmura pyłu, jaką podniósł oddział jeźdźców, wdarła się do jego płuc, wywołując kaszel. Zniechęcony opuścił broń i skierował się w stronę przybyłych, by dokładniej dowiedzieć się, co zauważyli.

Po wysłuchaniu ich relacji wezwał swego wezyra na rozmowę do namiotu, polecając przedtem, aby dezertarów trzymać pod strażą, aż przyjedzie Pedro de Mora.

Diego odetchnął z ulgą, choć wiedział, że czeka go jeszcze gorszy los, gdy zobaczy go Pedro de Mora.

Podnieśli go z ziemi i skrępowali, podobnie jak pozostałych, formując z nich długi szereg, po czym poprowadzili na południowy kraniec obozowiska.

Po drodze mijali wiele namiotów, pełnych odpoczywających żołnierzy. Ich uwagę zwrócił wszakże jeden z nich, ogromnych rozmiarów, przykryty setkami dywanów artystycznej roboty. Namiot ów otoczony był płotem z grubych pni połączonych łańcuchami i strzeżony przez spory oddział uzbrojonych imesebelenów. Z pewnością musiał należeć do samego kalifa.

Posuwali się wśród żołnierzy o różnorodnym pochodzeniu i wygładzie. Niektórzy nosili turbany. Inni, Turcy, mieli śniadą skórę i ciemne oczy. Towarzyszyły im także kobiety, które liczyć można było na tysiące. Teren zajmowany przez obozowisko miał milę szerokości i tyleż długości. W jego centrum wznosiło się niewielkie wzgórze i tu właśnie stał namiot kalifa. W części południowej, dokąd ich prowadzono, namioty były mniej liczne, ale za to większe, używane jako magazyny.

Z pięćdziesiątki ludzi, którzy wyruszyli na misję wraz z Diegiem, zostało teraz trzydziestu sześciu.

Gdy mijali dwa duże namioty w kolorystyce jarmarcznych bud, spostrzegli wychodzące z jednego z nich dwie kobiety, kierujące się w tę samą stronę. Diego, idący na początku szeregu, przyglądał się wyżej z nich. Odziana była w czarną tunikę i kwef, spod którego wymknął się jej pukiel rudych włosów. Gdy była już blisko, spojrzał na nią jeszcze uważniej i próbował odnaleźć jej oczy, z trudem widoczne przez wąską szparkę. Kobieta poczuła, że Diego przygląda się jej intensywnie, i z

ciekawości odwróciła się ku niemu. Oczy miała ogromne i intensywnie niebieskie, o takiej magii spojrzenia, że Diego był już pewien, iż nie może to być nikt inny. Dreszcz emocji przebiegł jego ciało. Miał ochotę krzyknąć, powiedzieć jej, kim jest, ale ze strachu przed tym, co mógłby spowodować, tylko uśmiechnął się do niej słodko. Estela potrzebowała chwili, aby go rozpoznać, ale wkrótce dotarło do niej, że ten ciemnowłosy mężczyzna o czarnych oczach, oliwkowej cerze i przyjaznym uśmiechu to jej brat Diego. Zmienił się mocno, ale to był na pewno on. Nie miała już teraz wątpliwości. Podniosła dłoń do ust i poczuła, że ogarnia ją pragnienie, by podbiec doń i go uściskać. Diego to zauważył i gdy się mijali, dał jej sygnał, by zachowała spokój. Estela poczuła przez moment dotknięcie ręki swego brata. Gdy znów obróciła się ku niemu, posłała mu spojrzenie pełne spokoju i radości.

Kiedy Estela wyprzedziła już całą grupę, zatrzymała się na chwilę, aby zobaczyć, dokąd są prowadzeni, i zapytała swą księżniczkę Najlę:

- Kim oni są?
- Nie wiem, o kim mówisz...
- Ludzie, których minęliśmy przed chwilą.
- Tego nie wiem, ale jeśli cię to interesuje, możemy zapytać. Żołnierzu! – zawołała do jednego ze strażników.

Młody człowiek odwrócił się i rozpoznał w niej siostrę kalifa. Skłonił się jej i podszedł nieco bliżej.

- W czym wam może pomóc wasz pokorny sługa?
- Kogo eskortujecie? – zapytała Najla zwięźle.
- Dezerterów z armii chrześcijańskiej, którzy pragną dołączyć do naszych szeregów.

Estela zdziwiła się niezmiernie. Nie wiedziała, jakie ma zamiary Diego, ale była pewna, że musiał trafić tu z innego powodu.

- Dokąd ich prowadzicie? – zapytała Estela spokojnym tonem, nie ujawniając dręczącego ją niepokoju.

Żołnierza zdziwiła nieco jej ciekawość, ale posłusznie odpowiedział.

- Pozostaną pod strażą w tym dużym namiocie, gdzie trzymamy ziarno dla koni. W tamtym ostatnim... – Wskazał na podłużny namiot stojący w pewnym oddaleniu od innych.

Najla odesłała żołnierza, po czym ujęła Estelę za ramię i zapytała, czemu interesują ją ci dezercerzy. Estela wahała się przez chwilę, ale szybko zrozumiała, że bez jej pomocy nic nie zdoła zrobić, i zdecydowała się w tej sprawie na szczerłość.

- Dojrzałam wśród nich swojego brata – szepnęła jej do ucha.
- Czy jesteś pewna? Minęło tyle lat od waszego rozstania...
- To on... nie ma wątpliwości.
- I po co tu przybył? – To pytanie wprawiło Estelę w pewne zakłopotanie.

Najla popatrzała na swą przyjaciółkę z zazdrością. Była pewna, że jej brat nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego dla niej. Z drugiej jednak strony, jej sytuacja była teraz dość kłopotliwa, bo czuła się w obowiązku zawiadomić kalifa o tym, czego się dowiedziała. Myślała o tym wszystkim w milczeniu. Była pewna, że ten człowiek znalazł się tu ze względów wojskowych, nie zaś osobistych. Nierozsądne wydawało się przypuszczenie, że mógł zdecydować się na taką wyprawę tylko po to, by odzyskać kobietę. Pomyślała też z przerażeniem o tym, że zamiarem tych ludzi mogło być przecież zabicie kalifa, jej brata. W tym momencie zadrżał jej podbródek i Estela odgadła jej myśli.

– Najla, potrzebuję twojej pomocy... Mój brat Diego jest najważniejszą osobą w moim życiu. Chcę z nim tylko porozmawiać... Spędziłyśmy razem wiele lat i pokochałam cię jak siostrę. Nigdy o nic cię nie prosiłam, ale tym razem... Wiesz, że nie dostanę się do niego bez twojej pomocy.

– A jeśli przybył tu w innych zamiarach... Jak mogłabym sobie później wybaczyć?

– Cóż może zrobić trzydzieści osób przeciwko osiemdziesięcioletniej armii?

Estela ujęła ją za ramiona błagalnym gestem.

– Zapewne niewiele... ale sama nie wiem...

Najla miała wątpliwości, ale wiedziała też, jak wielką radość może jej sprawić, wyrażając zgodę... Myślała o niej i o tym, jak trudno przychodziło jej w życiu zrobić użytek z jednego słowa: szczęście. Po utracie swej jedynej miłości, króla Nawarry Sancha, nie wyobrażała sobie, jak można dalej żyć bez jego czulej bliskości. Potem zaś, po latach, gdy zdarzył się ów okropny zamach, który uczynił z niej niemal potwora, zdała sobie sprawę, że to uczucie opuściło ją już na zawsze. Nigdy nie

zdołała pojąć motywów, dla których ktoś mógł chcieć zmasakrować jej twarz, ani też braku szczególnego zainteresowania ze strony jej brata w poszukiwaniu sprawcy. Tego mu nigdy nie wybaczyła. Jej rozpacz była tak wielka, że przez wiele miesięcy pozostawała w odosobnieniu.

Unikała wszelkiego kontaktu ze światem, nie chciała widzieć nawet Esteli. Jej nienawiść objęła wówczas wszystkich, nawet najbliższe otoczenie.

– Odpowiedz mi! – Estela, zdenerwowana jak nigdy dotąd, wciąż oczekiwała na jej reakcję.

Najla musiała jednak jeszcze trochę pomyśleć.

– Zobaczymy... Pozwól mi się zastanowić...

– Nie. I obiecaj mi, że zachowasz tajemnicę, proszę... – Łzy napłyły jej do oczu. – Dawno temu straciłam siostry i ojca... Nie chcę pozostać także bez niego. Pomóż mi, błagam cię...

Najla westchnęła ciężko i powiedziała jej wreszcie to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć.

– Dobrze, dziś wieczór z nim porozmawiasz.

Po drugiej stronie łańcucha górskiego, na północnym zboczu, wojska chrześcijańskie wiedziały już, gdzie obozuje al-Nasir, którędy mieli się przedostać, aby stawić mu czoło na równinie, i jakie napotkają trudności przy forsowaniu wąskiej przełęczy Losa.

Chorąży króla Alfonsa VIII, don Diego López de Haro, wysłał na rozpoznanie pasma Muradal grupę z udziałem swego syna, siostrzeńca Sancha Fernández, infanta Leónu, i dziesięciu innych ludzi. Ci mieli okazję spotkać się z pierwszymi zastępami Saracenów i ocenić stopień trudności, jakie stwarzało pokonanie przełęczy. Aby znaleźć się na leżącej na południu równinie, musieli przedostać się tam wąskim przejściem, gęsiego, bez jakiegokolwiek osłony. We znaki dawała im się obecność łuczników rozstawionych między ścianami doliny na różnych wysokościach. Ocenili, że ci zdolni są unicestwić połowę wojska, nie ruszając się nawet z miejsca.

Po ich powrocie zwołana została narada, w której uczestniczyli trzej królowie i dowódcy ich wojsk. Obecny był także arcybiskup Rodrigo Ximénez de Rada i arcybiskup Narbony oraz wielcy mistrzowie trzech zakonów rycerskich.

– Wasza Wysokość, możemy próbować przejść przez Muradal, ale ostrzegamy, że zejście z gór najpewniej okaże się prawdziwym piekłem. Z początku nie powinniśmy mieć większych problemów do czasu, aż dotrzemy do wieży skalnej, wznoszącej się w połowie drogi. Dalej droga staje się niemal nie do przebycia. Posuwając się w dół, trafiamy do wąskiego kanionu, którym może przejechać naraz tylko jeden koń. I to właśnie tam mogą nas zniszczyć. Ostrzegamy was, że to miejsce może zmienić się w prawdziwą krwawą jatkę, jeśli nas zaatakują z luków. A wypatrzyliśmy tam wielu ukrytych łuczników...

– Al-Nasir nie zamierza przekraczać tych gór. W ten sposób nie ryzykuje, ma zapewnioną ochronę tyłów i unika trudności z zaopatrzeniem – ocenił arcybiskup Narbony.

Król Pedro II zaproponował, aby poszukać innego przejścia.

– Spróbujmy najpierw przejść przez Muradal setką ludzi, jakkolwiek byłoby to trudne, a potem zdecydujemy. – Sancho VIII z Nawarry opowiadał się za próbą forsowania przełęczy, ponieważ nikt nie słyszał o lepszym przejściu.

Król Kastylii dowiedział się właśnie, że jego kuzyn Alfons IX, władca Leónu, korzystając z jego nieobecności, zaatakował różne pozycje kastylijskie.

– Przyznaję, że nie mam wciąż pewności... – włączył się Alfons VIII. – Jak mówi mój dowódca, w tym wąwozie na przełęczy Losa padniemy łupem ich łuczników. Proponuję poczekać tutaj, prowokując ich, żeby przedostali się do nas. A może powinniśmy opóźnić całą akcję, żeby lepiej się przygotować, albo poszukać innego miejsca. Tymczasem powinienem pojechać i ukarać swojego niegodziwego kuzyna.

– Rozumiem twój gniew – odparł Pedro z Aragonii – i podzielałam twe pragnienie, by dać mu twardą odpowiedź na jego nikiemność, ale teraz tym, kto powinien skoncentrować całą naszą uwagę, jest miramolin. Mamy go w odległości dwóch mil i nigdy jeszcze nie zebraliśmy takiego wojska jak teraz. I może nam się to w przyszłości nie udać...

Arcybiskup przyznał rację Aragończykowi i opowiedział się za rozwiązaniem mieszanym: zwiadowcy będą poszukiwać dogodniejszej drogi, a tymczasem jeden z oddziałów spróbuje przedostać się przez przełęcz Losa. Wszyscy zgodzili się co do tej taktyki i przystąpili do dzieła.

Ale pół dnia później doszło do niespodziewanych wydarzeń. Odział, który miał sprawdzić możliwość przedostania się przez góry wąskim wąwozem, wrócił zdziśiatkowany i psychicznie rozbity. Ci zaś, którzy badali teren w poszukiwaniu lepszego przejścia, też wrócili w minorowych nastrojach, bo nie udało im się znaleźć niczego godnego uwagi.

Jednakże zgłosił się stary pasterz z okolicy, który chciał rozmawiać z królem. Zapewniał, że zna inną trasę, dużo bezpieczniejszą, ale pokaże ją tylko na życzenie monarchy.

Człowiek ów, pokorny w wypowiedziach i nieśmiały w zachowaniu, wyjaśnił w prostych słowach, gdzie można znaleźć pewniejszą drogę. Przebiegać miała trzy mile dalej na wschód. Zapewniał, że nie ma na niej straży, był tam bowiem tego ranka ze swymi kozami.

– Pokażesz ją memu dowódcy, don Diegowi Lópezowi de Haro? – zapytał go król.

– Z przyjemnością, Wasza Wysokość, jeśli takie jest wasze życzenie.

– Niech więc tak się stanie.

IX

Uścisnęli się mocno, aż do bólu.

Estela płakała na jego piersi, dając upust swoim uczuciom. Diega poruszyła wiadomość o śmierci Blanki, zamordowanej przed laty.

Najla patrzyła na nich z zazdrością.

– Mój kochany Diego... – Gładziła jego skórę, jakby chciała dotykem wyczytać z niej wszystkie jego przeżycia. – Tyle już lat cię nie widziałam i tyle mam ci do opowiedzenia.

– Macie niewiele czasu – ostrzegła ich Najla, świadoma tego, że choć szczerze opłaciła pełniących służbę żołnierzy, rozmowa nie powinna przeciągać się zbyt długo. – Przed północą będzie zmiana warty.

– Dzięki, pani, za waszą... – Diego nie mógł dokończyć zdania, bo kobieta już opuściła namiot.

– Przez te lata nigdy o tobie nie zapomniałam... – Estela chwyciła go za ręce i zachęciła, by usiedli na jednej z drewnianych skrzynek. Jej wyraz twarzy zmienił się, gdy mówiła o tym, co zmuszona była robić po swym porwaniu. – Uzyskałam dobrą pozycję na dworze, po prostu jako ulubiona nałożnica kalifa. Nie wyobrażasz sobie, ile razy życzyłam sobie śmierci... – Diego ucałował ją w czoło, pojmując jej ból. – Korzystali z mego ciała, ilekroć mieli ochotę, i to nie tylko sam kalif, lecz wcześniej też jego ojciec, ale też ten Kastylijczyk, który organizował nasze porwanie, Pedro de Mora, którego nienawidzę do samej głębi duszy...

Diego zacisnął pięści w bezgranicznej wściekłości, wyobrażając sobie rozmiary cierpień, które ją spotkały.

– Byłem o krok od zabicia go...

– Dowiedziałam się tego od innej osoby. To był jedyny raz, kiedy usłyszałam cokolwiek o tobie. I pamiętam, że przyniosło mi to wielką ulgę.

Diego zdjął jej palcem łzę z policzka i opowiedział krótko, co robił w ciągu tych długich siedemnastu lat.

– Pora kończyć. – Najla wsunęła się do namiotu, ostrzegając ich po raz ostatni.

– Udało mi się usłyszeć, jak mówili o tym, że Pedro de Mora przyjedzie tu jutro – powiedział Diego na zakończenie rozmowy – i al-Nasir każe mu nas przesłuchać. Estela, zrozum, ten człowiek nie może mnie widzieć. Jeśli mnie zobaczy, zabije mnie na miejscu. Powinienem złożyć mu wizytę na osobności, broń zaś...

– Myślę, że ci się przydadzą. – Spod jej uniesionej spódnicy błysnęły dwa ostre sztylety.

– Wspaniale, Estelo! A teraz posłuchaj mnie uważnie, bo to jest sprawa najważniejsza. Czy mogłabyś sprawić, aby Najla umożliwiła mi wydostanie się z tego namiotu pod jakimkolwiek pretekstem, na krótko przed tym, jak będzie miał się tu zjawić don Pedro?

– Spróbuję...

– Wiem, że ci się uda. Aha, poczekaj – ujął jej łokieć – będę potrzebował preparatu z tych ziół, które jak zobaczysz, całkiem łatwo znaleźć. – Dał jej kawałek materiału z instrukcją. – I muszę też pomówić z jednym z dowódców wojsk andaluzyjskich. Zdołasz zająć się tym wszystkim?

Estela na pożegnanie obiecała zrobić wszystko, co będzie w jej mocy.

– Kiedy mnie stąd zabierzesz? – Pierwszy raz wstąpiła w nią nadzieja. – Czemu nie od razu tej nocy, Diego?

– Zrobimy to, nie martw się, ale przedtem muszę wypełnić misję, której się podjąłem. Gdy tylko ją zakończę, uciekniemy z tego piekła. Obiecuję ci, Estelo, możesz mi zaufać.

– Nigdy nie przestanę ci ufać... nigdy.



Okazało się, że pasterz miał rację. Istniała ustronna droga przez górę, wychodząca na rozległe płaskie tereny, położone naprzeciwko

pozycji miramamolína i dogodnie do rozłożenia obozowiska. Niektórzy sądzili, że to Bóg zesłał im tego człowieka. Byli i tacy, którzy uważali, że w jego osobie zjawił się święty Izydor. Diego López de Haro i García Romeu też zgodnie uznali jego pomoc za zrządzenie opatrności. Podziękowali mu gorąco, po czym wrócili na pozycje chrześcijańskie ogarnięci euforią w jak najbardziej odpowiednim momencie, nastroje bowiem szybko opadały i pojawiały się wezwania do porzucenia całego przedsięwzięcia.

Gdy zapadła decyzja o przeprawieniu się nową drogą, przednia straż chrześcijan rozpoczęła odwrót z wcześniej zajętych pozycji Saraceni potraktowali ten manewr jako ucieczkę. Jednakże zaledwie parę godzin później mogli już zobaczyć pierwszych krzyżowców zstępujących inną drogą, której oni sami nie znali. Były ich tysiące i zjeżdżali się szybko, by nie zostawić Saracenom czasu na reakcję. Ale mimo to wojsko al-Nasira przypuściło na nich atak z udziałem swych najlepszych łuczników i oddziału Arabów. Chrześcijanie zdołali jednak odeprzeć ten atak bez większych trudności, korzystając z uprzywilejowanego położenia.

Almohadzi, aby nie dopuścić do zajęcia przez nich pozycji na równinie, zaczęli podpalać trawę i wszelkie znajdujące się na niej krzaki, starając się skierować chmurę dymu na przeciwników. Jednak zmiana kierunku wiatru spowodowała, że chmura przeniosła się ku ich własnemu obozowisku.

Gdy wojska chrześcijańskie znalazły się już na równinie, zapadła decyzja, aby dwa dni odpocząć dla odzyskania sił. Zarówno zwierzęta, jak i ludzie byli wygłodzeni i wyczerpani trudami przeprawy, a także dokuczliwym upałem.

Była sobota, czternastego lipca, gdy trzej królowie przejechali przez góry i zeszli na teren, gdzie mieli ostatecznie rozłożyć się obozem. Zdecydowali, że miejsce to jest wręcz znakomite z racji obfitości wody dla ludzi i koni.

Sprzed wejścia do swych namiotów trzej monarchowie mogli obserwować obozowisko muzułmańskie, rozłożone na wzgórzu, a częściowo także u jego stóp. Dzieliła ich rozległa równina, ograniczona korytami dwóch rzek. Tu właśnie miało znajdować się pole bitwy, ów sławny później teren równin śródgórskich, świadek ostatecznej bitwy między chrześcijanami i muzułmanami.

Starcie dwóch ogromnych armii, Alfonsa VIII Kastylijskiego i al-Nasira, przejdzie później do historii, ale tymczasem obaj wodzowie rozmyślali nad wyborem najlepszej strategii.

Po paru godzinach królowie zebrali się, aby zdecydować o rozmieszczeniu poszczególnych oddziałów, o kolejności kierowania ich do walki oraz o tym, kto będzie tworzyć awangardę, a kto ariergardę.

W czasie gdy wodzowie dyskutowali o taktyce, w obozowisku panowała cisza.

Żołnierze, giermkowie, rycerze – wszyscy zajęci byli przygotowywaniem broni. Jednych można było zobaczyć, jak polerują hełmy, ostrzą lance i miecze. Inni impregnowali maczugi sokiem z pokrzyw i opatrywali strzały chrześcijańskim znakiem krzyża, aby ów symbol ich wiary utkwiał głęboko w ciałach niewiernych.

Mencía przechadzała się między namiotami i przyglądała wszystkim czynnościom, starając się wyczuć nastroje ludzi, którzy sprawiali wrażenie nieco osowiałych, choć widać też było, że są pewni sprawy, o którą mają walczyć.

Zapytała jednego z giermków, czy wie, gdzie znajduje się kaplica i szpital polowy, a ten wskazał na środek obozowiska. Z tego, co jej powiedział, wynikało, że gdy zobaczy długą kolejkę żołnierzy oczekujących na spowiedź albo grupę kobiet przygotowujących się do przyjęcia rannych, to będzie znaczyło, że trafiła na miejsce.

Gdy mijała strefę skromnie wyglądających namiotów, wydało się jej, że słyszy płacz dobiegający zza jednego z nich. Zainteresowała się, kto to może być, i dostrzegła skulonego pod kawałkiem brezentu chłopca, który nie wyglądał nawet na szesnaście lat.

– Co ci się stało, chłopcze? – Mencía uniosła brezent, by lepiej mu się przyjrzeć.

Chłopiec, zawstydzony, podniósł głowę, ale na widok kobiety schował się znów pod brezent z żalonym jękiem.

– Boję się, pani.

– To normalne, ale powinieneś wiedzieć, że uczestniczysz w dziele, które zapewni wolność twoim dzieciom, gdy je kiedyś będziesz miał, a także twojej rodzinie i przyjaciółom. – Mencía wyciągnęła z rękawa chusteczkę i pomogła mu w otarciu łez.

– Nie miałem jeszcze czasu nacieszyć się życiem, a wiem, że tam na dole może mnie spotkać śmierć. To jest bardzo bolesne. – Spoglądał na nią oczami zaczerwienionymi i pełnymi strachu.

– Skąd pochodzisz?

Mencia poczuła litość dla tego chłopca, który jedynie wzrostem przypominał mężczyznę.

– Zostałem wcielony do milicji miasta Medyna, bo moich rodziców nie stać było na zapłacenie za to, bym mógł uniknąć wojny.

Mencia próbowała go pocieszyć.

– Módl się, aby Bóg ochronił cię przed mieczem wroga – ucałowała go w czoło – ale musisz obiecać mi jedną rzecz... – Chłopiec potwierdził skinieniem głowy. – Nie pozwól, aby strach cię sparaliżował. Zrób to dla mnie!

Chłopiec spoglądał za nią, gdy się oddalała, przekonany, że rozmawiał właśnie z aniołem.

Mencia poszła w kierunku zaimprovizowanej kaplicy i przed dojściem do niej zobaczyła grupę kobiet, które obszywały skórą i wełną rękoięści mieczy i włóczni, aby ich mężowie mogli uniknąć oparzeń dłoni. Inne naprawiały skórzane poszycia ich tarczy, których powierzchnie nacierały łojem, aby zdolne były odbijać uderzenia tarczy przeciwników. Zauważyła też, jak jedna z kobiet przytwierdzała ostre koniuszki metalu w środkowej części tarczy, najwyraźniej po to, aby mogła ona służyć nie tylko do obrony.

Znalazła wreszcie namiot sporych rozmiarów, do którego wchodził właśnie ranny żołnierz. We wnętrzu ujrzała kilka dziewcząt opatrujących olejkami i bandażami rany co najmniej tuzina żołnierzy. To byli pierwsi poszkodowani po ataku Saracenów.

Kiedy ją zobaczyły, natychmiast zaangażowały do pomocy. Mencia bez wahania podjęła się opieki nad mężczyzną w średnim wieku, któremu strzała utkwiała w ramieniu. Jego jęki przeszły w wycie, gdy lekarz próbował wyciągnąć ostrze. Ujęła jego ramię w swoje dłonie i patrzyła na niego z czułością. Przyniosło mu to najwyraźniej ulgę, bo przestał protestować na krótko przed tym, jak stracił przytomność.

Potem przeszła do innego żołnierza, który skrecał się z bólu spowodowanego kolką, i pomogła jednej z dziewcząt nastawić młodemu człowiekowi zwichnięte ramię. Obiecała przyjść ponownie następnego dnia, gdy zjawią się pierwsze transporty z frontu, po czym ruszyła dalej.

W otoczeniu wyraźnie dawało się wyczuć niepokój.

Ale Mencía nosiła też w sobie własny ból, wyobrażając sobie, jakim to niebezpieczeństwom musi stawić teraz czoło jej ukochany Diego.

Zobaczyła ogromną kolejkę chętnych do spowiedzi i sama też się w niej ustawiła. Gdy przyszła na nią kolej, otworzyła swe serce przed jednym ze sług bożych i otrzymała od niego rozgrzeszenie, a wraz z nim odrobinę spokoju.

Zanim dotarła do swojego namiotu, zatrzymała się jeszcze pięć razy, aby dodać odwagi kilku przerażonym młodym i jednemu starszemu.

Jedną z rzeczy, które zrobiły na niej największe wrażenie, był widok mężczyzn ściskających swe kobiety i obiecujących im wieczną miłość, przekonanych najpewniej, że mogą to być ich ostatnie uściski i ostatnie pocałunki.

Mimo wszystko zazdrościła im tego.

Była też obecna przy tym, jak niektórzy żołnierze wzywali pisarzy, aby móc podyktować im swą ostatnią wolę, niekiedy we łzach. Mogła też usłyszeć innych, przysięgających w razie czego zatroszczyć się o ich bliskich.

W atmosferze tak nasyconej emocjami Mencía po wejściu do swego namiotu nie mogła już dłużej się powstrzymać i wybuchnęła szlochem. Odgłosem jej płaczu towarzyszył dobiegający z sąsiedztwa charakterystyczny brzęk. Ktoś naprawiał swą kolczugę. Taka kamizelka, upleciona ze stalowych pierścieni, dawała ochronę przed skutkiem uderzenia miecza, ale nie broniła przed ciosem zadany włócznią lub strzałą z kuszy.



– Diego, możesz już wyjść dołem namiotu – szepnęła Estela. – Warta dostała swoje i nic ci nie zrobi.

Była noc. Estela okryta od stóp do głów ciemną szatą z nikabem, chwyciła go za rękę i poprowadziła wzdłuż tylnych ścian szeregu namiotów. Zatrzymali się przy jednym z nich i wsunęli do niego niepostrzeżenie. Estela odszukała w stosie siana ukryty tam wcześniej zwój czarnego materiału i zawiniątko z innymi przedmiotami.

– Po raz pierwszy zakładam komuś turban.

Diego pochylił głowę i Estela obwiązała ją, ciasno zaciskając zwoje

tkaniny. Potem otworzyła słoiczek z ciemnym kremem i rozprowadziła go po jego twarzy, aby zamaskować jasną cerę. To samo uczyniła z szyją, dłońmi i ramionami, po czym kazała mu wdziać niebieską tunikę i skórzane bambusze.

– W takim przebraniu nie powinniśmy mieć większych problemów ze swobodnym poruszaniem się po obozie. Gdy stąd wyjdziemy, zaprowadzę cię do jednego z głównych dowódców wojsk andaluzyjskich, z którym możesz rozmawiać bez problemów. Ale czasu mamy niewiele. Dlatego muszę cię prosić, abyś starał się mówić zwięźle i tylko o tym, co go zainteresuje. Później pójdziemy do grupy dwunastu namiotów otaczających siedzibę kalifa. W jednym z nich śpi Pedro de Mora. Wiem, że właśnie przyjechał z Jaén.

– Naprawdę, jestem z ciebie dumny, Estelo.

– We wszystkim pomogła mi Najla. Bez niej nic by się nie udało.

– Czy wiesz, dlaczego to robi? Jak rozumiem, jest siostrą al-Nasira?

– Zgadza się, ale myślę, że jest pełna urazy i skrytego żalu. Ona sama jest daleka od wszelkiego fanatyzmu, a przez wiele lat musiała asystować przy różnych okrutnych decyzjach swego brata. Przed laty al-Nasir kazał mnie wychłostać za karę, że coś mu powiedziałam. Gdy wróciłam do pałacu, poraniona i półżywa, Najla bardzo się na niego rozłościła. Wyzywała go i podrapała, pamiętam do dziś. Czasem Najla przypomina mi te ptaszki, które spędzają całe życie w klatce i z braku wolności stopniowo tracą zdolność do śpiewu. Miłość, którą głosi w swej poezji, nie jest niczym innym jak wyrazem stłumionych namiętności osoby, która żyła pozbawiona wolności i pragnie odnaleźć ją wśród rymów.

– Widzę, że jest dla ciebie kimś szczególnym...

– Wyobraź sobie, że nawet bez mojej namowy przekupiła jednego z naszych najlepszych szpiegów, z którym miała dobre relacje, aby ten przekonał jej brata, że wasze intencje są szczerze. I wygląda na to, że się udało.

– Wspaniale, nie mogło być lepiej! – Diego uśmiechnął się zadowolony. – Chodźmy więc do człowieka, o którym mówiłaś.

Rozmowa z dowódcą andaluzyjskim trwała krótko, bo szybko się porozumieli. Jak można było sądzić, poczucie niezadowolenia z powodu

egzekucji Ibn Qadisa okazało się głębokie. Jego krajanie gotowi byli odpłacić zarówno wezyrowi, jak i pełnym pychy Almohadom za liczne zniewagi z ich strony, jakie musieli znosić przez wiele lat.

Brat i siostra opuścili dyskretnie namiot dowódcy i skierowali się do tego, w którym przebywał Pedro de Mora. Nie rozmawiali o tym ze sobą po drodze, ale każde z nich myślało o okrucieństwach, jakich ten człowiek dopuścił się wobec nich.

Oboje wiedzieli, co może przynieść ta noc, ale woleli o tym nie mówić. Chcieli tylko, by to się już stało i by bolesny dług rodzinny został spłacony. Estela i Diego pragnęli pomścić krew swych bliskich, tyle razy przelaną z jego winy.

Idąc pod górę na wierzchołek wzgórza, na którym stał czerwony namiot al-Nasira, mogli dostrzec ogień w obozie chrześcijańskim, oddalonym zaledwie o milę. W nocnym chłodzie roznosiła się woń palonego drewna, ale też kadzideł. Mimo odległości mogli dosłyszeć niektóre urwane nuty pieśni religijnych.

W obu obozowiskach bogowie teraz pogrążeni byli we śnie, ale wkrótce już się mieli obudzić, by zobaczyć, jak ich synowie będą walczyć ze sobą do ostatniej kropli krwi.

– To ten na wprost, ze światełkiem w środku.

Estela przycisnęła się do niego mocno na widok dwóch strażników stojących u wejścia do namiotu.

Diego ocenił swoje możliwości i zdecydował się działać wszelkim sposobem. Wiedział, że każdy jego błąd może mieć fatalne następstwa i że na najmniejszy sygnał niebezpieczeństwa Pedro de Mora zaalarmuje wartę. Zadanie było trudne, ale nic nie mogło go powstrzymać.

Wciągnął głęboko haust powietrza, a następnie wypuszczał je bardzo powoli, aby poczuć tak niezbędne mu teraz uspokojenie, i dłońmi odszukał u pasa dwa sztylety. Spojrzał na siostrę i pożegnał się z nią.

– Z Bogiem, Diego, bądź uważny i wracaj szybko. Nie zdołałabym znieść teraz twojej straty. Będę tu na ciebie czekała. – W tym momencie spojrzenie Esteli wyrażało całą paletę sprzecznych emocji. Błogosławiła go za to, co zamierza zrobić, ale odczuwała też ogromny strach. Gotowa była pomóc mu własnymi rękoma, zobaczyć cierpienie tego człowieka, pozbawić go życia.

Diego pogłaskał ją po policzku i obiecał, że wróci.

Podbiegł pochyłony do namiotu, po czym położył się, próbując wypełznąć do niego od strony niestrzeżonej przez wartowników. Ostrożnie uniósł materiał i zajrzał do środka. W pełnym przepychu otoczeniu, wśród dywanów i jedwabi, siedział Pedro de Mora i przeglądał jakieś papiery. Wchodzenie z tego rogu było nierozsądne, bo don Pedro miałby go na wprost siebie. Przeczłogał się zatem wzdłuż ściany namiotu i spróbował zajrzeć od innego rogu. Teraz widział nikiemnika z profilu. Oceniał, że jeśli uda mu się wypełznąć bezszelestnie, nie powinien go dostrzec. Wciągnął powietrze, zacisnął zęby i po cichu przedostał się do namiotu. Czuł przy tym, jak krew pulsuje mu w żyłach, i bał się nawet, że tamten usłyszy łomot jego serca. Don Pedro pogrążony był jednak we własnych sprawach. Teraz kluczem do sukcesu była szybkość.

Pedro de Mora nagle kichnął gwałtownie i Diego zdrzął. Ku swemu wielkiemu ubolewaniu, nie mógł po prostu podciąć mu gardła, choć to właśnie uczyniłby najchętniej, znalezienie go bowiem w takim stanie wywołałoby w obozie alarm, a wówczas cała misja byłaby zagrożona.

Zdecydował się na inny plan.

Wreszcie przyszedł odpowiedni moment.

Podniósł się i podszedł doń od tyłu. Czując już z bliska zapach jego czupryny, chwycił go ręką mocno za twarz, zamykając mu w ten sposób usta. Przy użyciu drugiej ręki, wykorzystując znajomość anatomii, pociągnął mu głowę do tyłu, aż usłyszał w jego szyi ciche chrupnięcie. Następnie puścił go i upewnił się, że jest sparaliżowany. Od tego momentu człowiek ów nie był zdolny do żadnego ruchu, ale zachowywał świadomość.

Diego spojrzął mu w oczy i odetchnął z satysfakcją. Don Pedro najwyraźniej go rozpoznał. Próbował mówić, ale nie mógł. Aby uniknąć zbędnego ryzyka, Diego wcisnął mu do ust chustę i sięgnął do kieszeni po preparat ziołowy przygotowany przez Estelę. Źrenice don Pedra rozszerzyły się najpierw z zaskoczenia, a potem z przerażenia na myśl o tym, jak fatalny kres go czeka z rąk tego weterynarza. Chciał się od niego uwolnić, ale z niezrozumiałych dlań powodów nie mógł poruszyć ani jednym mięśniem.

Diego zbliżył się do jego ucha i przemówił doń szeptem:

– A teraz poprobujesz eliksiru śmierci. Dam ci wypić coś, co przeniknie twe wnętrzności i rozejdzie się po kolei po wszystkich organach, spalając je powoli. Będziesz czuł ogień, ale bez płomienia. – W oczach don Pedra pojawiła się panika. – Tak zapłacisz za całe zło, jakie wyrządziłeś mojej rodzinie.

Odnalazł dzbanek z winem i szklankę. Nappełnił ją, dodał przygotowany proszek i starannie rozmieszał. Z mieszaniny zaczął wydobywać się dym o kwaśnym zapachu. Następnie odchylił mu głowę do tyłu, wyciągnął z ust chustę, rozchylił je najbardziej, jak mógł, i pomagając sobie palcami, zmusił go do połknięcia odrażającej mikstury. Środek ów nie pozostawiał żadnych śladów gwałtownej śmierci i dokładnie o to właśnie chodziło. Rankiem ktoś zastanie go nieżywego i nikt nie będzie wiązał tego faktu z obecnością chrześcijańskich dezenterów.

Diego wytarł mu pianę, która pojawiła się na ustach, i upewnił się, czy preparat wywołuje we wnętrzu oczekiwane skutki. Jego oczy były bliskie wydostania się na zewnątrz, usta zaś wykręcały się z bólu.

Diego, wyobrażając sobie okrutne męki, jakie ten odczuwa teraz we wnętrznościach, przed wyjściem z namiotu życzył mu szczęśliwego pobytu w piekle. Upewnił się jeszcze, że nikt go nie widział, i wrócił do Esteli.

Uściskali się mocno, po czym rozeszli w swoje strony.

– Estelo, widziałem go. Czułem, jak życie wymyka się z niego między moimi palcami, i wówczas przypomniałem mu o naszym ojcu, Blance i o Belindzie. O tobie też. Wreszcie ten potwór zapłacił za wszystkie krzywdy, które nam wyrządził.

– Od dziś nasi bliscy będą w niebie odpoczywali w spokoju.

X

O świcie pamiętnego dnia szesnastego lipca tysiąc dwieście dwunastego roku powietrze zrobiło się ciężkie i ledwie dawały się odczuć podmuchy wiatru.

Kompletna cisza panowała w armii chrześcijańskiej, gdy poszczególne oddziały zajmowały swe pozycje na szerokiej równinie, oddzielającej obóz chrześcijański od wojsk saraceńskich.

Na tej rozległej łące zostało rozstawionych dziewięć dużych grup, z których każda liczyła około tysiąca żołnierzy. Trzy oddziały zajęły pozycje na przedzie, trzy w środku, a trzy z tyłu. Pierwszą linię tworzyła ciężka kawaleria, podzielona na trzy grupy po stu rycerzy w każdej i uformowana w trzy rzędy.

W czasie długiego i męczącego oczekiwania wzdłuż szeregów żołnierzy przeleciało stado jaskółek, wydając swe charakterystyczne ostre dźwięki. Konie wówczas, jakby się od nich zaraziły, jak na komendę rozpoczęły chóralne rzenie. Zwierzęta ogarniał skrajny niepokój. Przedstawiały sobą przerażające widowisko. Nieustannie były kopytami w ziemię, dźwigając na grzbiecie – prócz samych jeźdźców – ciężar ich zbroi i broni.

Nagle powiał chłodniejszy wiatr i wszyscy natychmiast poczuli ulgę, upał bowiem zaczynał się już dawać we znaki.

Pewien jeździec, należący do straży miejskiej z Frías, rozglądał się wśród tych tysięcy ludzi pełen przerażenia. Ustawiony był na pierwszej linii i wiedział, że czeka go najtrudniejsze doświadczenie w życiu. Ze strachu zaczął trząść się w siodle.

Stojący obok niego rycerz z Nawarry próbował mu pomóc.

– Uważaj zawsze na swoją prawą stronę. Ich uderzenia będą szybkie i przyjdą właśnie z tej strony. Gdy ich zobaczysz, natychmiast zasłoń się tarczą, bo oni zaczną ku nam wysyłać strzały z diabelską prędkością. – Wskazał mieczem grupę przeciwników, zgromadzonych dokładnie na wprost nich, oddalonych zaledwie o ćwierć mili. – To są jeźdźcy arabscy, a tam obok nich stoją łucznicy tureccy. Mają znakomite rumaki, tak szybkie, że niemal unoszą ich do lotu. Zobaczysz, jak potrafią pojawiać się nagle to tu, to tam, zmieniając kierunek z niewiarygodną łatwością.

– Będę starał się nie tracić ich z oczu, panie – odezwał się zdławionym głosem młody człowiek. Poprawił sobie na głowie hełm, który zaraz znów mu się przekrzywił, bo był dla niego za duży.

– Ile masz lat, chłopcze? – Nawarski kawaler poczuł litość i zainteresował się jego losem.

– Szesnaście, panie.

– Pierwszy raz jesteś na wojnie?

– Tak, pierwszy raz.

Rycerza zafrasował ów brak doświadczenia. Dosiadał pięknej klaczy krwi arabskiej, ale wyposażenie miał skąpe i nieodpowiednie. Chronił go zaledwie stary napierśnik ze skóry, a jego miecz był trochę przykrótki. Nie miał też włóczni.

– Co masz do osłony?

Chłopiec pokazał swą wypukłą tarczę.

– A poza tym dziś rano wziąłem udział we mszy i przystąpiłem do komunii – dodał ożywionym głosem – więc Bóg mnie ochroni.

– Zawsze ufaj Bogu, synu, ale coś się obawiam, że dziś sama wiara może ci nie wystarczyć. Masz, weź mój miecz. Jest dłuższy i cięższy, ale za to skuteczniejszy, gdy trafia w zbroję przeciwnika. Jego stalowe ostrze zadaje głębokie i śmiertelne rany. Ten twój nadaje się tylko do walki wręcz.

– A wy... – młodzieńca zdziwiła bardzo jego szczodrość – czym wy się będziecie bronić?

Szlachcic pokazał mu drugi podobny miecz i włócznię.

– Tworzymy awangardę tego wielkiego wojska, jej prawe skrzydło. Będziemy walczyć wspólnie z rycerzami i krewnymi don Diega Lópeza de Haro, których widzisz tam pośrodku, i z Aragończykami, na

czele z ich chorążym. Oni stoją tam, na lewym skrzydle. Gdy tylko zobaczymy, że rusza sztandar władcy biskajskiego, ten z dwoma czarnymi wilkami na białym tle, będziemy atakować jako pierwsi. Przybliż więc swojego konia do mojego i zrównaj się też z tym z lewej. W ten sposób uformujemy potężny niewyciężony mur, który rozbije ich szeregi. Gdy już nam się uda przełamać pierwsze rzędy, wtedy tnij z całej siły mieczem i otwieraj sobie drogę naprzód. Tylko nie spoglądaj im w oczy. Kieruj na nich swe żelazo i nie próbuj myśleć o tym, że to też są ludzie tacy sami jak my. Inaczej jesteś zgubiony, oni zdążą cię zabić wcześniej.

– Rozumiem, panie. Ręka mi nie zadrży – zapewnił z dużo większym już przekonaniem.

– Tego właśnie oczekują od nas trzej królowie. Nigdy wcześniej nie widziało się ich razem w jednej bitwie. Spójrz na nich. Są za twoimi plecami, tworzą trzy skrzydła ariergardy. Na czele każdej z nich widać sztandar jednego z królestw. Tego mojego, Nawarry, po lewej stronie. W centrum jest Alfons VIII z Kastylii, a po prawej Pedro II z Aragonii. Dziś, chłopcze, wszyscy tworzymy historię.

– Jak wam na imię? – Młody milicjant z Frías spojrzał nań z szacunkiem niemal synowskim.

– Iñigo de Zúñiga.

Za nimi wielki mistrz zakonu z Santiago przemawiał do swoich ludzi, przypominając im o obowiązkach w boju.

– Żołnierze Chrystusowi nigdy się nie wycofują! – wołał z uniesieniem. – Słyszycie mnie?! – Jechał konno wzdłuż szeregu, obserwując ich oblicza.

Twarze mieli surowe, a głosy mocne. Zgodnym chórem zapewnili o swym bezgranicznym oddaniu. Ich potężne konie drżały niespokojnie.

– Posłuchajcie mnie zatem uważnie, pragnę bowiem, by te słowa wryły się w wasze serca. – Spojrzał na tego, który stał najbliżej. – Przybyliśmy tu, by wywalczyć wolność dla dzieci bożych! – krzyczał do nich. – I w obronie naszej wiary wykorzystamy swoją broń i swoje męstwo – my wszyscy, którzy czujemy się posłańcami prawdy.

Zatrzymał się, by przebiec wzrokiem po ich twarzach. Biła z nich odwaga, gotowość do poświęceń i pragnienie, by zboczyć ziemię krwią niewiernych.

– Niech nic was nie przestraszy! – zawołał donośnym głosem. – Zostaliście wybrani do tej świętej misji. A gdybyście przypadkiem poczuli słabość, popatrzcie w niebo. Bóg pomoże wam raźniej wywijać broń i gromić przeciwników.

– Wojna, wojna, wojna... – powtarzali wszyscy chórem, kierując miecze ku niebu.

Znajdujący się za nimi oddział pod wodzą króla Sanchy VII, jadącego na pokaźnej mulicy neapolitańskiej, starał się odszukać pozycję Alfonsa VIII. Znalazł go w końcu pod sztandarem innym niż zazwyczaj, z tej okazji bowiem widniał na nim emblemat w postaci żółtego zamku pod wizerunkiem Marii Panny. Aragończyk stawiał się na wezwanie kastylijskiego króla obok arcybiskupa Narbony i prymasa Toledo.

– Wspólnie postanowiliśmy o tym, jaka będzie nasza taktyka. Wiemy, że Bóg jest po naszej stronie, i przed przybyciem tu uzyskaliśmy błogosławieństwo w czasie uroczystej mszy. Dysponujemy największym wojskiem, jakie kiedykolwiek stanęło naprzeciw naszego wroga. – Alfons VIII spojrział w kierunku pola bitwy i zatrzymał wzrok na namiocie al-Nasira. Był koloru intensywnej czerwieni, otaczał go czworoboczny parkan pokaźnych rozmiarów, strzegło go zaś przynajmniej pół tysiąca gwardzistów. – I dlatego, panowie, to właśnie jest dzień i godzina prawdy.

– Dziś zastępy Jezusa Chrystusa odniosą zwycięstwo – zapewnił arcybiskup Narbony podniesionym głosem.

Te słowa wypowiedziane przez cudzoziemca owacyjnie przyjęło pół tuzina biskupów kastylijskich i aragońskich, którzy stanęli do walki na równi z innymi żołnierzami.

Don Álvaro Núñez de Lara zbliżył się do trzech królów i poprosił ich o uwagę.

– Kawaleria jest już gotowa do pierwszego uderzenia. Przypuszczą atak od przodu w szyku zwartym. Zbocza po obu stronach tej doliny będą służyły nam pomocą, bo nie zostawiają miejsca dla nieprzyjaciela, aby mógł zaatakować nas z boku, jak to się zdarzyło pod Alarcos. – Alfons VIII dobrze pamiętał o zdarzeniu, kiedy był już o krok od starcia się z frontem nieprzyjaciela, gdy ten niespodziewanie się przed nim rozstąpił i przy wsparciu niewiarygodnie lekkiej kawalerii zdołał ich

otoczyć, co doprowadziło do klęski.

– A jak rozmieszczone są ich oddziały? – zapytał don Álvara arcybiskup Rodrigo Ximénez de Rada.

– W środku i na pierwszej linii ustawieni zostali ochotnicy. To cudzoziemcy, fanatycy, którzy idą na wojnę bez najmniejszego strachu przed śmiercią. Ich wartość bojowa nie jest największa, z subordynacją zaś bywa różnie. Na skrzydłach natomiast rozstawiona jest niezwykle groźna lekka kawaleria. Wedle moich szacunków, liczy ona przynajmniej pięć tysięcy Arabów, zawodowych żołnierzy, pochodzących z różnych regionów imperium. Tych, owszem, jak najbardziej należy się obawiać, ponieważ mają nieprzeciętne umiejętności jeździeckie i słyną z gwałtowności. Będą starali się nas rozproszyć i złamać nasze szeregi. – Wskazał palcem następną grupę. – W drugiej linii znajduje się silny liczebnie oddział rycerzy andaluzyjskich. – Pomyślał w tym momencie o misji, jakiej podjął się Diego, i gorąco zapragnął, aby jej efekt okazał się pozytywny. – Z tyłu zaś, tuż przed namiotem miramolina, czekają ich oddziały doborowe. Tysiące wiernych wojowników almohadzkich i około dziesięciu tysięcy tureckich łuczników agzaz.

– Czy są jakieś nowe propozycje w stosunku do tego, co ustaliliśmy wczoraj? – przerwał mu król Alfons.

– Najslabiej wyćwiczeni i uzbrojeni w naszych wojskach są członkowie lokalnych milicji – powiedział Pedro II Aragończyk. – Powinniśmy jak najwięcej z nich rozstawić pomiędzy naszymi rycerzami. W ten sposób spowodujemy, że będą się wzajemnie wspierali. Może to być istotne zwłaszcza wtedy, gdy dojdzie do walki wręcz.

– Zgadzam się. – Sancho VII wyraził aprobatę w imieniu całej reszty i polecił, by jego chorąży Gómez Garceiz przekazał ten rozkaz do wykonania.

Następnie dokonano pewnych przegrupowań w szeregach. Wszystko było więc gotowe.

Wtedy zabrzmiał umówiony sygnał.

Don Diego López de Haro na czele podległych sobie oddziałów jako pierwszy ruszył do natarcia, które szybko nabierało prędkości dzięki lekkiej pochyłości terenu. Towarzyszyła im cisza wśród wojsk chrześcijańskich, ale nie wśród saraceńskich, skąd rozległy się nagle dźwięki setek, może nawet tysięcy, bębnow, a wraz z nimi piekielny wrzask,

pochodzący przede wszystkim z kontyngentu arabskiego.

Dzielący ich teren był nieregularny, pełen krzaków i dużych kamieni, co wymuszało za każdym razem rozszczepianie zwartej kolumny.

Po stronie saraceńskiej wolontariusze muzułmańscy, widząc zbliżającą się do nich śmiertcionośną linię uderzenia przeciwników, recytowali wersety Koranu. Ich potężne konie parskały wściekle, z siłą narastającą w miarę przebytej drogi, kopytami zaś biły w wysuszoną ziemię.

Głosy uderzeń w bębny przybierały na intensywności, ich rytm wyznaczał tempo biegu atakującej kawalerii. Setki tworzących ją jeźdźców arabskich wypuszczały w pędzie rój strzał i próbowały przy tym otoczyć swych nieprzyjaciół, ale im się to nie udało.

Na krótko przedtem, jak don Diego i jego biskajscy rycerze starli się z pierwszą linią przeciwnika, bicie bębnow nagle ustało, umilkły też okrzyki. Słychać było jedynie tętent koni i ich wściekły ryk. Po chwili don Diego dał komendę, by przygotować włócznie.

Pierwsze starcie sprawiło, że awangarda muzułmańska została rozgromiona i poszła w rozsypkę bez podjęcia walki. W ten sposób oddziały biskajskie znalazły się na wprost drugiej linii przeciwnika, tej, którą formowały oddziały andaluzyjskie. Wśród nich znajdował się Diego de Malagón wraz z resztą rzekomych dezertersów.

I wówczas właśnie nastąpiło coś nieoczekiwanego dla jednych, oczekiwanego natomiast przez innych. Przy kompletnym zaskoczeniu Saracenów, liczni rycerze andaluzyjscy, w ciężkich zbrojach i na wspaniałych rumakach, opuścili broń, po czym wzięli zakręt i opuścili pole bitwy. Taki wybrali sposób, by odwzajemnić się za liczne afronty, jakie musieli znosić ze strony Almohadów, i pomścić śmierć jednego ze swych najbardziej ulubionych dowódców, Ibn Qadisa.

Poprzedniego wieczoru Diego de Malagón zdołał ich ostatecznie przekonać, gdy zapewnił, że będą potraktowani jak bracia na wspólnej ziemi i współtwórcy przyszłego losu, podobnie jak ci z północy. Zapewnił, że mówi w imieniu króla i że obietnica, którą im przekazuje, pochodzi właśnie od niego. Jeśli przyłożą się do zwycięstwa, będą brani pod uwagę przy podziale łupów i nikt nie pociągnie ich do odpowiedzialności za żadne wcześniejsze wydarzenia.

– Pomysł nam się udał, Álvaro! – krzyknął w euforii król Alfons VIII, widząc, że po tym, co teraz zaszło, wojna staje się jak najbardziej

możliwa do wygrania mimo sporej liczebnej przewagi przeciwnika. – To wycofanie się oznacza fiasko ich dotychczasowej strategii i zmusza do szybkiego opracowania nowej. Zobaczmy, co w tej sytuacji postanowi miramamolín.

Za ogrodzeniem almohadzkim al-Nasir nakazał właśnie swej siostrze, dwóm swoim żonom i ulubionej nałożnicy zostawić go samego, aby mógł spokojnie pomyśleć. Te skryły się we wnętrzu namiotu, on sam zaś pogrążył się w modlitwie do Allaha.

Uważał się za obdarzonego łaską, podobnie jak Saladyn, który odbił Jerozolimę z rąk krzyżowców, by przywrócić ją wyznawcom islamu. Identycznie jak tamten, on też zamierzał odwołać się do wstawiennictwa niebios, aby te pomogły mu wygrać wojnę z siłami zła.

– Bóg wyrzekł słowa prawdy, a demon nas okłamał... – al-Nasir powtarzał teraz wielokrotnie słowa, które tamten wódz wypowiedział niegdyś pod bramami świętego miasta.

Zasiadł pod swym emblematem, otworzył najbardziej luksusowe z posiadanych wydań Koranu i odczytał na głos kilka wersetów po tym, jak polecił właśnie jednemu z oddziałów tureckich dogonić i zabić zdrajców andaluzyjskich. Wydał także rozkaz przystąpienia do kontraktaku.

Korzystając ze sprzyjającego nachylenia terenu, tysiące Almohadów uderzyły na forpocztę chrześcijańską i w krótkim czasie zdołały ją zdeorganizować. Chrześcijanie walczyli teraz rozproszeni i zmęczeni, ograniczeni spadzistym terenem i pochyłością na swoją niekorzyść. Co gorsza, na tej niekorzystnej dla siebie pozycji stanowili dogodny cel dla łuczników i ich strzały uśmierciły setki nacierających chrześcijan.

Druga linia ataku chrześcijańskiego, z udziałem templariuszy i kalatrawensów, zdołała dotrzeć do pozycji don Diega Lópeza de Haro i udzielić wsparcia jego wojskom, jednakże wkrótce została odepchnięta przez zręczną kawalerię almohadzką i poniosła straty w efekcie uderzenia nowego gradu strzał. Niektórzy, zaniepokojeni brakiem postępów, zaczęli przesuwać się w dół po zboczu, aby zająć korzystniejsze pozycje, ale król Alfons VIII, patrząc z perspektywy ariergardy wojsk

chrześcijańskich, ocenił to jako wycofanie. Sądził nawet, iż rzecz dotyczy samego władcy biskajskiego.

Zrozumiał, że nadszedł czas na osobiste włączenie się do akcji. Dał sygnał dwóm pozostałym królom i rzucił się do ataku, w ślad za nim zaś ruszyli monarchowie Aragona i Nawarry.

U jego boku podążał Rodrigo Ximénez de Rada.

– Księżę arcybiskupie, aby się nie ścigać, otoczmy ich obaj murem! – Kapłan wyciągnął miecz z pochwy i wzrok odważnie skierował ku pozycjom nieprzyjaciela. Choć i jeden, i drugi był zdania, że zanosi się na przegraną, woleli polec w walce niż powrócić po upokarzającej klęsce.

– Musimy przełamać ostatnią linię obrony Almohadów i dotrzeć do parkanu! – zawołał Sancho VII do Alfonsa VIII, zbliżając się do niego z prawej flanki. – Gdy zadamy im taką ranę, to przez nią śmiertelnie się wykrwawią.

Trzej królowie i ich najlepsze oddziały, pełne odwagi, dotarły gąlopem do pozycji przeciwników, przełamały pierwszą linię ich piechoty i skierowały się dalej pod górę, niszcząc całą nieprzyjacielską obronę.

Diego de Malagón i reszta jego ludzi zdarli z siebie koszule, odsłaniając pod spodem inne, białe, z widniejącym na nich znakiem krzyża. W mgnieniu oka stali się oddziałem chrześcijańskim, włączając się do walki, uzbrojeni w miecze i buławy.

Diego mógł obserwować przebieg ataku prowadzonego przez trzech królów, znajdował się już bowiem w pobliżu ogrodzenia, za którym przebywała Estela. Po drodze do tego miejsca pokonywał wszelkie pojawiające się przeszkody.

Al-Nasir przygotował do swej ochrony specjalny teren, otoczony wysokim parkanem z drewnianych bali, połączonych grubymi łańcuchami. Za tą osłoną czuwało nad jego bezpieczeństwem około pięciuset imesebelenów, tworzących jego straż osobistą. Związani byli za kolana, niektórzy zaś nawet zakopani po uda. Umieszczeni bardzo blisko siebie, formowali koncentryczne pierścienie wokół miejsca, gdzie znajdował się ich władca.

W ten sposób, gdyby nawet chrześcijanom udało się pokonać ogrodzenie drewniane, mieli napotkać wewnątrz jeszcze drugie, tym razem

zbudowane z ludzi, jeszcze skuteczniejsze, bo gotowe umrzeć w obronie swego pana.

Sabba mimo wyczerpania wspinała się po zboczach, aby dotrzeć tam równocześnie z królami, brocząc krwią z rany w udzie, którą otrzymała od ciosu lancą. Diego tego nie zauważył i dlatego zmuszał ją do podjazdu w szybkim tempie, ściskając boki kolanami.

Klacz natomiast dostrzegła swoją ranę i stwierdziła, że oprócz sprawnego jej bólu ukłucie to wywołało obfity potok krwi. Dla swego ukochanego Diega zacisnęła jednak zęby i wydobyła z końskiego serca tyle energii, by donieść go tam, gdzie sobie życzył.

Jako pierwszy do parkanu dotarł monarcha Nawarry. Gdy stwierdził, że ogrodzenia przeskoczyć nie sposób, nakazał swej mulicy się obrócić i spróbować je rozbić tylnymi kopytami i zadem. Zaledwie po trzech takich próbach udało się zrobić wyrwę w ogrodzeniu. Ta odsłoniła mur utworzony z drapieżnych Afrykanów, oczekujących z mieczami w rękę.

Oprócz króla do środka wdarło się jeszcze około trzystu kawalerów. Rozpoczęła się zacięta walka wręcz. Łucznicy nie mieli dość miejsca, by oddać do nich strzały, chwycili więc za miecze. Oddziały almohadzkie, pozbawione wsparcia ze strony Turków, zaczynały przegrywać ze względu na znakomite uzbrojenie chrześcijan.

Za ogrodzenie przedarła się także grupa kalatrawensów wkrótce po tym, jak uczynił to Diego. Wielu z nich zeskoczyło z koni, aby rzucić się następnie na owych czarnoskórych wojowników unieruchomionych w ziemi. Diego zdołał dostrzec al-Nasira, który siedział pod swym emblematem i przyciskał do piersi ów Koran, który on miał za zadanie odnaleźć w Sewilli. Pełen niepokoju myślał o losie swej siostry, którą mógł widzieć z daleka nieco wcześniej tuż obok namiotu kalifa. Jeśli chrześcijanie zaliczą ją do Maurów, gotowi ją zabić. Nawoływał ją, ale odpowiedzi nie było.

Uznał, że jedynym dostępnym sposobem, aby ją obronić, będzie utorowanie sobie drogi wśród tych krwiożerczych strażników i wdarcie się do namiotu. Nie zsiadając z konia, w jedną rękę ujął miecz, a w

drugą włócznię. Krzyknął z niewiarygodną furią i natarł na tych ludzi, zabijając wielu przy użyciu obu broni. Posuwał się naprzód, jak mógł, ale Sabbę kilkakrotnie dosięgły uderzenia ich mieczy. Jedne przecinały jej skórę, inne raniły tylne nogi, jedno zaś sprawiło dotkliwy ból tuż powyżej kopyta. Diego zauważył, że czyni słabe postępy. To samo dotyczyło innych krzyżowców, próbujących dotrzeć do kalifa z różnych kierunków.

W tym właśnie momencie, gdy król Nawarry był już bardzo blisko pozycji al-Nasira, do kalifa podszedł żołnierz arabski z młodą klaczą i niemal w locie posadził go na jej grzbiecie, pozostawiając na ziemi ich świętą księgę. Ów żołnierz, sam dosiadając drugiego konia, popędził oba wierzchowce do ucieczki tylną bramą ogrodzenia. W ślad za nim zaczęło podążać wielu innych.

Diego zauważył, że wewnątrz ogrodzenia znajduje się już sporo krzyżowców, i skierował się w stronę namiotu. Piekielny wrzask, jaki rozlegał się dookoła, nie pozwolił na to, by do tamtych zdołało dotrzeć jego wołanie, aby nie ruszali kobiet.

Sprawdził, że drogę do centrum zagradzało mu już tylko czterech żołnierzy, ruszył więc dalej naprzód, atakując ich włócznią i mieczem z raczej niezwykłym dla siebie chłodem. W końcu został mu już tylko jeden przeciwnik, ale nie spostrzegł zawczasu, że ten nie był wkopany w ziemię, lecz tylko klęczał.

Gdy zbliżył się do niego, strażnik ów podniósł się nagle i go zaatakował. Pragnąc instynktownie uniknąć kontaktu z nim, Sabba zareagowała gwałtownym ruchem. W efekcie Diego upadł na ziemię. Imesebeben wymierzył długi sztylet prosto w jego serce i ruszył pędem w jego stronę, by nie dać mu czasu na reakcję. Widząc Tijmuda i swego brata z namiotu al-Nasira, Estela krzyczała, by ich powstrzymać, ale żaden z nich jej nie usłyszał.

Afrykanin biegł jak błyskawica, a cios obliczył śmiertelny. Diego to pojął, czuł, że brak mu szans. Raptem dostrzegł, że Sabba swym ciałem wtargnęła między nich, aby przyjąć na siebie cios śmiercionośnego ostrza. Wojownik ów siłę miał tak wielką, że stal dosięgła jej serca. Wierne zwierzę upadło między nich, spoglądając na swego ukochanego przyjaciela, żałując, że nie będzie mogło opiekować się nim aż do jego ostatnich dni.

Zaskoczenie jej reakcją było tak wielkie, że zbiło z tropu imesebele-na. Diego wykorzystał ten moment, rzucił się na niego i z zimną krwią podciął mu gardło od ucha do ucha.

– Niecee. – Ostry i pełen bóleści okrzyk przykuł jego uwagę. To Estela biegła ku niemu z przerażeniem na twarzy. – Tijmud! – Ku zaskoczeniu Diega, przytuliła się do upadłego, który zaczynał już dławić się własną krwią. – On nie był taki sam jak inni...

Diego, nie pojmując jej, natychmiast pochylił się ku Sabbie. Obejrzał jej ranę w boku i od razu zrozumiał, że jest śmiertelna. Oczy napęłniły mu się łzami.

Sabba rżała głośno, ale z jej spojrzenia można było wyczytać radość. Diego mówił do niej powoli, obiecując jej wieczną pamięć i tłumacząc, jak wiele jej zawdzięcza.

Oparty na jej szyi, całował ją, a pocałunki mieszały się z jego łzami. Klacz broczyła krwią i Diego dobrze wiedział, że jest tylko o krok od śmierci.

– Nikt nie sprawił mi tyle radości w ostatnich latach mego życia. Jako jedyna łączyłaś mnie z przeszłością, byłaś wspomnieniem mojego domu, najlepszym podarunkiem od ojca. – Klacz zamknęła oczy i cichutko zarżała. Emanowała spokojem i Diego to rozumiał. Czowała się szczęśliwa, bo oddała się cała swemu ukochanemu i pomogła mu kolejny raz. Już ostatni.

Zwierzę uniosło nieco głowę, zbliżyło nozdrza do skóry Diega i wciągnęło jej zapach, by zachować go na drogę, która właśnie się zaczynała.

– Znów będziemy jeździć razem, obiecuję ci, Sabbo. Popędzimy po błękitnym bezmiarze nieba, mijając będziemy delikatne chmury jak wydmy, a na twarzach czuć będziemy powiew południowego wiatru. I tak już będzie na zawsze.

I Sabba umarła.

XI

Ranni trafiali do obozowiska całymi setkami.

Mencía razem z dwudziestką innych kobiet przyjmowały ich, najczęściej nie wiedząc, jak leczyć ich rany.

Jeden z rannych, bardzo młody, poznał ją natychmiast, gdy tylko się nim zajęła. To był ten sam chłopiec, którego znalazła poprzedniego wieczoru schowanego za namiotem. Trafił tu z głęboką raną w brzuchu, przez którą wystawały wnętrzności. Mencía wiedziała, że nie ma szans na przeżycie.

Chłopiec z wysiłkiem wyciągnął ku niej rękę.

– Mój drogi aniele... – Zakaszłał krwią.

– Walczyłeś jak mężczyzna...

– Czy ja umrę? – Z oczu widać było, że oczekuje na szczerość.

Milczała, nie potrafiąc dobrać odpowiednich słów.

– Z waszego milczenia odczytuję odpowiedź. – Chłopcem leżącym na ziemi na derde targnął skurcz bólu.

Mencía obmyła mu twarz zwilżoną chustą i pogłaskała po policzku, on tymczasem czuł, jak opuszcza go życie. Na moment jego spojrzenie stało się zamglone, ale wkrótce potem oczy znów zabłyśły blaskiem.

– Bardzo proszę, nie zostawiajcie mnie samego...

– Nie zrobię tego. – Ucałowała go w policzek i zaczęła się za niego modlić.

Chłopiec poczuł, że się dusi, i w tym właśnie ostatnim momencie spojrzał w oczy Mencii. W ich błękiecie dostrzegł bramę do niebios i wyzionął ducha z uśmiechem.

Mencía wyswobodziła się z jego dłoni i przykryła go pledem.

Rozglądała się dookoła, przerażona ogromem bólu. Pełno tu było najgorszych demonów wojny, cały bezsens nienawiści leżał na wyciągnięcie ręki. Raptem z daleka dobiegły do niej dźwięki przypominające pieśń. Początkowo nie rozumiała słów śpiewanych chórem przez żołnierzy, ale nagle ktoś z całych sił zawołał „Zwycięstwo!” i do szpitala polowego dotarła fala okrzyków radości. Kilka kobiet wybiegło z namiotu, aby zobaczyć, co się dzieje, po czym natychmiast wróciły w euforii.

– Śpiewają *Te Deum!* – zawołała jedna z nich. – Wygraliśmy wojnę!

Pełne emocji w kompletnym milczeniu wsłuchiwały się w dobiegający z daleka dźwięk ogromnego chóru, który tysiącami gardel wyśpiewywał uroczystą pieśń dziękczynną. Głosy sięgały do nieba, unosząc się z ziemi zbroczonej krwią. Porozrzucane na całej równinie, leżały tysiące ciał, a w nich – wszystkie sny i nadzieje.

Mencía w podnieceniu wybiegła wraz z innymi. Jej spojrzenie padło najpierw na pole bitwy, potem zaś na widniejące w oddali góry. Wydawało się jej, że aż tam docierały odgłosy zbiorowej radości.

Zobaczyła, jak z obozowiska chrześcijańskiego wybiegają gromady kobiet, kierując się ku miejscu, w którym ich mężowie współtworzą już legendę – lub może pozostali przy życiu? Z identycznych powodów pobiegła tam też ona.

Widząc na ziemi pierwsze ciała poległych, poczuły przerażenie i wściekłość, nie mogąc zrozumieć celu tego bezmiaru cierpień.

Mencía przeszukała ogromną masę ludzi i koni, rannych i zabitych, nim dotarła do stóp wzniesienia, na którym widać było zgromadzoną sporą grupę wojowników.

– Diego! – zaczęła wołać zdyszana, choć do wbiegnięcia na szczyt pozostał jej jeszcze kawałek drogi.

Niektórzy żołnierze odwracali się do niej, gdy znalazła się blisko. Na twarzach malowała się im mieszanina bólu z radością, głęboka gorzycz wespół ze słodkim smakiem zwycięstwa. Wiele osób bezskutecznie próbowało odnaleźć wśród poległych swego towarzysza lub przyjaciela. Jej też nikt nie potrafił wskazać, gdzie może być ten, którego poszukiwała.

– Boże mój, doprowadź mnie w końcu do niego...

– Mencía podwinęła suknię i wspinała się dalej pod górę ku czemuś, co wyglądało na ogrodzenie, częściowo zburzone. Tam dokonała się prawdziwa jatka. Leżały całe stopy trupów, jedno na drugim, bez nikogo, kto by je oplakiwał. Samotne.

– Diego! – krzyknęła znowu, przerażona tym, co zobaczyła.

Raptem dostrzegła człowieka pochylonego nad koniem, obok zaś kobietę o arabskim wyglądzie. Oboje odwrócili się ku niej. Mencía spojrzała na niego, a on na nią. Diego podniósł się ze zdumieniem na twarzy, po czym ruszył ku niej, najpierw powoli, a następnie biegiem, z otwartymi ramionami.

– Mencía... – Objął ją mocno i przycisnął do siebie, choć nie rozumiał, skąd się tu wzięła. Trzymając ją w ramionach, odczuł ogromny przypływ spokoju. Kołysali się nad ziemią w uścisku, przepelnieni bezgraniczną radością, gdy dookoła panowały śmierć i nieszczęście. Ale nie mogli się powstrzymać.

Diego znów spojrział na nią, jakby jeszcze nie wierzył, że to jest ona, jego ukochana Mencía.

– Przyjechałam, by cię odnaleźć, kochanie. – Całowała go w policzki, potem w czoło i wreszcie w usta, namiętnie, nieskończenie, jednocząc się z nim w morzu łez i emocji. – Czy wciąż mnie kochasz? – Mencía odnalazła wzrokiem jego oczy.

– Nigdy nie przestałem cię kochać... ale... a twój mąż? – Odsunął ją ramionami dużo dalej, niżby pragnął, i usłyszał z ogromną ulgą, że teraz jest wdową. Wtedy ucałował ją w usta z pasją, bez pośpiechu, chcąc zatrzymać tę chwilę na zawsze.

Estela przyglądała się im poruszona mimo bólu z powodu Tijmuda. Nie wiedząc, jaka kryje się w nich historia, objęła ją czule, gdy je Diego ze sobą poznał. Odkryła wówczas wspaniały uśmiech Mencii i ujmujące spojrzenie. Na jej twarzy dostrzegła też ślady przeżyć, być może podobnych do tych, których doświadczyła sama. Jej brat był wreszcie przy niej i teraz już nikt i nic ich nie rozdzieli. Objęła go ponownie i wypłakiwała cały swój ból, czując przy tym, że wspólna krew łączyła ich zawsze, mimo tak wielu lat rozłąki. Mencía też ich objęła, włączona teraz do ich niewielkiej rodziny, która kiedyś była duża.

Diego miał poczucie, że gdzieś blisko są w tej chwili dusze jego ojca,

Belindy i Blanki, jego ukochanej matki, a także Sabby. Oni także przyłączyli się do nich, bezgranicznie szczęśliwi, zespoleni teraz już na wieki.

Pod stopami ziemia była wilgotna. Diego spojrział w dół i pojął, że jest mokra od krwi, której wzgórze nie zdołało pochłonąć.

Wówczas przypomniał sobie prorocze słowa żydowskiego maga.

– „A na górę spłynie krew, chwała i miłość”.

Niedługo potem Diego został wezwany na zebranie do byłego centrum dowodzenia Almohadów. Zdziwiony był nieco tym pośpiechem.

W towarzystwie Mencii i Esteli znalazł się przed wejściem do namiotu, należącego niedawno do al-Nasira, obok trzech chorążych królewskich.

– Moje gratulacje, Diego. – Aragończyk García Romeu uściśnięt mu dłoń, a zaraz po nim uczynił to Gómez Garceiz z Nawarry. Jego przyjaciel Álvaro Núñez de Lara objął go serdecznie, po czym popchnął w stronę wejścia do namiotu. Nie rozumiejąc, co się dzieje, wszedł do środka i stanął osłupiały.

Wewnątrz czekał na niego król Kastylii, Alfons VIII, obok niego zaś król Nawarry, Sancho VII, i Pedro II z Aragonii. Diego przyklęknął przed nimi i rozejrzał się na obie strony, aby zobaczyć, kto jeszcze został tu zaproszony.

– Co nas tu sprowadziło? – szepnął do don Álvara, który nadal mu towarzyszył.

– Tylko jedna sprawa.

– A jaka?

– Diego de Malagón! – przywołał go król Alfons Kastylijski.

Ten się zbliżył.

– Mimo twego skromnego pochodzenia w czasie całej tej kampanii dokonałeś tak wielu wyczynów, że twoje zasługi wystarczają, byś dostał honoru pasowania na rycerza. Cóż na to odpowiesz? Czy jesteś gotów przyjąć to zaszczytne miano, a wraz z nim też poważne obowiązki, jakie tytuł ów ze sobą niesie?

– Ja... rycerzem? – Diego spojrział na Mencię, a potem na Estelę. Choć wszyscy wydawali się zadowoleni, on wciąż nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Wasza Wysokość, słysząc to, czuję się zaszczycony,

ale nie wiem... tak naprawdę, ja najbardziej kocham swój zawód, a jako że wojna jest skończona, chciałbym uprawiać go dalej. Miano rycerza oznacza inne obowiązki, a nie chciałbym, aby...

– Poczekaj chwilę, nie śpiesz się. Jeszcze nie skończyliśmy – przerwał mu król Aragonii, Pedro II. – Rozumiemy, że w twoim przypadku jest to trochę niezwykle, i dlatego zdecydowaliśmy się utworzyć nowy tytuł, dostosowany do twojego zawodu. Od dziś będziesz nosić miano Kawalera Weterynarza Trzech Królestw.

Diego wzruszył się bardzo, słysząc te słowa, i natychmiast przyjął ów honor.

– Ubierzcie go w tunikę! – zawołał rosły Nawarczyk.

Gómez Garceiz osobiście pomógł mu przełożyć przez głowę białą szatę.

– Ten strój oznacza obowiązek zachowania czystości duszy – wyjaśnił.

García Romeu zawiesił mu na ramionach czerwoną wstęgę.

– Czerwony kolor symbolizuje krew, którą od teraz jesteś zobowiązany przelewać za Boga i za twego władcę.

Jego przyjaciel zaś, don Álvaro Núñez de Lara, podał mu do włożenia brązowe buty.

– W nich stąpać będziesz po ziemi, do której wszyscy trafimy. To jest symbol gotowości do śmierci.

Na koniec zapiął mu pas i wręczył miecz.

W tym momencie trzech monarchowie wyciągnęli swoje miecze z pochwy i uderzyli go nimi w ramię.

– Ja, Alfons VIII, król Kastylii, Toledo i Trasierry, mianuję ciebie, Diego de Malagón, Kawalerem Weterynarzem Kastylii.

– Ja, Sancho VII, potwierdzam to jako król Nawarry.

– I ja, Pedro II, obecny król Aragonii, czynię to również.

Mencía i Estela objęły się w przyпіywie radości, dumne z tego, co mają okazję oglądać.

On sam zaś, z pochyloną głową i pełen wewnętrznych emocji, przypomniał sobie wezgłowie łożka, na którym spoczywał jego ojciec już bliski śmierci.

Przeniósł się w myślach całe lata wstecz do swej wiejskiej zagrody.

Przez pewien czas wszelkie składane mu gratulacje i padające ze

wszystkich stron życzenia pomyślnej przyszłości zesły w jego odbiorze na drugi plan i Diego słyszał tylko wciąż od nowa głos swego ojca, który przed laty kazał mu złożyć przysięgę odnoszącą się do jego przyszłego losu.

„Zdobądź szczyty – to twoje życiowe zadanie. Znajdź mędrca i ucz się od niego. Kieruj się ambicją, nikogo nie krzywdząc. Zawsze wykonuj dobrze swą pracę, by nie spotkała cię zasłużona przygana. A gdybyś musiał stanąć w szranki rywalizacji, staraj się wygrać. Nigdy nie bądź niczym wasalem. Urodziłeś się jako poddany, ale masz prawo do godności. Jeśli będziesz mocno się starał, osiągniesz wszystko, co zechcesz. I jeszcze jedno: chroń swoje siostry i troszcz się o nie. W ich żyłach płynie nasza krew... Synu mój, nigdy nie zapomnij, że miałeś ojca, który kochał cię jak nikogo na świecie. Pewnego dnia z dumą spojrzę na ciebie z nieba”.

W obecności wszystkich, Diego wstał, wznosił oczy ku niebu i zawołał:

– Ojczy, to dla was! Byłem wam to winien!

OD AUTORA

Trudne osobiste przeżycia, które towarzyszyły mi, kiedy pisałem tę powieść, sprawiły, że czasami miałem ochotę ją rzucić, a kiedy indziej znów traktowałem ją niczym balsam dający ukojenie w mym bólu. Długa agonia mego ojca, trwająca przez cały ten czas, jest w jakiś sposób obecna na większości kart tej książki, a być może również leży u podstaw historii, którą chciałem opowiedzieć.

Diego de Malagón dedykuje wszystkie swoje czyny ojcu. Ja pragnę uczynić to samo.

Niechaj to będzie dla ciebie, ojczu.

HISTORIA

Wybór kontekstu historycznego, do którego się odwołuję, aby opowiedzieć o życiu weterynarza Diega de Malagón, nie jest żadną miarą przypadkowy. Narracja zaczyna się w roku 1195 wraz z utratą Alarcos przez Kastylię, a kończy w 1212, kiedy miała miejsce bitwa pod las Navas de Tolosa. Tych siedemnaście lat to wszak niebagatelny kawał czasu w życiu człowieka, a jednocześnie jest to okres pełen pasjonujących wydarzeń. Wydarzeń ciekawych samych w sobie, a zarazem kluczowych dla późniejszych losów całej Hiszpanii.

Bitwa pod las Navas de Tolosa wyznaczyła cezurę w dziejach rekonkwisty al-Ándalus. Było to jedno z pierwszych starć w otwartym polu, w czasach kiedy rzadko dochodziło do tak poważnych przedsięwzięć militarnych i częstsze były rajdy lub napady.

U progu XIII wieku dzisiejsza Hiszpania była podzielona na sześć terytoriów: pięć królestw chrześcijańskich (Aragonia, Nawarra, Kastylia,

León i Portugalia), a na południu leżał, wiecznie z nimi skonfliktowany, al-Ándalus, którym władali Almohadzi.

Pośród wszystkich królów chrześcijańskich osobowość króla Kastylii, Alfonsa VIII, wywarła na mnie największe wrażenie – o ile mogłem to stwierdzić po zagłębieniu się w jego pasjonującą biografię. Jego rządy trwały ponad pięćdziesiąt lat i udało mu się urzeczywistnić długie i wyczekiwane marzenie swych poprzedników: rekonkwistę al-Ándalus. To on pierwszy zdołał zjednoczyć dla tej sprawy wszystkie królestwa chrześcijańskie z północy. Alfons VIII Kastylijski był wielkim strategiem i bez wątplenia przyczynił się do rozkwitu gospodarczego swych ziem. Otoczył się osobami niezwykle uzdolnionymi, dzięki którym Kastylia rosła w siłę, stała się potężnym królestwem ludzi wolnych i krajem wielkich możliwości dla wszystkich tych, którzy nie mieli szlacheckiego pochodzenia.

Wątki historyczne ukazane w powieści starałem się przestudiować dogłębnie po to, by ustalić okoliczności, które okazały się decydujące dla powodzenia zamierzeń króla Kastylii. Wszystkie zdarzenia, które towarzyszą życiu i przygodom Diega de Malagón, naprawdę miały miejsce. Historyczne są również miejscowości, w których rozgrywa się akcja.

Czasami dotarcie do źródeł na temat niektórych bohaterów *Weterynarza z Toledo*, jak na przykład króla Nawarry, nie było łatwe. Ten monarcha przysporzył mi prawdziwych trudności w zrekonstruowaniu swoich losów i chwilami już myślałem, że historia pragnęła o nim zapomnieć. Jego nietypowy związek z almohadzką księżniczką i długi pobyt w Afryce zbiegły się w czasie z utratą miasta Vitoria i terenów Guipúzcoa. Jego nieobecność w tak kluczowym momencie z pewnością była w owym czasie źle odebrana przez poddanych, a być może później również przez historyków.

Podobnie rzecz ma się z dziejami niezwykłego żywota piątego pana ziemi biskajskiej don Diega Lópeza de Haro. Historia życia tego wielkiego człowieka jest bardzo szczególna. Zaczął jako chorąży, czyli największa podpora kastylijskiego monarchy, a skończył jako jego najgorszy wróg. Ze względu na problemy rodzinne i terytorialne don Diego wystąpił o zrzeczenie się obywatelstwa Kastylii, co tak bardzo rozwścieczyło króla Alfonsa, że ganiał za nim przez pół Hiszpanii, aż

wreszcie go dopadł w potężnej fortecy miasta Estella. Jak powiadają kronikarze owej epoki, mury fortecy były tak grube i tak wysokie, że czyniły ją najbardziej niezdobytą i najpiękniejszą twierdzą ze wszystkich, które kiedykolwiek zostały wzniesione w jakimkolwiek królestwie hiszpańskim. Król Kastylii przy pomocy władcy Leónu przez wiele miesięcy oblegał fort, ale nie udało im się zmusić wroga do poddania się i w końcu odjechali. Dla tych, którzy chcieliby zobaczyć tę historyczną budowlę, mam niestety smutną wiadomość: pozostały z niej tylko resztki. Ale ruiny obejrzeć można.

Wiele lat później miało miejsce kolejne wydarzenie, w którym uczestniczył don Diego López de Haro. Umożliwił on mianowicie królowi Pedrowi II Aragończykowi ucieczkę z pola bitwy przed wojskami gubernatora Walencji. Po tym wydarzeniu władca Biskajów przyłączył się do dworu króla Leónu, wówczas skłóconego z królem Kastylii, i otrzymał od niego wielkie przywileje. Jeszcze później powróci na dwór kastylijski, gdzie zostaną mu już zapomniane dawne przewinienia, i pod las Navas pomoże pokonać kalifa al-Nasira. Król Alfons VIII w swym testamencie w końcu uhonorował imię Lópeza de Haro i uznał wszystkie jego zasługi na rzecz korony, nazywając go wręcz najbardziej lojalnym ze wszystkich swoich ludzi.

Był też naprawdą pewien zdrajca kastylijski, nieprzejednany wróg Alfonsa VIII, który przyłączył się do kalifów almohadzkich, żeby walczyć przeciwko chrześcijanom, choć nie nazywał się Pedro de Mora. Zwali go „Kastylijczyk”, a naprawdą nazywał się Pedro Fernández de Castro i wywodził się z jednego z najznamienitszych rodów Kastylii i Leónu, rodu Castro, który szczycił się posiadaniem ogromnych włości ziemskich i nie mniejszych wpływów na dworach królewskich. Przyznaję, że jego postać zainspirowała mnie do nakreślenia sylwetki don Pedra de Mora, choć nie chciałem do końca utożsamić go z moim bohaterem, któremu wolałem przypisać szczególnie złe cechy.

Na miarę swych skromnych możliwości starałem się, by wprowadzenie historycznych imion do tej powieści pozwoliło czytelnikowi lepiej poczuć wydarzenia i sytuacje, w których uczestniczą te postaci, a jednocześnie chciałem w ten sposób uczcić ogromną odwagę i oddanie, jakie ludzie ci okazali, urzeczywistniając swój ideał rekonkwisty. Ale

chciałem też pokazać sprzeczki, jakie dzieliły poszczególne królestwa, brak współdziałania między poszczególnymi monarchami, właśnie terytorialne, w których stawali przeciwko sobie, i różne bratobójcze konflikty, które przewijały się jeden po drugim, nim wreszcie udało się połączyć wszystkie wysiłki w tym gigantycznym zrywie zbrojnym, który przeszedł do historii pod nazwą bitwy pod las Navas de Tolosa.

Aby nakreślić wydarzenia, które miały miejsce wokół tej słynnej bitwy, oparłem się na różnych współczesnych tekstach, ale przede wszystkim na traktacie autorstwa jednego z uczestników wydarzeń, arcybiskupa Toledo Rodriga Ximéneza de Rada i jego *Crónica Latina de los Reyes de Castilla* (Łacińska kronika królów Kastylii).

ZAWÓD WETERYNARZA W ŚREDNIOWIECZU

Kierując się przede wszystkim autentyczną pasją, chciałem oddać w tej książce hołd mojemu zawodowi; profesji, którą od wieków wykonuje wiele tysięcy mężczyzn i kobiet. Różnie ich nazywano: hippiatra, veterinarius, albeitar, menescal i mariscal, uzdrowiciel koni. Teraz nazywa się ich weterynarzami. Szczerze uważam, że jest to najpiękniejszy z fachów. Ludzie ci, dbając o zdrowie zwierząt, stanowią profesjonalną ekipę zawsze gotową na każde wezwanie do działania w służbie dobra. Choć wielu czytelnikom w obecnych czasach działalność weterynarza może się kojarzyć głównie z leczeniem naszych domowych zwierzątek, mówimy tu o bardzo starym fachu, tak ważnym, jak historycznie ważne było dla człowieka wykorzystanie zwierząt, a przede wszystkim – koni.

Pierwszy dokument, w którym wspomina się o działalności weterynarza (a dokładnie chodzi o zapłatę, jaką można pobierać za wyrwanie zęba i inne usługi) pojawia się w Babilonii, w słynnym Kodeksie Hammurabiego (około roku 1800 p.n.e.). Również w biblijnym mieście Ugarit zostały znalezione liczne tabliczki zawierające fragmenty traktatu dotyczącego sztuki leczenia określonych chorób u koni. Jego autorstwo przypisuje się nadwornemu koniuszemu króla Ugarita.

W starożytnym Egipcie kapłani posiadli szeroką wiedzę na temat leczenia zwierząt. Wiadomości te były uważane za święte ze względu na znaczenie, jakie miały u Egipcjan powiązania między zwierzętami a bóstwami. W papirusie z Ebers (z roku 1500 p.n.e.) opisuje się niektóre

środki medyczne i sposoby kuracji chorób, jak na przykład zapalenie dziąseł lub ropnie pyska u koni.

Również w liczącej tysiące lat cywilizacji chińskiej istnieją odwołania do tego zawodu. W bardzo starej książce Zuozhuana *Księga zwierząt*, datowanej na rok 600 p.n.e., opisuje się, jak ustalić wiek i zdrowie koni przez badanie ich uzębienia. Możemy też odnaleźć pisemne odwołania do dobrodziejstw akupunktury u koni w dziele generała Bo Le z roku 659 p.n.e.

Największy postęp w interesującej nas dziedzinie nastąpił w starożytnej Grecji. Hipokrates, Pelagonius, Arystoteles i wielu innych mędrców zawarło w swych księgach i traktatach dużą część antycznych mądrości wraz z opisem własnych doświadczeń, w celu usystematyzowania wiedzy i zidentyfikowania chorób, które atakowały właśnie zwierzęta, zwłaszcza koniowate. W Grecji ten, kto posiadał wiedzę, by je leczyć, zwany był hippiatrą (lekarzem koniowatych) lub cteniatrą (lekarzem rogacizny).

Zawód weterynarza stał się istotny z wojskowego punktu widzenia w imperium rzymskim. Veterinariusi zajmowali się opieką nad zwierzętami i ich leczeniem w veterinarium, specjalnie wydzielonym miejscu w ramach rzymskiego obozu wojskowego.

Kawaleria była wówczas, i pozostała do całkiem niedawna, zasadniczym elementem strategii militarnej wojska. Dlatego opieka nad końmi i ich znajomość stała się w niektórych cywilizacjach sprawą wagi państwowej.

Mnóstwo razy na kartach tej książki użyłem terminu *albeitar**. Od pierwszej chwili, kiedy tylko wpadłem na pomysł opisanego losów młodego Diega de Malagón, chciałem uczynić go *albeitarem*. W ten sposób pragnąłem oddać należyty szacunek postaci, która miała ważny wpływ na powstanie zawodu weterynarza – nie tylko w Hiszpanii, ale na całym świecie.

* W oryginale występuje termin *albeitar*, przetłumaczony w tej książce jako weterynarz.

Słowo *albeitar* rozpowszechniło się w królestwach chrześcijańskich i ogólnie w Europie średniowiecznej za sprawą wpływów hiszpańskich, i bezsprzecznie ma pochodzenie arabskie. Jego korzenie sięgają początków

al-Ándalus. Termin ten powszechnie stosowany był w Hiszpanii aż do połowy XIX wieku. Albeitarów znała już w średniowieczu cała Hiszpania (mam na myśli tereny niegdyś podbite przez Wizygotów). Cieszyli się oni wielkim prestiżem ze względu na solidne podstawy teoretyczne, jakie posiadali, i skuteczność ich praktycznych zastosowań. Dotarli nawet do Kraju Basków, choć nieco dłużej zajęło im opanowanie Aragonii, gdzie praktykę najbardziej zbliżoną do albeitarów prowadzili w Katalonii menescale i maríscale w pozostałej części królestwa. Po jakimś czasie w Aragonii i Kastylii powstały cechy i bractwa, gdzie nauczano wykonywania zawodu. Wśród nich prym wiódł cech barceloński.

Źródła tego zawodu leżą też w kuźniach, przy kowalskich piecach i miechach. Kowale również imali się zadań zbliżonych do albeitarów i można ich zaliczyć do poprzedników tej szerszej i bardziej usystematyzowanej dyscypliny, jaką jest weterynaria.

W tym, że profesja albeitara tak szybko rozpowszechniała się w średniowieczu, ma swój udział podziw, jaki odczuwali chrześcijańscy monarchowie i szlachta wobec kultury arabskiej, okraszanej wpływami wiedzy bizantyjskiej, która z kolei była dziedzictwem nauk greckich.

Przykład stanowi *Siete Partidas* (Siedmioksiąg) autorstwa króla Alfonsa X Mądrogo.

Bo nie ulega wątpliwości, że słowo *albeitar* pochodzi z cywilizacji arabskiej. Do dziś w krajach, w których używa się języka arabskiego, zawód ten nazywany jest *batiara*, a wykonujący go człowiek to *albaitar*.

KONIE

Kocham konie. Uważam, że są to zwierzęta, które z największym oddaniem służą i służyły człowiekowi na przestrzeni dziejów. W *Weterynarzu z Toledo* odgrywają rolę szczególną, a to za sprawą wiernej klaczy Sabby. Jej arabska krew płynie dziś w żyłach większości koni na świecie. Koń hiszpański oraz portugalski, koń czystej krwi angielskiej i quarter horse zawdzięczają arabom dużą część swych genów. Jest to bez wątpienia jedna z najpiękniejszych ras, jakie w dzisiejszych czasach są hodowane na świecie.

Znaczenie i duża wartość koni w średniowieczu sprawiły, że weterynaria im właśnie poświęciła większość swoich wysiłków i traktatów. Dyscyplina ta podzieliła się na dwie odrębne ścieżki, rzekłbym nawet, drogi: wojskową, właściwą bardziej mariscalom i menescalom, i cywilną, której najważniejszymi przedstawicielami byli albeitarzy. Przenosząc się w XII czy XIII wiek, musimy pamiętać, że nie każdy miał możliwość korzystania z przywileju posiadania konia. Było to dobro nadzwyczaj wysoko cenione. Koń był narzędziem pracy w polu, nieomal jedynym środkiem transportu i stanowił rodzaj broni w epoce, kiedy pokój był raczej wyjątkiem niż regułą.

Jedna z najstarszych ksiąg, z jakich korzystałem w pracy nad historią weterynarii, to tak zwana *Lo libre dels cavayls* (Księga koni), katalońska wersja kastylijskiego rękopisu z XIII wieku nieznanego autora. Wiele wzmianek w niniejszej powieści pochodzi z tego właśnie dzieła, jak również z kilku innych, powstałych już w wiekach XIV i XV, a więc nieco później, niż miały miejsce wydarzenia, których bohaterem jest Diego de Malagón.

W tamtych czasach istniało już wiele książek, które opisywały choroby koni. W wielu wypadkach były to fragmenty dzieł poświęconych rolnictwu. Nie zapominajmy też, że same podręczniki rycerstwa obok prostych zaleceń dotyczących postępowania z końmi zawierały też rozdziały poświęcone instrukcjom leczenia określonych chorób, częstych u tych zwierząt. Począwszy od XV wieku, traktaty albeitarskie zaczęły być rozpowszechniane na wielu europejskich uniwersytetach. Nauka albeitarstwa zaczęła się instytucjonalizować, tak też się stanie w dobie Królów Katolickich z egzaminem dopuszczającym do uprawiania zawodu albeitara. Monarchowie ci zainaugurowali wszak Trybunały Protoalbeitarstwa.

Na nadmorskich mokradłach pasły się tabuny klaczy – dokładnie tak, jak opisuję to na kartach tej powieści. Zważywszy na liczbę i piękno tych zwierząt, musiało to być niezwykle widowisko. Starłem się opisać słowami doznania, jakie – jak sądzę – mógł odczuwać ten, kto w owej epoce ujrzałby ten cudowny spektakl. Nawet dziś można dostrzec na wpół wolne zwierzęta na mokradłach nieopodal wspaniałej wioski Rocío, światowej świątyni konia. To wyjątkowe miejsce dla zwierząt, które położyły tyle bezinteresownych zasług w służbie ludzkości.

PODZIĘKOWANIA

Pragnąłbym zakończyć, składając podziękowania. Liczne poprawki zawdzięczam memu serdecznemu przyjacielowi, Antoniowi Quintanilli. Jest on ekspertem w dziedzinie akcji powieści i ich scenariuszy. Poświęcił mi doprawdy wiele godzin i długich rozmów.

Muszę też podziękować za ogromną pomoc don Miguelowi Corderowi del Campillo. Ten emerytowany profesor, światły człowiek, duma zawodu weterynarza, dostarczył mi sporą część materiału dokumentalnego, dzięki czemu mogłem przestudiować historię tej pięknej profesji, którą tak ukochałem: weterynarii. Jeszcze goręcej dziękuję za ciężką pracę mojej matce, która z niewyczerpaną cierpliwością i ogromną zręcznością tłumaczyła dla mnie porady, które pojawiają się w tej powieści, ze starego traktatu albeitarskiego z XV wieku, napisanego w języku *romance*.

Dziękuję raz jeszcze wydawcy, Raquel Gisbert, która była duszą tego projektu. Ona to sprawiła, że w ostatnim czasie zająłem się pisarstwem.

I wreszcie chciałbym podziękować całej swojej rodzinie, zwłaszcza żonie Pilar, za niesłychaną cierpliwość, jaką wykazała, zamieszkując w jednym domu wspólnie z tym przedsięwzięciem, które wydłużyło się do kilkuset stron. Ile stron, tyle i powodów do mojej wdzięczności i miłości.

Dziękuję wszystkim.

GONZALO GINER

Wykaz postaci historycznych

Abu Zay: ostatni władca walenckiej taify. Przyjaciel rodziny los Azagra z Albarracin.

Alfons IX: król Leónu w latach 1188–1230. W swoim królestwie zwany był Alfonsem VIII, ale z uwagi na identyczność imienia z królem Kastylii, historia nadała mu później to imię.

Alfons VIII: król Kastylii, Toledo, Nájery, Extremadury i Asturias w latach 1158–1214. Inicjator i przywódca bitwy pod las Navas de Tolosa. Wielki strateg i zwolennik zjednoczenia przeciwko Almohadom. Rozpoczął przyznawanie praw i przywilejów licznym miastom i wsiom Kastylii, osłabiając władzę szlachty.

Álvaro Núñez de Lara: chorąży króla Alfonsa VIII w latach 1199–1201 i 1208–1217. Zięć don Diega Lópeza de Haro. Ożeniony z doña Urraca López de Haro.

Diego López de Haro: pan Biskajów i chorąży króla Alfonsa VIII Kastylijskiego przez trzy okresy: 1183–1187, 1188–1199, 1206–1208. Pełniąc tę funkcję, brał udział w bitwie pod Alarcos w 1195 roku i pod las Navas de Tolosa w 1212 roku. W drugim małżeństwie zaślubiony z doña Todą López de Azagra z nawarskiej rodziny związanej z panowaniem nad Albarracin i władaniem Estellą. Wielki magnat kastylijski.

García Romeu: chorąży króla Pedra II Aragońskiego.

Gerardo de Cremona: tłumacz z Toledo.

Gómez Garceiz: chorąży króla Sanchy z Nawarry.

Ibn Qadis: burmistrz andaluzyjski i ostatni alkad twierdzy w Salvatierze, nim została opanowana przez oddziały Alfonsa VIII. Jego śmierć, z rozkazu samego al-Nasira, rozgniewanego tą klęską, stała się przyczyną wielkiego zniechęcenia w szeregach andaluzyjskich, co okazało się kluczowe w bitwie pod las Navas.

- Muhammad al-Nasir:** syn al-Mansura. Kalif jak on. Poniósł klęskę w bitwie pod las Navas de Tolosa. Zakończył budowę wieży Giraldy w Sewilli, stolicy kalifatu. Wzniesiona została jako kopia bliźniaczej wieży w Marrakeszu. Zmarł otruty w rok po bitwie pod las Navas.
- Muhammad ibn Mardanis:** zwany również „królem Wilkiem”. Rządził królestwem walencjkiej taify i odstąpił Albarracin na rzecz rodu Azagrów w 1170 roku.
- Pedro II:** król Aragona koronowany w 1196 roku. Kuzyn Alfonsa VIII Kastylijskiego. Po jego bohaterskim udziale pod las Navas ginie pod Muret, broniąc swych podwładnych katarów.
- Rodrigo Ximénez de Rada:** arcybiskup Toledo. Wielce uczony historyk i autor *Historii gotyckiej*. Zorganizował i sfinansował ogromną część wojsk krzyżowych, które wzięły udział w bitwie pod las Navas de Tolosa. Wierny współpracownik króla Alfonsa VIII. W swych kronikach wyjątkowo go wychwalał. Dzięki jego staraniom papieństwo ogłosiło krucjatę i on też wezwał do udziału w niej rycerzy na ziemiach leżących za Pirenejami.
- Sancho Fernández:** syn króla Fernanda II z Leónu i Urraki López de Haro, siostry pana ziemi Basków. Infant Leónu i przyrodni brat króla Alfonsa IX. Choć pochodził z Leónu, zawsze walczył pod sztandarami Kastylii.
- Sancho VII:** król Nawarry od 1194 roku. Zyskał przydomek „Mocny”. Mierzył ponad dwa metry. Nie cieszył się dobrą sławą z powodu zaniedbania swego kraju i niestosownej miłości do ahnohadzkiej księżniczki. Po bitwie pod las Navas de Tolosa na jej pamiątkę umieścił w godle Nawarry łańcuchy z owego parkanu otaczającego namiot kalifa, a w ich centrum zielony szmaragd z Koranu porzuconego przez al-Nasira.
- Yusuf al-Mansur:** almohadzki kalif, zwycięzca w bitwie pod Alarcos w 1195 roku. Ożeniony z chrześcijanką Zaidą. Ojciec kalifa al-Nasira.

Wykaz postaci fikcyjnych

Benazir: żona Galiba i córka perskiego ambasadora w Sewilli.

Brat Serwando: zakonnik cysterski z klasztoru w Fitero, uzdrowiciel koni.

Bruno de Oñate: kawaler zakonu Calatrava. Dowódca kalatrawensów w twierdzy Salvatierra.

Diego de Malagón: młody uczeń weterynarza.

Efraim: żydowski mag w miasteczku Cuéllar.

Fabián Pardo: szlachcic aragoński, sędzia najwyższy króla Pedra II Aragońskiego.

Fatima: córka Kabirmy.

Galib: mudejarski weterynarz z Toledo, wygnany z al-Ándalus przez Almohadów.

Giulio Morigatti: Neapolitańczyk, *menescal* chorążego Garcíi Romeu, nieprzyjaciel Diega. W Katalonii fach weterynarza nosił tę nazwę, podczas gdy w pozostałej części Królestwa Aragona zwano ich *mariscal* lub *mariscal de cuadra*. Nierzadko zdarzało się, że wykonywali go cudzoziemcy.

Kabirma: tolekański handlarz końmi.

Marcos de Burgos: przyjaciel Diega.

Mencía Fernández de Azagra: córka możnego nawarskiego szlachcica Fernanda Ruiza de Azagra, drugiego z kolei pana ziemi Albarracin.

Najla: córka kalifa Yusufa i siostra al-Nasira.

Pedro de Mora: zdrajca króla Kastylii. Ambasador i współpracownik kalifów almohadzkich.

Sancha de Laredo: maltretowana kobieta, której pomagał Diego.

Sajjad: stajenny Galiba.

Tijmud: imesebelen. Strażnik księżniczki Najli.

Veturia: służąca Diega i Marcosa w mieście Cuéllar.

Wykaz miejscowości, w których rozgrywa się akcja powieści

Albarracin: w średniowieczu zwane Santa María de Albarracin. Niewielkie królestwo taify władane przez berberyjski ród Al-Banú-Razín, od którego wzięło swoją nazwę. Później zdobył je król Wilk, a następnie nadał nawarskiej rodzinie Azagrów, by odtąd stało się niezależną włością. W 1284 roku włączone do Królestwa Aragonii.

Twierdza Salvatierra: fortyfikacja wzniesiona na południe od Ciudad Real, przy szlaku ciągnącym się wzdłuż pasma górskiego Muradal, który łączył Kastylię z Andaluzją. Obiekt ceniony wysoko zarówno przez chrześcijan, jak i muzułmanów ze względu na jego strategiczną pozycję. Podczas panowania Alfonsa VIII władał nią zakon rycerski Calatrava. Pod koniec 1211 roku została przejęta przez oddziały almohadzkiego kalifa al-Nasira. Wydarzenie to spowodowało zamęt w świecie chrześcijańskim porównywany przez niektórych do utraty Jerozolimy i przyczyniło się do ogłoszenia przez papieża świętej krucjaty przeciwko Almohadom w Hiszpanii.

Cuéllar: stolica Comunidad de Villa i Tierra de Cuéllar. Po odebraniu jej Saracenom przez króla Alfonsa VI Kastylijskiego została zasiedlona i niedługo potem zyskała prawa wolnego miasta. Monarchia kastylijska nie chciała, by ziemie odzyskane były rządzone przez szlachtę lub kler, jak feuda na północy kraju, dlatego ściągnięto tam chłopów i wasali z Kastylii i Nawarry. Chciano w ten sposób zapewnić bezinteresowne wsparcie wojenne i osłabić władzę tych dwóch stanów. W wiekach XII i XIII Cuéllar zasłynęło z owczarstwa, handlu wełną i nieprzebranych zasobów drewna. W ciągu tych dwóch wieków wzniesiono wiele kościołów, które po dziś dzień stanowią perły stylu mudejar.

Fitero: miejscowość, w której zbudowano pierwszy w Hiszpanii klasztor cystersów. Przez wiek XII należała do Kastylii, będąc punktem strategicznym z racji swego strategicznego położenia u zbiegu granic z Nawarrą i Aragonią. W jej okolicach podpisywano ważne porozumienia pomiędzy trzema chrześcijańskimi królestwami.

Marrakesz: stolica imperium Almohadów. W języku arabskim jej nazwa oznacza „Miasto Boga”. W XII wieku tętniła bogatym życiem handlowym i kulturalnym. Pałac królewski znajdował się w pobliżu meczetu, którego minaret jest identyczny jak w Giraldzie, dawnej katedrze Sewilli, wzniesionej jako świątynia Almohadów.

Navas de Tolosa: teren na południe od portu Muradal, na zachód od Despeñaperros, w pobliżu dzisiejszej miejscowości Santa Elena, gdzie rozegrała się prawdopodobnie najbardziej decydująca w dziejach średniowiecznej Hiszpanii bitwa. Słowem *nava* określa się podmokłą, nierzadko bagnistą równinę. Po owej słynnej bitwie, stoczonej 16 lipca 1212 roku, autorstwo tej nazwy przypisuje się arcybiskupowi Narbony, jako że miała ona miejsce na owych równinach i rozegrała się nieopodal twierdzy, która imię swe wzięła od francuskiego miasta Tuluz. Wykorzystując ten ciekawy zbieg okoliczności, nadał on temu starciu miano bitwy pod las Navas de Tolosa.

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA	
Ziemie pogranicza	7
CZEŚĆ DRUGA	
Ziemie chrześcijańskie	173
CZEŚĆ TRZECIA	
Ziemie spokoju	283
CZEŚĆ CZWARTA	
Ziemie zamętu	369
CZEŚĆ PIĄTA	
Ziemie trwogi	455
CZEŚĆ SZÓSTA	
Ziemie bohaterów	531
Od autora	634
Wykaz postaci historycznych	642
Wykaz postaci fikcyjnych	644
Wykaz miejscowości, w których rozgrywa się akcja powieści .	645